

THOMAS BERGER

KIK

**MAŁY
WIELKI
CZŁOWIEK**



**THOMAS
BERGER**

**MAŁY
WIELKI
CZŁOWIEK**

Przełożył Lech Jęczynek



Państwowy Instytut Wydawniczy 1988

WSTĘP CZŁOWIEKA PIÓRA

Miałem zaszczyt poznać świętej pamięci Jacka Crabba — człowieka pogranicza, indiańskiego zwiadowcę, rewolwerowca, łowcę bizonów i adoptowanego Czejena, gdy dożywał swoich ostatnich dni. Relacja z mojego spotkania z tym niezwykłym człowiekiem jest chyba usprawiedliwiona, można bowiem przypuszczać, że bez mojej, nazwijmy to, katalitycznej roli te niecodzienne wspomnienia pewnie nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. To nieskromne pozornie stwierdzenie zostanie, mam nadzieję, uzasadnione w następnych ustępach.

Jesienią roku 1952, po operacji skrzywionej przegrody nosowej, przebywałem na rekonwalescencji w domu pod opieką nie pierwszej młodości pielęgniarki nazwiskiem Winifred Burr. Pani Burr była wtedy wdową, a ponieważ ona sama też przeniosła się już w zaświaty (w rezultacie nieszczęśliwego wypadku, w którym uczestniczył jej Plymouth i ciężarówka z piwem), nie poczuje się dotknięta, jeżeli opiszę ją jako osobę korpulentną, wścibską i złośliwą. Była również niewiarygodnie silna i chociaż nie należę do ułomków, przy myciu przewracała mnie z boku na bok jak niemowlę.

Mogę tutaj dodać, składając dań panującej w literackich wyznaniach modzie, że wspomniane zabiegi nie sprawiały mi najmniejszej satysfakcji seksualnej. Ablucje te napawały mnie wręcz lękiem i używałem wszelkich możliwych wybiegów, aby się od nich uwolnić. Niestety, nadaremnie. Myślę, że usiłowała sprowokować mnie, abym ją oddalił, co było przedsięwzięciem samobójczym, jako że pielęgniarstwo stanowiło jej źródło utrzymania. Ale pani Burr należała do tych osób, które są niewolnikami swojego kodu moralnego, tak jak pijak jest niewolnikiem swojego pragnienia. Jej nieboszczyk mąż był przez trzydzieści lat maszynistą pociągów towarowych i stąd wyobrażała sobie dorosłego Amerykanina płci męskiej jako osobnika w brudnym kombinezonie i w czapce z długim daszkiem, uszytej z pasiastego płótna.

Nie uważała, aby moje dolegliwości fizyczne były poważne i abym wymagał pielęgniarki (choć miałem spuchnięty nos i oboje oczu podsinione). Nie aprobowała źródła moich dochodów: skromny zasiłek od ojca, człowieka zamożnego, zapewniał mi możliwość rozwijania moich zainteresowań literackich i historycznych we względnej niezależności od pogoni za pracą zarobkową, do której mimo to żywię

największy szacunek. Również, jak można oczekiwać od wdowy, odnosiła się negatywnie do faktu, że w wieku pięćdziesięciu dwóch lat jestem kawalerem, i posuwała się do tego, że pozwalała sobie na pewne dwuznaczne aluzje (całkowicie nieuzasadnione: byłem raz żonaty, przyjaźnię się z wieloma niewiastami i wiele z nich odwiedzało mnie w okresie mojej rekonwalescencji, a także nie posiadam jedwabnego szlafroka).

Zawdzięczam pani Burr wiele nieprzyjemnych chwil i może się wydać dziwne, że poświęcam jej tyle miejsca w ograniczonej przestrzeni niniejszego wprowadzenia, którego celem jest zaprezentowanie znaczącego dokumentu amerykańskiego pogranicza, zanim wrócę do mojej zwyczajowej anonimowości. Cóż, jak to się często zdarza w ludzkich sprawach, los w realizacji swoich nieodgadnionych celów posługuje się tak skądinąd nieciekawymi indywidualami jak moja była pielęgniarka.

W przerwach między atakowaniem mnie gąbką a przygotowywaniem słabej herbaty, tostów i bulionu, co stanowiło moje pożywienie w tamtym okresie, pani Burr, popędzana swoją nienasyconą ciekawością, myszkowała po moim mieszkaniu niczym pospolity włamywacz. W sypialni działała pod pretekstem swojej miłosiernej profesji. „Muszę panu znaleźć jakąś czystą piżamę” — mówiła i, głucha na moje wskazówki, przewracała wszystkie szuflady w komodzie. Poza zasięgiem mojego wzroku rezygnowała z wszelkich pozorów i słyszałem z łóżka, jak atakuje różne zamknięte meble w innych pomieszczeniach, biurka, komódki, sekretarzyki — a wiele z nich to wartościowe okazy hiszpańskiego rzemiosła kolonialnego, zakupione podczas pobytu w Nowym Meksyku, dokąd się udałem, aby wzmocnić sobie płuca górskim powietrzem.

Kiedy wreszcie usłyszałem, jak otwiera szklane drzwiczki gabloty zawierającej moją ukochaną kolekcję indiańskich antyków, musiałem zaprotestować, mimo iż wibracja wywołana krzykiem przyprawiała mnie o ból nosa.

— Pani Burr! Stanowczo proszę nie ruszać indiańskich rzeczy!

Wkrótce pojawiła się w drzwiach sypialni ubrana we wspianiały pióropusz Siuksów, podobno część stroju wojennego samego wielkiego Szalonego Konia, za który przed laty zapłaciłem sześćset pięćdziesiąt dolarów. Byłem zbyt wzburzony, aby docenić całą absurdalność widoku tej grubej kobiety w tak wspianiałym pióropuszu. Zbyt byłem wstrząśnięty jej świętokradztwem. Wśród Indian orle pióra są atrybutem wyłącznie wojowników i squaw nie włożyłaby pióropusza wojennego nawet żartem, podobnie jak nowoczesna kobieta nie ubrałaby się w męzowskie Suspensorium. Niech

mi czytelnicy wybaczą gruboskórne porównanie, ale usprawiedliwia je to, że tak niewiele jest rzeczy nie do pomyślenia dla naszych współczesnych niewiast i pani Burr, choć nieświadomie, demonstrowała chorobę naszej białej cywilizacji.

Wydając okrzyki wykonała w drzwiach parodię tańca wojennego. Energia tej osoby zdumiewała. Nie zdobyłem się na dalsze protesty z obawy, że może się zdenerwować i uszkodzić cenny, blisko stuletni pióropusz. Już część orlego puchu fruwała po pokoju niczym spadochroniki roznoszące nasiona tych leśnych roślin, które pękając przedłużają swój gatunek.

Zachowując milczenie i odwracając oczy przetrzymałem jakoś niesmaczne popisy pani Burr. Stwierdziwszy, że nie wydobędzie ze mnie żadnego dźwięku, odłożyła wreszcie pióropusz Szalonego Konia do gabloty i wróciła do sypialni z wyrazem twarzy, który u niej oznaczał nastrój refleksyjny.

Usiadła ciężko na obudowie kaloryfera.

— Czy opowiadałam panu kiedyś, jak pracowałam w domu starców w Marville?

Osoba bardziej wrażliwa poczułaby się zniechęcona moim mruknięciem, ale pani Burr była odporna na subtelności.

— Przypomniało mi się, jak zobaczyłam te rzeczy Indianów — powiedziała i chrząknęła odrażająco. — Był tam taki jeden nieprzyzwoity staruch, twierdził, że ma sto cztery lata. Muszę powiedzieć, że wyglądał na tyle, trzeba mu to przyznać, nachalny typ, stare truchło ze skórą jak wytarta cerata, nie mógł mieć mniej niż dziewięćdziesiątkę, jeżeli nawet resztę bezczelnie dokłamał.

Zdaję sobie sprawę, że próba odtworzenia przemowy pani Burr to z mojej strony czysta donkiszoteria: w najlepszym wypadku mogę ją opisać jako werbalizację maksymalnie złej woli.

— Tak czy owak, twierdził jeszcze, że był kowbojem i walczył z Indianami za dawnych czasów. Oglądają tam dużo telewizji, stare westerny i inne takie, i on zawsze mówił, że to bzdury, bo on to przeżył naprawdę. Stary drań psuł zabawę, innym staruszkom, jeżeli go słuchali, ale zwykle nie zwracali na niego uwagi. Mówiłam zawsze, że ma wszędobylskie łapy, stary czort, i nie można było poprawić koca na jego patykowatych nogach, żeby nie próbował wepchnąć człowiekowi za dekolt jednego z tych swoich szponów. Potrafił też szczypać, jeżeli człowiek schylił się koło niego, żeby podnieść poduszkę z podłogi. Wyobraź pan sobie kobietę w moim wieku, chociaż oczywiście byłam wtedy młodsza, bo to się działo siedem lat temu i świętej pamięci

Burr, jak sobie podpił, mówił, że mam nie najgorszą figurę. Ale wracając do starego rozpustnika, to on twierdził, że brał udział w Ostatniej Bitwie Custer, co było bezczelnym łgarstwem, bo widziałam na filmie, że wszyscy tam zostali na różne sposoby pozabijani. Zawsze mówię, że jak dobrze pogrzebać, to jedynym prawdziwym Amerykaninem jest Indian.

Tyle o mojej pielęgniarce. *Requiescat in pace*. W tydzień później przestałem ją zatrudniać, a w połowie następnego miesiąca przeczytałem wiadomość o jej śmiertelnym wypadku. Pochlebiam sobie, że nie należę do tych sadystycznych nudziarzy, którzy wyżywają się w pisywaniu przedmów. Nie widzę powodu, dla którego miałbym prowadzić czytelnika przez wszystkie meandry moich poszukiwań osobnika, który okazał się wielkim człowiekiem pogranicza.

Po pierwsze, skoro tylko pani Burr zauważyła moje zainteresowanie „sprośnym staruchem, który twierdził, że walczył z Indianami” i tak dalej, zabrała mnie na długi i bezowocny bieg z przeszkodami po błotnistych bezdrożach jej pamięci.

Po drugie, nikt z personelu domu seniora w Marville (dokąd udałem się, jak tylko mój nos odzyskał swój normalny kształt) nie słyszał nigdy o rzeczonyj osobie, której nazwisko pani Burr przekazywała jako „Papp”, „Stab” albo „Tarr”.

Również hasło „kowboj” nie wywoływało żadnego oddźwięku. Co zaś do rzekomego wieku niezwykłego obiektu mojego zainteresowania, to lekarze roześmiali mi się w twarz: nigdy nie słyszeli o pensjonariuszu starszym niż sto trzy lata. Odniosłem mocne wrażenie, że są zdecydowani utrzymać ten rekord i gotowi są skrócić męczarnie każdemu zuchwałemu staremu przykowi, który chciałby go pobić: jak we wszystkich tego rodzaju instytucjach panował tu okropny tłok i ruch wózków inwalidzkich na żwirowanych alejkach stanowił autentyczne zagrożenie dla pieszych.

W stanowym, urzędzie opieki społecznej uświadomiono mi, że podobne instytucje dla wiekowych obywateli istnieją w miejscowościach Carvel, Harkinsville i Bardill. Udałem się do każdej z nich i odbyłem wiele rozmów z personelem i pensjonariuszami. Niektóre z nich mogłyby stanowić osobne opowieści: rozmawiałem na przykład z pewną mówiącą basem osobą w szlafroku będąc przez pierwsze pół godziny przekonany, że jest ona mężczyzną. Znalazłem nawet kilku dziadków służących wspomnieniami z Dzikiego Zachodu, przy których obstawali dzielnie nawet po tym, jak jedno czy dwa wnikliwe pytania demaskowały ich fałszywe świadectwa. Ale nigdzie nie było Pappa ani Staba, ani Tarra, stojedenastoletniego uczestnika bitwy nad Małym Wielkim Rogiem.

Można by mi w tym miejscu zadać pytanie, czym usprawiedliwiałem swoją wiarę w prawdziwość twierdzeń pani Burr, że taki człowiek jak Papp istnieje, a przyjmując to, w autentyczność historii, którą jej opowiedział. Faktem jest, że mam skłonność do działania pod wpływem impulsu, a ponieważ mogę sobie na to pozwolić, nie muszę się usprawiedliwiać z tej słabostki. Faktem jest także, jak można było wnioskować ze wzmianki o moich zbiorach indiańskich, które przedstawiają wartość wielu tysięcy dolarów, że pasjonuję się historią Zachodu. Wreszcie jestem posiadaczem wydania nadzwyczajnego „Bismarck Tribune” z Terytorium Dakoty z 6 lipca 1876 roku zawierającego pierwszą listę ofiar masakry, i w tym spisie znajdują się nazwiska Papp, Stab i Tarr. Ludzie ci są oczywiście wymienieni wśród poległych, ale ze względu na okaleczenie ciał niewiele z nich można było zidentyfikować z całą pewnością.

Stabb, jak się początkowo obawiałem, musiał zostać wyeliminowany, gdyż był indiańskim zwiadowcą z plemienia Arikara. Gdyby starzec pani Burr był Indianinem, niewątpliwie wspomniałaby o tym. Z drugiej strony nadmieniała coś o jego skórze „jak wytarta cerata”, choć nie uznała za stosowne uściślić jej barwy. Oczywiście nie wszyscy Indianie są brązowi, nie mówiąc już o tym, że żaden nie jest czerwony.

Ale złamałem obietnicę, że nie będzie dygresji... Nie można wykluczyć możliwości, iż Papp, powiedzmy, albo Tarr — albo nawet Stab — przeżył tę straszną rzeź i dla siebie tylko wiadomych powodów znikł z pola widzenia władz, dziennikarzy, historyków i tak dalej na następne trzy ćwierci wieku — może cierpiał przez te lata na amnezję — i nagle postanowił ujawnić się w miejscu i czasie, w którym musiał spotkać się z niedowiarstwem swoich sędziwych współpacjentów i personelu w rodzaju pani Burr. Było to możliwe, ale jak uznałem po miesiącach bezowocnych poszukiwań, bardzo mało prawdopodobne. Poza tym sama pani Burr widziała po raz ostatni rzezonego osobnika w roku 1945. O ile rzadko się zdarza, żeby człowiek dożył stu czterech lat, o tyle zupełnie absurdalne jest, żeby dożył stu jedenastu!

Wręcz śmieszne, prawdę mówiąc. Przekonałem się o tym, kiedy odwiedziwszy ojca w celu podjęcia mojego miesięcznego stypendium — żądał tych regularnych osobistych wizyt — i dałem mu nieostrożnie zgodną z prawdą odpowiedź na jego pytanie: „Co robisz w tym miesiącu, Ralph?”

Gniewnie zagryzł ustnik cygarniczki.

— Poszukujesz stojedenastoletniego uczestnika bitwy nad Małym Wielkim Rogiem!

Na szczęście w tym momencie wszedł do gabinetu jeden z jego zauszników z depeszami z Hong Kongu w sprawie hotelu, który ojciec budował w tej kolonii, i zostały mi zaoszczędzone dalsze oskarżenia o rzekomy niedorozwój umysłowy. Ojciec miał prawie osiemdziesiąt lat i nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

W chwili, kiedy chciałem już zaniechać dalszych poszukiwań i zająć się poważną pracą nad moją od dawna odkładaną monografią na temat południowozachodnich luminariów (są to bożonarodzeniowe latarki składające się ze świeczki zapalanej w papierowej torebce z piaskiem), zaplanowaną przed laty podczas pobytu w Taos w Nowym Meksyku, i przeglądałem właśnie swoje notatki na ten temat, otrzymałem dziwny list wyglądający wielce podejrzanie.

Szanowny panie dowiedziałem się że pan mnie szuka myślę że chodzi o mnie bo nie słyszałem żeby wśród tych tutaj starych wypalonych wraków był oprucz mnie jakiś bochater i uczestnik sławnej chistorii dawnego pogranicza który znalazł ich wszystkich generała Custer, Siedzącego Byka, Dzikiego Billa, tego łotra Earpa i był w tak zwanej rzezi nad Małym Wielkim Rogiem czyli ostatniej bitwie Custer.

Jestem tutaj wienziony. Mam sto i 11 lat i jakbym miał tu mojego jednoszczalowego colta to bym się stąd wydostał ale nie mam. Jak pan jest literatem to sprzedam panu chistorię mojego życia za 50 tysienicy dolarów, co nie jest drogo bo jestem ostatni z tamtych czasów.

pański przyjaciel

Jack Crabb

Charakter pisma był paskudny (choć wcale nie starczy) i odcyfrowanie listu zajęło mi cały dzień. Opublikowana wyżej redakcja może być uznana tylko za prawdopodobną. Papier listowy nosił nadruk Domu Seniora w Marville, od którego, jak pamiętamy, rozpocząłem poszukiwania ze skutkiem negatywnym. Żądanie pięćdziesięciu tysięcy dolarów sugerowało działanie potencjalnego szalbierza.

Mimo to następnego dnia, po stumilowej jeździe wśród przelotnych opadów, wjeżdżałem swoim Pontiakiem na asfaltowy parking z napisem „Goście” w Marville. Było wczesne popołudnie. Oblicze dyrektora administracyjnego zdradzało lekkie zniecierpliwienie moją powtórna wizytą i wręcz pogardę, kiedy pokazałem mu list. Od tej chwili przekazał mnie w ręce szefa oddziału psychiatrycznego, bladego osobnika

nazwiskiem Teague, który obojętnie przyjrzał się koślawej kaligrafii mojego dokumentu, westchnął i powiedział:

— Tak, obawiam się, że to jeden z naszych. Czasami udaje im się przeszmyglować list na zewnątrz. Przykro mi, że to pana spotkało, ale mogę pana zapewnić, że ten pacjent jest absolutnie niegroźny. Aluzja do aktów przemocy w ostatnim ustępie to czysta fantazja. Poza tym jego stan fizyczny pogorszył się do tego stopnia, że nie może wstać z fotela bez pomocy pielęgniarza, a jego władze umysłowe też uległy zaćmieniu. Proszę się więc nie obawiać, że mógłby wydostać się do miasta i wyrządzić panu jakąś krzywdę.

Wskazałem lekarzowi, iż pogrożki pana Crabba, jeżeli można je tak nazwać; dotyczyły nie mnie, tylko personelu Domu Seniora, ale on oczywiście uśmiechnął się jedynie ze współczuciem. Mam pewne doświadczenie z panami psychiatrami, gdyż płaciłem im po pięćdziesiąt dolarów za godzinę, dwa razy w tygodniu przez kilka lat, kiedy byłem o dziesięciolecie młodszy, co nie wpłynęło w najmniejszym stopniu na moje senne koszmary i migreny.

— Niemniej jednak — dodałem — nalegam na spotkanie z panem Crabbem. Przejechałem w tym celu sto mil i poświęciłem przedpołudnie, które mogłem z większym pożytkiem spędzić w towarzystwie mojego doradcy podatkowego.

Ustąpił natychmiast. Przedstawicielom jego zawodu bardzo łatwo można narzucić swoją wolę, jeżeli używa się argumentów ekonomicznych, nie zaś emocjonalnych.

Weszliśmy piętro wyżej i wędrowaliśmy dobre pół mili, korytarz za korytarzem. Oddział psychiatryczny stanowił najnowszą część ośrodka w Marville, same kafelki, szkło i filodendrony: faktycznie przypominało to oranżerię, w której, jak grzyby wśród listowia, tu i ówdzie widniały kępki starych łysych głów. Dotarliśmy tak do przeszklonego balkonu pełnego geranium. Na zewnątrz panował początek grudnia, ale Marville za pomocą termostatu utrzymywało przez okrągły rok wewnętrzne lato. Nagle wstrząsnęło mną przerażające złudzenie: w fotelu na kółkach tyłem do nas siedziało odrażające czarne ptaszysko, największy sęp, jakiego w życiu widziałem. Przez okno lustrował drapieżnie teren przed budynkiem, jakby wypatrywał obiadu, a jego naga pomarszczona głowa trzęsła się z lekka.

— Panie Crabb — zwrócił się doktor Teague do ptaka — ma pan gościa; Nie wątpię, że będzie pan dla niego bardzo uprzejmy, niezależnie od pańskiego stosunku do mnie.

Sęp powoli odwrócił głowę i spojrzał na nas przez pochyłe ramię. Moje przerażenie ustąpiło nieco na widok ludzkiej twarzy — nie dzioba — zwiędłej niewątpliwie i obciągniętej, jak stwierdziła pani Burr, wytartą i pogniecioną ceratą, ale jednak twarzy, a właściwie wścieklej twarzyczki z oczami tak palącymi i błękitnymi jak niebo nad pustynią.

— Chłopcze — powiedział starzec do doktora Teague — kiedy raz zostałem trafiony kulą w zadek, wyjąłem ją sobie sam za pomocą noża i lusterka, i widok mojego włochatego tyłka był prawdziwą przyjemnością w porównaniu z widokiem tego, co ty nosisz na końcu szyi.

Odwrócił się z wózkiem. Jeżeli jako ptak był olbrzymi, to jako człowiek był zdecydowanie mały. To, co wziąłem za ciemne upierzenie, okazało się w rzeczywistości starym frakiem, który z wiekiem przybrał barwę czarno-zieloną. Temperatura w solarium wystarczała, żeby kwitło geranium, lecz starzec nosił pod frakiem gruby wełniany sweter i flanelową górę od pizamy. Na nogach miał spodnie od pizamy, a tam, gdzie podjechały w górę, na jego chudych piszczelach widać było szare kalesony wpuszczone w czarne skarpety.

Jego głos zachował na koniec. Wyobraźcie sobie, jeżeli potraficie, brzdąkanie gitary, której pudło wypełniono żuzłem: nosowy odgłos szybko zanikający w chropowatym materiale.

Doktor Teague uśmiechnął się z całą dobroduszością tłumionej wrogości i dokonał prezentacji.

Crabb nagle wsunął między brązowe dziąsła sztuczną szczękę, którą dotąd ukrywał w dłoni, wyszczerzył ją na doktora i warknął:

— Zjeżdżaj stąd, ty zaszranie drągalu.

Teague opuścił powieki z wyrazem rozbawionej pobłażliwości, podniósł je z powrotem i powiedział:

— Jeżeli pan Crabb sobie tego życzy, nie widzę powodu, dlaczego nie mógłby pan porozmawiać z nim spokojnie przez pół godziny. Wychodząc proszę zajrzeć do mojego gabinetu, panie Snell.

Jack Crabb spojrział na mnie spod zmrużonych powiek, wypluł szczękę i schował ją do wewnętrznej kieszeni fraka. Byłem zdenerwowany wiedząc, że wszystko zależy od mojej umiejętności nawiązania kontaktu. Od chwili, kiedy przekonałem się, że jest to człowiek, nie zaś sęp, natychmiast uwierzyłem bez cienia wątpliwości we wszystko, co napisał w liście. Mimo to postanowiłem zachować ostrożność.

Powtórnie skierował na mnie swoje niesamowicie niebieskie oczy. Odczekałem dłuższą chwilę pozwalając mierzyć się spojrzeniem.

— Laluś z ciebie, co synu? — odezwał się wreszcie, jednak bez złości. — Tak jest, duży, tłusty lalusz. Założę się, że gdybym cię ścisnął za ramię, ślady palców zostałyby jak w łożu. Znałem jednego takiego, co przyjechał na Zachód i trafił do Indian Kiowa, którzy go zwięzali i pozwolili babom walić go wierzbowymi kijami. Przyniosłeś mi pieniądze?

Wiedziałem, że stary zwiadowca wystawia mnie na próbę, i niczym nie okazałem, że czuję się obrażony, co zresztą było zgodne z prawdą.

— Po co to zrobili, panie Crabb?

Skrzywił się, w rezultacie czego całkowicie znikły jego oczy, usta i większa część nosa, którego koniec tylko wystawał, jak czubek palca z zaciśniętej pięści w zniszczonej skórzanej rękawiczce.

— Indianin — odpowiedział — ma bzika na punkcie sprawdzania, jak co działa. Oczywiście nie wszystko go interesuje. Tego, co go nie interesuje, w ogóle nie zauważa. Ale tamten lalusz ich zainteresował, bo chcieli się przekonać, czy będzie płakać jak baba. Nie płakał, chociaż pręgi miał na plecach takie, jakby to było nie ciało tylko ser. Więc dali mu prezenty i wypuścili go. Był dzielny człowiekiem, synu, i o to właśnie chodzi: to, czy ktoś jest laluszem, nie ma żadnego znaczenia. Przyniosłeś mi pieniądze?

— Panie Crabb — powiedziałem nieco uspokojony zakończeniem historii, która jednak nadal wydawała mi się podejrzana — musimy sobie jedną sprawę wyjaśnić: moje środki są bardzo skromne.

— Jeżeli nie masz pieniędzy, to co masz, synu? — odpowiedział. — To ubranie nie wydaje mi się wiele warte. — Wziął laskę z oparcia fotela, gdzie wisiała, i dźgnął mnie w środek korpusu. Na szczęście miała gumowy ochraniacz i nie było to zbyt bolesne choć na moim beżowym garniturze została czarna smuga.

— Porozmawiamy o tym później — odpowiedziałem przytomnie i ujrawszy wiklinowe krzesło za krzewem gumowca przysunąłem je i usiadłem. — Przede wszystkim mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, jeżeli sprawdzę autentyczność pańskiej relacji.

Stwierdzenie to wywołało u niego długotrwały atak suchego śmiechu, który brzmiał jak ucieranie marchwi. Jego mała żółta główka, naga jak u płodu i przeświecająca jak pergamin, opadła mu na pierś, a we mnie zamarło serce, że oto znalazłem go zbyt późno.

Doskoczyłem do fotela na kółkach i przyłożyłem dłoń, a później ucho do jego ptasiej piersi... Gdybyż moje serce biło tak mocno i równo! Po prostu zasnął.

— Nie chciałbym, żeby dał się pan ponieść entuzjazmowi — powiedział w kilka minut później doktor Teague, siedząc za metalowym biurkiem, na którym stała fluorescencyjna lampa zamontowana na potężnej, przypominającej dźwig konstrukcji. — Pamiętam tę pańską panią Burr, która była salową, nie pielęgniarzką. Została zwolniona, o ile się nie mylę, za dostarczanie napojów wysokowych niektórym pacjentom z Jackiem Crabbem na czele. Podczas gdy od czasu do czasu łyk czegoś zawierającego niewielką ilość alkoholu może działać korzystnie na ludzi w podeszłym wieku wspomagając krążenie, to wysokoprocentowy alkohol może być zgubny dla starego serca. Nie mówiąc już o efektach psychicznych. A sądzę, że paranoiczne skłonności pana Crabba są całkiem oczywiste nawet dla laika.

— Ale czy to możliwe, że on ma sto jedenaście lat. Czy przynajmniej to może mi pan zagwarantować? — spytałem.

Teague uśmiechnął się.

— Dziwnie pan stawia sprawę. Pan Crabb ma tyle lat, ile ma, i nie zależy to od tego, co ja zagwarantuję, a pan zaakceptuje. Istnieją pewne sposoby, za pomocą których medycyna potrafi określić przybliżony wiek człowieka, ale sposoby te są tym mniej precyzyjne, im starszy jest badany. I tak w przypadku niemowlęcia...

Ledwo zdążyłem wyjąć chusteczkę. Mogłem się tego spodziewać: skutek tego piekielnego geranium. A moje robione na zamówienie krople do nosa znajdowały się o sto mil stąd. Prostowana przegroda nosowa bolała, cięcie ledwo się zablżyło. Jednak była w tym zrzędzeniu lekcja moralna. Przypomniała mi się opowieść pana Crabba o Bogu ducha winnym młodzieńcu bitym przez Indian i dopiero teraz ją

zrozumiałem: każdy z nas, choćby nie wiem jak skromny, znajduje się niespodziewanie w sytuacjach, w których ma do wyboru zachować się jak bohater lub jak nikczemnik. Nieliczna elita, wybrańcy losu bronią się na tym pagórku nad Małym Wielkim Rogiem, i oni służą za wzór pospolitym ludziom, którzy muszą stawić czoło jedynie pękniętej dętce na pustej autostradzie, obeldze grubianina na plaży lub atakowi kichania, kiedy są z dala od swoich kropli do nosa.

Nabrałem na dłoń wody przy stalowej umywalce doktora Teague i przepłukałem przewody nosowe. Było to krótkotrwałe i niezbyt skuteczne remedium. Kichałem nieustannie przez następne trzy kwadransy i nos spuchł mi jak bulwa, oczy zaś zwężyły się orientalnie. Jednak moja wola pozostała niewzruszona.

Okazało się, że zainteresowania doktora Teague obracają się wyłącznie wokół kwestii pieniędzy, lub raczej szczególnego niedostatku tego najwyższego dobra naszej cywilizacji w Domu Seniora w Marville. Nauka medyczna mogła określić wiek niemowlęcia prawie za darmo, ale w przypadku starego człowieka wymagało to pieniędzy. Fotele na kółkach wymagały pieniędzy. Personel taki jak nieżyjąca pani Burr, nie mówiąc już o prawdziwych pielęgniarkach, musiał być opłacany. Nawet to odrażające geranium obciążało budżet.

Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, że mój ojciec utrzymuje zażyłe stosunki z wieloma stanowowymi legislatorami. Nie wiem, ile był wart doktor Teague w swoim zawodzie, dziedzinie nauki czy szwindlu, ale dowiódł, że jest wytrawnym znawcą polityki. Rezultatem naszego małego posiedzenia w jego gabinecie, w którym wszystko oprócz nas zdawało się zrobione z metalu, była moja zgoda na porozmawianie z ojcem o celowości zwiększenia subsydiów dla domów seniora. Doktor Teague ze swojej strony, do czasu otrzymania odpowiednich sum na przeprowadzenie chemicznych i rentgenowskich testów określających zawartość wapnia w starych kościach Jacka Crabba, zgodził się wstępnie ocenić wiek sędziwego zwiadowcy na „po dziewięćdziesiątce”.

Wątpię, czy Crabb w rozkwicie sił i ze swoim Coltem „Pacyfikatorem” uzyskałby coś więcej u doktora Teague. Uznałem, że mogę wywiązać się ze swojego zobowiązania pisząc do ojca list. Czy coś w związku z tym zrobił, nie wiem. Nigdy nie wspomniał o tym podczas moich comiesięcznych wizyt. Nacisk doktora Teague i dyrektora, który stał za tym wszystkim, nie słabł ani na chwilę w pięciomiesięcznym okresie moich prawie codziennych rozmów z Jackiem Crabbem. Nie przypominam

sobie, żebym przechodząc korytarzem nie spotkał któregoś z nich lub nawet obu. Wymiana zdań nabrała charakteru rytualnego.

– Jak tam nasze sprawy?

– Wyglądają obiecująco.

Nie byłem w Marville od lata 1953 roku, a wtedy nadal zadawali to samo pytanie.

Jeszcze kilka słów o pracy nad tymi wspomnieniami. W swojej pierwotnej formie składały się z pięćdziesięciu siedmiu rolek taśmy z nagraniem głosu pana Crabba. Od lutego do czerwca 1953 roku spędziłem z nim wszystkie popołudnia w dni powszednie obsługując magnetofon, zachęcając mego rozmówcę, kiedy tracił zapał, zadając co jakiś czas naprowadzające pytania, które pomagały mu uściślić swoją opowieść, i w ogóle starając się okazać pożytecznym w nie narzucający się sposób.

Była to ostatecznie jego książka i czułem się wielce zaszczycony mogąc służyć przy niej moją skromną pomocą. Miejsce naszych spotkań stanowił jego maleńki pokój, przygnębiające pomieszczenie z szarymi metalowymi sprzętami, do którego dochodziły toksyczne wyziewy położonej o dwa piętra niżej kuchni. Oszklony balkon, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłby niewątpliwie wygodniejszy, gdyby nie moje uczulenie na jego florę, że nie wspomnę o okazjach do przerywania nam, jakie by to dawało innym starcom i personelowi.

Poza tym pan Crabb wyraźnie słabł w ciągu tych miesięcy. Od marca nie opuszczał już łóżka. Na ostatnich taśmach z czerwca jego głos był ledwie słyszalny, ale jego umysł do końca pozostał jasny. I wreszcie dwudziestego trzeciego dnia tego miesiąca przywitał mnie szklanym spojrzeniem, które nie drgnęło, kiedy wszedłem do pokoju. Stary zwiadowca doszedł do końca swojego szlaku.

Rozliczywszy się w motelu, który był moim domem przez pięć miesięcy udałem się na pogrzeb w przekonaniu, że będę jedynym żałobnikiem. Tymczasem przybyła większość chodzących pacjentów domu seniora, mając na twarzach charakterystyczny dla starców przy takich okazjach wyraz satysfakcji.

Uroczystości żałobne odbyły się 25 czerwca 1953 roku, a więc w dniu siedemdziesiątej piątej rocznicy bitwy nad Małym Wielkim Rogiem. W śmierci, tak jak i w życiu, Jack Crabb zdawał się specjalizować w sztuce czy też rzemiośle koincydencji.

Jeżeli chodzi o tekst, to został on spisany z taśm dosłownie i jest wierny narracji pana Crabba. Nic z niej nie usuwałem, dodając jedynie niezbędne znaki przestankowe. Jeżeli te ostatnie mogą się wydać miejscami skąpo dozowane, to moim motywem było oddanie pośpiechu, z jakim odnośne fragmenty płynęły z ust narratora. Nie usiłowałem oddawać specyficznej wymowy starego zwiadowcy, bo w przeciwnym razie cała książka przypominałaby list, jaki napisał do mnie z Marville.

Miał prawdziwy talent gawędziarza i dobre ucho: inaczej trudno byłoby wyjaśnić pewne niekonsekwencje. Czytelnik zauważy, iż podczas gdy bezpośrednia narracja, *in propria persona*, bywa niegramatyczna, to człowiek wykształcony, taki jak generał Custer wyraża się poprawnie. Również dialogi indiańskie w tłumaczeniu mają nienaganną fleksję i składnię. Co więcej, w swoich własnych kwestiach pan Crabb nie zawsze jest konsekwentny, używając na zmianę form prawidłowych i błędnych. Ale proszę przysłuchać się czasem jakiemuś osobnikowi z klas niższych, mechanikowi samochodowemu lub czyścibutowi. On zna reguły kulturalnej retoryki, nie spadł ostatecznie z księżycy, potrafi, jeżeli zechce, mówić poprawnie i czasami może to robić, choćby po to, żeby uzyskać napiwek. Okazuje się, że jego zwyczajowy żargon jest wytworem lenistwa.

Ktoś mógłby zakwestionować w słowniku pana Crabba nie posiadającego formalnej edukacji takie słowa jak „percepcja”. Ale należy pamiętać, iż dawny mieszkaniec pogranicza czerpał swoją prymitywną ogładę z różnych źródeł: na przykład trupy szekspirowskie docierały do najbardziej oddalonych posterunków, podobnie kaznodzieje, z Biblią króla Jakuba w trokach. Ponadto, jak się dowiemy, młody Jack pod kierunkiem pani Pendrake zetknął się z poezją Aleksandra Pope'a i niewątpliwie innych wybitnych poetów również.

Czytelnik przyzna, jak sędzę, że pan Crabb jest zadziwiająco oględny w swoim języku. Czasem jakaś rubasność, owszem. Miejmy na uwadze człowieka, okoliczności i czasy. Ale jego stosunek do kobiet ma w sobie staromodną rycerskość: romantyczną, sentymentalną, szczerze mówiąc chwilami aż ckliwą. Możliwe, iż na przykład jego portret pani Pendrake jest nieco przerysowany. Podejrzewam, że mogła być nie więcej niż kobietą lekkich obyczajów, jaką każdy z nas spotkał kiedyś na swojej drodze życiowej. Moja była żona, na przykład... Ale to przecież jest książka pana Crabba, nie moja.

W rzeczywistości Jack Crabb, kiedy nie mówił bezpośrednio do mikrofonu, był chyba najplugawiej wysławiającym się osobnikiem, z jakim kiedykolwiek miałem do

czynienia. Nie potrafił wypowiedzieć jednego zdania, które można by powtórzyć słowo w słowo z trybuny publicznej lub zacytować w gazecie. Było to „Podaj mi ten... mikrofon, synu” albo: „Ciekawe, kiedy ta... siostra przyniesie ten... obiad.” Tak więc muszę prosić czytelnika, aby sam wprowadzał odpowiednie substytuty, kiedy na przykład w swojej opowieści pan Crabb przedstawia siebie jako mówiącego do Wyatt Earpa w słynnej konfrontacji na pastwisku bizonów. „Strzelaj, ty przekłety pijaczyno.” Można być pewnym, że padły wyrażenia znacznie mocniejsze.

Jeszcze jedna uwaga: słowo „tyłek”. Podobnie jak wielu pisarzom amatorom — a myślał o swojej opowieści jako o czymś, co ukaże się kiedyś w druku — panu Crabbowi często groziła górnolotność, ale to nie jest ten przypadek. Nie, on wierzył, że termin ten jest ogólnie przyjętym oznaczeniem tylnej części ciała, słowem, którego można użyć w każdym towarzystwie. Zauważą państwo, że inną formę wkłada w usta tych, których uznaje za szczególnych gburów.

Ale dość o tym. Minęło dziesięciolecie, odkąd Jack Crabb mówił do mojego magnetofonu. W tym czasie ojciec mój zmarł w końcu z przyczyn naturalnych i rozpoczęła się długotrwała wojna prawna o spadek między mną a moim rzekomym bratem przyrodnym, nieślubnym, który pojawił się jak spod ziemi. Nie powinno to nas tutaj interesować, gdyby nie fakt, że w rezultacie przeżyłem załamanie nerwowe, które wyłączyło mnie z akcji na większość tych dziesięciu lat. Stąd tak długa przerwa między poczęciem tej książki a jej przyjściem na świat.

Powiedziałem swoje i teraz odstępuję scenę Jackowi Crabbowi. Pojawię się ponownie w bardzo krótkim epilogu. Ale najpierw trzeba przeczytać tę niezwykłą opowieść!

Ralph Fielding Snell

1. FATALNA POMYŁKA

Zapamiętaj sobie, że jestem białym człowiekiem, choć od dziesiątego roku życia wychowywałem się u Czejenów.

Mój tato był kaznodzieją w Evansville w Indianie. Nie miał normalnego kościoła, ale zdołał namówić pewnego właściciela baru, żeby mu pozwolił korzystać ze swojego lokalu w niedzielne przedpołudnia. Ten bar znajdował się nad rzeką i publika, co tam przychodziła, to byli marynarze z rzeki Ohio, szulerzy z Iowy w drodze do Nowego Orleanu, kieszonkowcy, zabijaki, ladacznice i tym podobni, czyli audytorium, jakie mój tato lubił najbardziej ze względu na obfitość różnych nędznych śmierdzieli, których mógł sprowadzać na drogę cnoty.

Kiedy tato po raz pierwszy wszedł do baru, żeby nauczać, cała ta zgraja chciała go zlinczować, ale on wdrapał się na kontuar, zaczął wrzeszczeć i po minucie wszyscy zamknęli się i słuchali. Tato potrafił przekrzyknąć każdego białego na świecie, chociaż był mężczyzną średniego wzrostu, chudym jak trzonek od kilofa. Potrafił obudzić w człowieku poczucie winy za coś, o czym tamten nigdy przedtem nie myślał. Jego specjalnością było zbijanie ludzi z tropu. Wpatrywał się na przykład swoimi płonącymi oczami w jakiegoś wielkiego, gruboskórnego obwiesia ze statku i krzyczał: „Od jak dawna nie odwiedzasz swojej starej matki?” Zazwyczaj taki jegomość przestępował z nogi na nogę i wycierał nos w rękaw, a kiedy moi bracia i siostry obchodzili zgromadzenie po kweście, z wyczyszczonymi spluwaczkami, nagradzał nas hojnie za nasze trudy.

Tato dzielił się pieniędzmi z właścicielem baru i była to pierwsza z przyczyn, dla których ten użyczał nam swojego lokalu.

Drugą przyczyną było to, że podczas kazania bar pozostawał czynny. Tato nie był purytaninem. Sam strzelał sobie jednego albo i trzy, kiedy nauczał, i nigdy nie słyszano, żeby powiedział choć jedno słowo przeciwko alkoholowi, kobietom, kartom albo jakimś innym przyjemnościom. „Wszystkie rozrywki zostały wynalezione przez Boga i dlatego nie mogą być złe same w sobie — mawiał. — Złe są tylko wtedy, kiedy człowiek w pogoni za nimi zmienia się w nędznego śmierdziela, używa plugawych słów, pluje, żuje tytoń i nie myje twarzy.” Tato potępiał tylko określone grzechy. Nigdy nie miał nic przeciwko cygarom, ale był śmiertelnym wrogiem żucia tytoniu,

plugawych słów i brudu. Dopóki ktoś był czysty, taty nie interesowało, czy zapije się na śmierć, zgra do centa, tak że jego dzieci pójdą z torbami, albo czy złapie francuską chorobę od zadawania się z kobietami podejrzanego konduity.

Kiedy byłem mały, nigdy mi to nie przyszło do głowy, ale teraz wiem, że tato był szalony. Albo znajdował się w transie, albo popadał w przygnębienie i ledwo odpowiadał na pytania, a przy posiłkach jak zwierzę myślał tylko o napełnieniu brzucha. Zanim zajął się religią, był fryzjerem, i nawet później zawsze nas strzygł, i powiadam ci, jeżeli w takiej chwili wstąpił w niego duch, było to naprawdę mrozące krew w żyłach przeżycie: wrzeszczał wtedy i podskakiwał, i mógł obciąć nożyczkami równie, dobrze kawałek ciała, jak pęk włosów.

Tacie powodziło się zupełnie dobrze w tym barze (choć prawdą jest, że wśród oficjalnych kaznodziejów powstał ruch na rzecz wypędzenia go z miasta, ponieważ odbierał im słuchaczy — poza starszymi kobietami, wołającymi tradycyjne chrześcijaństwo, które zabrania wszystkiego), ale nagle uznał, że powinien pojechać do Utah i zostać mormonem. Między innymi spodobał mu się pomysł mormonów, że mężczyzna ma prawo do wielu żon. Rzecz w tym, że poza przeklinaniem, żuciem tytoniu itepe, tato był zwolennikiem wolności we wszystkim. Osobiście nie interesowało go posiadanie drugiej żony, ale podobała mu się sama zasada. Dlatego też moja mama nie miała nic przeciwko temu. Była małą kobietką z okrągłą, nieco piegowatą twarzą o niewinnym wyrazie i jeżeli tata zbyt się rozkręcił w dniu, kiedy nie miał kazania i nie mógł sobie upuścić pary, kazała mu się rozbierać, sadzała go w szafliki i nacierała mu plecy szczotką, co uspokajało go po jakimś kwadransie.

Tato zabrał nas wszystkich do Independence w stanie Missouri, gdzie kupił wóz z zaprzęgiem wołów, i wyruszyliśmy na Szlak Kalifornijski. Działo się to, według moich obliczeń, wiosną roku tysiąc osiemsetnego pięćdziesiątego drugiego, a mimo to nadal napotykaliliśmy na nieszczęśników ciągnących w ogonie gorączki złota, która wybuchła w czterdziestym ósmym. Wkrótce zebrała się karawana z siedmiu wozów i dwóch jeźdźców i tatę wybrano starostą, chociaż wiedział o podróżowaniu przez prerię nie więcej, niż ja wiem o języku pogańskich Chińczyków, którzy później mieli pracować po szesnaście godzin na dobę przy budowie kolei Central Pacific. Ale biorąc pod uwagę jego skłonność do gardłowania, uznali widać, że skoro nie potrafią go przekrzyczeć, to lepiej zrobić go szefem. Poza tym na każdym nocnym postoju tato przemawiał przy ognisku, a tego było im trzeba, bo jak to się dzieje z ludźmi, którzy porzucają wszystko dla wielkiej idei, co pewien czas tracili wszelką nadzieję.

Powiniem tutaj dać próbkę nauk mojego taty, bo jest to ostatnia szansa, żeby usłyszeć jego słowa, ale nie miałyby one należytej wymowy czytane po stu latach w wygodnym fotelu albo na czym tam kto siedzi, podczas gdy w rzeczywistości były wygłaszane wieczorem na otwartej prerii przy słodkawo pachnącym ognisku z suchego łajna bizonów. Mogłyby się wydać czystym szaleństwem, gdyż nie przekazywałyby autentycznego natchnienia, wyrażającego się bardziej tonem niż sensem, chociaż może dlatego tak myślę, że byłem wtedy dzieckiem. Jak na ironię, tato pod wieloma względami przypominał Indian.

Indianie. Wędrując przez Terytorium Nebraska wzdłuż błotnistej rzeki Platte, co jakiś czas spotykaliśmy grupki Paunisów. Indianie to byli dla mnie Indianie i rzecz jasna jako dziecko w zasadzie odnosiłem się do nich z sympatią, bo wyglądało, że żyją bez żadnego celu. Ci, których widywaliśmy, wyłaniali się zawsze zza najbliższego pasma wzgórz i wlekli się na swoich konikach, jakby mieli nas minąć, a kiedy się z nami zrównywali, nagle podjeżdżali i prosili o jedzenie. Chodziło im zwłaszcza o kawę, starali się więc zmusić nas do postoju i zaparzenia kawy, bo woleli to niż kawałek boczku lub cukru, który mogliśmy im dać bez postoju. Myślę, że bardziej jeszcze niż na kawie zależało im na tym, żeby nas zatrzymać. Nic tak nie wyprowadza Indian z równowagi jak systematyczny, jednostajny ruch. Dlatego właśnie nie tylko nie wynaleźli koła, ale i nie przyjęli go od białych, dopóki żyli dziko, choć bardzo szybko przechwycili konia, strzelbę i stalowy nóż.

Ale kawę też lubili naprawdę i siedzieli na swoich kocach kiwając głowami i pomrukując „hou, hou” po każdym łyku, a potem jedli bułeczki, które rozdawała im mamusia, i również mruczeli „hou, hou” po każdym kęsie.

Tato, co cię pewnie nie zdziwi, był pod urokiem Indian, ponieważ robili to, na co mieli ochotę, i zawsze usiłował wciągać ich w dyskusje filozoficzne, co było beznadziejne, gdyż oni nie znali ani w żąb angielskiego, a tato nie znał nawet języka gestów. Wielka szkoda, bo jak się później przekonałem, nikt tak nie lubi paplać jak czerwonoskóry.

Po jedzeniu Paunisi wstawali, dłubali paluchami w zębach, mruczeli jeszcze kilka razy „hou, hou”, wsiadali na konie i odjeżdżali bez słowa podziękowania. Niektórzy ściskali nam dłonie zwyczajem, którego się właśnie uczyli od białych, a że czegokolwiek Indianin się uczy, przeradza się u niego w manię, to ściskali dłonie mężczyznom, kobietom, dzieciom i niemowlętom w kołyskach. Byłem zdziwiony, że nie potrzęsają prawą przednią racicą wołów.

Nie dziękowali, ponieważ ich etykieta w owych czasach tego nie przewidywała, a zresztą okazywali już swoją uprzejmość za pośrednictwem tych nieustannych „hou, hou”, co znaczy „dobry, dobry”. Możesz przewędrować cały świat i nie znajdziesz nikogo lepiej wychowanego niż Indianin. Cel tych wizyt miał dużo wspólnego z dobrym wychowaniem, bo ci ludzie nie byli żebrakami w rozumieniu białych — jak ci degeneraci bez innych środków do życia, których widywałem w wielkich miastach. Według kodeksu Indian, jeżeli się spotyka obcego, to albo się z nim je, albo się z nim walczy, ale częściej się je, bo walka jest zbyt ważna, żeby się w nią wdawać z kimś, kogo się właściwie nie zna. Mogliśmy wszyscy zwalić się do jednego z ich obozów i wtedy oni musieliby nas karmić.

Te przyjęcia stawały się z dnia na dzień liczniejsze, bo widocznie Paunisi opowiadali sobie o nich nawzajem: „Musisz pojechać do tej karawany i spróbować ich kawy i bułeczek” — a że wołami robiliśmy około dwóch mil na godzinę i przystanki na parzenie kawy jeszcze nas wstrzymywały, to znajdowaliśmy się w zasięgu plemienia przez wiele tygodni. Pojawiały się coraz większe gromady z kobietami, a nawet niemowlętami na posłaniach umocowanych między drągami wleczonymi przez konie, tak zwanych *travois*. W ten sposób zanim dotarliśmy do kraju Czejenów w południowo-wschodnim rogu obecnego stanu Wyoming i wszystko zaczęło się od początku z nowym plemieniem, w karawanie skończyła się kawa, i był to główny produkt, jaki chcieliśmy uzupełnić w forcie Laramie, u zbiegu rzek Laramie i Północnej Platte. -

W Laramie jednak kawa też się skończyła i nie spodziewano się następnego transportu przed upływem tygodnia, bo działo się to jeszcze na kilka lat przed koleją. Tato, o dziwo, gotów był czekać, ale innym śpieszyło się do Kalifornii, jako że byli i tak już o trzy lata spóźnieni.

Jonas Troy pracował poprzednio na kolei i pochodził z Ohio. Pamiętam, że nosił małą bródkę, miał chudą żonę i jedno dziecko, syna starszego o rok ode mnie, nieznośnego chłopaka, który kopał i gryzł, kiedy posprzeczaaliśmy się w zabawie, a potem płakał, kiedy mu się oddało.

— Indianie — powiedział ten Troy — lubią whisky jeszcze bardziej niż kawę, jak słyszałem. Poza tym łatwiej nią częstować. Nie trzeba stawać, przechyla się tylko flaszkę.

Troy i mój tato stali wtedy w Laramie przed składami zbudowanymi po wewnętrznej stronie palisady. Podczas kiedy dochodzili do tego wniosku, minęło ich

pewnie z tuzin ludzi — traperów, przewodników, żołnierzy, a nawet samych Indian — którzy mogli im powiedzieć, że się mylą i uratować im życie, ale oczywiście tym dwóm nie przyszło do głowy, żeby kogoś zapytać. Troyowi dlatego, że wierzył we wszystko, co sam wymyślił, a mój tato potwierdził, a tacie dlatego, że na podstawie swoich spotkań z Paunisami doszedł do wniosku, że zna Indian na wylot.

— Jasne — zgodził się tato. — Powiadam ci, bracie Troy, że czerwonoskórego nie interesuje rodzaj płynu. Ważny jest sam akt libacji. W Księdze Mormonów zapisano, że Indianie to zaginione plemiona Izraela. To wyjaśnia moją niemożność porozumienia się z tymi szlachetnymi okazami, jako że nie znam ani słowa po hebrajsku, choć mam zamiar poświęcić się studiom nad tym językiem po przyjeździe do Salt Lake. Na szczęście Pan w swojej niezmierzonej mądrości obdarzył mnie umiejętnością czytania w sercach naszych czerwonych braci i znajduję w nich miłość zjednoczoną ze sprawiedliwością.

Kupili więc od handlarzy zapas pełnych flaszek i wkrótce wyruszyliśmy z Laramie bez kawy. Do dzisiaj mam w pamięci pola na zachód od fortu zasłane rupieciami wyrzuconymi przez tych, którzy jechali przed nami — były tam dębowe stoły i krzesła, oszklone gabloty, czerwona pluszowa kanapa... To zdumiewające, co niektórzy ludzie chcą wieść przez tysiące mil prerii i pustyni, przez góry i rzeki. Poniewierało się tam nawet dużo książek, popuchniętych od leżenia na dworze i pootwieranych, i tato spędził sporo czasu na ich przeglądaniu w nadziei, że znajdzie *Księgę Mormonów*, o której mówił, ale której nigdy nie oglądał na oczy, a wszystkie wiadomości o Świętych Dnia Ostatniego zdobył od jakiegoś wędrownego druciarza, co przyszedł do baru w Evansville i w dodatku był pijany. Prawdę powiedziawszy, kiedy teraz o tym myślę, to sędzę, że tato nie umiał czytać, i te fragmenty Ewangelii, które cytował, zasłyszał od innych kaznodziejów, kiedy był jeszcze fryzjerem.

O jakiś dzień jazdy od fortu, na południowym brzegu Platte, wciąż jeszcze na łagodnie pofałdowanej prerii, choć przed nami zaczynały się już wzgórza, za którymi widzieliśmy śnieżne wierzchołki gór Laramie — a było to, myślę, na początku czerwca — mieliśmy okazję wypróbować teorię Troya. Tutaj bowiem od strony rzeki, na koniach ociekających jeszcze wodą, nadjechała grupa licząca może ze dwa tuziny czejeńskich wojowników. Ci Czejenowie to dorodni ludzie, zazwyczaj wysocy i dobrze zbudowani, i jak wszyscy wielcy wojownicy, nieco próżni. Zgodnie z wymogami grzeczności na wizytę wystroili się w naszyjniki z paciorków i napierśniki z kości, a włosy mieli przeplecione wstążkami kupionymi od handlarzy. Większość z nich nosiła

pojedyncze orle pióro, jeden miał cylinder z obciętym denkiem, żeby głowa mogła oddychać.

Jak zwykle ukazali się niespodziewanie na pagórku, kiedy karawana była w odległości ćwierć mili. Rzadko można spotkać grupę Indian na płaskim terenie. Jeżdżą oczywiście i po równym, ale przeciętny biały nigdy ich na tym nie przyłapie. Nawet po kilku latach wśród czerwonoskórych nie potrafiłem wyjaśnić, skąd wiedzą, że w pobliżu są inni ludzie. Pewnie, że wbijają nóż w ziemię i przykładają ucho do rękoności, ale zazwyczaj w ten sposób można usłyszeć tylko zwierzę w galopie. Albo ustawiają kopczyk z kamieni na szczycie pagórka i zza takiej osłony szpiegują całą dolinę. Jednak preria to pagórek za pagórkiem, jak zastygłe fale oceanu, i ponieważ ze szczytu jednego widzi się tylko dolinę przed następnym pagórkiem, to nie wiadomo, co jest dalej. Indianie zresztą nie wybierają pierwszego lepszego pagórka, tylko ściśle określony, i kiedy już zaczną patrzeć, to zwykle coś zobaczą.

Pomysł Troya, żeby częstować whisky z jadących wozów, okazał się niewypałem od samego początku. W tamtych czasach jadący wóz był mniej więcej tak stabilny jak sianie ciągnięte po kamieniach i w czasie jazdy nawet chleb rozpadał się na okruchy, zanim włożyło się go do ust, a o płynach lepiej już nie mówić. Poza tym Czejenowie byli w uroczystym nastroju i zsiadli z koni chcąc najpierw ucisnąć nam dłonie, musieliśmy więc i tak stanąć.

Jegomość w cylindrze był ich wodzem. Miał jeden z tych srebrnych medali, jakie rząd dawał ważniejszym Indianom przy podpisywaniu traktatów. Zdaje się, że medal przedstawiał prezydenta Fillmore'a. Wódz był starszy od pozostałych i dźwigał zabytkowy karabin z długą lufą.

Nie wspominałem dotąd o mojej najstarszej siostrze, która miała sześć stóp wzrostu, bardzo ostre rysy i była jeszcze panną mimo dwudziestu paru lat: wielka, grubokoścista dziewczyna z płomiennorudymi włosami. Pomagała tacie w kierowaniu zaprzęgiem wołów i umiała strzelać z bata lepiej niż wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Edwarda Walsh, który był Irlandczykiem z Bostonu, ważył dwieście funtów i jako katolik nie považał kazań taty, ale tolerował je, bo poza własną rodziną nie miał innych współwyznawców. Jego tolerowano dlatego, że był taki wielki.

Ta moja siostra nazywała się Caroline i z powodu swojego wzrostu oraz dlatego, że wykonywała męską robotę, chodziła w podróży w męskim ubraniu — wysokie buty, spodnie, koszula i kapelusz z obwisłym rondem — choć byli tacy, którzy mieli jej to za złe.

Jako wielce atletyczna i mogąca budzić lęk osoba zeskoczyła z kozła na widok Indian i Cylinder podszedł prosto do niej z wyciągniętą brązową prawicą, lewą ręką ściskając stary karabin i przytrzymując czerwony koc, żeby mu nie spadł z ramion.

— Miło mi pana poznać — mówi Caroline, która jest sporo większa od starego wodza i tak mu ściska rękę, że widać jak ból wędruje w górę aż do cylindra i w dół po drugiej ręce.

Mało nie zgubił koca. Pod spodem miał nagą pierś i dlatego zobaczyłem jego medal, a także bliznę na brzuchu, która wyglądała jak spaw na żelazie. Z tego powodu znany był wśród białych jako Blizna Na Brzuchu, choć między Czejenami zwano go Skóra Ze Starego Szałasu, Mohk-se-a-nis, a także Malowany Grzmot, Wohk-pe-nu-numa. Nigdy nie poznałem jego prawdziwego imienia, które u Indian jest tajne, a jeżeli ktoś je pozna i nazwie nim Indianina, to go w najlepszym razie okropnie obrazi, a w najgorszym skaze na dziesięć lat pecha.

Kiedy Skóra Ze Starego Szałasu (wtedy się nie przedstawił, co Indianom wydaje się zawsze mało ważne, ale później miałem go dobrze poznać) ochłonął po uścisku dłoni Caroline, wygłosił mowę w języku Czejenów, co było pierwszym dowodem jego uprzejmości; drugim było to, że między zdaniami wtrącał słowa, „psiakrew” i „rany boskie”, których go nauczyli dla kawału wcześniejsi przesiedleńcy i żołnierze w Laramie, a on oczywiście nie rozumiał, że przeklina, i nie zrozumiałby, gdyby mu nawet wytłumaczyć, bo Indianie nie znają przekleństw w swoim języku, choć mają wiele rzeczy, które są tabu: na przykład nie wolno po ślubie wymieniać imienia swojej teściowej.

Tato stał obok Caroline i nie wiem, co go bardziej zdenerwowało — przekleństwa czy to, że siostra ściągnęła na siebie całą uwagę, dość że przepchnął się przed nią i powiedział:

— Jeżeli szuka pan starosty i duchowego przewodnika tej gromadki, to ja nim jestem, wielmożny panie.

Potem ściskają sobie dłonie i Skóra Ze Starego Szałasu wyciąga z wyszytej paciorkami sakiewki, którą nosił na brzuchu, strzęp brudnego papieru, na którym jakiś biały żartowniś naskrobał następujące słowa:

Ten tutaj Bliznowaty Bebech to poćiwy indian i myje się raz do roku czy trzeba czy nie i nie poderżnie ci gardła w żadnym wypadku jak długo trzymasz go na muszce jego serce jest tak samo czarne jak jego tyłek szczerze oddany

Billy B. Darn

Wódz widocznie wyobrażał sobie, że to jest rekomendacja, bo stał z dumną miną, kiedy mój brat Bill czytał to na głos na polecenie taty (dlatego powiedziałem wcześniej, że nie myślę, aby tato umiał czytać, ale to było więcej niż sto lat temu i nie wszystko pamiętam).

Tato był uprzejmy dla nieznajomych, zwłaszcza dla dzikich, udał więc, że w liście znalazł coś pochwalnego, i zaprosił całą gromadę na szklaneczkę, czego Czejenowie na pewno nie zrozumieli. „Whisky” by zrozumieli, ale tato powiedział to jakoś elegancko, „trunek” czy coś takiego, i dlatego nadal nie wiedzieli, co się święci, kiedy Troy i inni otwierali flaszki. Otóż Indianin uważa, że żaden biały przy zdrowych zmysłach nie dałby mu alkoholu, gdyby nie miał zamiaru natychmiast rzucić się do ucieczki. Handlarze zawsze odkładali transakcję alkoholową na koniec, zostawiali baryłki i odjeżdżali co koń wyskoczy.

Indianie sami przyznają, że nie potrafią pić, i już w tamtych wczesnych latach niektórzy wodzowie usiłowali trzymać swoją młodzież z dala od alkoholu, ale przywódcy czerwonoskórych mają wyłącznie moralny autorytet, który często bywa ignorowany. Skóra Ze Starego Szłasasu nie mógł przewidzieć, że dziesięciu białych, wliczając w to większych chłopców, w tym połowa nie uzbrojonych i tylko dwóch na koniach, mając siedem wozów z tuzinem kobiet i dziewcząt oraz ósemką mniejszych dzieci, zacznie na środku prerii pić whisky czterdziestu czejeńskich wojowników. Gdyby przewidział, ostrzegłby tatę, zanim wypił pierwszy łyk, bo Indianie są w tych sprawach skrupulatni. Nie poczuwają się do żadnej winy za to, co robią pod wpływem alkoholu, bo uważają go za tajemniczy żywioł w rodzaju trąby powietrznej — a przecież nikt nie ma sobie za złe, że przewrócił przechodnia, jeżeli huragan porwie go i rzuci na drugiego człowieka. Choć gdyby wiedział, co się święci, mógłby przechodnia ostrzec, żeby się odsunął. Tak samo z Indianinem, kiedy zaczyna pić, a nie ma nic przeciwko tobie.

Skóra Ze Starego Szłasasu przyjął z rąk taty mały kubek i opróżnił go jednym haustem, jakby to była woda albo zimna kawa, odchylając przy tym głowę tak bardzo,

że aż spadł mu cylinder. Płyn przeszedł mu już przez gardło, kiedy zrozumiał, co to jest, i można powiedzieć, że zrozumiałszy natychmiast się upił, a oczy rozpląnęły mu się jak surowe jajka. Zwalił się na plecy i tak przy tym wierzgnął nogami, że jeden mokasyn poleciał na dach naszego wozu. Karabin wypadł mu z dłoni w dół lufą, do której nabiło się ziemi, o czym jeszcze będzie mowa.

Tymczasem nasi ludzie taktownie nie zwracali na niego uwagi i częstowali dalszych Indian. Kiedy zabrakło kubków, puszczała wkoło flaszki, uśmiechali się i ściskali dłonie, a Troy, zadowolony, że jego pomysł sprawdza się tak dobrze, zaczął poklepywać wojowników po plecach, jakby to byli kompani z knajpy. Choć miałem tylko dziesięć lat, widziałem, że do Czejena to nie trafia: dawanie im prezentów jedną ręką, a walenie drugą, i to przez osobnika odmiennej rasy, podawało w wątpliwość cały indiański kodeks postępowania, podobnie jakby to było z koniem, którego się jednocześnie karmi i bije.

Inni nie padali z nóg tak szybko, jak Skóra Ze Starego Szałasu, na którego bardziej podziałało zaskoczenie niż sam trunek. Patrząc na niego byli w pewnym stopniu przygotowani — o tyle, o ile to możliwe u czerwonoskórego — i upijali się etapami: przesadna wdzięczność, kiedy otrzymywali flaszkę, konsternacja, kiedy Troy uderzał ich w ramię, potem powolne narastanie błogości, kiedy trunek trafiał do żołądka, a wszystko to raczej dość spokojnie, nie licząc oczywiście „hou, hou” i innych pomruków zadowolenia.

Moglibyśmy jeszcze wyjść z tego cało, gdyby stanęło na jednej kolejce, ale Skóra Ze Starego Szałasu ocknął się, wstał i pokazał, że odda swojego pstrokatego konia, cylinder, medal od rządu, karabin, w gruncie rzeczy wszystko z przepaską biodrową włącznie, za drugi łyk.

— Nie ma mowy — odpowiada tato. — Pustynny patriarcha może korzystać z naszej gościnności bezpłatnie. Żałuję tylko, że nie znam hebrajskiego. — Z tymi słowy wręcza wodzowi całą flaszkę.

Troy daje drugą płaskonosemu wojownikowi i wali go po plecach. Ten osobnik imieniem Garb pije powoli, oblizuje wargi, oddaje flaszkę, krzywi się, jakby poczuł coś cuchnącego, a potem zaczyna wyć jak kojot w czasie pełni księżyca. Wszyscy poza nim są jeszcze wtedy spokojni, więc sprawia to głupie wrażenie. Skóra Ze Starego Szałasu robi przerwę między jednym a drugim łykiem i spogląda szklanym wzrokiem na Garba, któremu to się widocznie nie podoba, bo chwyta żelazny tomahawk i zamierza się na wodza, a ten unosi swój starodawny karabin i pali do Garba, ale wylot jest, jak

wspomniałem, zapchany ziemią i lufa odwija się do tyłu jak skóra banana, prawie do samego zamka.

Mimo to Garb jest przestraszony eksplozją, a poza tym nie może odpowiednio się zrewanżować, gdyż nie ma broni palnej, tylko przerzucony przez ramię łuk i kołczan ze strzałami. Odwraca się powoli, oblizuje wargi i widzi Troya, który poi młodego wojownika imieniem Cień Który Się Pokazuje (o tych imionach dowiedziałem się później). Garb przygląda się przez chwilę plecom Troya, potem klepie go lewą ręką, tak jak to robił Troy, a kiedy biały się odwraca, ożywiony niczym na koleżeńskim spotkaniu (podobnie jak tato i wszyscy inni nie zwrócił uwagi na wystrzał), Garb wbija mu ostrze toporka w czoło. Był to jeden z tych znajdujących się w handlu tomahawków, których można używać jako fajki po przewierceniu w ręczce otworu.

Troy zezuje przez chwilę na drewnianą rączkę sterczącą równoległe do jego nosa, potem Garb wyciąga broń, a jego ofiara pada do tyłu zalewając się krwią. Cień Który Się Pokazuje z kamienną twarzą przechwytuje w locie flaszkę z rąk padającego Troya. Garb chce mu ją wyrwać i Cień rozbija mu na twarzy kamionkowe naczynie, tak że obaj ociekają alkoholem. Garb ma oderwaną prawą część nosa, która trzyma się tylko na pasemku skóry, i całą twarz pokrywa mu jakby krwawa siatka, ale teraz, kiedy przedmiot ich sporu wsiąka w ziemię, łączy się z Cieniem we wspólnym ataku na najbliższą flaszkę.

Od tej chwili wywiązuje się ogólna bójka i podnosi się wielce barbarzyńska wrzawa: ryki, wycie, zawodzenia i wrzaski, zgrzyt żelaza o kości, mokry odgłos rozcinanego ciała, huk wystrzałów, świst strzał w powietrzu i głuche pacnięcia tych, które trafiły.

Kobiety i my, dzieciaki, trzymaliśmy się na uboczu, przy wozach, i chociaż nie mogłem dostrzec taty w tłumie, usłyszałem jego wybijający się ponad wrzawę ryk: „Bracia, gdzie pobłądziłem?” Potem zbulgotało mu w gardle i wyzionął ducha. Kiedy go zobaczyłem rankiem następnego dnia, był przyszpilony do ziemi strzałami jak skóra rozciągnięta do suszenia. Jednak miał nadal skalp, bo to była whisky, nie wojna, i Indianie, nie będąc w pełni władz umysłowych, nie brali trofeów. Walczyli między sobą tak samo jak z białymi i Kupa Kości odstrzelił z kapiszonowego pistoletu tył głowy Białemu Odwrotnemu, któremu mózg wyciekał jak woda z dziurawej manierki. Chwiał się długo, zanim upadł nie wypuszczając flaszki, za którą zapłacił życiem, i Kupa Kości musiał wyszarpnąć ją z rąk trupa.

Walsh, który jak przystało na Irlandczyka, popił zdrowo na wozie, zanim zaczął obsługiwać Czejenów, wyciągnął nóż zza cholewy, ale w zamieszaniu trafił we własny brzuch. Umierał teraz wydając okropne dźwięki. Pozostali nasi ludzie padli nie stawiając oporu. Jacoba Worthinga mogłem rozpoznać z daleka po butach, które świeżo podzelał w Laramie. John Clairmont z Illinois leżał głową w stronę wozów. Poznałem go po łysinie. A ze środka już gasnącego zamętu wyrastała wśród zdeptanej trawy kępka strzał. Później okazało się, że tkwią w tacie, ale wtedy tego nie wiedziałem i wziąłem ich pierzaste końce za jakąś preriową roślinność.

Po likwidacji białych pozostali przy życiu Czejenowie, przyssani do flaszek, nie zwracali uwagi na kobiety i dzieci. Co wyjaśnia, jak mogła uciec żona Worthinga z synkiem: złapała chłopczyka i korzystając z osłony wozów pobiegła w stronę pokrytych śniegiem gór Laramie, bardzo odległych, ale pozornie bliskich, jak to bywa ze wzniesieniami na prerii. Widać było, jak pani Worthing z dzieckiem znika za fałdami terenu i pojawia się znów na przeciwległym stoku, aż wreszcie znikli za wzgórzem i od tego dnia nigdy już o nich nie słyszałem. Reszta stała w otępieniu, nawet nie płakaliśmy.

W tym momencie mały Troy zdobył się na desperacki krok. Podbiegł do ciała swojego taty, wyciągnął rzeźnicki nóż z pochwy przy jego pasie i wbił go w bok wysokiemu Czejenowi, który między pociągnięciami z flaszki zawodził pijacką pieśń żalobną. Indianin podziwia tego rodzaju ducha bojowego u dzieciaków i gdyby ten akurat osobnik nie był pod działaniem alkoholu, mógłby dać chłopakowi jakiś prezent i silne imię, ale że znajdował się w szponach demona, uniósł włócznię, na której się opierał, i nadział na nią chłopca, aż ostrze w otoczeniu wielkiego szkarłatnego kwiatu wyszło przez plecy i niebieską koszulę. Czejen kopnięciem strącił go z włóczni i dzieciak spadł na prerię z takim odgłosem, jakby ktoś chlasnął mokrą ścierką po kontuarze baru.

Uciekał przed swoimi rówieśnikami, a rzucił się na ogromnego dzikusa. Co do pańskiego sługi, to sędzę, że w tym czasie miałem wśród dzieci opinię zabijaki, choć byłem chudy i nie większy od wróbla, bo jako najmłodszy w rodzinie obrywałem stale od braci i sióstr, co odbijałem sobie na obcych. Mimo to widząc białych mężczyzn biorących takie cięgi od Indian popuściłem, muszę przyznać, w spodnie.

Około dwunastu Czejenów zachowało przytomność, kiedy już nie było alkoholu, inni leżeli na płask jak zabici lub ranni, zapatrzeni szklistym wzrokiem w niebo. Niektórzy siedzieli na chudych zadkach ze wzrokiem wbitym we własne krocza,

a jeszcze inni skomleli jak chore psy. Skóra Ze Starego Szalasu siedział w kucki z pomarszczoną twarzą zwróconą w stronę Caroline. Po całym tym zamieszaniu, w którym, mając własną flaszkę, nie uczestniczył, chyba tylko żeby wzywać do spokoju, starał się zorientować, co ona knuje, moja zaś siostra, ze swojej strony, obserwowała go, jak sędzę, przez większą część rzezi. Od około roku stała się szczególną osobą, dość bezceremonialną w stosunku do przedstawicieli płci męskiej, jednak nie jak ladaczniczka, tylko jak mężczyzna z mężczyzną.

Garb rozbił toporkiem ostatnią flaszkę i wylizał każdy kawałek skorupy oddzielnie. Z nosa ciekła mu na nowo krew, gdyż naderwane nozdrze urwało się do reszty i odpadło. Brodę i kościstą pierś miał zafarbowane na czerwono, ale poza tym nawet teraz wyglądał sympatycznie. Miał najszersze usta, jakie kiedykolwiek widziałem u istoty ludzkiej, a nos, też szeroki z natury, został rozklepany jeszcze bardziej. Oczy miał duże jak na Czejena. Zwrócił je teraz w naszą stronę, przyglądając nam się kolejno.

Prawda jest taka, że oprócz pani Worthing i jej chłopca nikt nie próbował uciec, i poza małym Troyem nikt nie stawiał oporu. W naszej karawanie nie widziałem żadnych ostrzeliwujących się żon i córek pionierów. Nawet Caroline nie miała innej broni prócz batoga, którego ani na chwilę nie wypuszczała z lewej ręki, ciągnąc jego długi koniec za sobą po prerii. Nie brakowało jej wokoło celów, ale ona tylko stała wpatrując się w starego wodza.

Jedno z naszych małżeństw pochodziło z Niemiec i wszyscy nazywali ich Rudi Niemiec i Katy Niemka. Byli tylko we dwoje, bez potomstwa. Okrągli, różowi, wazyli po dwieście funtów każde i nie stracili ani grama podczas tych tygodni na szlaku, dzięki temu, że zabrali pełen wóz kartofli. Widziałem brzuch Rudiego Niemca wypiętrzający się jak pagórek na prerii w odległości kilkunastu jardów. Katy Niemka stała oparta o swój wóz, dwa wozy od naszego, w niebieskim czepku od słońca, spod którego wystawały włosy jasne i delikatne jak przędza kukurydzy. Wszystkie kobiety w tamtych czasach wyglądały dość bezkształtnie w swoich strojach, ale jej było po prostu więcej. Stanowiła wielką bryłę ciała i na niej zatrzymał się w końcu wzrok Garba.

Zrobił kilka chwiejnych kroków, Katy zrozumiała, że to po nią, i zaczęła po niemiecku błagać o litość, ale po chwili stało się jasne, że Garb nie ma zamiaru jej zabić, w każdym razie nie wcześniej, niż ją wykorzysta, więc osunęła się powoli na ziemię, jakby się stopiła na słońcu. Garb rozdarł jej suknię w kratkę i to, co miała pod

spodem, i obnażył jej grube uda, między które wcisnął swój smagły organ. Był cały brudny, zakrwawiony, spocony i rżał przy tym niczym muł. Katy, jak przystało na Niemkę, miała zawsze bzika na punkcie czystości. Kąpała się na każdym postoju, dla skromności chodząc do rzeki w luźnej koszuli, i kilka razy ledwo uratowała się z lotnych piasków, w które rzeka Platte obfituje. Pamiętam, że raz musieli zarzucić na nią lasso i wyciągać ją wołem.

Akcja Garba zapoczątkowała generalny ruch Czejenów w stronę naszych kobiet, a że tych pierwszych było więcej niż tych drugich, rozgorzała na nowo bójka, która niedawno toczyła się z powodu whisky, i znów Indianin kładł trupem Indianina, ale zostało ich jeszcze dość, żeby pokryć wdowy Troya i Clairmonta, i siostry Jackson, i jeżeli myślisz, że ofiary podniosły wielki krzyk, to się mylisz. Te, których nie gwałcono, stały w otoczeniu gromadki dzieci patrząc na te gwałcone, jakby czekały swojej kolejki.

Caroline ocknęła się wreszcie, kiedy Cętkowany Wilk zbliżył się do naszej matki. Krzyknęła na Skórę Ze Starego Szałas, ale ten tylko wyszczerzył zęby w odpowiedzi. Mój piętnastoletni brat Bill, i Tom, który miał lat dwanaście, uciekli pod wóz, między wiszące tam cebrzyki.

W ten sposób została nas trójka, ja w mokrych spodniach i moje siostry, trzynastoletnia Sue Ann i jedenastoletnia Margaret, i staliśmy obejmując mamę.

Caroline spróbowała jeszcze raz nakłonić wodza do interwencji, ale on najprawdopodobniej nie rozumiał, o co jej chodzi, a gdyby zrozumiał, to i tak nie mógłby nic zrobić, i już padł na nas cień olbrzymiego Cętkowanego Wilka, i poczuliśmy idący od niego smród. Mama modliła się, cicho pojękując. Spojrzałem w górę i zobaczyłem twarz tego Czejena, na której nie było nic, co można by uznać za wyraz okrucieństwa i pożądliwości, a raczej jakieś rozmarzenie i radość, jakby miał wszystkie zezwolenia na zaspokojenie swojej żądzy.

W tym momencie czarny rzemień batoga Caroline owinął się wokół jego szyi, splatając się z naszymi pazurów, i Cętkowany Wilk runął do tyłu uderzając głową o kamień, i nie wstał więcej.

— Niech mamusia idzie z dziećmi do wozu — powiedziała Caroline spokojnie, ściągając batog w wielką pętlę. — Żaden z tych osobników nie będzie więcej mamusi niepokoić. — Caroline była całkowicie opanowana, kiedy to mówiła. Pewnością siebie nie ustępowała tacie.

Skóra Ze Starego Szłasasu pokazywał palcem nieprzytomne ciało Cętkowanego Wilka i pękał ze śmiechu. Rozdrażniło to Caroline, ale jednocześnie sprawiło jej przyjemność i jakby zalotnie zamierzyła się batogiem na wodza. Ten padł na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami i ryczał ze śmiechu, otwierając do słońca gębę czarną, jak jaskinia pełna nietoperzy. Nadal był bosy, a rozerwany karabin koło niego przypominał szkielet otwartego parasola.

Mamusia posłuchała Caroline, zgarnęła nas razem z dwoma tchórzami siedzącymi w łajnie pod wozem i wleźliśmy do środka, gdzie jakimś cudem znalazło się miejsce dla wszystkich, mimo że wcale tam miejsca nie było, tylko meble, skrzynie i worki reprezentujące nasze dobra doczesne. Miałem na twarzy but Toma, dość niesympatyczny, jeżeli uwzględnić, w co wdepnął, i byłem nawinięty na beczkę, która teraz zawierała naczynia, ale poprzednio trzymano w niej solone ryby i nigdy nie pozbyła się charakterystycznego aromatu. Byliśmy szczęśliwi, że żyjemy, więc nikt się nie skarżył.

Przesiedzieliśmy w ten sposób całe popołudnie, jak w zamkniętym worku na słońcu, ponieważ stopy tobołów tamowały dopływ powietrza. Hałasy na zewnątrz ucichły po jakiejś godzinie i kiedy pod wieczór Bill zebrał się na odwagę, żeby unieść brezent i wyrzeć spod niego, doniósł, że w zasięgu jego wzroku nie ma nikogo.

W tym momencie zadrżeliśmy słysząc, że ktoś wspina się na wóz od przodu, ale zaraz ukazała się w środku głowa Caroline.

— Wszędzie spokój — powiedziała. — Siedźcie, gdzie jesteście i nic się nie bójcie. Będę czuwać przez całą noc.

— Czy możesz coś zrobić dla swojego biednego taty? — szepnęła mamusia. — Co się z nim stało?

— Jest zabity na śmierć — stwierdziła Caroline wielce zdegustowana — i cała reszta razem z nim, a ja mam za dużo roboty, żeby opędzać ich od sępów.

— Wiesz co — powiedziała mamusia zwracając się do nas wszystkich — gdyby miał czas, żeby nauczyć się tego hebrajskiego, to wszystko byłoby dobrze.

— Otóż to — odparła Caroline i jej głowa znikła.

Udało mi się po chwili zasnąć i przespałem nawinięty na tę beczkę do świtu, kiedy to Sue Ann dźgnęła mnie rączką od łopaty, którą jakoś precyzyjnie wciśnięła między bagażami. Cała reszta wstała już i była na dworze, więc ja też wyczołgałem się z wozu, obolały na ciele i wciąż nieprzytomny, póki nie stanąłem na ziemi i nie usłyszałem

odgłosu łopat. Pozostałe przy życiu kobiety — a przeżyły zdaje się wszystkie, bo całkiem słusznie nie stawiały oporu, a potem pijani Indianie nie mieli już siły do dalszej rzezi i padli wyczerpani — kopali groby przy pomocy starszych dzieci.

Już poprzedniego wieczoru, co było skutkiem upału, kojoty i sępy zwęszyły sprawę i złożyły wizytę na pobojuwisku. Rezultaty tego były dość nieprzyjemne. Teraz, kiedy krzżeli się tu ludzie, sępy krążyły wysoko w górze, a kojoty czatowały na prerii tuż poza zasięgiem strzału.

Czejenowie znikli, ich zabici razem z nimi. Kiedy spytałem o to Caroline, która twierdziła, że nie spała przez całą noc, i powinna wiedzieć, powiedziała mi:

— Nie zawracaj sobie tym głowy, lepiej idź i pomóż przy tacie.

Wtedy zobaczyłem tatę po raz ostatni, tak jak go przedtem opisałem. Z mamusią i resztą rodziny oderwaliśmy jego ciało od ziemi i złożyliśmy w płytkim grobie, który wykopała Caroline, i potem, jak pamiętam, trzeba było wielu łopat ziemi, żeby nos mu nie wystawał. W pobliżu Katy Niemka oddawała podobną usługę Rudiemu. Miała na sobie czystą suknię, a jej jasne włosy były jeszcze mokre po myciu. Wyraźnie zdążyła się już wykapać w rzece. Nie powiem, że nigdy nie widziałem brudnego Niemca, ale ci z nich, którzy dbają o czystość, dochodzą naprawdę do przesady.

Akurat skończyliśmy okładać darnią naszych mężczyzn, kiedy ktoś obejrzał się i zaskrzeczał jak wrona, i zobaczyliśmy Czejenów zjeżdżających z pagórka. Było ich teraz tylko trzech, Skóra Ze Starego Szłasasu z dwoma wojownikami, z których każdy prowadził po cztery konie. Nie zdradzali ochoty do napaści, ale ta ich powtórna wizyta to było za dużo dla większości naszych i po raz pierwszy podniósł się krzyk i lament. Tom i Bill wleźli z powrotem pod wóz. Caroline stanowiła wyjątek. Pamiętam, że kiedy ze strachu wczepiłem się w jej kościste biodra i spojrzałem na jej twarz, zauważyłem jakieś napięcie w okolicach nozdrzy, jak u konia, który zwęszył wodę.

Indianie z końmi pozostali o jakieś trzydzieści jardów z tyłu, a Skóra Ze Starego Szłasasu zbliżył się na swoim brązowo-białym łaciatym koniu z kółkami wymalowanymi dookoła oczu. Podniósł dłoń, po czym dziwnym falsetem wygłosił piętnastominutową orację. Cylinder miał nieco bardziej pognieciony niż poprzedniego dnia, ale poza tym prezentował się doskonale.

Aż dziwne, jak wszyscy przeszli natychmiast od lęku do ostatecznego znudzenia i te same kobiety, które wczoraj były bezbronnymi ofiarami, a kilka minut wcześniej

zawodziły ze strachu, teraz podchodziły do niego wygrażając pięściami i krzycząc: „Wynocha stąd, stary śmierdzielu!” Co pokazuje, jak działa kobieta: będzie znosić największe krzywdy, dopóki to jest ciekawe, ale kiedy ją coś nudzi, staje się nieustraszona.

Wtedy odezwała się Caroline:

— Uspokójcie się — powiedziała wychodząc dumnie przed gromadę. — Czy nie rozumiecie, że oni wrócili po mnie? Po to są te konie, żeby za mnie zapłacić. Zauważyliście chyba wczoraj, że mnie nie tknęli, kiedy wyrabiali te okropne rzeczy z wami? Bo mnie oszczędzali. — Policzki mojej siostry były zbyt rumiane, żeby to można przypisać wyłącznie działaniu słońca, i potrząsała swoimi miedzianymi włosami, jakby oganiała się od much. — I radzę wam, pozwólcie im mnie zabrać — ciągnęła dalej — jeżeli nie chcecie zginąć jak mężczyźni.

— Ależ Caroline, po co mieliby cię zabierać? — spytała mamusia żalonym głosem.

— Pewnie, żeby mnie torturować na różne diabelskie sposoby — odparła Caroline bardzo dumnie.

Pomyślałem sobie, że to dziwny powód do dumy, ale siedziałem cicho, bo zauważyłem, że moja siostra ogromnie mi przypomina mojego tatę. Biedaczka postanowiła wyróżnić się za wszelką cenę.

Wtedy wdowa Walsh powiedziała:

— O, w takim razie idź. Nie będę im przeszkadzać — i odwróciła się, a reszta kobiet za nią.

Straciły mężów, zostały zgwałcone. Stały zagubione na bezludziu i jedyna droga z powrotem to była ta, którą przez kilka miesięcy jechały w tę stronę, nie potrafiły się więc przejąć losem jednej dziewczyny.

Skóra Ze Starego Szłasusa siedział cierpliwie na koniu przyglądając nam się spod ciężkich powiek. Do drewnianego siodła miał przytroczoną tarczę, okrągłą, skórzaną i ozdobioną dziesięcioma czarnymi skalpami. Zamiast rozerwanego karabinu miał teraz włócznię, na której dyndało jeszcze kilka pęków włosów. Był zupełnie przystojnym draniem jeszcze teraz, a już na pewno za młodu, choć lichy wie, kiedy to było. Teraz warkoczyki miał przetkane siwizną, a mięśnie zwiotczałe. Trudno określić wiek Indianina, ale musiał podchodzić pod siedemdziesiątkę. Miał duży nos z długim, haczykowatym końcem, usta z kącikami wygiętymi do góry i smutne oczy. Na

ogół jego twarz wyrażała dobroduszną melancholię. Nie można powiedzieć, żeby wyglądał niebezpiecznie pod jakimkolwiek względem, to raczej Caroline sprawiała groźne wrażenie w tym momencie.

Była chłopczycą, ale lat jej przybywało, a mężczyźni w Evansville traktowali ją jak kumpla. Zadurzyła się w miejscowym kowalu, czterdziestoletnim wdowcu, i kręciła się koło kuźni, ale on co najwyżej pozwalał jej potrzymać kopyto konia, którego podkuwał. Potem był syn farmera — zdaje się, że przez jakiś czas rozrzucali razem gnój, grabili siano i temu podobne. Nawet wędrowni handlarze, o których mówiono, że dogodziliby wężowi, gdyby go ktoś przytrzymał za głowę, nie zwracali na nią uwagi. Biali, jak widzisz, nigdy nie zrobili dla niej nic dobrego, a teraz tato i inni z karawany dali się pozabijać.

Wspominam o tym, żeby wyjaśnić szczególne zachowanie

Caroline w tamtej chwili. Wstyd jej było, jak myślę, że nie została zgwałcona.

— Cóż, Caroline — powiedziała mamusia, która stała w swojej długiej, spranej sukni i czepku, i wyglądała jak ta laleczka, co je robią ze ślazu ogrodowego, a pęk służy za główkę. Mamusia była nieduża, miała niewiele ponad pięć stóp¹, i myślę, że to jej zawdzięczam swój dożywotnio niski wzrost. — Cóż, Caroline, sądzę, że będziemy musiały wracać do Laramie. Powiem żołnierzom, żeby przyjechali cię odebrać.

— Nie liczyłabym na to — odparła Caroline. — Indianie potrafią dobrze zacierać ślady.

Caroline niecierpliwie przeciągnęła dłonią po czole i wytarła ją o siedzenie drelichów. Uznała, jak myślę, że mamusia próbuje pomniejszyć niebezpieczeństwo i tym samym jej chwałę, a wynik tego był taki, że to ja zostałem poszkodowany.

— Może nie okaleczą mnie na stałe — powiedziała. — Może zażądadają za mnie okupu. Nie spodziewam się, żeby chcieli mnie zamordować, bo po co by chcieli zabrać też Jacka?

Rozległ się okropny skowyt, który jak stwierdziłem po chwili, wydobywał się z mojego własnego gardła. Wywołał go dźwięk mojego imienia.

Trzeba zapisać na dobro mamusi, że podeszła do konia starego wodza i błagała go, żeby mnie nie zabierał przez wzgląd na to, że jestem jej najmłodszy, mam tylko dziesięć lat i jestem chudy. Kiwnął głową ze zrozumieniem, ale kiedy skończyła, dał znak swoim towarzyszom, którzy podjechali i przywiązali wszystkie osiem koni do

¹ Pięć stóp = 152 cm.

naszego wozu, jakby interes został ubity. Nawet wówczas jeszcze późniejsze wydarzenia mogłyby nie nastąpić, gdyby nie to, że Czejenowie zwlekali z odjazdem w nadziei na kubek kawy! Indianie po prostu nigdy nie rozumieli białych i vice versa.

— Bill weźmie jednego z koni i pojedzie po żołnierzy najszybciej, jak się tylko da — powiedziała mamusia i uścisnęła mnie mocno. — Nie myśl źle o swoim tacie, Jack. Robił wszystko, co mógł, jeżeli uwzględnić jego poglądy. Może biorąc ciebie i Caroline Indianie starają się na swój sposób naprawić to, co zrobili wczoraj. Myślę, że to nie są źli ludzie, Jack, bo inaczej nie przyprowadziliby tych koni.

Tu był pies pogrzebany. Nikt nie pomyślał, żeby spytać Caroline, skąd ona wie, czego chcą Czejenowie, skoro nie zna ich języka. Przez jakiś czas podejrzewałem, że mamusia chciała się nas zwyczajnie pozbyć, bo żołnierze nigdy się nie zjawili. Było to, zanim się dowiedziałem, po kilku latach, że Bill przyjechał do Laramie, sprzedał konia, zatrudnił się u handlarzy i nie tylko nie zawiadomił wojska o nas, ale nigdy już nie wrócił do karawany. Nie, mamusia miała najlepsze intencje, tylko była naiwna. Mój tato był szalony, a brat został zdrajcą. Miałem jeszcze siostrę. Nie była to nadzwyczajna rodzina, jak sądzę, ale też nie zabawiłem na jej łonie zbyt długo.

Mamusia ucałowała nas i Caroline wsiadła na jednego z indiańskich koni wciągając mnie za siebie. Inne dzieciaki machały nam w milczeniu, Bill z drańskim, tchórzliwym uśmiechem. Skóra Ze Starego Szalasu, który sterczał na swoim koniu w pobliżu, chrząknął pytająco i zasłonił ręką usta. Wtedy nie wiedziałem, że jest to u Indian oznaka zdumienia. Kiedy szczęka im opada, zasłaniają usta, żeby z nich nie uciekła dusza.

Wódz wykazał ochotę do wygłoszenia nowego przemówienia, ale Caroline dała mu znak, żeby już jechać, i wbiła pięty w boki swojego wierzchowca, który był niespokojny ze względu na brak obeznania z białymi tyłkami, i popędziliśmy prosto jak strzełił na północ.

Na szczycie pagórka Caroline ściągnęła cugle z surowej skóry i zaczęła na trzech Czejenów, którym, trzeba im to przyznać, wcale się nie śpieszyło. Potem zjechaliśmy w dół do rzeki, która była żółta i wezbrana po wiosennych deszczach i przeprawiliśmy się na drugi brzeg, a ja trzymałem się w wodzie naszego konia za ogon i kręciło mną jak przynętą na końcu wędki.

2. GOTOWANY PIES

Na drugim brzegu rzeki Caroline wciągnęła mnie z powrotem na zad swojego konia i powiedziała nowym, głupawo-romantycznym głosem, który by mnie śmieszył, gdyby nie to, że byłem półprzytomny ze strachu, a teraz jeszcze przemoczony błotnistą wodą rzeki Platte:

— Może, Jack, zostanę indiańską księżniczką w piórach i koralach.

Nigdy nie jeździłem dużo na koniu i to ciągle podskakiwanie zaczynało mi się porządnie dawać we znaki w kroczu i poślądkach, a kiedy zapierałem się piętami o żółte boki tego bydlaka, on nadymał brzuch i usiłował strząsnąć mój zadek ze swojego. Nie znalazłem przyjaciela w tym zwierzęciu, a szkoda, bo stanowiło ono moją jedyną podporę w wielkiej i obcej krainie zamieszkiwanej przez dzikusów.

Jeden z nich podjechał do nas, mianowicie sam Skóra Ze Starego Szłasasu, w którym po przepłynięciu rzeki nastąpiła zmiana osobowości. Później dowiedziałem się, że miał szczególne nabożeństwo do Platte, bo uważał ją za południową granicę swojego terytorium i po jej drugiej stronie czuł się głupio i nieodpowiedzialnie, a na północ od niej czuł się normalnie, choć lichy wie, co to u niego znaczyło. W każdym razie, jak tylko wyjechał z wody, spojrzął na nas surowo spod cylindra, wskazał palcem za swoje kościste ramię wystające spod koca, jakby mówił: „Nie przede mną” — i skierował swojego wierzchowca na wysoki brzeg.

Pojechaliśmy za nim i nasz koń sforsował z bocze dopiero po kilku próbach ze względu na podwójny ładunek — nie żeby mu było tak ciężko, ale raczej, żeby nie stracić okazji do pokazania mi, że jestem niemile widziany.

Kiedy Indianie podróżują, każdy wybiera sobie drogę według osobistego gustu. Dwaj wojownicy, którzy towarzyszyli wodzowi, nie przeszli rzeki w tym samym miejscu, co my. Jeden pojechał ze sto jardów z prądem i tam przepłynął, a drugi jechał w górę rzeki przez jakąś milę, a potem znikł nam z oczu za zakrętem. Widocznie znał lepsze miejsce. Nie oglądaliśmy go przez godzinę, aż wjechawszy na jakiś pagórek zobaczyliśmy, że siedzi na ziemi, a koń pasie się obok. Skóra Ze Starego Szłasasu minął go i nawet na niego nie spojrzął, a wojownik odwzajemnił mu się pięknym za nadobne. Potem zaczął okropnie zawodzić, co słyszeliśmy jeszcze bardzo długo, kiedy on sam wyglądał już z daleka jak kępka trawy.

Po tym jak pożyłem trochę wśród Czejenów i poznałem ich charakter, przypomniałem sobie ten incydent i zrozumiałem, że ten Indianin miał napad chandry. Coś go obraziło — może w miejscu, gdzie przechodził rzekę, trafił na lotne piaski, a może żaba na brzegu odezwała się do niego obelżywie — i jechał dalej w strasznym przygnębieniu, aż postanowił umrzeć, usiadł i zaczął śpiewać pieśń śmierci. W dawnych czasach przed przybyciem białych Indianin nie umierał inaczej niż w bitwie albo ze wstydu. Ale biali ludzie przynieśli wiele chorób — jak wietrzną ospę, która zmiotła z powierzchni ziemi cały naród Mandanów — przez co umieranie z powodów moralnych straciło sens i w zasadzie zanikło, choć niektóre zdesperowane osobniki jak nasz przyjaciel mogły jeszcze czasami próbować.

Widocznie tym razem mu się nie powiodło, bo widziałem tego samego jegomościa następnego dnia w obozie, jak w małym lusterku wyskubywał sobie włosy z twarzy za pomocą kościanych szczypców. Próżność wzięła górę, widocznie już mu przeszło.

Jazda stała się nieco łatwiejsza, bo wódz jechał noga za nogą i co jakieś pół mili stawał, odwracał się do nas i dawał rękami znaki, którym towarzyszyły dźwięki w jego pogańskim języku — co Caroline tłumaczyła sobie jako wyrazy podziwu pod jej adresem i podobne głupoty. Potem patrzył na nas przez chwilę ze smutkiem i ruszał dalej.

W tym miejscu lepiej wyjaśnię część tajemnicy, żebyś zrozumiał to, co Skóra Ze Starego Szłasasu i ja pojęliśmy dopiero znacznie później. Co do Caroline, to nie ma sensu zastanawiać się, co wiedziała, a co sobie ubzdurała, bo u niej to zawsze było wymieszane.

Najważniejsze, że wódz wcale nie kupował mnie i Caroline przy wozach. Wygłosił natomiast długą orację na temat masakry, dowodząc, że Czejenowie nie ponoszą za nią żadnej odpowiedzialności. Jednak z wielkoduszności, ponieważ wtedy jeszcze lubił białych, a także z obawy, że mogą mieć do niego pretensje, kiedy wiadomość dotrze do żołnierzy w Laramie, przyprowadził konie jako zapłatę za zabitych mężczyzn.

Tym sposobem ja i Caroline ze swoimi romansowymi zapędami oraz talentem do wyciągania pochopnych wniosków, który odziedziczyła po tacie, ciągnęliśmy za starym wodzem przez prerię w rezultacie okropnego nieporozumienia. Skóra Ze Starego Szłasasu myślał, że jedziemy za nim, żeby wydębic większą zapłatę, i jego

przemowy podczas przestojów były protestami przeciwko temu, że tropimy go jak kojoty, które czasami biegną za człowiekiem całymi milami.

Caroline patrzyła na niego zakochanym okiem, a biedny Indianin tłumaczył to sobie jako spojrzenie bezlitośnie wymuszające okup. W następnych latach bardzo polubiłem Skórę Ze Starego Szłasasu. Nigdy nie spotkałem człowieka, białego ani czerwonego, który miałby większego pecha, a nic nie czyni człowieka bardziej sympatycznym.

Jak mówiłem, nikt z nas nie rozumiał sytuacji, ale ja i Caroline byliśmy w znacznie lepszej sytuacji niż wódz, bo my tylko oczekiwaliśmy, że będzie nas utrzymywać w dającej się przewidzieć przyszłości, on natomiast uznał w końcu, że jesteśmy demonami i tylko czekamy na zapadnięcie zmroku, żeby mu ukraść rozum z głowy. Jadąc mamrotał modlitwy i zaklęcia, żeby rzucić na nas zły urok, ale takie już miał szczęście, że ani razu nie zobaczył żadnego ze swoich zwierzęcych braci wzmacniających jego czary — takich jak Grzechotnik albo Świstak — a tylko Zająca, który miał do niego zadawnioną pretensję, bo kiedyś podczas pożaru prerii uratował swój obóz namawiając ogień, żeby lepiej poszedł spalić domostwa zajęcy. Ogień posłuchał i odszedł od jego namiotów, chociaż był już tak blisko, że osmalił skóry tipi. Od czasu tego incydentu znały go wszystkie zające i kiedy go spotykały sam na sam, stawały na swoich wielkich skokach i mówiły: „Posyłamy ci złe myśli.” Nazywały go też prawdziwym imieniem, co jest skrajną złośliwością, po czym oddalały się pokazując białe albo czarne ogonki, jak wypadło, ponieważ obie rodziny miały na pieńku z tym Indianinem.

I muszę przyznać jedno: nigdy w życiu nie widziałem tyle egzemplarzy tego zwierzęcia, co wtedy, kiedy byłem w towarzystwie Skóry Ze Starego Szłasasu. Wystarczyło, żeby z namiotu wystawał czubek jego mokasy, a już skakały wszędzie wokół jak iskry w kuźni, kiedy się wrzuci podkowę do ognia.

Ale przeciwko takiemu utrapieniu, jakie, sami o tym nie wiedząc, stanowiliśmy dla naszego gospodarza Caroline i ja, czerwonoskóry ma jedną niezawodną obronę — jest nią utrata zainteresowania. Jeżeli Indianin nie może osiągnąć celu stosunkowo szybko, to cała sprawa zaczyna go diabelnie nudzić i natychmiast o niej zapomina. Interesuje go tylko to, co realne. Tak też było ze Skórą Ze Starego Szłasasu, który po jakimś czasie owinął się szczelnie czerwonym kocem, co w upalnym słońcu zapewniało większy chłód niż odsłanianie gołych pleców, i jechał przed siebie, jakby był jedyną żywą istotą na północ od rzeki Platte.

Trzeci wojownik (licząc jako drugiego tego, który siedział na prerii w przekonaniu, że umiera) specjalizował się w tym, że był zawsze o pół mili w lewo, w prawo albo w przedzie. Myślę, że wypatrywał zarówno wrogów, jak i czegoś do jedzenia. Czejen w każdej chwili swego życia ma nadmiar tych pierwszych i niedobór tego ostatniego.

W taki sposób wędrowaliśmy do obozu Czejenów, do którego, jak sądzę, było nie więcej niż dziesięć mil w linii prostej od rzeki w kierunku na północny wschód, ale dotarcie tam zajęło naszej małej kompanii trzy albo i cztery godziny ze względu na pokrętną nawigację wodza, który chciał zniechęcić mnie i Caroline.

Słońce stało jeszcze o dłoń nad horyzontem, ale preria pod kopytami naszych koni powoli nabierała już liliowej barwy. Człowiek znający tamte strony potrafi skupić wzrok na kawałku ziemi i bez patrzenia na niebo określić godzinę na podstawie koloru roślinności. Mam na myśli człowieka białego. Indianin nie zwraca uwagi na czas, bo nigdy i nigdzie się nie śpieszy w tym sensie, jak to rozumieją biali. Możesz sobie wyobrazić Kolumba, który mówi: „Trzeba wyruszać, jest rok 1492 i muszę przepłynąć ocean przed północą 31 grudnia, bo w przeciwnym razie Ameryka będzie odkryta dopiero w 1493” — ale czerwonoskóry liczy inaczej. W języku gestów na „dzień” jest ten sam znak, co na „sen”. Gdyby Indianin spojrział na określony kawałek ziemi, zobaczyłby, jakie zwierzęta przeszły po nim w ciągu ostatnich dwóch tygodni, jakie ptaki nad nim przeleciały i jak daleko jest do najbliższej wody — nie licząc mnóstwa rzeczy nadprzyrodzonych, bo Indianin nie oddziela od siebie różnych typów istnienia.

I tak, kiedy mówię, że jechał jak w letargu, dotyczyło to tylko nas. Poza tym dobrze wiedział, gdzie jest, i w pewnym momencie dał znak krążącemu wokół nas wojownikowi — którego imię mogę tu przytoczyć: Opala Się Na Czerwono — wskazał wzniesienie przed nami i zgiął palec. Opala Się Na Czerwono, który jechał wtedy na lewo od nas, ześlizgnął się z konia, odwiązał sobie od pasa pojedynczą bojową wodzę z surowej skóry i przywiązał ją do białej w ziemię lancy. Zrzucił też koc i zsunął nogawice. W samej przepasce biodrowej, z łukiem i strzałami, skradał się na długie wzniesienie, podczas gdy my czekaliśmy na dole, i przed samym wierzchołkiem padł na brzuch. Trawa została tam stratowana przez wielkie stado bizonów i to niedawno, bo nie zdążyła się jeszcze podnieść, i dlatego widać go było, jak się czołga, aż podeszwy jego mokasynów zadarły się w górę i znikły po drugiej stronie.

Wkrótce wiejący w naszą stronę wiatr przyniósł odgłos dwóch strzał rozstających się z cięciwą, tupot kopytek i wtedy Skóra Ze Starego Szałasus wjechał na

wzgórek, a ja i Caroline oczywiście tuż za nim. Przy wpół wyschniętym wodopoju bizonów siedział w kucki Opala Się Na Czerwono. Obok niego leżała antylopa, a on podrzynał jej pulsujące gardło, gdyż strzała tkwiąca w zadzie nie zabiła jej, a tylko powaliła. Druga strzała chybiła całkowicie, ale i tak Opala Się Na Czerwono wykonał dobrą robotę podkradając się na niewielką odległość do małego stadka, z którego cztery pozostałe sztuki były teraz w odległości ćwierci mili i nadal uciekały. Te stworzenia potrafią biegać.

Następnie Opala Się Na Czerwono odciął od zadu antylopy czarno-białą rozetkę ogona, którą jako zalotny drobiazg zachował dla celów dekoracyjnych. Potem rozciął klatkę piersiową zwierzęcia w miejscu, gdzie schodzą się żebra, włożył do środka rękę i wyrwał zakrwawione serce, gorące i wciąż jeszcze rozedrgane. Podniósł je w moją stronę.

Wstrząsnąłem się na widok tego ociekającego krwią kawałka wnętrzości, ale Opala Się Na Czerwono chwycił mnie jedną ręką za kark, a drugą wepchnął mi serce do ust. Była to, jak się okazało, oznaka sympatii, gdyż sam przepadał za świeżym sercem antylopy, czemu zawdzięczał sławę najszybszego biegacza w grupie, której przewodził Skóra Ze Starego Szłasasu, ale wtedy tego oczywiście nie wiedziałem. Bałem się Opala Się Na Czerwono, którego imię wskazywało na jego szczególną cechę, nierzadką wśród Indian, choć zdarzają się też osobnicy prawie czarni. Musiał on dla ochrony twarzy pokrywać ją warstwą gliny przybierającą po wyschnięciu wilczą barwę szarobiałą, z której połyskiwały jego małe węzowe oczka.

Odgryzłem kęs krwawego serca, co nie było łatwym zadaniem z powodu twardych żył, a wtedy on uwolnił mnie od reszty pochłaniając ją w mgnieniu oka. Obrzydzenie przeszło mi, skoro tylko przełknąłem ten surowy kęs, którego smak potrafię opisać tylko jako żywy i szybki. Mięśnie łydek natychmiast zagrały mi niczym napinane cięciwy i poczułem, że mógłbym dogonić wiatr, ale z powrotem dosiedliśmy koni, Opala Się Na Czerwono z ociekającym krwią trupem antylopy przewieszonym przez zad swojego wierzchowca.

Skóra Ze Starego Szłasasu wykrył zwierzynę po drugiej stronie wzgórza, chociaż nie mógł jej w żaden sposób zobaczyć. Miał dar do takich rzeczy, niezwykle rozwinięty nawet jak na Indianina. Wiedział dlatego, że mu się to przyśniło. Miał te sny przez cały dzień, kiedy jechał po prerii. Nie potrzebował do tego nocy i nie musiał nawet zasypiać.

Wkrótce po ustrzeleniu antylopy przybyliśmy do obozowiska Czejenów, rozbitego nad strumykiem nie szerszym niż długość karabinu, w cieniu nie więcej niż trzech drzew bawełnianych, z których dwa ledwo odrosły od ziemi. Wjechaliśmy na pagórek, żeby mieszkańcy mieli czas rozpoznać, że to my, a nie ludzie z plemienia Kruków, którzy przyjechali ukraść im konie. Skóra Ze Starego Szałasu miał zawsze w zanadrzu takie uprzejmości, co trudno inaczej nazwać, bo nikt w obozie nie był nigdy przygotowany na intruzów. Co najmniej raz w tygodniu padali ofiarą koniokradów z wrogich plemion, czasami w biały dzień.

Z pagórka można było zobaczyć dwa tuziny skórzanych tipi rozstawionych na prawym brzegu strumyka. Na łące za nimi stado około trzydziestu koni. W wodzie kilkoro rozkrzyczanych brązowych dzieciaków z gołymi tyłkami, chlapiących na siebie wodą. Kilku zdrowych młodzieńców siedziało paląc i wachlując się orlimi piórami, paru innych paradowało w pełnej gali przed grupką kobiet ubijających coś na ziemi. Dwie młode dziewczyny ciągnęły z prerii skórę bizona ze stosem suszonego łąjna tegoż zwierzęcia, czyli tak zwanych placków używanych na równinach jako opał ze względu na małą ilość drewna. Rozłożysta kobieta przeżuwała kawał skóry, żeby go zmiękczyć. Inne nosiły wodę i jakieś tobołki, zszywały skóry na szałasy, robiły mokasyny i nogawice, ozdabiały koszule, wydobywały szpik z kości, rozcierały jagody, nawlekały paciorki i wykonywały inne prace, którym Indianka oddaje się od świtu aż do chwili, kiedy położy się na posłaniu, gdzie ją pokryje jej mężczyzna.

Kiedy zjeżdżaliśmy do strumyka, nikt w obozie nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, ale kiedy Opala Się Na Czerwono, który jechał ostatni, pokazał się z antylopą, wywołało to duże poruszenie wśród kobiet. Dowiedziałem się później, że ludzie nie widzieli kawałka mięsa od około dziesięciu dni i odżywiali się dziką rzepą i starymi skórami, i zastanawiali się, czy nie jeść koników polnych jak Pajutowie, co dla Indianina jest najniższym szczeblem upadku. Działo się to późną wiosną, kiedy to w tamtych czasach równiny były kosmate od bizonów i, jak pamiętasz, trawa na pagórku koło wodopoju została stratowana przez wielkie stado. A jednak ludzie Skóry Ze Starego Szałasu nie jedli mięsa przeszło od tygodnia. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o ich pechu.

A teraz kilka słów o ich psach. Chociaż była to niewielka grupa, mieli ze trzydzieści albo więcej kundli przeważnie maści brudnożółtej, choć widziało się też wszystkie inne maści i nie brakło łaciatych. Ta zbieranina podnosiła nieustanny jazgot warcząc, ujadając, wyjąc i gryząc się między sobą, przez co była w zasadzie

nieużyteczna do stróżowania nawet w nocy, kiedy to psy odpowiadały kojotom wyjącym na wzgórzach, a tymczasem zakradli się Paunisi i zabierali sobie tuzin koni nie niepokojeni choćby jednym szczeknięciem.

Te właśnie psy przywitały nas przy strumyku kręcąc się pod nogami koni i skacząc do kołyszącej się bezwładnie głowy antylopy. Ale miały też oko na pejcz z surowej skóry przywiązanej do lewej dłoni Opala Się Na Czerwono, który wymachiwał nim obojętnie, jak koń opędzający się ogonem od much, i choć skomlały i kłapały zębami, to nic nie ugryzły. Jedyny sposób na przetrzymanie indiańskiego psa to nie zwracać uwagi na hałas, jaki robi, bo poza tym nie jest groźny. Nauczyłem się tego dopiero po pewnym czasie i na początku przeżyłem ciężkie chwile. Był tam jeden brudnobiały pies z czerwonymi oczami i oślinionym pyskiem, który postanowił zająć się mną raczej niż trupem antylopy. Przyczał się przy lewej zadniej nodze naszego konia i, wpatrując się w moją twarz, wolno podwijał górną wargę, a że jednocześnie otworzył paszczkę, składało się to na bardzo groźny pokaz kompletu żółtych zębów. Caroline musiała dać mi kuksańca, bo obejmowałem ją tak mocno, że nie mogła oddychać.

— Nie rób mi wstydu przed naszymi przyjaciółmi — powiedziała siląc się na uśmiech do tłoczących się wokół nas czejeńskich kobiet, z których żadna nawet na nas nie spojrziała.

Myślę, że w tym momencie Caroline zaczęła tracić swoją butę. Nie wiem, czego dokładnie oczekiwała, ale pierwsze zetknięcie z obozem Indian może przejąć drżeniem najodważniejsze serce. Człowiek, który nie ma doświadczenia w tej sprawie, myśli sobie: no dobrze, widzę ich śmietnisko, a gdzie ta wioska? I sam zapach jest bardzo dziwny. Różny od tego, co biali ludzie nazywają smrodem, raczej wiele zapachów zlewających się w jakąś niewidoczną mgłę, która zastępuje powietrze, przez co z każdym oddechem wciąga się całą wiedzę na temat życia ludzkości i czworonogów. Teraz dominowała jedna określona woń z tego powodu, że koń pod nami właśnie oddawał mocz. Poza przypadkami takich zdarzeń w pobliżu, żaden zapach nie dominował. Tyle że od pierwszej minuty, kiedy płuca wypełniły się tą atmosferą, człowiek był w zupełnie innym świecie.

Ale, jak zwykle, żyjąc w niej człowiek zaczyna uważać ją za swoją rzeczywistość i kiedy potem wszedłem do osady białych, tak brakowało mi tej woni, która wydawała mi się samym życiem, że prawie się dusiłem.

Opala Się Na Czerwono zsiadł z konia i paradował dumnie po obozie zostawiwszy antylopę gromadzie kobiet, które odwiązały ją i oskórowały w czasie, jaki zajmuje nabicie i zapalenie fajki, a następnie z równą szybkością zaczęły zwierzę ćwiartować. Tymczasem Skóra Ze Starego Szałasus skierował swojego konia do wielkiego, ale starego tipi, którego pokrycie w miejscach między łatami nosiło ślady niebieskich i żółtych rysunków — ludzi z patyków, gryzmołowatych zwierząt, trójkątnych gór, słońc i tym podobnych, zsiadł, oddał pojedynczą wodzę chłopakowi, który miał na sobie tylko przepaskę i mokasyny, i prawie na kolanach, żeby się zmieścić, przytrzymując cylinder na głowie, wszedł przez otwór do środka.

— To tutaj — powiedziała moja siostra Caroline — to widocznie jest dom. — Z tego, co zobaczyłem, kiedy odwróciła się w siodle, twarz jej się wyraźnie wydłużyła. — Ale czy wypada wejść za nim do środka? Oto jest pytanie.

— Caroline — odpowiedziałem — wszystko mnie boli od tej jazdy, mój tato nie żyje, mamusia jest daleko, a ten biały pies czeka tu i ślina kapie mu z pyska. Boję się zejść z konia.

Na to moja siostra odzyskała trochę odwagi.

— Na pewno nie pozwolę, żeby mnie zatrzymywał jakiś brudny szczeniak — powiedziała ze złością i przerzuciwszy nogę przez siodło, przy czym przejechała mnie obcasem, zeskoczyła na ziemię.

Pies nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Idąc w ślady gospodarza też oddała wodzę indiańskiemu chłopakowi, który wlepił we mnie swoje bystre czarne oczy. Z powodów rasowych nie poczułem do niego sympatii, ale pokazałem kciukiem psa, który wyraźnie czekał tylko, żebym zszedł na ziemię, gdzie mógłby się do mnie wygodnie dobrać.

Pojętny chłopak w lot zrozumiał, o co chodzi, i wymierzył kundlowi w tyłek kopniaka, po którym ten odleciał skomląc. Ta jego uprzejmość nałożyła się na moje naturalne uprzedzenie do niego, zeskoczyłem na ziemię i zadzierając nosa poszedłem za Caroline, która wzięła głęboki oddech i weszła do namiotu.

Było tam cudownie ciemno, kiedy się weszło z popołudniowej jasności, i jeżeli coś się widziało, to tylko dzięki małemu ognisku z bizonich placków na środku tipi i światłu padającemu przez otwór dymowy u szczytu stożka. Jeżeli na zewnątrz panował zapach wyjątkowy dojmujący, to zapominało się o nim natychmiast po

pierwszym wciągnięciu powietrza wewnątrz namiotu, gdzie było tak jakby człowiek próbował oddychać zanurzony w bagnie.

Po chwili dostrzegłem tęgą kobietę mieszającą coś w kociołku nad ogniskiem, ale ona nawet nie uniosła głowy, kiedy weszliśmy. Wokół namiotu widniały ciemne kształty z głowami opartymi o skórzane ściany i nogami skierowanymi do środka, które z bliska okazały się nie leżącymi osobami, ale włochatymi skórami bizonów. Było tak ciemno, że musieliśmy brnąć po omacku od jednej do drugiej, nie wiedząc, czy następna nie będzie zajęta przez jakiegoś dzikusa, mogącego odnieść się niechętnie do naszego najścia. Obeszliśmy pół kręgu, zanim zlokalizowaliśmy Skórę Ze Starego Szałas. Siedział w milczeniu na wprost wejścia i Caroline omal się o niego nie przewróciła, łapiąc się w ostatniej chwili słupa, z którego zwisały skórzane worki i tobołki, zawierające nieliczne rzeczy, jakie są osobistą własnością Indianina.

Wódz trzymał kamienną fajkę z długim drewnianym ustnikiem, ozdobionym rzędami mosiężnych gwoździ, połyskujących w blasku ognia. Staliśmy i patrzyliśmy na niego, bo nie wiedzieliśmy, co robić. Nabił fajkę ze skózanego kapciucha i wtedy tęga kobieta włożyła do ognia patyk, rozdmuchała go w rozżarzony węgielek i wódz zapalił wciągając dym z taką siłą, że policzki zapadły mu się jak u trupiej czaszki. Z powodu długości ustnika okropnie trudno jest palić taką fajkę, ale wódz wreszcie doprowadził ją do zadawalającego stanu, i wtedy raptownie podsunął ją Caroline.

Siostra mimo swoich cech męskich nigdy nie paliła ani nie żuła tytoniu. Obejrzała fajkę z uprzejmym podziwem i oddała ją wodzowi. Wódz słusznie uznał, że Caroline nie rozumiała, o co chodzi, i pokazał, że ma usiąść na skórze po jego prawej stronie. Gdy to zrobiła, Skóra Ze Starego Szałas pochylił się i wsunął jej fajkę w usta, a sam wargami wykonywał ruchy jak przy paleniu.

Caroline trzymała fajkę w ustach i zaczęła pociągać zgodnie z instrukcją wodza. Oczywiście jestem przekonany, że był to dla niej jakiś rytuał seksualny lub coś takiego. Wódz tymczasem mruczał zaklęcia przeciwko jej złym urokom, a przyjęcie przez nią fajki umacniało go w przekonaniu, że jego zaklęcia skutkują, bo Indianin ceni fajkę ponad wszystko na świecie.

Skóra Ze Starego Szałas zabrał fajkę, kiedy wydobywała się z niej już ledwo widoczna smużka dymu, a Caroline kurczowo łapała oddech i przez chwilę ścisnęła w zębach chustkę do nosa. Dyszała ciężko jeszcze przez dłuższy czas, ale nie zemdląła i nie zwymiotowała. Twarda z niej była dziewczyna.

Wódz wrzucił popiół w cybuchu i wysypał go na czubki butów Caroline, żeby rzucić na nią urok, tylko wtedy tego nie wiedzieliśmy. Potem z wyszywanego paciorkami kapciucha znów nabił cybuch mieszanką, która w istocie składała się w małej części z tytoniu, a w większości z kory czerwonej wierzby, liści sumaka, szpiku z kości bizonów i kilku innych składników. Indianie rzeczywiście wynaleźli zwyczaj palenia fajki, ale prawie nic więcej.

Po wypaleniu fajki Skóra Ze Starego Szałasus zmienił się nie do poznania. Szczerzył zęby, mówił dużo przyjaznym tonem po czejeńsku, potem zwrócił się do kobiety przy ogniu widocznie z poleceniem, bo zaraz wyszła i wróciła z kawałkiem wyżej wspomnianej antylopy.

Kobieta, z twarzą jak księżyc, posiekała mięso i wrzuciła je do packi, która już się gotowała w kotle. Chyba zwabieni zapachem zaczęli ściągać do namiotu inni Indianie. Najpierw przyszedł chłopak, który zajął się końmi, potem druga tęga kobieta, z tyłu wyglądająca jak wykapaną gospodyni, mała dziewczynka naga jak ją Bóg stworzył i nieco większy chłopak jak wyżej; dalej pojawił się zdrowy, wysoki mężczyzna w wieku lat około dwudziestu pięciu i wreszcie sam zdobywca mięsa Opala Się Na Czerwono, nadal w swojej masce z gliny, a za nim cała procesja prowadzona przez szczupłą kobietę z masą luźno splecionych czarnych włosów i aksamitnymi oczami sarny. Szła za nią trójka albo czwórka dzieci, z których najstarsze miało może sześć lat.

Wszyscy ci ludzie usiedli kołem pod ścianami szałasus nie widząc nic poza kociołkiem. Większość przyniosła własne drewniane miski i łyżki, też drewniane albo z rogu. Nikt się nie odezwał i nikt ani razu nie spojrział na mnie i na Caroline.

Po jakimś czasie gospodyni nalała po misce siostrze i mnie, a potem zebrała się przy kociołku cała reszta. Tylko stary wódz nie jadł. Siedział na skórkach bizona i robił wrażenie.

W tym momencie przypomniałem sobie, jak czerwonoskórzy, kiedy odwiedzali naszą karawanę i pili kawę z bułeczkami, stale powtarzali „hou, hou”. Nadal byłem potężnie przestraszony całą sytuacją i choć głód mi okropnie doskwierał, ta polewka nie przyniosła mi ukojenia — powiadam ci, paliło to jak diabli. Mięso antylopy było nie dogotowane. Indianie z jednej strony nie mają nic przeciwko tłuszczowi, a z drugiej w tamtych czasach nie uznawali jeszcze soli. Oprócz mięsa pływały tam jakieś owoce rozgotowane na papkę i korzonki, pozornie bez smaku, póki się ich nie

przełknęło i nie trafiły do żołądka, a wtedy człowiek miał uczucie, że dławi się piaskiem.

Ale, jak powiedziałem, przypomniałem sobie ich uprzejme uwagi i zrobiłem z nich użytek. Chciałem wywrzeć dobre wrażenie. Na razie nie zwracali na nas uwagi, ale widziałem już, jak Indianie potrafią się zmieniać. „Hou, hou, hou” — powiedziałem zwracając się do Skóry Ze Starego Szłasasu. Wymagało to pewnej odwagi. Caroline dała mi kuksańca, ale wódz był wyraźnie zadowolony.

Co więcej, natychmiast zrewanżował mi się tym samym „hou, hou”, a potem powiedział coś, co — jak odkryłem, kiedy już opanowałem sztukę konwersacji po czejeńsku — stało się moim pierwszym indiańskim imieniem: Mała Antylopa, czyli *Voka* w tym narzeczu i brzmiało jak kaszlnięcie. Imię nie miało większego znaczenia, bo z czasem otrzymałem kilka innych, ale od czegoś trzeba zacząć. W każdym razie nie zostałem oskalpowany za to, że dałem wyraz swoim uczuciom, co uważałem za prawdopodobne, bo trudno sobie wyobrazić, co znaczy być dziesięcioletnim chłopcem, który świeżo dołączył do hordy barbarzyńców.

Caroline też skorzystała, bo kiedy wódz szczerzył do mnie zęby, wyłowiła z miski duży kawał mięsa i wypchnęła go na zewnątrz pod skórą namiotu, gdzie natychmiast rzucił się na nie jakiś pies, jako że w indiańskim obozie nie sposób ,nie znaleźć szczeliny lub zakątka, przy którym nie czatowałby pies.

Myślę, że to właśnie ta malowniczość życia Indian wraz z ich okrucieństwem zafascynowały ją jeszcze w karawanie, ale im dłużej pozostawaliśmy z ludźmi Skóry Ze Starego Szłasasu, tym bardziej normalne wydawało nam się życie dzikich. Bo faktem jest, że Indianin może zamordować człowieka, a zaraz potem zasiąść do posiłku spokojnie niczym jakiś urzędnik w miasteczku. Nie stosuje on barier między różnymi formami działalności tak jak biały człowiek. Indianie są zupełnie inni niż ludzie, których spotykałeś.

Potem wódz powiedział coś gospodyni, bo — jak przyznał później — budziłyśmy w nim bardzo sprzeczne uczucia — wydawaliśmy mu się na przemian istotami dobrotliwymi i złośliwymi. Akurat wtedy był do nas dobrze usposobiony ze względu na to, że przełamaliśmy z nim chleb, a właściwie antylopę w jego tipi, co dla Indianina jest tak wielkim zaszczytem, że gospodarz nie bierze nic do ust, dopóki goście nie skończą; z tego powodu Skóra Ze Starego Szłasasu sam nie jadł. Jak już mówiłem, wódz powiedział coś gospodyni, a ona kazała mi gestem iść za sobą i choć się bałem, przeszedłem przez namiot pełen Czejenów, którzy wszyscy żuli jak kozy. Kiedy

wyszliśmy przez otwór na zewnątrz, niebo było na pół ciemne z wielkimi fioletowymi smugami na zachodzie, poprzedzianymi pasmami cynobru.

Powiem ci, że w tym wieku nie przejmowałem się szczególnie widokami i moje zainteresowanie niebem daje się wytłumaczyć pojawieniem się, jak tylko wychyliłem głowę z namiotu, mojego wroga, białego psa. Usiłowałem nie zwracać na niego uwagi, ale on chwycił mnie zębami za mankiet spodni i wgryzł się w niego w najlepsze, i może zjadłby mnie całego, gdyby w tym momencie kobieta się nie obejrzała.

Była to Kobieta Wodopój Bizonów, żona Skóry Ze Starego Szłasasu, a ta druga kobieta w namiocie tak do niej podobna to była jej młodsza siostra Biała Krowa, która zwyczajem Czejenów towarzyszyła siostrze, kiedy ta wyszła za mąż, i miała obowiązek w tym samym stopniu co właściwa żona udostępniać się wodzowi do wszystkich celów, do jakich Indianin używa kobiety.

Tak czy inaczej, Kobieta Wodopój Bizonów roześmiała się i wskazując psa zadała mi pytanie. Moja przerażona mina starczyła jej za odpowiedź, bo Kobieta złapała psa, który zaczął wyć ze strachu, co mu jednak nic nie pomogło. Kobieta Wodopój Bizonów wniosła go do namiotu, tam rozłupała mu czaszkę kamiennym młotkiem, przeciągnęła go przez ognisko, żeby opalić sierść, i rozrąbała ciało na krwawe ochłapy, które powędrowały do kociołka. Trwało to nie dłużej niż moja opowieść, gdyż była to niewiasta krzepka i przy kości, a uśmiech nie schodził jej z twarzy.

Skóra Ze Starego Szłasasu siedział dumny jak paw. Dla Indianina nie ma lepszego jedzenia od psa, a biały pies jest ceniony najwyżej. Żeby zrozumieć, jak wysoko cenią sobie ten specjał, trzeba pamiętać, że od przeszło tygodnia nie jedli świeżego mięsa, a mimo to nie uszczuplili swojego stada psów.

Niestety siostra i ja nie doceniliśmy zaszczytu, jaki nas spotkał. Caroline trzymała się dzielnie przy masakrze ludzi, w tym własnego taty, ale kiedy ćwiartowano na jej oczach tego paskudnego kundla, zachwiała się na siedząco i usiłowała połknąć własną pięść.

W tym momencie Skóra Ze Starego Szłasasu spojrział nagle na Caroline i kichnął tak, że cylinder zsunął mu się na jedno oko. Kichnął jeszcze raz i cylinder spadł mu zupełnie. Jeszcze dwukrotnie zakręciło go w wielkim nosie – wydawał dźwięki jak szczekanie lisa, aż fruwały mu warkoczyki i podskakiwał medal, głucho uderzając o jego pierś.

Teraz cała gromada przestała się opychać i wszyscy gapili się na nas tak, jak powinni, kiedy nas po raz pierwszy zobaczyli, czego nie zrobili, bo jak sędzę, mieli umysł jednotorowe i całkowicie zajmowała ich perspektywa spożycia antylopy. Ładna kobieta z oczami sarny posunęła się do tego, że usiadła obok Caroline wpatrując się w moją siostrę, która ze wszystkich sił starała się nie zwymiotować z powodu białego psa, gdyż jego woń rozchodziła się już w parze z kociołką — zapach jakby mokrego płaszcza suszącego się przy ogniu.

Kobieta miała na imię Spadająca Gwiazda, była żoną Opala Się Na Czerwono i matką dzieci, które przyprowadziła do tipi wodza, oraz niemowlęcia o czarnych ptasich oczkach, które zostało zawieszane na jednym ze słupków w swoim nosidle. Było to sprytne urządzenie, bo nie trzeba było wyjmować z niego dziecka do siusiania.

Ciekawość Spadającej Gwiazdy odwróciła uwagę Caroline od sensacji żołądkowych. Zebrawszy siły powiedziała:

— Cieszę się, że panią widzę — i wyciągnęła swoją wielką łapę na powitanie. Indianka jednak sięgnęła w rozwidlenie spodni mojej siostry, pomacała tam i to samo zrobiła z koszulą na jej piersi. Po czym powiedziała jedno słowo: „*Vehoa!*” do Skóry Ze Starego Szalasu i zakryła dłonią usta. Wódz poszedł za jej przykładem i ten sam gest wykonali wszyscy obecni.

Prędzej czy później Indianin musi kichnąć, kiedy znajdzie się w pobliżu białej kobiety. Niektórzy powiadają, że to skutek perfum czy pudru, ale ja nigdy nie widziałem, żeby moja siostra używała czegoś oprócz zwykłego mydła.

Jakkolwiek to tłumaczyć, wtedy dopiero Czejenowie poznali, że Caroline to dziewczyna.

3. ROBIĘ SOBIE WROGA

Różnica między mężczyznami a kobietami jest dla Czejenów bardzo ważna — ważniejsza w gruncie rzeczy niż różnica między zmarłymi a żywymi — byli więc zadowoleni, że sprawa mojej siostry się wyjaśniła. Poza tym antylopa była już w tym momencie zjedzona, a pies niecałkiem gotów, więc reszta Indian stłoczyła się wokół nas, żeby zaspokoić ciekawość.

Nie naruszało to w niczym ich etykiety. Zresztą ograniczali się przeważnie do patrzenia, niektórzy dotykali naszej odzieży, ale nigdy ciała. Przypuszczam, że gdybyśmy rozumieli słowa Spadającej Gwiazdy, usłyszeliśmy, jak przeprasza Caroline za to obmacywanie, usprawiedliwione jednak odkryciem, do którego doprowadziło. Wspominam o tym, bo jako białego zawsze mnie dziwiło, że dzicy też przestrzegają zasad delikatności i jeżeli je naruszają, to tylko z powodu niewiedzy.

Szczególne zainteresowanie wzbudziłem oczywiście wśród dzieciaków. Mały Koń, chłopak, który zajął się końmi, był pod moim wrażeniem od początku. Jak już wspomniałem, mnie się on nie spodobał, ale już wtedy potrafiłem się przystosowywać, musiałem, bo inaczej nie przeżyłbym dziesięciu lat, nie mówiąc o przeszłości, więc kiedy zauważyłem, że podziwia moje buty, czym prędzej je zdjąłem i ofiarowałem mu. Ale sama myśl o uwięzieniu stóp w podobny sposób jest jedną z wielu rzeczy, które przerażają Indianina, udał więc, że nie rozumie, o co chodzi.

Potem podano psa. Na szczęście było to małe zwierzę i musiało obdzielić wielu jedzących, ale i tak jako goście dostaliśmy z Caroline największe porcje. Czejenowie siedzieli chyba do północy. Mówiąc tak mam na myśli, że stale ktoś przychodził i wychodził, wkraczały do namiotu nowe osoby, które nas oglądały, inni Indianie zawijali się w skóry bizonów i zasypiali w najlepsze wśród gwaru i śmiechu pozostałych (bo w przeciwieństwie do opinii białych nie ma bardziej towarzyskich ludzi niż czerwonoskórzy, kiedy są wśród swoich). Takie życie toczyło się przez wiele godzin, podczas których ogień ani na chwilę nie wygasał. Kobiety na przykład zajmowały się swoimi pracami, a Skóra Ze Starego Szałaszu wypalił cztery albo i pięć fajek z różnymi swoimi kompanami. Jednym z nich był nie kto inny jak Garb, który poza wielkim strupem na nosie wyglądał bardzo zdrowo i mruknął coś przyjaźnie w naszą stronę. Nie wiem, czy rozpoznał nas z poprzedniego dnia, ale bardzo

wielkodusznie nie miał do nas żalu o to, że popełnił gwałt i morderstwo, co byłoby dla Indianina normalne.

Jeżeli chodzi o Caroline, to siedziała dość oszołomiona od chwili, kiedy została zbadana przez Spadającą Gwiazdę, i w tym stanie zjadła nawet swój kawałek psa. Skóra Ze Starego Szałasu nie zwracał już na nią najmniejszej uwagi. Nie dlatego, żeby ją obrazić, po prostu przestała go interesować.

W końcu ogień przygasł, gdyż Kobieta Wodopój Bizonów przestała dokładać nowe placki i ułożyła się do snu, na który niewątpliwie zasłużyła. Jak stwierdziłem następnego dnia, zajęliśmy z Caroline jej posłanie obok starego wodza, na co ona przesunęła jedno ze swoich dzieci i tak to poszło dokoła szalasu, aż mój przyjaciel Mały Koń został bez posłania i musiał powędrować do sąsiedniego tipi swojego brata, którym był nikt inny jak Opala Się Na Czerwono.

W końcu siostra i ja siedzieliśmy sami zapatrzeni w dogasające ognisko, z którego wąska smużka dymu unosiła się do otworu w szczycie namiotu i tam spotykała się z nocnym niebem, bardziej granatowym niż czarnym w blasku żółtych gwiazd.

Obok nas spoczywał bezgłośnie Skóra Ze Starego Szałasu, cylinder wisiał na rzemieniu nad jego głową, a wielki nochal sterczał pionowo do góry. Słysząc było głośniejsze oddechy, ale nikt nie chrapał, gdyż Indianie od urodzenia uczą się nie robić zbędnego hałasu. Co jakiś czas z cichym szelestem rozsypywał się w popiół spalony kawałek bizoniego łajna.

Wszystko to było dziwne, ale jeżeli o mnie chodzi, już nie przerażające. Można by mieć do mnie pretensje, że oto zostałem wyrwany z domu — lepszego czy gorszego, ale jednak z domu — ojca mi zabili, a ja zaczynałem uważać, że nie jest tak źle. Było ciepło w tym szałasie, a jego mieszkańcy okazali się tolerancyjni. Skoro nie odnieśli się do nas wrogo tego wieczoru, nie wyobrażałem sobie, żeby zrobili nam krzywdę następnego dnia. Nie karmi się człowieka wieczorem, żeby go rano zamordować. Z drugiej jednak strony trudno było przeoczyć fakt, że to nie są biali.

— O czym myślisz, Caroline? — zwróciłem się do zgarbionej postaci mojej najbliższej krewniaczki, która siedziała ze szczęką opartą na dłoni i kapeluszem naciągniętym do samych odstających uszu. Wyglądała bardzo ponuro w mroku i jej głos zabrzmiał w równie ponurej tonacji.

— Na tych dzikich nie można liczyć — odpowiedziała zbyt głośno, jak pomyślałem, nie bacząc na to, że gospodarze usiłują się zdrzemnąć. — Widziałeś, jak zamordowali tego pieska? A potem obmacywali mnie, jakbym ja miała też pójść do garnka, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby Indianie byli ludożercami. Myślę, że nie można im ufać, Jack.

Ze stęknieniem spróbowała stanąć na nogi, co nie jest takie łatwe, kiedy się siedziało w kucki przez kilka godzin. Potem powtórzyła prawie to samo ze znaczącą różnicą, na co wtedy nie zwróciłem uwagi.

— Radzę ci nie ufać im, Jack.

I poszła na sztywnych nogach w stronę wyjścia z namiotu, żeby się załatwić przed snem, jak uznałem. Co do mnie, to postanowiłem wstrzymać się do rana ze względu na wałęsające się na zewnątrz psy.

W ten sposób rozstaliśmy się z Caroline na długo. Poszła na pastwisko, wzięła konia i odjechała. Spotkałem ją dopiero po latach, o czym opowiem we właściwym czasie. Na razie uznałem ją za zaginioną i wkrótce zupełnie o niej zapomniałem. Nikt nie może powiedzieć, że byłem jej winien coś więcej.

Pewnie usłyszałbym tętent kopyt, kiedy odjeżdżała, gdyby nie to, że natychmiast zasnąłem. Niewiele jest rzeczy, w które byłoby przyjemniej się owinać niż w skórę bizona, kiedy człowiek w tym zasmakuje. Chociaż z początku wydaje się nieco sztywna po stronie wewnętrznej, a włos po drugiej jest ostry jak szczotka, to wkrótce pod działaniem naturalnego ciepła dostosowuje się do ciała i zmienia się w drugą skórę.

Ocknąłem się, kiedy ten chłopak, Mały Koń, zbudził mnie o świcie. Pokazywał mi, żebym z nim poszedł, i otrząsając się z resztek snu, co nie było trudne ze względu na poranny chłód, udałem się za nim na pole, gdzie pasły się konie. Zauważyłem, że jest ich znacznie mniej niż poprzedniego dnia: kradzież jednego konia przez Caroline nie liczyła się w porównaniu z tym, co zabrali nieco później ludzie z plemienia Ute, a może Paunisi. Tak czy inaczej, grupa Skóry Ze Starego Szłasasu musiała czym prędzej ukraść trochę koni z powrotem, jeżeli nie chciała chodzić na piechotę.

Mały Koń, jak to Indianin, wiedział już, że Caroline uciekła, słusznie doszedł do wniosku, że ja nie mając innego wyjścia zostanę jako członek plemienia, więc obudził mnie, żebym z nim poszedł, bo zajmowanie się końmi każdego ranka było obowiązkiem chłopców w moim wieku. Co znaczy, że wiedział o mnie w tym

momencie więcej niż ją sam, ale w jego uśmiechu nie było złośliwości, kiedy wychodziliśmy z namiotu pełnego pogrążonych we śnie dorosłych Czejenów. Czerwonoskórzy nie zrywają się zbyt wcześnie, kiedy nic się nie dzieje. Chłopcy są wyjątkiem.

Na zewnątrz było błękitnie i odpowiednio chłodno. Od dwóch dni nie zdejmowałem ubrania z grzbietu i ku swojej radości się nie myłem. Wspominam o tym, bo pamiętam, że odczuwałem z tego powodu wielką przyjemność. Kiedy biały, nawet jako mały chłopiec, znajdzie się wśród Indian, od razu myśli: A co się będę przejmował? Jestem wśród dzikich, nie muszę się myć, mogę się załatwić tam, gdzie stoję, i tak dalej. Otóż muszę podkreślić, że jest inaczej i Czejenowie kąpią się codziennie w najbliższej wodzie, a nawet gdyby nie przestrzegali tego obyczaju, to jego miejsce zająłby jakiś inny wymóg. Istota ludzka nie może uciec od obowiązków.

W drodze na pastwisko Mały Koń i ja spotkaliśmy innych chłopców w wieku od ośmiu do dwunastu lat spieszących do tych samych zadań. Na skutek kradzieży stado zostało tak przerzedzone, że koniuchów było chyba więcej niż koni. Okazało się, że naszym zadaniem jest napojenie koni w potoku. Potem przepędziliśmy je na nowe pastwisko, bo na starym wyjadły już trawę, a przecież cała preria w zasięgu wzroku należała do nas.

Mały Koń z innymi chłopakami rozmawiali z ożywieniem i śmiali się, może nawet ze mnie. Jako jedyny miałem na sobie spodnie, koszulę, buty i kapelusz, ale kiedy powtórnie spętaliśmy przewodniczkę stada, żeby konie nam nie uciekły, wróciliśmy do strumienia i rozebraliśmy się do kąpieli, o której wspominałem, wyróżniałem się już tylko kolorem skóry. Kiedy wyszliśmy z wody — która wydawała się zimna na początku, ale potem zrobiła się jakby cieplejsza, zwłaszcza przy ruchliwych zabawach, na których indiańscy chłopcy spędzają dużo czasu — zrezygnowałem z miejskiego ubrania poza wełnianymi spodniami. Prawdę mówiąc, rozdałem wszystko, co zyskało mi natychmiast masę przyjaciół.

Jak tylko wróciliśmy do szałasów, obdarowani znikli we wnętrzu i wrócili z rzeczami czejeńskimi. Wtedy to ostatecznie pożegnałem się ze spodniami i włożyłem przepaskę z koziej skóry, otrzymaną od jednego z chłopców, i przepasałem się rzemieniem, który dostałem od innego. Obułem też mokasyny i otrzymałem brudny żółty koc od wysokiego chłopaka imieniem Młodszy Niedźwiedź. On sam przejął moje spodnie i z miejsca amputował im nogawki, żeby ich używać jako nie połączonych nogawic, a siedzenie wyrzucił. Nikt nie znalazł zastosowania dla butów, które leżały

na ziemi i zostały w tej samej pozycji, kiedy obóz ruszył dalej. Jeżeli Indianin nie jest czymś zainteresowany, po prostu tego nie widzi, będzie się o to coś potykać, a nie przyjdzie mu do głowy, żeby to kopnąć na bok.

Tego pierwszego ranka nie dostaliśmy śniadania z tego prostego powodu, że nie było nic do jedzenia. Antylopę zjedzono bez reszty poprzedniego wieczoru, a zarzycanie psów chwilowo nie wchodziło w grę, jako że koni zostało niewiele, a pewna liczba jucznych zwierząt była niezbędna przy zmianie obozowiska. Caroline nie wracała — a wtedy jeszcze myślałem, że może wrócić, i nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mogła zostać zabita — i nie miałem nikogo, do kogo mógłbym otworzyć gębę w moim języku.

Zanim jednak słońce wzniosło się wysoko na niebie, opanowałem spory zasób słów w języku gestów i rozprawiałem z Małym Koniem o sprawach, które można wyrazić rękami. Na przykład, kiedy się chce powiedzieć „człowiek”, pokazuje się palec wskazujący z dłonią zwróconą do siebie. Naukę bardzo mi ułatwiało to, że Mały Koń demonstrując znak wskazywał zaraz samą rzecz. Miałem kłopoty ze zrozumieniem gestu na „białego człowieka” — ruch palcem przez czoło sugerujący rondo kapelusza — z tego powodu, że Mały Koń sam był w odrzuconym przeze mnie filcowym kapeluszu. Przeciągał palcem wzdłuż runda i wskazywał na mnie, a ja długo myślałem, że chce powiedzieć „twój kapelusz” albo „ty”, zanim wreszcie pojąłem, o co chodzi. Gest na zwykłego człowieka oczywiście oznacza Indianina.

Żeby powiedzieć „Czejen” przejeżdża się prawym palcem wskazującym po lewym, jakby się go strugało, gdyż charakterystyczne prowadnice strzał używane przez wszystkich Czejenów robione były z ogolonych piór dzikiego indyka. Nawiasem mówiąc, w swoim języku Czejenowie nie nazywają się wcale Czejenami tylko *Tsistsistas*, co znaczy „ludzie” albo „istoty ludzkie”. Kim są wszyscy inni, to już nie ich sprawa.

Po kąpeli chłopcy przynieśli łuki i bawiliśmy się w wojnę koło wodopoju bizonów, strzelając do siebie strzałami bez grotów. Potem przeszliśmy do zapasów, w których nie byłem za mocny i bałem się walczyć na dobre, ale przyciśnięty do muru przeszedłem na boks i puściłem krew co najmniej z jednego brązowego nosa. Ten ostatni stanowił własność Młodszego Niedźwiedzia, który z tego powodu stał się ogólnym pośmiewiskiem, gdyż powiedziałbym, że Indianie mają jeszcze większą niż biali skłonność do szydzenia z bliźnich. Zrobiło mi się żal Młodszego Niedźwiedzia, kiedy zobaczyłem, na co go naraziłem.

Co było wielkim błędem: powinienem albo go nie uderzyć, albo, skoro już to zrobiłem, puszyć się i przechwalać, a może jeszcze mu dołożyć, żeby utrwalić przewagę. To byłoby po indiańsku. Nie wolno nigdy żałować pokonanego, chyba że zwyciężywszy jego ciało chce się również pokonać jego ducha. Nie rozumiałem jeszcze tego i do końca dnia okazywałem Młodszemu Niedźwiedziowi szczególne względy, w rezultacie czego zrobiłem sobie pierwszego prawdziwego wroga w życiu, który przez lata przyczyniał mi niewypowiedzianych kłopotów, bo Indianin z zemsty potrafi uczynić swoją religię.

Pamiętam też, że chodziliśmy się bawić w obóz z małymi dziewczynkami. Ta zabawa jest naśladowaniem tego, co robią dorośli. Dziewczynki ustawiają małe szałasy, a chłopcy zachowują się jak ich mężowie wyruszając na wojny albo na polowania, w których chłopak odgrywający bizona nosi na patyku liść opuncji. Myśliwi strzelają i uważa się, że kto trafił w liść, ten powalił bizona. Ten, kto chybił, dostaje od bizona po tyłku kolczastym liściem. Widać z tego, że wszystko, co Czejen robi, nosi w sobie przynajmniej groźbę bólu, a często i jej spełnienie.

We wcześniejszych zabawach uczestniczyłem na równych prawach, ale przy zabawie w obóz było już inaczej. Myślę, że stał za tym Młodszy Niedźwiedź, pełniący za powszechną zgodą funkcję wodza wojennego tej społeczności, jako że wyjątkowo celnie strzelał z łuku i wielce przekonująco udawał, że rozbija wrogom czaszki nieprzyjemnie wyglądającą maczugą, którą sam sporządził. W ten właśnie sposób zostaje się u Czejenów wodzem wojennym: trzeba walczyć lepiej niż inni. Taki człowiek jest wodzem tylko w bitwie. Na czas pokoju mają innego przywódcę. Skóra Ze Starego Szałasu był wodzem pokojowym. Głównym wodzem wojennym w naszej grupie był Garb. Ci dwaj żyli ze sobą w zgodzie, z wyjątkiem, jak pamiętasz, bitwy o whisky, kiedy to mając w czubie rzucili się na siebie. Kiedy jednak wypalił karabin Skóry, zapomnieli o bójce i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Tak czy inaczej, Młodszy Niedźwiedź w wieku lat jedenastu znajdował się na najlepszej drodze do swojego prawdziwego powołania i był silnym, dużym chłopakiem, który chodził z wypiętą piersią. O naszej walce powiem tylko tyle: mógłby mnie zabić, gdyby nie to, że nie miał pojęcia o boksie. Ale trudno, żebym odpowiadał za jego niewiedzę. Nigdy nie byłem duży, ale zawsze miałem głowę na karku.

W tamtych pierwszych dniach byłem uzależniony od tego, co inni chłopcy zechcieli mi pożyczyć: łuk, strzały i specjalny patyk, który wkładali między nogi i jeździli na nim jak na koniu. Kiedy jednak dochodziło do zabawy w wojnę pod wodzą

Młodszego Niedźwiedzia, odjeżdżali wszyscy, nawet Mały Koń, zostawiając mnie z dziewczynkami i maluchami odgrywającymi rolę dzieci w obozie. Chłopcy robili to tyle razy, aż weszło im to w nawyk i zaczęli mnie nazywać Dziewczyna Antylopa, bo pomagałem związać zabawowe szałas, co było zajęciem dla kobiet.

Taniec słońca był innym zajęciem dorosłych, które dzieci naśladowały w swoim obozie. Chłopcy wbijali sobie w ciało ciernie i przywiązywali do nich sznurki z czaszkami kojotów i świstaków. Niewykluczone, że z desperacji sam bym tego spróbował, gdyby nie to, że już w tak młodym wieku wypracowałem sobie następującą teorię: biały człowiek jest lepszy od czerwonoskórego dzikusa. A dlaczego jest lepszy? Bo używa głowy. Indianie od stuleci wiedzieli, że można przesuwac ciężkie przedmioty tocząc je po balach, ale do czasu, kiedy wśród nich mieszkałem, jeszcze nie przecięli kloca w poprzek, żeby z niego zrobić koło. Można to uważać za nieprzewycięzoną ciemnotę albo za upór. Tak czy owak, jest to barbarzyństwo i tyle.

Poszedłem za jeden z tych dziecięcych szałasów i poeksperymentowałem z cierniem, ale stchórzyłem, jak tylko dotknąłem nim skóry. Nigdy nie pociągało mnie robienie sobie krzywdy. Zamiast tego wziąłem strzałę, ukradłem prawdziwą z żelaznym grotem i przeciąłem ją na pół ostrym kamieniem. Czejenowie wyrabiają gumę do żucia z odparowanego soku mleczka. Kobieta Wodopój Bizonów dała mi kawałek, ja jednak zamiast do ust wsadziłem go sobie do pępka i wetknąłem w to połówkę strzały zakończoną piórami. Drugą połówkę, z żelaznym grotem, umocowałem po odsunięciu na bok przepaski tak, że wystawała mi spomiędzy pośladków. Wyglądało to, jakbym był przebity na wylot przez środek pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kiedy byłem gotów, wyszedłem z za szałasu, krocząc sztywno z zaciśniętymi pośladkami i niepostrzeżenie podtrzymując koniec z piórami, jakbym łapał się za brzuch z bólu. Stanowiło to naruszenie reguł, bo zasadą jest okazywanie męskiej obojętności na ból, ale uznałem, że sztuczka będzie wystarczająco widowiskowa, żeby zatuszować ten drobniaczek.

I miałem rację. Dziewczynki zobaczyły mnie pierwsze i zatrzasnęły dłońmi usta z taką siłą, że chyba tylko cudem nie wybiły sobie przednich zębów. A potem chłopcy ze swoimi żalonymi małymi cierniami i tymi maleńkimi czaszkami zwierząt. Upokorzony Kojot wyrwał sobie cierń z pleców i wyrzucił, a krew pocięła mu szkarłatnymi wstążkami aż na zadek. Mały Koń zaczął podskakiwać i chwalić się, że jest moim przyjacielem. Poczciwy Młodszy Niedźwiedź po prostu odwrócił się i

odszedł ciągnąc czaszki za sobą, w nadziei, że jeżeli któraś z nich zaczepi się o nierówność gruntu albo o krzak, to puści rzemyk, a nie jego skóra.

Od tego czasu byłem traktowany jak równy w zabawach w wojnę i wkrótce Opala Się Na Czerwono zrobił mi mały łuk. Był on synem Skóry Ze Starego Szalasu od jednej z jego wcześniejszych żon, obecnie nieżyjącej. Ja sam, jak się okazało, zajmowałem pozycję sieroty należącej do szalasu wodza, co zapewniało mi życzliwe traktowanie ze strony całej rodziny, jakbym był z nimi spokrewniony. Prawie w każdym namiocie był taki chłopak, tyle że pozostali byli czystej krwi Indianami. Kobiety miały obowiązek karmić mnie i odziewać, mężczyźni zaś dopatrzeć, żebym wyrósł na mężczyznę. Nie przypominam sobie, żeby miano mi za złe moją rasę, kiedy byłem mały. O Caroline nigdy nie wspomniano, choćby dlatego, żeby nie zawstydzić Skóry Ze Starego Szalasu tym, że wypalił fajkę z kimś, kto okazał się kobietą. W bardzo dawnych czasach Czejenowie nie palili nawet w obecności kobiet. Zawiązywali klapę tipi, żeby nie wchodziły.

Innym powodem, który ułatwiał mi wtopienie się w plemię, było to, że Indianie chcieli zapomnieć o incydencie przy wozach. Jak wiesz, mój brat Bill nie zameldował o masakrze w forcie Laramie i żołnierze nie przyjechali, tym więc Czejenowie nie musieli się martwić. Leżało im natomiast na sercu, że po pijanemu omal nie pozabijali się nawzajem, co jest najgorszą rzeczą, jaką Czejen może zrobić: zabić drugiego Czejena. Fakt, że się było pijanym, nie stanowi usprawiedliwienia. Morderstwo jest morderstwem, a morderca gnijąc od środka śmierdzi wszystkim członkom plemienia, kala Święte Strzały i odstrasza bizony. Takiemu osobnikowi nie wolno palić fajki i nikt nie zechce jeść z naczynia, którego dotknął. Zostaje w zasadzie wypędzony z obozu.

Wiem, uważasz, że w tym miejscu mnie przyłapałeś. Z mojego opisu walki o whisky wynikało, że niektórzy Indianie zostali zabici: powiedziałem na przykład, że Kupa Kości odstrzelił tył czaszki Białemu Odwrotnemu, któremu wypłynął mózg. Przysięgam, że z tego, co się widziało na miejscu, tak to wyglądało. Ale wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy pierwszego ranka w obozie Czejenów, zaraz po kąpieli z chłopcami w strumieniu, pierwszą osobą, która się zgłosiła po konia, był nikt inny tylko Biały Odwrotny, bez widocznych śladów jakichś uszkodzeń. Szedłem za nim kawałek wpatrując się ze szczególnym zainteresowaniem w tył jego głowy, ale nic nie zdradzało, że ma tam dziurę. Widziałem kilka wszy pełzających po przedziałku między warkoczykami, ale ani śladu zaschniętej krwi. A był toniewątpliwie Biały Odwrotny, bo miał nie pozostawiającą wątpliwości brodawkę po lewej stronie nosa.

Może teraz zaczynasz rozumieć, dlaczego kiedy wyciąłem tę sztuczkę ze strzałą w zadku, żadnemu z dzieci nie przyszło do głowy, że je nabieram. Wszystko dlatego, że czerwonoskórzy nie liczyli się z tym, że ktoś może ich oszukać, natomiast zawsze byli przygotowani na cud.

4. RZEŻ ANTYLOP

Nie jest źle być chłopcem wśród Czejenów. Za zły postępek nigdy nie biją, tylko mówią: „Człowiek tak nie postępuje.” Pewnego razu Kojot roześmiał się, kiedy przypalał ojcu fajkę, bo giez łąził mu po brzuchu. Stanowiło to poważne naruszenie dobrych manier, porównywalne do tego, jakby biały chłopiec puścił na głos bąka w kościele. Jego tato odłożył fajkę i powiedział:

— Z powodu twojego nieopanowania nie będę mógł palić przez cały dzień nie narażając się na pogardę pewnych Osób na tamtym świecie. Zastanawiam się, czy nie jesteś czasem Paunisem, a nie Człowiekiem.

Kojot wyszedł na prerię, gdzie przesiedział samotnie całą noc, żeby ukryć swoją hańbę.

Kiedy się jest Czejenem, trzeba wszystko robić jak należy. Niemowlę nie może płakać za żadne skarby — plemię mogłoby w tym momencie leżeć w ukryciu i płacz zdradziłby wrogom ich pozycję. Dlatego kobiety zawieszają nosidła na krzakach w pewnej odległości od obozu, aż dzieciaki dojdą do przekonania, że płacz nic im nie pomoże i przyzwyczajają się leżeć cicho. Dziewczynki muszą się nauczyć panować nad chichotem. Widziałem, jak Cień Który Się Pokazuje, ustawiał przed sobą córki i opowiadał im śmieszne historie, przy których miały się powstrzymać od śmiechu. Początkowo nic z tego nie wychodziło i skrzeczały jak ptaki, potem już tylko robiły głupie miny, aż wreszcie po wielu lekcjach potrafiły zachować kamienny wyraz twarzy przy najśmieszniejszym dowcipie. Miały prawo być rozbawione, ale nie wolno im było tego okazywać. W odpowiedniej chwili mogły się zarykiwać ze śmiechu, bo Indianin Ceni sobie humor, a Cień Który Się Pokazuje był wielkim kawalarzem.

Poza takimi szczegółowymi naukami Czejenowie nie posiadali szkół. Zresztą po co, skoro nie czytali ani nie pisali w swoim języku? Jeżeli ktoś chciał się czegoś dowiedzieć z historii, szedł i pytał starszego człowieka, który to pamiętał. Liczby stawały się nudne, kiedy brakowało palców, więc meldunek o sile zbrojnej zauważonej grupy nieprzyjaciela wyglądał mniej więcej tak:

— Ute są koło Skały Postu. Jest ich tyłu, ile strzał wystrzelił Wpycha Wszystko Za Pas do ducha antylopy w porze dojrzałych wiśni.

Była to słynna historia i wszyscy członkowie grupy Skóry Ze Starego Szalasu wiedzieli z dokładnością do jednego czy dwóch, o ilu Ute chodzi, a poza tym w chwili niebezpieczeństwa, kiedy ludzie boją się nieznanego, mogli odwołać się do czegoś znajomego.

Czejen był przekonany, że jego zwierzę też jest Czejenem i wie o tym.

— Powiedz swojemu koniowi — mówił na przykład Opala Się Na Czerwono — że cały obóz będzie wiedział o jego odwadze. Opowiadaj mu o słynnych koniach i ich czynach, żeby starał im się dorównać. Mów mu wszystko o sobie. Mężczyzna nie powinien mieć tajemnic przed swoim koniem. Są rzeczy, o których nie rozmawia ze swoim bratem, przyjacielem czy żoną, ale on i jego koń muszą o sobie wiedzieć wszystko, bo najprawdopodobniej razem umrą i pojedą Wiszącą Drogą między ziemią a niebem.

Mój kłopot polegał na tym, że czułem się jak ostatni idiota przemawiając do głupiego bydłęcia. To jest właśnie trudność bycia białym, wiele rzeczy po prostu nie uchodzi. Nikt nie oczekuje zbyt wiele od Indianina, dla niego głupie rzeczy są, że tak powiem, normalne. Bylibyśmy, jak myślę, rozczarowani Indianinem, który nie rozmawia z końmi, bo on się urodził szalony. Ale będąc białym, nawet w wieku dziesięciu lat wiedziałem już zbyt wiele.

Rozumiesz chyba, że nie mogę relacjonować dzień po dniu swojego wychowania. Nauka jazdy konnej zajęła mi ze dwa miesiące, a zdobycie sprawności w posługiwaniu się łukiem trwało jeszcze dłużej. Ale teraz muszę wrócić do tamtego pierwszego ranka i obudzić Skórę Ze Starego Szalasu, którego zostawiliśmy pogrążonego we śnie.. Obudził się z zamiarem poszczenia przez dwadzieścia cztery godziny. Znów przyśniła mu się antylopa. W połączeniu z tą z poprzedniego dnia oznaczało to, że czeka go robota.

Po południu wódz odszedł na jakieś trzysta jardów w górę strumienia i postawił sobie za krzakiem mały szałas, taki jakie my budowaliśmy w zabawach, ledwo wystarczający, żeby mógł w nim usiąść. Wszedł do środka o zachodzie słońca i wykonywał jakieś tajemne czynności do świtu następnego dnia.

Podczas kiedy tam siedział, niektórzy inni Czejenowie przychodzili w nocy i uderzali od zewnątrz w skóry jego tipi. Wszystko to stanowiło przygotowanie do olbrzymiego polowania na antylopy. Jeżeli podczas tego walenia w pokrycie szałasów posypie się pewna ilość włosów antylopy, to polowanie się uda.

Gdy działo się to wszystko, banda Ute uprowadziła całe stado koni i następnego ranka Czejenom zostały tylko te nieliczne konie, które były przywiązane przed szałasami właścicieli. Na szczęście wokół szałasu wróżebnego leżało na ziemi dużo sierści antylopy, rokowania były więc pomyślne.

Skóra Ze Starego Szalasu wyszedł z małego tipi następnego ranka. Wyglądał jakoś inaczej niż zwykle przez to, że w którąkolwiek stronę się zwrócił, wzrok miał skierowany na wiele mil przed siebie. Niósł dwa krótkie czarne drążki z pętłami na jednym końcu, ozdobione kruczymi piórami. Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń, zebrał się za nim cały obóz: mężczyźni, kobiety, dzieci i psy. Mówiłem o antylopach przy okazji napotkania poprzedniego dnia tamtego małego stadka przy wodopoju bizonów! potrafią w jednej minucie przebiec milę i mogą się spłoszyć przy każdej zmianie wiatru.

To szybkie zwierzę ma jedną wadę, która utrudnia mu osiągnięcie podeszłego wieku: ciekawość. Pokaż antylopie coś, co trzepocze, a nie potrafi się oprzeć. To jest praktyczna strona tych drążków z pętłami, które niósł Skóra Ze Starego Szalas. Czejenowie nazywali je strzałami na antylopy i rzeczywiście były bardziej śmiertelne, niż gdyby miały żelazne groty, gdyż budziły w tych płochliwych zwierzętach takie zaciekawienie, że antylopy gotowe były narazić się na śmierć, żeby im się tylko przyjrzeć z bliska. Niezależnie od tego wiele rzeczy związanych z polowaniem miało sens wyłącznie magiczny.

Przypuszczam, że przeszliśmy po prerii jakieś trzy mile, wszyscy z wyjątkiem jednej niedołężnej staruszki i wojownika, który nie poszedł, bo miał akurat chandrę. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się na płaskim terenie i Skóra Ze Starego Szalas usiadł na ziemi. Zostawił w obozie swój cylinder, miał natomiast wplecione we włosy dwa orle pióra. Teraz zebrały się przed nim niezamężne kobiety, z których wybrał dwie najtęższe wskazując im strzałami na antylopy, jakby rzucał na nie urok, żeby usiadły obok niego. Jedna dziewczyna była zwyczajnie gruba, ale druga za to tak pyzata, że należało się dobrze przyjrzeć, żeby dostrzec rysy jej twarzy. Oczy miała jak ziarnka maku.

Myśl była taka: użyć tłustej dziewczyny, żeby złapać tłustą antylopę.

Wojownicy, którzy dotąd prowadzili konie, teraz na nie wsiedli, a reszta nas ustawiła się po obu stronach wodza i grubasek tworząc wokół nich półkole. Dwie inne, chudsze dziewczyny nagle wyrwały strzały na antylopy z rąk Skóry Ze Starego Szalas i pobiegły w dwie strony jak ramiona litery V z wodzem u wierzchołka kąta. Ich

śladem ruszyli jeźdźcy, z których dwaj pierwsi, którzy wyprzedzili dziewczyny, zabrali z ich rąk czarodziejskie kije i pojechali dalej wzdłuż ramion V unosząc w górę drażki z trzepoczącymi piórami kruków. Wtedy na małym wzniesieniu o jakieś ćwierć mili przed jeźdźcami i dokładnie na środkowej linii między nimi, prowadzącej do starego wodza ukazała się pojedyncza antylopa. Pasące się antylopy podobnie jak ludzie wystawiają wartowników, którzy dają stadu znaki podnosząc białe ogony jak chorągiewki sygnalizacyjne. Jak sądzisz, co mogła zrobić antylopa-wartownik, kiedy zobaczyła dwudziestu nadciągających w galopie z dwóch stron Czejenów i dużo więcej stojących pośrodku prerii wokół starego Indianina i dwóch grubych dziewczyn?

Otóż ta stała i patrzyła w napięciu. Można było pomyśleć, że uszy wystrzela jej z głowy. Jeźdźcy tymczasem zrównali się z nią. Obejrzała się w lewo i w prawo, ale równe siły emanujące z dwóch boków jakby skierowały jej uwagę z powrotem do środka i nawet z tej odległości widać było, że drży od zadu, chociaż jej żółte policzki i czarny pysk zamarły w zdumieniu.

Skóra Ze Starego Szłasasu siedział pośrodku czerwonego koca, białe końce jego dwóch piór poruszał lekki wiatr. Dwie grube dziewczyny trwały nieruchomo jak dwa kopce ziemi i żaden spośród licznych psów nawet nie otworzył pyska. One też były Czejenami.

Antylopa-wartownik ruszyła przed siebie stawiając delikatnie raciczki, tak jakby każdy krok wynikał z oddzielnej decyzji, a białe pasma sierści na szyi nastroszyły się jak koronkowy kołnierz. Na pagórku za nią wyrósł rząd małych rożków, a po dłuższej chwili ukazały się pod nimi brązowe główki skierowane w naszą stronę. Czołowi jeźdźcy pokonali pagórek wciąż rozszerzając wlot do tworzonego przez siebie korytarza, na którego końcu siedział Skóra Ze Starego Szłasasu w półkolu swojego plemienia. Konnych Indian starczało zaledwie na zaznaczenie boków korytarza, odległości między nimi były takie, że mógł tam przejść cały naród antylop, ale zaczarowane zwierzęta ani myślały o ucieczce.

Przodowniczka poszła truchtem w dół po zboczu, horyzont za nią wypełniały tłoczące się antylopy. Pierwsza przebiegła sto jardów, a nadal nie widać było końca zbitego stada, tworzącego wielką strzałę skierowaną na Skórę Ze Starego Szłasasu. Czejenowie i zwierzęta łączyli się w potężnym rytmie, którego tempo dyktował stary wódz. A muzykę, jak sądzę, musieli pisać sami bogowie. Jeżeli ci nie odpowiada takie spojrzenie na sprawę, to poszukaj innego wyjaśnienia tego, że około tysiąca antylop biegło ku swojej zagładzie. A także skąd Skóra Ze Starego Szłasasu wiedział, że to stado

będzie w tym akurat miejscu, bo nie było tam ani śladu żadnego zwierzęcia, póki on nie usiadł na prerii.

Czołowi jeźdźcy z drążkami i piórami dotarli do końca stada, tam się minęli i zmieniawszy strony przygalopowali z powrotem do Skóry Ze Starego Szalasu, żeby mu oddać magiczne przyrządy. Wokół antylop została zawiązana magiczna pętla i teraz wódz, z różdżkami w dłoniach, zaczął ją zacieśniać.

Wyrzucił w górę ręce i całe wielkie stado ruszyło pędem, jego czoło w odległości jakichś siedemdziesięciu jardów, a koniec jeszcze na pagórku. Dobre trzysta jardów prerii było zatłoczone zwierzyną, zad przy zadzie, a szerokość tej masy na końcu równała się mniej więcej jej szerokości – ogromny falujący klin czystego mięsa. Teraz ruszyliśmy i my, ludzie, wyciągając rogi półksiężyca i zaokrąglając V tak że zmieniło się w U i zwierzęta zmierzały do żywej zagrody złożonej z Czejenów – mężczyzn, kobiet,, dzieci – uszczelnionej rozpostartymi kocami oraz psami.

Stojąc w połowie lewego ramienia zagrody usiłowałem śledzić tamtą pierwszą antylopę, ale znikła mi w zamieszaniu, kiedy inne ją prześcignęły, i wkrótce wszelkie rozróżnienia zatraciły się w młyńcu niezliczonych nóg i chmurze pyłu. Wódz poruszył drążkami, kiedy pierwsze antylopy wbiegły w pułapkę. Skręciły w lewo, ale napotkały zagrodę z Czejenów, potem w prawo, gdzie czekała na nie podobna groza. Wódz skrzyżował dwukrotnie różdżki i oczy pierwszego zwierzęcia poszły ich śladem. Antylopa parsknęła, nogi jej się zaplątały i padła na kolana, tworząc przeszkodę, której napierające zwierzęta nie potrafiły pokonać.

Zator utworzył się tuż przede mną i od tej chwili zapanował już czysty chaos. Zwierzęta wspinały się na siebie, rozbijały sobie nawzajem czaszki, rozpruwały brzuchy, niektóre ginęły po prostu wdeptane w ziemię. Wtedy zbliżyliśmy się do nich i jeźdźcy zamknęli wielki krąg, a każdy miał maczugę, siekierkę albo tylko duży kamień; strzały były na nic do tej roboty z bliska. Powiedziałbym, że zajęło nam dobrą godzinę zatłuczenie na śmierć wszystkich antylop, mimo że pracowaliśmy niestrudzenie, a wiele zwierząt zginęło dzięki własnym staraniom.

Skóra Ze Starego Szalasu ani na chwilę nie wypuszczał z dłoni swoich magicznych drążków gestykulując nimi, aż nie zostało ani jednego żywego zwierzęcia, które mogłoby je widzieć. To było jego zadanie, w rzezi nie brał udziału. Jeżeli chodzi o mnie, to byłem wtedy za słaby, żeby wyrządzić większą szkodę nawet tak delikatnemu zwierzęciu, ale przyłączyłem się do tłumu waląc kamieniem w brązową skórę, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Możliwe, że w zamieszaniu trafiłem raz czy

dwa Młodsze Niedźwiedzia, bo znajdował się w pobliżu. Ten chłopak usiłował skrócić antylopie kark gołymi rękami, tak jak to robili niektórzy silni mężczyźni chwytając zwierzęta za rogi. Nie udało mu się i w końcu wbił jej siekierkę między uszy, a wtedy wytrzeszczone oczy zwierzęcia napłynęły od środka krwią, antylopa wywalila język i umarła.

5. MOJA EDUKACJA. NA CZŁOWIEKA

Może zauważyłeś, że Skóra Ze Starego Szłasasu zaczął swój występ w tej opowieści jako błazen. Muszę powiedzieć, że robił takie wrażenie tylko wśród białych. Wśród Czejenów był kimś w rodzaju geniusza. To on nauczył mnie wszystkiego, co wyniosłem z lat chłopięcych, a co nie wchodziło w zakres sprawności fizycznych, jak jazda konna i strzelanie. Robił to za pomocą opowieści. Przypuszczam, że opowiedział mnie i innym dzieciom setki takich historii, których czasami słuchali też dorośli, bo uważano go za mądrego Indianina i gdyby tak nie było, nie dożyłby swojego podeszłego wieku.

Przytoczę ci dwie z jego opowieści. Jedna z nich uratowała mi życie, kiedy pierwszy raz pojechałem kraść konie. Druga, którą opowiedział na zebraniu rady z Siuksami, da ci najlepsze wyobrażenie o różnicy między czerwonoskórymi a białymi, jakie, można sobie wyrobić nie żyjąc wśród jednych i drugich, tak jak mnie się to przytrafiło.

Kilka śniegów spadło i stopniało od czasu, kiedy przyłączyłem się do Czejenów, i musiałem mieć ze trzynaście lat. Pewnego dnia bawiliśmy się z chłopcami w wojnę i Młodszy Niedźwiedź, który rósł z miesiąca na miesiąc, trafił tępą strzałą chłopaka imieniem Czerwony Pies w czoło z taką siłą, że ten stracił przytomność. Podejrzewam, że mierzył do mnie, ale ja byłem zbyt ruchliwym celem. Nadszedł na to Skóra Ze Starego Szłasasu w towarzystwie Indianina imieniem Dwoje Dzieci, który był nagi, wymalowany od stóp do głów na czarno i wybierał się po skalp wroga zgodnie z jakimś swoim ślubowaniem.

Dwoje Dzieci minął nas pogrążony w transie, ale kiedy Skóra Ze Starego Szłasasu zobaczył nieprzytomnego Czerwonego Psa, pochylił się nad nim i mówi:

— Chodź jeść!

Chłopak ocknął się natychmiast i wódz odesłał go do Kobiety Wodopój Bizonów, żeby go nakarmiła, bo to leczy Indianina prawie ze wszystkiego. Potem mówi do Młodszego Niedźwiedzia:

— Dzielny to wojownik, co chce zabijać swoich przyjaciół.

Młodszy Niedźwiedź strasznie się zawstydział.

Skóra Ze Starego Szalasu rozłożył na ziemi swój koc i wszyscy usiedliśmy wokół niego. Warkoczyki miał oplecione futrem łasicy, a na szyi rodzaj szalika ozdobionego starodawnymi paciorkami z czasów, zanim biali przynieśli swoją szklaną biżuterię. Wytwarzano je z fioletowej części muszli oceanicznych, a ponieważ Czejenowie mieszkali w głębi lądu, musiały, zanim trafiły do wodza, odbyć długą wędrówkę, która zaczęła się pewnie ze sto lat wcześniej, kiedy jakiś nadbrzeżny dzikus w Oregonie albo w Massachusetts otworzył małża, wyssał śliską zawartość i sięgnął po kamienne wiertło, żeby zrobić z muszli coś przemysłnego.

Wódz zaczął:

— Opowiem wam o wojowniku, który kochał swoich przyjaciół. Zdarzyło się to wiele śniegów temu, kiedy byłem jeszcze młody. W tamtych czasach rzadko widywało się u nas karabiny, bo bardzo mało handlowaliśmy z białymi, a inni Indianie nie mieli zamiaru pozbywać się broni palnej, która wpadła im w ręce. Mieliśmy nawet bardzo mało żelaznych grotów do strzał i w bitwach podjeżdżaliśmy blisko do wrogów w nadziei, że zostaniemy trafieni i w ten sposób zdobędziemy więcej grotów.

Roześmiał się i podciągnął nogawicę, żeby pokazać prawą łydkę upstrzoną starymi bliznami.

— Wtedy nie było innego sposobu, żeby je zdobyć. Po konie wyprawialiśmy się zwykle na południe do krainy narodu Węża, bo to najlepsi jeźdźcy i mają najlepsze konie. Mówi się o nich, że spółkują ze swoimi końmi, ale na własne oczy nigdy tego nie widziałem.

Mówił o Komańczach, najlepszych jeźdźcach świata, przewyższających innych Indian, i niezależnie od tego, czy rzeczywiście robili to ze swoimi klaczami, wiem na pewno, że pokrywali swoje kobiety od tyłu jak ogiery, rżąc i parszcząc. Wszyscy byli zwariowani na punkcie koni.

— Czasami nie potrzebowaliśmy tych koni i jechaliśmy tylko powalczyć, bo Węże są dzielnymi ludźmi i przyjemnie jest popatrzeć, jak idą do ataku, zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy słońce jest jeszcze młodzieńcem na niebie. Później, kiedy słońce jest już w średnim wieku, w ich kraju robi się za gorąco i można zrozumieć, dlaczego przed laty Ludzie przepędzili ich tam, a dla siebie zatrzymali to miejsce, które jest doskonałe.

Przy rozmowie o wojnie Skóra Ze Starego Szalasu zawsze się ożywiał. W jednej chwili ubywało mu kilkadziesiąt lat, oczy mu jaśniały, policzki wypełniały się i

autentycznie chichotał, kiedy dochodził do jakichś szczególnie makabrycznych epizodów.

— Pewnego razu wyprawiła się po konie do krainy Wężów grupa sześciu Ludzi: Przyłot Sokoła, Mała Skóra, Złodziej Koni, Żelazna Koszula, Szalony Muł i Mały Człowiek. Był też z nimi Włochaty z plemienia Arapaho które, jak wiecie, zawsze żyło z nami w przyjaźni i zwykle staje obozem razem z Ludźmi. Wyprawa miała początkowo na celu schwytanie dzikich koni, nie zaś okradanie Wężów. W przeciwnym razie nie wzięliby w niej udziału Włochaty, ponieważ Arapahowie zawarli tego roku pokój z Wężami. W pobliżu źródeł rzeki Washita nasi ludzie trafili na ślad wielkiego obozu Wężów i postanowili napaść na nich w nocy, mimo że nie mieli karabinów, a tylko resztkę strzał i nie mogliby długo walczyć, gdyby Wężowie ich potem dogonili. Doszli pod obóz i ukryli się do zmroku. Potem podczołgali się i ukradli stado pięknych koni. Włochaty nie brał udziału w napadzie ze względu na traktat jego plemienia z Wężami. Czekał w pobliżu i pilnował koni Ludzi, a kiedy przyprowadzili stado, pojechał z nimi. Jechali całą noc i pół dnia bez przerwy, aż słońce znalazło się tak wysoko, że mogło zajrzeć przez otwór dymowy do szałasów. Dotarli wtedy do Śmierdzącego Potoku, z którego mogły pić konie, ale ludzie nie. Napoili więc stado. Pędząc ukradzione konie nie mogli jechać prędko i zanim zdążyli wyruszyć znad Śmierdzącego Potoku, nadciągnęli Wężowie w takiej masie, że przypadało ich więcej niż dziesięciu na jednego Człowieka licząc w to Włochatego. Nasi dosiedli swoich koni i wjechali na mały pagórek, tam zabili zwierzęta, żeby zrobić szaniec, zdjęli koszule i nogawice, i śpiewając pieśni szykowali się na śmierć. Zanim Wężowie zaatakowali, ich wódz imieniem Księżyc podjechał blisko, żeby go było dobrze widać i powiedział gestami: „Ty Bardzo Tatuowany — tak Wężowie nazywają naszych przyjaciół Arapaho — dlaczego kradniesz konie z Ogołonymi Strzałami? Nasze plemiona zawarły pokój. Czy jesteś złym człowiekiem?” Włochaty wstał i odpowiedział: „Nie byłem w waszym obozie i nie ukradłem waszych koni. To są moi przyjaciele. Mieszkałem z nimi, jadłem z nimi i walczyłem ramię w ramię z nimi. I chociaż to prawda, że nie mam zwady z wami, myślę, że jest dziś dobry dzień, żeby umrzeć razem z nimi.” „Słyszałem cię”, odpowiedział znakami Księżyc i dołączył do swoich ludzi, po czym zaatakowali pagórek zabijając Żelazną Koszulę, Przyłot Sokoła i Małą Skórę, ale pozostała czwórka biła się tak dzielnie, że Wężowie wycofali się straciwszy kilku swoich, a kilku mając rannych. Potem zaatakowali znów, tym razem nie wszyscy, tylko około dziesięciu, i Włochaty zginął przebity włócznią, ale zanim został stratowany, zdołał przebić

ostatnią strzałą gardło swojego zabójcy. Wąż spadł z konia uczepiwszy się grzywy, a koń stając dęba i wierzgając kopnął w brzuch Szalonego Muła i drugi Wąż wychylił się w galopie i rozbił mu głowę maczugą. Także Złodziej Koni odniósł ciężką ranę i wkrótce umarł. Pozostał przy życiu tylko Mały Człowiek, który już nie miał strzał. Musiał czekać, aż jakiś Wąż strzeli do niego, żeby móc wyciągnąć strzałę z ciała i mieć czym strzelić samemu. Tym sposobem zabił jednego z jeźdźców, a drugiego zranił, kiedy szarżowali przez pagórek. Teraz jednak Wężowie nadjeżdżali z przeciwnej strony i sześciu czy siedmiu nacierało na niego z krótkimi włóczniami. Pierwszy Wąż właśnie wjeżdżał na szczyt, kiedy Mały Człowiek złapał koc ze stosu odzieży odrzuconej przez naszych i krzyżąc „Hu, hu, hu!” machnął nim przed głową konia, który przestraszony zбочył z linii ataku o tyle, że włócznia nie trafiła Małego Człowieka, robiąc tylko dziurę w kocu. Chwyciwszy jeźdźca za pas Mały Człowiek zwałił go z konia. Zanim Wąż spadł na ziemię, Mały Człowiek zdążył trzy razy przeciągnąć mu nożem po gardle, ale nie mógł zdjąć mu skalpu, bo już nadjeżdżali następni Wężowie. Wskoczył na konia i zdobyczną włócznią zrobił wśród nich takie jatki, że cofnęli się tam, gdzie na prerii czekały ich główne siły. Mały Człowiek jeździł po pagórku śpiewając pieśń śmierci, a Wężowie tymczasem odbywali naradę. Wreszcie podjechał do niego Księżyc i gestami powiedział: „Jesteś dzielnym człowiekiem. Odebraliśmy konie, które nam ukradliście i nie chcemy dalej walczyć. Możesz jechać do domu.” Ale Mały Człowiek odpowiedział: „Nie słyszę cię.” Księżyc odjechał do swoich i Wężowie przypuścili jeszcze jeden atak, tym razem w dwudziestu, i Mały Człowiek zabił włócznią kilku, sam pozostając nietknięty. Teraz Wężowie przestraszyli się już na dobre, bo nigdy dotąd nie próbowali walczyć przeciwko tak potężnym czarom. Księżyc znów wyjechał przed wszystkich i pokazał gestami: „Jesteś najdzielniejszą Ogoloną Strzałą, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Zatrzymaj konia, na którym siedzisz, i włócznię, damy ci też drugiego konia. Wracaj do swoich. Nie chcemy więcej walczyć.” „Nie, dziękuję — odpowiedział Mały Człowiek. — Wszyscy moi przyjaciele zginęli, łącznie z tym, który dochował wierności Ludziom, mimo że sam był Arapaho. Bez przyjaciół siedziałbym całymi dniami i płakał. Zabijcie i mnie także. Dziś jest dobry dzień, żeby umrzeć.” Powiedziawszy to Mały Człowiek podniósł włócznię nad głowę i wykrzykując nazwę swojego plemienia oraz zawołanie bojowe rzucił się na całą siłę Wężów. Księżyc był dzielnym wodzem, ale kiedy zobaczył Małego Człowieka galopującego i wznoszącego przeraźliwe okrzyki, przestraszył się, i chciał uciec. Mały Człowiek dogonił go jednak i wbił mu włócznię do połowy w ciało,

gdzie pozostała. Mały Człowiek wyciągnął nóż i kontynuował szarżę na rozstępującą się przed nim armię Wężów. Pędził wśród nich jak trąba powietrzna kłując i tnąc na wszystkie strony z taką zaciekłością, jakby każdy jego palec był nożem, i Wężowie wyli ze strachu, choć są to dobrzy wojownicy. Wreszcie jakiś Wąż z karabinem strzelił Małemu Człowiekowi w plecy, a kiedy ten spadł na ziemię, odcięli mu głowę. Wtedy jednak ciało Małego Człowieka wstało i znów rzuciło się do walki z nożem, którego nie wypuściło z dłoni. Głowa zaś, zatknięta na włóczni, zaczęła znów wydawać okrzyki wojenne. Tego już było dla Wężów za wiele. Uciekli co koń wyskoczy, a ci, którzy się obejrzel, widzieli bezgłowe ciało Małego Człowieka ścigające ich z nożem w dłoni. Potem, kiedy znaleźli się poza jego zasięgiem, ciało wróciło na szczyt pagórka i położyło się wśród przyjaciół. Nikt nie wie, co się stało z głową, porzuconą przez wojownika, który niósł ją na włóczni, kiedy zaczęła krzyczeć. Księżyc przeżył, ale chodził zgarbiony jak bizon do końca życia. Ucieczka nie okryła go hańbą, bo Mały Człowiek rozporządzał tego dnia czarami, którym żaden Wąż nie mógł stawić czoła. Księżyc sam opowiedział mi tę historię w późniejszych czasach, kiedy nasze plemiona zawarły pokój. Wężowie odnaleźli też brata Małego Człowieka i dali mu obiecane konia, żeby móc jeździć do miejsca, gdzie zginął Mały Człowiek, bez strachu, że zostaną napadnięci przez jego ciało.

Od tamtej nocy, kiedy Caroline wymknęła się z obozu, nie widziałem białego człowieka. Pewnego razu obozowaliśmy nad rzeką Niespodzianką i polując z chłopakami na dzikie kury, dostrzegliśmy w odległości kilku mil jakieś poruszające się przedmioty, które wziąłem za bizona, ale Mały Koń swoimi indiańskimi oczami zobaczył, że to biali ludzie, że jeden ma żółte włosy, jest uzbrojony w strzelbę i jedzie na gniadym koniu, który lekko utyka na lewą przednią nogę, a drugi ma brodę i jedzie na srokaczu odparzonym od siodła. Zobaczył też, że zabłądzili, ale gniadosz zwęszył już wodę i wkrótce dojadą do rzeki, i będą wiedzieli, gdzie są. W związku z tym pojechaliśmy w przeciwną stronę.

Mieliśmy powody, żeby się nie śpieszyć do spotkań z białymi: zaczęły one przynosić Czejenom pecha. Pamiętasz, co się wydarzyło przy karawanie mojej białej rodziny: niektórzy Czejenowie omal nie pozabijali innych Czejenów. Złe rzeczy działy się też co jakiś czas w forcie Laramie, gdzie trochę Indian zawsze obozowało w celach handlowych. Jakiś młody człowiek mógł się upić i strzelić sobie do żołnierza albo uciec z paroma końmi. Albo kiedyś pewien Siuks natknął się na starą, chorą krowę,

która odbiła od karawany, i zabił ją dla skóry. Oburzone tym do żywego wojsko zaatakowało obóz Indian i pewna liczba osób po obu stronach straciła życie.

Staliśmy w odległości sześćdziesięciu siedmiu mil od Laramie nad strumieniem Pióropusz Wojenny w czasie tego zajścia, ale dowiedzieliśmy się o nim bardzo szybko. Pewien Minnekondzu, czyli rodzaj Siuksa albo Lakota, przyjechał i odbył naradę ze Skórą Ze Starego Szłasasu, Garbem i resztą naszej starszyny. Każdy może przyjść na taką naradę i zabrać głos, byle nie głupio, ale zazwyczaj mówią wodzowie, bo są mądrzejsi i dlatego właśnie są wodzami.

Na szczęście z Minnekondzu był ktoś, kto znał czejeński, bo chociaż Ludzie i Siuksowie są sojusznikami od pokoleń, to mówią zupełnie różnymi językami i zazwyczaj porozumiewają się w języku gestów, jakby mieli nie więcej wspólnego niż Portugalczyk i Rosjanin. Ten człowiek więc służył za tłumacza.

Wielki Łoś, ten Minnekondzu, wstał i opowiedział, co się zdarzyło w Laramie, kończąc słowami:

— Spotkałem wielu Wasiczu — (tak Siuksowie nazywają białych) — piłem ich kawę i jadłem ich melasę, która jest dobra.

W tym miejscu liczni Czejenowie siedzący wokół tipi mruknęli „hou,hou”.

— Ale nigdy nie rozumiałem, po co przybyli do naszego kraju — ciągnął Wielki Łoś. — Na początku było tylko niewielu tych bezdomnych biedaków, więc Lakotowie ulitowali się nad nimi, i dali im jeść. Potem przyszło ich wielu z tym brzydkim bydłem, którego nie można jeść, bo straciło jądra i ma twarde mięso, a nadaje się tylko do ciągnięcia wozów Wasiczu, które są pełne niepotrzebnych rzeczy z wyjątkiem kawy, cukru i żelaznych obręczy na beczkach, z których można zrobić groty do strzał. Kobiety Wasiczu są słabowite i kto do nich podejździe, ten kicha. Potem przyszli żołnierze z wielkimi, słabymi końmi. Mężczyzna u nich nie ma żony dla siebie, ale dzieli się kilkoma kobietami, którym trzeba dawać prezent za każdym razem, jak się z nimi kładzie. Jeżeli Wasiczu zrobi coś, co nie podoba się innym Wasiczu, obwiązują mu szyję sznurem i zrzucają go z wysokiego miejsca, żeby wyciągnąć mu ducha z ciała. Mówią o wielkich wsiach, jakie mają w miejscu, gdzie wschodzi słońce, ale jeżeli to prawda, to dlaczego przyjeżdżają do naszego kraju i płoszą bizony? Powiem wam dlaczego: Wasiczu są chorzy i jeżeli kiedyś mieli te wielkie wsie, którymi się chwalą, to wszyscy w nich umarli od kładzenia się z tymi chorymi kobietami i od jedzenia

boczku, który śmierdzi, a teraz ich resztki przybyły tutaj, i jeżeli ich wszystkich nie pozabijamy, zarażą Lakotów i naszych przyjaciół Szyela.

Tak Siuksowie nazywają Czejenów.

Wielki Łoś usiadł, podrapał się, gdzie go gryzły wszy, drugi Siuks przemówił w tym samym sensie i wtedy podniósł się nasz Garb. Nie był wielkim oratorem, ale niewątpliwie świetnie rozumiał praktyczną stronę zagadnienia.

— Jeżeli mamy walczyć z białym, powinniśmy mieć karabiny i proch. Tyle karabinów, prochu i kul, ile potrzebujemy do walki z białym, możemy znaleźć tylko u białego. Nie myślę, że zechce nam je podarować, kupić ich nie mamy za co, nawet gdyby zechciał je nam sprzedać do tego celu, i na pewno nie możemy mu ich odebrać, bo gdybyśmy mogli to zrobić, to nie potrzebowalibyśmy karabinów, prochu i kul.

Garb zastanawiał się przez chwilę otwierając i zamykając usta, gdyż nos miał na stałe zatkany po uszkodzeniu, jakiego doznał przy wozach.

— Nie wiem też, czego biali tu szukają. Myślę, że mogą być szaleni. Myślę, że lepiej trzymać się od nich z daleka, skoro nie mamy karabinów, prochu i kul.

Wielki Łoś wstał powtórnie i powiedział:

— W forcie był młody wódz żołnierzy, który mówił, że z dziesięcioma żołnierzami mógłby zetrzeć z powierzchni ziemi cały naród Szyelasów, a z trzydziestoma żołnierzami, wszystkie narody z równin. Ale my, Minnekondzu, z kilkoma Oglala starliśmy jego z powierzchni ziemi. Jego obrączkę noszę teraz na rzemieniu na szyi. Miałem też jego palec, ale go zgubiłem.

Wreszcie zabrał głos Skóra Ze Starego Szalasu, posługując się falsetem, jakiego wymagała sztuka oratorska. Jego zdania rodziły się w głębi piersi, ale wychodziły wysokie i drżące po przejściu przez ściśnięte gardło. Słuchając tego za pierwszym razem, można było pomyśleć, że biedaczysko się dusi, ale jak się złapało ten styl, to rzecz robiła wrażenie.

Przez chwilę prawił komplementy temu Minnekondzu i Lakotom. Potem przypomniał im czejeńską teorię, że Czejenowie zamieszkiwali Czarne Wzgórza i mieli dużo koni, kiedy przybyli tam Siuksowie tak biedni, że bardziej już nie można, tylko z jucznymi psami. Ludzie zlitowali się nad nimi i dawali im co jakiś czas parę koni, dzięki czemu Siuksowie mogli zostać tym wspaniałym plemieniem, jakim są dzisiaj.

— Co zaś do białych — powiedział po jakiejś godzinie — to pierwszy z naszego ludu zobaczył ich dziadek mojego dziadka. Nazywał się Chodzący Po Ziemi. W owych

czasach Ludzie mieszkali nad jeziorem Nie Widać Drugiego Brzegu w domach z gliny i uprawiali kukurydzę. Pewnego dnia Chodzący Po Ziemi i kilku innych Ludzi tropili niedźwiedzia nad potokiem i znaleźli ślady innego zwierzęcia, jakich nigdy przedtem nie widzieli. Te nowe ślady były prawie tej wielkości co niedźwiedzie, ale nie miały palców, tylko były zaokrąglone i gładkie. Nasi ludzie uznali, że zrobiło je wodne zwierzę, które ma palce połączone, żeby lepiej pływać. Doszli po śladach do polany w lesie i tam zobaczyli sześć tych nowych zwierząt i niedźwiedzia grizzly, który też je tropił. Nowe zwierzęta wydały się naszym ludziom bardzo dziwne. Każde miało inny rodzaj futra albo skóry i inny kształt głowy. Nasi ludzie myśleli, że to krewniacy albo nawet dzieci niedźwiedzia, bo tak samo wspinały się na tylne łapy, miały grube ciała i używały przednich łap jak rąk. Po chwili jednak niedźwiedź rzucił się na te nowe zwierzęta i kilka z nich wyciągnęło spomiędzy nóg swoje członki, które były dłuższe niż ich ręce, przyłożyło je do ramion i z wielkim hukiem wystrzeliło z nich ogniem i dymem do niedźwiedzia, który padł martwy. Nasi ludzie przestraszyli się okropnie i uciekli przez las do wsi, żeby opowiedzieć o tym pozostałym, a ci byli tak poruszeni, że musieli zobaczyć te nowe zwierzęta na własne oczy. Wtedy wszyscy wojownicy wrócili na polanę, gdzie siedziały te zwierzęta i oglądali je ukryci w krzakach. Jedno ze zwierząt pozbyło się skóry i głowy, i nasi ludzie zatkali usta ze zdumienia. Bo bez futra zwierzę wyglądało zupełnie jak człowiek, tylko białe i z włosami na twarzy. Umyło się w strumieniu i założyło z powrotem skórę, i wtedy nasi ludzie zrozumieli, że to, co wzięli za skórę zwierzęcia, było jego ubraniem. Część zwierząt miała włochate twarze i nasi ludzie uznali, że są to samce, a te z gładkimi twarzami to samice. Zobaczyli też, że strzelające błyskawicami kije nie są członkami tych zwierząt, tyle że stojąc trzymały je czasem między nogami i dlatego tak to wyglądało. Nasi ludzie wycofali się w głąb lasu i odbyli radę. Głodny Niedźwiedź powiedział: „Myślę, że nie trzeba niepokoić ani drażnić tych zwierząt, bo są bardzo dziwne i nie wiadomo, co mogą zrobić.” Czarny Wilk, który nie był z tą pierwszą grupą i nie widział strzałów, powiedział: „Moglibyśmy je łatwo pozabijać, ale nie wydaje mi się, żeby to białe mięso mogło być dobre, choć ze skóry byłyby ładne koszule.” Ale Chodzący Po Ziemi, który był bardzo mądry, powiedział: „Te zwierzęta nie są Ludźmi, ale są też istotami ludzkimi. Znacie starą przepowiednię naszego wielkiego bohatera Słodkie Lekarstwo, że któregoś dnia pojawi się wśród nas nowy lud o białej skórze i dziwnych obyczajach. Przepowiedział też, jak pamiętacie, że ci nowi przyniosą nam nieszczęście. Ale teraz, kiedy oni już tu są, lepiej, że my ich znaleźliśmy, niż gdyby oni mieli nas zaskoczyć. Powinniśmy

zrobić tak: ja wejdę do ich obozu i przyjrzę im się z bliska. Wy będziecie patrzeć z zarośli. Jeżeli białe istoty rzucą się na mnie, będziemy musieli z nimi walczyć i ktoś pójdzie do wsi powiedzieć kobietom i dzieciom, żeby się ukryły. Jeżeli nic mi nie zrobią, to kilku z was też może przyjść do obozu."

Chodzący Po Ziemi rozebrał się do przepaski i wyszedł samotnie na polanę. Pierwsza biała istota, która go zobaczyła, podniosła kij z błyskawicami, ale inna, bez włosów na twarzy, wysunęła się przed nią i wyciągnęła rękę do Chodzącego Po Ziemi. Dziadek mojego dziadka stanął i spojrzał jej w oczy, bo nasi ludzie nie słyszeli wtedy jeszcze o ściskaniu dłoni. Inni biali otoczyli Chodzącego i nasi ludzie w zaroślach zaczęli naciągać łuki, ale zobaczyli, że biali nie chcą zrobić krzywdy Człowiekowi, tylko uśmiechają się do niego i mówią, więc kilku wyszło z krzaków i wkroczyło do obozu.

Okazało się, że osoby z gładkimi twarzami są też mężczyznami tak samo jak ci zarośnięci. Jeden z nich miał na szyi złoty krzyż i kiedy zdjął kapelusz, okazało się, że ma na głowie gołą skórę tylko z półkolem włosów koło uszu. Ten złożył dwa kije na krzyż i wbił w ziemię, wtedy wszyscy biali uklękli, a łysy zamknął oczy, złożył dłonie i mówił. Potem biali pokazywali Ludziom swoje kije z grzmiotem i błyskawicą i pozwalali im pociągać za spust, ale nasi ludzie wciąż bali się strzałów. Ci pierwsi biali ludzie mieszkali tam przez jeden księżyc i zaczęli budować kanciasty dom z pni drzew. Nasi ludzie odwiedzali ich codziennie, a człowiek z krzyżem dawał im prezenty i pokazywał, że mają klękać, kiedy on przemawia do skrzyżowanych kijów, które były jego czarami, i Ludzie przez grzeczność klękali. Ale pewnej nocy, podczas gdy połowa białych spała, druga połowa pozabijała ich, zabrała wszystkie rzeczy, dom spaliła i poszła do Wielkiej Wody, gdzie wsiadła w łódź i odpłynęła. Taka jest prawda, jaka doszła do mnie — powiedział Skóra Ze Starego Szłasasu. — I to samo zdarzało się wiele razy później, ilekroć pojawiali się biali ludzie. Oni nie lubią się nawzajem i prędzej czy później jeden drugiego zabija, i zwykle nie w bitwie, jak robią nasi ludzie, żeby udowodnić swoją dzielność, uradować się odważną śmiercią naszych wrogów i samemu zginąć w dobrym dniu, ale przez strzał w plecy albo powieszenie za szyję, albo zarażenie drugiego kaszlącą chorobą, i wrzodami, albo doprowadzenie do tego, że straci głowę od whisky. Ale, jak powiadam, oni są biali i nie tacy jak my, i może mają jakieś powody, że postępują w taki sposób, którego nie można zrozumieć, jeżeli nie jest się białym. Jeżeli mnie zaatakują, będę się bronić, ale dopóki się da, będę ich unikać.

Wtedy właśnie przenieśliśmy się nad rzekę Proch, chociaż bez pośpiechu, i najpierw udaliśmy się na południe, gdzie nad rzeką Niespodzianką zapolowaliśmy na bizona. W tamtych czasach nie było jeszcze linii kolejowej i białych myśliwych, i spotykało się stada liczące setki tysięcy sztuk, może milę kwadratową albo i więcej zajmowały zwierzęta tak stłoczone, że nie było widać trawy. Czejenowie wywoływali wśród nich panikę i walili sztukę za sztuką, strzałami albo włóczniami, co nie robiło widocznej różnicy w rozmiarach stada. Potem przychodziły kobiety dzielić mięso i po skończeniu pracy ciągnęły użyteczne części do obozu na skórach, które potem oczyszczano i rozpinano do suszenia na płaszcze lub pokrycia szałasów. Jedliśmy gotowane ozory i pieczone mięso z garbów, najlepsza wyzerka na świecie, w porównaniu z którą twój najlepszy befsztyk smakuje jak przypalona zelówka. Ale dziś to wszystko należy do przeszłości.

Otóż nad rzeką Proch rzeczywiście nie było białych, ale w okolicy mieszkali Indianie z plemienia Kruków. Czejenowie w zasadzie wojowali z Krukami, ale zawarli z nimi pokój kilka lat wcześniej, kiedy rząd zebrał większość zwaśnionych plemion nad Końskim Potokiem na wschód od Laramie i kazał im podpisać traktat, że nie będą więcej walczyć. Wszystko działało doskonale między plemionami, które nigdy nie miały z sobą kontaktu, ale nie utrzymało się długo, jeżeli plemiona się znały. Walka z Paunisem była dla Czejena czymś naturalnym. A kto nie walczy, ten zmienia się w babę.

To samo dotyczyło Kruków, którzy, nawiasem mówiąc, żyli w przyjaźni z białymi szcycąc się, że nie zabili ani jednego białego i dlatego pozwolono im pozostać w ich kraju. Krukowie dzielnie walczyli z Czejenami i Siuksami, ale kiedy służyli jako zwiadowcy Kawalerii Stanów Zjednoczonych, często stawali się tchórzami. Nie wiem dlaczego.

W każdym razie, zanim jeszcze dotarliśmy do rzeki Proch, nasi ludzie, którzy wyruszyli na przespiegi, przynieśli wiadomość, że nad potokiem Wariatka znajduje się wielki obóz Kruków.

— Jeżeli to jest duży obóz, to musi tam być dużo koni — zauważył Garb.

Cień Który Się Pokazuje, jeden ze szpiegów, powiedział:

— Ci Krukowie są bardzo bogaci w konie. Mają najpiękniejsze, jakie w życiu widziałem. Siedziałem przez cały dzień w krzakach po to tylko, żeby patrzeć na te konie.

— Usłyszałem cię — odparł Garb i westchnął. Potem całą grupą poszli porozmawiać ze Skórą Ze Starego Szłasasu i my, chłopcy, też poszliśmy za nimi.

— Czy potrzebne wam są konie? — spytał wódz, kiedy go wprowadzono w sprawę.

Cień skinął głową z wielkim smutkiem i powiedział:

— Nigdy jeszcze nie byłem tak biedny.

Skóra Ze Starego Szłasasu zadał to samo pytanie innym i otrzymał tę samą odpowiedź. Wtedy przemówił zapuszczając rękę pod koc:

— Dostałem ten medal za to; że postawiłem swój znak na papierze pokoju między nami a Krukami. Jest na nim twarz Ojca, który mieszka w głównej wsi białych. Powiedziałem, że nie będę walczyć z Krukami, dopóki świeci słońce, i nie mówię w dwie różne strony. Ale żaden z was nie postawił swojego znaku na tym papierze i żaden z was nie ma tego medalu. Myślę, że Ojciec nie wie, kim jesteście. Ja sam najlepiej lubię konie dwubarwne.

O zmierzchu uformowała się grupa wypadowa: Cień Który Się Pokazuje, Zimna Twarz, Żółty Orzeł, Ptak Niedźwiedź i Długa Szczeka. Była jesień, noce robiły się chłodne, ale oni oczywiście rozebrali się do goła, żeby żadne ubrania nie krępowały im ruchów przy szybkiej pracy; My, chłopcy, kręciliśmy się spełniając drobne posługi przy tych mężczyznach, których tak podziwialiśmy, to naostrzyliśmy nóż, to wypełniliśmy kołczan strzałami, kiedy Młodszy Niedźwiedź podszedł do Cienia i powiedział:

— Jestem gotów.

— Dobrze — odpowiedział nie patrząc na niego Cień, który poprawiał mokasyny.

Na to Młodszy Niedźwiedź:

— Ćwiczyłem dużo razy wykradając mięso kobietom.

Mówił o naszej zabawie, która jak wszystkie inne przygotowywała nas do poważniejszych zadań: kobiety kroili mięso bizonów w cienkie pasy i rozwieszały je na rzemiennych linkach do suszenia, a my podczołgiwaliśmy się i ściągaliśmy je, przy czym każdy kawałek mięsa oznaczał jednego konia. Jeżeli kobieta cię zobaczyła, uderzała cię lekko kijem i wypadałeś z gry. Prawdę mówiąc Młodszy Niedźwiedź należał do najgorszych w tej grze. Jego specjalnością była raczej siła niż zręczność.

Jednak miał już czternaście lat i nie zniósłby tego, żeby go dłużej traktowano jak chłopca.

— Dwa dni temu zabiłem bizona — ciągnął.

Wszyscy o tym wiedzieli, bo jego ojciec po polowaniu chodził i śpiewał o tym po całym obozie, a potem wydał ucztę.

— Słyszałem — powiedział Cień. — Możesz iść.

— Jestem najsilniejszym chłopcem w obozie — mówił Młodszy Niedźwiedź.

— A także dużo gadasz — wtrącił Zimna Twarz, który zawiązywał sobie za uchem mały woreczek z czarami na szczęście. — My tu zostaniemy, a ty pójdziesz i wygłosisz przemówienie do Kruków, którzy lubią pyskaczy.

— Możesz iść — powiedział Cień — pod warunkiem, że więcej się nie odezwiesz. My, Ludzie jesteśmy najwspanialszym narodem na ziemi. Mamy najdzielniejszych wojowników, najpiękniejsze i najwierniejsze kobiety, i mieszkamy w najlepszym miejscu. Wiedzą to wszyscy, nawet nasi wrogowie. Ludzie po prostu są i nie muszą nic na ten temat mówić.

Ta przemowa rozżłościła mnie jeszcze bardziej, niż to, że Młodszy Niedźwiedź zgłosił się na wyprawę. Polubiłem Czejenów i w tym czasie czułem się, jakbym był naprawdę ich dalekim krewnym, ale ilekroć natykałem się na tę ich butę, przypominałem sobie, że jestem w gruncie rzeczy biały. Najwspanialszy naród na ziemi! Chryste, nie mieliby nawet żelaznych noży, gdyby Kolumb tu nie zabłądził. A kto sprowadził tu konie, pytam się?

Stałem obok Małego Konia i szepnąłem mu na ucho:

— Idę.

— Ja nie — odpowiedział i wyszedł z szalasu Cienia. Była to pierwsza zapamiętana przeze mnie wskazówka co do jego przyszłej drogi życiowej.

Wtedy podszedłem do mężczyzn i spytałem:

— Czy mogę pójść?

Byłem w nieodpowiednim stanie umysłu do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia, przy którym potrzebna jest solidarność, ja zaś przyłączałem się na przekór moim kolegom. Czejenowie spojrzeli na mnie, potem na siebie. Miałem trzynaście lat, postawę kurczaka, a także rude włosy, niebieskie oczy i skórę, która choć brudna, opalona i podrapana była mimo to biała jak rybi brzuch.

Mogło im wtedy przyjść do głowy, że Krukowie są w przyjaźni z Amerykanami i że jest dość nierozsądnie zabierać na wyprawę, która prawie na pewno skończy się dla niektórych tragicznie, kogoś, czyja lojalność nie jest potwierdzona więzami krwi. Nie mówiąc już o nie sprawdzonym dzieciaku.

Ale Cień powiedział: „Dobrze.” Daj Indianinowi wybór, a on bez wahania wybierze wariant lekkomyślny: ma skłonność do pozwalania każdemu, żeby robił to, na co ma ochotę. Zwłaszcza Czejenowie, którzy nie znają ceremonii inicjacyjnych dla chłopców. Jak chcesz być mężczyzną, to próbuj robić to, co robią mężczyźni, i nikt ci w tym nie będzie przeszkadzać oprócz wroga.

6. NOWE IMIĘ

Zdjąłem nogawice i koszulę i wysmarowałem się cały czarną farbą, żeby biała skóra nie zdradzała mnie w świetle księżyca. Wtedy zjawił się znów Mały Koń ciągnąc skórę czarnego wilka, która była tak duża, że mogłem cały wejść do środka i prawie nic nie wystawało. I o to chodziło: głowa wilka przykrywała moją, a wyglądałem przez otwory po oczach.

Wyruszyliśmy w siedmiu, jak tylko zapadła noc, i przebyliśmy kłusem dwadzieścia mil po równinie, a następne trzy mile przeszliśmy pieszo prowadząc konie. Większość tego ostatniego odcinka drogi wiodła przez teren pocięty wąwozami i zarośnięty krzakami, a jedynym źródłem światła był półksiężyc, któremu towarzyszyła jak abażur nieodłączna chmura. Mógłbym zobaczyć najwyżej swoją wyciągniętą rękę, gdybym jej nie pomalował na czarno. Jednak Ciebie poruszał się pewnie, jakby to był biały dzień, a ja, o trzech ludzi za nim, pozwalałem się prowadzić swojemu koniowi.

Tak dotarliśmy do głębokiego jaru, który schodził do potoku Wariatka, a po drugiej stronie wody stały szałas Kruków i każdy świecił jak latarnia od ognia w środku, bo skórzane pokrycie im starsze, tym bardziej upodabnia się do parafinowanego papieru i czasami można stojąc w nocy na zewnątrz rozpoznać ludzi w środku. Tym razem byliśmy jednak za daleko, a to, co zobaczyłem, wyglądało jak piękna zabawka, i wiatr wiejący stamtąd do nas niósł zapach pieczeni. Nie jedliśmy przez cały dzień, bo nie napycha się żołądka, kiedy się idzie kraść konie. Żółty Orzeł obok mnie pociągnął nosem i powiedział:

— Może powinniśmy najpierw złożyć im wizytę? — Moglibyśmy wejść do obozu pokojowo i wtedy Krukowie musieliby nas nakarmić, bo takie są indiańskie obyczaje.

— Zostawimy tu konie — szepnął Ciebie Który Się Pokazuje dotykając mnie i Młodszy Niedźwiedź — a ty i ty będziecie ich pilnować.

Ja nie miałem nic przeciwko temu, ale Młodszy Niedźwiedź zaczął tak gwałtownie protestować, że prawie się rozplakał. Co rozzłościło Żółtego Orła. Nie znałem go dobrze, bo dołączył do naszego obozu zaledwie przed kilkoma miesiącami, ale posiadał dużo skalpów i karabinek kapiszonowy, co wtedy było rzadkim artykułem wśród Czejenów. Przez długi czas stanowił on jedyną broń palną w naszej gromadzie i

w dodatku niezbyt użyteczną z powodu braku kapiszonów, gdyż tak jak powiedział Skóra Ze Starego Szalasu, unikaliśmy białych, nawet handlarzy. Gdzie indziej jednak Siuksowie i inne grupy Czejenów nawiązywały pewne kontakty z Amerykanami na Szlaku Oregońskim zabierając emigrantom kawę bez czekania na zaproszenie, czasami przy okazji zabierając też wszystko inne. Zauważyłem w kolekcji Żółtego Orła skalpy zbyt jasne na to, żeby mogły pochodzić od Paunisa lub Węża. Karabinek pochodził zapewne z tego samego źródła.

Orzeł obruszył się na niewłaściwość zachowania Młodszego Niedźwiedzia.

— Mając za sobą tyle śniegów — złażał go — powinieneś rozumieć, że wśród Ludzi doświadczony wojownik lepiej wie, jak kraść konie, niż chłopak. Nie ma to nic wspólnego z tym, czy ktoś jest odważny, czy nie, bo żaden Człowiek nigdy nie był tchórzem. Masz tu zostać, bo ktoś musi pilnować koni, co jest równie ważnym zadaniem, jak pójście do obozu Kruków, i wiesz, że podzielimy się równo tym, co ukradniemy. Nie słyszę, żeby Mała Antylopa narzekał. Jest lepszym Człowiekiem niż ty, chociaż to biały.

Nikt więcej się nie odezwał, Żółty Orzeł też mówił szeptem. Mimo to zapadła straszliwa cisza, jak po wielkiej wrzawie. Młodszy Niedźwiedź popełnił błąd, ale Orzeł jeszcze większy. Od dnia kiedy dołączyłem do plemienia, nikt nigdy nie wspomniał o mojej rasie, nawet Niedźwiedź, który pałał do mnie nienawiścią. Tego się nie robi, z tego nie może wyjść nic dobrego, jak mówią Indianie, i Żółty Orzeł natychmiast zrozumiał swój błąd.

— Tego nie wolno było mówić — powiedział. — Zły duch pokierował moim językiem.

Ubierałem się właśnie w wilczą skórę, którą zrzuciłem na czas jazdy; ustawiałem dziury po oczach tak, żeby móc przez nie patrzeć. Było ciemno i wszystko wydawało się jakieś kosmate.

— Nie mam ci tego za złe — pocieszyłem go — bo jesteś od niedawna w naszym obozie.

— Myślę, że to nie jest odpowiednia noc na kradzież koni — zauważył Cię i szykował się, żeby wsiąść na konia, a pozostali pomrukami wyrazili zgodę i poszli w jego ślady.

— Nie — powiedział Żółty Orzeł. — Zabiorę ze sobą pecha, którego przyniosłem. — Po czym wskoczył na konia i odjechał w kierunku, z którego przybyliśmy.

— Zostanę i będę pilnować koni — powiedział skruszony Młodszy Niedźwiedź ze spuszczoną głową. — Z nim — mając na myśli mnie.

Wziął uzdy trzech koni, ja tyle samo i, żeby nas nie było widać w świetle księżycy, przesunęliśmy się do lewej ściany wąwozu, który miał w tym miejscu siedem do ośmiu stóp głębokości, w sam raz, żeby ukryć konie i ludzi przed kimś znajdującym się na równinie powyżej. Czwórka dorosłych Czejenów wyruszyła do obozu Kruków jarzącego się na drugim brzegu. Po minucie znikli nam z oczu, a po dwóch przestaliśmy ich słyszeć. Wkrótce księżyc pozbył się wreszcie swojej chmury i rozjaśnił nieco, choć nie tyle, żeby rzucać cień.

Usiadłem w swoim wilczym przebraniu, z którego byłem zadowolony choćby dla jego ciepła, i wcale nie żałowałem, że nie jestem w drodze do obozu. Z drugiej strony, gdybym musiał iść, nie znalazłbym lepszej kompanii niż ta czwórka. Zacząłem odczuwać przebłyski tego, o czym zapewne myśleli Czejenowie, kiedy tak często rozmawiali o umieraniu. Zacząłem rozumieć, co to solidarność z przyjaciółmi, choć nie miałem poczucia, że moje życie się nie liczy.

Teraz, kiedy tamci odeszli. Młodszy Niedźwiedź zaczął znowu narzekać.

— Nie powinni mi tego robić — mrucał. — Powinienem iść z nimi. Mógłbyś sam pilnować sześciu koni.

— Mógłbyś też ty pilnować wszystkich koni, a ja bym poszedł — powiadam.

— Bałbyś się — mówi on. — Twoje czary mogą być dobre na zabawę w obóz, ale nie zmyliłyby Kruków. Tu trzeba być mężczyzną.

Stał z pierśią wypiętą jak zwykle, choć nie był już tak masywny jak przedtem, bo jako podrostek wyciągnął się w górę i wyszczuplał..

Nie wiem, co musiałbym zrobić w tym momencie, żeby się pokazać przed tym Indianinem. Pewnie musiałbym rzucić wodze, gdyby nie zechciał ich wziąć ode mnie, tracąc w ten sposób konie, i pobiec w stronę obozu nieprzyjaciela, żeby dołączyć do grupy wypadowej, tym samym idąc na pewną śmierć i poważnie narażając życie towarzyszy.

Zostałem uratowany w dziwny sposób. Nagle olbrzymi Kruk zeskoczył z góry na dno wąwozu i zwałił Młodszego Niedźwiedzia ciosem maczugi. Wszystko w

zupełnej ciszy, nie licząc zderzenia jego mokasynów z piaskiem, co nie było głośne, i suchego puk! maczugi o głowę Niedźwiedzia, jakby ktoś rzucił kamieniem w antałek.

W jednej chwili Kruk wy dobył nóż, a lewą ręką zgarnął warkoczyki Niedźwiedzia, żeby skalp sam schodził w miarę obcinania.

W tym momencie ja siedziałem już na Kruku, który nie zwrócił na mnie uwagi, bo pewnie myślał, że jestem prawdziwym wilkiem, z którym Niedźwiedź rozmawiał — Indianin nie widziałby w tym nic dziwnego. Zawisłem na nim, jakbym wspinał się na drzewo, bo był potwornie wielki, góra napiętych mięśni ze skórą szorstką jak kora. Ale teraz, kiedy już na nim siedziałem, nie wiedziałem, co z tym bydlakiem zrobić. Znajdowałem się zbyt blisko, żeby strzelać z łuku, który i tak upuściłem, sięgałem więc po nóż, ale nie mogłem go znaleźć pod tą pofałdowaną wilczą skórą.

Kruk oczywiście nie czekał z łagodnym rozbawieniem na wynik moich poszukiwań. Wielki diabeł otrząsnął się i odrzucił mnie pod przeciwległą ścianę wąwozu, gdzie straciłem przytomność na skutek uderzenia szczęką o własne prawe kolano.

Ocknąłem się po sekundzie, kiedy koniec noża przeciął mi już skórę nad prawym uchem i zaczął posuwać się ku tyłowi głowy. Poruszyłem się i nóż skrobnęła o kość. To niezwykle paskudny odgłos, odzywający się gdzieś w jądrach.

Miałem wtedy włosy dłuższe, niż kiedy żyłem wśród białych, ale znacznie krótsze, niż noszą Indianie. Powodem było to, że rosły mi jak splątane druty. Gdybym je zapuszczał przez miesiąc, nie wyglądałbym ani na Indianina, ani na białego, obojętnie jakiej płci. Wyglądałbym jak brzuch kozy, która przeszła przez świeże łąjno, bo im więcej miałem tych skołtunionych włosów, tym bardziej rudziały, a każdy tłuszcz zwierzęcy, jakim je posmarowałem, zmieniał ich barwę na zieloną.

Dlatego obcinałem włosy, kiedy odrosły dłuższe niż do połowy karku. I tak ten Kruk, który już był w trakcie zdejmowania mi skalpu, zawahał się na moment wyczuwszy coś dziwnego w tych krótkich włosach, bez wątpienia nie pasujących do Czejena.

To naruszenie rytmu wyrwało mnie z otępienia, z jakim spokojnie czekałem, aż mi odetnie czubek głowy, podczas gdy ciepła krew zalewała mi prawe ucho. Nie miałem szans w walce wręcz, nie miałem żadnej broni, Młodszy Niedźwiedź — z tego, co wiedziałem — był zabity na śmierć, pozostali Czejenowie znajdowali się teraz w obozie, za daleko, żeby mi pomóc, a gdybym podniósł krzyk, reszta Kruków

obudziłyby się i pozabijała moich towarzyszy. Na taką właśnie sytuację przygotowywał nas Skóra Ze Starego Szałasu swoją opowieścią o Małym Człowieku i jego walce z Wężami. Wiedział, że prędzej czy później to nam się przyda. Nie mogłem dopuścić, żeby Kruk poniewierał Człowiekiem.

Szarpnąłem się i wyszczerzyłem zęby.

— *Nazestae!*— syknąłem. — Jestem Czejenem!

Zabrzmiałoby to znacznie lepiej, gdybym mógł sobie pozwolić na krzyknięcie tego w formie zawołania bojowego, ale wyjaśniłem już, dlaczego nie mogłem.

Wyobraź sobie, że na te słowa Kruk zabrał nóż, przysiadł na piętach i zakrył usta lewą dłonią. Przy moim ruchu jego kciuk przesunął się po moim czole, odsłaniając białe pasmo skóry pod farbą z sadzy i bizoniego tłuszczu. Nie zrozumiał, co powiedziałem, bo Krukowie i Czejenowie mówią różnymi językami, ale odezwał się jakby w odpowiedzi i po angielsku.

— Mały biały człowiek! Biedny głupi Kruk! Ha, ha, wielki żart! Chcesz jeść?

Bał się, że będę miał do niego urazę, bo Krukowie zawsze podlizywali się Amerykanom, i wpadł na głupi pomysł, żeby mnie zaprosić do swojego szałasu. Nie było w tym oczywiście jego winy, nawet najmniejszej, i ten biedak zawsze ciążył mi na sumieniu. Wszystko wskazywało, że wędrował samotnie po nocy, kiedy natknął się na mnie i na Niedźwiedzia, i działał po cichu nie mając pojęcia, ilu nas jest jeszcze w okolicy. Ale wówczas nie mogłem tego wiedzieć, nie mogłem też w tak krótkim czasie wyjaśnić mu sytuacji, a już zupełnie nie mogłem pójść jako jego gość do obozu ani nawet pozwolić mu gadać na ten temat tak głośnym głosem.

Musiałem go zabić. Zamordować tego przyjaźnie nastawionego faceta. Strzałem w plecy na dodatek. Schylając się po wilczą skórę, która spadła ze mnie podczas walki, znalazłem na ziemi mój łuk i strzały. Kruk w tym czasie wspinał się na ścianę wąwozu, po konia, którego zostawił na górze.

Trzy czejeńskie strzały bing, bing, bing, w prostej linii wzdłuż kręgosłupa. Rozluźnił uchwyt, jego wielkie ciało osunęło się, aż stopami oparło się o dno i zastygło na pochyłości.

Tak po raz pierwszy zabiłem człowieka i jakkolwiek to brzmi w twoich uszach, był to jeden z najprzyjemniejszych przypadków. Działąłem w obronie swoich towarzyszy, a tego nigdy nie należy się wstydić. Poza tym on mnie oskalpował prawie do połowy i chociaż potem okazał mi sympatię, zapewniam cię że to pozostawia

pewien osad. Prawą stronę twarzy i szyi miałem zaklejoną jak melasą krwią, moją krwią, bardzo dla mnie drogą, i bałem się dotknąć głowy ze strachu, że cała skóra z czaszki zostanie mi w rękach. W tym miejscu zszedłem ze sceny.

Kiedy otworzyłem oczy, znajdowałem się w małym szałasie z gałęzi, a obok mnie siedział w kucki osobnik mający na sobie górną część łba bizona z rogami i zmierzwioną grzywą, który śpiewał i machał mi przed nosem bizonim ogonem. Miałem straszliwy ból głowy, czułem, że czaszka skurczyła mi się jak suszony groch. Zdawało mi się, że mam na głowie czapkę z gliny. Dotknąłem jej ostrożnie palcami, ale w tym momencie czarownik parsknął głośno po bizoniemu i plunął mi w twarz przeżutymi płatkami kwiatów.

Żyłem już wtedy wystarczająco długo wśród Czejenów, żeby zachować spokój. Poza tym ból głowy po gwałtownym ataku zaczął ustępować. Usiadłem i Leworeki Wilk, bo tak się nazywał czarownik, zaczął tańczyć wokół skóry, na której leżałem, zawodząc monotonną pieśń leczniczą, przetykaną parsknięciami i sapaniem. I cały czas żuł suszone kwiaty z małej skórzanej sakiewki na pasie i popluwał nimi na mnie z czterech stron świata.

Potem pochylił się i uderzył mnie lekko patykiem w czubek głowy, od czego czapa z gliny spadła ze mnie w dwóch połowach, do których przywarło trochę moich sztywnych włosów. Zrobiło mi się jakoś dziwnie chłodno w głowę, jakbym rzeczywiście nie miał skalpu, ale czarownik popluł mi tam kwiatami i cały ból przeszedł.

Teraz dreptał przede mną powoli i pomachiwał tym bizonim ogonem tuż poza moim zasięgiem. Słabym ruchem próbowałem go złapać, ale on cofał się po trochu za każdym razem. Wtedy poczułem siłę idącą od stóp, a kiedy sięgnęła mi do kolan, wstałem i poszedłem za czarownikiem, ciągle próbując złapać ten ogon, którym machał mi przed nosem, sapiąc przy tym i potrząsając rogami. Twarz miał pomalowaną na czarno, z czerwonymi obwódkami wokół oczu i nozdrzy.

Wilk wyszedł tyłem z szałasu, a ja za nim, coraz energiczniej sięgając po ogon, i kiedy znalazłem się na zewnątrz, zobaczyłem cały obóz — wojowników, kobiety, dzieciaki, niemowlęta i psy — ustawiony w dwóch rzędach od szałasu czarownika do rzeki. Wszyscy przez swoją obecność pracowali nad moim wyleczeniem. Czejen nigdy nie cierpi w samotności. Ogromnie wzruszył mnie ten dowód solidarności i czerpiąc z niego siłę wyprostowałem się i szedłem już prawie normalnie.

Kiedy dotarliśmy do rzeki, Wilk powiedział:

— Przeciągnij się.

Zrobiłem to i wtedy z miejsca nad skronią, gdzie Kruk wbił mi nóż, wypłynęło trochę czarnej krwi, którą zaraz uniósł wartki prąd rzeki. Potem poszła dobra, czerwona krew i Wilk zatamował ją suszonymi kwiatami.

— Jestem zdrów — powiedziałem.

Taka jest święta prawda i tak zakończyła się cała sprawa. Potem spojrzałem w kupne lustro i zobaczyłem cienką, siną kreskę u nasady włosów, która też znikła po kilku dniach.

Skutki moralne były bardziej dalekosiężne. Po pierwsze natychmiast obszedł obóz herold wyśpiewując, jakim to jestem bohaterem, i zapraszając ludzi na przyjęcie, jakie na moją cześć urządza Skóra Ze Starego Szłasasu. Z okazji uroczystości wódz oddał większość swoich koni pewnemu biednemu Czejenowi, który nie miał ani jednego, a po jedzeniu obdarował wszystkich, którzy przyszedli, kocami, biżuterią i tak dalej, aż został prawie goły. Wygłosił również mowę, którą przez skromność pominę z wyjątkiem najważniejszych punktów.

Opowiedziawszy o moich wyczynach długo i kwieście, co po angielsku brzmiałoby głupio, zakończył tak:

— Ten chłopak dowiódł, że jest Człowiekiem. Dzisiejszej nocy w szłasasach Kruków słyhać płacz. Ziemia drży pod jego stopami. Krukowie płaczą jak kobiety na jego widok. Bo jest Człowiekiem! Jak wielki Mały Człowiek, który przyszedł do niego we śnie i dał mu siłę, żeby zabić Kruka!

Było w tym trochę przesady, ale — jak mówiłem — uchylilem się przed nożem pomyślawszy o Małym Człowieku, przez co dłoń Kruka poślizgnęła się na moim czole i odkrył, że jestem biały. Opowiedziałem staremu wodzowi tylko o natchnieniu, jakim był Mały Człowiek, sądząc, że to mu sprawi przyjemność. Reszta pochodziła od niego.

Po kilku minutach przemowy w podobnym duchu, co mnie bynajmniej nie zawstydzalo, gdyż wszyscy patrzyli na mnie z zachwytem, włącznie z zaglądającymi pod skóry szłasasu, młodymi dziewczętami, którymi zaczynałem się wówczas interesować — wódz powiedział:

— Siła tego chłopca bierze się z przykładu Małego Człowieka. On sam jest niewielkiej postury i jest teraz Człowiekiem. Ale serce ma wielkie. Dlatego też od dzisiaj jego imię będzie Mały Wielki Człowiek.

Tak się to stało i tak byłem odtąd nazywany wśród Czejenów. Zgodnie z indiańskim obyczajem nikt nie używał mojego prawdziwego imienia i nazwiska, i nikt go nawet nie znał. Brzmiało ono: Jack Crabb.

Wyprawa po konie również pod innymi względami należała do udanych. Czterej wojownicy wślizgnęli się do wioski Kruków nie zauważeni, zabrali około trzydziestu koni i przygnali je do naszego obozu wykorzystując resztę nocy i wczesny poranek. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie zostawili mnie i Młodsze Niedźwiedzia, Niedźwiedź miał guza na głowie, ale poza tym był cały i zdrowy. Na szczęście dla nas Kruk wybrał się bez łuku, bo w przeciwnym razie obaj zostalibyśmy przeszyty strzałami z góry, nie wiedząc, co nas zabiło. Przywiązali mnie do konia i przywieźli.

Dostałem cztery konie ze wspólnego łupu, stając się tym samym człowiekiem dość majątnym, ale znacznie większą satysfakcję sprawiło mi, kiedy ośmio— czy dziewięcioletni chłopak zwany Brud Na Nosie spytał:

— Czy teraz, kiedy jesteś wojownikiem, mogę zajmować się twoimi końmi?

Znaczyło to, że mogłem teraz wylegiwać się rano, podczas gdy chłopcy szli do swoich zajęć. Może i mogłem, ale korzystanie z przywilejów nie byłoby zgodne z duchem Czejenów. Na przykład Cień Który Się Pokazuje, doświadczony wojownik dowodzący wyprawą, dostał z podziału trzy konie, sobie zatrzymał najgorszego, najlepszego dał Skórze Ze Starego Szłasasu, a drugiego Garbowi. Nie dlatego, że byli wodzami, gdyż Czejenowie nie podlizują się wodzom, ale dlatego, że udzielili mu dobrych rad. Potem Ptak Niedźwiedź i Zimna Twarz dali po jednym koniu Żółtemu Orłowi, który chociaż popełnił błąd, potem postąpił słusznie. Ja dałem mu też jednego z moich z tego samego powodu i dlatego, że poszło o mnie. Drugiego ofiarowałem Leworękiemu Wilkowi, który go nie przyjął, bo leczenie jest bezpłatne. Ale mogłem dać konia jego bratu, z czego skorzystałem.

Dlatego też odpowiedziałem Brudowi Na Nosie następująco:

— Przez zabicie jednego Kruka nie stałem się równy naszym wielkim wojownikom. Będę sam zajmował się swoimi końmi, a ty jesteś dobrym chłopcem i dam ci tego karego, na którym jeździłem.

— Hou, hou — powiedzieli wszyscy.

I tak żaden z nas, którzy ryzykowaliśmy życiem, nie wzbogacił się specjalnie, zyskując tylko na poważaniu i honorze, ale Czejenowie gotowi byli w każdej chwili iść na śmierć za te rzeczy. Młodszy Niedźwiedź nie przyszedł na ucztę z powodu, jak

sądzę, oczywistego. Przyjęcie przeciągnęło się do późna w nocy i zjadłem o wiele za dużo gotowanej psiny, która była głównym daniem: zdążyłem już zasmakować w tym specjale, ale nie posiadałem jeszcze indiańskiej zdolności do obżerania się i do głodowania na zmianę. Kiedy festiwal dobiegł wreszcie końca, wyszedłem na prerię i ulżyłem sobie, po czym przysiadłem na chwilę na pobliskim wzgórzu. Księżyc był o włos chudszy niż poprzedniej nocy, ale świecił jasno. Mimo to zbierało się na deszcz nad ranem: czuło się to nosem i przez podeszwy mokasynów stykające się ze starą jesienną trawą, i nawet przez zadek. Nikt nigdy mnie tego nie uczył. Człowiek uczył się tego sam żyjąc tak, jak my żyliśmy. Podobnie jak mieszkaniec miasta spogląda na wystawę i wie, że w środku sprzedają tytoń.

Mniej więcej w odległości mili rozszczerkał się kojot, potem zawył, potem zaskowyczał kilkoma odmiennymi głosami. Brzmiało to jak całe stado, ale było to tylko jedno zwierzę, bo kojoty to urodzeni brzuchomówcy. Odpowiedziało mu z północy długie, żalodne zawodzenie wilka —albo Kruka naśladującego głos wilka, bo to jedna z ich specjalności. Ponieważ jednak głos dochodził przez godzinę z tego samego miejsca, było to widocznie prawdziwe zwierzę.

Siedziałem tak długo, że ogrzałem zadkiem ziemię i zaczął do mnie podpełzać grzechotnik, bo im jest zawsze zimno i w poszukiwaniu odrobiny ciepła wleżą człowiekowi pod koc, jeżeli im się pozwoli. Ale słyszałem pod wiatr, jak szoruje brzuchem po ziemi, więc udałem trzepot skrzydeł orła i grzechotnik zawrócił.

I tak ja, Jack Crabb, zostałem czejeńskim wojownikiem. Zabiłem człowieka z łuku. Byłem skalpowany i wyleczono mnie czarami. Za ojca miałem starego dzikusa, który nie znał ani słowa po angielsku, za matkę grubą ciemnoskórą kobietę, a za brata faceta, którego twarzy prawie nie znałem, bo zawsze była pokryta warstwą gliny lub farby. Mieszkałem w skórzanym namiocie i jadłem psy. Dziwne.

Takie to myśli chodziły mi wtedy po głowie i były to myśli białe do szpiku kości. Chłopcy, z którymi bawiłem się w Evansville ani ci z karawany, nigdy by w to nie uwierzyli. Wiedzieli, że jestem nicpoń, ale nie że potrafię być aż tak zdeprawowany. I tak oto w wieczór swojego wielkiego triumfu rozpamiętywałem swój upadek. Poza moim prawdziwym tatą, tym, który był szalony i zginął przy wozach, w mieście trudno było znaleźć kogoś, kto by nie uważał, że Indianin to coś jeszcze gorszego niż czarny niewolnik.

W tym momencie usłyszałem szmer, po którym pomyślałem, że grzechotnik na swój powolny, uparty sposób poszedł po rozum do głowy i powiedział sobie: co by tu orzeł robił po nocy? Więc postanowił spróbować szczęścia i dotrzeć do źródła ciepła.

Okazało się jednak, że to podkradł się do mnie Młodszy Niedźwiedź. Co pokazuje, jak niebezpieczne może się okazać myślenie po białemu na prerii. Nie usłyszałem, jak się zbliżał. Gdyby to był nieprzyjaciel, mógłbym stracić świeżo przyklejony skalp.

Usiadł o jakieś dziesięć stóp ode mnie zapatrzonej w noc i jestem pewien, że jego myśli były czerwone. Nie odezwałem się. Wreszcie on spojrział w moją stronę i powiedział:

— Hej, chodź tutaj!

— Ja tu byłem pierwszy — odpowiedziałem.

Na co on:

— Mam coś dla ciebie. Chodź i weź sobie.

Nie miałem zamiaru przejmować się jego gadaniem teraz, kiedy uratowałem mu życie, więc odwróciłem się tylko i to on przysunął się do mnie.

— Masz — powiedział. — Prezent dla Małego Wielkiego Człowieka.

Nie widząc, co trzyma za plecami, pochyliłem się, żeby zobaczyć, a on wepchnął mi w twarz wielki kudłaty skalp Kruka rycząc przy tym ze śmiechem.

— Głupi dowcip — odezwałem się po chwili. — Jesteś największym głupcem, jakiego znam.

Upuścił skalp i oparł się na łokciach.

— A ja myślałem, że to niezły dowcip — powiedział. — To piękny skalp i pachnie piżmem. Powąchaj, jeżeli mi nie wierzysz. Jest twój. Ja go zjadłem, ale należy się tobie. Ty go zabiłeś i uratowałeś mi życie. Zrobię dla ciebie, co zechcesz. Mogę ci dać swojego konia i najlepszy koc, i zajmować się twoimi końmi.

Wciąż byłem zły za tę głupią rzecz, jaką zrobił. Chociaż był to typowy indiański żart, w tym momencie dowodził złego smaku i złej woli. Ani przez chwilę nie dałem się nabrać na jego rzekomą przyjaźń.

— Dobrze wiesz — powiedziałem — że Człowiek nie płaci Człowiekowi za uratowanie życia.

— Tak — odparł Młodszy Niedźwiedź śmiercionośnym tonem — ale ty jesteś biały.

W języku Czejenów nie ma przekleństw i chcąc kogoś obrazić nazywa się go babą albo tchórzem, ale nawet w gniewie nie przyszłoby mi do głowy zastosowanie tych określeń do Młodszeo Niedźwiedzia. Poza tym miał dużo racji. Właśnie sam myślałem o sobie to samo. Ale wiesz, jak to jest: są kobiety, które przyjmą pieniądze za dopuszczenie cię do siebie, ale nie daj Boże nazwać taką „kurwą”.

Wracając do obelgi tego Indianina, to nie mogłem sobie wyobrazić gorszego losu niż nie być Czejenem. Naprawdę dotknął mnie do żywego. Powinienem był przyjąć to po indiańsku, to znaczy oddać się ponurym rozmyślaniom i przestać jeść, póki mnie nie przeprosi, co musiałby zrobić choćby ze względu na moją nową pozycję w pleminiu. Prawdę mówiąc, Niedźwiedź sam nie bardzo wierzył w swoje oskarżenie. Był zazdrosny i rzucił mi w twarz najgorszą obelgę, jaka mu przyszła na myśl. Gdybym to właściwie rozegrał, wpadłby we własne sidła: to on musiałby dowieść, że jest Czejenem, bo ja to już zrobiłem.

Zamiast tego odezwałem się porywczo:

— Masz rację, głupcze. Skoro uratowałem ci życie, to jesteś mi jedno życie winien. I nie możesz mnie spłacić tym skalpem ani kocem, ani wszystkimi twoimi końmi. Przyjmę tylko życie i powiem ci, kiedy będziesz miał mi je oddać.

Wsunął skalp Kruka za pas i wstał.

— Słyszałem cię — mruknął i wrócił do obozu.

Powiedziałem to, co powiedziałem, bo byłem wściekły i chciałem się popisać. Sam dobrze nie wiedziałem, co mówię. Była to zwykła szczeniacka przechwałka. Co do mnie, zapomniałem o niej natychmiast, choć pamiętałem przez jakiś czas dość dobrze niechęć Młodszeo Niedźwiedzia. Potem zapomniałem i o niej, bo nie spotykałem się z dalszymi jej objawami. Przestał strzelać do mnie tępymi strzałami, przestał wkładać mi kolce pod siodło i w ogóle starannie zachowywał pozory, że uważa mnie za prawdziwego Człowieka, choć udowodnił, że nim nie jestem.

Ale rzecz w tym, że on nigdy nie zapomniał tego, co powiedziałem na tamtym pagórku nad rzeką Proch, i w jakieś dwadzieścia lat później i około pięćdziesiąt mil od miejsca, na którym siedzieliśmy tamtej nocy, zwrócił mi mój dług.

Jak wspominałem, zaczynałem interesować się dziewczynami. Ale mniej więcej w tym czasie sytuacja uległa zmianie i nie mogłem zbliżyć się do żadnej czejeńskiej dziewczyny w moim wieku. Zaczęły swoje miesiączki i odtąd były trzymane z daleka od chłopców, zawsze w towarzystwie matek albo ciotek i nosiły pleciony pasek między

udami do czasu wyjścia za mąż. (Zakładały go też jako mężatki, ilekroć ich mężowie oddalali się na dłużej.) Właściwie jedyne, co pozostawało, to popisywać się, kiedy upatrzona dziewczyna znalazła się w pobliżu. To cię pewnie zaskakuje: myślałeś może, że czerwonoskóry załatwia te sprawy jak królik, ale to nie Czejen i nie z czejeńskimi kobietami, póki nie zostaną małżeństwem, a ponieważ żonaci mężczyźni zawsze ślubują nie robić tego przed wyruszeniem na wojnę, a że walczyliśmy prawie na okrągło, więc Czejen był zawsze spragniony baby. Dlatego byli takimi groźnymi wojownikami, w każdym razie oni w to wierzyli. Nie znam mężczyzny, który nie darzyłby szczególną uwagą swojego członka, ale dla Czejena to była istna różdżka czarnoksiężka.

Po tym, jak Młodszy Niedźwiedź odszedł i trochę ochłonałem, zacząłem myśleć o dziewczynie imieniem Howaheh, co znaczy — musisz mi uwierzyć — „Nic”. Kiedy byliśmy młodzi i bawiliśmy się w obóz, często musiałem brać Nic jako moją niby-żonę, ponieważ inni chłopcy potrafili się lepiej zakręcić koło ładniejszych dziewczyn i mnie zostawała ta dosyć brzydka. Ale ostatnio jak to się zdarza młodym dziewczynom, zrobiła się nagle piękna jak żrebak, z wielkimi, nieśmiałymi oczami antylopy i wdzięcznymi ruchami łani. Lubiała mnie w czasach, kiedy nie zwracałem na nią uwagi, ale — jak łatwo odgadnąć — teraz ignorowała mnie całkowicie.

Nie mogąc nic w tej sprawie wymyślić, wstałem w końcu i poszedłem do obozu. Spotkałem psa, który nie spał i właśnie miał zawyc w odpowiedzi kojotowi, chociaż wiedział, że nie powinien, bo może zdradzić miejsce obozu przed jakimś szwendającym się po ciemku Krukiem, powiedziałem mu więc, że Czejenowie tak nie robią, na co zamknął pysk i poszedł sobie.

Poza nim wszyscy spali, wszystkie ognie były wygaszone. Znalazłem swoje posłanie, niedaleko otworu wejściowego i zacząłem się układać, kiedy sobie uświadomiłem, że to chyba skóra Małego Konia, bo był w nią zawinięty, przeniosłem się więc na puste miejsce obok, chociaż zawsze spałem na lewo od niego.

Okazało się, że nie śpi, bo szepnął:

— To jest twoje.

— Nieważne — powiedziałem. — Zostań.

— Tak chcesz? — spytał zawiedzionym głosem.

I zaraz zasnąłem, więcej o tym nie myśląc. Jeżeli Czejen uważa, że życie mężczyzny jest za trudne, to nikt go do niego nie zmusza. Może zostać *himaneh*, czyli

półmężczyzną, półkobietą. Tacy są przydatni i wszyscy ich lubią. Zostają czasem zielarzami specjalizując się w sporządzaniu napojów miłosnych, i są zwykle cenionymi komikami. Noszą kobiece stroje i mogą wychodzić za mąż, jeżeli znajdą amatora.

Mały Koń zaczął przygotowywać się do roli *himaneh* wkrótce po tym wydarzeniu. Może zresztą tej nocy pomylił łóżka i nie miał nic na myśli. Tak czy owak, nie był w moim guście.

7. WYGRYWAMY Z KAWALERIĄ

Następnego dnia najechali nas Krukowie i stoczyliśmy dobrą bitwę, choć mogły być podzielone zdania co do tego, kto wygrał. Pobiliśmy się więc jeszcze raz. Potem walczyliśmy z Szoszonami, walczyliśmy z Ute i po handlu końmi z Czarnymi Stopami walczyliśmy z nimi też. Walki bardzo radowały Czejenów, kiedy oni zabijali wrogów, i bardzo zasmucały, kiedy było *vice versa*. W tym drugim przypadku słyszało się zawodzenie żałobników od rana do wieczora. Bo chociaż Indianie kochają wojnę, to nie chciałbym, żebyś nabrał przekonania, że sprawia im przyjemność, kiedy tracą na wojnie krewniaków. Oni się naprawdę lubią w obrębie plemienia. Co zaś do wroga, to nienawidzą go za to, kim jest, ale nie próbują go przerabiać na kogoś innego.

Po zwycięstwie Czejenów panowała ogólna radość. Jeżeli miejsce bitwy znajdowało się blisko obozu, kobiety i dzieci przychodziły dobijać nieprzyjacielskich rannych leżących na pobojowisku i znęcać się nad nieboszczykami, zabierając na pamiątkę takie szczegóły jak nosy, uszy i przyrodzenie. To była dla nich prawdziwa uciecha. Gdybyś widział tyle co ja, też miałbyś nerwy jak postronki. Kobieta Wodopój Bizonów zastępowała mi matkę, sama dobroć. Nie zliczę, ile razy, kiedy byłem mały, przytulała mnie do swojego wielkiego brzucha, uśmiechała się do mnie połyskującą tłuszczem twarzą jak księżyc w pełni albo dawała mi szczególnie smakowity kawałek psiego mięsa, otulała mnie w nocy, podsuwała mi indiańską gumę do żucia, wyszywała paciorkami moją odzież i tak dalej, i tak dalej. Była stuprocentową kobietą, tak jak Skóra Ze Starego Szłasasu był stuprocentowym mężczyzną, i nie myślę, żeby można osiągnąć zbliżony wynik, choćby się wygotowało esencję z dwudziestu białych kobiet. I co byś pomyślał, gdybyś zobaczył tę przedobrą kobietę jak rozpruwa nożem jakiegoś półżywego Kruka i wyciąga mu flaki?

Powiem ci coś: po jakimś czasie nic nie myślałem. Krukowie, Ute i Szoszoni nigdy nie protestowali, bo oni robili to samo, dlatego więc, do licha, ja miałbym się przejmować? Pamiętasz stosunek Skóry Ze Starego Szłasasu do białych — ich postępowanie wydawało mu się idiotyczne, ale uważał, że mają jakieś swoje powody, żeby tak postępować. Nie mogłem pozwolić, żeby jakiś Indianin prześcignął mnie w tolerancji. Kiedy Kobieta Wodopój Bizonów albo jakiś brązowy maluch wracał dumny jak paw z pobojowiska niosąc okrawek człowieka, mówiłem im: „Śliczne!”

Miałem większy problem niż to. Mimo młodego wieku zabiłem już człowieka, ilekroć więc trafiała się jakaś wojna, duża czy mała, nie wypadało mi wykręcać się od udziału. Nie czułem powołania, żeby zostać *himaneh* jak Mały Koń, co nie znaczy, że mam mu coś do zarzucenia. Innego wyjścia nie było. Próbowałem natomiast, całkiem nie po czejeńsku, zabijać jak najmniej tych, przeciwko którym akurat walczyliśmy. Co znaczy, że szedłem na całego w akcjach obronnych, a nie wysiłałem się, kiedy my zwyciężaliśmy.

Usiłowałem zatem zachować jakieś resztki cywilizacji, nie narażając jednocześnie moich barbarzyńskich przyjaciół. Istne chodzenie po linie. Nie sposób było uniknąć pewnych barbarzyńskich praktyk, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Do licha, chyba jednak nie wiesz. No dobrze, nie robiłem tego z entuzjazmem, ale musiałem co jakiś czas wziąć włosy. Skoro już się do tego przyznałem, powinienesz też wiedzieć, że w takich wypadkach ofiara nie zawsze jest nieboszczykiem i nie zawsze nawet jest nieprzytomna, nóż nie zawsze jest ostry i czasami oddzieleniu skalpu od czaszki towarzyszy bardzo nieprzyjemny dźwięk. Ograniczałem to do minimum, ale czasami w pobliżu znajdował się na polu bitwy Młodszy Niedźwiedź i wtedy nie miałem wyboru. On sam w wieku piętnastu lat chodził tak obwieszony skalpami, że z pewnej odległości wydawał się całkowicie pokryty włosiem jak niedźwiedź grizzly.

Nie chciałem poświęcić zbyt wiele miejsca temu zwyczajowi. Na szczęście dla mnie był inny zapewniający większą sławę. Chodzi o zadawanie razów: wjeżdżanie w środek nieprzyjaciół i uderzanie ich drzewcem broni albo specjalnie do tego przeznaczonym kijem. Jest to wyżej cenione niż zabicie wroga, bo bardziej niebezpieczne, a gdyby trzeba było sprowadzić istotę życia Czejenów do jednego zdania, można by je opisać jako nieustanne podejmowanie ryzyka.

Zawsze kiedy chciałem uniknąć przelewu krwi, mogłem pójść na zadawanie razów, i często to robiłem, chociaż nie zaliczałem się do najlepszych w tym sporcie. Naprawdę dobry mógł być w tym tylko wariat. Ja miałem swój rozum i nigdy nie próbowałem mierzyć się z Kojotem, który był mistrzem wśród chłopców w moim wieku, uważanym za większego bohatera niż Młodszy Niedźwiedź ze wszystkimi jego skalpami. Niedźwiedź podejmował brawurowe próby, ale zawsze w ostatniej chwili zamieniał kijek na siekierkę i zamiast uderzyć rąbał. Było to silniejsze od niego. Kojot tymczasem wjeżdżał nie uzbrojony w gąszcz wrogów i wymachując lekko krótkim kijem zadawał razy szybciej, niż można było policzyć, i chociaż nieprzyjaciele

wychodzili ze skóry, żeby go zabić, zazwyczaj wracał nie zadraśnięty, takie miał silne czary.

Mógłbym godzinami opowiadać o wypadkach wojennych, ale chociaż każdy z nich jest inny, kiedy się je przeżywa, i nie ma mowy o nudzie, kiedy w grę wchodzi własne życie, to w opowiadaniu stają się monotonne. Nie będę więc ich piłował, żebyś nie pomyślał, że walka jest czymś tak powszednim jak jazda tramwajem. Nie będę rozwodzić się nad swoimi licznymi ranami, po których zostały mi nadal lekkie ślady, jak wyblakły tatuaż.

Tego lata, kiedy my obozowaliśmy nad rzeką Proch, pułkownik nazwiskiem Harney napadł Siuksów Brule w obozie nad Niebieską Rzeką, powyżej Północnej Platte, i zabił osiemdziesiąt osób. To prawie pewne, że ci Indianie byli przyjaźnie nastawieni do białych, bo inaczej wojsko by ich nie znalazło, że nie stawiali oporu, bo inaczej nie ponieśliby tak ciężkich strat. Część tej liczby stanowiły kobiety i dzieci, gdyż wojownicy wycofali się przed szarżą kawalerii. Wygląda to na zbrodnię, ale faktycznie wynikało z niewiedzy. Mówię i o Indianach, i o białych. Tylko tchórz zabija kobiety, ale w tamtych czasach żołnierz w pełnym galopie często nie był w stanie odróżnić ich od wojowników, a dzieciaki padały ofiarą ślepego deszczu ołowiu.

Co do ucieczki wojowników, to trzeba znać Indian, żeby to ocenić. Kiedy Indianie walczą między sobą, to jedna strona atakuje, a druga się cofa, a potem zawracają i zamieniają się rolami. W ten sposób uzyskuje się ładne współzawodnictwo, w którym każdy ma równe szanse. Wojsko nie walczyło według tych zasad i na pewno by ich nie przestrzegало, nawet gdyby je znało, bo biały człowiek nie potrafi się cieszyć samą wojną. Nie walczyliby w ogóle, gdyby mógł postawić na swoim bez wojny. On poluje nie na twoje ciało, ale na twojego ducha. Dotyczy to zarówno wojskowych, jak pacyfistów — ani jedni, ani drudzy nie zdarzają się wśród Czejenów, którzy walczyli dla samej przyjemności. Nie interesowali się władzą w naszym rozumieniu.

Otóż nad rzeką Proch usłyszeliśmy o tym wydarzeniu prawie natychmiast, indiańskim sposobem, którego, jak już mówiłem, nie umiem wyjaśnić, zrób więc tak jak ja i po prostu przyjmij go za fakt. Wspomniał mi o tym Czerwony Pies i niewykluczone, że sam się dowiedział od orła, bo był łowcą orłów, co wśród Czejenów jest specjalnym zawodem. Po kilku minutach wiedział o tym cały obóz. Tym razem wodzowie nie zwoływali żadnej rady, bo po pierwsze, żaden Siuks nie przyszedł z żadną propozycją, a po drugie, dowodziło to jeszcze raz mądrości Skóry Ze Starego

Szałas, który trzymał się z daleka od białych ludzi nie dając im w ten sposób okazji do łamania żadnych zasad.

Pozostaliśmy do końca roku na tym terytorium, w ładniejszej okolicy niż nad Platte, bliżej do żerdzi na szałasy, drewna na opał, jeleni i niedźwiedzi, bo około pięćdziesięciu - sześćdziesięciu mil na zachód wznosiły się góry Wielki Róg z fioletową podstawą przechodzącą w srebro szczytów, góry bogate w drzewo i zwierzynę, przez całe lato zasilające strumienie świeżą wodą z topniejących śniegów. Z nadejściem zimy zawiesiliśmy walki na większą skalę, chociaż co jakiś czas można było ścigając bizona w zamieci natknąć się na małą grupkę nieprzyjaciela zajętą tym samym i biel śniegu mogła się tu i ówdzie splamić czerwienią.

Czasami jednak było po prostu za zimno, śnieg sięgał bizonom do łopatek i pamiętam jak kiedyś czterech nas wracając z nieudanego polowania wpadło w zamieci na sześciu Kruków i sięgnęliśmy półzywi po łuki, ale oni zasygnalizowali: „Będziemy się bić, kiedy pogoda się poprawi” — i odjechali. Przyjęliśmy to z ulgą, bo ledwo ich było widać.

Kiedy przychodziła naprawdę sroga zima, kiedy słowa zamarzały człowiekowi na wargach i osiadały kłującym szronem na policzkach, nie oddalaliśmy się od szałasów jedząc suszone mięso z letnich zapasów, przechowane w workach z surowej skóry, i pemikan, im bardziej tłusty, tym lepszy, gdyż wypełnienie brzucha topniejącym tłuszczem rozgrzewa szybciej i starcza na dłużej niż wszystko inne. W zimie wzrastała również wartość grubych kobiet i wydaje mi się, że to tamtej zimy cena tej ogromnej tłustej dziewczyny z obławy na antylopy doszła do sześciu koni nie licząc przeróżnych innych prezentów, które przeszły w ręce jej rodziny, zanim została odprowadzona do szałasów oblubieńca.

Pewnego razu, kiedy Nic zbierała przed szałasem śnieg do kociołka, zbliżyłem się do niej z niemałym trudem i zaświergotałem jak ptak, ale ona nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi, a wkrótce wyszła jej mamusia i rzuciła we mnie kością mówiąc, że jestem złym chłopcem i że bym sobie poszedł. To było całe moje życie miłosne tamtej zimy.

Do czasu odwilży byliśmy wszyscy, ludzie i zwierzęta, należycie odchudzeni, same mięśnie i ścięgna, z żołądkami przygotowanymi na przyjęcie świeżego furazu. Wiosna to było naprawdę coś, na co się czekało w tamtych czasach, kiedy człowiek był wychudzony, głodny i młody. Skóry Ze Starego Szałasów nie dotyczyło to już od przeszło pięćdziesięciu lat, ale i w nim soki zaczęły krążyć wcześniej niż w drzewach i

znów zrobił dziecko Białej Krowie, swojej młodszej żonie. Poprzednio wymieniałem tylko jako jego potomków Opala Się Na Czerwono i Małego Konia, bo ich znałem najlepiej, ale byli też inni, różnej wielkości. Na małe dziewczynki nie zwracałem uwagi — obyczaj zabraniał mi kontaktów z osobami płci żeńskiej w moim wieku, bo były jakby moimi siostrami — a wiele z jego dzieci już nie żyło.

Spadająca Gwiazda, żona Opala Się Na Czerwono, też była w ciąży, podobnie jak wiele innych kobiet po tym okresie bez wojny. Nowo narodzone dzieci mogły uzupełnić nasze straty wojenne, to znaczy te dzieci, które były chłopcami, i pod warunkiem, że zdążą dorosnąć. Na razie przypadało pięć albo i sześć kobiet na każdego dorosłego wojownika. Prześlizgnąłem się nad sprawą śmierci, tak jakbyśmy przez cały czas wygrywali. Prawie równie często przegrywaliśmy, a najczęściej wynik był na dłuższą metę remisowy. Specjalność Czejenów stanowiła walka z przeważającym wrogiem; zawsze w mniejszości, nigdy pokonani, jak to się mówi.

Co do strat, jakie ponosiliśmy, to nie liczę ran, bo czasem nawet pozornie śmiertelne zostawały uleczone przez czarowników w stylu, jaki opisałem, ale żeby dać ci jakieś wyobrażenie o sprawie, powiem, że przed nadejściem zimy trzech z pięciu dorosłych, z którymi byłem na wyprawie, nie żyło: Zimna Twarz, Długa Szczeka i Żółty Orzeł. Cętkowany Wilk, który, jak pamiętasz, chciał się rzucić na moją białą mamusię i został ogłuszony przez Caroline, zginął na wiosnę w walce z Paunisami. Wymieniam tylko niektóre ze znanych ci imion. W pełnym składzie nie byliśmy w stanie nigdy wystawić więcej niż czterdziestu wojowników.

Przez długi czas uważałem, że grupa Skóry Ze Starego Szałasu stanowi cały naród Czejenów, potem, że przynajmniej jedną z głównych grup plemienia, ale w końcu okazało się, że to tylko jedna duża rodzina: większość jej członków była jak nie spokrewniona, to spowinowacona albo adoptowana. Co jakiś czas trafiały się przybłędy stąd i zowąd, ale nigdy tyle, żeby zmienić ogólny obraz.

Ponieważ Czejen nie rozpowszechnia hańbiących plotek o sobie ani o swoich, długo nie wiedziałem, dlaczego grupa Skóry Ze Starego Szałasu trzyma się z daleka od innych.

Przed wielu laty, kiedy Skóra Ze Starego Szałasu był chłopcem, jego tata zabił współplemieńca w bójce o kobietę i został wypędzony z grupy Spalonej Arterii. On i jego krewniacy odeszli i założyli własny obóz, a kiedy wreszcie on umarł, jego rodzina tak przywykła do życia w odosobnieniu, że nie zdecydowała się na powrót. Byli

obciążeni tamtą hańbą i kiedy spotykali innych ludzi, spuszczaali głowy i patrzyli na nich ukradkiem albo wcale. Zyskali sobie miano *tatoimana*, czyli Wstydlivych Ludzi.

Potem Skóra Ze Starego Szałasu wykazał się mądrością, odwagą i hojnością, i został wodzem. I nadszedł czas, kiedy zaproszono ich z powrotem do Spalonych Arterii z okazji tańca słońca, na którym spotyka się całe plemię. I niech mnie licho, jeżeli ten Indianin nie wpakował się w takie same kłopoty jak jego tatuś — pociąg do bab był u nich dziedziczny — porwał żonę Człowieka z grupy Włosianego Sznura i chociaż zostawił dwa konie jako zapłatę, tamten nie był zadowolony z transakcji, puścił się w pogoń, z bezpośredniej konfrontacji wyszedł ze strzałą w krtani, i udusił się na śmierć.

Skóra nie wrócił już na taniec, tylko zaczekał na prerii na resztę rodziny i znów przez lata wędrowali samotnie. Kiedyś w tym okresie zostali zrehabilitowani. Ja dołączyłem do grupy, gdy mogli już brać udział w zjazdach plemienia, tylko nie wskazane było, żeby obozowali w kręgu Spalonej Arterii. Zachowywali się dość nieśmiało przez długi czas.

Teraz jednak ta gruba dziewczyna złapała ostatniego chyba kawalera w obozie, gdyż Czejenowie nie tolerują kazirodztwa, a nie przybył nikt nowy od czasu Żółtego Orła, który zginął pozostawiwszy dwie wdowy i szałas pełen sierot, i Cię Który Się Pokazuje musiał je adoptować.

Nie sędzę, żeby można potępiać Skórę Ze Starego Szałasu za to, że postanowił ruszyć na południe, kiedy nadeszła pełnia wiosny, chociaż przeczyło to jego filozofii trzymania się z dala od białych. Musieliśmy zdobyć nieco świeżej krwi, zanim znów trochę upuścimy, a większość pozostałych Czejenów znajdowała się na południowym brzegu Platte. Siedzieli wprawdzie nad rzeką Proch Siuksowie, nasi wojenni sojusznicy, ale w kwestii powiązań rodzinnych Skóra był wielkim snobem. Nigdy nie zapominał tej wersji czejeńskiej historii, którą opowiedział Minnekondzu: Ludzie mieli konie, kiedy plemię Lakota wciąż jeszcze używało psów. Nigdy tego nie powiedział głośno, ale wiem, że uważał Siuksów za coś gorszego.

I w ten sposób kobiety zaczęły związać obóz i sporządzać z żerdzi szałasów włóki, na których układały zwinięte skóry pokrycia oraz inny sprzęt z wierzchu przywiązując małe dzieci, a lżejszymi przedmiotami objuczały co większe psy, i ci z nas, którzy mieli konie, dosiedli ich, a reszta szła pieszo. I taką wielką, nieporządną karawaną, rozciągniętą na milę, z wojownikami jadącymi po bokach, wyruszyliśmy na południe,

pozostawiając za sobą szeroki szlak końskiego łajna, zniszczonej odzieży, ogryzionych kości i popiołów licznych ognisk.

Wyruszałem, żeby znów zostać białym człowiekiem, chociaż wówczas tego nie podejrzewałem.

Doszliśmy aż nad rzekę Salomona, dopływ Kansas w północnej części obecnego stanu pod tą nazwą, i tam, w wielkim obozie, rozciągającym się na milę albo i więcej na nadrzecznej równinie, zastaliśmy cały naród Czejenów, który poza naszą grupą spędził ostatnią zimę wspólnie. Było to potężne zgromadzenie, największe, jakie do tego czasu widziałem, i poczułem na jego widok dumę: może z tysiąc szałasów ustawionych w wielki krąg, w którym namioty poszczególnych grup tworzyły mniejsze kręgi. A były tam wszystkie grupy: Włosiany Sznur, Parszywi Ludzie i inni, których znałem dotąd tylko z opowieści, że nie wspomnę o stowarzyszeniach wojskowych, takich jak Młode Wilki pełniące funkcję policji, i Odwrotnych, którzy wszystko robili na odwrót.

Skóra Ze Starego Szalasu czuł się niezbyt pewnie, kiedy tam przybyliśmy. Mogłem to poznać, bo jeżeli Indianin jest między swoimi, jego twarz jest równie wyrazista, jak twarz każdego innego człowieka. Nikt nas jednak nie zatrzymał, nikt nas nie spytał: „Dokąd idziecie? Czego chcecie?“, co by zrobiono, gdybyśmy nie mieli prawa tam być, i po chwili zauważyłem, że stary pod wodzowską godnością odczuł znaczną ulgę.

Wkrótce pokazali się przywódcy grupy Spalonej Arterii i powitali go jak brata, zapraszając nas do rozbicia szałasów w ich kręgu. Stara zbrodnia została zapomniana. Wszystko więc układało się doskonale, zabito bizona na wielkim rytualnym polowaniu u źródeł Rzeki Republikańskiej i wszyscy spożyliśmy tego dnia po sześć albo i siedem posiłków, gdyż każdy napotkany Indianin wciągał nas do swojego szałasów i wmuszał w nas poczęstunek.

Potem były wystąpienia mówców, śpiewacy śpiewali pieśni, a himaneh — z którymi Mały Koń na dobre związał swój los — przy ogólnym aplauzie, z wdziękiem wykonali tańce. Wszędzie wymieniano plotki, Cień Który Się Pokazuje opowiadał dowcipy i wszyscy obdarowywali się prezentami, aż trzeba było uważać, żeby nie dać komuś czegoś, co się przed chwilą samemu otrzymało.

Znalazłem się w środku tego wszystkiego. Byli tacy, którzy mi się przyglądali, i przypuszczam, że musiano szeptać za moimi plecami, dopóki moja obecność nie została wyjaśniona, ale ani razu nie poczułem się skrępowany, poza może przesadnymi przejawami uznania, kiedy Skóra Ze Starego Szłasasu, Opala Się Na Czerwono i Mały Koń opowiedzieli o moich wyczynach.

Wszystko zapowiadało się doskonale, ale kiedy już omówiono sprawy czysto indiańskie, wypłynęła sprawa białych i było to tak, jakby chmura gradowa zasłoniła słońce. Poprzedniej wiosny powstało nieporozumienie z powodu czterech koni, o których Czejenowie twierdzili, że znaleźli je na prerii, ale żołnierze zgłosili do nich pretensje i zabili jednego Człowieka, a drugiego zamknęli w areszcie, gdzie zmarł. Potem w lecie grupa młodych ludzi natknęła się na furgon pocztowy i poprosiła woźnicę o tytoń, ale ten zaczął do nich strzelać, na co ktoś przeszył mu ramię strzałą i następnego dnia żołnierze napadli na obóz, zabili sześciu Indian i ukradli wszystkie konie. Uciekając przed tym atakiem Czejenowie spotkali karawanę wozów, wzięli więc odwet na białych i zabili dwóch mężczyzn i dziecko.

. Były też inne kłopoty, na przykład kiedy wódz imieniem Wielka Głowa został ranny podczas wizyty przyjaźni w Forcie Kearny. Czejenowie czuli się szczególnie oszukani, bo według swojej miarki zawsze traktowali białych przyjaźnie. Nawet po wszystkich tych złych zdarzeniach wysłali delegację z przeprosinami do pełnomocnika rządu do spraw Indian. Zwrócili też kobietę, którą złapali. Ale komplikacja polegała na tym, że Indianie nigdy nie byli zorganizowani. Przyjeżdżali przeproszać, nie ci, którzy zabili białych. I zazwyczaj żołnierze karali, nie tych, którzy dokonali gwałtów. A biali, na których Indianie się mścili, nie mieli nic wspólnego z żołnierzami.

Dość wcześnie doszedłem do przekonania, że najpoważniejsze sytuacje w życiu, w każdym razie w moim życiu, są podobne do tego, co się zdarzyło, kiedy załatwiłem tamtego Kruka: on mnie oszczędził jako białego, a ja go zabiłem jako Czejen. Żaden z nas nie mógł postąpić inaczej i byłoby to śmieszne, gdyby nie było śmiertelne.

Tak czy inaczej, Czejenowie uwierzyli, że mogą wkrótce zgładzić wszystkich białych ludzi na równinach, pomysł, który nie wydawał się tak całkiem niedorzeczny, kiedy się zobaczyło rozmiary tego obozu. Nawet ja zacząłem dopuszczać taką możliwość: sami mieliśmy może z tysiąc pięćset wojowników, a byliśmy zaprzyjaźnieni z Kiewami i Komańczami, naszymi sąsiadami z południa, mogliśmy też liczyć na pomoc starych druhów Arapaho i Siuksów z północy. Powodziło mi się dobrze jako Indianinowi i wcale nie spędzała mi snu z powiek myśl o tym, co się stanie z moją

rodzimą rasą, zwłaszcza gdy pomyślałem, jak niewiele jej zawdzięczam. Poza tym nie mówiło się nigdy o napadzie na St. Louis, Chicago czy Evansville, gdzie było właściwe miejsce dla białych ludzi.

Tak myślałem, póki nie usłyszałem przemówień dwóch czarowników imieniem Lód i Ciemny. Rozporządzali podobno wielką mocą. Wystarczyło, że wykonają pewne ruchy w stronę żołnierzy, a kiedy ci wystrzelą, kule wytoczą się powoli z luf i nieszkodliwie upadną na ziemię.

Często stawałem przy ścieżce, którą Nic chodziła do rzeki po wodę i kiedy mnie mijala, łapałem za frędzle jej spódnicy, lekko pociągałem i puszczałem. Jedyną satysfakcją za moje trudy było, że nie więcej uwagi zwracała na Kojota, który też się do niej przyczepił. Zalecaliśmy się do niej na zmianę, to znaczy, kiedy ja czekałem na nią przy ścieżce do rzeki, on się nie wtrącał, a próbował zbliżyć się do niej, kiedy szła zbierać bizonie placki. Ponieważ żaden z nas nie miał się czym pochwalić, nie byliśmy o siebie zazdrośni i zachowywaliśmy neutralne stosunki, jakie zawsze istniały między mną a Kojotem. Wiesz, jak to jest: ma się przyjaciół i wrogów, a potem jest cała reszta, na której człowiekowi nie zależy. U Indian jest tak samo.

Nabrałem też indiańskiego poczucia czasu. Miałem chyba z piętnaście lat, kiedy staliśmy nad Rzeką Salomona i zalecałem się do Nic, ale nie byłem w tej sprawie bardziej niecierpliwy niż ona: u Czejena zaloty trwają około pięciu lat, a ja i tak wcześnie zacząłem. Założę się, że nie podejrzewałeś, że czerwonoskórzy są tak powolni w tej dziedzinie, ale jako wojownicy, Czejenowie lubią być naładowani. Spróbuj kiedyś bić się po tym, jak sobie użyjesz, a zrozumiesz, w czym rzecz: będzie ci się tylko chciało spać.

Otóż, ciekawie było znaleźć się w tym wielkim obozie, gdzie tyle się działo i wkrótce rozpoczęto taniec Słońca, który trwał osiem dni i składał się z wielce skomplikowanych czynności, niezrozumiałych dla kogoś wychowanego w innej religii i utwierdzających Ludzi w ich poczuciu wyższości, choć i bez tego nie mieli wątpliwości, że są niezrównani. W samotorturach wyróżnił się oczywiście Młody Niedźwiedź. Wyrwał kołki z piersi już po kwadransie od ich założenia, dał je sobie zaczepić w nowych miejscach, a potem wisiał przez całą noc na rzemieniach z niegarbowanej skóry. Następnego dnia cała górna połowa jego ciała była jedną otwartą raną, ale on nie opatrzył jej maścią ani gliną, ani niczym, tylko paradował ociekając krzepnącą krwią.

Można by powiedzieć, że to, co działo się dalej było typowe dla Czejenów: po całym tym gadaniu o miażdżeniu białych i po wszystkich ceremoniach, które ich do tego miały przygotować, zaczęli zwijać obóz i rozjeżdżać się z myślą, żeby trzymać się z dala od awantur. Po tych wszystkich przygotowaniach prawdziwa walka przyniosłaby tylko rozczarowanie bo Czerwonoskórzy nieustannie walcząc między sobą, nie znajdowali żadnej przyjemności w szarpaniu się z białymi, co było zawsze nieprzyjemne, nawet jeżeli się wygrywało.

Poszczególne grupy wędrowały oddzielnie, ale przez jakiś czas poruszały się w dwóch zasadniczych kierunkach: na północ i na południe, bo plemię jako całość dzieliło się przez większość roku na część, której grupy koczowały nad rzeką Platte, i drugą, mniejszą, która trzymała się w pobliżu fortu Williama Benta, nad rzekami Czyściec i Arkansas w południowym Colorado.

My, jako ludzie Skóry Ze Starego Szłasasu, należeliśmy oczywiście do Północnych Czejenów i wędrowaliśmy w swoją stronę z grupą Spalonej Arterii. Zanim odejdziemy zbyt daleko, powinienem powiedzieć, że zrobiliśmy dobry interes na tym zjeździe wydając za mąż większość naszych nadających się do tego kobiet i teraz ich mężowie byli z nami. Fakt ten oraz ponowne przyjęcie starego wodza do dawnej grupy wprawiło go w tak dobry nastrój, że pewnie znów napytałby sobie biedy pod niewłaściwą bizona skórą, gdybyśmy rozbili obóz w jakimś innym momencie. Widziałem, jak jego stare, pożądliwe oczy błyskają na widok co tłustszych kobiet. Ja sam nie miałem jeszcze sprośnych myśli na temat Nic, chciałem tylko usłyszeć jej nieśmiały, cichy głos albo zdobyć jedno spojrzenie jej błyszczących czarnych oczu.

Nie ujechaliśmy daleko, kiedy nasi zwiadowcy wrócili z wiadomością o kolumnie żołnierzy o pół dnia drogi przed nami, posuwającej się w naszym kierunku. W wielkim obozie znajdowało się trochę strzelb skałkowych i teraz może ze trzech naszych wojowników było w nie uzbrojonych. Garb, który od lat czekał na taką okazję, chciał jechać dalej i bić się z żołnierzem, ale Skóra Ze Starego Szłasasu i główni wodzowie Spalonej Arterii bali się o kobiety i dzieci, zawróciliśmy więc na południe, żeby poszukać innych naszych ludzi. Wkrótce napotkaliśmy grupy Czejenów z południa i zgromadziliśmy się na miejscu dawnego obozu. Nie było to takie zgromadzenie jak poprzednio, ale mieliśmy może ze trzystu wojowników i powiedzmy dziesięć do piętnastu skałkówek, co Czejenowie uważali za wcale imponujące uzbrojenie.

W całym tym zamieszaniu nie miałem czasu, żeby opracować szczegółowo mój nowy punkt widzenia: teoretycznie stwierdziłem już, że ostateczna likwidacja białych twarzy na preriach zachodu guzik mnie obchodzi. Nie znałem ani jednego białego człowieka na zachód od St. Joe poza niedobitkami mojej własnej rodziny, która musiała już dawno dotrzeć do Słonego Jeziora. Ale kiedy się nad tym zastanawiałem, nie widziałem siebie jako uczestnika takiej masakry. Czekala nas bitwa z amerykańską kawalerią, a ja uchodziłem za czejeńskiego wojownika z pewną reputacją. Miałem do wyboru zostać uznanym za tchórza albo za zdrajcę któregoś ze stron. Jak pamiętam, żałowałem, że nie wojujemy nadal z Krukami.

Problem był niewątpliwie poważny, ale rozważając go, jednocześnie rozbierałem się, malowałem w czerwone i żółte barwy wojenne oraz ostrzyłem na małej osetce groty swoich strzał. Są ludzie, którzy w chwilach niezdecydowania zaprzestają wszelkiej działalności fizycznej, żeby tym lepiej pozwolić działać umysłowi, ale ja jestem inny: zatrudniam ręce w nadziei, że umysł pójdzie ich śladem. Jeżeli to się nie sprawdza, nie ma podstaw, żeby wierzyć, że doszedłbym do czegoś więcej siedząc z podpartą głową.

Odesłaliśmy kobiety i dzieci na południowy brzeg Arkansas, ale taka panowała wtedy wśród Czejenów pewność siebie, że znów rozbili obóz i tak go zostawili. Następnie czarownik Lód zaprowadził nas do pobliskiego jeziora i tam przez zanurzenie rąk w wodzie uzyskaliśmy nietykalność. Kiedy żołnierze zaczęli strzelać, mieliśmy tylko wyciągnąć przed siebie dłonie, a kule miały wypaść z luf i potoczyć się im pod nogi.

Wtedy stało się dla mnie jasne, że będę musiał umrzeć.

Można zostać do pewnego stopnia Indianinem, ale prędzej czy później coś takiego musi wypłynąć. Wiem, że zioła i czary Leworękiego Wilka uleczyły moją ranę głowy, ale jak uważam, stało się to dzięki temu, że przez większą część kuracji byłem nieprzytomny, a kiedy człowiek jest nieprzytomny, nie obowiązują żadne zasady i wszystko jest możliwe. Pijany w trupa może przeżyć upadek, który na trzeźwo zrobiłby z niego marmoladę. Nie chciałbym wyjść na fanatyka: nie twierdzę, że w żadnej sytuacji kula karabinowa nie może być zatrzymana siłą magiczną. Chcę tylko powiedzieć, że nie może być zatrzymana przez kogoś, kto sam nie wierzy, że coś takiego jest możliwe w stosunku do niego. Czyli do mnie. Jeżeli chodzi o Garba, Opala Się Na Czerwono czy Młodszego Niedźwiedzia, cóż, to była ich sprawa.

Słuchając mnie uważnie, mogłeś zauważyć coś wcześniej, kiedy mówiłem o walkach z Krukami. Tamten pierwszy, którego zabiłem, poznał, że jestem biały, choć było ciemno: a co z tymi, z którymi biliśmy się w biały dzień? Malowałem twarz i ciało, a co z moimi rudymi włosami? Powiem ci. Po całym tym zachwycie z mojego pierwszego wyczynu nie chciałem oczywiście wspominać o pewnych szczególnych okolicznościach, bo fakt, że Kruk rozpoznał moją rasę, jego przyjazne zachowania i tak dalej, tylko by zbiło Czejenów z tropu. Ale kiedy wyruszyliśmy na wojnę, przedstawiłem mój problem Skórze Ze Starego Szałas.

— Dziadku — powiedziałem, bo tak należy się zwracać do mężczyzny w jego wieku — chcę coś zrobić, ale nie wiem, jaki sposób będzie właściwy. Nie chcę, żeby Krukowie widzieli kolor moich włosów, ale nie chcę też, żeby myśleli, że obciąłem je przez tchórzostwo, żeby nie można mnie oskalpować. Jestem też za młody i zadałem zbyt mało razy, żeby nosić pełny pióropusz.

Wódz zastanowił się, a potem zdjął cylinder i włożył mi go na głowę. Cylinder nieco za duży i dochodził mi do samych uszu, ale tym lepiej zasłaniał włosy.

— Na wojnę możesz nosić to — powiedział — ale potem mi oddaj, bo to stanowi całość z medalem, który Biały Ojciec przysłał mi z ich głównej wsi.

I tak też zrobiłem dodając wkładkę do środka i pasek z surowej skóry pod brodę, żeby cylinder mocniej siedział. Co do włosów na karku, to smarowałem je farbą. Oczywiście wciąż jeszcze nie miałem warkoczyków i Krukowie pewnie nie brali mnie za stuprocentowego Czejena, bo Indianie mają bystry wzrok nawet w gorączce bitwy, ale mogli mnie uznać za mieszańca.

Teraz mieliśmy wyruszyć przeciwko żołnierzom, poszedłem więc tam, gdzie Skóra Ze Starego Szałas ustalał ze starszyzną plan bitwy, bo robili to fachowo jak dobrze wyszkolone wojsko, i zwróciwszy na siebie jego uwagę poprosiłem go o cylinder, który miał akurat na głowie.

Wziął mnie na stronę; prawdę mówiąc obaj dosiedliśmy koni — on swojego wspaniałego łaciatego, który wykonywał jego polecenia bez słowa i bez dotknięcia wodzy — i pojechaliśmy na pagórki nad rzeką. W najwyższym miejscu zatrzymaliśmy się, wódz spojrzął w dal i stwierdził, że w odległości około pięciu mil jedzie dwustu pięćdziesięciu kawalerzystów, a dwie do trzech mil za nimi posuwa się oddział piechoty. Ja tam nie widziałem nic prócz falującej prerii.

Potem spojrzął swoimi jasnymi starymi oczami na mnie i powiedział:

— Mój synu, to są biali ludzie, których zabijemy. Po raz pierwszy w życiu stanę przeciwko białym jako przeciwko wrogom. Zawsze wierzyłem, że mają swoje powody, żeby robić to, co robią, i nadal tak uważam. Oni są obcy i postępują tak, jakby nie wiedzieli, gdzie jest środek świata. Z tego powodu nigdy ich nie lubiłem, ale nie czułem też do nich nienawiści. Ostatnio jednak zachowywali się brzydko w stosunku do Ludzi. Dlatego musimy ich zetrzeć z powierzchni ziemi.

Wyglądał na zażenowanego i podrapał się w nos.

— Nie wiem, czy sięgasz pamięcią tak daleko, zanim stałeś się Człowiekiem i moim synem, równie mi bliskim jak ci, których zrobiłem z Kobietą Wodopój Bizonów, i innymi, napełniając moje serce dumą i przynosząc honor mojemu szłałowi... Nie będę mówić o tamtych wcześniejszych czasach, które zapewne zatarły się w twojej pamięci. Chcę tylko powiedzieć, że jeżeli je pamiętasz i uważasz, że walka z tymi białoskórymi przyniesie ci złe czary, możesz nie brać w niej udziału i nikt nie będzie ci miał tego za złe. Udowodniłeś nie jeden raz, że jesteś mężczyzną, a mężczyzna ma robić to, co mu każe jego serce, i nikt nie może tego podważać.

Nie powiedział, jak widzisz, że jestem biały, ale pozostawił mi wyjście, w razie gdybym sobie tego życzył. Z właściwym sobie zadufaniem zakładał, że każdy, kto miałby taką okazję, wolałby być Czejenem, ale z równie charakterystyczną delikatnością uwzględniał moje pochodzenie.

— Dziadku — powiedziałem — myślę, że dziś jest dobry dzień, żeby umrzeć.

Jak Indianin usłyszy coś takiego, to nie zaczyna cię natychmiast pocieszać, mówić, że nie masz racji, że wszystko będzie dobrze itede, bo to nie są próżne słowa jak u białych. Nie ma też w tym nic samobójczego, jak u kogoś, kto doszedł do wniosku, że życie mu obrzydło i chce się go pozbyć. Znaczy to tyle, że będziesz bić się aż do końca. Życie nie tylko nie jest złe, jest tak dobre, że chcesz je smakować do końca i spłonąć w nim. Pewnego razu, zanim przystałem do plemienia, grupa Czejenów zaraziła się cholerą od jakichś przybyszów i wszyscy, którzy jeszcze nie byli umierający, przywdziali stroje wojenne, dosiedli swoich bojowych koni i wyzwali niewidzialną zarazę, żeby wyszła i walczyła jak mężczyzna.

Nie potrafię uczciwie powiedzieć, czy mówiłem to w rozumieniu indiańskim, ale Skóra Ze Starego Szłału tak to przyjął i wręczył mi swój cylinder. W tym momencie zobaczył królika, który siedział całkiem blisko i ruszał na wodza nosem.

Wódz spochmurniał, zawrócił konia i pogalopował na nadrzeczną równinę. Następną rozmowę mieliśmy odbyć za wiele lat.

Żołnierze dotarli do rzeki około dwie mile na zachód od nas i ruszyli z biegiem wody w naszą stronę. Wiedzieli, że znajdujemy się w okolicy, ale musiało być dla nich pewnym zaskoczeniem, kiedy wyjechali zza zakrętu i zobaczyli trzystu czejeńskich jeźdźców oczekujących w szyku bojowym, z lewą flanką dochodzącą do rzeki, a prawą do skarpy wzgórz.

Ludzie byli w pełnej gali, wojownicy i konie wymalowane, pióra powiewają, wiele pełnych pióropuszków, słońce wydobywa jaskrawe barwy, błyszczą na ostrzach włóczni i lufach karabinów. Niektórzy wojownicy przemawiali do swoich wierzchowców, a te stawały dęba i rozdymały chrapy, jakby już szarżowały. Zwęszyły wielkie konie kawaleryjskie i zaczynały; groźnie rżec, gdyż miały do nich taki sam stosunek jak Czejenowie do białych.

Ja dosiadałem bułanka, jednego z tych zdobytych na Krukach, i był to znakomity wierzchowiec, chociaż musiał obywać się bez rozmów poprzestając na normalnych pozdrowieniach. Tego dnia byłem najbliższy wdania się z nim w filozoficzną dyskusję. Niepokoiłem się nie na żarty, podejrzewając, że nie wszyscy z moich towarzyszy podzielają stanowisko Skóry Ze Starego Szłasasu co do mojego miejsca pośrodku pierwszej linii. Zwłaszcza Młodszy Niedźwiedź; który miał miejsce daleko na prawym skrzydle, ale na mój widok podjechał i wpakował się tuż obok. Był pomalowany od pasa w górę na czarno ze szkarłatnym przedziałkiem we włosach, z białymi obwódkami wokół oczu i takimiz poziomymi pasami na policzkach.

Nie wiedziałem, czy śmieje się do mnie, czy tylko szczyrzy zęby, gdyż dał znać, że mnie zauważa, po raz pierwszy od długiego czasu. Nie odwzajemniłem mu się. Nie czułem się zbyt pewnie i byłem zadowolony, że mam na sobie barwy wojenne. To jest właśnie wielka zaleta tego malowania: niezależnie od tego, jak człowiek czuje się w środku, wygląda zawsze przerażająco.

Garb i inni wodzowie wojenni przejeżdżali wzdłuż szyku i czarownik Lód też tam był, mamrocząc swoje hokus-pokus, potrzaskując grzechotkami i innymi paskudztwami w stronę kawalerii, która zatrzymała się w odległości pół mili na płaskim gruncie i stamtąd nam się przyglądała. Miałem nadzieję, że żołnierze zaczną się może skręcać ze śmiechu, bo ja przynajmniej czułem na to ochotę. Przed szarżą człowiek odczuwa takie śmieszne podniecenie, a im dłużej czeka, tym bardziej to w

nim narasta, aż wreszcie kiedy rusza, wydaje mu się, że robi to, na co ma w tym momencie największą na świecie ochotę.

Ale dodając do tego fakt, że byłem goły i w cylindrze na głowie, że mieliśmy naprzeciw siebie trzystu albo czterystu białych ludzi z bronią palną i że był to mój piąty rok udawania Indianina, stwierdziłem, że moimi wnętrznościami wstrząsa śmiech, niewątpliwie przygotowując je na przyjęcie porcji gorącego ołowiu.

Robiłem, co mogłem, żeby się pohamować, i w rezultacie brzmiało to jak pomruk, a nawet jak głęboki gardłowy zaśpiew, rzecz bardzo czejeńska. Zrobiło to wrażenie na Młodszym Niedźwiedziu, który podjął mój pomruk, a za nim najbliżsi wojownicy po obu stronach i wkrótce dobywało się to z każdej piersi, przekształcając się w czejeńska pieśń wojenną, i przy tej muzyce ruszyliśmy stępą, niektóre konie tańczyły, ale na ogół zachowywaliśmy szyk. Nadal powstrzymywaliśmy i zbieraliśmy swoją siłę, jednocześnie wysyłając czary i paralizując białych naszą nadprzyrodzoną mocą, jadąc w święty sposób.

Zapomniałem o sobie stając się częścią mistycznego kręgu, w którym Czejenowie według swoich wierzeń są nieustannie złączeni. Jest to krąg Ziemi i Słońca, a także życia i śmierci, bo różnica między nimi jest tylko sprawą pozoru, a nie istoty rzeczy, i wszyscy Czejenowie, którzy kiedykolwiek żyli, wraz z żyjącymi obecnie tworzą jeden lud: nieśmiertelny, niezwyciężony, najwyższe ukoronowanie całej natury.

Posuwaliśmy się w ten sposób dwieście, może trzysta jardów, podczas gdy żołnierze nadal tylko nam się przyglądali, widocznie zaczarowani jak antylopy w tamtej obławie i wyczekujący na podobny los — część naszych wojowników przerzuciła nawet łuki przez ramię i ścisnęła bojowe maczugi i toporki szykując się do zwalania bezbronych żołnierzy z siodła — kiedy nad granatowymi szeregami przebiegł błysk i nad naszą pieśnią wzbił się mosiężny głos trąbki.

Żołnierze dobyli szabel i ruszyli do ataku.

Stanęliśmy. Dzielilo nas od nich sześćset jardów nadrzecznej równiny. Wkrótce zostało czterysta, potem trzysta i nasz śpiew zamarł. Trąbka też ucichła i rozległ się jedynie tętent tysiąca podkutych kopyt zmieszany z brzękiem pochew. I mówiąc za siebie, nie widziałem wcale proporców ani mundurów, ani nawet koni, ale raczej jakąś maszynę, jedną olbrzymią kosiarkę z setkami błyszczących ostrzy, które szatkowały

przed sobą wszystko, co żyje, i wyrzucały za sobą w postaci długiej na ćwierć mili chmury żółtego pyłu.

Teraz my byliśmy sparaliżowani i staliśmy jak wrośnięci w ziemię, aż szarżujący zbliżyli się na sto, na siedemdziesiąt pięć jardów, a potem rozsypaliśmy się i rzuciliśmy się do bezładnej ucieczki. Czary, zwracam uwagę, miały być dobre na kule, nie na długie noże.

Mówię „my” dla większego efektu. Faktycznie mając nóż, a raczej szablę, na gardle odciąłem się błyskawicznie od więzów z Czejenami, zrzuciłem cylinder Skóry Ze Starego Szałas na ziemię, gdzie natychmiast rozdeptały go galopujące kopyta, i wolnym końcem przepaski biodrowej zacząłem ścierać farbę z twarzy, jednocześnie wrzeszcząc po angielsku, którym to językiem nie mówiłem od pięciu lat, przez co moje rozgorączkowanie częściowo odbijało się na kwestiach retorycznych.

Co krzyczeć w takiej chwili, żeby nie wydać się jeszcze bardziej Indianinem? Mój słownik był poważnie ograniczony na skutek nieużywania, a powiem ci, że wyobraźnia nie działa najlepiej, kiedy wielki żołnierz na potężnym koniu wali na ciebie ze swoim różnem, a wszędzie wkoło podobni jegomości uganiają się za twoją byłą rodziną i przyjaciółmi, którzy uciekają jak bizony w panice.

Wiesz, co krzyczałem? Krzyczałem: „Niech żyje George Waszyngton!” W przerwach wycierałem czoło końcem przepaski, do czego musiałem pochylić się nisko. To uratowało mi życie, bo ten wielki żołnierz ciał szablą dokładnie tam, gdzie normalnie znajdowałoby się moje jabłko Adama. Historia z Waszyngtonem nie zadziałała, kiedy więc zamierzył się do powtórnego ciosu, od siebie, wrzasnąłem: „Niech żyje moja mama!”

Żeby uniknąć wściekłego cięcia musiałem po indiańsku przewiesić się na zewnętrzny bok konia i trzymając się tylko łydkami zatoczyłem koło, podczas gdy on nie dawał za wygraną i ciał powietrze z przerażającym świstem. Tymczasem mijała nas reszta kawalerii i spodziewałem się w każdej chwili ciosu z tyłu, zanim ten suczy syn sam mnie trafi albo zrozumie, o co mi chodzi. Bo był wielki, a ja — niezależnie od tego, co ty powiesz — uważam, że za każdy cal wzrostu ponad pięć stóp płaci się proporcjonalnym zmniejszeniem rozumu. Przez całe życie miałem uprzedzenie do przerośniętych drągali.

Te moje uniki powtarzały się tak długo i w tylu odmianach, aż zrozumiałem, że z jednej strony nigdy nie uda mu się mnie dosięgnąć, a z drugiej, że nigdy nie

przestanie próbować. Nie był zbyt dobrym jeźdźcem: pod koniec każdego cięcia zamach ręki z szablą unosił mu kolano przeciwnej nogi i osłabiał jego pozycję w siodle dezorientując wierzchowca. Zrobił to o jeden raz za dużo, zszedłem więc mokasynem w żebra i zwałem z konia wśród szczęku pochwy, ostróg i całej reszty rynsztunku, jakim żołnierze bywają obwieszani.

Sam też zeskoczyłem z konia mając wodzę bojową przytroczoną do pasa, przycisnąłem kolanami ramiona ogłuszonego upadkiem żołnierza i przyłożyłem ostrze noża do skalpowania do jego szczeciniastej krtani — tępą stroną na wszelki wypadek.

Nagle przypomniałem sobie całą garść doborowych wyrażań, jakie słyszałem u dorosłych w Evansville.

— Słuchaj, ty..... — powiedziałem z wielkim przekonaniem — czy muszę ci poderżnąć twoje... gardło, żeby ci wbić do tego twojego... łba, że jestem... białym człowiekiem?

Głupawy wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale spytał:

— To skąd, do cholery, ten strój?

— To długa historia — powiedziałem i puściłem go.

8. KOLEJNA ADOPCJA

Pewnie można przeczytać o tej bitwie w książkach, bo było to pierwsze prawdziwe starcie między armią a Czejenami i swego czasu wywołało niemałe poruszenie. Żołnierze twierdzili, że zabili w szarży trzydziestu Indian, pułkownik w raporcie mówił o dziewięciu, a w rzeczywistości było czterech zabitych i wielu rannych. Zdarzyło się to w miesiącu lipcu tysiąc osiemsetnego pięćdziesiątego siódmego roku.

Jest to jedna z tych rzeczy, których człowiek się dowiadyuje, kiedy wraca do cywilizacji: jaki mamy dzień i którą godzinę, ile mil jest do fortu Leavenwarth, ile handlarze liczą tam za tytoń, ile piw wypił Flanagan i ile razy Hoffman dogodził pewnej nierządnicy. Liczby, liczby, zapomniałem, jakie to ważne. Oraz że Kansas zostało terytorium, choć nie wiedziałem, co to ma za znaczenie.

Ten żołnierz, nazwiskiem Muldoon, kiedy się uspokoiło, zaprowadził mnie do pułkownika, któremu opowiedziałem, że Czejenowie pod groźbą śmierci zmusili mnie do wzięcia udziału w wyprawie wojennej, że pięć lat wcześniej wymordowali całą moją rodzinę i odtąd trzymali mnie w okrutnej niewoli. Muldoon zaświadczył, że mogłem go zabić, ale tego nie zrobiłem. Obmyty całkowicie z farby, w szarej wełnianej koszuli i granatowych spodniach o jakieś osiem numerów za dużych, które pożyczył mi Muldoon, wyglądałem dość niewinnie.

Nie miałem powodu do niepokoju. O Indianach można było wtedy mówić wszystko, co się chciało, i ludzie, to przeżykali, a żołnierze chętniej niż cywile, gdyż biały żołnierz podtrzymuje w sobie ducha przekonaniem, że wróg jest tak godny pogardy, że aż śmieszny. Niektórzy z tych żołnierzy myśleli na przykład, że Indianie jedzą ludzkie mięso i utrzymują stosunki z własnymi córkami.

I tak pułkownik wyraził mi współczucie, a potem próbował wyciągnąć ze mnie, gdzie Czejenowie obozują i ile mają koni, gdyż planował pierwsze spalić, a drugie zabrać, ale udawałem na wpół zidiociałego wskutek wieloletnich tortur i jakoś się z tego wykręciłem. Obóz i tak odnalazł, po prostu idąc po śladach i spalił opuszczone szałas. Z radością stwierdziłem, że nie było wśród nich szałasów starego wodza. Widocznie Kobieta Wodopój Bizonów i Biała Krowa zdążyły go zwinąć przed ucieczką. Od tego miejsca wydeptany szlak rozpadał się na wiele małych, zgodnie ze zwyczajem

Indian w odwrocie. Wojownicy, którzy pojechali na wschód, później mieli zatoczyć koło. Wszyscy mieli się spotkać, kiedy minie niebezpieczeństwo.

Wojsko wędowało się po okolicy przez większą część lata, w pewnym momencie posuwając się na zachód aż do fortu Bent, gdzie zabrało zapasy mające stanowić, zgodnie z obowiązującym traktatem, roczną zapłatę Indianom, po czym wróciło nad Rzekę Salomona. Ale nie znalazło już więcej Czejenów i wreszcie wróciło do Laramie.

Byłem oczywiście przez cały ten czas z nimi, pod opieką Muldoona, który wolał zapomnieć, że mogłem go zabić ze związanymi rękami, i udawał, że jestem bezradnym dzieciakiem. Pozwalałem mu na to, bo był poczciwym gamoniem. Kazał mi się często myć mocnym wojskowym mydłem, twierdząc, że wciąż jeszcze śmierdzę kozłem, mimo tygodni, jakie upłynęły od mojego rozstania z Czejenami. Ja uważałem, że to on śmierdzi, podobnie jak reszta żołnierzy, ale była to, jak sądzę, kwestia innych smrodów, bo pamiętam, jak uderzył mnie fetor czejeńskiego obozu, kiedy wjechaliśmy tam z Caroline przed laty.

Inni żołnierze traktowali mnie tak samo i poza tym, że musiałem wysłuchiwać ich głupiego gadania, nie miałem się na co uskarżać. Podczas kampanii takiej jak ta łatwiej było przyzwyczajać się na powrót do białego życia niż w jakiś innych okolicznościach. Żyliśmy przecież pod gołym niebem i spaliśmy na ziemi, i chociaż wojskowe jedzenie, głównie słonina i suchary, było podłe, udawało mi się od czasu do czasu coś upolować, bo zachowałem łuk i strzały oraz swojego indiańskiego konia, a że żołnierze też woleli świeże mięso, byłem przez nich dość lubiany, mimo że niewiele mówiłem, co oni przypisywali mojej tępcie wynikającej z wieloletniej niewoli.

Można by oczekiwać, że pułkownik okaże zainteresowanie moim pięcioletnim doświadczeniem życia wśród dzikusów, ale było inaczej. Bardzo szybko przekonałem się, że rzadko który biały chce wysłuchać, co ktoś inny ma do powiedzenia, tym bardziej, jeżeli ten ktoś wie, co mówi.

Muszę stwierdzić, że moje czary zawiodły, kiedy przybyliśmy do Laramie. Stając się białym w bitwie nad Rzeką Salomona nie myślałem o niczym prócz ratowania życia. Jasne, że nie wyobrażałem sobie, co taka decyzja pociągnie za sobą na dłuższą metę. Byłem przez tyle lat odcięty od cywilizacji, że zapomniałem, jak wszystko jest tam zorganizowane — nie można wprowadzić się do czyjegoś szałas i sprawa załatwiona.

I tak wkrótce po przyjeździe do Laramie, gdzie zamieszkałem z żołnierzami, pułkownik wezwał mnie do siebie.

— Archiwa tutejsze są dalekie od doskonałości — powiedział. — Pożalowania godny incydent napadu czerwonych diabłów na karawanę twojego ojca nigdzie nie został odnotowany, o ile można sądzić z dokumentów. Obawiam się, że ukaranie odpowiedzialnych za to złoczyńców będzie dość trudne ze względu na to, że podałeś nam niedostateczną informację na ich temat, nie mówiąc o kwestii znalezienia właściwych Indian, nawet gdybyśmy dokładnie wiedzieli, o których chodzi. Bo sam wiesz, że to szczone lisy. Podejrzewam, że w końcu będziemy musieli wybić ich wszystkich. Nie widzę innej możliwości w świetle ich zacieklego upierania się przy życiu w dzikości. Tyle na temat smutnych wspomnień. Ważniejsze jest życie, jakie otwiera się przed tobą...

I tak dalej, i tak dalej, a wynikało z tego, że wysłała mnie na wschód do fortu Leavenworth, siedziby sztabu, z kolumną wyruszającą następnego dnia. Leavenworth leżał nad rzeką Missouri, niedaleko przemianowanego później na Kansas City Westport i Independence, gdzie tato kupił kiedyś wóz i zaprzęg wołów. To była już cywilizacja w całej okazałości, albo przynajmniej to, co za nią w tamtym czasie uchodziło.

Poczułem, że się duszę, kiedy usłyszałem tę wiadomość. W Laramie zebrało się już tylu białych ludzi, że ledwo mogłem oddychać, i nie spało mi się dobrze w prostokątnych barakach, gdyż wśród Czejenów nauczyłem się cenić wyżej ich okrągłe mieszkanie. Zdaje się, że wspominałem, jakie znaczenie przypisują kręgom, o kręgu Ziemi i tak dalej. Byli zdecydowanie przeciwni kątowni prostemu, który przerywa ciągłość. „W kwadracie nie ma siły” — mawiał Skóra Ze Starego Szalasu.

Teraz wracałem do świata ostrych kantów, podczas gdy gdzieś tam na prerii Ludzie znów się zbierali i opłakawszy swoich zmarłych śnili, jedli pieczeń z garbu bizona i snuli opowieści przy ognisku z bizonich placków, kradli konie Paunisom i im kradziono konie, i była tam Nic w ozdobionej frędzlami sukience ze skóry białej antylopy.

Wiedzieli, gdzie jestem, nawet jeżeli nikt im o mnie nie mówił, tak jak wiedzieli o wszystkim, co dotyczy ich współplemieńców. I nic więcej. Nie słyszeli — a gdyby słyszeli, toby nie zrozumieli — wieści o zamieszkach w związku z niewolnictwem, o Johnie Brownie i o wszystkim, co się wówczas działo w białym Kansas.

Ale nie żałowałem, że rozstaję się z Laramie jako takim, bo stało się ono najbrzydszym miejscem pod słońcem. Tak myślałem wtedy, zanim zobaczyłem wiele innych miejscowości. Wokół fortu rozbiło swoje szałaszy wielu Indian, a wśród nich, muszę z przykrością stwierdzić, byli i Ludzie, którzy jednak nie przypominali tych, których poznałem wcześniej. Zresztą przynależność plemienna nie była zbyt ważna, gdyż wszyscy oni należeli do zwyrodniałej kategorii Kręcących Się Koło Fortów. Swobodnie wędrujący Indianie mieli ich w pogardzie. Wielu z nich dosłownie siedziało w forcie na swoich kocach gapiąc się bezmyślnie przed siebie, gdyż pozwalano im przychodzić i odchodzić, kiedy chcieli, i jeżeli jakiś żołnierz potrzebował miejsca, na którym siedzieli, przeganiał ich jak psy. Niektórzy trochę handlowali podrzędnymi skórami, inni sprzedawali swoje kobiety, a wszyscy korzystali z rządowej pomocy, którą otrzymywali jako „przyjaźni” Indianie. Oczywiście ta pomoc wynosiła zwykle mniej niż połowę tego, co im z prawa przysługiwało, gdyż agenci do spraw Indian zagarniali resztę i sprzedawali białym osadnikom albo też wojsko rekwirowało żywność dla siebie z powodu chronicznych braków, powstałych na skutek machinacji dostawców ze wschodniego wybrzeża i złodziejstwa kwatermistrzów. Prawo zakazywało sprzedaży alkoholu Indianom, ale Kręcący Się Koło Fortów częściej bywali pijani niż trzeźwi, gdyż żołnierze przemycali im whisky w zamian za przespanie się z ich żonami i córkami, dość marnymi, ale widocznie lepszymi niż nic, gdyż białych kobiet było tam jak na lekarstwo. Również handlarze robili dość otwarcie niezłe interesy na wodzie ognistej i nigdy nie słyszałem, żeby któregoś z nich aresztowano, pewnie dlatego, że po pijanemu fortowi Indianie byli jeszcze bardziej nieszkodliwi niż w pełni władz umysłowych.

Wspominam o tej sprawie, bo w Laramie natknąłem się na kogoś, kogo znałem z dawnych czasów. Zawędrowałem do obozowiska Indian z tęsknoty za moim dawnym życiem, ale chciałem się stamtąd wycofać uciekając przed brudnymi starymi kobietami usiłującymi sprzedać mi pełne robactwa skóry bizonów, oraz przed ich kupczącymi żywym towarem mężami, zasmarkanymi i szczerzącymi zęby, kiedy zobaczyłem płócienny namiot, z którego co chwila wytaczał się pijany Indianin i albo padał na twarz, albo rzygał.

Kiedy zajrzałem do środka, zastałem tam kilku wojowników i każdy śpiewał inną pieśń albo perorował ochryple sam do siebie. Odór był nie do opisania. W głębi namiotu stała otwarta beczka, na której wisiał zardzewiały czerpak, a obok stał biały człowiek w brudnych skórzanych spodniach. Wyglądał, jakby nie mył twarzy od dnia

przyjścia na świat; można by z niej zrywać brud płatami. Brzytwy również nigdy nie posiadał.

— Jak się masz, przyjacielu — powitał mnie szczerząc zapleśniałe zęby.

W tym momencie wtacza się jakiś Indianin i zdjęwszy mokasyny wręcza je temu brudasowi, który ogląda towar i kręci głową. Na to Indianin ściąga szarą wełnianą koszulę, jakie były wówczas w sprzedaży, czarną od tłuszczu, i dokłada ją do mokasynów.

Biały facet wyciąga wskazujący palec, zgina go i mówi:

— Pół, ty psi synu z czerwonym zadkiem. Pół, ty gównojadzie.

I napełnia do połowy zardzewiały czerpak, a Indianin bierze go i wlewa sobie zawartość do gardła.

— Jeden na mój koszt — zaprasza ten biały pańskiego sługę. Patrzę tylko na niego, a on na to:

— Nie te końskie szczynty. Mam tu butelkę oryginalnego towaru.

Rzeczywiście wyciąga butelkę z leżącego na podłodze worka, do którego wepchnął świeżo nabyte mokasyny i koszulę.

— Do tego w beczce używam szklanek whisky na wiadro wody i dodaję proch, tytoń, siarkę, sos tabasko i pieprz. Te śmierdzące i tak się nie poznają. Ale przysięgam, że to tutaj jest dobre. Napij się.

I podsuwa mi butelkę. — Dziękuję, nie — mówię.

— No to się odsuń. Nie mam czasu na rozmówki w ciągu dnia, muszę handlować z tymi... — Unosi butelkę i pociąga z niej. Zobaczywszy to, jeden z Indian po warkoczykach sądząc Czejen, zatacza się w jego stronę, ale dostaje kopniaka w krocze i pada nieprzytomny na ziemię. Inni nie zwracają najmniejszej uwagi na ten incydent.

— Naturalnie — powiada ten facet odejmując od ust butelkę — wieczorem zwykle idę do fortu i jem kolację z dowódcą, moim osobistym przyjacielem, ale w ciągu dnia odczuwam samotność. Niełatwo jest mi zadawać się z tą bandą, zważywszy, że wymordowali mi na moich oczach całą rodzinę i... wszystkie kobiety. Myślę, że kiedy w przyszłości Kansas będzie stanem, zostanę senatorem. — Znów pociągnął z butelki. — Jesteś pewien, że nie chcesz łyknąć? Póki jeszcze jest.

Ale ja odwróciłem się do niego plecami i przekraczając leżącego Człowieka wyszedłem z namiotu. Nie piłem jeszcze wtedy whisky, a poza tym nigdy nie mogłem słuchać łgarstw mojego brata Billa. Byłem zadowolony, że mnie nie poznał.

W Leavenworth, który był sporym fortem, oddano mnie do kapelana wojskowego, mieszkającego z rodziną w osobnym domu. Był to chudy jegomość z końskimi zębami i bardzo do niego podobną żoną oraz kilkoma jasnowłosymi dzieciakami, nie podobnymi do żadnego z nich. Spędziłem tam kilka tygodni, w którym to czasie, ilekroć żony i dzieci nie było w domu, kapelan wołał mnie do swojego gabinetu i zaczynał ckliwie rozwódzić się nad moim życiem duchowym, przy czym kładł pajęczą łapę na moim kolanie. Myślę, że był *himaneh*, chociaż nigdy nie posunął się dalej. Rozstałem się z nim bez przykrości, kiedy nadszedł czas, bo na dodatek jego żona twierdziła, że nadal śmierdzą, i kazała mi się ciągle kąpać.

Zostałem wreszcie wezwany do najwyższego tam oficera, generała z bokobrodami, który mi powiedział:

— Słuchaj, Jack, mamy dla ciebie doskonały dom. Będziesz się uczył, dostaniesz porządne ubranie i będziesz miał wspaniałego ojca, który się tobą zajmie. Dużo musisz nadrobić, ale jesteś zdolnym chłopcem. I jeżeli później zechcesz wybrać karierę wojskową i pójść za głosem trąbki z naszymi dzielnymi chłopcami, będziesz mógł powołać się na mnie.

Po tych słowach wetknął nos w papiery i ordynans wyprowadził mnie przed dom, gdzie mój kapelan rozmawiał z olbrzymim grubasem siedzącym w dwukółce.

Chcę tu powiedzieć, że widziałem generała po raz pierwszy i ostatni. Nikt nigdy w Leavenworth nie spytał mnie słowem o Indian, wśród których spędziłem pięć lat. Ale Czejenom też nigdy nie przyszło do głowy spytać mnie o białych ludzi, nawet wtedy, kiedy ci ich mordowali. Trzeba człowieka zwalić na ziemię i przyłożyć mu nóż do gardła, żeby cię wysłuchał, tak jak to zrobiłem z tamtym kawalerzystą. Ogromna większość ludzi odnosi się do prawdy z nienawiścią.

Dość że przyprowadzono mnie do tej dwukółki i kapelan powiedział:

— Oto nasz mały dzikus.

Ten drugi mężczyzna miał czarną, przyciętą w kwadrat brodę i czarny surdut, który nie dopinał się na wielkim brzuchu. Jego tłuszcz był twardy, nie miękki, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. Tacy byli dawni siłacze, z wielkimi brzuchami, które były tłuste,

ale twarde jak kamień, kiedy je się uderzało. Widziałem ich na obrazkach i pomyślałem, że może ten człowiek jest jednym z nich.

Natychmiast wyobraziłem sobie, że będziemy wędrować od estrady do estrady dając przedstawienia, podnosić jedną ręką szesnastu liliputów, rozrywać żelazne łańcuchy i tak dalej, bo kapelan powiedział:

— Jack, to jest zacy człowiek, który w swojej dobroci zgodził się ciebie zaadoptować. Musisz go szanować jak rodzzonego ojca, bo jest nim teraz według prawa.

Grubas spojrział na mnie znad swojej brody, wzruszył potężnymi ramionami i odezwał się głosem tak niskim i dudniącym, jakby dochodził z głębi kanionu.

— Czy potrafisz powozić końmi, chłopcze?

Wzbudził we mnie podziw i chciałem mu się przypodobać, odpowiedziałem więc:

— Bynajmniej tak, proszę pana. Bardzo dobrze.

— Łziesz chłopcze — zahuczał. — Jak mogłeś nauczyć się powozić, skoro wychowywałeś się u Indian? Będziemy musieli wybić z ciebie te łgarstwa.

Pochylił się, chwycił mnie za koszulę i jedną ręką włożył mnie do dwukółki. Czulem się jak uniesiony pień drzewa.

— Och, Jack, musisz odnosić się z szacunkiem do wielebnego — zapiszczał kapelan — i udowodnić mu, że nauczyłeś się choć trochę manier przez ten krótki czas, kiedy mieszkałeś z nami.

I tak wyglądała prawda: mój nowy tato nie był artystą, tylko jeszcze jednym przeklętym kaznodzieją, jakbym nie miał ich już zbyt wielu w moim życiu. Nazywał się wielebny Silas Pendrake. Oprócz tej czarnej brody miał jeszcze grube czarne brwi i skórę białą jak fajka z „morskiej pianki”. Bez wątpienia wyglądał groźnie. Zachowałem nóż do skalpowania za paskiem wojskowych spodni, pod koszulą, i zastanawiałem się, czy nie wbić mu go w plecy, kiedy jechaliśmy w stronę rzeki Missouri, ale zniechęcił mnie widok olbrzymich rozmiarów tych pleców, szerokości chyba czterech stóp i takiej samej grubości. Uznałem, że nóż odskoczy od nich jak od kamiennej ściany.

Ten nóż i za duże ubranie od Muldoona stanowiły cały mój dobytek. W Leavenworth odebrano mi konia i więcej nie widziałem go na oczy. Myślę, że to kapelan go sprzedał, żeby mu się zwróciło za moje utrzymanie, a mój czejeński łuk połamały w zabawie jasnowłose dzieciaki.

Kiedy dotarliśmy do rzeki, Pendrake wjechał prosto na pokład czekającego tam parowca z kołem napędowym na rufie. Jego koń, nawiasem mówiąc, był wielkim, spokojnym, myszatyim zwierzęciem i możesz sobie wyobrazić, jaki musiał być silny, żeby uciągnąć swojego olbrzymiego właściciela. Temu koniowi bardzo się nie podobałem, co mogłem poznać po tym, jak rozdymał chrapy. Myślę, że zwęszył we mnie Indianina, mimo że myłem się od stóp do głów co najmniej cztery albo i pięć razy, w ciągu tych miesięcy, jakie spędziłem poza plemieniem.

Po jakimś czasie statek odbił od brzegu i było to interesujące, ale mnie to nie zachwycało, bo pamiętałem słowa Skóry Ze Starego Szalasu, że jeżeli Człowiek przepłynie zbyt dużą wodę, to umrze. Oczywiście wychowywałem się nad Ohio w Evansville, ale to było dawno temu, a widok Missouri nie dodaje nikomu pewności siebie. Nieustannie podmywa ona swoje brzegi i myślę, że jeśli dać jej odpowiednio dużo czasu, to dojdzie do Nevady i zacznie nawadniać tam pustynię.

Nie powiem, dokąd się kierowaliśmy, poza tym, że było to dość znaczne miasto w zachodnim Missouri. Przyczyna mojej delikatności stanie się jasna w dalszym ciągu tej opowieści. Podejmiemy ją więc w chwili, kiedy po kilkugodzinnej podróży przybiliśmy do brzegu i zjechaliśmy ze statku i dalej przez miasto do jego lepszej dzielnicy, gdzie Pendrake miał porządny kościół, a obok niego dość solidny piętrowy dom ze stodołą, do której wjechał dwukółką, po czym odezwał się do mnie po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy Leavenworth.

— Czy umiesz wyprząc konia, chłopcze? — spytał.

Zapamiętałem lekcję.

— Nie, proszę pana — powiedziałem. — Zupełnie nie.

— To musisz się nauczyć — zahuczał, ale już nie tak groźnie jak w Leavenworth i natychmiast przyszło mi do głowy, że jego zachowanie tam miało prawdopodobnie stanowić kontrast do mizdrzenia się kapelana, żebym nie myślał, że wszyscy duchowni są tacy sami.

Jedną rzecz mogę powiedzieć o Pendrake'u od razu: poza chwilami, kiedy jadł, nigdy nie wiedział, jak się zachować. We wszystkich pozostałych sytuacjach starał się dostosować do innych ludzi. Podejrzewam, że gdyby się skaleczył, to mógłby się wykrwawić na śmierć, zanim by w pocie czoła doszedł do wniosku, że w takim przypadku należy ranę zabandażować.

Nietrudno było nauczyć się wyprzęgać tego konia, który nie sprawiał mi kłopotu poza tym, że rzucał trochę głową, ale robił to powoli i ciężko, odprowadziłem go więc do stajni. Potem jednak wpadłem w rozterkę, gdyż obawiałem się, że mogę drogo zapłacić za fałszywy krok. Jeżeli zostałem w stajni, a Pendrake oczekiwał mnie w domu, mógłbym zdrowo oberwać. Z drugiej strony, mógł sobie życzyć, żebym został w stajni. Wybrałem jak zwykle ruch i skierowałem się do domu, ale zamiast wejść tak jak on tylnymi drzwiami, poszedłem od frontu, żeby na razie zejść mu z drogi i zorientować się w rozkładzie domu na wypadek, gdybym musiał ratować się ucieczką.

Wszedłem przez ganek i drzwi frontowe do przedpokoju, gdzie był wieszak z jelenich rogów, i dalej do saloniku, który dzisiaj nie wydałby się niczym nadzwyczajnym, ale wówczas zachwycił mnie mosiężnymi lampami naftowymi i serwetkami na oparciach mebli, chroniącymi je przed tłustymi włosami, bo chociaż Pendrake nie należał do bogaczy to niewątpliwie nie był brudasem, jak moja rodzina, ani wojskowym, jak kapelan.

W tym momencie odezwał się za moimi plecami potężny głos:

— Jesteś w salonie?

Nie był właściwie zły, bardziej zaskoczony.

— Nic nie stłukłem — powiedziałem.

Dopiero teraz się odwróciłem, pewien, że zobaczę jego ogrom tuż za sobą, okazało się jednak, że jest dalej, niż myślałem. Z tym swoim głosem mógł stać w odległości stu jardów i też miałoby się uczucie, że siedzi człowiekowi na karku.

Teraz jednak między nami stała kobieta z ciemnoblond włosami okalającymi twarz i zebranych z tyłu w kok. Miała niebieskie oczy i jasną skórę, ale nie taką bladą jak Pendrake, i była w niebieskiej sukni. Ocenilem, że ma jakieś dwadzieścia lat, a ponieważ Pendrake miał pięćdziesiąt, uznałem, że jest jego córką.

Uśmiechała się do mnie ukazując pod pełną górną wargą zęby drobniejsze od przeciętnych. Patrzyła na mnie, ale odezwała się do Pendrake'a.

— Myślę, że on nigdy nie widział salonu — powiedziała aksamitnym głosem. — Czy chcesz usiąść, Jack? Proszę tutaj. — I wskazała mi coś w rodzaju ławki pokrytej zielonym pluszem. — To się nazywa kozetka.

Pendrake'owi zbulgotało coś w gardle, nie ze złości, ale raczej z osłupienia.

— Nie, dziękuję, proszę pani — odpowiedziałem.

Wtedy spytała, czy chciałbym szklankę mleka i kawałek ciasta.

Niczego nie chciałem mniej niż mleka, w którym jeżeli kiedyś gustowałem, to bardzo dawno, ale pomyślałem, że lepiej żyć w zgodzie z tą dziewczyną, jeżeli chcę mieć jakąś przyjazną duszę w tym domu, poszedłem więc za nią do kuchni schodząc w ten sposób z drogi Pendrake'owi przynajmniej na jakiś czas, bo on znikł w swoim pokoju, w którym pisywał kazania, a czasami odczytywał je na głos. Słysząc go wtedy było przez drewniane ściany i w całym domu dzwoniło szkło.

W kuchni zastałem drugą osobę, która odniosła się do mnie od początku z sympatią. Jako czarna, nie miała innego wyboru. Chociaż wyzwolona, mogę cię zapewnić, że nie zadzierała z tego powodu nosa, bo ówczesne prawo stanu Missouri zezwalało na trzymanie niewolników. Myślę, że kto raz był niewolnikiem, liczy się z tym, że może nim znów zostać. Mimo to działała mi z lekka na nerwy swoim niezmiennie dobrym humorem, który, jak podejrzewałem, był częściowo udawany, i łatwiej znalazłbym wspólny język z jej pradziadkiem noszącym dzidę w Afryce. Ta kucharka nazywała się Lucy i była żoną jegomościa, który kosił trawę i wykonywał różne prace koło domu, również wyzwoleńca imieniem Lavender. Mieszkali w małej chatce za stajnią i czasami słyszałem, jak się tam kłócą w środku nocy.

Biała kobieta, którą wziąłem za córkę Pendrake'a, była w rzeczywistości jego żoną. Miała pięć lub sześć lat więcej, niż początkowo myślałem, on zaś okazał się nieco młodszy. Mimo to dzieliła ich nie byle jaka różnica wieku i już tamtego pierwszego popołudnia zastanawiałem się, co ona w nim widzi. I dzisiaj mogę powiedzieć, że nigdy się nie dowiedziałem. Domyślam się, że było to jedno z tych małżeństw zaaranżowanych przez rodziców, bo jej tato jako sędzia nie wziąłby za zięcia byle kogo.

Podczas gdy piłem mleko, pani P. usiadła naprzeciwko mnie przy stole i urzekła mnie zainteresowaniem, jakie okazała dla mojego dotychczasowego życia. Oto była pierwsza dusza, która spytała mnie o moje przygody, czego się nie spodziewałem po kulturalnej białej kobiecie znad Missouri, gdy tymczasem tej kolorowej Lucy, choć śmiała się bez przerwy i powtarzała „O rany”, nic to w gruncie rzeczy nie obchodziło i wiedziałem, że uważa mnie za wielkiego łgarza.

Zorientowałem się, że moje opowieści mają swoją cenę i nie wykorzystałem wszystkich od razu. Starłem się również pamiętać o manierach, jakich nauczyła mnie żona kapelana po tym, jak po raz pierwszy przy stole wziąłem mięso z talerza rękami. Teraz już wiedziałem swoje i ciasto dane mi przez panią Pendrake kroilem po kawałeczku i wkładałem do ust na końcu noża.

Kiedy skończyłem, powiedziała:

— Nie wiesz, Jack, jak się cieszymy, że z nami zamieszkas. W tym domu nie ma żadnego innego młodego człowieka. Twoje przybycie wpuści tu słońce. Pomyślałem, że ładnie to wyraziła.

Zaraz potem zabrała mnie na zakupy po nowe ubranie. Wzięła kapelusz i parasolkę i we dwoje poszliśmy do dzielnicy handlowej pieszo, bo mieliśmy niedaleko i dzień był piękny, początek października, jak pamiętam. Spotkaliśmy sporo znajomych pani Pendrake, którzy gapili się na mnie, a czasem wypytywali ją o mnie. Kobiety zwykle wydawały gdaczące dźwięki i posyłały mi nieco wymuszony uśmiech, choć otrzymałem też kilka wrogich spojrzeń od paru starych panien, nauczycielek, bibliotekarek i tym podobnych, bo nie byłem należycie ostrzyżony od pięciu lat i pewnie miałem nieprzyjemną minę, mimo wysiłków, żeby wyglądać przyzwoicie.

Co do mężczyzn, to nie sądzę, żeby choć jeden z nich zapamiętał, czy jestem wysoki, czy niski, bo nie spuszczała wzroku z pani P. Miała na nich potężny wpływ. Myślę, że nie oddałem jej sprawiedliwości opisem, w którym starałem się przedstawić swoje wrażenie z tamtego pierwszego dnia. Wychowując się wśród Indian nauczyłem się cenić u kobiet czarne włosy i ciemne oczy. Pani P. miała także być moją adoptowaną mamusią, co mnie powstrzymywało od patrzenia na nią jako na kobietę. Trzeba jednak powiedzieć, że biali mężczyźni musieli uważać panią Pendrake za piękność i prawie wszyscy z napotkanych tamtego popołudnia panów zachowywali się tak, jakby mieli paść na kolana i wywiesić języki, gdyby im tylko kazała.

9. GRZECH

Oczywiście musiałem w tym mieście chodzić do szkoły i może się zdziwisz, ale nie miałem nic przeciwko temu. Najgorsze było siedzenie przez długie godziny na twardej ławce. Stara panna z wiecznie kwaśną miną, która nas uczyła, też nie wprawiała mnie w zachwyt i krępował mnie fakt, że przydzielono mnie do małych dzieci, bo do tego czasu mój kontakt z nauką był niewielki. Umiałem trochę czytać, zanim trafiłem do Indian, umiałem liczyć i wiedziałem, że George Waszyngton był prezydentem, chociaż nie potrafiłbym określić kiedy.

Powiem tylko, że przykładałem się do nauki, a pani Pendrake pracowała ze mną w domu i do wiosny poczyniłem takie postępy w czytaniu, że dorównywałem dwunasto- lub trzynastolatkom; w wypracowaniach też byłem dobry, choć ortografia nigdy nie stała się moim silnym punktem, ale w arytmetyce pozostałem niemowlęciem. Wszystko to jednak działo się tak dawno i potem tak długo nie chodziłem do szkoły, że jeżeli człowiek, który słucha mojej opowieści, zapisze ją tak jak ją opowiadam, to będziecie czytać pamiętniki osoby niewykształconej, co do tego nie ma wątpliwości.

Państwo Pendrake musieli czasem rozmawiać w mojej obecności, ale przysięgam, że nie pamiętam takiej okazji. Widzę ich po latach, jak zasiadamy do kolacji w jadalni, wielebny na głównym miejscu, żona naprzeciwko, ja z boku, i Lucy stawia półmisek za półmiskiem parującego jedzenia. Po modlitwie, którą Pendrake mówił niegłośno, ale tak przenikliwie, że mógłby chyba zmiękczyć najtwardsze mięso, zabierał się do pałaszowania. Żarłokiem był zadziwiającym, bijąc pod tym względem nawet Czejenów, bo chociaż Indianin potrafi napchać się niesamowicie, to bardzo często chodzi głodny i wszystko wyrównuje się w ciągu, powiedzmy, miesiąca do ilości nieco mniejszej, niż spożywa jadający regularnie trzy razy dziennie biały człowiek.

Ale Pendrake faszerował się tak codziennie i powiem ci, co zjadał w zwykły dzień, bo nie można wyobrazić sobie tego człowieka nie znając jego apetytu.

Na śniadanie Lucy smażyła mu sześć jajek, górę ziemniaków i stek wielkości jego dwóch olbrzymich dłoni. Kiedy to zostało przeżute i spławione do brzucha wielką ilością kawy, podawała placki, dziesięć albo dwanaście, z kawałkiem masła wielkości jabłka, i ociekające melasą. Na lunch zjadał dwie całe kury z nadzieniem,

ziemniakami, innymi jarzynami, pięć kawałków chleba i ciasto owocowe polane obficie śmietaną. Po południu odwiedzał chorych parafian, z którymi nigdy nie było aż tak kiepsko, żeby nie mogli poczęstować go wielkim kawałem ciasta albo tuzinem małych ciasteczek do kawy czy herbaty.

Potem przychodziła kolacja. Zjadał talerz zupy, do której kruszył tyle chleba, że była bardziej stała niż płynna. Potem ryba, potem wielki kawał pieczeni, który w pojedynkę ogryzał do kości po tym, jak pani Pendrake i ja ukroiliśmy sobie po plasterku. Dalej góra ziemniaków, pole sałaty, gotowana rzepa i fasola, parzona marchew, cztery kubki kawy i około pięciu funtów budyniu, a jeżeli zostało jakieś ciasto z lunchu, to zmieścił je również.

Mimo tego obżarstwa nigdy nie spotkałem nikogo jedzącego schludniej niż on. Nie dotykał palcem żadnego jedzenia prócz chleba, do reszty używał noża i widelca z takim wdziękiem, z jakim kobieta posługuje się szydełkiem. Kiedy kończył, talerz lśnił jak świeżo umyty, a wypolerowane kości tworzyły zgrabny stos na specjalnie do tego celu przeznaczonym talerzu. Było to prawdziwe przedstawienie i obserwowałem go przy jedzeniu nie bez przyjemności, wypełniając czas oczekiwania, kiedy już sam zaspokoilem swój apetyt.

Pani Pendrake tylko dłubała widelcem w swoich wiktuałach, co mnie nie dziwiło, bo nie wykonywała żadnej pracy, z powodu której musiałaby dużo jeść. Byłem przyzwyczajony do Indianek uwijających się od świtu, póki nie padły na posłanie ze skóry, a przedtem do mojej mamusi, która nawet mając do pomocy córki skarżyła się, że dzień jest za krótki i nie może skończyć całej roboty. Ale pani P. miała Lucy do gotowania i drugą kolorową dziewczynę, która nie mieszkała w domu, tylko przychodziła sprzątać, i tego Lavendera, który zajmował się ogrodem, biegał po sprawunki i wykonywał różne inne prace. Tymczasem ta całkowicie zdrowa biała kobieta w kwiecie wieku nie miała nic do roboty poza tą godziną dziennie, kiedy odrabiała ze mną lekcje po moim powrocie ze szkoły.

Jako wychowany przez dzikich nie miałem może wyszukanych manier, ale to nie znaczy, że byłem pozbawiony delikatności. Oczywiście nie podszedłem do pani Pendrake i nie powiedziałem: „Widzę, że nie ma tu z pani żadnego pożytku.” Ale tak myślałem i nie była to krytyka, bo ją lubiłem i zawsze jej pomagałem. Wyobraziła sobie, że jest moją mamusią, więc żeby jej sprawić przyjemność, co jakiś czas udawałem, że potrzebuję matkowania.

W pierwszych miesiącach szkoły byłem przedmiotem kpin chłopców w moim wieku za to, że uczę się z dziesięciolatkami. Początkowo puszczałem to mimo uszu i wiesz, jak to jest — używali sobie na mnie jeszcze bardziej uznawszy, że jestem bezbronny i dorzucili jeszcze „śmierdzącego Indianina”.

Wreszcie któregoś popołudnia cała banda czekała na mnie po szkole za rogiem ulicy. Kiedy nadszedłem, zaczęli mnie przezywać od Indian, w czym była niesprawiedliwość, której możesz nie zauważyć, jeżeli nie pamiętasz, że w ich przekonaniu zostałem porwany i przez pięć lat trzymano mnie w niewoli. Można powiedzieć, że zasługiwałem na ich docinki bardziej, niż podejrzewali, ale nie sądzę, żeby to ich usprawiedliwiało.

Szedłem przed siebie bez słowa, dopóki jeden z chłopców nie zastąpił mi drogi. Był to wysoki szesnastolatek i już nieco pryszczaty.

— Jeszcze się nie zdarzyło — mówi — żebym nie potrafił dołożyć śmierdzącemu Indianinowi.

Gotów byłem w to uwierzyć, gdyby szło o walkę na pięści, której Czejenowie nie uprawiali. Indiańscy chłopcy idą czasem w zapasy, ale jak to już wystarczająco wyjaśniłem, nie mają wielu powodów do walki między sobą, kiedy wróg jest zazwyczaj tuż za najbliższym wodopojem bizonów. A kiedy już spotykają się z nieprzyjacielem, to nie po to, żeby mu pokazać, albo dać mu popalić, ale po to, żeby go całkiem zwyczajnie zabić i obciąć mu skórę z głowy.

Dlatego też spojrzałem tylko na tego chłopaka z pogardą i odepchnąłem go, a on palnął mnie swoją niezgrabną łapą pod prawe ucho. Zatoczyłem się kilka metrów, bo pięść miał wielką, a rękę długą, i przy okazji upuściłem książki. Pozostali chłopcy pohukiwali, krakali i gwizdali. Nie brałem udziału w żadnej walce od czasu tamtej szarży kawaleryjskiej i nie byłem nastawiony na coś takiego w mieście, bo człowiek przystosowuje się do zwyczajów lokalnych, i dlatego powoli podnosiłem się na kolana zastanawiając się, co robić, gdy tamten podbiegł i zamachnął się, żeby mi wymierzyć kopniaka w tylną część ciała.

Coś takiego pozbawia człowieka równowagi — powinien był o tym wiedzieć, skoro zajmował się kopaniem ludzi, ale dowiedział się dopiero wtedy. Przeturlałem się pod jego uniesioną nogą i oderwałem od ziemi drugą. Zwalił się jak wór cukru. Postawiłem mu stopę na gardle i wyciągnąłem spod koszuli nóż do skalpowania...

Nie, nawet go nie zadrasnąłem. Jeżeli o to chodzi, mogłem go udusić, gdybym nie zdjął nogi z jego gardła, bo nie mógł oddychać i robił się już siny. Ale nie byłem Indianinem i myślę, że udowodniłem to, kiedy schowałem nóż, zebrałem książki i odszedłem.

Kiedy wróciłem do domu, moja szczeka pod uchem była spuchnięta, jakbym udawał wiewiórkę i schował tam garść orzechów. Pani Pendrake zobaczyła to natychmiast i powiada:

— Och, Jack, muszę iść z tobą do dentysty.

Mówię, że nie, że to nie ząb mądrości. Znajdowaliśmy się wówczas w salonie, gdzie zawsze odrabialiśmy lekcje, chociaż nie było to najlepsze miejsce, bo dobiegały tam pomruki wielebnego z przyległego gabinetu, ale pani Pendrake zdaje się uznała, że to moje ulubione miejsce.

Wtedy ona pyta, co to może być. Miała tego dnia błękitną suknię, w której bardzo jej było do twarzy, zwłaszcza kiedy jej zasmucone oczy przybrały dokładnie ten sam kolor. Jesienią trawa na prerii brązowieje i kiedy wchodzi się na pagórek, a słońce stoi nisko, to trawa ma barwę jej włosów. Siedzieliśmy jak zwykle obok siebie na pluszowej kozetce, ja możliwie najdalej od niej, bo w pobliżu tej pięknej kobiety zawsze obawiałem się, że nadal śmierdzę, mimo że u Pendrake'ów kąpałem się co sobotę, czy trzeba było, czy nie.

— Bójka — mówię. — Jeden chłopak mnie uderzył.

Jej usta przybrały kształt litery O i pozostały półotwarte, tak że widać było biały rąbek pod różową wargą. Położyła swoją chłodną dłoń na mojej. Starła się być matką, ale nie bardzo wiedziała, jak się to robi. Za bójkę matka ci dołoży, jeżeli nic ci się nie stało, i opatrzy cię, jeżeli oberwałeś. Tymczasem pani P. uznała, że należy okazać smutek, bo o wszystkim miała wyobrażenie idealne.

To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem, że jej pomagałem — spuściłem wzrok na wypukłość jej biustu i przyłożyłem sobie jej dłoń do szczęki.

— Jak pulsuje — powiedziała. — Biedny Jack.

I wiesz, jak się to dzieje, sam nie mam pojęcia, czy to była głównie ona, czy ja, ale wkrótce moja twarz znalazła się przy jej piersi i moje pulsowanie przeplatało się z biciem jej serca.

Myślisz pewnie, jakim to byłem małym obrzydliwcem. Cóż, myśl sobie, co chcesz, ale pamiętaj, że pani Pendrake miała tylko dziesięć lat więcej ode mnie. Nie

potrafiłem myśleć o niej jako o mamusi, choć jednocześnie do tego czasu nigdy nie myślałem o niej jako o dziewczynie, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. Co do idealizmu, to mnie go również nie brakowało. Mówiłem ci już, że Czejenowie są pruderyjni oraz że walka i seks korzystają z tej samej energii. Seks rozkwita w czasie pokoju. Większość tłustych kupców z tego miasta to demony seksu w porównaniu z Indiańskim wojownikiem. Moi biali rówieśnicy wymykali się już do domów publicznych albo dobierali się do służących.

Na skutek mało ruchliwego trybu życia a zwłaszcza nauki... mało wiem o ludziach uczonych, ale sądzę, że muszą być bardzo zmysłowi, ponieważ w moich doświadczeniach z życiem umysłowym, po jakimś czasie mimo zainteresowania narastało napięcie wynikające z niewidzialnej natury przedmiotu studiów. Nie można go ani zobaczyć, ani wziąć do ręki, a mimo to domaga się on pełnej uwagi. Po jakimś czasie wprawiało mnie to w zdenerwowanie i wtedy, żeby sobie ulżyć, myślałem o dziewczynach.

Takie jest tło wydarzenia, przed którym nigdy nie miałem nieskromnych myśli w związku z panią Pendrake. Możesz się nie denerwować, bo nic więcej wtedy się nie wydarzyło. Była prawdziwą damą; gdybym tego nie wiedział wcześniej, wyczułbym to z twardości jej biustu, który głównie uwierał mnie w obolałą szczękę. Pani Pendrake była cała zakuta w fiszbiny. Kiedy człowieka przytulała Kobieta Wodopój Bizonów, było to jak zapadnięcie się w poduszkę.

Z drugiej strony w tym momencie zjawiała się w domu mała delegacja: chłopak, z którym się biłem, jego ojciec i policjant miejski gotów mnie powiesić, jak sądzę, za napad z bronią w ręku.

Chociaż pani P. pozostawiała co nieco do życzenia jako matka, to w takiej sytuacji była niezrównana. W stosunkach kulturalnych, że tak powiem, zachowywała się jak angielska królowa.

Przede wszystkim trzymała tych ludzi w przedpokoju, podczas gdy ja i ona siedzieliśmy nadal na kanapie. Co nie znaczy, że kazała im tam zostać, nie, miała po prostu w sobie taką siłę. W ten sposób policjant, osobnik barczysty, zapełniał sobą całe drzwi i kiedy ojciec chłopaka chciał coś powiedzieć, policjant musiał się cofać i stale na siebie wpadali. Chłopaka w ogóle nie widzieliśmy.

— Proszę pani — mówił policjant — jeżeli to dla pani niedogodne, to nie ma powodu, żebyśmy nie mogli przyjść kiedy indziej. — Odczekał chwilę, ale pani

Pendrake nie raczyła odpowiedzieć na tę uwagę. — Otóż jest tu ze mną chłopiec, Lucas English, syn Horace'a Englisha, właściciela składu pasz...

— .Czy to pan English stoi tam za panem, panie Travis? — pyta pani P. i wtedy policjant i English, w kamizelce i podwiązkach na rękawach, wykonują ten mały taniec mijania się, przy którym Travisowi spada kask, i English powiada:

— Tak jest, proszę pani, i proszę nie brać tego bynajmniej do siebie, pani pastorowo, bo jestem wielce zobowiązany panu pastorowi za to, że korzysta z mojej paszy...

Na co pani Pendrake wtrąca z tym swoim zimnym uśmiechem.

— Domyślam się, że chodzi panu o potrzeby konia pana Pendrake, prawda, panie English, nie sugeruje pan chyba, że pan Pendrake żywi się owsem.

English krztusi się wymuszonym śmiechem do reszty zbity z tropu, więc policjant go odsuwa i sam staje w drzwiach.

— Było tak, proszę pani — mówi. — Wygląda, że chłopcy się pobili. Jeden z nich wyjął nóż i według słów drugiego zagroził, że go oskalpuje, jak to jest w zwyczaju u czerwonoskórych. — Wyszczrzył zęby. — Co, oczywiście, jest sprzeczne z prawem.

Pani Pendrake na to:

— Poeta powiada, że błędzić jest rzeczą ludzką. Jestem pewna, że syn pana Englisha nie zamierzał zranić nożem mojego kochanego Jacka i była to tylko dziecinna pogróżka. Jeżeli Jack mu przebaczy, nie będę zgłaszać pretensji. — Patrzy na mnie i pyta: — Kochanie?

— Jasne — mówię czując się dziwnie, bo po raz pierwszy tak się do mnie odezwała.

— Zatem, panie Travis — mówi pani P. — Jeżeli o mnie chodzi, sprawa jest skończona. — Po czym podziękowała im i zawołała Lucy, żeby ich wyprowadziła.

Uznałem, że po tym pięknym występie jestem coś winien pani Pendrake. Chyba nawet wtedy rozumiałem, że nie zrobiła tego dla mnie, chociaż dla tak inteligentnej kobiety musiało być jasne, że to ja miałem nóż. Po prostu nie miała zamiaru pozwolić sobą pomiatać żadnemu mężczyźnie, choćby pośrednio. Fakt, że byłem jej własnością, dawał mi absolutną bezkarność, tak to rozumiała. Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, ani białej, ani czerwonej, która miałaby o sobie podobne wyobrażenie. Można by to nazwać władzą, ale wykorzystywaną negatywnie. Gdyby ją wykorzystywała pozytywnie, byłaby typem męskim, ale nikomu nie przyszłoby do głowy ujrzeć w pani

Pendrake kogoś innego jak studziesięcioprocentową kobietę, choć nie można też było pomylić jej ze swoją mamusią.

Teraz jednak pomyślałem, że mogę ją ucieszyć udając tę pomyłkę. Możliwe, że tylko na pokaz powiedziała do mnie „kochanie”, ale bądź pewien, że sprawiło mi to przyjemność w obecności tamtych patałachów.

Mówię więc do niej:

— Mamo — uważasz mówię do niej „mamo” — Mamo, który poeta napisał to motto?

Tak jest, to słowo podziałało na nią, mimo że prawdopodobnie wymówiłem je za pierwszym razem bez przekonania. Oczywiście nie zdradziła się, tylko podeszła do biblioteki i przyniosła książkę.

— Pan Alexander Pope, który napisał także: „Głupcy pędzą tam, gdzie boją się stąpać aniołowie.”

Przeczytała mi kilka wierszy tego poety, które brzmiały jak człapanie konia, jeżeli nie zwracało się uwagi na słowa albo tak jak ja nie rozumiało się większości z nich. To, co rozumiałem, wydało mi się bardzo apodyktyczne, jakby ten gość musiał mieć we wszystkim ostatnie słowo.

Miałem do niego jedynie pretensję, że jak na poetę jest za mało romantyczny. Biorąc chłopca, który przeżył to, co ja, miałbyś prawo pomyśleć, że byłem zatwardziałym realistą, jeżeli nie cynikiem. Bardzo możliwe, ale nigdy nie stosowało się to do kobiet, w każdym razie nie do pięknych białych kobiet, które są nieprzydatne do celów praktycznych.

Od tego dnia zadurzyłem się w pani Pendrake. Podejrzewam, że nawet obecnie mam słabość do eleganckich i pełnych wdzięku pań. Liczy się również autorytet, jak ten, który pani Pendrake okazała w sprawie z policjantem i handlarzem paszami, a także znajomość wyższych aspektów, którą okazywała trzymając poezje pana Pope'a, z głową pochyloną na tle popołudniowego słońca wpadającego z zachodniego okna, tak iż zarys jej nosa i czoła był rozświetlony, a włosy miały barwę starego złota. Zawsze wiedziała, co jest właściwe w kwestiach cywilizacji, jak Indianin wie, co jest właściwe w kwestiach barbarzyństwa. I wtedy zrozumiałem, że bezużyteczność jest tego niezbędnym elementem. Gdyby taką kobietę zmusić do pracy, straciłaby swoją szczególną wartość, tak jak posąg używany do wiązania koni.

Właśnie wtedy pojąłem ideę białego życia. Rzecz nie w maszynach parowych, arytmetyce ani nawet w wierszach pana Pope'a. Celem jest tu wyprodukowanie pani Pendrake.

Powiedziałem: zadurzenie, ale możesz to nazwać miłością, i tak mnie to wzięło, że odsunąłem się z powrotem na koniec kanapy.

W momencie, kiedy sunąłem tyłkiem po pluszu, z drzwi swojego gabinetu wyszedł za naszymi plecami wielebny. Przestał tam mruczeć, kiedy zjawili się ci trzej. Ciężkim krokiem okrążył kanapę i zatrzymał się przed nami, a ponieważ jego żona nie przerwała sobie czytania wiersza, zaczekał, aż skończy. Potem zwrócił się do mnie:

— Chłopcze — powiedział bardzo łagodnie. — Chłopcze, jestem zdania, że przykładałeś się do nauki w ciągu tych trzech miesięcy, jakie spędziłeś w naszym domu.

W tym miejscu zająknął się i pogładził brodę. Dziwom tego dnia nie było końca. Od owego pierwszego popołudnia odzywał się do mnie nie częściej niż do pani Pendrake w mojej obecności.

— Nie chciałbym, żebyś wyrobił sobie fałszywe przekonanie — mówił dalej — że my tu widzimy życie wyłącznie jako obowiązek. Dlatego też jutro, a jest to sobota, jeżeli pani Pendrake cię nie potrzebuje i jeżeli ty zapatrujesz się pozytywnie na ten projekt, chciałbym cię zabrać na ryby.

Było to w listopadzie — jeszcze wprawdzie nie zima, ale już chłodno i deszczowo, i na pewno nie pora, żeby zdrowy na umyśle człowiek wybierał się na ryby dla przyjemności — lecz mimo to bez namysłu przyjąłem zaproszenie. Dodaj do innych argumentów przeciwko temu pomysłowi, że nie znosiłem wielebnego poza chwilami, kiedy jadł, a nie zrozumiesz, dlaczego się zgodziłem, jeżeli nie powiem, że o ile on sprawił wrażenie wiecznego dłużnika żony, o tyle ja zacząłem się czuć jego dłużnikiem.

I tak następnego dnia wyruszyliśmy nad rzeczkę przy dość podłej pogodzie, z powietrzem, jak gąbka pełna wody, i zanim dojechaliśmy na miejsce, ktoś ją wycisnął i zaczęło lać. Przyjechaliśmy otwartą bryczką z Lavenderem na koźle i tylko on miał dość rozumu, żeby zabrać osłonę przeciwko kaprysom aury, gdyż jego wielki palec u nogi działał nieomylnie jako barometr.

Patrząc, jak zakłada na haczyk przynętę z ciasta od razu zorientowałem się, że wielebny nie ma pojęcia o łowieniu ryb. Używaliśmy ciasta, bo Lavender twierdził, że

pod koniec listopada nie można znaleźć robaków. Poza tym pogoda była wystarczająco nieprzyjemna, żeby zniechęcić najbardziej zażartego miłośnika tej rozrywki. Ale Pendrake powiedział, że jedzie na ryby, i musiał to zrobić, choć woda zbierała się na rondzie jego kapelusza i spływała po czarnym surducie. Ubrany był, nawiasem mówiąc, w swój zwykły strój, bez żadnych odstępstw.

Lavender zaproponował nam nieszczerze swój parasol, o co nie miałem do niego pretensji, ale Pendrake powiedział, że nie potrzebuje parasola, i Lavender zatrzymał go dla siebie. Usiadł pod drzewem na kocu i oglądał ilustrowane pismo, które od kogoś dostał, i chociaż nie umiał czytać, miał z tego chyba więcej uciechy, niż ci, co umieli, bo zaśmiewał się w głos.

Ja i wielebny poszliśmy na brzeg w pobliże kilku wierzb z pożółkłymi liśćmi i tam mnie spytał:

— Co sądzisz o tym miejscu, chłopcze?

— Równie dobre, jak każde inne — odpowiedziałem. Deszcz zlepiał mi włosy i woda ściekała mi po policzkach. Wyglądało to śmiesznie, jeżeli pomyśleć, że przyjechaliśmy się rozerwać, choć nigdy nie miałem nic przeciwko moknięciu, gdyż jako Indianin mokłem nieraz zarówno na prerii, jak i w szałasie, bo skórzane pokrycia zwykle przeciekały po pewnym okresie używania, zwłaszcza w szwach.

On jednak spojrzał na mnie znad tej czarnej brody i powiedział z prawdziwym współczuciem, głosem mniej grzmiącym niż zwykle:

— Ależ ty, chłopcze, przemokłeś.

Po czym wyjął z kieszeni wielką chustkę i delikatnie wytarł mi twarz.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale był to jeden z największych objawów dobroci, z jakim się w życiu zetknąłem. Nie miało żadnego znaczenia to, że nie potrzebowałem pociechy ani to, że nagłe odkrycie przez niego deszczu, który lał już od pewnego czasu, mogło wyglądać śmiesznie. Położył swoją wielką dłoń na moim mokrym ramieniu z miną tak żałościwą, jakby nie wiadomo co się stało. Nigdy wcześniej nie przyjrzałem mu się tak dobrze. Oczy miał orzechowe i prawie wcale nie przysłonięte powiekami. Bez brody straciłby wiele ze swojej siły wyrazu, choć niewątpliwie był potwornie silny fizycznie.

— Nie musimy tu zostać, jeżeli nie chcesz — powiedział. — Możemy wrócić. To nie był dobry pomysł. — Potrzęsnał głową jak byk bizona, aż z brody rozprysnęły się

kropelki wody, odwrócił się i patrząc na zmętniały strumień powiedział: — I deszcz spuszcza na sprawiedliwe i na niesprawiedliwe.

— Kto? — spytałem, bo nie wiedziałem.

— Ojciec nasz, który jest w niebiesiech, chłopcze — odparł Pendrake i wracając do zwykłej ponurości zarzucił wędkę do strumienia tak sieczonego deszczem, że sępławik tańczył nieustannie i nie można było nic z niego wywnioskować, choćby złapał się i wieloryb.

Indianie zawsze łowili ryby na oścień, co jest dla mnie ciekawszym przedsięwzięciem niż haczyk i żyłka. Poza tym deszcz zaczął dawać mi się we znaki — przez ten ostatni miesiąc zdążyłem zmięknąć. Nie chcąc jednak urazić wielebnego podsunąłem mu sprytną propozycję.

Idąc za nią kazał Lavenderowi sprowadzić bryczkę nad brzeg, który był wystarczająco szeroki i płaski, wyprząc konia i odprowadzić go pod drzewo, my zaś wcisnęliśmy się pod pojazd wystawiając tylko wędki i w ten sposób uzyskaliśmy dach chroniący nas przed żywiołami.

Każdy głupi by to wymyślił, ale moja, jak to nazwał, „pomysłowość” wywarła na wielebnym wielkie wrażenie. Wyraźnie sprawiło mu ulgę, że już nie moknę. Co do niego, to sprawa była bardziej skomplikowana: otóż jego problem polegał na tym, że nie pozwalał sobie na żadną przyjemność poza jedzeniem. Wolał ociekać wodą i cierpieć niewygodę, to jedyny powód, jaki mogłem wymyślić, że przyjechaliśmy otwartą bryczką, nie zaś krytym powozem, który wielebny również posiadał. Nie mogłem też za żadne skarby zrozumieć, po co był nam Lavender, chyba że Pendrake czuł się ze mną niezręcznie sam na sam.

Wielebnemu przy jego rozmiarach było bardzo ciasno pod bryczką. Siedzieliśmy tam przez jakiś czas cuchnąc mokrą wełną, a tymczasem prąd splątał nasze linki, zniósł je do brzegu i zapewne rozmył przynętę z ciasta.

— Chłopcze — odezwał się wreszcie Pendrake — z tego twojego pytania o deszcz zrozumiałem swoją winę. — Siedział skurczony, z brodą przyciśniętą do wyдутego brzucha i wpatrywał się w strumień przez kurtynę wody spadającej z góry. — Pozwoliłem ci żyć w zwierzęcej ignorancji, mimo że moim obowiązkiem jest prowadzenie ludzi ku wiedzy o Bogu. Wczoraj — ciągnął — uświadomiłem sobie, że szybko zbliżasz się do okresu dojrzałości, że wkrótce ten chłopiec zmieni się w mężczyznę.

Przez chwilę przestraszyłem się, że zobaczył mnie przy biuście swojej żony i fałszywie sobie to wytłumaczył.

— Pani Pendrake — zaczął, a ja podciągnąłem nogi pod siebie na wypadek, gdybym musiał uciekać — pani Pendrake jako kobieta nie ma o tych sprawach pojęcia. Ona nie jest winna kłamstwa. Patrząc na ciebie oczami matki nie dostrzegła winy w chłopcu, którego zna, i to dobrze o niej świadczy. Ale ja jestem mężczyzną i jako takiemu nie jest mi obca nieczystość. Ja też przeszedłem przez wiek, który ty teraz przeżywasz. Znam diabła, chłopcze, ścisnąłem jego dłoń, padałem mu w objęcia, wciąłem jego cuchnący oddech i zdawało mi się, że to najwspanialsze perfumy.

Zmęczony tą tyradą przywarł głową do spodu wozu zgniatając swój czarny kapelusz i unosząc przy okazji cały pojazd w górę. Po chwili rozluźnił się i powiedział łagodnie:

— Słyszałem przez drzwi waszą rozmowę. Wiem, że to ty miałeś nóż, chłopcze, i mogę sobie aż za dobrze wyobrazić powód jego użycia... Osoba tej dziewczyny mnie nie interesuje. Chcę wierzyć, że idąc za głosem diabła, nie poznałeś go w damskim przebraniu. Czy ma różowe aksamitne policzki, jedwabiste włosy i długie rzęsy? Nieważne, mój chłopcze, bo za tą maską jest biała czaszka z pustymi oczodołami, a te delikatne różowe usteczka są jaskinią śmierci.

Podciąłem swoją wędkę, jakby coś brało, bo cóż mogłem odpowiedzieć? Dziewczynki, z którymi się dotychczas w szkole zetknąłem, miały po dziesięć lat.

— Nie potępiam cię, chłopcze — mówił Pendrake — bo powiadam ci, że sam znam ten ogień, który rodzi się w lędźwiach i wznosi w górę niszcząc wszystko na swojej drodze. Wiem, że ludy pierwotne, wśród których spędziłeś chłopięce lata, uważają ten ogień za coś świętego. Ale na tym polega różnica między nami... nieprawdaż?... że my potrafimy okiełznać naszą zwierzęcą naturę. Że nie kalamy, lecz chronimy. Kobieta jest naczyniem i od mężczyzny zależy, czy z tego naczynia złoty puchar, czy kubek na pomyje.

W tym miejscu nadszedł Lavender dźwigając olbrzymi kosz, przykryty ceratą. Przykucnął i zajrzał do nas pod wóz.

Rozmawiając z wielebnym przybierał rozwlekły jęczący, głupkowaty ton, ale wiedziałem, że zachowuje go wyłącznie na te okazje, bo poza tym był bardzo bystry, chociaż, jak mówiłem, niepiśmienny.

— Czy wielmożny pan — spytał — życzy sobie... ten tutaj... lunch?

— Postaw tu. O, tak dobrze — odparł Pendrake krótko, uważając widocznie, że w ten sposób zachęci Lavendera do szybszego poruszania się, ale wyglądało, że skutek jest wprost przeciwny.

Kiedy Lavender wreszcie odszedł swoim leniwym krokiem, Pendrake powiedział:

— Oto właśnie przykład. Czy wiesz, że Lavender i Lucy żyliby w grzechu, łamiąc prawa boskie i ludzkie, gdybym ich nie zmusił do wzięcia ślubu?

Mogę w tym miejscu powiedzieć, żeby już więcej do tego nie wracać, że nie wiem, czy Pendrake był abolicjonistą, czy zwolennikiem niewolnictwa. Wyzwolił Lavendera, jeżeli to coś znaczy. Ale jeżeli był abolicjonistą, to pewnie dlatego, że chciał przez wyzwolenie uczynić kolorowych mniej chutliwymi. W książkach historycznych można przeczytać, że w owym czasie w Missouri kwestia niewolnictwa była niezwykle paląca, że toczono o nią prywatne wojny, mordowano ludzi w środku nocy, panował terror i tak dalej. Wszystko to prawda, ale można było tak jak ja żyć w samym środku tego wszystkiego i o niczym nie mieć pojęcia. Pamiętaj o tym następnym razem, jak będziesz coś czytać. Znałem wielu ludzi, którzy przejechali całą drogę przez prairie w czasie walk z Indianami i nie widzieli ani jednego wrogo nastawionego dzikusa. Tak właśnie działa rzeczywistość. Ja na przykład nigdy nie interesowałem się polityką i nigdy nie widziałem żadnej polityki. W tamtych czasach stale kogoś zabijano z rewolweru albo nożem i człowiek się nad tym nie zastanawiał. Poza tym, jak podejrzewam, Pendrake był kimś tak szacownym, że nie musiał głośno opowiadać się po żadnej ze stron.

W tym miejscu wielebny umilkł i zdjął ceratę z kosza. Lucy przygotowała nam więcej jedzenia, niż cała grupa Skóry Ze Starego Szałasus zjadała w ciągu zimy. Było tam kilka pieczonych kur, wielki kawał szynki, z tuzin jajek na twardo, dwa bochenki chleba i tort czekoladowy, żeby wymienić tylko najważniejsze rzeczy.

Do tego czasu nic nie robiliśmy, siedzieliśmy tylko pod bryczką, nie byłem więc zbyt głodny. Czułem się też dość nieswojo w mokrym ubraniu wełnianym. U Czejenów chodzi się w ubraniu skórzanym, które reaguje na deszcz prawie jak własna skóra. Może zresztą czułem się zawstydzony, że Pendrake rozwodzi się o sprawach, o których najlepiej nie mówić. Myślę, że wiedziałem już o tym w wieku lat dziesięciu, zanim przystałem do Indian, ale zapomniałem, że sprawy związku mężczyzny i kobiety są traktowane wśród białych jako coś grzesznego, muszą więc mieszać do tego prawo. Lucy i Lavender mieszkali w tej samej izbie, i było to sprzeczne z prawami boskimi i

ludzkimi, dopóki Pendrake nie wypowiedział nad nimi kilku słów, po czym wszystko zostało naprawione.

Serce rosło, kiedy człowiek patrzył, jak wielebny pochłania ten lunch. Ja zjadłem skrzydełko kury, jedno jajko, po kawałku chleba i ciasta, i już czułem się przejezdny. Cała reszta znalazła się wkrótce w wielkim brzuchu Pendrake'a. Po kwadransie z zawartości kosza pozostał stos ogryzionych do czysta kości i skorupy od jajek.

Potem wielebny przeczesał palcami brodę, chociaż w mojej obecności nigdy nie spadła mu w te zarośla ani jedna okruszyna (myślę, że jadł tak schludnie, żeby nie stracić choćby drobiny), oczyścił zęby wykałaczką i przepłukał swoje kanały potężnym chaustem wody z dzbana, który Lucy również przygotowała.

— Ta rozmowa z tobą, chłopcze, sprawiła mi wielką przyjemność — powiedział. — Mam nadzieję i wierzę, że wyciągniesz z niej jakąś naukę. Nie mieliśmy wcześniej okazji, żeby się bliżej poznać, bo chociaż jestem twoim ojcem na ziemi, większość czasu zajmuje mi służba mojemu Ojcu w niebie. Ale On jest również twoim Ojcem i służąc Jemu służę także tobie, jeżeli robię to właściwie. Te starania pozostawiają mi niewiele czasu na uroczy sport, jakiemu się dziś oddajemy, chociaż umiarkowane rozrywki nie są, rzecz jasna, grzechem.

Nie wspominałem o tym, jak musiałem co niedziela siedzieć w kościele i wysłuchiwać gadaniny Pendrake'a. Jedyłą pociechą było to, że pani P. też tam chodziła, ubrana w najlepsze stroje, i było bardzo przyjemnie siedzieć obok najpiękniejszej kobiety w mieście, podczas gdy mężczyźni, włączając czcigodnych starców, gapili się na nią budząc zazdrość swoich żon. Ale te kazania! Rzecz w tym, że Pendrake nie miał w sobie za grosz ognia. W odróżnieniu od mojego ojca religia nie stawała się dla niego ujściem, ale jeszcze bardziej go przygniatała. Może dzięki temu nie zginął z ręki dzikusów, ale nie wiadomo, czy fakt, że nigdy nie pofolgował swojej duszy, nie był jeszcze gorszy.

W każdym razie zawsze rozwodził się na temat grzechu i kiedy tak siedzieliśmy, zacząłem się zastanawiać, co w jego opinii stanowi grzech. Może pamiętasz, że dla mojego taty było to przeklinanie, żucie tytoniu, plucie i niemycie twarzy. Wyglądało, że Pendrake ma odmienny pogląd. Tak czy owak, było jasne, że nie złapiemy żadnych ryb, z lunchu nic nie zostało i mimo uwagi wielebnego o przyjemności, jaką mu sprawiła nasza pogawędka, nadal jakby coś go gryzło. Myślę, że człowiek, który

nieustannie sypie słowami, zaczyna się zastanawiać, czy one w ogóle odnoszą jakiś skutek.

Dlatego też, żeby mu sprawić przyjemność — z tego samego powodu, dla którego nazwałem panią P. mamą — spytałem go o grzech. Nie był złym człowiekiem i wytarł mi twarz. Jestem pod tym względem jak Indianin i jeżeli ktoś mnie dobrze potraktuje, staram mu się odwdziaczyć.

Miał szerszą definicję grzechu niż mój tato i dłuższą ich listę, pewnie dlatego, że tato był amatorem i nie umiał czytać. Spis Pendrake'a nie był jego własnym dziełem, ale, jak sam przyznawał, zapożyczył go od świętego Pawła.

— Grzechem jest pożądliwość serca — odpowiedział wielebny. — A pożądliwości serca są liczne: wszeteczeństwo, cudzołóstwo, nieczystość, lubieżność, pycha, bałwochwalstwo, czarnoksiężstwo, złość, pieniactwo, zazdrość, gniew, morderstwa, pijaństwo i tak dalej.

Zabawne, ale najważniejsze jak dotychczas lata mojej edukacji spędziłem pod kierunkiem mojego drugiego ojca, którym był Skóra Ze Starego Szalasu. Teraz, jeżeli z powyższej listy skreślić zazdrość — obcą mu z racji przekonania, że wszystko, co ważne, już posiada — otrzymasz dokładny opis charakteru tego Indianina. A jednak wśród Czejenów cieszył się największym szacunkiem.

Co do mnie, to popełniłem zaledwie kilka z powyższych zbrodni. Z drugiej strony byłem jeszcze młody.

Przez resztę dnia jednak zachowałem względną czystość, a nawet przedłużyłem ten okres na kilka tygodni. Oto do czego mnie doprowadziło życie wśród białych. Po raz pierwszy od czasu mojego ucywilizowania zmokłem i zaraz dostałem zapalenia płuc.

10. PRZEZ ŻALUZJE

Byłem naprawdę chory, tak jak mi się to nie zdarzyło od dzieciństwa. Nie mam nic przeciwko ranom, ale nie cierpię chorować. Nie chcę przez to powiedzieć, że lubię być ranny, ale jeżeli już muszę cierpieć, to wolę ranę niż jakąś obłożną chorobę. Mogę leżeć tylko wtedy, kiedy brakuje mi jakiegoś kawałka ciała i sam obserwuję, jak się zrastam.

Powiedziałem o cierpieniu. Mimo cynicznego stosunku do wielu spraw, jaki miałem w przededniu ukończenia szesnastu lat, wielebny trafił mi do serca swoim purytańskim gadaniem i pierwszej nocy po owej wyprawie na ryby miałem sen, w którym robiłem wszystko, co w mojej mocy — choć wiedziałem, że robię źle — żeby zmienić, jak to on powiedział, złoty kielich, jakim jest kobieta, w kubeł pomyj.

Można by powiedzieć, że to on poddał mi pomysł, tak jak obdarzył mnie zapaleniem płuc przez ten piknik na deszczu, bo z tym się obudziłem następnego ranka, choć początkowo myślałem, że to tylko przeziębienie i wstałem jak zwykle. Jednak przy śniadaniu poczułem się bardzo źle i zrobiło mi się słabo, kiedy Pendrake rzucił się na wielką górę jajeczniczy, mimo że jadł schludnie jak zawsze, i pani Pendrake położyła mi swoją chłodną dłoń na czole, które było rozpalone, choć trząsłem się z zimna.

Wkrótce znalazłem się z powrotem w łóżku i przyszedł do mnie stary doktor z białymi bokobrodami, ale mogę ci powiedzieć, że nie miał w sobie mocy Leworękiego Wilka. Chorowałem prawie przez trzy tygodnie i jak dowiedziałem się później, przez kilka pierwszych dni sądzono, że umrę, i wielebny przychodził modlić się nade mną.

Powiedział mi o tym Lavender. Zaglądał do mnie często, kiedy już zacząłem dochodzić do siebie. Pamiętam, jak za pierwszym razem, kiedy ocknąłem się z półsnu, w którym spędziłem większość czasu zobaczyłem go stojącego przy łóżku, miałem złudzenie, że znajduję się na powrót wśród Czejenów. Lavender był wprawdzie bardzo czarny z wyglądu, ale Indianie czasami malowali się na ten kolor — w każdym razie nie był biały.

— I dlatego odezwałem się po czejeńsku.

— Pardon? — powiedział Lavender i oczy mu się rozszerzyły, po czym poznałem, kto to jest, i zrobiło mi się głupio. — Nic, nic — dodał — leż sobie

spokojnie. Nie przejmuj się starym Lavenderem. Przyszedł tylko zobaczyć, jak się czujesz.

Zazwyczaj mówił o sobie w ten sposób, w trzeciej osobie. Najwidoczniej był przekonany, że nikt by nie zniósł tego, gdyby mówił o sobie „ja” czy „mnie”.

Na to ja mówię:

— Wziąłem cię za Indianina.

Czasami jedno słowo zapewni ci czyjąś przyjaźń i na ogół jest to słowo nie zaplanowane, bo przekonałem się, że rzadko udaje się z rozmysłem znaleźć odpowiedni komplement. Nie chcę powiedzieć, że przedtem Lavender i ja byliśmy wrogami, po prostu nie zastanawialiśmy się nad tym, on był służącym, a ja chłopakiem. Myślę, że przyszedł mnie odwiedzić przez zwykłą ciekawość.

— Zakradłem się tu — powiada — kiedy nikogo prócz Lucy nie ma w domu, i ona też nie wie, boby się złościła.

Miałem swój własny pokój na piętrze z dużym, miękkim łóżkiem, do którego musiałem się przyzwyczaić, bo początkowo przyprawiało mnie o chorobę morską.

— Nigdy przedtem tu nie byłeś?

— Wnosiłem meble — mówi Lavender — i myłem okna, ale nigdy nie przychodziłem z wizytą. Gdyby wyszło na jaw, że tu byłem, lepiej powiedz, że ty mnie zawołałeś.

— No pewnie. Jesteś jedynym człowiekiem, którego obchodzi, czy będę żył, czy umrę. Jesteś pierwszym, który przyszedł — powiedziałem, bo wiesz, człowiek chory lubi się nad sobą rozczulać.

— Ty nie pamiętasz — powiada Lavender — ale pani siedziała tu przez cały czas, a wielebny odmawiał swoje modlitwy i myślę, że gdyby nie on, byłby już z ciebie trup-nieboszczyk i wykopano by dół w ziemi, złożono cię tam, przysypano i udeptano.

— Wiesz co — mówię na to — skoro tak się nie stało, wolałbym żebyś nie omawiał tego tak szczegółowo. Czy myślisz, że to Bóg uratował mnie na prośbę wielebnego?

Lavender zrobił lisią minę.

— Na pewno nie zrobił tego ten doktor, który przepędził Lucy, kiedy chciała ci dać swój napar z korzeni i różnych rzeczy, co to leczy każdą chorobę. Mówię ci, że był czas, kiedy wszystko, co zjadłem przemieniało się w truciznę i żołądek miałem jak

sito. Lucy dała mi swojego naparu i po kilku dniach mogłem pogryźć i połknąć kość jak pies, i czułem się, jakbym zjadł miskę kaszy.

— Dlaczego nie siadasz? — powiadam do niego.

— Z największą przyjemnością — mówi on i siada na krześle, z początku trochę sztywno, a potem stopniowo coraz wygodniej. — Słuchaj — mówi — to śmieszne, że wzięłeś mnie za Indianina. Nie wiedziałem, że oni są czarni.

Właśnie dotarło do mnie, że mam na piersi okład z gorzycy, bo zaczęło mnie swędzić i drapałem się już do końca rozmowy.

— Widziałem — mówię — Czejena czarnego jak ty nad Rzeką Salomona. Nazywali go Mohkstavihi, bo tak nazywają wszystkich ludzi takich jak ty.

— To znaczy czarny?

— Nie, czarny biały.

Roześmiał się z tego na głos, potem nagle urwał i kiwnął z powagą głową.

— Muszę już iść palić liście — powiedział i wyszedł. Zastanawiam się, czy uraziłem jego uczucia, ale to była prawda, co podobno zwalnia od odpowiedzialności.

Jednak następnego dnia przyszedł znów, kiedy pani Pendrake wyszła na zakupy, a wielebny siedział w swoim gabinecie, i tym razem Lavender nie bał się już Lucy, bo zebrał się na odwagę i poprosił Pendrake'a o pozwolenie na odwiedziny, a ten wyraził zgodę.

Rozsiadł się na krześle bez zaproszenia, przeciwko czemu nic nie miałem, gdyż z racji swojego wychowania zupełnie nie miałem poglądu, na ile zuchwałości można pozwolić Negrowi, choć dla wielu białych w Missouri była to paląca kwestia.

Okazało się, że Lavendera fascynują Indianie. Mówiłem już, że pani P. słuchała moich opowieści pierwszego dnia, ale na tym się skończyło. Przypuszczam, że zrobiła to tylko przez grzeczność. Wszyscy inni, z którymi się zetknąłem, woleliby, jak myślę, skonać niż zadać mi pytanie na ten temat.

Tymczasem Lavender nigdy nie miał dosyć. Gdyby nie to, że był analfabetą, pomyślałbym, że chce pisać książkę.

Po jakimś czasie powiedział mi:

— Tamten czarny Indianin, którego widziałeś nad Rzeką Salomona... Myślałem o nim i całkiem możliwe, że to mój krewniak.

Lavender miał głowę na karku. Nie umiał czytać ani pisać, ale dużo wiedział. Zaczął opowiadać o kapitanie Lewisie i kapitanie Clarke'u, do których jeszcze w szkole nie doszliśmy, bo ich nazwiska były mi obce.

— Ci dwaj biali — opowiadał — płynęli w górę rzeki, aż zrobiła się tak chuda, że mogli stanąć jedną nogą na prawym brzegu, a drugą na lewym. Potem znaleźli małą dziurkę, z której wypływała, i wystarczyło zatkać ją palcem, a nie byłoby rzeki Missouri, tylko długi na dwa tysiące mil rów pełen błota, które by wysychało na słońcu i pękało.

Nie wierzyłem mu, ale później dowiedziałem się, że to prawda, to znaczy, że Lewis i Clarke istnieli naprawdę. Czy mogli zatkać palcem Missouri, to inna sprawa.

— Kapitan Lewis i kapitan Clarke zabrali ze sobą czarnego człowieka, który nazywał się York. Indianie nigdy przedtem nie widzieli Murzyna i myśleli, że York jest pomalowany na czarno, popluli więc na dłonie i chcieli zetrzeć z niego farbę, a kiedy im się nie udało, opowiedzieli o nim wszystkim czerwonoskórym w okolicy i ci przyjeżdżali z daleka, i też próbowali ścierać z niego farbę.

York był dla Indian najciekawszą rzeczą w ekspedycji Lewisa i Clarka. A że lubił się pośmiać, to wiesz co zrobił? Powiedział tym Indianom, że rozpoczął życie jako dzikie zwierzę, a kapitan Clark złapał go w sidła i wytresował na człowieka. Potem ryknął i wyszczerzył zęby, a oni puciekali. Ale i tak bardzo Yorka polubili, dawali mu prezenty i zapraszali, żeby kładł się z ich kobietami, bo chcieli mieć czarne dzieci.

Lavender uniósł brwi i dodał:

— Prawdopodobnie, gdybyś tam pojechał dzisiaj, mógłbyś spotkać jakichś jego potomków, bo myślę, że tak właśnie było. York to stryjeczny brat mojego pradziadka. Najślynniejszy człowiek w naszej rodzinie.

— Może i tak było — powiedziałem.

— Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem tego pewien — mówi Lavender, a potem pochyła się nade mną i dodaje cicho: — Powiem ci, że sam się tam wybieram... Tylko nie zdradz mnie przed Lucy, bo znajdę się w opalach.

— Nie zabierasz jej ze sobą?

— To jest powód mojej ucieczki — szepcze oglądając się ze strachem na drzwi. — Daj się raz złapać babie, a będziesz potem żałować do końca życia. Wielebny kupił mnie od poprzedniego pana i uwolnił mnie zgodnie z prawem. Pamiętam, jak mówił: „Żaden człowiek nie powinien być właścicielem drugiego człowieka.” A potem każe mi

żenić się z Lucy, bo pewnie uważa, że kobieta nie jest człowiekiem i wolno jej mieć niewolnika. Tak jak ja to widzę, to miałem z prawa jedną korzyść i jedną stratę, jestem więc teraz kwita i zanim zacznę przegrywać, chcę się wynieść tam, gdzie nie ma w ogóle żadnych praw i ludzie żyją w dzikości.

— Może powinniśmy pojechać tam obaj — powiedziałem. Nigdy dotąd nie myślałem o ucieczce od Pendrake'ow, bo traktowali mnie dobrze, ale spędziłem już w cywilizowanym świecie parę miesięcy i nadal nie mogłem się w nim dopatrzeć żadnego sensu, chyba że w pobliżu była pani Pendrake. A teraz jeszcze chorowałem w sposób niegodny — człowiek nie powinien chorować na skutek deszczu, który jest rzeczą naturalną. Znaczyło to, że żyję nie tak, jak trzeba. Jedyny raz, kiedy czułem w mieście, że postępuję właściwie, to było, kiedy powaliłem tego Luke'a Englisha i sięgnąłem po nóż. Uważałem też, że moja krew ulega rozwodnieniu z braku surowej wątroby bizona. Ze wszystkich rzeczy, jakich się tu nauczyłem, tylko nieskromne myśli zapuściły naprawdę korzenie, ale wielebny mówił, że to coś złego.

— Gdybyś mógł poczekać, aż wyzdrowieję... — zacząłem. Ale Lavender zmarszczył się i powiedział:

— Nie chcę tego słuchać. Różnica między tobą a mną jest taka, że ty jesteś chłopcem, a ja jestem czarny. Nikt nie ma prawa zatrzymywać czarnego, który nie jest niewolnikiem, ale jeżeli zabierze ze sobą chłopca, to będzie miał kłopoty z prawem.

— Posłuchaj — mówię mu na to — jak się wydostaniemy poza fort Leavenworth, to ty będziesz ze mną, nie ja z tobą.

To uraziło jego dumę i mamrotał coś przez chwilę nie patrząc mi w oczy, a potem powiedział:

— I tak odchodzę dziś w nocy. Zaczekałbym, gdybym mógł, ale nie mogę.

— Co to za różnica, kilka dni dłużej?

Liczyłem na to, że za kilka dni wstanę.

— Każda godzina to niewypowiedziane cierpienie — mówi Lavender. — To gwałt na naturze, żeby kobieta rządziła mężczyzną.

Pomyślałem, że usłyszał te słowa od Pendrake'a, spytałem go więc, dlaczego nie poradzi się wielebnego, jeżeli Lucy sprawia mu tyle kłopotów.

— Wiesz co — Lavender na to — nie chcę mówić nic przeciwko twojemu tacie.

— On jest moim tatą tylko wobec tego prawa, o którym mówiłeś, i bardzo mnie dziwi, że można zyskać nowych krewnych podpisując jakiś papier.

Na Lavenderze zrobiło wrażenie, że ja też nie mam zbyt dobrej opinii o prawie i że podobnie jak on jestem ofiarą prawa, choć nie mam takich powodów do narzekań. Pogardliwie wyduł wargi i powiedział półgłosem:

— Bo on nie może mieć dzieci w zwykły sposób.

Dostałem jakiegoś skurczu mięśnia w plecach i musiałem zmienić pozycję.

— Co to znaczy? — spytałem, choć dobrze wiedziałem i w nowej pozycji bolało mnie jeszcze gorzej.

Lavender skrzywił się i odsunął.

— Nie chcę narobić sobie kłopotów.

— Myślałem, że dziś w nocy uciekasz?

Otworzył oczy.

— To prawda — powiedział i uśmiechnął się z ulgą. — Dziś przecież uciekam.

— Daj mi ten papier i ołówek z biurka, to ci pokażę na mapie, gdzie znajdziesz Czejenów. — Dałem mu kilka pożytecznych wskazówek na temat zachowania się wśród Indian i zakończyłem tak: — Możesz okazywać przyjaźń, ale nigdy nie płaszcz się przed Czejenem, cokolwiek on zrobi, bo dołoży ci jeszcze gorzej. Mówię o tym, bo ostatnio mieli dużo przykrości od białych i mogą być nieco uprzedzeni.

— Do białych?

— Ty jesteś dla nich czarny biały. Mówię o tym, w co wierzą, bo kiedy żyjesz wśród nich, to jest prawdą, tak jak tutaj prawo.

Narysowałem tę mapę, kładąc kartkę na książce. Lavender nie umiał czytać, ale powinien się zorientować po rzekach.

— Gdybyś trochę zaczekał, nauczyłbym cię trochę języka gestów, a może i czejeńskiego — powiedziałem.

— Nie — odparł. — Nie mogę zwlekać. Ale dziękuję ci uprzejmie.

— Zaczekaj — powstrzymałem go, kiedy już wstawał z krzesła. — Nie dokończyłeś tego, co mówiłeś o wielebnym.

Lavender wyszedł na korytarz, rozejrzał się i wrócił do mnie.

— On nie sypia z panią — powiedział. — Może dlatego, że jest duchownym, ale inni duchowni w mieście mają dzieci, więc widocznie to nie jest zabronione. .

— Chcesz powiedzieć, że nigdy? — spytałem, bo znałem Indian, którzy tego nie robili przez jakiś czas z powodu snu, jaki im się przyśnił, albo wojny.

— Nigdy — powiedział Lavender. — Lucy widzi to w żółtku jajka. Ona ma talenty czarownicy. Dlatego muszę odejść. Za każdym razem, kiedy jestem z inną kobietą, Lucy widzi to w jajku.

Lavender nie uciekł tamtej nocy. Przyszedł odwiedzić mnie następnego dnia i wcale się nie usprawiedliwiał z tego, że nie dotrzymał słowa. Po prostu mówił tak, jakby chodziło o następną noc, i to samo powtórzyło się następnego dnia i tak dalej. Szlag mnie trafia, jak ludzie gadają zamiast robić. Myślę, że Lavender chciał po prostu komuś się poskarżyć, i nie ma w tym nic złego, ale dlaczego od razu tego nie powiedział. Z drugiej strony, chyba powinno się mierzyć inną miarką kogoś, kto do dwudziestego drugiego roku życia był niewolnikiem. Trzeba czasu, zanim się taki zorientuje, co jest możliwe, i chyba trzeba zaliczyć na jego dobro już samo to, że jest sobie w stanie wyobrazić prawdziwą wolność.

Tak czy inaczej, nie powinienem mieć mu za złe, że został, bo był jedyną osobą w mieście, z którą mogłem bez skrępowania rozmawiać. Ten chłopak, którego nabiłem, Luke English, przyszedł mnie odwiedzić, kiedy leżałem chory. Nadal mnie nienawidził i uważał, że go oszukałem, a nie pobiłem — biali zawsze tak uważali, kiedy przegrywali z Indianami — ale jego tato chciał się podlizać Pendrake'om i przysłał go z tortem, który zrobiła jego mama. Luke po drodze zlizął cały krem, co mnie zresztą mało obeszło, bo byłem wciąż jeszcze na diecie, a takiej bomby nie potrafiłbym zjeść nawet w pełni zdrowia.

Jak tylko pani Pendrake, która go przyprowadziła, zeszła na dół, Luke zaczął wygadywać świństwa. On i wielebny mogliby stworzyć trupę objazdową i odbywać publiczne debaty na ten temat, bo reprezentowali przeciwstawne spojrzenia.

— Wiesz — zaczął Luke przeszukując pokój swoimi złośliwymi oczami — masz tu niczego sobie wigwam. Udało ci się tu kiedy przemycić dziewczynę?

— A tobie? — spytałem go szyderczo.

— Ja nie mam takiego luksusu. Muszę spać z trzema braćmi. Moi starzy tak się przykładali do tej roboty, że wypełnili dom po brzegi. Mam też cztery siostry. Najstarsza skończyła osiemnaście lat. Pewien facet przyłazi do niej co noc do łóżka i używa sobie, jak chce. Tato nie wie, co ma robić.

Dałem się nabrać i byłem tak głupi, że spytałem:

— Czemu go nie zastrzeli? — O — mówi Luke i krztusi się ze śmiechu — bo to jej mąż.

Potem siada w nogach łóżka.

— Jak to jest z indiańską squaw? Słyszałem, że one bardzo śmierdzą. Słyszałem, że jak ktoś ma ochotę, to rzuca ziarno fasoli przez ognisko i ta, najbliższej której ziarno upadnie, musi z nim iść, choćby była żoną wodza. Nigdy nie miałem indiańskiej kobiety. Te, które widziałem, były szkaradne. Wolałbym już poszukać tłustej owcy, gdybym nie miał nic innego pod ręką. Na szczęście jakoś sobie daję radę. Ostatnio wszedłem do pokoju, kiedy sprzątała tam czarna dziewczyna. Nikogo więcej nie było na górze, mamusia i siostry były w kuchni na dole. Akurat miałem ochotę, więc przewróciłem tę Murzynkę i posunąłem ją...

Nigdy nie lubiłem świńskich opowieści, prawdziwych ani zmyślonych; jeżeli są dobre, to tylko budzą w człowieku tęsknotę, a jeżeli są niedobre, to nie ma nic nudniejszego pod słońcem. Co do Luke'a, to im więcej gadał, tym bardziej upewniałem się w przekonaniu, że całe jego doświadczenie polegało na zabawianiu się z sobą samym aż do zidiocenia.

Niemniej, kiedy pani Pendrake przysła i spytała nas, czy chcielibyśmy po szklance maślanki, podziękowałem wymawiając się zmęczeniem, a on powiedział, że owszem, i poszedł za nią do kuchni. Luke mierzył ją bezczelnie wzrokiem od stóp do głów, kiedy tylko nie patrzyła, budząc, muszę przyznać, moją zazdrość. Bo nawet w przypadku tak odrażającego smarkacza pani P. pamiętała o jego płci i nie mogła nie przypomnieć mu o swojej kobiecości. Co nie znaczy, że robiła cokolwiek, co można by dostrzec gołym okiem, a wprost przeciwnie, jak już wspomniałem, była wręcz lodowata w stosunku do większości mężczyzn i traktowała ich, jakby stali o piętro niżej po kolana w końskim łajnie.

Upłynęło tyle czasu, że mógłby wypić wiadro tej maślanki, zanim Luke wrócił na górę, bo zapomniał czapki. Oblizywał grube wargi, co uznałem za usprawiedliwione, bo były wokół nich ślady maślanki. Ale miałem pod poduszką nóż i pamiętam, jak przyrzekałem sobie, że przy najmniejszej aluzji do pani Pendrake wytnę mu jego czarne serce.

Ale on powiedział tylko:

— No, to powiem ojcu, że nie umrzesz od tego lania, jakie ci sprawiłem. Jeżeli nie masz do mnie pretensji, to i ja nie mam do ciebie pretensji. Kiedy staniesz na nogi, zapoznam cię z dobrą kurwą u panny Lizzie.

Zostałem przedwcześnie mężczyzną, a teraz byłem jak niemowlę, leżałem całymi dniami i kiedy nikt do mnie nie mówił, patrzyłem w sufit i widziałem na nim gołą babę. Nie panią P. muszę dodać, ani żadną z Indianek, które zdarzało mi się widzieć gołe, chociaż Czejenowie są skromni z natury i, powiedzmy, gdybym zobaczył Nic bez ubrania, nie byłoby to niczym nadzwyczajnym. Widziałem raczej obraz nagiej kobiety, który wisiał nad barem w Evansville dawno temu, kiedy tato miał tam kazania.

To śmieszne, że coś takiego przypomniało mi się z czasów, kiedy z niczym mi się to nie kojarzyło. Na czas kazań obraz zawieszaliśmy kocem i pamiętam, że Bill przy tym chichotał, a siostry stawały w pasach, ale mnie to zwyczajnie nudziło. Kobieta miała obfity biust i biodra, a tłuste uda skrzyżowane, żeby zasłonić przyrodzenie. Sutki miała fioletowe, to wszystko, co mogłem powiedzieć będąc w tym wieku, bo przypominały mi śliwki.

Teraz jednak była na suficie mojego pokoju. Pasowało to do całej reszty tego domu, jak sądzę, obraz pozbawiony rzeczywistości: macierzyństwo pani Pendrake, duchowy autorytet wielebny, wolność Lavendera i do tego moja nie istniejąca kobieta.

Wreszcie wzmocniłem się o tyle, że mogłem wychodzić na spacer pod warunkiem, że ciepło się ubiorę, bo nastąpiła już zima i podczas mojej choroby spadły pierwsze śniegi. I wówczas pewnego popołudnia, po obiedzie, przy którym wielebny według mojej oceny pobił własny rekord pożerając całego indyka, gdyż pani Pendrake jadła bardzo mało, a ja nadal ograniczałem się do zupy, pani P. powiedziała do mnie:

— Kochanie, myślę, że wycieczka ze mną do miasta dobrze by ci zrobiła. Możemy napić się wody sodowej i kupić coś z ubrania.

Nie będę opisywał zakupów, które pani P. załatwiła w zdumiewająco krótkim czasie jak na kobietę, mimo że kupiła masę rzeczy dla siebie i dla mnie. Myślę, że miała do ubrań podobny stosunek jak wielebny do jedzenia: furami, ale schludnie. Tak czy inaczej, nie czułem się jeszcze zbyt mocno, zresztą w sklepach dostaję zawrotów głowy, nawet kiedy jestem zdrowy. Pani P. zauważyła to i powiada:

— To teraz pójdziemy na wodę sodową.

Nigdy nie byłem w tym lokalu, otwarto go podczas mojej choroby. Całkiem elegancki, z marmurowymi stolikami, krzesłami z żelaznych prętów i z mosiężnymi okuciami. Był tam też wielki marmurowy kontuar, a na nim zbiornik jak wielka urna

pogrzebowa, posrebrzany, z amorkiem na szczycie i dwiema głowami słoni wystającymi z czaszy. W podstawie tej konstrukcji było sześć, a może siedem kurków, pod które wstawiano szklankę, wpuszczano do niej nieco soku, a potem podsuwano ją pod trąbę słonia, z której po przekręceniu jego ucha tryskała woda sodowa.

Od pierwszej chwili poczułem niechęć do jegomościa prowadzącego ten lokal, bo miał brokatową kamizelkę, sztuczny kwiat w butonierce, był nadęty i bardzo wysoki. Myślę, że wiele osób uznałoby go za przystojnego z jego czysto wygoloną twarzą i czarnymi kręconymi włosami. Niewątpliwie on sam za takiego się uważał. Drażniło mnie, że udawał takiego ważniaka prowadząc lokal, do którego kobiety i dzieci przychodziły na napoje orzeźwiające.

Otóż ten jegomość osobiście napełnił szklanki, a potem postawił je na posrebrzanej tacy, którą przyniósł nam do stolika mały czarny chłopiec przebrany za Araba w turbanie i szarawarach. Dałem dzieciakowi jako napiwek centa, którego dostałem od wielebnego, ale nie okazał najmniejszej wdzięczności, tylko spróbował zębami, czy jest prawdziwy, i wsunął go do pantofla z zawiniętym czubkiem. Zrobiłem to, bo chciałem zachować się jak dorosły, ktoś, kto opiekuje się panią P., a nie vice versa, jako że miałem już prawie szesnaście lat. Kiedy szliśmy obok siebie, byłem od niej niższy, ale na siedząco byliśmy prawie tego samego wzrostu.

Pani P. natychmiast zrozumiała, o co chodzi, bo zawsze miała bezbłędne rozeznanie sytuacji, kiedy chodziło o sprawy damsko-męskie, i nieznacznie podsunęła mi dolara, żebym mógł zapłacić, kiedy nadejdzie pora.

Było wspaniale przez jakieś dwie minuty, tylko ona i ja, co raz mówiła do mnie „kochanie” i na jej dolnej wardze błyszczała kropla wody z sokiem wiśniowym. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś piękniejszego niż jej jasna twarz między futrzaną czapką a kołnierzem. Ona i ja istnieliśmy tylko dla siebie i nienawidziliśmy wszystkich innych ludzi w tym sklepie, a może i na całym świecie.

I wtedy przychodzi len łobuz właściciel szczerząc szyderczo przednie zęby, co pewnie miało oznaczać uśmiech, i mówi do pani P.:

— Może mały zjadłby ciastko?

Nie mówił kulturalnie, tak jak ona, ani po prostaku, tak jak ja, tylko jakoś sztucznie. Był też pierwszym mężczyzną, jakiego widziałem, który nie odnosił się z czcią do pani Pendrake, ale przyglądał jej się beczelnie spod półprzymkniętych powiek.

W odpowiedzi ona pochyliła się w jego stronę i powiedziała do mnie:

— Jack, to jest pan Kane.

Miałem już wtedy pojęcie o dobrym wychowaniu, wstałem więc, żeby jej nie przynieść wstydu, on jednak nie wyciągnął ręki ani w żaden inny sposób nie zareagował na prezentację, tylko wrócił za marmurowy kontuar, naszykował tacę z ciasteczkami oraz innymi słodyczami i przysłał mi ją przez tego czarnego chłopaka.

— To bardzo miło — powiedziała pani Pendrake i wzięła mufkę z krzesła. — Zastanawiam się, kochanie, czy podczas gdy ty będziesz tu zajęty, nie mogłabym dokończyć zakupów. Muszę załatwić jeszcze parę sprawunków i nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym cię przemęczyła pierwszego dnia po chorobie.

Zawsze z taką przyjemnością słuchałem, jak mówi, że często nie rozumiałem, co mówi. Tak było i teraz. Nie dotarło do mnie, że pani P. zostawia mnie samego, póki nie dotknęła mojego ramienia i nie odeszła do drzwi, które musiała sobie sama otworzyć, bo właściciel stał wówczas odwrócony tyłem, chociaż w minutę później, kiedy wychodziły dwie brzydkie, chude baby, w których poznałem żonę starosty naszego kościoła i jej siostrę, starą pannę, poderwał się i odprowadził je w lansadach na ulicę.

No, pomyślałem sobie, jeżeli on myśli, że zagarnie większą część mojego dolara za te ciasteczka, to się myli. I tak nie miałem apetytu i było mi trochę przykro, że pani Pendrake zapomniała, jak doktor mówił, żebym wystrzegał się słodyczy. W ponurym nastroju zapatrzyłem się w sufit i zobaczyłem tam moją zmoreę, kobietę z obrazu nad barem. Widocznie skojarzyła mi się z Lukiem Englishem, bo przypomniałem sobie, co mówił o prostytutce u panny Lizzie. Na pewno kłamał, ale wiedziałem, gdzie mieści się dom panny Lizzie, nad barem na drugim końcu miasta, i były tam prostytutki ponad wszelką wątpliwość, bo siedziały w oknach i często na widok chłopaka w moim wieku wołały: „Chodź, za dolara zrobię z ciebie mężczyznę.”

Pani Pendrake miałyby za swoje, gdybym poszedł tam wydać jej dolara. Uważałem, że nie powinna była zostawiać mnie samego. Wstałem i poszedłem do kontuaru, żeby zapłacić, i wtedy uświadomiłem sobie, że nie będę miał już dolara, bo ta woda kosztowała po pięć centów szklanka, a jeszcze ten śmierdziel mógł mi policzyć za ciastka, choć nie zjadłem ani jednego, ale jednocześnie odczułem jakby ulgę, że nie muszę iść do tej panny Lizzie. W tym okresie życia czułem się strasznie zagubiony i sam nie wiedziałem, czego chcę.

Tymczasem śmierzdel gdzieś znikł i zastępował go starszy jegomość z wielkimi wąsami, który uznał, że mój rachunek został już zapłacony. W ten sposób nadal miałem swojego dolara, czego pożałowałem znalazłszy się na ulicy, bo poczułem wielką słabość w łydkach. Rozglądałem się wszędzie za panią Pendrake, marząc o tym, żeby ją odnaleźć i nie musieć nigdzie chodzić. Na nic w świecie nie miałem tak mało ochoty w tym momencie jak na prostytutkę, ale uważałem, że muszę to zrobić, skoro już ruszyłem się zamiast siedzieć w cukierni.

I wtedy ujrzałem na mokrym śniegu ślady jej botków. Nie potrafiłbym powiedzieć, czym różniły się od innych śladów, po prostu znałem je, tak jak wszystko, co było z nią związane. Mogłem wejść do pokoju i na węż powiedzieć, czy była tu w ciągu dwóch ostatnich dni. Pod tym jednym względem moje zmysły nie uległy przytępieniu na skutek życia w mieście. Ślady prowadziły chodnikiem do rogu, skręcały w lewo, na następnym rogu znów w lewo. Tropiłem je udając zagapionego głupka i kiedy skręciły po raz drugi w lewo na ulicę domów mieszkalnych biegnącą na tyłach rzędu sklepów, zrozumiałem, że mnie okłamała.

W połowie drogi między dwiema przecznicami znajdowała się ślepa uliczka dochodząca do ulicy handlowej. Niedawno przejechał nią wóz zaprzężony w muła, którego prowadził czarny człowiek mniej więcej siedemdziesięcioletni; Indianin potrafiłby określić również wiek muła.

Tak czy inaczej, tą uliczką przeszły również botki pani Pendrake, z powrotem do sklepów, z tym że na tyłach jednego z nich przekroczyły furtkę, przecięły małe podwórko mijając ustęp i kończyły się przy drzwiach.

Zatrzymałem się przy płocie, bo akurat wracał ten czarny ze swoim wozem. Rzeczywiście wyglądał na siedemdziesiątkę i prowadził wielkiego muła. Murzyni lubili opowiadać tak jak Lavender o tajemnicach, jakie można odczytać z jajka i tak dalej, ale według mnie to naprawdę wiedzieli wszystko w tamtych czasach dlatego, że zawsze coś wozili od podwórka, sprząтали w sypialniach i tym podobne, a w ten sposób można się dowiedzieć o wielu brudnych sprawkach, nawet jak człowiekowi nie zależy. Czarny pozdrowił mnie i skrzypiąc pojechał dalej, a potem po drugiej stronie uliczki zaczął warczeć czarny pies, ale przestał.

Nastała chwila, kiedy uliczka była pusta i cicha, postanowiłem więc wejść na podwórko za śladami pani P. W porządku, doszedłem do drzwi, ale co dalej? W drzwiach nie było dziurki od klucza, zresztą i tak pewnie prowadziły do ciemnego korytarza. Przyłożyłem ucho, ale nic nie było słyhać. A jeżeli wpakuję się tam, a ona

będzie przymierzać gorset? Poczulem się okropnie na samą myśl, a jednocześnie mnie to podnieciło. Musisz pamiętać, że byłem wtedy piętnastoletnim chłopakiem, a nie starym wrakiem jak teraz. Dziś jestem sprośnym staruchem, ale wówczas byłem tylko sprośnym chłopakiem, i mam nadzieję, że nie napawa cię to obrzydzeniem, bo możesz mi wierzyć, że nigdy przedtem ani potem nie znajdowałem się w tak oplakanej sytuacji.

Oczywiście nie wpadłem do środka. Z jednej strony drzwi stała duża skrzynia na opał, a za nią było okno. Osoba moich rozmiarów mogła przycupnąć za skrzynią i zajrzeć do środka przez szparę w spuszczonej żaluzji, sama pozostając niewidoczna dla przechodzących uliczką.

Choć zauważyłem tyle różnych rzeczy po drodze, nie przyszło mi do głowy, że jestem na tyłach domu, w którym od frontu mieściła się cukiernia. Zrozumiałem to, kiedy z zamętem w głowie chwiejnym krokiem odszedłem stamtąd po chwili i z trudem dowlokłem się do domu.

Zobaczyłem przez tę szparę właściciela i panią Pendrake. Byli w ubraniach, ale ciasno spleceni. I właśnie kiedy zajrzałem, on odsłonił swoje wielkie zęby, odsunął nieco wysoki kołnierzyk jej sukni i wgryzł się w jej białą szyję. Włamałbym się do środka i zabił go, gdyby nie błogi wyraz jej twarzy.

11. BEZRADNOŚĆ

Święto Dziękczynienia ominęło mnie, kiedy leżałem złożony chorobą, i dlatego pierwszym „białym” świętem, jakie miałem obchodzić od pięciu lat, było Boże Narodzenie. Cieszyłem się na nie jeszcze jesienią, ale zanim nadeszło, zobaczyłem już ten epizod przez żaluzję i święto miałem zmarnowane, podobnie zresztą jak i wszystko inne.

Zima przeszła mi pod znakiem cierpienia, ale widocznie złamane serce użyźniło mój umysł, bo zrobiłem postępy w nauce. Podczas kiedy leżałem z zapaleniem płuc, pani Pendrake zapomniiała, że popołudniami zwykła była pomagać mi w lekcjach, i coraz częściej wychodziła z domu. W rezultacie zacząłem zostawać dłużej w szkole, gdzie mieliśmy młodą i ładną nauczycielkę na miejsce brzydkiej starej panny, która odeszła, umarła czy coś takiego. Nie chcę, żebyś pomyślał, że zadurzyłem się w tej nowej. Z tymi rzeczami skończyłem raz na zawsze. Nie chodzi mi o miłość ani o pożądanie, tylko o to kretyńskie uzależnienie, w jakie popadłem w stosunku do pani Pendrake na skutek niezdecydowania. Nigdy nie mogłem się zdecydować, czy jest moją matką, czy ukochaną, dopóki nie zajrzałem przez tę żaluzję i nie przekonałem się, że nie jest ani jednym, ani drugim.

Tak więc jeżeli zostawałem w szkole po lekcjach, to dlatego że dom stał mi się nienawistny. Towarzystwo nowej nauczycielki sprawiało mi satysfakcję również dlatego, że interesowała mnie wyłącznie jako osoba, od której mogę się czegoś nauczyć, a była wybitnie inteligentna. Dlatego, jak sądzę, musiało się tak stać, że przekonawszy się o mojej, że tak powiem, niewrażliwości, zapalała do mnie uczuciem, gdyż białe kobiety są bardzo podobne do tych Indian, którzy wszystko robią na odwrót. Nazywała się Helen Berry i miała wszystkiego może osiemnaście lat. Była naprawdę ładna, dość pulchna, z zadartym noskiem. Uśmiechała się do mnie w klasie, ale jeżeli zajrzałem jej w oczy, gdy znaleźliśmy się sam na sam, zachowywała się całkiem nieśmiało.

Mogłem ją pocałować w każdej chwili. Jeżeli tego nie robiłem, to tylko dlatego, że wywarły na mnie wrażenie kazania wielebnego na temat grzechu — drogą niejako okrężną, przez widok jego żony gryzionej w szyję przez sklepikarza. Skończyłem ze złotymi kielichami, które mogą zmienić się w kubły pomyj, podobnie jak przestałem

widywać malunek ze śliwkowymi sutkami. Osiągnąłem to w ten sposób, że udałem się do kubła pomyj. Zanim skończyłem szesnaście lat, od początku lutego, stałem się regularnym klientem panny Lizzie.

Wyznanie, że chodziłem tam na dziwki, jest niczym w porównaniu z następnym wyznaniem na temat moich poczynań tamtej zimy, ale nie da się tego uniknąć, jeżeli masz znać całą prawdę. Otóż stałem się zmniejszoną wersją tamtego Kane'a od wody sodowej. Zostałem świadomym dandysem. Wcześniej czułem się głupio w eleganckich ubraniach z futrzanymi kołnierzami i innymi szykanami kupowanych dla mnie przez panią P., ale teraz niczego tak nie ceniłem, jak wykwiłtnego stroju.

W tamtych czasach dzieciaki chodziły do szkoły w drelichach i w czym popadło, ale ja zjawiałem się tak wystrojony, że gdyby nie mój wzrost, można by mnie wziąć za dyrektora: beżowe spodnie, ciemny żakiet, jedwabna kamizelka i lakierki. Panna Berry – która jak wiesz, podkochiwała się we mnie – nie miała nic przeciwko temu, a jeżeli sądzisz, że spotkały mnie jakieś wstręty ze strony Luke'a Englisha i jego bandy, to się mylisz. Jak tylko zacząłem nosić się w ten sposób i przybrałem odpowiednio wyniosłe maniery, wszyscy oni, z Lukiem na czele zaczęli mi się najbezwstydniej podlizywać.

Oczywiście to samo dotyczyło dziewcząt, które teraz zapraszały mnie na urodziny i inne okazje, na które przychodziłem z zarozumiałą miną i robiłem uszczypliwe uwagi nawet do ich rodziców występujących w roli gospodarzy, i niech mnie diabli, jeżeli nie słyszałem, jak matki wychwalają moje dobre maniery tuż po tym, kiedy je, na mój gust, obraziłem.

Tak minęła zima i pani Pendrake, jak sądzę, kontynuowała swoje wizyty na zaplecze sklepu z napojami, chociaż nigdy już tam za nią nie poszedłem, bojąc się, że moje serce by tego nie wytrzymało. Bo powiadam ci, że ją kochałem. Może nawet jeszcze bardziej od chwili, kiedy zajrzałem przez tę żaluzję. Nienawidziłem jej, ale kochałem ją za to, że musiałem jej nienawidzić. Naśladowałem Kane'a dlatego, że ona go kochała. Chodziłem na dziwki dlatego, że ją kochałem.

Kocham ją nadal, bo jeżeli masz jakieś pojęcie o tym uczuciu, to wiesz, jak bardzo wiąże się ono z beznadziejnością i dzięki temu jest bodaj jedynym zjawiskiem w całej cywilizacji, które nie podlega niszczącemu działaniu czasu.

Nadeszła wiosna. Pewnie był to kwiecień, bo pamiętam, że w nocy przeszła ulewa, a następnego dzień był słoneczny i magnolia przed domem Pendrake'ów wypuściła różowe pąki.

Okolo drugiej po południu do cukierni wszedł mały, chudy facet, wywlóknął Kane'a na ulicę i schlastał go szpicrutą prawie na śmierć.

Nie, to nie o mnie mowa. Człowiek, który to zrobił, nazywał się John Weatherby i był właścicielem stajni. Miał około pięciu stóp i pięciu cali wzrostu, łysinę, czterdzieści lat i szesnastoletnią córkę, którą trochę znałem. Okazało się, że Kane znał ją również, tyle że w sposób bardziej intymny, do tego stopnia, że przyczynił się do powiększenia jej rodziny.

Kane nie próbował się bronić, zasłaniał tylko twarz — widocznie nie chciał dać sobie zrujnować swojego szyderczego uśmiechu — i pozwalał się okładać. Podobno jego surdut został pocięty w strzępy. Nie oglądałem tego zajścia osobiście, ale był przy tym Luke English, który pewnie trochę nałgał w swojej opowieści. Kane mógł być tchórzem, ale nie wyobrażam go sobie, jak pada na kolana i łka niby dziecko. Wiem, że Kane wkrótce potem ożenił się z córką Weatherby'ego, zamknął swój lokal i przeniósł się do St. Louis. A po jakimś miesiącu dziewczyna, która zaczęła już pęcznieć, wróciła, bo mąż jej uciekł, jak tylko znalazł się w wielkim mieście.

— Myślę, że ten Kane to by zerznął żmiję, gdyby tylko ktoś ją przytrzymał za głowę — zauważył Luke. — Choć nigdy go o to nie podejrzewałem, kiedy tu mieszkał. A ty? Ciekawe, czyje jeszcze żony, matki, siostry i córki...

— Kogo to obchodzi — powiedziałem i zmieniłem temat.

Matka i siostra Luke'a były najbrzydszymi kobietami w mieście.

Bardzo mnie ciekawiło, jak te wydarzenia odbiją się na pani P. Nic nie zauważyłem, poza tym, że częściej spędzała popołudnia w domu. Była jak zwykle uroczo smutna, jak sądzę nie z powodu tego akurat rozczarowania, lecz z powodu trybu swojego życia w ogóle. Myślę, że nie dorównywało ono wyobrażeniom, jakie rozbudził w niej jej ojciec, ten sędzia, i jeżeli tak, to nie po raz pierwszy prawnik wyprowadził kogoś w pole. A może za dużo czytała. Może byłaby szczęśliwa, gdyby miała zęza albo wystające zęby.

Ja tymczasem byłem tak głupi, że natychmiast wróciłem do swojego wyobrazonego romansu z nią, zapomniałem i przebaczyłem, znów czytałem pana Pope'a i tak dalej. Przestałem uczęszczać do panny Lizzie. A kiedy nadeszły cieplejsze

dni, wielebny nagle przypomniał sobie o mnie, jakby mnie przez całą zimę nie było, i zaproponował, że znów pojedziemy na ryby. Udzielając wykrętnych odpowiedzi i czekając, aż pomysł wywietrzeje mu z głowy, zdołałem tego jakoś uniknąć. Czułem się więc wspaniale tamtej wiosny. Odtąd przez całe moje życie maj zachował znaczenie, jakiego nabrał wówczas, mimo że nigdy już nie spędziłem tego miesiąca w podobny sposób.

Ale około pierwszego czerwca, zamiast czytać po południu, udaliśmy się do dzielnicy handlowej. Pani P. trzymała mnie pod rękę i oboje wyglądaliśmy naprawdę wspaniale. Pani P. uznała, że potrzebna mi jest nowa para butów. Miałem już z pięć par, ale ona powiedziała, że nowy szewc jest prawdziwym artystą w swoim rzemiośle, przybyłym z Florencji we Włoszech, i że to prawie wstyd nie nosić dzieł jego rąk, skoro są dostępne.

I tak poszliśmy do sklepu, którego właściciel, osobnik o wymiętej twarzy, niejaki Cushing, podbiegł nas witac i omal nie całował ziemi pod stopami pani P. Włoski szewc, suchy śniady mężczyzna w wieku lat dwudziestu paru, siedział przy warsztacie w głębi sklepu. Miał na sobie skórzaną kamizelę bez rękawów i był jak zwierzę owłosiony na rękach, a pewnie i na piersi, bo tam gdzie koszula rozchyłała mu się pod szyją, kłębiły się czarne loki.

Cushing przyniósł parę safianowych pantofelków zamówionych wcześniej przez panią Pendrake, o czym nie wiedziałem. Były to urocze czerwone maleństwa, gdyż miała drobne stopy. Cushing omal się nie ślinił, gdyż w owych czasach damska stopa uchodziła za coś nieprawdopodobnie podniecającego.

— Osobiście nadzorowałem tę misterną robotę — powiada. — Za tego Włocha można zawsze ręczyć, kiedy chodzi o damskie rzeczy. Widzi pani to szycie...

Na to pani P.:

— Czy byłby pan tak dobry odnieść mi je do domu, panie Cushing?

— Słucham? — mówi on z palcem na złotym zębie, z którego był bardzo dumny.

— Dobrze, proszę pani, zaraz wyślę tego Włocha.

— Ależ nie, panie Cushing. Angelo będzie mi potrzebny, żeby wziąć z tego młodego dżentelmena miarę na parę butów z cholewami.

Pomyślałem, że Angelo dostanie za swoje, kiedy ten stary drań wróci, i zrobiło mi się go żal, bo od początku poczułem do niego sympatię, choćby tylko za to, że jest w tym mieście jeszcze bardziej obcy niż ja.

Odszedł od swojej ławy i zaczął odrysowywać ślad mojej stopy. I wtedy, gdy spojrziałem z uśmiechem na panią Pendrake. ujrzałem na jej twarzy ten sam wyraz, z jakim patrzyła na Kane'a.

Różnica polegała na tym, że Angelo miał przeważnie głowę spuszczoną, zasłoniętą tymi gęstymi czarnymi lokami, a kiedy spoglądał na panią P., jego twarz była uprzejma, niewinna i nieświadoma. Włosi mają opinię gorącokrwistych, ale on nie wyglądał nawet na letniego. Co więcej, jego angielszczyzna była dość uboga. Wyglądało, że zna dwa słowa: „lady” i „yes”, które wymawiał na swój sposób.

Ona mówi:

— Angelo, jestem bardzo zadowolona z tych pantofli. Zrobiłeś je tak, jakbyś pracował z moją stopą w ręku.

On odpowiada:

— Yess, leddy.

— Ale... — zaczyna ona.

Spojrzał na nią spod kosmatych brwi.

— Ledly?

— Ale myślę, że wolałabym niebieskie. Nie sądzisz, że niebieskie bardziej by do mnie pasowały?

— Yess? — spytał nie przestając odrysowywać mojego kopyta i wkrótce był gotów, bo ręce miał zadziwiająco zręczne.

Nie myślę, żeby rozumiał choć słowo z tego, co ona mówi, ale jej to nie przeszkadzało, a on kiwnął głową, powiedział swoje, uśmiechnął się zdawkowo i z lekkim ukłonem wrócił do swojej ławy, gdzie wziął kawał skóry i wykroił od ręki podeszwę w czasie niewiele dłuższym, niż zajęło opowiedzenie tego.

Do Angela nigdy nie miałem pretensji. Trudno zniechęcić człowieka na podstawie jednego przelotnego spotkania, podczas którego robił wrażenie znacznie bardziej zainteresowanego skórą niż panią Pendrake. Miałem po prostu dość tego wszystkiego.

Tej nocy około trzeciej nad ranem, przykręciwszy płomień lampy na najmniejszy, włożyłem na siebie najbardziej praktyczne ubranie, jakie udało mi się znaleźć, zabrałem swoje pieniądze — uskładałem jakieś trzy do czterech dolarów — wsunąłem za pas nóż do skalpowania, zszedłem na palcach po schodach i nigdy już nie wróciłem.

Przedtem jednak napisałem krótki list, bo wszyscy byli na swój sposób dla mnie dobrzy, i zostawiłem go tam, gdzie musieli go zobaczyć.

Szanowni państwo!

Odchodzę, ale to nie jest wasza wina, bo byliście dla mnie ogromnie dobrzy. Chodzi o to, że nigdy nie zostanę tak kulturalnym człowiekiem, jak wy. Bo nie umiem się zachować tak jak państwo, chociaż wiem, że tak trzeba. Proszę mnie nie szukać. Obiecuję, że nigdy nie zdradzę mojego związku z wami żeby nie przynieść wam wstydu. Pozdrowienia dla Lucy i Lavendera, którym dziękuję za liczne uprzejmości.

Wierzcie mi, wasz kochający „syn”

Jack

Teraz znasz powód, dla którego nie zdradziłem ci nazwy tamtego miasta ani wyznania wielebnego i, nawiasem mówiąc, ci ludzie wcale nie nazywali się Pendrake.

Częściowo zrobiłem tak z powodu tej obietnicy w liście, ale głównie dlatego, że mimo wszystkich rzeczy, jakie popełniłem w życiu, a niektóre z nich były dość haniebne, nigdy nie upadłem tak nisko, żeby publicznie źle się wyrazić o damie. W każdym razie nie tak, żeby wiadomo było, o kogo chodzi. Faceta, który robi coś takiego, powinno się zastrzelić.

12. W POGONI ZA ZŁOTEM

Opuszczając Pendrake'ów myślałem oczywiście o powrocie do Czejenów. Bóg mi świadkiem, zastanawiałem się nad tym niemało i powtarzałem sobie, że jestem właściwie Indianinem, tak jak będąc wśród Indian przekonywałem się, że jestem w istocie biały do szpiku kości.

Kiedy jednak rankiem pierwszego dnia po mojej ucieczce stanąłem nad brzegiem rzeki, skąd miałem przepłynąć statkiem na zachodni brzeg i ruszyć szlakiem przesiedleńców, straciłem nagle ochotę na całe przedsięwzięcie. Nie mogłem sobie jakoś wyobrazić powrotu do tipi Skóry Ze Starego Szałas. Życie u Pendrake'ów stało się nie do wytrzymania, ale powrót do dzikości po dziewięciu czy dziesięciu miesiącach z dala od niej nie wydawał się odpowiedzią na mój problem. Niełatwo jest się przyzwyczaić do pierwotnego bytowania, kiedy już się poznało coś lepszego. Człowiek przywyka na przykład do tego, że ma w określonych godzinach zapewnioną strawę, i dość trudno mu powrócić do trybu życia, w którym nie ma nic pewnego.

Myślę, że to był główny powód zmiany moich planów. Za mało wiedziałem i nie przyszło mi do głowy, że u Pendrake'ów jadałem regularnie tylko dlatego, że nie musiałem sam pracować na pożywienie. Drugim powodem było to, że w naszym mieście słyszało się stale o St. Louis i uznałem, że będąc w tym stanie, powinienem zobaczyć to wielkie miasto. Na Zachód mogłem wyruszyć zawsze, a tymczasem nie powinienem przegapić okazji do zwiedzenia godnych tego miejsc w okolicy.

Ruszyłem więc na wschód do St. Louis, przebywając większą część drogi pieszo, żeby oszczędzić pieniądze, które i tak stopniały, zanim dotarłem na miejsce, a resztkę wydałem na mój pierwszy posiłek w St. Louis, za który zdarli ze mnie pięćdziesiąt centów, bo ceny były tam bandyckie.

Nie chcę wdawać się w szczegóły, jak tam przeżyłem, ale przeżyłem ledwo-ledwo. Sprzedałem ubranie, czyściłem wychodki, żebrałem i kradłem. Po miesiącu od dnia, w którym przestałem być rozpieszczonym synkiem pani Pendrake, stałem się brudnym obdartym włóczęgą sypiającym po stajniach.

Nie pytaj mnie, co grano w teatrach w St. Louis, ani o eleganckie sklepy, słynne restauracje lub luksusowe parostatki prujące fale Missisipi, bo moja znajomość tych

miejsce polegała na oglądaniu ich od zewnątrz, gdzie stałem jako oberwany żebrak, zbierając bardzo niewiele, dopóki nie przepędził mnie policjant.

Jednak St. Louis było poważnym ośrodkiem handlu z Zachodem i po jakimś czasie szczęście uśmiechnęło się do mnie: wynająłem się jako przewodnik karawany mułów z towarami łokciowymi do Santa Fe w Nowym Meksyku. Musiałem trochę nałgać, powołując się w razie czego na moją znajomość czejeńskiego. Nigdy nie byłem w Santa Fe, ale przekonałem się, że po latach używania szlak jest dobrze widoczny, uznałem więc, że nie będę miał kłopotów z prowadzeniem karawany. Poza tym jej właściciele byli tak głupi, że mógłbym im bez trudu wmówić wszystko. Nigdy nie wytknęli nosa na zachód od St. Joe, ale włożyli wszystkie swoje pieniądze w tę wyprawę, spodziewając się zrobić kokosy na ludziach, których uważali za bandę meksykańskich frajerów. Nazywali się Bracia Wilkerson.

Ich plany uległy zmianie na skutek tego, że napadli na nas Komańcze, zabili obu Wilkersonów wraz ze wszystkimi poganiaczami mułów, rozkradli towar i spalili wozy. Klęska ta zdarzyła się nad rzeką Cimarron, kiedy przebyliśmy pięćdziesiąt mil bezwodnej równiny za Arkansas.

Zauważ, że ja sam nic zginąłem w tej awanturze, nie zostałem nawet ranny. Po prostu potrafiłem się zachować, i kiedy wszyscy już padli, nie widziałem powodu, żeby w pojedynkę stawić czoło pięćdziesięciu dzikusom, mając do dyspozycji jedną starą strzelbę ładowaną od przodu.

Stałem tam za barykadą ze skrzyń z naszym towarem, a krąg wrzeszczących Komanczów zacieśniał się coraz bardziej; człowiek strzela z takiego karabinu raz i spędza następne piętnaście minut na ponownym ładowaniu — jeżeli ma więcej niż trzech przeciwników, mogą go zatłuc gołymi rękami, zanim zdąży znaleźć stempel. W ten sposób zostałem zmuszony do zastosowania innej broni — głowy na karku. Przywołałem na pomoc jeszcze raz bezcenną historię Małego Człowieka!

Ukryty za barykadą pośpiesznie zdjąłem koszulę, zwinąłem ją w kłębek wielkości swojej głowy i wbiłem na nią swój filcowy kapelusz opuszczając nisko rondo, jakby to zrobił ktoś w jaskrawym słońcu nad rzeką Cimarron. Potem włożyłem z powrotem kurtkę, wciągnąłem szyję do środka niczym żółw i zapiąłem guziki nad głową. Rękawy wisiały puste, bo ręce miałem w środku i jedną wysunąłem górą, trzymając w niej tę głowę z koszuli, w kapeluszu.

Wtedy wstałem, mierząc sześć stóp i pięć cali do czubka kapelusza, i wyglądając przez szparę między guzikami kurtki ruszyłem w stronę galopującego kręgu Ludzi Węża. Liczyłem na to, że znają legendę o słynnym Czejenie Małym Człowieku. Mogę cię zapewnić, że zanim coś do nich dotarło, przez dobrą chwilę nie przestali szyć z luków i jedna strzała przebiła pusty rękaw mojej kurtki.

Stopniowo jednak zaczęli zwalniać do kłusa, potem do stępa, nadal krążąc, ale już zaciekawieni. No, pomyślałem sobie, czas wykonać mój numer. Akurat przekraczałem trupa jednego z Wilkersonów, zapatrzonego nie widzącym wzrokiem w niebo, z dwiema strzałami w piersi. Zrzuciłem moją fałszywą głowę z fałszywych ramion. Spadła na ziemię i potoczyła się, ale była ciasno zwinięta i kapelusz siedział na niej nadal.

Komańcze stanęli jak wryci. Pamiętam, że myślałem: mam was teraz, psie syny! Może nie? Zapomniałem pieśni wojennej Małego Człowieka, bo bym ją zaśpiewał.

Ale okazało się, że wcale ich nie mam. Nagle jeden z wojowników podjechał, podniósł głowę na ostrzu krótkiej włóczni, spojrzął, odrzucił ją i wziął mnie do niewoli.

Cóż, trudno to nazwać niepowodzeniem. Gdybym tego nie zrobił, byłbym już nieboszczykiem. Przy okazji czegoś się nauczyłem: nie próbuj nabrać Indianina, który miał częste kontakty z białymi. Ci Komańcze napadali na szlaku do Santa Fe od czterdziestu lat.

Nie traktowali mnie źle i podejrzewam, że chcieli mnie przehandlować za broń lub coś innego, ale że kazali mi pilnować swoich koni, to pewnej nocy jednego ukradłem i odjechałem. Jazda była szybka i wyczerpująca, wkrótce więc koń padł pode mną i dalej wędrowałem do Nowego Meksyku na piechotę. Był już koniec lata, kiedy dotarłem do Taos, w górach na północ od Santa Fe. Ponieważ od dłuższego czasu nie widziałem nic, co można by nazwać miasteczkiem, ucieszyłem się na widok domów Indian Pueblo, chociaż nigdy nie mogłem się zdobyć na większą sympatię dla czerwonoskórych, którzy zawsze byli rolnikami i od niepamiętnych czasów żyli na kupie jak nietoperze. Cały świat stał przed nimi otworem, a oni osiedli w jednym miejscu i uprawiali swoje poletka fasoli. Komańcze napadali na nich dość regularnie, to samo robili Nawahowie i Apacze. Dziki Indianin nie lubi oswojonego.

Kawałek dalej na szlaku za indiańskim miasteczkiem znajdowało się miasteczko białych, i tam się udałem. Można sobie wyobrazić, jak wyglądałem po wielotygodniowej wędrówce przez góry i pustynię. Kiedy klękałem nad kałużą, żeby napić się wody, zamykałem oczy nie chcąc patrzeć na swoje odrażające odbicie.

Dlatego też nie mam pretensji do sławnego bohatera za to, co zrobił, kiedy zjawilem się pod jego drzwiami. Otóż zobaczywszy jego dom z nie wypalanej cegły, zbudowany wokół wewnętrznego podwórka, pomyślałem, że tu mogę coś dostać. Wchodzę więc na werandę — a drzwi były otwarte z powodu upału — i wołam w głąb chłodnego, ciemnego wnętrza:

— Jest tam kto?

Na co z cienia pojawia się osobnik mojego mniej więcej wzrostu, czyli nieduży, z płowym wąsem i bardzo krzywymi nogami, i powiada:

— Zjeżdżaj stąd, włochaty skurwysynu.

Posłuchałem go, bo wyglądał naprawdę groźnie. Później jakiś Meksykanin, od którego wyżebrałem kilka *tortillas*, powiedział mi, że był to señor Kit Carson.

Następnego dnia dotarłem do Santa Fe położonego w dolinie między górami, z jego Meksykankami w jaskrawych strojach i z obnażonymi ramionami, z Indianami Pueblo siedzącymi nad nędznymi towarami, z nielicznymi Ute przechadzającymi się dumnie w swoich czerwonych kocach, z hiszpańskimi kowbojami w obcisłych spodniach z rozcięciami przy kostce i z różnymi dziwnymi typami, jakich można spotkać wszędzie. Było to zupełnie niezłe miasto jak na tamte czasy i tamtą okolicę, choć na pierwszy rzut oka wcale nie sprawiało takiego wrażenia. Prawie wszyscy mieszkali w domach z *adobe*, co oznacza nic innego jak suszoną glinę; dlatego z początku wydają się trochę niepoważne, jakby jakieś dzieciaki ulepiły je dla zabawy z błota. Nawet Pałac Gubernatora przy rynku był z tego samego materiału. Komuś, kto wyrobił sobie pojęcie o mieście na podstawie St. Louis, nie mogło zaimponować Santa Fe, z którego po jednym dobrym deszczu zostałyby kupa błota. Mnie to jednak nie przeszkadzało i powiodło mi się tam znacznie lepiej niż w St. Louis. Nie twierdzę, że się tam wzbogaciłem albo że próbowałem. Związałem się z grubą Meksykanką sprzedającą *chili con carne*, *tamales* i podobne smakowitości prosto na ulicy, przyrządzając je tamże na ognisku. Użaliła się nade mną widząc, że jestem taki chudy, i tak się to zaczęło. Wkrótce wprowadziłem się do jej małego glinianego domu, który dzieliliśmy z pięciorgiem albo sześciorgiem jej dzieci, a co do jej męża, to uciekł albo

został zabity, nie była tego pewna. Czasem wierzyła, że to pierwsze, i wtedy groziła mi, że jak mąż wróci, to poderżnie mi gardło; kiedy indziej wierzyła, że to drugie, i wtedy chciała iść do księdza i brać ślub.

Estrellita nieustannie wrzeszczała i wymyślała, a w chwilach szczególnego rozdrażnienia sama groziła mi nożem, ale odkryłem, że to tylko meksykański temperament i że łatwo ją wprowadzić z powrotem w dobry nastrój za pomocą jakiejś romantycznej sztuczki, na przykład nazwać ją „moim małym strączkiem chili” lub czymś takim. Skoro mowa o chili, to zrujnowałem sobie żołądek na lata tym hiszpańskim żarciem i w ciągu owych paru miesięcy skórę na języku miałem twardszą niż na dłoniach. Bo nic nie robiłem. Wylegiwałem się przez cały dzień w cieniu, a wieczorem, kiedy ochłodziło się wystarczająco, żeby chodzenie nie wiązało się z nadmiernym wysiłkiem, zbierałem całą energię i wlokłem się do szynku, gdzie trąbiłem *pulque* za pieniądze, które dostawałem od Estrellity.

Stoczyłem się wówczas bardzo nisko, a miałem dopiero szesnaście lat. Mając w pamięci mojego brata Billa uznałem, że to u nas rodzinne i przestałem się tym przejmować. Jeżeli będziesz kiedyś chciał naprawdę dać odpocząć nerwom, to stocz się na samo dno, a będziesz szczęśliwy. Większość naszych problemów pochodzi stąd, że mamy zasady.

Przy tej diecie mógłbym wykończyć się na wątrobę, ale uratował mnie pewien stary wyga, którego poznałem w szynku. Miał około siedemdziesiątki, siwą brodę, wadę wymowy, która – jak twierdził – była skutkiem tortur zadanych mu w młodości przez Apaczów, i przedstawiał się jako ekspert od lokalizacji złota. Nazywano go Stuknięty Charlie albo Loco Carlos, w zależności od języka mówiącego, z czego łatwo się domyślić, co sądzono o jego umiejętnościach.

Powodem mojej przyjaźni z Charliem, która doszła do tego stopnia, że stawiałem mu *pulque* za ciężko zarobione przez Estrellitę pieniądze, okazała się moja wrodzona słabość do ludzi mających pozytywny program. Może i był starym pijaczyną bez centa przy duszy, ale niewątpliwie obnosił się ze znakomitym pomysłem. Twierdził, że po pięćdziesięciu latach poszukiwań „zlokalizował” największe złożo złota w „zorganizowanym świecie” (tak to nazywał, bo zawsze wyrażał się wielce kwiecistie) i właśnie wtedy Ute ukradli mu juczne zwierzęta ze wszystkimi jego narzędziami. Ścigając ich zabłądził bez wody na pustyni, postradał na jakiś czas zmysły, zdarł buty i doszedł do Taos na bosaka. Mimo tych „potwornych

przeciwieństw losu" pamiętał dokładnie, gdzie jest to złoto: w regionie Kolorado między rzekami Arkansas a Południową Platte.

Charlie pociągał łyk trunku, przytrzymał w bezzębnych ustach, przelikał z drżeniem zarostu na policzkach i mówił:

— Gdybym ja miał twoje zasoby finansowe, synu, to bym nabył zestaw niezbędności i wyperegrynował się na północ, żeby wrócić po sześciu miesiącach jako człowiek wyposażony ponad wszelkie wyobrażenia algebraiczne.

Takim mniej więcej stylem przemawiał, a musisz jeszcze wiedzieć, że przy tym sepleniał z powodu tej szramy na języku. W rzeczywistości mówił do mnie „szynu”. Kiedy wypił swoje i nie stawiałem mu więcej, obijał się po lokalu i tak wszystkich zanudzał, aż właściciel szynku, wielki Meksykańczyk, prędzej czy później wyrzucał go za drzwi, a kiedy się wychodziło, leżał przy drodze wśród ryjących świń.

Tak to trwało, aż pewnego dnia do Santa Fe dotarła wiadomość, że nad Wiśniowym Potokiem w Kolorado znaleziono złoto, właśnie w okolicy, o której Charlie zawsze opowiadał. W ciągu jednego dnia z włóczęgi stał się bohaterem. Mógł z tej okazji przez jakiś czas pijać za darmo i natychmiast posypały się oferty, żeby stanął na czele różnych ekspedycji, które od razu zaczęły się formować. On jednak od chwili swojej rehabilitacji zaczął zadzierać nosa.

— Idź, wsyp sobie worek piasku w otwór w tylnej części ciała — odpowiadał. — To synek fundował mi napoje orzeźwiające i z niego zrobię bogacza.

Dotarliśmy do Kolorado dopiero późną jesienią pięćdziesiątego ósmego roku po wyczerpującej podróży, bo w drodze napadli nas Apacze, dostałem strzałę w nogę, spadłem z konia i straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, naszych koni i mułów nie było, podobnie jak kuzynów właściciela szynku.

— Zginęli? — spytałem starego Charliego, który siedział jakby nigdy nie pocierając palcem bezzębne dziąsła i wpatrując się kaprawymi oczami w dal.

— A — powiedział — musiałem ich wydać Apaczom. Zrobiłem to bez szczególnej rozkoszy, ale bez tego nigdy byśmy nie dotarli do złota.

Podobnie jak większość Indian z pogranicza Apacze byli szczególnie cięci na Meksykanów. Dlatego też, żeby móc uśmiercić trzech kuzynów szynkarza w jakiś szczególnie wymyślny sposób, zgodzili się puścić wolno mnie i Charliego. Przyznasz chyba, że był to zdradziecki stary kozioł. I chociaż właściwie powinienem chyba czuć do niego wdzięczność, to w rezultacie zacząłem bardzo mało sypiać, bo teraz nie miał

już kogo wydać oprócz mnie, gdyby zaszła tego potrzeba. A ja byłem ranny, wprawdzie niezbyt poważnie, ale jak na razie nie mógłbym uciekać.

Nie napotkaliśmy więcej Indian, ale zostaliśmy bez sprzętu i broni, i jedyną zwierzyną, jaką mogliśmy upolować za pomocą kija, były grzechotniki, wcale nie najgorsze danie, jeżeli człowiek potrafi pozbyć się przesądów i utłuc takiego gada.

Charlie powinien znać ten teren, ale wszystko zapomniał przez lata pijaństwa. Pamięć by mu wróciła, twierdził, po paru głębszych, ale nic oczywiście nie mieliśmy. Co do mnie, to zadowolilibym się paroma łykami błotnistej wody, kiedy błakaliśmy się beznadziejnie w okolicy Wielkiej Piaszczystej Wydmy w południowej części Kolorado. Zginęlibyśmy tam niewątpliwie, gdyby nie uratowała nas grupa jadąca naszym śladem.

Teraz chyba już rozumiałeś, że Charlie był najgorszym poszukiwaczem złota na świecie. Po prostu nie miał pojęcia o swoim zawodzie. Stanowiło to dla mnie odkrycie. Uważałem, że skoro ktoś uprawia jakiś zawód, to go zna. Ale to nieprawda. Można być do niczego w swoim fachu przez całe życie.

W sytuacji, w jakiej nas znaleźli, nie mogliśmy odmówić połączenia się z nimi i wreszcie przybyliśmy nad Wiśniowy Potok akurat z początkiem zimy. Zastaliśmy tam już całą resztę świata zwabioną wiadomościami w gazetach całego kraju. Zbudowano już około osiemdziesięciu chat i na wypadek, gdybyś tego nie wiedział, był to początek miasta Denver, chociaż przez kilka pierwszych lat nazywało się Auraria.

Nie mam zamiaru omawiać szczegółowo naszego powodzenia w poszukiwaniu złota. Z tego, co wiem, wszystkie znaleziska wyglądają tak samo: ktoś wyplukuje trochę złotego piasku, musi się wygadać, żeby zwały się tysiące innych, nikt się nie wzbogaca z powodu tłoku, aż wreszcie jakaś wielka spółka wykupuje większość działek i robi z tego interes stosując odpowiednie urządzenia. Najlepiej wychodzą na tym ci, którzy obsługują poszukiwaczy złota: ludzie, którzy otwierają sklepy, knajpy i tak dalej bo na początku zabawy mogą dyktować ceny, jakie im się zamarzy, i zanim się obejrzyysz, mają już kupę forsy.

Następnej wiosny i latem do Kolorado ściągnęło wzdłuż rzeki Platte, Arkansas i Rzeki Dymiącego Wzgórza, jak mówiono, pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Był to okres, kiedy na bokach wozów wypisywano: „Fortuna albo kłapa”, gdyż wielu z nich musiało to rozgłaszać w tak głupi sposób, a potem dwie trzecie z nich wróciło przed końcem roku do domu, tym razem wypisując pod poprzednim hasłem: „Kłapa, jako żywo.”

Ja i reszta naszej gromadki próbowaliśmy szukać złota przez jakiś czas, zdobyliśmy działkę, zbudowaliśmy nawet koryto do płukania według prawdziwie naukowych zasad, bo było nas siedmiu czy ośmiu, ale niewiele z tego wyszło. To znaczy złoto było, wypłukaliśmy go za siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt dolarów w ciągu trzech miesięcy, zużywając w sumie oskardów i łopat za jakieś sto dolarów, a że nie mieliśmy czasu na polowanie, musieliśmy kupować żywność, która wypadłaby taniej w najlepszym hotelu w St. Louis, a potem większą część złota zdobytą tym wysiłkiem Charlie wydał na whisky, a jeden z Meksykanów na dziwki, bo te pojawiają się w każdym złotodajnym miejscu nazajutrz po znalezieniu pierwszej grudki.

Jednak niektórzy z nas byli zbyt sprytni, żeby długo ciągnąć coś takiego: nie mówię, że ja, bo ja nigdy nie miałem głowy do interesów, ale, dwaj faceci, John Bolt i Pedro Ramirez, wkrótce założyli sklep i zorganizowali regularne dostawy towarów z Santa Fe, a ja zostałem szefem transportu. Szło nam nieźle i mieliśmy przyzwoite zyski, które dzieliliśmy między nas trzech pozostałych z pierwotnej grupy, bo dwóch innych zginęło w dyskusjach przy barze, a Charlie gdzieś się zapodział. Okazało się, że wrócił do Santa Fe, i znów przesiadywał w szynku, gdzie opowiadał o dawnych dniach w Kolorado, naciągał ludzi na wódkę i sypiał wśród świń.

Mimo że te regularne wyprawy sprowadzały mnie znów w zasięg Estrellity, wszystko ułożyło się dobrze, bo zanim przyjechałem po raz pierwszy, znalazła, już innego chłopca. Miała też nowe dziecko, które mogło być moje, ale ja byłem wtedy jako siedemnastolatek zupełnie nieodpowiedzialny. Jeżeli to prawda i jeżeli jeszcze żyje, to miałoby dziś zaledwie dziewięćdziesiąt cztery lata.

Wtedy też kupiłem sobie łaciatego indiańskiego konia, ale kupiłem go od białych handlarzy, którzy przypędzili do Denver całe stado. Sprawilem sobie też pierwszy rewolwer, był to kapiszonowy Colt Dragon, i ćwiczyłem się w używaniu go po drodze do Santa Fe, aż doszedłem do tego, że nikt nie mógł mi dmuchać w kaszę, co nie jest łatwe dla kogoś z moim wzrostem. Myślę, że wówczas osiągnąłem pięć stóp i cztery cale i zatrzymałem się na zawsze. Obstałowałem sobie w Santa Fe parę podwyższających butów, co dodało mi dwa cale, i nosiłem też wysokie meksykańskie sombrero, czarne, wyszywane srebrem. W ogólnym zarysie miałem sześć stóp, ale duża część z tego była dęta.

W pobliżu osady białych, która dała początek Denver, znajdował się duży obóz Arapahów, jak wiesz, dobrych przyjaciół Czejenów, i co jakiś czas w okolicy pojawiały się też niewielkie oddziały Ludzi. Nie spotkałem nikogo ze znajomych, ale trzeba

przyznać, że zbyt się za nimi nie rozglądałem. Nie wiem, skąd brała się ta niechęć, bo przecież byłem biały i robiłem to, co biały powinien, ale pozostawało faktem, że czułem coś jakby wstyd wobec Indian.

Byłem na przykład w jak najlepszym humorze, a na widok przejeżdżającej grupki czerwonoskórych wpadałem w melancholię. Przedtem nigdy nie pamiętałem, że Indianie są tak obdarci. Niekoniecznie z biedy, ale było w ich wyglądzie coś okropnie lachmaniarskiego, nawet jeżeli według swoich wyobrażeń wystroili się, jak na bal. Skóra Ze Starego Szasa w swoim wyjściowym stroju wyglądał według białych norm jak coś, co kot przywłókł ze śmietnika. Nigdy tego nie zauważałem, póki nie pomieszkałem wśród białych w Missouri.

Nasz sklep początkowo mieścił się w namiocie, a później, kiedy interes się rozwinął, zbudowaliśmy sobie drewniany barak i między wyprawami do Santa Fe spędzałem w nim sporo czasu. Niektórzy Arapahowie zaczęli do nas zaglądać, żeby sprzedać skóry lub dziczyznę, jeżeli mieli jej w nadmiarze. Wtedy zauważyłem, jak bardzo Indianie cuchną. Wystarczy, że trzech takich wejdzie do pomieszczenia, a robi się taki aromat, że nie ma czym oddychać. Po prostu nie dało się wytrzymać ich obecności w sklepie i handel z Indianami odbywał się na zewnątrz, w otwartej szopie. Towar zresztą mieli niewiele wart; zanim się zdecydowali na przywiezienie kawałka mięsa, było już na wpół zepsute i roilo się od robaków, a skóry przywozili źle wyprawione i sztywne jak deski.

Kiedy się widziało cukiernię w Missouri, wymyślne buty zrobione przez Angela albo panią Pendrake w krynolinie na fiszbinowej konstrukcji, to musiało się zauważyć, że Indianie są nieokrzesani, brudni, śmierdzący, zawszeni i ciemni. Wiesz, że byłem do nich nastawiony jak najlepiej, toteż niełatwo mi przyszło uznać tę prawdę. Teraz zacząłem ich nienawidzić i stąd brało się uczucie wstydu. Swoim współpracownikom nigdy się nie przyznawałem, że z czerwonoskórymi łączyło mnie coś więcej niż przeciętnego białego. A że i tak niewiele miałem do czynienia z transakcjami detalicznymi, łatwo mi było się wymykać, kiedy przybywali na handel Arapahowie.

Denver powstało na ich pradawnych terenach łowieckich, ale nie wszczynali z tego powodu awantur. Pamiętam nawet, jak pewnego dnia zaraz na początku przyjechał z obozu Indian wódz imieniem Mały Kruk i wygłosił mowę do zgromadzenia białych mieszkańców. Właściwie przyjeżdżał dwa razy, bo pierwszego dnia jego tłumacz zalał się w trupa i musieli rzecz odłożyć do następnego ranka, kiedy

to wódz wrócił i wygłosił długą orację w stylu Skóry Ze Starego Szalasu, która część ludzi rozbawiła, ale innych rozzłościła, bo chcieli wracać do przemywania złota, a nie słuchać gładzenia jakiegoś brudnego starego Indianina. Mały Kruk był barczysty, miał szeroką twarz, duże mosiężne kolczyki i długie, luźno puszczone włosy. Istota jego przemówienia po wyciśnięciu wody sprowadzała się do tego:

— Arapahowie witają białych ludzi w tym miejscu, które należało do Arapahów, od czasu gdy... (tu długa opowieść o tym, jak duchy kochają plemię, poparta przykładami z historii typu mitologicznego).

Arapahowie lubią białych ludzi i uważają ich za swoich braci. (Tu opowieść na ten temat, związana głównie z częstowaniem ich kawą z dużą ilością cukru.) Arapahowie są szczęśliwi, że biali ludzie znajdują żółty metal, skoro żółty metal jest im tak miły. Nasza matka ziemia dostarcza ludziom wszystkiego, czego im potrzeba, i każdy lud ma część ziemi, którą nazywa swoim domem, część ziemi, którą zrosił własną krwią. Wy, biali, obozujecie teraz na takiej ziemi i Arapahowie, do których ona należy, przyjmują was w pokoju i przyjaźni. Wyrażają nadzieję, że nie zrobicie tu nic złego. Wyrażają też nadzieję, że nie pozostaniecie tu zbyt długo.

Mały Kruk dostał cygaro, obiad, który zjadł za pomocą noża i widelca, po czym wrócił do swojego obozu. Wkrótce wojownicy plemienia wyruszyli na zachód przeciwko Ute, a podczas ich nieobecności grupa pijanych górników zwała się do obozu i zgwałciła kilka Indianek. Arapahowie po powrocie gardłowali, ale nie podjęli żadnych konkretnych kroków.

Co do mnie, to do tego czasu nie byłem wielkim zwolennikiem cywilizacji, pewnie dlatego, że nie miałem żadnego udziału w jej budowaniu. Jak pamiętasz, nie zachwyciłem się miastem Missouri, nie widziałem w nim sensu. Co innego Denver, które wyrastało na moich oczach. Następnego lata stało tu już prawdziwe miasto, gdyż wciąż przybywali zza prerii nowi ludzie i chociaż tylko nieliczni znajdowali złoto, a inni, jako żywo robili klapę i wracali, skąd przyszli, to wielu zostawało i trwałe budynki zastępowały namioty, zaczęła wychodzić gazeta, wkrótce wzniesiono też kościół (pastora, że o tym wspomnę, starałem się unikać podobnie jak Indian) bo w tamtych czasach nie mogło być prawdziwego miasta bez kościoła.

Nie zanosilo się więc, że odejdziemy stąd tak szybko, jakby sobie tego życzył Mały Kruk. Z punktu widzenia człowieka, jakim się wtedy stałem, kogoś, kto był współwłaścicielem interesu i zarabiał tyle, że mógł sobie kupić eleganckie ubranie i zabawić się z hiszpańskimi dziewczynami w Santa Fe, stałem się zwolennikiem

zajmowania indiańskich pustkowi przez białą przedsiębiorczość. Nawet najprymitywniejsza chata była czymś wyższym niż dzika przyroda. Tak w każdym razie wtedy myślałem.

W ciągu następnego roku docierały do mnie co jakiś czas wieści o Czejenach, chociaż się nimi nie interesowałem, gdyż poszukiwacze złota ze wschodu musieli przejeżdżać przez południowe tereny plemienia, a ci, którzy zrobili kłapę, wracali tą samą trasą do domu. Możesz sobie wyobrazić, jak te ich wędrówki odbiły się na stadach bizonów, od których zależało całe życie Indian. Działała również regularna linia dyliżansowa, przechodząca przez te same tereny wzdłuż Rzeki Republikańskiej, a myślę, że już wspominałem, jak wszystko, co regularne i planowe, działa Indianinowi na nerwy.

Mimo jednak tej prowokacji zająć było mniej, niż można by oczekiwać – przy całej swojej dzikości, a może właśnie dzięki niej, czerwonoskóry potrafi się początkowo zachować diablo cierpliwie i tolerancyjnie wobec wszystkiego, co nowe. Czejenowie uważali, że ludzie pędzący na zachód po złoto są szaleni, i dlatego niezbyt się nimi przejmowali. Raz na jakiś czas jakiś podrostek mógł ukraść białemu konia, a stało się też zwyczajem Indian na widok cywilnego wozu podjeżdżać po kawę i tytoń, przy czym nie była to właściwie żebranina, a raczej wymuszanie. Indianie stosowali tę drugą metodę, gdyż doszli do wniosku, że w stosunkach z białymi sprawdza się to lepiej niż oczekiwanie na gościnność. Jeżeli jednak emigranci im się przeciwstawiali, Indianie z reguły nie robili im krzywdy. Także z tej przyczyny, że Czejenowie nigdy nie byli należycie uzbrojeni. Jeżeli już wpadło im w ręce kilka nowoczesnych karabinów, to nie mieli albo prochu, albo ołowiu. Nawet żelazne groty do strzał były trudno dostępne – musieli zdobyć materiał, obręcz z beczki czy coś podobnego, od białych.

Wspominam te fakty z powodu bzdur, jakie się słyszało w Denver. Indianie nie zyskaliby nigdy sympatii w tym mieście, chyba żeby postanowili popełnić zbiorowe samobójstwo. Powiedziałem ci już, że odczuwałem typową dla białych radość z budowania nowej społeczności tam, gdzie przedtem tylko „dzikus i zwierz bez celu wędrowali”, żeby zacytować z dawnego stylu dziennikarskiego, i w rezultacie uznałem owych miejscowych Arapahów za niewartych uwagi. Ale byli oni całkowicie nieszkodliwi poza tym, że cuchnęli i roznosili wszy, co – pozwolę sobie dodać – można było powiedzieć również o wielu ówczesnych białych mieszkańcach Kolorado. Mimo to zawsze mówiło się o wytępieniu Indian i z tego, co pamiętam, słyszało się to rzadziej z ust ludzi zamożnych, niż z ust tych, którym nie udało się trafić na złoto.

Jeżeli ktoś sprzedał cały dobytek, żeby wyjechać na Zachód po majątek, i lądował bez centa przy duszy, to musiała w tym być wina Indian.

Ale wracając do moich spraw: z powodu konkurencyjnych operacji handlowych wychodzących z Missouri nasza spółka zaczęła tracić grunt pod nogami, gdyż za towary w Sante Fe płaciliśmy drożej niż w miastach na wschodzie, bo, po pierwsze, większość z nich i tak dostarczano łądem z Missouri, a po drugie droga do Nowego Meksyku, chociaż krótsza niż przez prerię, była bardziej wyczerpująca z powodu gór, pustyń i braku wody. W tej sytuacji Bolt i Ramirez wpadli na pomysł, żebym wyprawił się do Westport w Missouri, dzisiejszego Kansas City, i wrócił z transportem towarów po cenach „bardziej konkurencyjnych”, jak się wyrazili, bo obaj byli wielkimi specjalistami od handlu.

Dotarłem do Missouri sam, z jednym jucznym koniem, bez wypadków, ze sporą sumą pieniędzy na zakup towarów. Planowałem wynajęcie poganiaczy mułów na drogę powrotną z Westport i tak też zrobiłem. Zgromadziłem towary, wozy i muły, i przed upływem dwóch tygodni wyruszyliśmy do Kolorado.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia zatrzymaliśmy się na południowy odpoczynek nad rzeką Arkansas w zachodniej części Kansas, gdzie jak wzrokiem sięgnąć, nie było ani jednego drzewa, i w poszukiwaniu cienia wlałem pod wóz, podłożyłem sobie pod głowę zwiniętą derkę i pykałem krótką fajkę, co stało się świeżo moim nałogiem. Może nawet zacząłem podsypiać, co byłoby logiczne, kiedy nagle zdałem sobie sprawę z dziwnej ciszy. Nie byłem w najlepszych stosunkach z poganiaczami, którym się nie podobało, że wynajął ich taki dzieciuch, i musiałem stale eksponować swojego Colta.

Nagle poczułem lęk, że mogą mnie napaść, i ocknąłem się z drzemki z pistoletem w dłoni.

Jednak to, co zobaczyłem spod wozu, to były indiańskie nogawice z frędzlami i para mokasynów z paskiem niebieskich i czerwonych paciorków biegnącym w poprzek stopy i z przerywaną linią białych paciorków od kostki do dużego palca. Siedziałem kiedyś i przyglądałem się, jak Spadająca Gwiazda naszywa kościaną igłą te koraliki nanizane na ścięgno.

Należały do Opala Się Na Czerwono, który musiał mieć je na sobie i teraz, chociaż z miejsca, gdzie leżałem, widziałem go tylko od pasa w dół. Nie był sam,

towarzyszyło mu piętnaście do dwudziestu par innych mokasynów. I było w tych stopach i nogach coś niezbyt przyjaznego.

Może cię zainteresować, co to było. Otóż w dolnej części obrazu nie widziałem kolby ani drzewca niczyjej broni. To znaczyło, że trzymano ją w pozycji gotowej do użycia.

13. POWRÓT NA ŁONO CZEJENOW

Nie śpieszyło mi się szczególnie do wychodzenia, a jeżeli już miałem wyleźć, to wolałbym nie tam, gdzie stały te indiańskie nogi. Co do tego jednak nie miałem wyboru, bo były też z drugiej strony wozu i po obu końcach.

Wyczołgałem się więc i wstałem, jak tylko znalazłem się poza skrzynią wozu, i zobaczyłem przed sobą twarz Opala Się Na Czerwono. Nie miałem co do tego wątpliwości, choć był mocno wymalowany, może zresztą inaczej bym go nie poznał.

Byłbym zapomniał, że kiedy wstawałem, dwóch innych Indian chwyciło mnie za ręce i zabrało mi pistolet oraz nóż. Ci ludzie nie przybyli z misją przyjaźni. Trzymali mnie nadal i bez trudu mogłem zauważyć, że moja kompania poganiaczy mułów stoi albo leży wkoło w różnym stopniu ubezwłasnowolnienia, choć nic nie wskazywało, że odbyła się jakaś walka.

Nawet z moimi referencjami uznałem to za delikatny moment. Opala Się Na Czerwono nie śpieszył się jakoś z rozpoznaniem mnie. Zdążyłem już zapomnieć, że ujrzana zniecka twarz w barwach wojennych może przestraszyć na śmierć.

Zrzuciłem sombrero, żeby Opala Się Na Czerwono dobrze przyjrzał się moim rysom. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło około roku i miałem zaczątki wąsów, ale nie takie, żeby mogły kogoś zmylić.

Mimo to odezwał się lodowatym głosem, a jego oczy błyszczały niesympatycznie znad cynobrowych policzków, rozdzielonych białą krechą biegnącą wzdłuż nosa. Miał pełny pióropusz z orlich piór.

— Dlaczego — pyta mnie oczywiście po czejeńsku — ukradłeś konie mojego ojca?

Wtedy zauważyłem, że w pobliżu inny Indianin trzyma za uzdę łaciatego konia, którego kupiłem w Denver. Był to mój stary znajomy. Cień Który Się Pokazuje, dowodzący, jak może pamiętasz, wyprawą przeciwko Krukom, w której zdobyłem swoje imię. Teraz jednak patrzył przed siebie ponuro.

— Bracie — mówię do Opala Się Na Czerwono z pewną natarczywością — czy mnie nie pamiętasz?

Można by pomyśleć, że go zastanowi, skąd tak biegle władam czejeńskim, ale gdzie tam.

— Wy, biali — powiedział z wielką pogardą. — Przyjęliśmy was i nakarmiliśmy, kiedy byliście głodni i zagubieni, bo postradaliście zmysły dla żółtego piasku. A wy kradniecie nam konie. Jesteście wszyscy bardzo złymi ludźmi i nie chcemy z wami żadnych traktatów.

Reszta zgromadzonych za pomocą gniewnych pomruków wyrażała poparcie dla powyższych poglądów. Nie rozumiałem, o co chodzi w tych jego wyrzekaniach, wyjaśniłem więc tylko gdzie i jak nabyłem konia, i powiedziałem, że niezależnie od tego może go sobie wziąć w myśl zasad ogólnych jako mój brat.

Użyłem słowa „brat” już kilkakrotnie i zaczęło ono wreszcie docierać do Opala Się Na Czerwono przez orle pióra i grubą czaszkę. Ponarzekał jeszcze trochę na białych ludzi, wykonał kilka nieprzyjemnych ruchów karabinem, potem dwaj osobnicy trzymający mnie za ręce wygłosili swoje przemówienia, reszta zaś Indian mamrocząc coś wpatrywała się gniewnie w moich poganiaczy mułów, typowych, nieokrzęsanych, klnących na czym świat stoi gburów uprawiających ten zawód, którzy teraz stali sparaliżowani strachem. Po dłuższej chwili, kiedy już prawie straciłem nadzieję, bo choćby człowiek przeżył wśród Indian pięć lat, to i tak potrafią go zaskoczyć. Opala Się Na Czerwono powiedział wreszcie z osobistą irytacją, kontrastującą z poprzednimi oskarżeniami natury rasowej:

— Dlaczego ciągle nazywasz mnie bratem? Rozkazuję ci przestać. Nie jestem twoim bratem. Jestem Człowiekiem.

Na to odezwał się krzepki osobnik, który trzymał mnie za prawe ramię i miał na pasie pełno skalpów, w tym jeden pszenicznowłosa, żadną miarą nie pochodzący od Paunisa.

— Myślę, że trzeba go najpierw zabić, a potem rozmawiać — stwierdził.

Nie znałem go, ale wśród pozostałych rozpoznałem Ptaka Niedźwiedzia, Chudego Człowieka i Tarzającego Się Byka, który trzymał mnie za lewe ramię.

— Cóż — mówię na to śmiało — widocznie do Ludzi nie można mieć zaufania tak samo jak do tych białych, którzy wyrządzili ci krzywdę. Zaledwie dwa śniegi temu byłem twoim bratem, mieszkałem w tipi Skóry Ze Starego Szałasu, polowałem i walczyłem razem z Ludźmi, a co najmniej raz omal dla nich nie zginąłem. Może powiesz tym swoim językiem, który-idzie-w-dwie-strony, że nigdy nie słyszałeś o Małym Wielkim Człowieku?

— Jechał obok mnie w Bitwie Długich Noży — powiedział Opala Się Na Czerwono — kiedy biali nie potrafili się bić. Zginął tam, zabiwszy wiele niebieskich kurtek. Ale jego ciało nie dostało się w ręce białych. Zmienił się w jaskółkę i odleciał za skały.

— A ja ci mówię — krzyknąłem — że to ja jestem Małym Wielkim Człowiekiem. Inaczej skąd bym o nim wiedział?

— Wszyscy o nim wiedzą — odpowiedział Opala Się Na Czerwono z uporem właściwym czerwonoścórcom. — To wielki bohater Ludzi. Wszyscy słyszeli o Ludziach i wszyscy słyszeli o nim. Nie chcę więcej o tym mówić. — Przełożył strzelbę do lewej ręki, a prawą oparł na rękojeści noża do skalpowania. — Jesteś nie tylko złodziejem koni, ale na dodatek największym kłamcą, jakiego widziałem. I głupcem. Powiadam ci, że widziałem, jak Mały Wielki Człowiek padł i zmienił się w jaskółkę. Dlatego nie możesz nim być. Poza tym jesteś biały, a Mały Wielki Człowiek był Człowiekiem.

— Spójrz na mnie — powiedziałem.

— Mały Wielki Człowiek miał może dość jasną skórę — zauważył Opala Się Na Czerwono — ale to nie znaczy, że był biały. Zresztą pokazujesz mi siebie, a nie jego.

I tak to właśnie jest. Żadne stworzenie na świecie, nawet muł, nie jest tak uparte, jak przeklęty Indianin. Uznałem w tym momencie, że już po mnie, tym bardziej, że Opala Się Na Czerwono chciał wyciąć mi język za mówienie kłamstw, na co ten szczególnie nieprzyjemny osobnik od mojej prawej ręki wyraźnie się ożywił. Musiał być zaledwie dzieciakiem mniej więcej w moim wieku, kiedy zabiłem Kruka. Powiedziałem, że go nie znam, ale nagle go poznałem.

Był to Brud Na Nosie, który nieco podrośł od czasu, kiedy mu podarowałem konia po tym moim wyczynie, któremu zawdzięczałem swoje dorosłe imię.

Opala Się Na Czerwono wyjął nóż. Spojrzałem na Brud Na Nosie. Do diabła, warto było spróbować.

— Czy masz jeszcze tego karego, którego ci dałem nad rzeką Proch? — zwróciłem się do niego.

Jego twarz straciła krwiożerczy wyraz i odpowiedział:

— Nie, ukradli mi go Paunisi dwa śniegi temu, kiedy obozowaliśmy pod Górą Starej Baby.

— Słyszałeś? — spytałem Opala Się Na Czerwono.

Na jego twarzy odmalował się wyraz zdziwienia, o ile można tak powiedzieć o kimś, kto ma twarz pokrytą warstwą farby.

— To prawda — powiedział — że jest coś, czego nie rozumiem.

Zacząłem wyrzucać z siebie szereg innych szczegółów wspomnieniowych, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Nóż jednak schował. Ta historia z koniem uratowała mi życie, a co najmniej język. W tamtych czasach ludzie przychodzili i odchodzili, ale konie się liczyły.

W końcu Indianie postanowili zabrać mnie do swojego obozu, żeby sprawę rozsządzi starsi. Odzyskałem swobodę ruchów, ale nie posunęli się tak daleko, żeby mi zwrócić broń. Zostawili straż przy poganiaczach mułów, którym poradziłem, żeby przyjęli tę niedogodność z pogodą ducha. Co nie znaczy, że mieli jakieś inne wyjście.

Czejenowie zostawili swoje konie w odległej o pół mili kotlinie pod opieką dwóch młodszych wojowników. Cień nadal trzymał mojego łaciatego, ale uznałem za niestosowne dosiadać go w tej sytuacji, a mój luzak znajdował się przy wozach.

— Jak ja pojedę? — spytałem Opala Się Na Czerwono.

Był to nie lada problem dla tego nieszczęśnika. Teraz, kiedy jego upór w sprawie mojej osoby został zachwiany, w ogóle nie wiedział, co myśleć o czymkolwiek.

Spojrzał na mnie z twarzą wykrzywioną cierpieniem.

— Czuję ból — powiedział — między uszami.

Sięgnął pod pióropusz i podrapał się w głowę. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, co to za tępa pała. Jako chłopak uważałem go za wielce bystrego osobnika z powodu jego sprawności w jeździe konnej i strzelaniu z łuku, czego mnie uczył. Myślę, że na tych sprawach znał się rzeczywiście, ale poza tym był raczej głupi.

— Nie będę szedł pieszo — powiedziałem. — To jedno jest pewne.

Wyraźnie żałował, że nie obciął mi języka, nie dlatego, że był jakimś szczególnym okrutnikiem, ale głównie dlatego, że wtedy uniknąłby tej kłopotliwej sytuacji.

— Siadaj za mną — powiedział Brud Na Nosie, który wierzył mi na jakieś siedem ósmych, odkąd wspomniałem o podarowanym mu koniu.

Wskoczyłem na jego wierzchowca, chwyciłem go za pas, uważając, żeby nie wbić swoich hiszpańskich ostróg w boki jego zwierzęcia, i pojechaliśmy najpierw przez dwie godziny na północ, a potem wzdłuż wąskiego strumyka, który nie miał sobie równych pod względem ubóstwa wody.

Na jego drugim brzegu stały tipi małej grupy Skóry Ze Starego Szałas, tyle ich co dawniej, ale, na Boga, pomyślałem, czy zawsze były takie nędzne? Dziwne, ale teraz odczuwałem i smród bardziej, niż kiedy jako dziesięcioletni chłopiec wjeżdżałem z Caroline po raz pierwszy do obozu. Żebyś lepiej zrozumiał, jak potężny był to fetor, choć rozpraszał go nieco wiejący wówczas dość silny wiatr, powiem, że zagłuszył osobistą woń Brudu Na Nosie, mimo że był tuż przy mnie.

Podjechaliśmy do dobrze mi znanego tipi wodza, które służyło mi za dom przez pięć lat, z wyblakłymi wydrapanymi rysunkami, pozszywanego, z postrzępionymi kłapami wejściowymi. Sądząc z wyglądu rzeczy Skóry Ze Starego Szałas musiał przechodzić kolejny z długiej serii okresów niepowodzeń. Zbiegły się brudne dzieciaki i rozszczekane psy, zebrała się też gromadka dorosłych mieszkańców obozu, bo nasza wyprawa wracała jak zwykle bezładnymi grupkami i pierwsi przybysze wprowadzili w sytuację resztę Indian.

Zacząłem odczuwać niepokój, bo o ile wśród Amerykanów im lepiej poznaje się ludzi, tym mniejszy budzą oni lęk, o tyle, według moich doświadczeń, nie sprawdzało się to na Indianach, bo im dłużej ich znałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że są zdolni do wszystkiego. Drżenie kolan zmniejszyło się, kiedy wraz z Brudem Na Nosie zsiadliśmy z konia.

Razem z grupką wojowników wszedłem do tipi. W środku było ciemniej niż kiedyś, bo nie palił się ogień, a moje oczy odzwyczaiły się od wchodzenia w ciemność prosto z blasku słońca. Zwróciliśmy się w prawo i zatrzymaliśmy na minutę, jak nakazywał zwyczaj, i po chwili z mroku przed nami rozległ się gardłowy głos Skóry Ze Starego Szałas.

— Chciałbym, żebyście wyszli — powiedział do Indian — i pozwolili mi porozmawiać z białym sam na sam.

Wyszli, a ja obszedłem szałas po kręgu do miejsca, gdzie siedział stary wódz. Można by pomyśleć, że sensowniej byłoby pójść prosto przez środek, ale tego się nie robi — w szałasie należy się poruszać po okręgu.

Po chwili moje oczy przystosowały się do ciemności i mogłem mu się przyjrzeć. Przez cały czas siedział nieruchomo. Zauważyłem, że ma gołą głowę i przypomniał mi się, jak wyrzuciłem jego pożyczony kapelusz w bitwie nad Rzeką Salomona, odczułem wyrzuty sumienia. Trzymałem w ręku swoje meksykańskie sombrero, które

zabrałem na jazdę przez prerię. Było to naprawdę coś pięknego, z opaską srebrnych medalionów i haftowanym rondem.

— Dziadku — powiedziałem — przyniosłem ci prezent. I wręczyłem mu kapelusz.

Teraz już zrobiłem wszystko, co mogłem. Jeżeli Czejenowie byli zdecydowani zabić mnie jako oszusta, nie mogłem nic na to poradzić.

— Synu — powiedział Skóra Ze Starego Szłasasu — na twój widok moje serce wzlatuje jak sokół. Usiądź tutaj obok mnie.

Odczułem wielką ulgę. Usiadłem na skórze bizona po jego lewej ręce, a on pochylił się i objął mnie. Powiadam ci, że byłem szczerze wzruszony. Potem wziął to sombrero, szybko odciął nożem górną część, zatknął pojedyncze orle pióro za srebrną opaską i założył to na głowę.

— Czy to mój stary kapelusz — spytał — tylko jego skóra stała się miękka i gruba?

— Nie, dziadku, to inny kapelusz.

— Musimy uczcić twój powrót — powiedział i wdał się w ceremonię napełniania fajki, zapalania jej, ofiarowania jej czterem stronom świata i tak dalej, upłynęło więc sporo czasu, zanim zaciągnąłem się ostrą mieszanką z kory czerwonej wierzby.

— Widziałem cię we śnie — odezwał się po chwili. — Piłeś ze źródła, które tryskało z długiego nosa jakiegoś zwierzęcia;. Nie znam takiego zwierzęcia. Obok nosa miało dwa rogi. Woda, która tryskała z jego nosa, była pełna powietrza.

Nic obchodzi mnie, czy mi wierzysz, czy nie, ale przyznasz mi chyba, że gdybym miał coś zmyślać, poszedłbym na coś ambitniejszego. Mówił oczywiście o aparacie do wody sodowej w cukierni Kane'a. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Siedzieliśmy tak może z godzinę, zanim doszliśmy do rzeczy dla mnie najważniejszej, ale z Indianinem nie da się sprawy przyspieszyć.

Wreszcie Skóra Ze Starego Szłasasu powiedział:

— Nie gniewaj się na Opala Się Na Czerwono i resztę. Mieli zeszłego roku nieprzyjemne doświadczenia z białymi ludźmi, których znaleźli zbłąkanych, chorych i głodnych w miejscu bez wody. Ci biali stracili rozum szukając żółtego piasku i nasi ludzie ulitowali się nad nimi, nakarmili ich i leczyli na chorobę głowy, a potem, kiedy ci biali ludzie wyzdrowieli ukradli dwadzieścia sześć naszych koni i strzelbę Łaciatego Psa, i uciekli w nocy.

Skóra Ze Starego Szałasu spokojnie pociągnął fajkę i pozwolił dymowi sączyć się z ust i nosa.

— Szczególnie oburzyło niektórych Ludzi to — ciągnął — że przybyliśmy tutaj wziąć udział w konferencji pokojowej w forcie Bent, na którą zaprosił nas Ojciec białych, i dlatego mamy na sobie nasze dobre ubrania, a tu Opala Się Na Czerwono i inni spotykają twoją karawanę i widzą jednego z tych koni ukradzionych w zeszłym roku.

Przejąłem od niego fajkę.

— Nie rozumiem, dlaczego mnie nie poznali.

— Czy chcesz jeść? — spytał Skóra Ze Starego Szałasu. Nigdy nie rzucał słów na wiatr, zrozumiałem więc, że w tym miejscu etykieta wymaga, żebym przyjął posiłek. Powiedziałem, że tak, i zaraz weszła Kobieta Wodopój Bizonów, która rozpałała ognisko, ugotowała młodego psa i podała go w miskach, z których na znak szczególnego wyróżnienia sterczały łapki. Mimo to oczy miała nadal spuszczone i nie witaliśmy się, bo Skóra Ze Starego Szałasu jeszcze jej oficjalnie nie poinformował o swoim wyroku. Zanim rzecz dobiegła końca, zapadł już prawie wieczór.

Wódz otarł usta rondem sombrera. Nie był to bynajmniej objaw niechłujstwa; po prostu po iluś posiłkach kapelusz zostanie tak zaimpregnowany tłuszczem, że stanie się nieprzemakalny.

Podjął rozmowę w miejscu, w którym ją przerwaliśmy.

— Nie rozumiem, co ci się właściwie przydarzyło w Bitwie Długich Noży, w której ci konni żołnierze nie potrafili walczyć, jak należy — powiedział. — Oddaliliśmy się stamtąd z powodu niewłaściwych czarów. Ale kiedy Ludzie zebrali się na powrót i ciebie nie było w twoim własnym ciele, zobaczyliśmy jaskółkę, która leciała nad nami przez długi czas. Oczywiście pomyśleliśmy, że to ty. Ta myśl sprawiała nam przyjemność, bo byłeś kimś, kogo Ludzie lubili i szanowali. Później miałem sen o tym długonosym zwierzęciu, które dawało ci pić we wsi białych, ale nie opowiadałem o tym nikomu, żeby nie ściągnąć na ciebie nieszczęścia. Dlatego — powiedział — nie można winić Opala Się Na Czerwono za jego niewiedzę.

Wstał i wskazując, że mam iść za nim, wyszedł przed szałas, gdzie przez cały ten czas oczekiwali mieszkańcy obozu. Słońce zachodziło za bezmiarem prerii w pomarańczowych, cynobrowych, różowych i amarantowych smugach i jego promienie rozpałały wszystkie barwy na twarzach zebranych.

Skóra Ze Starego Szałasus wyglądał bardzo elegancko w moim kapeluszu. Stojąc w czerwonym kocu na ramionach, ze mną u boku, wygłosił, jak się domyślasz, całą tyradę. Pominę ją i ograniczę się tylko do konkluzji.

— Myślałem, rozmawiałem, paliłem i jadłem na ten temat — powiedział. — Moja decyzja jest taka, że Mały Wielki Człowiek wrócił.

Po tych słowach wszedł do swojego tipi, a wszyscy inni podchodzili i witali mnie serdecznie, ściskając, prawiąc mi komplementy i obsypując mnie wszelkiego rodzaju czułościami. Musiałem jeść jeszcze z pięć albo sześć razy i opowiadać godzinami i myślę, że wszystko to wzruszało mnie prawdziwie, chociaż wiedziałem, że nigdy już nie będę Indianinem.

Dowiedziałem się, co ci ludzie porabiali od czasu bitwy nad Rzeką Salomona: mniej więcej to samo, co robili od niepamiętnych czasów. Większą część roku jak zwykle spędzili na północy, a w lecie dwukrotnie wyprawiali się na południe na zjazdy plemienne. Nie mieli więcej kłopotów z wojskiem, bo trzymali się od niego z daleka. I wszystko wskazywało na to, że są uznawani przez resztę plemienia, co znaczyło, że Skóra Ze Starego Szałasus nie dobrał się do niczyjej żony.

Typowe dla Indianina podsumowanie całego dwunastomiesięcznego okresu może brzmieć tak: „Było to wtedy, kiedy Biegnący Wilk złamał nogę” albo „Tej zimy, kiedy drzewo przewróciło się na szałas Ptaka Niedźwiedzia.” Jeżeli w ogóle prowadzili w pamięci jakąś kronikę, to wypełniały ją wydarzenia tego właśnie rodzaju, podczas gdy sprawy naprawdę ważne nie pozostawiały żadnego śladu. Na przykład o tym odwoicie znad Rzeki Salomona wspomnieli tylko Opala Się Na Czerwono i Skóra Ze Starego Szałasus. Wszyscy inni zapomnieli o nim możliwie jak najszybciej. Gdybyś spytał Czejena, co ważnego przydarzyło mu się tamtego lata, odpowiedziałby coś w rodzaju: „Mój kasztan wygrał wyścig z karym Rozciętego Brzucha.”

Znajdowali się teraz w tej okolicy, jak powiedział Skóra Ze Starego Szałasus, z powodu konferencji pokojowej zwołanej przez rząd w forcie Bent. Obiecał wziąć w niej udział sam komisarz do spraw Indian, co — jak się domyśliłem — zrobiło na wodzu ogromne wrażenie. Spodziewał się, że dostanie nowy medal, a może i nowy cylinder. Poza tym jednak nie miał określonego zdania co do perspektyw rozmów.

Jedna z wielu uczt na moją cześć odbyła się w tipi Garba, który nadal był wodzem wojennym i zupełnie się nie zmienił.

— Witaj, przyjacielu — powiedział, kiedy się spotkaliśmy. — Czy przypadkiem nie przyniosłeś mi w podarku prochu i kul?

Dałem mu zapasowe tekturowe naboje i sponki od mojego pistoletu, zostawiając sobie tylko te, które miałem już w magazynku. Zdaje się, że mogłem zostać za to powieszony, gdyby rzecz doszła do władz wojskowych.

— Chodź i jedz — powiedział do mnie.

Zaproszony był również Skóra Ze Starego Szałasu, podobnie jak Cień Który Się Pokazuje, Opala Się Na Czerwono oraz jeszcze kilku starych przyjaciół, i rozmawialiśmy o traktacie.

— Nie wiem — powiedział Skóra Ze Starego Szałasu, kiedy już skonsumowaliśmy gotowany język bizona — czy słuszne jest, żeby Ludzie zostali rolnikami, chociaż Żółty Wilk uważał, że tak, a to był mądry człowiek.

— Żółty Wilk był wielkim wodzem — powiedział Garb — ale widocznie biali ludzie rzucili na niego urok, bo inaczej nigdy by się na coś takiego nie zgodził. Za dużo kręcił się koło fortów.

— Chcę teraz mówić — wtrącił Cień Który Się Pokazuje. — Ja myślę, że wolalbym umrzeć niż zasadzić kartofel.

Opala Się Na Czerwono był wciąż jeszcze pod wrażeniem tego, jak go wyprowadzili w pole poszukiwacze złota. Powiedział:

— Wszystko jedno, co zrobimy, biali i tak nas oszukają. Jak posadzimy kartofle, to nam je ukradną. Jak będziemy polować na bizony, to nam przepłoszą zwierzynę. Jak będziemy się bić, oni nie będą prowadzić wojny, jak należy.

Nie zakończył żadnym wnioskiem, tylko popadł w depresję, która trwała przez cały dzień i następny ranek. Przez cały ten czas siedział w szałasie Garba nie odzywając się, nie pijąc i nie jedząc, a rodzina Garba nie zwracała na niego uwagi, jakby go tam nie było.

— Może i tak — powiedział Skóra Ze Starego Szałasu — ale z drugiej strony białych ludzi jest coraz więcej i budują stale mieszkania. Jak nie znajdują drewna, wycinają cegły z darni albo wkopują się w ziemię jak susły. Cokolwiek się powie o białym człowieku, jedno jest pewne: nie można się go pozbyć. Występuje w nieograniczonej liczbie. Ludzi zawsze było mało, bo są czymś szczególnym i lepszym. To jasne, że nie każdy może być Człowiekiem. Dlatego jest bardzo dużo gorszych ludzi. Według mnie na tym właśnie polega rola białego człowieka w świecie. Dlatego

też musimy przetrwać, bo bez nas świat nie miałby sensu. A przetrwanie nie będzie łatwe, jeżeli biały człowiek przepędzi bizona. Może powinniśmy spróbować tej uprawy roli. Inni czerwoni ludzie żyli w ten sposób. Kiedy byłem chłopcem, ludzie zwani Mandan uprawiali ziemię nad Wielką Błotnistą Rzeką. To prawda, że Lakotowie zawsze napadali na ich wsie i dużo ich zabijali. Potem Mandanowie zarazili się ospą od białych kupców i wszyscy umarli. Teraz nie ma już Mandanów. — Skóra Ze Starego Szałasuniósł brwi. — Widocznie nie byli wielkim ludem.

— Nigdy nie słyszałem, żeby jacyś rolnicy byli wielkim ludem — wtrącił Garb i zwrócił się do mnie: — Pewnie w swoich wozach miałeś dużo prochu i kul?

Nie odpowiedziałem wołac nie rozwijać tego tematu. Mogłem sobie na to pozwolić, bo właśnie szykowałem się do własnego wystąpienia. Byłem tu kimś. Nie dlatego, że prowadziłem karawanę, dla Czejenów to nie miało znaczenia, nie pytali mnie też, co porabiałem od czasu, kiedy się ostatni raz widzieliśmy. Nie, swoją pozycję zawdzięczałem temu, że wróciłem, mimo że na pozór zginąłem nad Rzeką Salomona.

Myślałem wtedy tak: Skóra Ze Starego Szałasuniósł brwi. — Widocznie nie byli wielkim ludem. lat na preriach i czego się dorobił? Indianie kochali swoją ziemię, ale rzecz w tym, że najędniejsza chata białego człowieka ma większy związek z ziemią niż wszystko, na co mógł się powołać czerwonoskóry koczownik. Można na to patrzeć w ten sposób, że w każdym prawdziwym związku rzeczy połączone zostawiają na sobie ślady: drzewo na przykład jest przymocowane do ziemi i odwrotnie. W Denver wznoszono teraz budynki na fundamentach, nie tylko na ziemi, ale i w ziemi. Gdyby więc pewnego dnia biali opuścili ten kraj, nosiłaby ona ich piętno przez długi czas, bo nigdy nie słyszałem o naturalnej sile, która wyrywałaby z gruntu mury piwnic.

Może więc biali ludzie są bardziej związani z przyrodą niż Indianie? Oto jaka myśl przyszła mi do głowy. Nawet susły mają swoje stałe osiedla... Teraz wiem, że żadna istota żywa nie jest bardziej lub mniej w zgodzie z Naturą niż inna, ale wtedy byłem młody i przejmowałem się takimi rozróżnieniami. Bo co miałem robić ze sprzecznymi roszczeniami: Indian wierzących, że są bardziej „naturalni” niż biali, i tych ostatnich twierzących, że są bardziej „ludscy”.

Niezależnie od opinii w tej sprawie wiedziałem już wtedy, że sposób życia, jakiemu hołdowali Czejenowie, dobiegł kresu. Zrozumiałem to nie tu, w obozie, ale w Denver, bo prawdę czasem odkrywa się daleko od miejsca, do którego się ona stosuje.

Na przykład będąc w Chinach w czasie, kiedy wynaleziono proch, mógłbyś zrozumieć, że w odległości wielu tysięcy mil skończył się czas mieczy i kamiennych zamków.

Dlatego też to, co wyłożyłem w swoim przemówieniu, miało na względzie cel praktyczny. Wstałem tam, w szałasie Garba. Miałem na ramionach najlepszy czerwony koc Opala Się Na Czerwono. Wymieniliśmy podarki i zgodnie z Indiańskim obyczajem dał mi to, co miał najcenniejszego.

— Bracia — powiedziałem — kiedy siedzę wśród was, myślę o pięknej krainie nad rzeką Proch, gdzie byliśmy tacy szczęśliwi w czasach mojego dzieciństwa. Pamiętacie, jak Mały Sokół spał w swoim tipi i nagle obudził go zapach bobrowego pizma, odchylił więc skórę i zobaczywszy Kruka, który kradł mu konie, zabił go? Albo jak Dwoje Dzieci wrócił po roku ze swojej samotnej ścieżki wojennej przeciwko Ute z pasem obwieszonym skalpami, śpiewając pieśń, której nauczył się od orła leżąc ranny w suchym łożysku potoku? Czy pamiętacie, jak piękny jest Chmurny Szczyt w swojej białej czapie, z granatowymi i liliowymi ramionami? Pomyślcie o czystej, zimnej wodzie w Potoku Wariatki, który płynie przez całe lato zasilany śniegami topniejącymi w górach. O lasach, gdzie są żerdzie do szałasów i drewno na opał, jeleni z wielkimi rogami i niedźwiedź w swoim futrze... Myślę, że nad rzeką Proch jest lepiej niż tutaj. Nic mi nie wiadomo o tym traktacie, ale wiem, że coraz więcej białych będzie przejeżdżać przez to miejsce, na którym teraz obozujemy, bo leży ono na linii lotu ptaka ze wsi białych o nazwie Denver do wielkiego skupiska białych zwanego Missouri. Byłem w obu tych miejscach i wiem, że żadne z nich nie zniknie, ale wprost przeciwnie, będą się rozrastać. Uważam, że w miarę upływu czasu i one, i kraj między nimi będą coraz mniej miłe oku Czejena.

Nabrałem powietrza. Niełatwo jest bratać się z mocami nadprzyrodzonymi, jeżeli się wyjdzie z wprawy.

— Po Bitwie Długich Noży — powiedziałem — miałem sen. Leciałem nad tą krainą i widziałem pod sobą białych ludzi, którzy wszędzie budowali swoje kanciaste domy, ale na północy, nad rzeką Proch, widziałem wielki naród Ludzi, którzy żyją szczęśliwi, walczą z Krukami i Górskimi Wężami, zabijają bizony i jelenie, kradną konie.

— Myślę, że usłyszałem głos mądrości — odezwał się Skóra Ze Starego Szalasu. — Mieliśmy zamiar wziąć udział w rozmowach, żeby poprzeć naszych braci z południa. Pojadą tam Czarny Kociołek i Biała Antylopa, a oni są wielkimi wodzami. Z tego, co wiem, Arapahowie, Kiowa i Wężowie również będą rozmawiać. To bardzo

piękny widok, kiedy tyle plemion spotyka się na konferencji pokojowej z niezliczonymi końmi i w odświętnych strojach. Ojciec białych rozdaje wszystkim prezenty. To, że się przyjeżdża na konferencję, nie oznacza jeszcze, że trzeba dotknąć Piszącego pióra. Ojciec białych chce kupić od Ludzi i innych plemion ziemię, w której jest żółty piasek. Będzie tam Bent, który jest dobrym człowiekiem i ożenił się z kobietą z plemienia Ludzi. Chciałem jechać i porozmawiać o uprawie roli, bo Czarny Kociołek i Biała Antylopa, którzy są mądrymi wodzami, powiedzieli, że Ludzie muszą pomyśleć o osiedleniu, się. Ale sny nie kłamią i musi być jakaś przyczyna tego, że Mały Wielki Człowiek wrócił, żeby nam opowiedzieć, co zobaczył.

Nie podsunąłem mu bynajmniej nowego pomysłu. Indianie wcale nie byli takimi głupcami, kiedy dochodziło do podjęcia decyzji, tylko czasem kierowali się względami trudnymi do zrozumienia dla białych. Skóra Ze Starego Szłasasu jechał na konferencję głównie po to, żeby dostać jeszcze jeden srebrny medal i obejrzyć festyn, na którym zgromadzone plemiona będą się popisywać umiejętnościami jeździeckimi i odświętnymi strojami, żeby zrobić wrażenie na przedstawicielu rządu. Mógł nawet posunąć się do tego, że podpisałby traktat, nie mając bynajmniej zamiaru przejścia na osiadły tryb życia.

Teraz pod wpływem mojej sugestii postanowił zrezygnować z tego wszystkiego i wrócić na północ. Ale coś ci powiem: nie zrobił tego wcale z powodu mojego „snu”. Zrobił to, bo dobrze wiedział, że jestem biały i wiem, co mówię o sytuacji w Kansas i Kolorado.

To samo dotyczyło ich wszystkich i jeżeli zastanowisz się nad mitem, jaki stworzyli wokół Małego Wielkiego Człowieka, zrozumiesz, o co mi chodzi. Nie miało to nic wspólnego ze mną jako takim, i jeżeli chciałem, żeby mnie łączono z moim imieniem, to ja musiałem dorównać mitowi, a nie na odwrót. Gdybym zrobił coś, co nie pasowałoby do legendy, znaczyłoby to, że nie jestem Małym Wielkim Człowiekiem. Tym sposobem Indianie bez kłamstw zachowywali swoje wyobrażenia i swoich bohaterów w stanie nieskazitelnym. Podejrzewam, że nie byłoby to możliwe u ludzi, którzy rozumieją zasadę działania pieniądza i koła.

Po rozmowach w szałasie Garba zjawił się mój drugi przybrany brat, Mały Koń, w stroju kobiecym i zabawiał nas bardzo wdzięcznym śpiewem i tańcem. Cieszyło mnie bardzo, że osiągnął taki sukces jako *himaneh*.

Spędziłem tę noc w tipi Skóry Ze Starego Szłasasu. Następnego ranka spotkałem jeszcze jednego starego znajomego. Wracalem po myciu znad strumyka, kiedy

zobaczyłem Indianina, który zachowywał się jak ślepiec albo ktoś, kto umyślnie wybiera drogę przez zielsko i kaktusy. Po chwili obserwacji uznałem, że w grę wchodzi to drugie, bo tylko rozmyślnie mógł wybierać aż tak niedogodną trasę. W końcu dotarł do strumyka i zaczął się myć, ale nie wodą, tylko ziemią z brzegu.

Poznałem go od razu. Był to Młodszy Niedźwiedź i, kiedy zakończył swoje dziwne ablucje, podszedłem do niego. Nie wiedziałem, czy nadal uważa mnie za wroga. Wszystko działo się tak dawno, że nawet się nad tym nie zastanawiałem.

Na moje powitanie odwrócił się, bez wrogości, ale zamiast czejeńskiego „dzień dobry” powiedział „do widzenia”. Potem, jak człowiek który po kąpieli siada na brzegu, żeby wyschnąć, wszedł do wody i usiadł pośrodku strumienia. To akurat wydało mi się rozsądne, uwzględnivszy, że przed chwilą umył się ziemią. Dotarło do mnie, że robi wszystko na odwrót, i zrozumiałem, kim teraz jest.

Potem uzyskałem potwierdzenie od Małego Konia. Odłożył wyszywanie i opuścił gromadkę kobiet, wśród których zwykle przebywał, żeby sobie ze mną od serca pogadać.

— To prawda — powiedział. — Młodszy Niedźwiedź został w zeszłym roku odwrotnym. Kupił Grzmiący Łuk od Białego Odwrotnego.

Muszę co nieco wyjaśnić. Wiesz, że nawet zwykły Czejen jest wojownikiem, któremu trudno znaleźć równego. Otóż odwrotny idzie jeszcze dalej. Jest tak bardzo wojownikiem, że wszystko w życiu poza walką robi na odwrót. Nie chodzi ścieżkami, tylko przez krzaki. Myje się piachem, a suszy w wodzie. Jeżeli go o coś poprosić, zrobi coś wręcz przeciwnego. Sypia na gołej ziemi, najchętniej nierównej, nigdy na posłaniu. Nie wolno mu się żenić. Mieszka sam w pewnej odległości od obozu, a kiedy walczy, walczy w pojedynkę, nie z główną siłą Czejenów. Wyrusza do bitwy z Grzmiącym Łukiem, do którego ma przymocowane z jednego końca ostrze włóczni. Kiedy trzyma go w prawej ręce, nie wolno mu się cofnąć.

Myślę, że obowiązuje jeszcze milion innych zasad, ale ponieważ jest to tak skomplikowane, w żadnym obozie nie znajdzie się więcej niż jednego czy dwóch odwrotnych.

— Pamiętasz — mówił Mały Koń — Kojota? Zginął w walce z Paunisami. Czerwonego Psa zabili Ute... — Zasypał mnie nowinami, a wszystkie były dość krwawe. Potem dodał nie bez dumy: — Mam zamiar wprowadzić się do Żółtej Tarczy jako jego druga żona.

Złożyłem mu gratulacje i podarowałem małe lusterko, w którym się goliłem na szlaku, czym sprawiłem mu tak wielką przyjemność, że po moim odejściu przez kilka godzin podziwiał w nim swoje odbicie.

Przedtem jednak spytałem go jeszcze o moją przyjaciółkę imieniem Nic.

— To z nią właśnie ożenił się Biały Odwrotny. Nic jest teraz w ciąży.

Zobaczyłem ją nieco później, jak siedzi przed swoim szałasem i uciera jakieś jagody. Zdumiewające, jak ta dziewczyna zmieniła się w ciągu kilku lat. Byłaby gruba nawet bez ciąży. Nos rozjechał jej się na całą twarz i nie pamiętałem, żeby wtedy tak się świeciła od tłuszczu. Lśniące niegdyś czarne włosy teraz; wyglądały jak ogon konia, na którym jeżdżono przez cierniste zarośla.

Ale najbardziej zadziwiająca zmiana zaszła w jej osobowości. Kiedy ją zobaczyłem, łajęła psa głosem tak szorstkim, jaki rzadko trafiało mi się słyszeć, a potem wyszedł przed szałas jej mąż i przerzuciła się na niego. Czejeńskie kobiety są świetnymi żonami, ale czasami bywają strasznie pyskate. Można chyba powiedzieć, szarża kawalerii nad Rzeką Salomona uratowała mnie przed wysłuchiwanym czegoś takiego do końca życia.

Wkrótce zaczęto zwijać obóz i szykować się do przeprowadzki na północ. Stałem obok Skóry Ze Starego Szalas, patrząc, jak kobiety rozbierają tipi, wiążą z żerdzi włóki dla koni i ładują na nie dobytek. Wódz włożył sombrero, które z powodu różnicy w rozmiarach naszych głów siedziało nieco zbyt wysoko nad jego warkoczykami. Ponieważ zastępowało cylinder, który mu zgubiłem, faktycznie nie dałem mu jeszcze nic, czułem więc, że nie mam innego wyjścia, jak podarować mu mojego Colta. Z jednej strony nie było to zbyt wiele. Z drugiej, zostawiało mnie bez konia, bez jakiegokolwiek broni, bez nakrycia głowy i bez surduta (bo podarowałem go Garbowi), w zamian za co stałem się posiadaczem koca, kamiennej fajki, sznura paciorków i podobnych przedmiotów, z którymi miałem dołączyć do niezbyt życzliwych poganiaczy mułów i przebyć resztę drogi do Denver.

— Dziadku — powiedziałem — nie mogę jechać z wami na północ.

— Słyszałem cię — odpowiedział Skóra Ze Starego Szalas i to była cała rozmowa. Nie przyszłoby mu do głowy pytać, dlaczego.

A jednak nie mogłem tak sobie odjechać. Może musiałem przekonać samego siebie, bo tego drugiego dnia pobytu u Czejenów wydawali mi się oni już trochę mniej

odrażający. Zaczynałem przyzwyczajać się do zapachu obozu. Całkiem możliwe, że z czasem mógłbym zostać znów tym, kim byłem.

Może tak, może nie, ale czułem tę groźbę. Rzecz w tym, że w Denver powodziło mi się całkiem nieźle. Odkryłem dla siebie pojęcie ambicji. W świecie białych nie można dojść do niczego, dopóki się nie zrozumie tego pojęcia. A w języku Czejenów nie ma w ogóle sposobu, żeby je wyrazić.

Oczywiście indiańscy chłopcy chcą wyrosnąć na wielkich wojowników i niektórzy czują powołanie, żeby zostać wodzami, ale to są wszystko sprawy osobiste, bo wódz nie ma żadnej władzy w naszym rozumieniu. Przewodzi wyłącznie przykładem. Weźmy tę przeprowadzkę nad rzekę Proch: Skóra Ze Starego Szałasu nie kazał swoim ludziom, żeby się tam przenieśli. On tylko postanowił, że tam pojedzie, i Garb postanowił, że też tam pojedzie, i tak dalej. Inni ruszyli za nimi, bo uważali, że to są mądrzy ludzie, a mogliby i nie ruszyć, gdyby uważali inaczej. Opala Się Na Czerwono jeszcze się nie namyślił — nadal siedział na miejscu, gdzie stał szałas Garba, mimo że żony i córki Garba rozebrały szałas wokół niego.

Z drugiej strony, prowadząc tę karawanę do Kolorado myślałem o urucho-
mieniu własnego interesu. Mówiłem już, że nie miałem głowy do handlu, ale doszedłem do wniosku, że nie jest to konieczne, żeby się wzbogacić w miejscu takim jak Denver. Podjęto już starania, żeby nadać Kolorado status terytorium. Za kilka lat, gdybym się odpowiednio dorobił, mógłbym się nawet ubiegać o stanowisko gubernatora — umiałem czytać i pisać, czym nie mogła się pochwalić połowa ludzi zamieszkujących obecnie nad Wiśniowym Potokiem.

Ale jak miałem coś z tego przekazać Indianinowi w rodzaju Skóry Ze Starego Szałas?

Pomogło mi w tym momencie pojawienie się Młodszego Niedźwiedzia, który właśnie do nas podjechał. Siedział na koniu oczywiście tyłem, twarzą do ogona, co jednak sprawiało, że jego odwrotne komendy i ruchy wodzami wychodziły dobrze. Chcąc skręcić w prawo pociągał za lewą wodzę, ale ponieważ siedział twarzą do zadu, sens komendy był odwrócony po raz drugi i koń robił to, co trzeba.

— Dlaczego Młodszy Niedźwiedź został odwrotnym? — spytałem.

Tak jak się spodziewałem, wódz dał tradycyjne wyjaśnienie: — Bo bał się grzmotu i błyskawicy.

— Z tego samego powodu i ja muszę jechać na zachód z karawaną — powiedziałem. I wiesz co? Było w tym dużo prawdy.

Co do tamtego traktatu, to cieszyłem się, że odegrałem pewną rolę w odciągnięciu moich przyjaciół dalej od niebezpieczeństwa. Czarny Kociołek, Biała Antylopa oraz inni Południowi Czejenowie i Arapahowie, którzy przyłożyli rękę do piszącego pióra, otrzymali rezerwat nad rzeką Arkansas w południowo-wschodnim Kolorado, miejsce bez nazwy, suche i jałowe. W kilka lat później, podczas gdy spokojnie obozowali w tym rejonie nad Piaszczystym Potokiem, zostali zmasakrowani przez Trzeci Ochotniczy Pułk Kawalerii Kolorado.

14. ZOSTAJEMY ZASKOCZENI

Masakra nad Piaszczystym Potokiem miała miejsce w sześćdziesiątym czwartym, pod koniec roku. Do tego czasu rebelia południowców została stłumiona, bo w przeciwnym razie żołnierze mieliby inne zajęcie i rzecz nie mogłaby się zdarzyć.

Co do mnie, to po tej wyprawie z mułami do Missouri i z powrotem stałem się domatorem. Zapragnąłem zostać człowiekiem interesu na wielką skalę, a może nawet zająć się polityką. Zacząłem również żywić podejrzenia co do moich tak zwanych współników, Bolta i Ramireza, którzy mieli dzielić się ze mną po równo, ale jak mogłem to sprawdzić, skoro stale byłem w drodze? Na potwierdzenie tego, wystarczyło posłuchać ich protestów, kiedy oświadczyłem, że odtąd zostanę w sklepie.

Nie mając zbyt dużego pojęcia o rachunkowości, nie mogłem stwierdzić, na ile mnie okradali w przeszłości, ale moje zyski wzrosły znacznie, odkąd przestałem wyjeżdżać. Następnie zbudowałem sobie dom i ożeniłem się!

Miałem wówczas około dwudziestki. Kobieta, z którą się ożeniłem — dziewczyna właściwie, bo miała lat osiemnaście — była Szwedką, urodziła się w Szwecji, przyjechała do tego kraju z rodzicami kilka lat wcześniej, osiedlili się w Spirit Lake w Iowa, gdzie jej mama i tato zginęli w słynnej masakrze, będącej dziełem wyjętej spod prawa grupy Siuksów Santee. Przed pięciu laty była jeszcze tak mała, że mogła się ukryć w piwniczce na kartofle, dzięki czemu ocalała. Nazywała się Olga. W czasie, kiedy się pobieraliśmy, musiałaby się chować w jakiejś większej jaskini: miała pięć stóp dziewięć cali wzrostu i odpowiednią do tego wagę, choć ani grama tłuszczu. Była wyższa ode mnie nawet kiedy włożyłem swoje podwyższone buty.

Olga miała bardzo bladą cerę oraz włosy tak jasne i delikatne, że nawet w deszczowy dzień wyglądała jakby padało na nią słońce. Przyjechała do Denver z ludźmi, którzy zajęli się nią po tamtych wypadkach, w zamian za co musiała strasznie u nich harować: gotować, niańczyć dzieci, sprzątać i rąbać drwa, podczas gdy żona wylegiwała się w chacie z wiecznie kwaśną miną, a mąż łapał stale Olę za tyłek.

Spodobała mi się od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłem, nie tylko dlatego, że była ładna i że jej rozmiary czyniły ją dla mnie podwójnie pociągającą, ale głównie dlatego, że miała najłagodniejszy charakter, jaki zdarzyło mi się spotkać. Właściwie nie sposób było wyprowadzić jej z równowagi, a ja zawsze miałem słabość do kobiet

tolerancyjnych. Nigdy na przykład nie przyszło jej do głowy, że ta rodzina zyskała przynajmniej trzysta procent na tym, co dla niej zrobiła. Po ślubie ledwie ją mogłem powstrzymać, żeby każdego popołudnia nie biegała do nich pracować, jak tylko zrobiła wszystko u nas.

Następnego roku urodziło nam się dziecko i zbudowałem dom, o którym już wspominałem, naprawdę ładny dom, cały z drewna, czteropokojowy z wysokim dachem. Nie mógł się jeszcze równać z rezydencją Pendrake'ow, ale jak na Denver to już było coś. To nasze dziecko, chłopaka, nazwaliśmy Gustaw po ojcu Olgi zabitym w Santee, i nawet jako niemowlę wyglądał na Szweda z włosami jak len i niebieskimi oczami.

Moje chłopięce lata wśród Czejenów wpołyły mi przekonanie, że jestem sprytny i nawet okres spędzony w Missouri nie zmienił tego, bo uznałem, że spryt nie ma zastosowania w miłości. Ma natomiast zastosowanie w interesach, a ja myślałem, że jestem sprytny. W naszej spółce nie mieliśmy nigdy żadnej umowy na piśmie. Bolt wspominał o tym w każdą sobotę, kiedy wieczorem obliczał tygodniowe wpływy, odejmował koszty i resztę dzielił na trzy, chociaż po jakimś czasie zauważyłem, że tylko ja dostaję przy takich okazjach garść pieniędzy. On sam i Ramirez woleli zostawiać swoje pieniądze w sejfie. Kiedy poruszyłem tę kwestię, zostałem poinformowany, że oni „reinwestują swoje zyski”. Bolt był wielkim specjalistą od używania takich wyrażen dla wyjaśnienia spraw budzących wątpliwości.

— To skąd bierzecie na życie? — spytałem. Ramirez roześmiał się pokazując silne białe zęby, ale Bolt wyjaśnił przytomnie: — Od tego jest kredyt. Mamy tu przecież cywilizację Jack, która opiera się nie na pieniądzu jako takim, ale na idei pieniądza. Spójrz na tych Indian, którzy z nami handlują: przynoszą skórę i chcą natychmiast otrzymać coś odpowiedniej wartości. Nigdy nie przyszłoby im do głowy otworzyć u nas rachunek, z którego mogliby czerpać, ilekroć by potrzebowali, a ceny pobranych towarów byłyby wpisywane przy ich nazwiskach i następnie odejmowane od wartości dostarczonych skór. W ten sposób mogliby wyrównywać wahania swojej dzikiej gospodarki i utrzymywać tę samą stopę życiową przez okrągły rok, w chudych miesiącach i tłustych, spłacając w czasie udanych polowań to, co wzięli na kredyt w złym okresie.

Miał jeszcze dużo więcej do powiedzenia na temat teorii ekonomicznej i tego, jak to on i Ramirez wolą reinwestować swoje zyski w interes zamiast wszystko wydawać. Korzystali z kredytu u fryzjera i w barze, a co do pozostałych potrzeb, to

zaspokajali je z naszych własnych towarów, obciążając ich wartością swoje rachunki w przeciwieństwie do mojego zwyczaju kupowania na przykład Oldze materiału i wpłacania do kasy gotówki, choć oczywiście, po odliczeniu rabatu dla współwłaściciela.

Ale wracając do tej drugiej rzeczy, o której tak często mówił: że nasza spółka opiera się wyłącznie na uścisku dłoni. Był z tego autentycznie dumny, podczas gdy dla mnie stanowiło to powód pewnego niepokoju. Chyba właśnie dlatego, że on tak często o tym wspominał, ja z tą samą częstotliwością sugerowałem, żeby sporządzić jakieś dokumenty.

Jedynym skutkiem tej ich taktyki był wzrost moich podejrzeń, aż wreszcie tupnąłem nogą tak jak w sprawie szyldu i wynajęliśmy prawnika, który sporządził papiery gwarantujące mój udział. Tak w każdym razie myślałem, bo, jak wiesz, umiałem czytać i przestudiowałem ten dokument bardzo uważnie. Ale prawnicy mają, jak się okazuje, własny język.

Byłem z Olgą szczęśliwy, głównie dzięki temu, że ona w niewielkim stopniu opanowała angielski, ja zaś nie znałem, oczywiście, ani słowa po szwedzku. Nie będąc w stanie porozmawiać zgadzaliśmy się znakomicie i nigdy nie dochodziło między nami do ostrej wymiany zdań.

Ten nasz dzieciak, mały Gus, był naprawdę uroczy i z przyjemnością kołysałem nogą jego kołyskę, podczas gdy on gaworzył i robił to, co zwykle robią niemowlęta, a po przeciwnej stronie pokoju siedziała Olga zajęta cerowaniem, uśmiechała się swoim różowym szwedzkim uśmiechem, i pytała, czy jestem głodny, bo pod tym względem była jak Indianka i uważała, że człowiek jest zawsze głodny.

Potem pewnego dnia późną jesienią tysiąc osiemsetnego sześćdziesiątego czwartego Bolt i Ramirez, nagle zwiali z miasta, pozostawiając mi do spłacenia cały swój kredyt. Bo to było wpisane w naszą umowę, jak wtedy odkryłem — dawała mi ona wyłączną prawną odpowiedzialność za nasz interes i wszystkie długi zaciągnięte na jego konto, a ci faceci, jak już wspominałem, nawet strzygli się i golili na koszt firmy.

I tak, dzięki swojej „bystrości”, żeby użyć wyrażenia wielebnego Pendrake'a zostałem wystrychnięty na dudka. Mimo pozorów świadczących o czymś wręcz przeciwnym sklep od pewnego czasu podupadał. Bolt i Ramirez obniżyli ceny do tego

stopnia, że im więcej sprzedawaliśmy, tym bardziej byliśmy stratni. To znaczy byliśmy stratni w teorii, bo faktycznie, jak już mówiłem, nigdy za nic nie płacili.

Nie czekałem, co z tego wyniknie. Ja i Olga, która jak sądzę nie miała pojęcia, co się dzieje, oraz mały Gus, spakowaliśmy sakwojaż i wsiedliśmy następnego dnia do pierwszego dyliżansu, rezygnując z domu, interesu i moich ambicji co do szacowności. W wieku niespełna dwudziestu trzech lat byłem już finansowo zrujnowany.

W tym wszystkim czułem też pewną ulgę. Oczywiście chciałbym osiągnąć powodzenie, ale trzeba przyznać, że niepowodzenie daje większą swobodę. Tak więc, kiedy podskakiwaliśmy na drodze do Colorado City i Pueblo, byłem spokojny, choć nie tak wesoły jak Olga. Ona, jak podejrzewam, była przekonana, że jedziemy na świąteczną wycieczkę, bo była mniej więcej połowa grudnia tysiąc osiemsetnego sześćdziesiątego czwartego, a trasa dyliżansu skręcała na wschód od rzeki Arkansas i gdyby jechać do końca, dojechałoby się na Boże Narodzenie do fortu Leavenworth. Kupiłem bilety do końcowej stacji, co zostawiło mi akurat dość pieniędzy na posiłki i noclegi na postojach, ale na szczęście początkowo zaoszczędziliśmy trochę na jedzeniu, bo Olga zabrała wielki kosz z prowiantem.

Możliwe, że chciałem w Leavenworth przepłynąć na drugi brzeg Missouri i udać się do miasta, w którym mieszkał wielebny Pendrake, żeby naciągnąć go na pożyczkę. Mówię, że było to możliwe. Mogłem też odszukać tego oficera w Leavenworth, który obiecał mi pomoc, kiedy tam trafiłem jako chłopak, i wstąpić do wojska. Jedno jest pewne, że nie miałem określonego planu. Uważałem, że życie nauczyło mnie znosić zdarzenia losu bez wierzgania, a Olga i mały Gus byli dla mnie wielką pociechą w tym stanie umysłu.

Gus miał około dwóch lat i tak ładne kręcone blond loki, że mu ich nie obcinaliśmy, a jego bystre turkusowe oczka zauważyły wszystko, co się działo. Była to pierwsza podróż w jego życiu, i im bardziej pojazd podskakiwał, tym bardziej go to cieszyło, i zaśmiewał się, kiedy nami rzucało jak grochem w torbie, bo od jazdy dyliżansem w tamtych czasach mogły się człowiekowi obluzować wszystkie zęby w gębie. Gus wdał się pod każdym względem w matkę, przeciwko czemu nic nie miałem, bo nie życzyłbym nikomu, żeby miał mój wygląd, albo i mój charakter, jeżeli o tym mowa.

Zapomniałem nadmienić, że dwa tygodnie wcześniej dokonano masakry nad Piaszczystym Potokiem, kiedy to pułkownik Chivington najechał i wyciął w pień obóz Czejenów i Arapahów, przy czym dwie trzecie ofiar stanowiły kobiety i dzieci.

Cóż, nie byłem wtedy nad Piaszczystym Potokiem, nie uważam więc, że mam prawo rozwodzić się nad tym, co się tam zdarzyło, mimo że wpłynęło to na moją przyszłość. Bo w rezultacie Czejenowie przystąpili do wojny na całym terenie pogranicza. Pułkownika Chivingtona i jego ludzi spotkaliśmy nad Arkansas poniżej fortu Lyon, gdzie nadal ścigał niedobitki Indian znad Piaszczystego Potoku.

Kiedy mijaliśmy kolumnę wojska, podjechał do nas młody porucznik, dotknął na widok Olgi runda kapelusza i powiedział do woźnicy na górze:

— Pułkownik przesyła wszystkim pozdrowienia. Przeczesał teren w dół rzeki i możemy państwa zapewnić, że jest całkowicie bezpieczny do granic naszej jurysdykcji.

Woźnica wyraził ulgę na tę wieść, co z kolei ucieszyło mnie, bo na ostatnim przystanku nie mówił o niczym innym, jak o możliwości spotkania z wrogimi Indianami, a Olga, choć niewiele rozumiała, gdy mowa była o czymś innym, przy pierwszej wzmiance o Indianach stawała się wielce pojętna.

— Słyszałaś? — pytam poklepując ją po dłoni, może nie tak gładkiej jak u pani Pendrake, ale za to należącej do mnie. Na to ona podnosi małego Gusa do okna i mówi:

— Patrz, jaka piękna koń.

Nie chodziło jej o wierzchowca porucznika, ale o olbrzymiego ogiera na czele kolumny o pięćdziesiąt jardów dalej. Siedział na tej bestii sam Chivington, którego widziałem już w Denver. Wymieniliśmy nawet wówczas uścisk dłoni i moja bolała mnie przez cały wieczór. Boże, jaki to był wielki chłop, i większość z tego poszła w klatkę piersiową, choć samą głowę miał większą niż cały nasz Gus.

Zauważył, że mu się przyglądamy i siedział jak wyrzeźbiony, a potem zasalutował dłonią jak topór i krzyknął grzmiącym głosem kaznodziei:

— Ale daliśmy tym diabłom bobu!

Żołnierze pojechali na zachód, my zaś dalej na wschód i chyba nie upłynęła więcej niż godzina od rozstania z nimi, kiedy przebyliśmy w bród płytki potok i wjeżdżaliśmy na przeciwległy brzeg, a ja wystawiłem Gusa częściowo za okno, żeby popatrzył na bryzgi wody odrzucone jeszcze przez tylne koła. I wtedy usłyszałem jęk Olgi, odwróciłem się i zobaczyłem, że jej różowa zwykle twarz jest biała jak kreda, a w błękitnych oczach maluje się przerażenie.

Spojrzałem do przodu i na skale od północnej strony ujrzałem około pięćdziesięciu jeźdźców: Indianie, i nikt nie musiał mi mówić, że byli to Czejenowie. Za chwilę zobaczył ich też mały Gus, który zaczął radośnie gulgotać i klaskać w małe rączki. Kiedy go oddawałem matce, Indianie ruszyli na nas.

Wkrótce osiągnęliśmy szczyt wzniesienia i wyjechaliśmy na pofalowaną prerię. W chłodne zimowe popołudnie strumień lodowatego powietrza przedzierał się przez zasłony w oknach do środka. Wydobyłem swój pistolet, ale odległość była jeszcze zbyt duża. Idiota konwojent siedzący na zewnątrz natychmiast stracił głowę i zaczął walić ze swojej strzelby bez sensu, gdyż najbliższy Indianin nie był jeszcze nawet o ćwierć mili, a kiedy napastnicy wreszcie znaleźli się w zasięgu jego śrutówki, zabrakło mu nabojów.

Śrutówkę miał dlatego, że nikt inaczej niż przypadkiem nie mógłby trafić w cel z jadącego dyliżansu, bo nie tylko strzelcem rzucało, ale i cel podskakiwał. To tak, jakbyś chciał w pełnym biegu trafić grochem w skaczącego konika polnego. Jedyna korzyść z tego była taka, że Indianie mieli ten sam kłopot w strzelaniu do dyliżansu. Dopóki jechaliśmy, mieliśmy szansę. Nasze konie nie były świeże, ale to z drugiej strony oznaczało, że następna stacja, gdzie miały być zmienione, jest nie dalej jak o pięć, sześć mil.

Ale nie wspomniałem jeszcze o naszych współpasażerach. Było ich trzech; jeden to pyskаты komiwojazer, który jechał z nami od miasta Kolorado i przez całą drogę usiłował wtrynić komuś swój towar. Kufer miał przywiązany na dachu, ale trzymał też na kolanach małą walizeczkę i aż dziw, ile rzeczy potrafił z niej wyciągnąć. Drugim był krzepko zbudowany hodowca bydła około pięćdziesiątki, który stale kierował rozmowę na temat zwycięstwa Chivingtona i tego, czy „rozwiązało ono ostatecznie problem indiański”. I wreszcie na ostatniej stacji wsiadł nie odzywając się słowem do nikogo budzący swoim wyglądem postrach pasażer, który odepchnął komiwojazera z prawego tylnego rogu, rozsiadł się na jego miejscu i poprawił kolbę wielkiego Colta, tak żeby móc go użyć przeciwko każdemu, kto krzywo na niego spojrzy. Ja bym tego suczemu synowi nie puścił płazem, ale mnie nie zaczepił, więc nie zareagowałem, bo komiwojazer nie był mi bratem ani swatem.

Teraz jednak, kiedy zostaliśmy napadnięci, cieszyła mnie obecność tego groźnego osobnika. Wobec takich współtowarzyszy, jak ten historyczny konwojent na górze, nieuzbrojony komiwojazer i hodowca nazwiskiem Perch, który zaproponował, żebyśmy się zatrzymali i przekupili Czejenów — bo jak się okazało kupił kiedyś trochę

ziemi od przyjaźnie nastawionych Osagów i na tej podstawie uwierzył, że każdy Indianin ma swoją cenę — natychmiast polubiłem tego nieznajomego, którego nazwę Czarnym od koloru jego wielkich wąsów, ponieważ nigdy nie poznałem jego nazwiska. Był imponująco spokojny, siedział patrząc prosto przed siebie, nie obejrzał się ani razu na goniących nas Indian, ale rewolwer z wypolerowaną od częstego używania kolbą czekał w pogotowiu.

Stał się potrzebny szybciej, niż myślałem. Przejechaliśmy może pół mili po otwartej prerii utrzymując dystans, ale potem konie Czejenów zaczęły nas gwałtownie dochodzić. Siedziałem tyłem do kierunku jazdy w przednim lewym rogu dyliżansu i kiedy pierwszy Indianin zbliżył się na sto jardów, wychyliłem się i strzeliłem do niego, bo wprawdzie marnowanie naboju, jak to zrobił konwojent, nie miało sensu, to teraz, kiedy odległość się zmniejszyła, należało dać im do zrozumienia, że nie jesteśmy bezbronni.

Nie trafiłem tego wojownika, ale i tak skręcił i przejechał na drugą stronę dyliżansu, w związku z czym mówię do Czarnego:

— Teraz twoja kolej, kolego — ale on nic, tylko patrzy przed siebie groźnym wzrokiem. Pomyślałem sobie, poczekaj, jak z tego wyjdziemy, to się z tobą policzę, ale na razie nie pora była na porachunki, więc zmilczałem, a tu już szarpał mnie za rękaw komiwojażer.

— Mam tu — powiada — kombinację oliwy z rozpuszczalnikiem, która usuwa z lufy resztki ołowiu. — Wyciąga z walizeczki małą butelkę i mówi, że proszę bardzo, mogę na próbę przeczyszczyć lufę gratis, a jak mi się spodoba, będę mógł kupić kwartę tego ze zniżką.

Sam widzisz, ile byli wariaci moi współtowarzysze. Wytrąciłem komiwojażerowi butelkę z ręki, która się otworzyła, a jej zawartość wylała się na buty Percha natychmiast wypalając dziurę. Widocznie był to czysty kwas i Perch czym prędzej musiał zdjąć lewy but i wyrzucić go przez okno.

I cóż zobaczyliśmy? Kiedy pierwsi Indianie dojechali do tego buta, dwaj z nich zatrzymali się i zsiadli z koni, żeby go obejrzyć. To podsunęło mi pewną myśl, wyszedłem więc przez okno na zewnątrz, co nie jest łatwe w pełnym pędzie, i okrzyknąłem tych dwóch na górze. Woźnica nie miał czasu na pogawędki, a konwojent zmierzył do mnie, kiedy moja głowa ukazała się nad dachem i byłby mi jak nic odstrzelił twarz, gdyby nie to, że nie miał już naboju. Wziął mnie za Indianina.

Trzeba było sporo czasu i siły w płucach żeby przekrzyczeć szum wiatru i histeryczne wrzaski konwojenta, ale w końcu wyjaśniłem mu swój plan i przeczołgał się na tył do bagaży, gdzie zaczął je po kolei otwierać i wyrzucać z nich ubrania i wszystko inne. Kufer komiwojażera miał najbogatszą zawartość: surduty, garnitury i kołnierzyki, bele materiału, które rozwijały się na wietrze — jedna z nich owinęła się wokół Indianina, powiewając na nim z obu stron, a on starał się w galopie ściągnąć oba końce, ale wreszcie nie wytrzymał i stanął, żeby się obejrzeć w lusterku. Lusterka też były w kufrze, ale tłukły się spadając na ziemię podobnie jak butelki z płynem na porost włosów, za to cynowe talerze się nie tłukły i Czejenowie zawsze zatrzymywali się, żeby je podnieść, ale to było jeszcze nic w porównaniu z tym, co się działo, kiedy w powietrzu zaczęły fruwać damskie kapelusze. To one, a zaraz po nich zawartość naszego sakwojaża zakończyły tę fazę pogoni. Ostatnie, co widziałem, zanim dylizans zjechał w zagłębienie terenu, to dwóch Czejenów wyrrywających sobie w galopie koronkowe majtki Olgi i jakieś pół tuzina wojowników w kapeluszach z piórami i wstążkami.

W tym momencie odpadło nam koło i przeoraliśmy ze dwieście jardów prerii, zanim zaprząg dał się zatrzymać, bo zwierzęta były wprawdzie zmęczone, ale spłoszone, i jak tylko woźnica je wyprzągnął, uciekły razem na prerię.

Odbyłem z woźnicą małą dyskusję, czy powinniśmy zostać, gdzie jesteśmy, czy też ruszać dalej na piechotę. Znajdowaliśmy się na skarpie nad rzeką, bo nad samą wodą w tym miejscu grunt był zbyt grząski dla dylizansu. Na drugim brzegu rzeki Arkansas, bardzo płytkiej w zimie i pokrytej cienkim lodem, wznosiło się pasmo piaszczystych pagórków, gdzie moglibyśmy się bronić, aż brak dylizansu zostanie zauważony i przybędą żołnierze z fortu Larned, co jednak mogło potrwać, bo w tamtych czasach nikt się nie przejmował, jeżeli dylizans spóźnił się o dzień.

Jedno było pewne: Czejenowie nie będą bez końca podziwiać swoich nowych nabytków. Musieli nadjechać, tyle że znajdowaliśmy się w płytkiej dolince poniżej nich i nie widzieli naszego wypadku.

Nikt nie doznał obrażeń, bo dylizans się nie przewrócił, i niewykluczone, że lekki wstrząs wyszedł na dobre naszemu małemu towarzystwu, w każdym razie Perchowi i komiwojażerowi, przywracając im, że tak powiem, poczucie rzeczywistości. Olga też wyglądała na mniej przestraszona, niż kiedy wydawało się, że uciekniemy. Wszyscy wysiedli, kiedy w trakcie rozmowy z woźnicą zauważyłem, że Czarny nie wyszedł, zajrzałem więc do wariacko przechylonego dylizansu i zobaczyłem, że nadal

siedzi w swoim rogu wpatrzony prosto przed siebie, tylko że oczy w tej ponurej twarzy były mętne jak zarośnięte sadzawki. Przeciągnąłem przed nimi ręką bez żadnego efektu, po czym zabrałem mu Colta, wyjąłem z kieszeni amunicję i sprawdziłem pobieżnie, czy nie ma jakichś papierów, ale nie mogłem poświęcać na to zbyt wiele czasu i nic nie znalazłem.

Widocznie umarł na serce jakiś czas wcześniej, trudno powiedzieć, czy ze stracha, czy nie. Chwilowo nie powiedziałem o tym reszcie towarzystwa, bo zaraz ruszyliśmy w bród przez Arkansas. Przemoczyliśmy nogi w lodowatej wodzie nie mając: możliwości wysuszenia się, początkowo dlatego, że się nie odważyliśmy rozpaścić ogniska, a później, kiedy zostaliśmy odkryci, mieliśmy inne sprawy na głowie. Ledwo dotarliśmy do piaszczystych pagórków na południowym brzegu, zobaczyliśmy jak Czejenowie wjeżdżają na grzbiet wzniesienia i atakują opuszczony dylizans, w którym, jak sądzili, nadal siedzimy. Objeżdżali go wkoło pokrzykując, aż wreszcie zsiadli z koni i wyciągnęli ciało Czarnego, zdarli z niego ubranie, zarzucili mu łąso na szyję i ciągnęli je za koniem po prerii, póki się nie rozpadło. Jemu było to już chyba obojętne.

Wielu Indian miało na sobie różne szczegóły damskiej garderoby: wymyślne kapelusze, gorsety, a wojownik, który w końcu zdobył majtki Olgi, rozerwał je na pół i zrobił sobie z nogawek rękawy. Cynowe talerze podziurawili nożami i za pomocą czerwonych wstążek przywiązali do koni, żeby dzwoniły. Niektórzy byli spowici w kupony materiałów. Nie wszystkie butelki z płynem na porost włosów potłukły się, bo widziałem Indian pijących z nich spytałem więc komiwojażera o ich zawartość. Ponieważ nie mógł już ich teraz sprzedać, powiedział raz prawdę: nic tylko zabarwiona woda, za co podziękowałem Bogu.

Potem zobaczyli nasze ślady prowadzące przez rzekę. Ustaliliśmy linię obrony na grzbiecie najwyższego pagórka. Olga, Gus i komiwojażer — nie dlatego, że się bał, tylko dlatego, że nie miał broni — ukryli się po drugiej stronie. Woźnica miał karabin, a konwojent na szczęście oprócz bezużytecznej śrutówki miał parę rewolwerów. Ja oddałem swojego kieszonkowego Remingtona Perchowi i używałem wielkiego Colta odebranego Czarnemu. Czejenowie mieli tylko dwa lub trzy karabiny, zapewne w kiepskim stanie. Gdyby udało nam się strzelać salwą dla większego efektu, Ludzie mogliby się zniechęcić.

Każdemu z naszych przydzieliłem określony cel spośród czołowych jeźdźców, kiedy ich wierzchowce z trzaskiem pokonywały pasmo przybrzeżnego lodu stąpając

ostrożnie, żeby nie pokaleczyć nóg i kiedy doszły do wolnej wody i ruszyły galopem, wystrzeliliśmy.

Nie znając swojej nowej broni strzeliłem za wysoko i obciąłem swojemu wojownikowi czubek pióra nad głową. Za to Perch, który miał mój mały pistolet i dużo szczęścia, trafił w kolano konia zapewne nie łamiąc kości, tylko ją wyszczerbiając, ale i tak jego jeździec wylądował w wodzie i dwaj inni wojownicy zderzyli się nie chcąc wpaść na niego, a nasz woźnica rozłupał łuk w rękę jednego z Indian, który odrzucił go, jakby mu sparzył dłoń.

To wystarczyło, żeby powstrzymać jedno skrzydło atakujących i generalnie osłabić ich ducha, ale dwóch jeźdźców postanowiło się popisać i ci musieli trafić pod nasze lufy. Jak na razie woźnica ładował naszą jedyną broń dalszego zasięgu, konwojent swoim zwyczajem strzelał na oślep, Percha zaś opuściło szczęście.

Ja dwa razy chybiłem na czysto: raz, kiedy wojownicy trzymając się w jednej linii, jeden na łaciatym, a drugi na czarnym koniu, galopowali na nas wśród bryzgów przez płycizny Arkansas w odległości siedemdziesięciu pięciu jardów. Leżałem przyciskając brzuch i policzek do piasku i kilka ziarenek dostało mi się do ust, i czułem, jakbym miał wysypkę na języku. Indianin na łaciatym zaczął wyć swoją pieśń zwycięstwa, którą oczywiście rozumiałem, i czułem się nieszczególnie, wiedząc, że gość jest w czejeńskim transie i tylko kula może go zatrzymać.

Czterdzieści jardów... mój cel wyjechał z wody i popędzał konia po piaszczystym zboczu, na którego szczycie leżeliśmy. W tym momencie chybiłem swoim ostatnim nabojem, ale woźnica zdążył już nabić swój karabin i trafił Czejena w środek ciała, piękny, trudny strzał nawet z tej odległości. Indianin spadł przez zad konia w trzepocie wstążek damskiego kapelusza, który miał cały czas na głowie, ale którego do tej chwili nie zauważyłem, stoczył się prawie do samej wody tracąc kapelusz, tracąc swoją pieśń, by nigdy już nie wstać, chociaż żył jeszcze o zmierzchu, kiedy zapanowała taka cisza, że słyszeliśmy jego rżenie.

Nie zauważyłem, co stało się z drugim, pewnie zawrócił stwierdziwszy, że jego czary nie działają. Przeżyliśmy jeszcze dwa ataki przed zmierzchem i w tych brała udział cała grupa. Znam przyjemniejsze doświadczenia niż leżenie na zimnym piasku, podczas gdy pięćdziesięciu wrzeszczących Czejenów szarżuje na człowieka. Ale odparliśmy ich raniąc kilku przy okazji, chociaż za drugim razem, zanim zawrócili, trafili Percha strzałą w ramię.

Po zachodzie słońca Indianie ustawili się na drugim brzegu, nie wykorzystując już obelg i nie potrząsając włóczniami: ten aspekt naszej sprzeczki zdążył im się znudzić. Mogliśmy się spodziewać wznowienia wszystkiego z pierwszym brzaskiem następnego dnia. Na razie przyglądali nam się spokojnie z drugiego brzegu a niektórzy rozpalili ogniska, kiedy zapadł zmrok, bo było naprawdę zimno i robiło się coraz zimniej. Potem wszyscy zawinęli się w koce i jedli pemikan, który wozili w sakwach z niewyprawionej skóry.

I tak siedzieliśmy, podczas gdy ciemności gęstniały, zerwał się wiatr i było za zimno na śnieg. Perch miał ranę w ramieniu i odmrożoną stopę, przez to, że musiał zrzucić jeden but, a potem przechodzić w bród rzekę. Uznałem, że będzie musiał stracić to kopyto, ale na razie odrzucił propozycję polowej operacji twierdząc, że ból ramienia neutralizuje całkowicie ból stopy. Okazał się twardszą sztuką, niż przypuszczałem.

Woznica zabrał z sobą wielką manierkę, mieliśmy więc dość wody, przynajmniej na jedną noc. Ale nic do jedzenia. Nie mogliśmy też rozpaść ognia, bo na tych gołych piaszczystych wzgórzach nie było nic, co by się paliło. Na szczęście wszyscy mieli ciepłą zimową odzież, a zagłębienie za szczytem dawało osłonę przed wiatrem i kiedy zapadły zupełne ciemności, schroniliśmy się tam wszyscy, pełniąc na zmianę wartę na szczycie.

Wspomniałem już, że Olga, po tym, jak odpadło nam koło i znaleźliśmy się wobec groźby śmierci, stała się wzorem zimnej krwi. Zachowywała się nadal w tym duchu i zabandażowała ramię Percha swoją podartą na pasy halką, a potem usiłowała przywrócić mu krążenie w odmrożonej stopie. Kiedy do naszego dołka przyszedł konwojent, chudy, długonosy, nerwowy jegomość, który strzelał na oślep, a między atakami trzął się, pociągał nosem i drapał się jakby miał wszy, Olga otarła mu czoło, mimo zimna pokryte potem. Powiedział „Bóg zapłać” i natychmiast zasnął jak dziecko.

Chcę powiedzieć, że była dobrą kobietą i można było na niej polegać. Mały Gus, kiedy usłyszał po raz pierwszy wystrzały, ucieszył się ogromnie i chcąc też strzelić wgramolił się na nasyp, skąd Olga musiała go ściągnąć. Potem stracił zainteresowanie konfliktem i bawił się sam w dołku, rysując w piasku różne chytne zawijasy. Byłem z obojga naprawdę dumny, bałem się o nich i doszedłem do wniosku, że jeżeli chcę ich ratować, to muszę zaryzykować.

Postanowiłem udać się do Larned, do którego było wprawdzie o jakieś czterdzieści mil, ale nie dalej jak o dziesięć mil znajdowała się stacja dylizansów, gdzie, o ile Czejenowie jej nie najechali, mogłem dostać konia. Powinienem wrócić z żołnierzami przed wieczorem następnego dnia. Nasi niewątpliwie mogli się do tego czasu utrzymać.

Pozostali zgodzili się z moim planem, tyle że dzielny mały komiwojażer chciał iść zamiast mnie, twierdząc, że jest nieprzydatny w walce, a woźnica chciał, żeby z tego samego powodu poszedł konwojent, ale wiedziałem, że ja mam największe doświadczenie w takich sprawach i postawiłem na swoim.

Uścisnąłem wszystkim dłonie i pocałowałem Olgę. Mały Gus spał na jej ręku i nie chcąc go budzić przyłożyłem tylko wargi do jego pulchnego policzka, poprawiłem mu wełnianą czapkę, chociaż krzepki malec był ciepły w tej zimnej nocy jak rozżarzony węgielek.

— Nic się nie martw, moja mała — powiedziałem do Olgi,

— Będę tu zaczekać — odpowiedziała poklepując piasek i uwierzyłem jej, bo była osobą solidną, tak więc wcale nie w beznadziejnym nastroju oddałem swoją broń komiwojażerowi i wyruszyłem w czarną noc. O jakąś milę dalej w dół rzeki przeszedłem w bród na północny brzeg, tam włożyłem buty i doszedłem do stacji. Gdzie wszystko zastałem w porządku, tyle tylko, że przychodząc w środku nocy omal nie zostałem zastrzelony. Zastałem tam trzech ludzi, za mało, żeby przepędzić pięćdziesięciu Czejenów, zresztą jeden leżał pijany jak bela, a dwaj pozostali tak się przestraszyli, kiedy usłyszeli, że w pobliżu krążą wrody Indianie, że schowali się do podziemnego schronu i przykryli się darnią, ale przynajmniej zdobyłem konia, który omal nie padł pode mną w drodze do fortu. Tam przedstawiłem sprawę dowódcy, ten bez większej zwłoki sformował kolumnę, ja dostałem świeżego wierzchowca i ruszyliśmy. Przybyliśmy w niezłym jak na wojsko czasie.

Na godzinę przed zachodem słońca wjechaliśmy na pagórek, z którego przez pożyczoną lornetkę mogłem obejrzeć nasz opuszczony dylizans. Czejenów w pobliżu nie było. Nie widziałem też nikogo na piaszczystym wzgórzu za rzeką, ale może leżeli przyczajeni, biorąc nas z tej odległości za nowych Indian.

Tak to sobie w każdym razie tłumaczyłem, podczas gdy podjeżdżaliśmy kłusem, a potem ruszyłem z kopyta ku drugiemu brzegowi, zmuszając zmęczonego kawaleryjskiego konia do galopu przez grząski grunt, który odtajał w słońcu dnia,

potem przez wodę, a kiedy, wyczerpany, nie mógł się wspiąć na przeciwległy brzeg, zeskoczyłem i nawołując wbiegłem na szczyt.

Pierwszego zobaczyłem komiwożacza. Procesja mrówek dotarła już do jego oczu, chociaż nie żył najwyżej od kilku godzin. Tkwiły w nim trzy strzały i miał zdartą skórę z czaszki. Niedaleko leżał woźnica w podobnej sytuacji, tyle że nie miał też prawej dłoni. Był dobrym strzelcem i Czejenowie w ten sposób potwierdzili ten fakt.

Konwojent był paskudnie pocięty, ale Perch wcale, bo mając zabandażowane ramię i odmrożoną stopę był niepełnowartościowy, że tak powiem, z punktu widzenia trofeów. Na dodatek był łysy.

Zostali jakiś sposób pokonani. Może woźnica zginął i reszta straciła głowę. Nie wiem. Otepiały zszedłem do zagłębienia, ale nie znalazłem tam ani Olgi, ani małego Gusa. Ani tam, ani nigdzie w okolicy. Czejenowie porwali mi rodzinę.

15. UNION PACIFIC

Nie wdaję się w szczegóły beznadziejnych poszukiwań, jakie prowadziliśmy następnego dnia, bo Czejenowie swoim zwyczajem rozbili się na wiele drobnych grup i nie sposób było odgadnąć, w której są Olga i Gus. Zresztą całe szczęście, bo gdyby Indianie zobaczyli zbliżających się żołnierzy, prawdopodobnie zarznąłoby moją żonę i dziecko, żeby zrobić na złość.

A tak, mogli za jakiś czas oddać ich za okupem. Jeżeli Czejenowie nie zabili ich tam nad rzeką, to nie zrobią tego później, kiedy już zadali sobie trud ich uprowadzenia. Byłem tego prawie pewien, chociaż nie można liczyć na to, że dzikus będzie miał stale na oku swój praktyczny interes. Jeżeli zostaną pobici w jakimś starciu z białymi albo któryś z wojowników sobie popije... Cóż, tego rodzaju rozważania do niczego nie prowadziły, nie pozostawało mi więc nic do roboty.

Wtedy myślałem tylko o jednym: te zbójce mają moją żonę i dziecko. Chyba mógłbym nawet powziąć niechęć do Skóry Ze Starego Szałas, gdyby nie to, że był wtedy nad rzeką Proch.

Oczywiście teraz zdaję sobie sprawę, że on i jego grupa stanowili najlepszy sposób na odnalezienie i wykupienie mojej rodziny. Zakładając, że udałoby mi się dotrzeć do wodza i nie zostać zabitym w czasie poszukiwania go, bo przecież do Indianina nie można wysłać telegramu ani listu. Rzecz w tym, że nie spróbowałem tej drogi. Wróciłem z żołnierzami do fortu Larned i służyłem przez jakiś czas jako zwiadowca, ale nad Arkansas nie było już żadnych niepokojów. Napad na nasz dyliżans stanowił pojedynczy przypadek. Rzeczy działy się naprawdę wzdłuż rzeki Platte, gdzie Czejenowie wypalili fajkę wojny z Siuksami i Arapaho i wspólnie, w sile tysiąca wojowników najechali na początku stycznia miasteczko Julesburg, gdzie splądrowali sklepy. Przez miesiąc siali strach nad Południową Platte niszcząc rancza i stacje dyliżansów, zrywając linie telegraficzne i przechwytyjąc karawany wozów. Potem w lutym napadli jeszcze raz na Julesburg i ponownie obrabowawszy miasteczko spalili je do cna.

Na wiosnę przenieśli się na północ w Czarne Wzgórza, a potem nad rzekę Proch. Latem udało się tam wojsko i ogólnie biorąc dostało baty w serii potyczek, potem zostało zaskoczone przez wczesnojesienną śnieżycę, w której zginęła większość

zwierząt, i wróciło bosa i obdarta, tylko dzięki temu, że Frank North na czele zwiadowców z plemienia Paunisów odnalazł oddział i doprowadził go do fortu. W następnym roku Siuksowie z Czejenami przepędzili pułkownika Carringtona z północnej części kraju i zmusili wojsko do porzucenia fortów chroniących drogę do kopalni złota w Montanie.

Muszę tu wydusić z siebie wyznanie, że zamiast zająć się poważnie poszukiwaniem Olgi i Gusa zostałem pijakiem. Niełatwo jest przyznać się do czegoś takiego i nigdy dotąd tego nie zrobiłem, ale taka jest prawda. Załamałem się. Przegrałem we wszystkim, do czego się zabrałem, a takie doświadczenie może człowieka napiętnować na zawsze. Kiedy patrolowaliśmy Arkansas przez kilka następnych miesięcy i nie napotkaliśmy wrogich Indian, przyjąłem to z ulgą, bo doszedłem do wniosku, że moja rodzina będzie bezpieczniejsza, jeżeli Indianom, z którymi są, uda się unikać starć z wojskiem albo je wygrywać. Może kiedy nastanie spokój uda mi się zdobyć nieco nadających się do wymiany rzeczy, koców, paciorków i temu podobnych, i wędrując od plemienia do plemienia jako kupiec odnaleźć Olgę.

Tymczasem piłem, a im więcej piłem, tym mniej dostrzegałem u Indian w ogólności, a u Czejenów w szczególności, rzeczy, które mógłbym zaaprobować. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale było to rozwinięcie uczuć, jakie odezwały się we mnie w Denver. Wystarczy jak powiem, że już nie wydawało mi się to tak głupie, kiedy słyszałem, że należałoby ich wytepić co do nogi. Kto wie, może nawet ja sam wykrzykiwałem ten pogląd co sił w płucach, bo zawsze słyszałem coś takiego, kiedy zbliżałem się do końca butelki, a nie raz siedziałem zupełnie sam pod ścianą fortu.

Myślę, że chyba wolałbym już przeżyć to jeszcze raz, niż opowiadać o moich wędrówkach latem sześćdziesiątego piątego bo kiedy nie byłem pijany, doznawałem skutków przepicia, co było jeszcze gorsze. Udałem się na wschód, gdzie Kansas rozbudowywało się po wojnie i rancza, a nawet całe miasteczka wyrastały tam, gdzie do niedawna pasły się bizona, karawany wozów jechały jedna z nosem w tyłku drugiej, a wszędzie, gdzie znajdzie się białego człowieka, znajdzie się też i whisky.

Rzecz w tym, że nie miałem pieniędzy na pójście do baru i nie byłem w stanie wykonywać żadnych prac dla obozu, na przykład polować, bo nie miałem strzelby, a gdybym miał, to nie potrafiłbym jej prosto utrzymać. Mógłbym może dostać szklaneczkę albo dwie z czystej gościnności, ale za tę ilość alkoholu, jaką wówczas spożywałem, musiałem dawać jakąś rekompensatę tym, którzy go we mnie wlewali.

To wyjaśnia, jak i dlaczego zostałem błaznem. Przychodziłem do karawany wozów na wieczornym postoju albo na ranczo, albo do baru w miasteczku i mówiłem:

— Panowie, co byście powiedzieli na trochę rozrywki? Wy płacicie, ja bawię.

W tamtych czasach w ludziach była masa ciekawości i zawsze ktoś godził się na transakcję. Wlewałem więc w siebie tyle tego świństwa, żeby mi przeszła drżączka, która mną trzęsła zawsze, kiedy byłem trzeźwy, i robiłem z siebie publiczne widowisko. Śpiewałem i tańczyłem, czerpiąc talent z whisky, bo byłem pozbawiony przyrodzonych zdolności w tym kierunku, mając od urodzenia chrypę, a potem woda ognista przepaliła mi gardło jeszcze bardziej i myślę, że brzmiało to tak, jakby kruk ogłaszał reszcie stada, że dostrzegł jakieś soczyste ścierwo gnijące na prerii.

Między innymi skrzeczałem piosenkę o małym mule, której nauczyłem się w Santa Fe, i jak przez mgłę pamiętam, że śpiewałem ją kiedyś w barze w Omaha, w stanie Nebraska i zebrani tam poganiacze mułów zrobili z pasków i z czego tam mieli juki, założyli mi je na plecy i biegałem po podłodze na czworakach, a oni kopali mnie w zadek. Jeden szczególnie złośliwy osobnik wyciągnął długi batog i zapewne szykował się, żeby mi zedrzeć skórę z tyłka, kiedy inny gość podszedł do niego i powiada:

— Oddaj mi to.

— Ani myślę — odpowiada tamten.

Ja przewróciłem się na podłogę i patrzyłem na nich przekrwionymi oczami. Było mi obojętne, czy zostanę obatożony, czy nie. Nie wiedziałem nawet jak znalazłem się w Omaha i po co. Mówię to, bo jeżeli kiedykolwiek ktoś zasłużył na solidne baty, to właśnie ja wtedy.

— Dobrze, w takim razie ty sinodupy, w bycze jajo szarpany, zaszczany skunksie zaraz ci wybiję te p...e zęby — powiada mój zbawca i natychmiast zrealizował swoją zapowiedź, potężnym ciosem z południowego wschodu na południowy zachód trafiając poganiacza prosto w pysk tak, że w strumieniu krwi posypały się z niego zęby jak garść kukurydzy.

Koledzy wynieśli go dyskretnie, a reszta zebranych gwizdała i krzyczała:

— Do diabła, to ci dopiero kawał chłopa z cyckami — i tym podobne. Nic z tego nie rozumiałem. Potem zwycięzca w tej krótkiej bójce pochylił się, uwolnił mnie od siodła, podniósł mnie jak dziecko, zarzucił sobie na ramię niczym zwinięty koc i wyszedł.

Następną rzeczą, jaka do mnie dotarła, było, że leżę w korycie do pojenia koni i, jak tylko próbuję się podnieść, jakaś wielka łapa wpycha mi głowę z powrotem do wody. Pomyślałem sobie, dobrze, utopię się, jeżeli sobie tego życzysz, bo nie miałem już ani odrobiny własnej woli. Ale kiedy już zgodziłem się nabrać w płuca niezbyt czystej wody, mój prześladowca nagle wyciągnął mnie, palnął mnie kilka razy w plecy, ponownie zarzucił mnie sobie na ramię, wniósł po wąskich schodach do pokoju i zwałił na mosiężne łóżko.

Wtedy dopiero mogłem po raz pierwszy przyjrzeć się nieznanemu, bo zdjął kapelusz, spod którego rozsypały się długie rude włosy, dotąd pod nim upchnięte. To nie był wcale mężczyzna, tylko kobieta. Podeszła i usiadła obok mnie na łóżku.

— Sama nie wiem, mały, skąd się to wzięło — powiedziała — ale poczułam do ciebie straszną słabość. Przyszło to na mnie, jak tylko cię zobaczyłam na podłodze. Straciłam dla ciebie głowę, kochasiu, choć jesteś skunks i ladaco, i będę cię kochać. Będziesz teraz moim chłopczykiem— i tak dalej.

Na to ja:

— Powstrzymaj się, Caroline. Co to, nie poznajesz swojego brata Jacka? — Musiałem to powtórzyć kilka razy swoim słabym głosem, zanim rzecz do niej dotarła, bo, jak sama przyznała, była pod wielkim wrażeniem swojego szalonego pomysłu.

Wreszcie jednak szczęka jej opadła, przy czym omal nie zgubiła zwitka tytoniu, który żuła, i zawołała:

— O, mój Boże! — a potem: — Ty sukinsynu! — A potem jeszcze kilka doborowych określeń, bo mało kto potrafił tak kłać jak moja siostra.

W końcu się rozplakała zaczęła mnie ścisnąć i całować jak brata, a potem przyniosła miskę z wodą, żeby obmyć moją brudną twarz, i wtedy poznała mnie już na dobre, i wszystko się powtórzyło od początku.

No cóż, byłem zadowolony ze spotkania z pocziwą Caroline, jeszcze bardziej z tego, że komuś na mnie zależy, ale po wielomiesięcznym okresie rozpusty i hańby miałem niewiele energii, umysł osłabiony i wkrótce zasnąłem.

Następnego dnia czułem się potwornie i potrzebowałem whisky dla podtrzymania iskiejki życia, ale Caroline nie dała mi ani kropli, moczyła natomiast mnie przez wiele godzin w blaszanej wannie. Trzymała mnie tak przez cały dzień i przez następny, dolewając garnek wrzątku, ilekroć woda zaczynała być znośna dla mojej skóry, a kiedy wreszcie zakończyła tę kurację, wypociłem z siebie całą truciznę,

ale razem z nią i cały wigor, bo nogi uginały się pod mną jak pod nowonarodzonym źrebakiem.

Caroline nie zmieniła się zbyt wiele. Jej rysy nieco się pogrubiały, a nieustanne żucie tytoniu nie wpłynęło dobrze na jej zęby, chociaż myślała się częściej niż inni poganiacze, to załatwiała od niej mułem, bo zarabiała na życie przewożąc towary z Omaha na budowę linii Union Pacific, która wtedy doszła do rzeki Platte.

Kiedy leżałem jeszcze osłabiony, opowiedziała mi swoje przeżycia od momentu ucieczki z obozu Skóry Ze Starego Szałas do chwili obecnej. Były one niewątpliwie zróżnicowane i charakteryzowały się gwałtownymi wzlotami i upadkami, bo, jak sądzę, zrozumiałeś już, że Caroline była skrajną romantyczką i stale czyhała na nią rozczarowania.

Pojechała dalej na zachód, aż do San Francisco. Tam próbowała zaciągnąć się jako majtek, ale marynarze szybciej niż Czejenowie zorientowali się co do jej płci i wrzucili ją do zatoki. Nie wiem, dlaczego Caroline nigdy nie mogła wbić sobie do tej głupiej głowy, że naśladowanie mężczyzn nie jest dobrym sposobem na zyskanie ich sympatii, a raczej... nie, właściwie wiem. Uważała, że jest brzydka, i dlatego. A wcale nie miała racji. Nie należała wprawdzie do piękności, ale nie była też szpetna, miała tylko wyraziste rysy.

Na lepszy pomysł wpadła, kiedy wybuchła wojna domowa. Pojechała na wschód i zajęła się pielęgnowaniem rannych, do czego, jak sądzę, musiała się świetnie nadawać przy swojej sile i wytrwałości w połączeniu z ukrytą, prawdziwie kobiecą naturą. Caroline lubiła mężczyzn, nie ma co do tego wątpliwości, i w gruncie rzeczy jej kłopoty wynikały z przesady w tym upodobaniu. Wkrótce zakochała się w człowieku, którego poznała w szpitalu wojskowym w Waszyngtonie, co dowodzi, jak daleko zawędrowała na wschód. Nie był to jeden z rannych, ale pielęgniarz, który z nią razem pracował, człowiek kulturalny do tego stopnia, że w wolnych chwilach pisywał wiersze. Caroline uważała, że jest nieśmiały, ale odwzajemnia jej uczucie, bo kiedy dał jej przeczytać swoje utwory, okazały się pełne płomiennego pożądania i, chociaż nigdy nie przyznał tego wprost, wiedziała, że chodzi o nią. Razem myli i opatrywali tych nieszczęśników i to cierpienie wokół nich cementowało jeszcze ich wzajemne uczucie i tak dalej.

Nie widzę potrzeby, żeby wdawać się w szczegóły tej historii, bo rzecz w tym, że kiedy ten gość zorientował się w uczuciach Caroline do niego, wyznał jej, że sam jest zakochany w małym kędzierzawym doboszu, draśniętym w różowe ramię kulą

Mirrie². Tej mojej siostrze nigdy nie przyszło do głowy zastanowić się, dlaczego duży, zdrowy chłop zgłasza się na ochotnika do wynoszenia nocników zamiast do wojska. Pamiętam nazwisko tego osobnika, ale go nie wymienię, bo w późniejszych latach, jak mi ktoś kiedyś powiedział, zdobył niemałą popularność swoimi krzykliwymi wierszami i nie chciałbym nikomu psuć przyjemności z ich czytania, na wypadek, gdyby jeszcze były czytane.

Taka była Caroline, która potem zabrała swoje złamane serce z powrotem na Zachód, gdzie została poganiaczem mułów.

Nie zbiło jej nic a nic z tropu to, że początkowo potraktowała mnie jak potencjalnego kochanka, bo przeróżne jej przeżycia w tej dziedzinie już ją zahartowały. Widocznie uznała, że nigdy nie zdobędzie chłopca, jeżeli go sobie tak jak mnie sama nie przyniesie.

Spytałem jej, czy w swoich podróżach nie spotkała kogoś jeszcze z naszej rodziny.

— Nie, nigdy — odpowiedziała zakładając szeroko nogę na nogę i spluwając cienką strużką soku tytoniowego do spluwaczki, którą gospodyni specjalnie dla niej wstawiła — ale słyszałam od żołnierza w szpitalu, że służył z Billem Crabbem, który zginął bohaterską śmiercią pod Fredericksburgiem, i myślę, że to musiał być nasz młodszy brat, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie.

Wydało mi się całkiem nieprawdopodobne, żeby Bill mógł wyjść na ludzi po tym, co widziałem w pięćdziesiątym ósmym, ale tego jej nie powiedziałem. Poza tym w swojej ówczesnej sytuacji nie bardzo miałem prawo do rzucania oskarżeń pod adresem innych ludzi.

A potem Caroline zwróciła się do mnie ze słowami:

— Opowiedz mi o sobie, Jack, i jak się to stało, że zszedłeś na psy.

Oto co znaczy nazwać rzecz po imieniu. Opowiedziałem jej więc swoją historię i muszę przyznać, że chociaż, nie interesowała się mną zbyt, kiedy byłem dzieckiem, a nawet porzuciła mnie na pastwę Indian, to teraz szybko zrozumiała, że zrobiłem jednak kilka rzeczy zasługujących na jej uwagę i nie skąpiła mi jej. To dziwne, ale chociaż jej własne sprawy znajdowały się w stanie opłakanym, to jej stosunek do mojej klęski życiowej pomógł mi wydobyć się z beznadziejności, w jaką popadłem.

² Poprzedniczka kul dum-dum.

Bo kiedy opowiedziałem jej o porwaniu Olgi i małego Gusa, zauważyła zupełnie bezlitośnie:

— Lepiej o nich zapomnij, Jack. Na pewno już dawno ich zabili.

— Nie mów tak, Caroline.

— Mówię tylko to, co, jak mi się zdaje, sam już wiesz — stwierdziła moja siostra i jeszcze raz skorzystała ze spluwaczki. — Powinieneś wiedzieć, jak się zachowują Indianie, skoro żyłeś wśród nich tak długo, jak mówisz. Chyba nie zapomniałeś jak zarżnęli tatę, a wykorzystali mamusię i mnie. Ja tam nigdy nie doszłam do siebie po tym przeżyciu. Byłeś za mały, żeby pamiętać, jaką byłam ładną dziewczyną, zanim te brudne bestie brutalnie nie wydarły mi dziewictwa. Do dzisiaj dręczą mnie koszmarne sny na ten temat.

Myślę, że Caroline sama w to wierzyła, bo tłumaczyło to jej klęski na polu miłosnym, podobnie jak mojemu bratu Billy'owi jego wersja wydarzeń dostarczała motywu do obrania roli, w jakiej go zobaczyłem. Jeżeli pomyślałeś, że jestem zbyt surowy dla własnej rodziny, to powiem ci, że nie oni jedni korzystali w owych czasach z Indian, żeby wyjaśnić najróżniejsze swoje niepowodzenia.

I ja też byłem w takiej samej sytuacji. Moja żona i dziecko zostali rzeczywiście porwani przez dzikusów i było wielce prawdopodobne, że zostali zabici. Ale to jeszcze nie był powód, żebym przestał być mężczyzną, a niezależnie od tego, ile klęsk spadnie na człowieka, nie jest on autentycznym i stuprocentowym wykolejńcem, dopóki to nie nastąpi.

Ale rzecz w tym, że przez tamte lata szacownego życia w Denver zatraciłem swoje dzikie nawyki i właśnie dzikość tego wydarzenia nad rzeką Arkansas odebrała mi męskość.

— Możliwe zresztą, że nie zabili tej twojej kobiety — ciągnęła Caroline. — Może tylko...

To śmieszne jak członkowie własnej rodziny, nawet kiedy się nie żyje z nimi szczególnie blisko, potrafią z idealną dokładnością wbić nóż w bolące miejsce. W tym przypadku jednak sprawa była bardziej skomplikowana: jak może sobie przypominaś, zawsze podejrzewałem, że Caroline czuła się zawiedziona tym, że czerwonoskórzy nie dokonali na niej gwałtu. Nieprawdopodobne, ale była zazdrosna o Olgę z kilku powodów: o to, że wyszła za męża, o to, że miała dziecko, i o to, że

najprawdopodobniej została zgwałcona. Wszystko to w dodatku do naturalnej niechęci, jaką odczuwa siostra do kobiety, która złapała jej brata.

W sumie wywołało to zmianę w postawie Caroline. Odstąpiła od procedury rehabilitacyjnej (kąpeli, pożywienia wyłącznie w formie stałej i tak dalej), kupiła butelkę whisky i zachęciła mnie, żebym utopił w niej swoje smutki.

Widocznie jako wrak bardziej jej odpowiadałem. Moja siostra w gruncie rzeczy miała podobny gust jak ci, których bawił widok mojego upadku. Czejenowie byliby przygnębieni widząc, jak ich współplemieniec stacza się na dno, uważaliby, że rzuca to cień na całe plemię. W przeciwieństwie do nich Amerykanin wprost uwielbia widok rodaka - nieponia. I moja siostra nie była tu wyjątkiem.

Rzecz w tym, że postępowanie wbrew ludzkim oczekiwaniom sprawia mi wielką przyjemność. Pewnie umarłbym z przepicia, gdybym nie spotkał siostry, ale jej próby wyciągnięcia mnie z nałogu mogły tylko przyspieszyć koniec. Odkąd jednak zaczęła się czynnie przykładać do mojej ruiny, z widokiem na opiekowanie się mną do końca moich dni, wyciąganie mnie z szynków, bicie moich prześladowców i tak dalej, od tej chwili nie wzięłem do ust alkoholu. Przynajmniej w ówczesnej fazie mojej kariery.

Nie mówię, że podniosłem się i z dnia na dzień stałem się normalnym człowiekiem. Trwało to dwa tygodnie, zanim mogłem chodzić z pewną energią i około miesiąca, zanim mogłem podjąć męską pracę, bo wcale nie żartowałem, mówiąc, że wylądowałem na dnie. Dość długo czułem, że ręka mi drży, kiedy ją mocno zacisnąłem i nieraz przez kilka godzin widziałem wszystko jak pod wodą. Jeszcze pod jesień zdawało mi się, że zemdleję na skutek południowego słońca.

Przypomniało mi się to, bo pod koniec lata wynająłem się do pracy. Do takiej samej jak Caroline, powożenia zaprzęgiem mułów, mimo że ona robiła wszystko, co mogła, żeby mnie od tego powstrzymać, posunęła się nawet tak daleko, że powiedziała przedsiębiorcy, który nas wynajmował, o moim niepowstrzymanym alkoholizmie, przez co miał mnie stale na oku i musiałem pracować za dwóch.

Dostałem tę pracę jedynie dzięki temu, że na budowie Union Pacific potrzebowali każdej pary rąk, bo zaczęli tak ślamazarnie, że teraz strasznie się śpieszyli. Mieli rozpocząć w sześćdziesiątym trzecim, ale pierwszą szynę położono dopiero latem roku, o którym mówię, czyli sześćdziesiątego piątego, i do października ukończono zaledwie dziesięć mil torów. Tej zimy jednak dało się odczuć efekty

zakończenia wojny, popłynęły pieniądze rządowe, i w kwietniu tory doszły do Północnego Zakrętu, a w lipcu posunęły się o dalsze osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt mil do Chapman.

Tę ciężką pracę wykonywali głównie irlandcy imigranci, ale byli tu też weterani wojny i w roku sześćdziesiątym szóstym chwycili takie tempo, że układali dwie do trzech mil torów dziennie. Wielkie, spływające potem draby wbijały haki jak szpilki, podczas gdy inni tymczasem układali przed nimi pokłady i szyny. A tuż za ich plecami sapiąca i gwizdząca lokomotywa. Od jej iskier co jakiś czas zapalały się nie stratowane jeszcze przez to ludzkie stado resztki traw, a bizona dawno już wyniosły się gdzie indziej.

Wraz z czołem robót posuwało się rozłożone tuż przy torach miasteczko namiotów, w których proponowano alkohol, hazard i ladacznice. Byli tam też dostawcy, handlarze i nawet kaznodzieje, żołnierze i trochę Indian z pokojowych plemion, którzy oferowali na sprzedaż jakąś jedną czy dwie rzeczy albo swoje kobiety, albo tylko się gapili i, jeżeli nigdy nie widziałeś gapiącego się Indianina, to dużo straciłeś, bo jest to coś, co może trwać cały dzień. Pamiętam Paunisa, który godzinami wpatrywał się w komin lokomotywy, i po jakimś czasie nie potrafiłem powstrzymać się od zapytania go w języku gestów, do czego to według niego może służyć.

Powiedział:

— Najpierw myślałem, że to wielka strzelba na ptaki, ale potem zobaczyłem, że płoszy ptaki, zanim nad nią przeleca. Potem pomyślałem, że to wielki kociołek do gotowania zupy, ale zobaczyłem, że biali jedzą w innym miejscu. Waleczny Niedźwiedź spojrzął i uznał, że to rzecz do robienia whisky, bo wszyscy biali są co wieczór pijani.

Tu umilkł z miną bardzo zaaferowaną, uznałem więc, że wyjawię mu prawdę, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, odezwał się znów:

— Czy dasz mi trochę tytoniu?

Odciąłem mu kawałek prymki, który wziął i natychmiast wbił piętę w zapadłe boki swojego konia i odjechał galopem z miejsca, w którym sterczał trzy albo i cztery godziny. Może o to mu tylko chodziło od samego początku.

Ja i Caroline mieliśmy stałe zajęcia wynajmując się do różnych zespołów wyrównujących podłoże pod posuwającą się na zachód linię kolejową. Lokalni przedsiębiorcy godzili się na wyrównanie mili czy dwóch i byli wtedy gotowi wynająć

każdy zaprzęg, jaki im się nawinął, bo musieli zdążyć przed ekipą układającą tory, a ta posuwała się tak szybko, że żyło się pod ciągłą groźbą dogonienia przez tor. Nigdy nie mogłem się nadziwić, jak szybko zbudowano tę kolej tam, gdzie ja i moja rodzina wlekliśmy się wołami zaledwie przed dwunastu laty. Było to przerażające.

Zaczęliśmy z Caroline jako prości poganiacze, pracując dla właścicieli zaprzęgów, ale w Samotnym Drzewie kupiliśmy własne muły i wóz. Złożyliśmy wszystko, co do tej pory zarobiliśmy i Caroline miała trochę grosza w pończosze, uważając to za swój posąg na wypadek, gdyby coś takiego okazało się potrzebne, ale wszystko razem jeszcze nie wystarczało dla naszego celu, musieliśmy więc przyjąć współnika. Facet nazywał się Frank Delight³. Nie wiem, czy urodził się z tym nazwiskiem, ale było ono wielce odpowiednie dla jego ówczesnego zajęcia. Prowadził dwa z tych namiotowych przybytków rozrywki wędrujących wraz z budową i obsługujących robotników — jeden to był bar serwujący najgorszą whisky na świecie (ja sam przestałem używać, ale mogłem przekonać się o jakości jego trunku wciągając powietrze, kiedy przechodziłem obok), drugi był objazdowym domem publicznym. Oba przedsiębiorstwa przynosiły nieprzeciętne zyski ze względu na to, że były na miejscu. Człowiek, który przez cały dzień układał tory, nie ma wieczorem nastroju do długich wypraw w poszukiwaniu wypitki i innych rozrywek.

Franka poznaliśmy dzięki temu, że Caroline zaprzyjaźniła się z paroma jego kobietami przy praniu bielizny w rzece. Te ladacznice uważały, że ciężka praca przy poganianiu mułów to hańba dla kobiety i stale namawiały moją siostrę, żeby przystała do ich profesji, którą uprawia się w pozycji leżącej. Caroline ze swojej strony z niezwykłym zapałem zabrała się do nawracania tych dziwek na drogę cnoty, ale ponieważ nie miała żadnych sukcesów, Frankowi to nie przeszkadzało. Co więcej, bawiło go to i nawet stawiał kolejkę, żeby usłyszeć, jak Caroline oskarża go o stręczycielstwo.

Kiedy dowiedział się, że nie stać nas na kupno zaprzęgu, zaofiarował nam pomoc w zamian za procent od naszych zarobków, głównie z sympatii do Caroline, jak myślę, choć nigdy nie przepuszczał okazji dodatkowego zarobku. Byłem nieco uprzedzony do spółek po doświadczeniu z Boltem i Ramirezem, ale Frank był swój chłop i tym razem to ja obracałem gotówką.

³ Delight — rozkosz

Tak posuwaliśmy się przez Nebraskę przez cały rok sześćdziesiąty szósty, w zimie trochę wolniej, ale na wiosnę sześćdziesiątego siódmego czoło toru dotarło do Paxton, w odległości najwyżej pięćdziesięciu mil od północno-zachodniego rogu Kolorado, skąd linia skręcała na południe, żeby zaczepić o Julesburg na tamtym terytorium, a potem z powrotem na północ, przez resztę Nebraski do Wyoming.

Wtedy to, kiedy się ociepliło, zaczęliśmy spotykać Czejenów i Siuksów. Nocą kradli nasze zwierzęta, a za dnia nękali robotników napadając małymi oddziałkami i natychmiast znikając, ale choć wyrządzali pewne szkody, nie udawało im się zahamować postępu stalowych torów. Niewątpliwie było to dla nich bardzo przygnębiające, jak teraz o tym myślę, kiedy przyjeżdżali następnego dnia i znajdowali kolej o trzy mile dalej, następnego znów o trzy i następnego to samo, aż kontynent został przecięty na dwoje. Oczywiście nigdy nie zebrali się wszyscy na raz w tym samym miejscu i czasie do ataku na wielką skalę, który mógłby mieć jakiś realny efekt. Z drugiej strony, gdyby tak zrobili, skutek, jak myślę, byłby taki, że Armia Stanów Zjednoczonych przystąpiłaby na serio do ich likwidacji i ściągnęliby na siebie natychmiastową klęskę, która bez tego następowała stopniowo. Stracili Kolorado, a teraz ta dziwna machina ciągnęła hałasując i dymiąc przez Nebraskę, i zostawiała za sobą trwałe metalowy ślad. Chyba już wspomniałem, że linia kolejową przedzieliła na pół kontynentalne stado bizonów, bo te bestie nic chciały za nic przekroczyć torów nawet, kiedy nie jechał pociąg, i Indianie już o tym wiedzieli.

Co do mnie, to liczyłem, że wrodzy Indianie pokażą się, skoro tylko wkroczymy na ich teren i właśnie dlatego wybrałem taką a nie inną pracę – zapowiadało się to na najbardziej skuteczny sposób nawiązania kontaktu z Czejenami i dowiedzenia się czegoś o losach mojej żony i dziecka. Wymyśliłem to jeszcze w Omaha podczas rekonwalescencji.

Pomysł polegał na tym, żeby Czejenowie, że tak powiem, sami przyszli do mnie i z myślą o tym przez dwa lata uczciwie poganiałem muły, zjadałem wieczorem byle co, znosiłem towarzystwo Caroline, która ani trochę nie mądrzała, i kładłem się wcześniej w swoim małym namiocie czekając, czekając, aż nadejdzie ten czas.

Nie wiem, czy ktoś kiedyś zauważył, ile cierpliwości wymaga żywot awanturnika. To nie sama akcja wymaga prawdziwej odwagi, ale te minuty, godziny, dni, nawet miesiące oczekiwania, na spotkanie. Kiedy wreszcie Indianie zaczęli napadać, zdawało się, że mnie omijają i atakują grupy wyrównujące teren dalej na zachód albo ekipę układającą tory na wschód od nas. I nawet gdy potrzebowali zwierząt, nigdy nie

zblizali się do moich mułów, które pętałem w pobliżu swojego namiotu, czuwając przez większą część nocy ze zwiniętym lassem w dłoni. Chodziło mi nie o zabicie, ale o schwytanie żywcem wojownika, który podszedłby blisko. Nie chciałem jego skalpu, lecz powrotu Olgi i Gusa, i w tym celu musiałem się znaleźć w korzystnej sytuacji przetargowej. Tylko że, jak mówię, gdziekolwiek byłem, Czejenowie uderzali gdzie indziej. To właśnie mam na myśli mówiąc o potrzebie cierpliwości.

Lato było już w pełni, kiedy wreszcie wybiła moja godzina. Czoło robót znajdowało się tuż za dawną stacją dyliżansów Lodgepole i pracowałem z robotnikami wyrównującymi teren na zachód od tego miejsca, ale załatwiałem coś w Julesburgu i właśnie miałem ruszać w powrotną drogę, kiedy zatrzymała się tam dla nabrania wody lokomotywa, i zobaczyłem, że ciągnie kilka wagonów towarowych z Pauniskimi Zwiadowcami Franka Northa, których rząd wynajął do ochrony przed wrogimi Indianami.

— Co się tu dzieje, Frank? — spytałem, bo się znaliśmy.

A on mówi:

— Są jakieś kłopoty z Czejenami nad Śliwowym Potokiem i jedziemy zrobić z nimi porządek.

— Czy mogę zabrać się z wami?

Stwierdził, że żyjemy w wolnym kraju, więc wsiadłem. Byłem uzbrojony w strzelbę Ballarda i stary pistolet Remingtona. Nie miałem czasu wrócić po swojego konia, którego zostawiłem u kowala do podkucia, bo lokomotywa już odjeżdżała, choć ze zbiornika jeszcze lała się woda. Spytałem Northa, czy będzie miał dla mnie wierzchowca. Odpowiedział, że może Paunisi mają zapasowego konia, ale jazda na nim wymaga specjalnych umiejętności.

Roześmiałem się w duchu. Nie mówiłem tam nikomu o moim pobycie u Czejenów, którzy z oczywistych powodów nie należeli wówczas do najbardziej lubianych plemion, bo w tamtych czasach człowiek był podejrzany, jeżeli znalazł się we wrogim plemieniu i wrócił z życiem.

Podczas gdy trzęśliśmy się po torze, jakiś Paunis przyszedł zataczając się do kąta, w którym siedziałem (nie chcę powiedzieć, że był pijany, po prostu wagonem tak rzucało, że właściwie trzeba było chodzić na czworakach) i zaczął mi się przyglądać. Otóż Paunisi walczyli kiedyś z białymi wzdłuż szlaku do Santa Fe, ale uspokoili się, kiedy ruch wzrósł tak, że nie mogli mu przeszkodzić, a poza tym jako dziedzicni

wrogowie Siuksów i Czejenów znajdowali wspólny język z Amerykanami. Paunisi golili głowy po bokach zostawiając tylko sterczący grzebień zwany grzywą. Każdy ma swoje własne gusta, kiedy chodzi o Indian, i ja na przykład nie przepadałem za tą modą. Było to dość naturalne, jeżeli uwzględnić moje wychowanie. Pamiętasz, jak wojowałem z nimi w czasach mojej czejeńskiej młodości.

Więc ten wojownik przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a potem podchodzi do Northa i mówi coś w języku Paunisów. Musiał krzyczeć, bo pociąg okropnie hałasował, ale nie znając języka i tak nic nie zrozumiałem.

Frank przyłożył dłoń do ust i mówi do mnie:

— On twierdzi, że walczył kiedyś przeciwko tobie nad rzeką Niobara, i że byłeś wtedy Czejenem... Nie śmieję się, bo mu będzie przykro.

Ostrzeżenie było zbyteczne — nie chciało mi się śmiać, bo niewątpliwie ten bystrooki Indianin mówił prawdę. Pamiętałem, że kiedyś jacyś Paunisi napadli na stado naszych koni w biały dzień nad tą rzeką, którą my nazywaliśmy Niespodzianką, i my, Ludzie, rzuciliśmy się na nich. Koń jednego z Paunisów został trafiony i zrzucił go na prerię, a ja będąc najbliżej chciałem go dopaść, ale on trzymał mnie na dystans szyjąc raz po raz z łuku, aż wrócił jeden z jego towarzyszy, ten wskoczył za nim na konia, i obaj wydając pauniskie okrzyki zwycięstwa uciekli nietknięci wśród nawałnicy naszych strzał i kul mimo naszego zaciętego pościgu, choć cała reszta ich oddziału wpadła w nasze ręce i wzięliśmy ich włosy.

Ten człowiek był widocznie jednym z tych dwóch, którzy uciekli, zaskoczyło mnie tylko, że potrafił mnie poznać po tylu latach, bez farby i w amerykańskim ubraniu. Nie odzywałem się, póki nie dojechaliśmy do Śliwowego Potoku i nie wysiedliśmy z wagonów. Pozostawiłem Northa w przekonaniu, że to był żart, bo nie chciałem się wdawać w wyjaśnienia, ale kiedy on z drugim białym oficerem omawiali sytuację, podszedłem do tego Paunisa i w języku gestów powiedziałem: — Miałeś tamtego dnia bardzo mocne czary.

Ten Indianin nazywał się Szalony Niedźwiedź. Powiedział z nieruchomą twarzą:

— Byłeś wtedy Czejenem. Teraz jesteś białym człowiekiem. — I wykonał gest oznaczający: „Nie rozumiem.”

— To długa historia — odpowiedziałem. — Potem Czejenowie ukradli moją białą żonę i dziecko. Będę bił się z nimi razem z wami, i nie chcę, żeby coś złego

dzieliło nasze serca. — I dodałem do tego stary indiański aforyzm: — Wszystko się zmienia oprócz ziemi.

— Teraz ziemia też się zmienia — zasygnalizował Paunis wskazując linię kolejową. — Wierzę ci — dodał — nie z powodu tego, co mi powiedziałaś, bo wyglądasz na kłamcę. Wierzę ci, bo Wódz Paunisów (czyli Frank North) mówi, że jesteś tylko głupcem, który pogania muły. Prosił mnie, żebym cię ochraniał, jeżeli znajdziesz się w bitwie.

Zanim powiem, co zdarzyło się w tej bitwie, muszę najpierw powiedzieć, co Czejenowie zrobili nad Śliwowym Potokiem, bo był to dla nich niemały sukces i, o ile wiem, coś, co nikomu się przed nimi nie udało. Wykoleili cały pociąg towarowy! Jakimś cudem wyrwali haki z podkładów i wygięli szyny w górę, a potem tak skęcili, że kiedy nadjechała lokomotywa, przekoziółkowała się pociągając za sobą wagony. Nie mam pojęcia skąd ci Indianie zrobili się tacy sprytni. Wcześniej napływały raporty o czejeńskich wojownikach, którzy ścigali się z pociągiem i usiłowali złapać go na łąso, i w to można było uwierzyć, bo dziki Indianin nie miał wyobrażenia o masie i rozmiarach, w przypadku takiej kupy metalu. I uznalby, że skoro biały człowiek może tym jechać, to czerwony człowiek może to złapać na łąso.

Zatrzymaliśmy się nad Śliwowym Potokiem przez dwa dni, Paunisi patrolowali okolicę i stwierdzili, że jest wolna od wrogich Indian. North i jego oficerowie właśnie postanowili wracać na budowę linii, kiedy na południowym brzegu ukazała się grupa Czejenów, wracających, jak sądzę, indiańskim zwyczajem na miejsce, gdzie odnieśli zwycięstwo — pamiętaj, że Julesburg napadli dwukrotnie.

Paunisi wydali swój okrzyk wojenny i skierowali się ku mostowi koło dawnej stacji dylizansów, który był za wąski, żeby zmieścić cały ich oddział, i wielu rzuciło się do wody pokonując potok w bród, ale ich konie ugrzęzły w błocie i zwiadowcy wdrapywali się na brzeg pieszo. Ten atak zdeorientował Czejenów, którzy nie spodziewali się oporu tam, gdzie poprzednio poszło im tak łatwo, i kiedy Paunisi otworzyli morderczy ogień ze swoich wielostrzałowych karabinków Spencera kładąc trupem z pół tuzina jeźdźców, Ludzie zawrócili i zrejterowali mimo liczebnej przewagi.

Przejechałem z Northern przez most. Jak już wspomniałem, nie był o mnie najlepszego zdania, ale kiedy zaczęła się akcja, nie miał czasu zastanawiać się nade

mną, i kiedy znaleźliśmy się na drugim brzegu, galopowałem swobodnie na pożyczonym koniu Paunisów. Nie jeździłem po indiańsku od wielu lat, ale jak człowiek raz się tego nauczy, to już nigdy nie zapomni, tak jak nie zapomina się pływać, kiedy kogoś nagle po latach wepchną do wody.

Pędziliśmy z hukiem, kilku białych i czterdziestu Paunisów, przed nami może ze stu pięćdziesięciu Czejenów rozciągniętych w ucieczce na milę, wśród tętentu kopyt, wrzasków Paunisów i częstych trzasków Spencerów, podczas gdy Ludzie wypuścili kilka niecelnych strzał, ale głównie uciekali w bezładzie.

Grunt stopniowo podnosił się ku pasmu wzgórz. Co jakiś czas któryś Czejen spadał z konia i któryś z Paunisów zeskakiwał z konia, żeby go dobić, jeżeli jeszcze dyszał, i zerwać mu skalp. Ja jeszcze nie wystrzeliłem i nie miałem zamiaru tego robić inaczej niż w obronie własnej, ale ten Paunis, Szalony Niedźwiedź, jechał równo ze mną z tą swoją grzywą splecioną przez wiatr i ani na chwilę nie spuszczał mnie z oka, wypaliłem więc wreszcie ze swojego Ballarda, naumyślnie celując pomiędzy dwóch najbliższych Czejenów. Ale wówczas miałem jeszcze niewielkie doświadczenie w strzelaniu z pędzącego konia z tego powodu, że w moich końskich czasach nie posiadałem broni palnej, i całkiem przypadkowo odstrzeliłem powiewający warkoczyk dalszemu z jeźdźców. Był przepleciony niebieską wstążką, bo zobaczyłem go na ziemi, kiedy nad nim przemknąłem, i muszę powiedzieć, że wyglądał tam dziwnie.

Dojechaliśmy tak do podnóża wzgórz i wyżej na zboczu zobaczyliśmy kobiety z dziećmi i dobytkiem ciągnionym przez konie. One też uciekały, a że były dużo wolniejsze od pogoni, więc wojownicy okrążywszy je zawrócili i ruszyli przeciw nam. Paunisi zatrzymali ich szarżę swoimi szybkostrzelnymi karabinami, a wtedy Czejenowie zsiadli z koni, oddali je kobietom i dzieciom, które porzuciły dobytek i odjechały za osłoną swoich mężczyzn cofających się tyłem.

Robili to dobrze jak na Indian nie znających dyscypliny ani strategii i nie była to już bezładna ucieczka, choć stale tracili ludzi. Tego popołudnia zginęło siedemnastu Czejenów a wielu odniosło rany i przez jakąś godzinę wyglądało, że cała ich grupa może zostać wybita do nogi przed nadejściem nocy, bo jak zwykle mieli niewiele strzelb, a Paunisi między szarżami ostrzeliwali ich z odległości większej niż strzał z łuku i kładli ich jednego za drugim.

Potem ich obeszlśmy, bo poruszali się pieszo, a że cały ich uciekający obóz rozsypał się po wzgórzach i dolinach i North niewiele mógł zrobić, żeby temu zapobiec, więc jego ludzie zabili też trochę kobiet i dzieci, bo tego dnia czary

podsypane świeżą krwią wielce sprzyjały Paunisom, a dla Indianina wróg to wróg, niezależnie od płci i wieku. Widziałem czejeńską kobietę strąconą strzałem z konia. Była tłusta i wydała mi się znajoma, podjechałem więc, kiedy Paunis przyłożył jej nóż nad uchem, żeby zdjąć skalp. Przez chwilę pomyślałem, że to moja przybrana matka Wodopój Bizonów, ale okazało się, że nie, i pogalopowałem dalej.

Mimo wszystko poruszyło to mnie, bo ta bitwa była dalszym ciągiem zamieszek, w których porwano Olgę i Gusa. Walka u boku Paunisów nie dawała mi żadnej satysfakcji, bo wychowano mnie w nienawiści do nich. Czułem się w tym wszystkim bardzo źle i zdecydowanie nie podobało mi się strzelanie do Czejenów, którzy bronili swoich rodzin. Przecież gdyby ta właśnie grupa trzymała w niewoli Olgę i Gusa, wkrótce znalazłbym ich ciała z rozłupanymi czaszkami. Byłem głupcem wsiadając do tego pociągu w Julesburgu.

Rozmyślając w takim negatywnym stylu jechałem przed siebie i zanim się zorientowałem, odłączyłem od Paunisów atakujących teraz prawą flankę linii Czejenów, którzy stale cofali się stawiając zaciekły opór. Ja znalazłem się na lewym skrzydle i zjeżdżałem w dolinę za pierwszym pasmem wzgórz. Przede mną szeroko rozproszone kobiety i dzieci Czejenów okładały swoje konie, tu i ówdzie ścigane przez Paunisów.

Było bardzo sucho i kłęby kurzu łączyły się z dymem wystrzałów, a wiatr rozprowadzał tę mieszankę w postaci rzadkiej mgły po całej okolicy i przefiltrowane przez nią promienie słońca zabarwiały wszystko tak intensywnie, jak w przedwieczornej godzinie. Znajdowałem się o jakieś pół mili od skoncentrowanego ognia, który z tej odległości brzmiał bardziej jak pukanina niż jako trzaski i huki.

Aby dokonać tych obserwacji i dać odetchnąć mojemu spienionemu wierzchowcowi podjechałem do skraju głębokiego wąwozu. Złe miejsce do zatrzymania się podczas bitwy, co on jako indiański koń, dobrze wiedział i mimo zmęczenia upierał się, żeby jechać dalej. Nagle wydał głębokie westchnienie i zaczął się zapadać pode mną, jakbym siedział na worku zboża, z którego przez małą dziurkę ziarno sypie się ciurkiem. Zeskoczyłem, zanim opadł na ziemię, gdyż byłem wystarczająco doświadczonej jeźdźcem, żeby wiedzieć, że mój koń dostał strzałę w brzuch. Mimo że jej nie słyszałem i nie czułem momentu uderzenia.

W wąwozie siedział Czejen. Padłem na ziemię nad samym skrajem czekając, aż się pokaże, tuż obok mój koń wydawał ostatnie tchnienie, poza tym żadnego innego dźwięku. Założyłem kapelusz na lufę mojego Ballarda, wysunąłem go za skraj wąwozu

i ping! strzała przebiła rondo, cała, z piórami, i spadając omal mnie nie trafiła, choć straciła już siłę. I wtedy, zanim zdążyłem cofnąć broń, on złapał za lufę z taką siłą, że gdybym nie popuścił, ściągnąłby mnie do wąwozu sobie na głowę. Jestem nieduży. Puściłem i straciłem strzelbę, choć zdążyłem nacisnąć spust, zanim Indianin wyrwał mi ją z dłoni, i kula wbiła się w piasek na drugim brzegu nie wyrządzając mu żadnej szkody, tyle że na skutek szoku jego palce drgnęły jak oparzone. Potem kolba na chwilę stanęła na sztorc i znikła mi z oczu.

Cóż, była to jednostrzałówka i nie mogła mu się na nic przydać, jeżeli nie miał przy sobie zapasu naboju kalibru 56. Wyciągnąłem pistolet i posunąłem się do skraju wąwozu. Gdyby był nadal w miejscu, w którym wyrwał mi strzelbę, położyłbym go trupem od razu, ale on zsunął się już na dno z moim Ballardem zapiaszczonym i, jak się przekonał, pustym, a że skończyły mu się strzały, wyciągnął nóż i stojąc zaintonował pieśń śmierci.

Poznałem go. To był Cień Który Się Pokazuje. Szkoda, że on mnie nie poznał, bo kiedy zacząłem schodzić, ruszył mi naprzeciw bez śladu życzliwości i z ostrym narzędziem w ręku.

16. MOJA INDIAŃSKA ŻONA

— Powstrzymaj się, bracie — krzyknąłem po czejeńsku. — Porozmawiajmy. — I wtedy, mając całą uwagę tak bardzo skupioną na nim, potknąłem się na stromym zboczu i poleciałem prosto na niego strzelając automatycznie z pistoletu, kiedy zacisnąłem pięści.

Podniósł nóż w lewej ręce przytrzymując prawą nadgarstek, żeby wzmocnić uderzenie. Innymi słowy miałem zostać przeбитy tuż pod łukiem żebrowym. Mój przypadkowy strzał poszedł w powietrze.

Spadałem zaledwie z wysokości sześciu stóp, ale czas, jaki zajmuje każdy rodzaj czynności, jest względny i pamiętam, że wisiałem nieruchomo w powietrzu jak przedmiot na fotografii albo na obrazie. Cień miał dwa orle pióra rozstawione pod kątem. Na jego brązowych ramionach błyszczały krople potu. Nosił naszyjnik z poziomych igieł jeżozwierza poprzedzielanych pionowymi liniami niebieskich paciorków, poniżej lewego bicepsa miał miedzianą bransoletę, a między nogami brudną przepaskę z czerwonej flaneli. Czarne ostrza jego zmrużonych oczu wycelowane były w górną część mojego brzucha, nogi ugiął w oczekiwaniu zderzenia. Na jego malowanej twarzy dominował kolor jaskrawoczerwony, na który występowały żółte błyskawice.

Swobodnie szybowałem prosto na ostrze jego noża, a kiedy się z nim zderzyłem, pomyślałem z mdlącym uczuciem, że zostałem wypatroszony. Czas znów uległ przyspieszeniu, koziółkowałem z wielką szybkością i nadal byłem cały, bo bezwiednie zmieniłem w locie jakimś cudem pozycję i wziąłem ostrze między ramię a żebra. Czułem tam ciepło od bliskości niebezpieczeństwa i od niespełnionej groźby. Gdybym został zraniony, nie czułbym nic, bo taka jest właściwość walki na noże. Potoczyliśmy się po piasku i przez krzaki, a Cień mimo pięćdziesiątki był krzepkim Indianinem. Ja upuściłem pistolet, a on nadal miał nóż. Usiłowałem rozmawiać, ale wepchnął mi kciuk w szyję tak głęboko, że omal nie przebił się do ust. Będąc mały i zwinny waliłem go raz po raz kolanem w podbrzusze, ale jego żelazne jaja wytrzymywały te ciosy bez szwanku, a nie udawało mi się zadać paraliżującego ciosu w szyję pod lewym uchem.

Wkrótce leżałem ściśnięty jego udami jak stalowe kleszcze od czterdziestu lat jazdy konnej i teraz ja tęskniłem za nożem, żeby pchnięciem uwolnić się z tego uścisku, w który wpadłem w momencie wydechu, i teraz robiło mi się już ciemno przed oczami.

Cień uniósł wysoko nóż, rzeźniczkę bez gardy, i nigdy nie zapomnę jego najdrobniejszych szczegółów. I wówczas nagle pod brodą Cienia otworzyła się mała dziurka, z której pociekła krew. Przełknął dwukrotnie jak ktoś, kto zakrztusił się kością. Dopiero wtedy usłyszałem strzał. Jego ramię drgnęło jak pchnięte od tyłu: następny strzał. Wypuścił nóż i pochylił się nade mną, krew płynęła mu z szyi, ale oczy miał nadal otwarte. Pchnąłem go w pierś i przewrócił się na plecy zginając się w pasie jakby z gumy, bo nogi miał nadal zaplecione wokół moich żeber i nie przestawał mnie dusić, wobec czego złożyłem dłonie na kształt klina i bum uderzyłem go w pepek! Uchwyt jego ud rozluźnił się jak zabawka, w której pękła sprężyna.

Wtedy zeskoczył z góry ten Paunis, Szalony Niedźwiedź i trzymając wylot lufy swojego Spencera w odległości cala od czoła Cienia trzecim strzałem zrobił mu środkowe oko i zaraz zdarł z niego włosy, które oddzieliły się z głośnym młaśnięciem. Uśmiechnął się do mnie, zerwał z Cienia przepaskę i wytarł skalp o genitalia nieboszczyka mówiąc coś zwycięskim tonem w swoim języku.

Uratował mi życie, to prawda, ale pomyślałem, że wiem, co czuł Młodszy Niedźwiedź, kiedy przed laty zrobiłem to samo dla niego: nie była to wdzięczność. Cień Który Się Pokazuje zabrał mnie na moją pierwszą wyprawę wojenną, zawsze był dla mnie jak starszy brat albo wuj. Bardzo go lubiłem. Odczułem boleśnie nie to, że został zabity, bo wszystkich nas to czeka prędzej czy później. Ani nie to, że była to śmierć gwałtowna, bo jako Człowiek nie chciałby innej. Ani nawet nie to, że to ja byłem pośrednio przyczyną jego zguby. Nie, najsmutniejsze było to, że Cień nie dowiedział się, kim byłem. Walczył ze mną jak z wrogiem. No cóż, po to przecież tam pojechałem, żeby bić się z Czejenami, prawda?

Ale te nogi miał potwornie silne. Nadal ledwo mogłem oddychać. Wstałem i patrzyłem, jak Szalony Niedźwiedź wspina się na stok wąwozu i wkrótce pojawia się konno na jego skraju, dumnie potrząsa strzelbą i Odjeżdża. Nie wspomniał nawet o tym, że straciłem konia, którego przecież od niego pożyczyłem.

Nie miałem czasu zastanowić się, skąd Cień znalazł się w tym wąwozie, ale teraz, kiedy poruszając się wolno, bo byłem cały obolały, kopałem mu płytki grób jego własnym nożem i przysypując go ziemią myślałem sobie, że gdzieś niżej w krzakach

mogą siedzieć inni Czejenowie i gdyby ktoś z nich chciał strzelić mi w plecy, to ma teraz dobrą okazję. Woląłem to, niż spotkać ich twarzą w twarz i zobaczyć moich dawnych przyjaciół i braci.

Ledwo zdążyłem przysypać czubek długiego nosa Cienia, kiedy usłyszałem szelest w krzakach i aż dziwne, jak mój instynkt samozachowawczy zadziałał bez mojej świadomości, bo podniosłem z ziemi rewolwer, dmuchnąłem, żeby oczyścić zamek i załadowałem nowe spłonki. Wszystko to momentalnie i już czołgałem się na brzuchu wzdłuż wąwozu. Krzak drżał nadal, ale cokolwiek było tego przyczyną, nie wychylało się zza niego. Leżałem przez chwilę przyczajony, a potem rozgarnąłem gałęzie i poczołgałem się z pistoletem przed sobą, z twarzą tuż za kurkiem. Zobaczyłem między krzakami miejsce na jedną osobę i ta osoba leżała na wznak. Była to Indianka, która miała podciągniętą spódnicę, rozłożone nogi i między tymi nagimi nogami rodziła dziecko.

Mała brązowa główka już się pokazała, oczy miała zamknięte, minę nieco przekorną przy tym pierwszym spotkaniu z rzeczywistością, i teraz przeciskały się drobne ramionka. Wszystko w zupełnej ciszy poza tym, że jedno kolano w napięciu ocierało się o krzew, co usłyszałem. Indianka obserwowała to, co się działo, i tylko od czasu do czasu zagryzała skórzany kołnierz i może jeszcze w oku zebrała się jej kropla wilgoci, ale poza tym ani drgnęła. Leżała tu widocznie od dłuższego czasu i stąd wziął się tu Cień, i dlatego walczył tak zajadle.

Czejeńskie kobiety przy takich okazjach zawsze odchodzą samotnie w zarośla, a kiedy jest już po wszystkim, wracają z noworodkiem i biorą się za swoją zwykłą pracę. Tutaj różnica polegała na tym, że poród zaczął się w czasie bitwy. Ale mały człowieczek musiał przyjść na świat, kiedy nadszedł jego czas.

Byłem zakłopotany z kilku powodów. Rodzenie jest u Czejenów czymś wyjątkowo wstydlwym, do tego stopnia, że jak sądzę, ta kobieta mniej przejęła się śmiercią Cienia niż tym, że ją podglądał. Ja jednak byłem zafascynowany, bo nie dalej jak o pół mili za moimi piętami nie cichła strzelanina i krzyki obwieszczające wielki dzień dla Paunisów... A z niej wyłaniał się mały, mocno zaciśnięty, dziecinny tyłeczek. Natężyła się jeszcze trochę i gładko, jak ryba, wyslizgnęło się całe na podłużny niebieski koc, a wtedy ona usiadła, przegryzła pępowinę, zawiązała tuż przy brzuszku dziecka i klapssem przywołała je do rzeczywistości, na co zareagowało jak przystało na Czejena: drgnęło lekko, ale prawie nie wydało dźwięku. Pewnie już wiedziało, że krzyk mógłby sprowadzić wrogów na jego plemię, powstrzymało się więc

od zbytecznego hałasu, jak będzie robiło przez całe życie. Było to jednocześnie ostatnie uderzenie, jakie miał otrzymać od swoich, na wstępie życia, które poza tym będzie wypełnione różnego rodzaju makabrą.

Wycofałem się stamtąd i wróciłem do kopca piasku, pod którym leżał Cień. Za chwilę kobieta wyszła z zarośli pewnym, energicznym krokiem jakby nigdy nic, z główką dziecka wyglądającą z koca przy jej piersi. Ujrzawszy mnie sięgnęła po nóż i myślę, że mogła być całkiem niebezpieczna, mimo tego nowonarodzonego dziecka. Wymierzyłem w nią rewolwer, co mogłoby ci się wydać brutalne, gdybyś do tego czasu nie rozumiał, że Czejenowie, czy to mężczyźni czy kobiety, są strasznie oporni, kiedy chodzi o wysłuchanie białego.

— Słuchaj — powiedziałem — zastrzelę cię i dziecko, jeżeli nie posłuchasz. Cień Który Się Pokazuje został zabity przez Paunisa. To był ten strzał, który słyszałaś, a potem słyszałaś jak odjeżdża. Jeżeli masz coś wspólnego z Cieniem, to może słyszałaś o Małym Wielkim Człowieku, bo tak mnie nazywano, kiedy żyłem wśród ludzi Skóry Ze Starego Szalasu. Byłem przyjacielem Czejenów, dopóki nie ukradli mi żony i syna. Dlatego tu jestem. Zabiorę cię i wymienię na nich. Zmierzyła mnie swoimi ciemnymi oczami i powiedziała:

— Dobrze!

— Robię to niechętnie — wyjaśniłem — z powodu dziecka i w ogóle, ale nie mam wyboru.

— Dobrze — odpowiedziała i siadła. Odwiązała suknię pod pachą i dała dziecku piersi.

— Słuchaj — mówię jej — musimy wyjść na otwarty teren. Tutaj może nas zaskoczyć jakiś Paunis i zabić cię, zanim zdążę się odezwać.

— Najpierw musi zjeść — odpowiedziała cicho siedząc bez ruchu.

Tak więc podczas dalszej rozmowy trzymałem wartę na skraju wąwozu. Nie znałem tej kobiety, dziewczyny raczej, za młodej, żebym na nią zwrócił uwagę w czasie, kiedy wśród nich mieszkalem, jeżeli pochodziła z tej grupy. Uważałem ją za żonę Cienia, co wyjaśniało, dlaczego stał na straży, ale okazało się, że była jedną z jego córek, które, jak wcześniej wspomniałem, uczył panować nad śmiechem przy opowiadaniu śmiesznych historii.

— Twój mąż został zabity?

— Przez białych — odpowiedziała beznamiętnie. Była piękną Indianką, jak teraz zauważyłem, z pulchną twarzą jak jagoda, dużymi, lekko po chińsku skośnymi oczami i ładnym choć niskim czołem pod jasnoczerwonym przedziałkiem we włosach. Jej lśniące warkoczyki były przeplecione skórka wydry, miała też kolorowe paciorki i mosiężne koła w uszach.

Zacząłem już pytać „gdzie” zamiast „kto”, bo pewnie nie zdradziłaby mi jego imienia, kiedy usłyszałem tętent przynajmniej trzech jeźdźców na równinie nad nami — nie podkute konie oznaczały Indian, ale czy Paunisów, czy Czejenów nie mogłem wiedzieć, zresztą obie ewentualności w równym stopniu nie budziły we mnie entuzjazmu. Nie znając języka Paunisów mogłem nie mieć czasu na użycie języka gestów, zanim zastrzelą tę kobietę. Jeżeli to byli Czejenowie, cóż, sprawa oczywista.

Wspominam o tym, bo mógłbyś podać w wątpliwość to, co zrobiłem: chwyciłem tę dziewczynę i z niemowłeciem nadal przy piersi wepchnąłem ją w krzaki, gdzie kucnąłem obok niej i trzymałem ją nieruchomo, chociaż nie próbowała się wyrwać.

Paunisi podjechali, bo to byli Paunisi, o ile mogłem sądzić z mowy i widocznie zajrzeli do wąwozu z góry, ale nie zeszli na dół. Zaraz też odjechali po tym, jak — sądząc po odgłosach — jeden z nich oddał mocz na dół prosto z siodła.

Ja i dziewczyna jednak zostaliśmy jeszcze na miejscu przez jakiś czas i uświadomiłem sobie, że siedząc w kucki opiera się swoim silnym ciałem o mnie, a obejmując ją mimowolnie wsunąłem rękę w wycięcie jej kaftana do karmienia, i teraz jej wolna lewa pierś, ciężka od mleka, dotyka mojej dłoni. Zamknąłem ją łagodnie, sam nie wiem dlaczego, bo oczywiście nie miałem nastroju do amatorów w tych warunkach. Ale ona i ja, i ten mały człowieczek, który teraz spał z usteczkami nadal cmokającymi wokół wystającej sutki, stanowiliśmy coś na kształt rodziny. Obroniłem ich jak przystało ojcu, jak nie udało mi się w przypadku Olgi i małego Gusa.

Odwróciła głowę i przyłożyła ciepły policzek do mojego czoła. Pachniała słodko kwaśnym zapachem mleka i wszystkimi czejeńskimi rzeczami, które pamiętałem z dawnych czasów: ogniskiem, ziemią, tłuszczem, krwią, potem i pełną dzikością.

— Teraz ci wierzę — odezwała się. — Jesteś Małym Wielkim Człowiekiem, ja będę teraz twoją żoną na miejscu tej, którą straciłeś, a to jest twój syn. — Dała mi go na rękę, a on obudził się na chwilę i, jak słowo daję, choć taki mały, uśmiechnął się do mnie tymi swoimi oczkami jak czarne paciorki. Poczulem się naprawdę nieswojo.

Powiedziała:

— Myślę, że musimy iść. Wszyscy zbiorą się przy Wiosennym Potoku.

— Kto?

— Nasi — odparła, jakby to było samo przez się zrozumiałe. — Paunisi mają dzisiaj mocne czary, ale następnym razem my ich pobijemy i obetniemy im kutasy, i ich kobiety będą spać same i płakać po nocach.

Wciąż jeszcze trzymałem dziecko.

— Masz pięknego syna — powiedziała przyglądając się nam obu z zachwytem, zanim wzięła go ode mnie. — Czy masz dla mnie jakieś rzeczy do niesienia?

Byłem nieco oszołomiony i nic nie odpowiedziałem, wsunęła więc niemowlę za pazuchę, zaciągnęła pas, żeby mu zabezpieczyć nóżki i wczółgała się po zboczu do miejsca, gdzie leżał mój zabity koń. Zdjęła z niego derkę, miękkie siodło i przytroczoną za nim kurtkę, i ześlizgnęła się z powrotem na dół. Wyglądała na rozczarowaną, że to wszystko, co ma do niesienia.

— Dziś w nocy wilki zjedzą ojca — powiedziała. — Powinniśmy położyć go na pogrzebowym rusztowaniu, ale tu nie ma drewna, a do miejsca, gdzie są drzewa, jest za daleko.

Po tych słowach przeszła za mnie, żebym mógł iść pierwszy, jak przystoi mężczyźnie. Chyba dopiero wtedy dotarło do mnie, o co jej chodzi.

— Nie możemy wracać do plemienia — powiadam.

— Czy myślisz, że biali pozwolą ci mieć ludzką żonę? — pyta ona.

Miała trochę racji, choć przesadzała. Nie byłoby to zbrodnią, ale Frank North zapewne byłby mocno zdziwiony, gdybym wrócił z tej bitwy z rodziną, którą nagle przejąłem od wroga. Mogłem oczywiście przedstawić tę kobietę i dziecko jako zdobycz wojenną, tylko wówczas byłaby narażona na wszelkie bezeceństwa Paunisów, a potem przekazana wojsku w jednym z fortów dla wymiany za kogoś z białych wziętych do niewoli przez Czejenów. Coś takiego właśnie miałem na myśli chcąc za pośrednictwem wymiany odzyskać Olgę i Gusa. Teraz jednak, w dość dziwacznej sytuacji, zacząłem myśleć realistycznie. Nigdy nie usłyszałem ani słowa, że moja rodzina żyje, a sprawdziłem we wszystkich fortach wzdłuż rzeki Arkansas. I w tych nad Platte, kiedy pracowałem przy budowie kolei.

Prawda była taka, że nie chcąc się przyznać przed sobą samym, uznałem, że nie żyją.

Powiedziałem:

— W takim nastroju, w jakim są teraz, Czejenowie zastrzelą mnie na miejscu.

A moja kobieta odpowiedziała:

— Będę przy tobie.

I w ten sposób wróciłem do Ludzi. Nie miałem czego żałować, bo zostawiałem za sobą tylko konia u kowala w Julesburgu i udział w naszym małym przedsiębiorstwie przewozowym. Co do mojej siostry Caroline, to muszę powiedzieć, że tuż przed moim wyjazdem do Julesburga zwierzyła mi się, że Frank Delight, alfons i właściciel lokalu, poprosił ją o rękę i była skłonna odnieść się do jego propozycji pozytywnie.

Nie będę wdawać się w szczegóły naszej wędrówki wąwozem do następnego, biegnącego pod kątem prostym i kończącego się za wzgórzem osłaniającym nas przed Paunisami, których już więcej nie spotkaliśmy. Szliśmy mila za milą, przez pagórki i zagłębienia, a kiedy zapadła noc, ta kobieta zrobiła posłanie z gałęzi, nakryła je kocami i spaliśmy przytuleni dla ochrony przed chłodem, jaki zwykle panuje nocą na prerii, gdzie wiatry nigdy nie ustają.

Następnego dnia dotarliśmy do Wiosennego Potoku i wkrótce znaleźliśmy zgromadzone tam plemię, do którego wciąż ściągają niedobitki takie jak my. Zgodnie z przewidywaniami, przeżyłem kilka gorących chwil z Młodymi Wilkami, ale moja kobieta odpędziła ich, tak jak to zapowiedziała, bo miała ostry język i jasny cel.

Skóra Ze Starego Szałasu sprawił sobie nowe tipi od czasu, kiedy go ostatnio widziałem, ale poznałem jego tarczę zawieszoną nad wejściem,

— Zaczekaj tu, kobieto — powiedziałem, ona posłuchała, a ja wszedłem do środka.

— Dziadku — odezwałem się.

— Synu — powitał mnie, jakbyśmy się rozstali przed dwiema minutami. — Czy chcesz jeść? — Był najbardziej zrównoważonym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem.

Wydał mi się nie zmieniony, kiedy go po chwili dostrzegłem, tyle, że miał zamknięte oczy. Uznałem, że śni, i rzeczywiście odmalował przede mną słowny obraz tego, co zdarzyło się w wąwozie.

— Widziałem, jak wracasz do nas — mówił. — Nie mogłeś nic zrobić dla Cienia Który Się Pokazuje. Wiedział, że dziś umrze i powiedział mi to. Nasze czary były za

słabe przeciwko wielostrzałowym karabinom. Może nie należało jechać po raz drugi do żelaznej drogi, ale młodzi bardzo chcieli zniszczyć jeszcze jeden wóz ognisty. To bardzo zajmujący widok, jak mi powiedziano, kiedy ta wielka rzecz zbliża się dysząc i ziejąc snopami iskier, jakby miała pożreć cały świat, a potem dojeżdża do miejsca, gdzie nasi wygięli drogę w górę, i przewraca się na grzbiet buchając parą i rżąc, a potem zdycha z wielkim sykiem.

Zająłem miejsce obok niego i, oczywiście, zapaliliśmy. Zauważywszy, że przez cały czas nie otworzył oczu, uznałem, że widocznie nie może, i zdobyłem się na zuchwałość, żeby go o to spytać.

— Rzeczywiście jestem ślepy — przyznał — choć kula z karabinu nie trafiła mnie w oczy, tylko przebiła mi szyję i przecięła drogę, przez którą obraz dochodzi do serca. Spójrz — powiedział otwierając powieki — moje oczy widzą, ale zachowują to dla siebie i nie mam z tego żadnego pożytku, bo nic nie dochodzi do mojego serca.

Oczy rzeczywiście miał niezmaćcone. Myślę, że była to sprawa przeciętego albo jakoś inaczej uszkodzonego nerwu.

— Gdzie to się stało, dziadku? — spytałem oddając mu długą fajkę.

Zawstydził się jakby i trzymał w sobie dym bardzo długo, zanim wreszcie wypuścił go nosem i ustami.

— Piaszczysty Potok — powiedział wreszcie.

Jęknąłem.

— Pamiętam — twoją radę — ciągnął dalej — ale w końcu nie pojechaliliśmy nad rzekę Proch. Pojechaliliśmy na zawarcie traktatu. Powiem ci, jak to było. Garb nigdy nie brał udziału w konferencji i bardzo chciał mieć srebrny medal taki jak ja. A nasza młodzież mówiła: „Dlaczego mamy nie dostać prezentów od białych za to, że z nimi rozmawiamy? Zawsze jesteśmy na północy i wszystko dostają ci Czejenowie z południa.” Muszę przyznać — mówił Skóra Ze Starego Szłasasu — że ja też nie miałem nic przeciwko nowemu czerwonemu kocowi. Dlatego zawróciliśmy i dotknęliśmy pióra z białymi przysłanymi przez ich Ojca, i Garb dostał medal, a młodzi nowe toporki z fajkami, noże i szkła do patrzenia. Chcieliśmy wtedy odjechać nad rzekę Proch, ale wódz żołnierzy powiedział: „Musicie zostać w tym miejscu. Na to się zgodziliście, kiedy dotknęliście pióra.” Powiadam ci, że nie rozumiałem tego, ale że słabo znam się na traktatach, uwierzyłem, że wódz żołnierzy ma rację i zostaliśmy, chociaż okolica była bardzo brzydka, bez wody i bez zwierzyny. A potem żołnierze

napadli wioskę, w której obozowaliśmy z Czarnym Kociołkiem, wybili wielu naszych, a ja dostałem w szyję i oślepiłem.

Wtedy bojąc się najgorszego spytałem o kobietę Wodopój Bizonów.

— Zabili ją nad Piaszczystym Potokiem — powiada Skóra Ze Starego Szłasasu. — I kobietę Białą Krowę też. I Opala Się Na Czerwono i jego żonę Spadającą Gwiazdę. I Garba, i Wysokiego Wilka, i Rozciętego Nosa, i Ptaka Niedźwiedzia.

— A mój brat Opala Się Na Czerwono?

— Tak, i jego żona i dzieci. I wielu innych, których wymienię tylko, jeżeli chcesz ich oplakiwać, ale było to kilka zim temu i teraz oni przeszli już na Tamtą Stronę, gdzie jest obfitość bizonów i dobrej wody, i gdzie nie ma bladych twarzy.

Ten ostatni epitet wymawiał teraz w specjalny sposób: bez zbytnej nienawiści, bo Skóra Ze Starego Szłasasu za bardzo był mężczyzną, żeby siedzieć i lżyć swoich wrogów. To było zajęcie dla pokonanych, jak rebelianci, którzy przegrali Wojnę Domową. A on nie uważał się za pokonanego. Wprawdzie nie zwyciężył, ale nie miał się też czego wstydzić. Żeby nazwać Czejenów gamoniami, musieliby zbudować własną lokomotywę, która byłaby gorsza od lokomotywy Union Pacific, albo karabin, który strzelałby krzywo.

Żeby sprawdzić swoje wrażenie, pytam:

— Czy nienawidzisz Amerykanów?

— Nie — mówi, zamykając swoje płonące choć martwe oczy. — Ale teraz ich rozumiem. Nie uważam ich już za głupców ani za szaleńców. Teraz już wiem, że nie przepędzają bizonów przez pomyłkę, że nie podpalają prerii swoim wozem ognistym przez przypadek i że nie mordują Ludzi przez nieporozumienie. Nie, oni chcą to robić i robią to dobrze. Są potężnym narodem. — W tym miejscu wyjął coś zza wyszywanego paciorkami pasa i gładząc to ciągnął dalej. — My, Ludzie, wierzymy, że wszystko żyje, nie tylko ludzie i zwierzęta, lecz także woda, ziemia, kamienie, także umarli i ich części, jak te włosy. Człowiek, do którego należały te włosy, chodzi łysy po Tamtej Stronie, bo ja mam teraz jego skalp. Taka jest prawda. Ale biali ludzie wierzą, że wszystko jest martwe: kamienie, ziemia, zwierzęta i ludzie, nawet oni sami. I jeżeli mimo to rzeczy usiłują żyć, biali ludzie je zabijają. Taka — zakończył — jest różnica między bladymi twarzami a Ludźmi:

Przyjrzałem się bliżej skalpowi, który gładził, a który był jedwabisto blond. Przez chwilę myślałem, że pochodzi on z najdroższej głowy Olgi i uznałem, że gdzieś

wśród swoich obrzydliwych skarbów wódz ma też delikatną skórę z czaszki małego Gusa, śmierdzący stary dzikus, pędzący życie wśród mordów, gwałtów i brudu, i omal nie poderżnąłem mu gardła, póki się nie opanowałem i nie stwierdziłem, że włosy mają bardziej miodowy odcień niż włosy mojej szwedzkiej żony.

Wspominam o tym, bo dowodzi to, jak gniew człowieka może zmienić kierunek w momencie, kiedy przypomni mu się jego własna strata. Przed chwilą wzruszałem się jego opowieścią o Piaszczystym Potoku, teraz chciałem go zabić.

Skóra Ze Starego Szałasu, chociaż ślepy, uświadomił sobie mój stan.

— Masz wielki smutek, czy tylko złość? — spytał.

Powiedziałem mu więc i okazało się, że nigdy nie słyszał o napadzie, w którym porwano Olgę i Gusa. Na pewno nie kłamał. To zadziwiające, co i jak Indianie wiedzą o bardzo odległych wydarzeniach, ale są również rzeczy, których nie słyszą. W tamtej epoce porwania białych kobiet i dzieci były na porządku dziennym. Czejen z jednej grupy mógł nie wiedzieć o jeńcach wziętych przez inną grupę, jeżeli nie obozowali razem.

Wtedy Skóra Ze Starego Szałasu powiedział:

— Nasi młodzi ludzie są teraz rozgniewani. Często nie mają cierpliwości, żeby czekać na okup albo wymianę jeńców, wpadają w szał ze złości i mordują ich. Ale czy to nie głos Promyka Słońca słyszysz przed tipi? Jest wdową po Małej Tarczy, który zginął dwa księżyce temu, ale teraz będzie twoją nową żoną i da ci nowego syna, będziesz więc miał to, co miałeś i jeszcze lepsze, bo, oczywiście, kobieta z plemienia Ludzi jest lepsza od wszystkich innych.

Nie znaczyło to, że jest bez serca, po prostu robił to, co mógł, jako Indianin prowadzący takie życie jak on. Jego własne dwie żony zostały zamordowane, oplakiwał je przez stosowny czas, a potem załatwił sobie zastępstwo. Te zastępczynie wchodziły i wychodziły z tipi podczas naszej rozmowy: młode kobiety, znów. siostry, pewnie o pięćdziesiąt lat młodsze od wodza, ale niech mnie licho, jeżeli obie nie były w ciąży.

— Zgoda — powiedziałem. — Ale jedno jest pewne, jeżeli odnajdę moją pierwszą kobietę i syna, odbiorę ich temu, kto ich trzyma. A jeżeli zostali zamordowani, zabiję tego, kto to zrobił.

— Oczywiście — powiedział Skóra Ze Starego Szałasu, bo Indianin niczego tak nie rozumie jak zemsty, i wódz by mną pogardzał, gdybym się jej wyrzekł.

Nie można było znaleźć gorszego czasu na przyłączenie się do Czejenów. Ścigano ich po całym pograniczu, a ilekroć udało się im uwolnić od pogoni, popełniali jakąś nową zbrodnię przeciwko białym. Tak więc z jednej strony przyłączając się do nich stawałem się renegatem, narażając się całej swojej rasie. Z drugiej strony byłem stale zagrożony przez Czejenów, bo dla wielu z nich sam widok białej twarzy stanowił wezwanie do rzezi. Myślę, że ratowało mnie jedynie to, że grupa Skóry Ze Starego Szłasasu zebrała się z dala od głównych sił wodza Indyczej Nogi, dowodzącego bitwą na kolei, znajdowałem się więc przez większość czasu w grupie, w której wyrosłem i w której legenda Małego Wielkiego Człowieka zachowała część swojej magii. Moja kobieta, Promyk Słońca, stanowiła dobrą obronę i, oczywiście, Skóra Ze Starego Szłasasu również. Ale byli też wojownicy, którzy wyrosli od czasu, kiedy opuściłem plemię. Jeden z nich, Rozcięty Brzuch, pewnego dnia napadł na stację dylizansu i wróciwszy z baryłką whisky powiedział mi:

— Idź na prerię i schowaj się, bo teraz nie chcę cię zabić, ale będę chciał, kiedy się upiję. Przykro mi z tego powodu, bo mówią, że jesteś dobrym człowiekiem, ale wiem, co się stanie.

Najlepszy sposób, żeby pożegnać się z życiem, to przyjmować rozkazy od takiego młokosa, powiedziałem mu więc:

— Myślę, że to ty powinienes pójść pić na prerię, bo jestem taki, że jak zobaczę pijanego, to coś mnie nachodzi i muszę go zastrzelić, nawet gdyby to był mój brat.

Skorzystał z mojej rady w tym przypadku, przeżyłem też inne podobne groźby, ale nie mogę powiedzieć, że cieszyłem się szczególną sympatią, co było bolesne w zestawieniu z moimi młodymi latami nad rzeką Proch jako Małego Wielkiego Człowieka. Ale teraz byłem już dorosły, a to zawsze wiąże się z rozczarowaniami. Tylko dzięki wielkiemu szczęściu udało mi się zachować włosy. Żyłem z dnia na dzień i taki styl życia nie jest pozbawiony uroku, nawet kiedy się ma dalekosiężny cel tak jak ja, bo zamiast za nim gonić, pozwalałem mu przyjść do siebie, a mając pewność, że przyjdzie, mogłem żyć pozornie bez celu, jak Indianin, jeść pieczony garb bizona, kiedy upolowaliśmy bizona, zaciskać pasa na chudym brzuchu, kiedy nic nie upolowaliśmy, leżeć pod drzewem bawełnianym i patrzeć, jak moja kobieta, Promyk Słońca, pracuje ciężko z tym małym człowieczkiem śpiącym w nosidle na jej plecach. Nazywał się Żaba Siedząca Na Stoku, bo kiedy uciekając po bitwie na kolei mijaliśmy taką żabę, małeństwo obudziło się i jakby kiwnęło główką w jej stronę, więc oboje z Promykiem Słońca uznaliśmy, że chłopak sam sobie wybrał imię.

Kiedy dotarliśmy do obozu, Promyk Słońca musiała opłakać swojego ojca i chociaż robiła to całkiem nieźle, szlochając i zawodząc okropnie głośno, musiała robić przerwy na karmienie Żaby i nie mogła sobie pozwolić na wrywanie włosów i kaleczenie się, podczas gdy miała małego na plecach. Dlatego pomagały jej krewniaczki, przez całą jedną noc i przez następną również, bo Cień był sławnym wojownikiem i na domiar złego nie miał rusztowania, które chroniłoby jego ciało przed wilkami. Tak więc te kobiety wyły i jęczały niemal do uduszenia, jak niemowlęta, które zaniosą się płaczem; mówię o białych dzieciach, bo mali Indianie tego nie robią.

Weźmy takiego Żabę, przywiązanego w nosidle, z główką jak brązowa fasola. Kiedy nie spał albo nie jadł, to jego bystre czarne ślepka obserwowały wszystko w pobliżu i wszystko mu się podobało. Często przypominał mi małego Gusa, bo mój chłopak miał spokojny charakter swojej mamy, ale była też i wyraźna różnica. Gusa zawsze fascynował mój kieszonkowy zegarek, który mu pokazywałem, żeby posłuchał tykania, jak to wszyscy robią z małymi dziećmi ku ich zachwytowi. Inaczej Żaba. Nie zasmucało go to, bo nic go nie zasmucało, ale nic go to nie obchodziło. Można powiedzieć, że patrzył i słuchał przez zegarek.

Albo może nie interesowała go osoba trzymająca zegarek. Promyk Słońca i Skóra Ze Starego Szalasu mogli nazywać go moim synem, ale sam Żaba nie dał się nabrać. Nie żywił do mnie nienawiści, byłem dla niego po prostu urządzeniem, które czasem bierze go i obejmuje albo podrzuca go i łapie, podobał mu się sam ruch i dotyk, ale nie było w tym nic osobistego.

Może zresztą wina była po mojej stronie, bo chociaż go lubiłem, to nie przyczyniłem się do jego powstania i nie widziałem dla nas przyszłości jako dla ojca i syna, niezależnie od tego, czy miałem kiedyś odnaleźć Gusa i Olgę, czy nie. Czejenowie byli skończeni. Wiedzieli o tym i ja wiedziałem, i mały Żaba urodził się z tą wiedzą. Najlepsze, co mogłem zrobić jako ojciec, to zabrać go do Omaha albo do Denver i tam oddać do szkoły. Zrobić go białym, nauczyć go mieszkać w stałym, kwadratowym domu, wstawać codziennie rano i chodzić do pracy na określoną godzinę. Ale widziałeś, co on sądził o instrumencie do mierzenia czasu.

Nie mógłbym natomiast wymarzyć sobie bardziej gorliwej żony niż Promyk Słońca. Ta kobieta była mi bezgranicznie oddana, do tego stopnia — mówię to niechętnie, ale to prawda — Że zaczynała mnie nudzić. Zapewne sytuacja, w jakiej się poznaliśmy, miała swój wpływ na nasze odmienne postawy. Dla niej szczególnie

wzruszające było to, że zjawiłem się w godzinie najcięższej próby, choć nieco z tym przesadzała — była tak silna, że mogła urodzić to dziecko i uciec bez niczyjej pomocy, podczas gdy dla mnie stała się od początku ciężarem, który wziąłem na siebie z własnej woli tam w wąwozie w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, ale który teraz, w obozie, odczuwałem coraz dotkliwiej.

Muszę to wyjaśnić, bo, jak wiesz, mężczyzna u Czejenów nigdy nie trudni się tym, co biały świat rozumie pod nazwą pracy. Kiedy nie polowałem, spędzałem większość czasu leżąc na plecach pod drzewem albo w cieniu tipi. Grywałem czasem w gry hazardowe z innymi wojownikami lub ścigałem się na koniu, którego dostałem od Skóry Ze Starego Szałasu, ale nie kwapiłem się wygrywać, żeby uniknąć kłopotów z przegrywającymi. Nie brałem udziału w żadnych wojnach ani wypadkach, bo wówczas wszystkie były skierowane przeciwko białym. Można by pomyśleć, że zajmowałem pozycję nie do utrzymania, ale tylko wtedy, jeżeli nie zna się Indian, wśród których można żyć na każdych prawie warunkach z wyjątkiem otwartej wrogości, a myślę, że można by przetrwać i w takiej sytuacji, dopóki miało by się choć jednego lojalnego obrońcę. Ja miałem dwoje: wodza i swoją żonę. Czasem jakiś nerwowy młody człowiek przychodził ze świeżym skalpem białego w intencji obrażenia mnie, ale albo spławiałem go podobnie jak Rozciętego Brzucha albo patrzyłem przez niego jakby był szklany, w zależności od sytuacji i od tego, jak oceniałem charakter intruza. A jeżeli Promyk Słońca była w pobliżu, rzucała się na niego z taką gwałtownością, że zazwyczaj w cichości ducha przechodziłem na jego stronę, bo miała język ostry jak rzadko i nie pamiętam, czy wspominałem, że podczas gdy czejeńskie panny są nieśmiałe i łagodne, to mężatki są ich przeciwieństwem i specjalizują się w tematach, które w świecie cywilizowanym omawia się w szynkach, a nie w miejscach uczęszczanych przez damy. Może zresztą miały prawo tak się wyrażać, ponieważ w praktyce były tak szacowne. Rzadko widziało się wśród Ludzi kobietę z obciętych nosem — czy wspominałem, że Indianie z Równin przycinali koniec nosa żonom, które zadawały się z innymi?

Tak, myślę, że kawaler znajduje się w szczególnie niekorzystnej sytuacji wobec cieszącej się szacunkiem żonatej kobiety wszędzie na świecie. Promyk Słońca rzucała cień na potencję młodego człowieka, snuła niezycliwe domysły na temat jego wyposażenia i tak dalej, przy akompaniamencie śmiechu innych kobiet w pobliżu, może włącznie z jakąś dziewczyną, do której się zalecał, i biedaczysko wycofywał się rakiem; przybywszy jako bohater odchodził jako błazen.

Gdyby nie dość było złego w tym, że jest się bronionym w tym stylu przez kobietę, to następnie Promyk Słońca zaczynała przechwałki na mój temat. Najpierw opowiadała, jak ją uratowałem przed Paunisami i historia ta rozrastała się od tego, co się naprawdę zdarzyło i jak ukrywaliśmy się w krzakach, aż do tego, jak stanąłem przeciwko pięciu albo sześciu, trzech z nich zabijając. Nie kłamała, przypuszczam, że coś takiego widziała przez zniekształcające okulary swojej pamięci. Potem, jeżeli potrafiła wypowiadać się na temat sprawności seksualnej obcego mężczyzny, o której nic nie wiedziała, to pomyśl, co mogła wygadawać o człowieku, którego lansowała na lokalny autorytet — wychodziłem na jakiegoś ogiera rekordzistę.

Mówię ci, że zawstydzalo mnie słuchanie takich rzeczy o sobie, ale wiesz, jak to jest, człowiek pada czasem ofiarą własnej próżności, i omal nie wyzionąłem ducha usiłując sprostać swojej reputacji podczas tych nocy pod naszą bizona skórą. Jezu, były takie ranki, że nie mogłem ustać na nogach i czułem się, jakby mnie koń kopnął w dolną część pleców. Zdaje się, że nie powinienem o tym mówić, bo Promyk Słońca była moją żoną, i chociaż mężczyzna może opowiadać bez końca o swoich cudzołóstwach i nierzędach, to rzecz staje się w złym guście, kiedy dotyczy legalnego związku, nie wiem, dlaczego.

Udało mi się w końcu urwać z haczyka tylko dzięki temu, że Promyk Słońca któregoś dnia zaszła w ciążę. Musiało to być w końcu marca tysiąc osiemsetnego sześćdziesiątego ósmego, sądząc na podstawie tego, co wydarzyło się w dziewięć miesięcy później, poza tym nie miałem żadnego poczucia czasu, bo spędziłem już wśród Czejenów trzy sezony i wróciłem do systemu datowania rzeczy według przelotu na północ dzikich gęsi na przykład, co sygnalizowało nadejście wiosny, podobnie jak pojawienie się sierści na nienarodzonych cielętach, wyjmowanych z zabitych przez nas krów bizonów.

Przez cały ten czas wędrowaliśmy, głównie między rzekami Arkansas a Platte, czyli na południu dzisiejszej Nebraski i na północy Kansas, gdzie budowano nową linię kolejową, Kansas Pacific, wzdłuż rzeki Dymne Wzgórze przez dobre tereny łowieckie, w związku z czym bizonów było coraz mniej i jedliśmy więcej korzonków niż mięsa. Poza tym szukali nas żołnierze, a także Paunisi, ale pod najwyższym dowództwem Skóry Ze Starego Szalasu, mimo że był ślepy, udawało nam się jako wiosce unikać spotkania z nimi, choć nasze małe grupy podjazdowe stoczyły wiele drobnych potyczek.

Nasza grupa nadal żyła osobno od reszty Czejenów, chociaż czasami natykaliśmy się na nich i wtedy zawsze pytałem o Olgę i Gusa. Co było dość drażliwą sprawą, gdyż jako biały może nie zawsze słyszałem prawdę. W każdym razie nie dało mi to nic poza kilkoma niebezpiecznymi sytuacjami, bo niektóre z tych grup trzymały innych białych jeńców i nie życzyły sobie, żebym myszkował po ich obozie.

Skóra Ze Starego Szłasasu też nie był w tej sprawie zbyt pomocny. Ślepotą położyła kres jego jurności — nie widział już tłustych piękności — ale wzmocniła jego zamiar trzymania się własnej drogi. Otóż jesienią sześćdziesiątego siódmego roku rząd podpisał następny traktat z Południowymi Czejenami, Arapahami, Kiowa i Komańczami, w których Indianie zgodzili się pozostawać w zachodniej Oklahomie, znanej wówczas jako Narody. Goniec odnalazł nasz obóz i wręczył zaproszenie Skórze Ze Starego Szłasasu, ale wódz po Piaszczystym Potoku miał dość traktatów i nie wziął udziału w konferencji. Nie miał też zamiaru przestrzegać jej postanowień.

— Nie będę mieszkać w tamtym złym miejscu — powiedział mi mając na myśli zachodnie Narody. — Trawa jest tam marna i woda gorzka. Poza tym jest to kraj Wężów, którzy są teraz naszymi przyjaciółmi, ale kopulują z końmi i to mnie do nich zniechęca. To samo dotyczy Chrapliwych Skrzypiec — Apaczów. Są co prawda odważni, ale wyjątkowo brzydki, niscy, z krzywymi nogami, zupełnie niepodobni do pięknych Ludzi. Dawno temu, kiedy z nimi walczyliśmy, złapałem ich kobietę, ale to było tak, jakby się człowiek położył z kaktusem, więc odesłałem ją do jej wioski z prezentami, co stanowi wielką obrazę... Słyszałem, że Czarny Kociołek był na tej konferencji. Znam aż za dobrze te traktaty, pod którymi on dotyka pióra. Byłem z nim nad Piaszczystym Potokiem i straciłem rodzinę, przyjaciół i wzrok. Choć ślepy, widzę lepiej niż on.

Otóż w moim interesie byłoby siedzieć tam na południu i namawiać go, żeby przyłączył się do głównych sił Południowych Czejenów, bo jeżeli moja rodzina jeszcze żyła, to była prawdopodobnie tam. Ale nie mogłem, po prostu nie mogłem. Miałem słabość do tego starego Indianina, i zamiast tego powiedziałem:

— Nie rozumiem, dlaczego nie przeniesiesz się na północ nad rzekę Proch. Gdybyś to zrobił, tak jak ci radziłem, nie znalazłbyś się nad Piaszczystym Potokiem.

— Powiem ci dlaczego — odezwał się Skóra Ze Starego Szłasasu. — Wolalbym być nad rzeką Proch. Tam się urodziłem, nad potokiem Pączek Róży i moje czary tracą połowę siły, kiedy przechodzę na południe od Rzeki Muszłowej — tak Czejenowie nazywali rzekę Platte. — Ale Amerykanie, poza nielicznymi traperami,

zupełnie nie interesują się tą krainą. Ludzie, którzy by tam mieszkali, nie byłiby niepokojeni przez białych.

— O to mi właśnie chodziło — powiedziałem, zastanawiając się, czy stary diabeł stracił nie tylko wzrok, ale i rozsądek.

— Tak — powiedział — więc ja, wódz najznakomitszych wojowników na powierzchni ziemi, miałbym unikać niebezpieczeństwa jak królik? Miałbym pozwolić im wypędzić się z kraju, gdzie przez osiemdziesiąt wiosen zabijałem bizony i Paunisów? My, Ludzie, zawsze chodziliśmy tam, gdzie chcieliśmy, i jeżeli inni próbowali nas zatrzymać, zabijaliśmy ich albo oni nas zabijali. Gdybym był takim tchórzem, moi ludzie nigdy by mnie nie szanowali. Jest w tej grupie wielu znakomitych młodych ludzi, którzy nie mają już wątpliwości, jakie nasi wojownicy mieli w dawnych czasach. Są zdecydowani walczyć z białymi wszędzie, gdzie ich znajdą, zrywać te żelazne tory i przepędzać ogniste wozy. Kiedy z tym skończą, pozabijają pozostałych Amerykanów, żebyśmy znów mogli spokojnie polować i wojować z Paunisami.

— Dziadku — powiedziałem — czy naprawdę wierzysz, że to możliwe?

— Synu — powiedział Skóra Ze Starego Szałas — jeżeli to nie jest możliwe, to nadszedł dobry dzień, żeby umrzeć.

Stoczono bitwę na wyspie Beecher, w której pięciuset do sześciuset Czejenów osaczyło pięćdziesięciu białych zwiadowców na piaszczystej łasze pośrodku Arickaree i oblegało ich przez dziewięć dni. Ale biali byli uzbrojeni w powtarzalne karabiny Spencera i odpierali wszystkie ataki, zabijając wielu Indian, a wśród nich wielkiego czejeńskiego wojownika Rzymskiego Nosa. A potem nadjechała kawaleria.

Mnie przy tym nie było, ale nasi młodzi ludzie byli i wrócili do obozu zmęczeni i pokonani. Nie opuszczałem przez jakiś czas szałas, żeby uniknąć incydentów, ale przy ich samopoczuciu okazało się to zbyteczne. Czejenowie nadal nie mieli broni palnej zasługującej na tę nazwę i musiała ich bardzo boleć ta porażka mimo przewagi liczebnej z powodu lepszego uzbrojenia przeciwnika. Ja sam dawno zakopałem swój pistolet, a Ballarda trzymałem z dala od zazdrosnych spojrzeń: nie chciałem rozpalać zawiści.

W tej sytuacji Indianie spróbowali zabrać się do sprawy od drugiego końca i wymyśleć jakieś czary, które by ich uodporniły na kule. Jednemu jakby się to udało, bo został postrzelony w pierś w bitwie na wyspie Beecher i zrobił jakiś hokus pokus

nad raną, która zasklepiła się bez negatywnych skutków, a on sam przyjął imię Kuloodporny. Wobec tego potraktował swoimi czarami kilku innych wojowników i w dwa tygodnie po tamtej bitwie wyruszyli przeciwko kawalerii. Z siedmiu Ludzi, którzy użyli czarów, dwóch padło natychmiast, i Kuloodporny przywiózł ich ciała do obozu, żeby ich wskrzesić z martwych. Jednemu drgnęła lekko noga, ale żaden nie wstał i Kuloodporny uznał swoją porażkę.

Myślę, że to na skutek podobnych wydarzeń Skóra Ze Starego Szałas i nawet jego krewcy młodzi ludzie musieli ograniczyć swoje ambicje do przetrwania i po jakimś czasie znaleźliśmy się w wiosce Czarnego Kociołka, którego później biali nazywali czasem wielkim indiańskim mężem stanu, chyba dlatego, że zawsze podpisywał traktaty pokojowe oddające coraz to nowe tereny myśliwskie Czejenów pod linie kolejowe i rancza białych.

Tak czy inaczej, w ten sposób znalazłem się w bitwie nad rzeką Washita. I jak zwykle po stronie przegrywającej.

17. W DOLINIE WASHITY

Połączyliśmy się z Czarnym Kociołkiem na zakończenie wielkiego letniego polowania na bizona, przy którym zbierają się wszyscy członkowie plemienia z okolicy, a potem przeszliśmy na południe za Rzekę Kanadyjską, za Wzgórza Antylopy i nad rzekę Washitę, do rezerwatu wyznaczonego Czejenom w traktacie z Szałasem Czarów. Znajdowało się tam kilka obozów rozciągniętych wzdłuż rzeki na przestrzeni około dziesięciu mil, inni Czejenowie obok nas, Arapahowie, Kiowa, Komańcze i trochę Apaczów też. Indianie chcieli przezimować w tej dolinie obfitującej w drzewa bawełniane.

Było tam ładnie, bardzo ładnie i Skóra Ze Starego Szałasu przesadzał w swoim ponurym opisie. Nadal twierdził, że woda jest gorzka, ale ja tego nie czułem. Mimo to nie sprzeczałem się z nim, bo uczestniczyło w tym zgromadzeniu tylu ważniejszych od niego — taki Czarny Kociołek, wódz Arapahów Mała Wrona i Satanta, słynny z krwiożerczości Kiowa, który malował się do pasa na czerwono i chodził trąbiąc w mosiężną trąbkę. I żaden z nich nie zwracał uwagi na Skórę Ze Starego Szałasu, który zbojkotował naradę w Szałasie Czarów, był biedny i miał tak nieliczną grupę. Snobizm charakteryzuje wszystkich ludzi na kierowniczych stanowiskach, zarówno białych, jak Indian.

Stąd mój stary wódz przeważnie siedział sam, śnił i co jakiś czas przemawiał, ale nie przyciągał zbyt licznych audytorium w tamtych czasach. Jego młodzi ludzie mieli do niego pretensje, że nie pojechał na tę naradę, bo inni Indianie opowiadali o prezentach, które dostali za to, że tam byli, i o wielkich popisach jeździeckich różnych plemion dla komisarzy rządowych, a czerwonoskóry nie cierpi opuszczać popisów i zawodów. W dawnych czasach, kiedy byłem chłopakiem, obozowaliśmy nad rzeką Niespodzianką w pobliżu grupy Siuksów, którzy zaczęli wrzeszczeć i strzelać, uznaliśmy więc, że zostali napadnięci i pośpieszyliśmy im na pomoc, ale okazało się, że oni tylko świętują. Kiedy Garb spytał ich z jakiego powodu, powiedzieli, że nie wiedzą, ale że tak robią żołnierze w forcie Laramie i oni, Siuksowie, nie będą gorsi w organizacji obchodów. Na to Garb powiedział, że według niego Ludzie są jeszcze lepsi i przez cały dzień darliśmy się jak opętani i marnowaliśmy amunicję. Później zorientowałem się, że to był Czwarty Lipca.

Zastanawiałeś się może, co się stało z dwoma ludźmi, którzy występowali w mojej czejeńskiej młodości, a jakby znikli podczas mojego drugiego pobytu wśród Indian: z moim wrogiem Młodszym Niedźwiedziem i Małym Koniem, który był *himaneh*.

Żaden z nich nie został zabity, bo pytałem i dowiedziałem się, że przystali do innych grup, pewnie szukając towarzystwa innych sobie podobnych, bo obóz Skóry Ze Starego Szałasus był za mały, żeby pomieścić więcej niż po jednym z ich egzotycznych profesji. Odwrotny czuje się zapewne bardzo samotny, kiedy musi mówić od końca do wszystkich zwykłych ludzi, a *himaneh*, chociaż spędza dużo czasu wśród kobiet na szyciu, plotkowaniu i tak dalej, też pewnie tęskni za towarzystwem innych rozumiejących jego punkt widzenia. Brakowało mi ich obu z tego samego powodu. Nie miałem ani przyjaciół, poza Skórą Ze Starego Szałasus, ani prywatnych, osobistych wrogów. Było dużo napastliwości w stosunku do mnie, jak wspominałem, i ledwo przestałem trochę zwracać na siebie uwagę młodych ludzi z grupy Skóry Ze Starego Szałasus, przyłączyliśmy się do wielkiego zgromadzenia wokół Czarnego Kociołka i awantury zaczęły się od początku, bo chociaż Czejenowie nie byli oficjalnie na ścieżce wojennej, to uważali, że do białych nie ma to zastosowania i nadal napadali rancza i gospodarstwa, jak tylko pogoda sprzyjała, a potem wracali, spotykali mnie i sięgali po broń nawet w środku naszej wioski. Ci młodzi wojownicy nie czuli niechęci do mnie, tylko do mojej skóry. Inaczej niż Młodszy Niedźwiedź, który znał mnie bardzo dobrze, jak to zawsze bywa z osobistymi wrogami, i teraz, kiedy go zabrakło, zdałem sobie sprawę, że czerpałem wiele satysfakcji z jego wrogości, która była szczególna i osobista, bo razem rośliśmy.

Co do Małego Konia, to jego styl życia uwalniał go od wielu obciążeń, mógł nie troszczyć się o swoją męskość i czary, o czym zawsze myśli czejeński wojownik, i dlatego stanowił zawsze miłe towarzystwo, dobre do pieśni, tańca i pogawędki. Jeżeli chodzi o *himanehów*, zawsze wolę indiańskich, bo ci znają swoje miejsce w życiu, w odróżnieniu od ich białej odmiany.

Mały Koń i Młodszy Niedźwiedź, spotkałem ich obu w tym wielkim obozie nad rzeką Washita, o czym ci opowiem.

Było to pod koniec listopada, rzekę pokrył lód, a ziemię w dolinie śnieg, który nadtapiał się w ciągu dnia, nocą zamarzając w skorupę, tak że jeżeli człowiek wyszedł poza udeptany teren obozu, to zarywał się i chrząścił jak stado bizonów, i na dodatek mógł sobie pokaleczyć kostki. Indianie nadal zjeżdżali się ze wszystkich stron na

swoje zimowe leże: grupy wojowników, a także całe wioski z kobietami, dziećmi, stadami koni i psami. Jak tylko rozbili obóz, zawsze rozglądałem się za białymi twarzami, a po serii niesympatycznych spotkań z nerwowymi wojownikami zacząłem się malować jak w bitwie nad Rzeką Salomona przed laty i wymieniłem u czarownika kilka wyprawionych przez Promyk Słońca skór jelenich na czapę z głowy bizona wraz z rogami, żeby ukryć swoje jasne włosy. Nie używałem kolorowych farb, tylko kruczo-czarną z sadzy zmieszanej z tłuszczem, a że moje miejskie ubranie i tak spadło ze mnie, nosiłem nogawice i granatowy koc. Ludzie wiedzieli nadal, że jestem biały, ale chyba myśleli o mnie lepiej dzięki temu, że zindianizowałem się tak, jak to tylko możliwe.

Otóż tego dnia, o którym mówię, zjechała nowa wioska i rozłożyła się nad rzeką około mili poniżej nas, koło wielkiego łuku rzeki, gdzie jest bardzo głęboko tuż przy brzegu, o czym ci, którzy znali to miejsce, informowali nowoprzybyłych, na wypadek, gdyby ci chcieli czejeńskim zwyczajem zażyć chłodnej porannej kąpieli. I na Boga, niektórzy z nich to zrobili, wskoczyli do wody, podczas gdy ich kobiety rozstawiały szałas, i pływali w tej zimnicy w towarzystwie kawałów lodu. Wtedy właśnie nadszedłem i dostrzegłem na środku nurtu Młodszego Niedźwiedzia. Pływał jakoś dziwnie: co drugie pociągnięcie wysuwał z wody głowę do skraju nosa, po jego zamkniętych oczach spływała woda, a że nie oddychał przez usta, wyglądało to, jakby z dna wypłynął topielec.

Patrząc na niego usłyszałem, że ktoś mnie pozdrawia głosem zbyt melodyjnym jak na czejeńskiego wojownika albo dorosłą kobietę, raczej dziewczęcym, odwróciłem się więc i zobaczyłem Małego Konia. Miał na sobie suknię ze skóry białej antylopy z długimi frędzlami, najpiękniejszą jaką w życiu widziałem. Na biuście była wspaniale wyszyta szklanymi paciorkami wszystkich kolorów i nawet w tym zimowym słońcu dawała wyobrażenie, jak wyglądałaby zorza polarna oświetlająca Wielki Kanion. Miał też z pół tuzina bransolet i sznur paciorków tak długi, że pewnie się o niego potykał, a uszy, obciążone wielkimi miedzianymi krążkami, spływały mu jak płynąca melasa.

Ze sposobu, w jaki do mnie podszedł, domyśliłem się, że chce mnie zaczepić, czym prędzej oznajmiłem mu więc, kim jestem.

— Wiem, znam cię — powiedział i zaniósł się chichotem, co, jak sądzę, było teraz jego zwyczajem, więc chociaż działało mi to na nerwy, starałem się ze względu na starą przyjaźń nie pokazywać tego po sobie.

Odbyliśmy małą ceremonię powitania na brzegu rzeki, na zdeptanym śniegu i on, oczywiście nie spytał, co ja tu robię, bo byłoby to nieuprzejme między dwoma ludźmi, którzy się razem wychowywali, ale za to musiałem poddać się uściskowi, bardziej siostrzanemu niż braterskiemu.

— Odszedłeś z grupy ojca? — spytałem, kiedy uwolniłem się z jego objęć.

— Tak — powiedział bawiąc się paciorkami. — To było po Piaszczystym Potoku. Ojciec mi kazał. Powiedział, że jego czary są słabe, że sprowadził nieszczęście na całą rodzinę i że nie chce, żeby mi się coś stało, bo jestem taki ładny. Mimo to nie odszedłbym, gdyby nie to, że po Piaszczystym Potoku odszedł Młodszy Niedźwiedź. — Tu wskazał na rzekę. — Wiesz, że odwrotnemu nie wolno siedzieć ani leżeć na posłaniu, ale zawsze śpi na gołej ziemi. Otóż w nocy przed napaścią białych Młodszy Niedźwiedź we śnie, nie budząc się wstał, ułożył sobie posłanie ze skóry i przespał na nim resztę nocy. Z przerażeniem stwierdził to dopiero rano. Miętkość bawolej skóry odebrała mu całą jego siłę odwrotnego i kiedy przysła chwila walki, był słaby jak niemowlę i musiałem pomóc mu uciec przed żołnierzami suchym łożyskiem potoku.

— To bardzo przykre — powiedziałem dość szczerze, bo wrogość między mną a Młodszym Niedźwiedziem zawsze była jednostronna, choć nieraz dosyć mi dokuczała.

Ale Mały Koń, w sposób zdaje się typowy dla *himaneha*, odniósł się do sprawy lekceważąco.

— O — powiedział. — Przebolał to. Przyłączyliśmy się do grupy Czerwono-skrzydłego Dzieciola i Młodszy Niedźwiedź sprzedał swój grzmiący łuk i moc odwrotnego komu innemu, dzięki czemu mógł się ożenić.

W tym momencie przedmiot tych uwag wyszedł z Washity otrząsając się z wody, póki nie zdążyła na nim zamarznąć, i ponieważ Mały Koń przerwał naszą rozmowę, żeby wytrzeć Młodszego Niedźwiedzia czerwonym kocem i pomóc mu się ubrać, zrozumiałem, kto jeszcze brał udział w tym ślubie.

Kiedy więc Niedźwiedź ubrał się i spojrzał na mnie, nie mogłem się powstrzymać, żeby mu trochę nie dokuczyć, bo chociaż wśród Czejenów nikt nie potępia *himaneha*, przyjęte jest pokpiwać z osobnika, który z nim żyje. Mówię więc:

— Właśnie rozmawiałem z twoją uroczą żoną.

— To dobrze — powiada on bez złośliwości, jak mi się zdawało, i wyciska po kwarcie wody z każdego ze swoich warkoczyków. — A teraz chodź, poznasz drugą.

Oddał mokry koc biorąc suchy od Małego Konia, zawinął się w niego i poszedł przodem między szałasami wśród gromady psów i wskazawszy jedno zwierzę z ostrą mordą, które musiało mieć w sobie sporo z kojota, polecił Małemu Koniovi przyrzadzić je dla gościa. Koń palnął je maczugą wydobytą zza wyszywanego pasa i poniósł jego bezwładne żółte ciało za tylne nogi razem z tym mokrym kocem, i tak dotarliśmy do zaniedbanego tipi, i weszliśmy do środka.

Na środku płonął spory ogień, a nad nim wisiał jak zwykle czarny kociołek, w którym mieszła jak zwykle tęga kobieta, tyle że jej twarz była biała pod brudem, a włosy jasne mimo tłustej sadzy. Była to Olga.

Młodszy Niedźwiedź odwraca się do mnie z wyrazem twarzy, który wówczas uznałem za szyderczy, a który, jak teraz rozumiem, oznaczał czystą dumę, bo nie miał pojęcia, że jego żeńską żonę i mnie łączy coś oprócz rasy.

— Zapalimy — powiada — a potem będziemy jeść.

Olga wygląda okropnie w brudnej sukni z jeleniej skóry, nogawicach i zdartych starych mokasynach. Niedźwiedź przyjmował swoją regularną kąpiel niezależnie od temperatury, natomiast Olga, jak wszystko wskazywało, z równą regularnością powstrzymywała się od niej. Powiedziałem uprzednio, że zobaczyłem jej jasne włosy, ale tak naprawdę miały barwę zielonkawą i były bardziej splątane niż ogon dzikiego konia.

Otóż zostawiłem całą broń w szałasie, żeby zademonstrować swoje pokojowe intencje wobec jakichś agresywnie usposobionych wojowników, których mógłbym napotkać, Młodszy Niedźwiedź był wielkim, silnym facetem, przekraczającym sześć stóp wzrostu i znajdowaliśmy się w środku obozu pełnego, niewątpliwie, jego przyjaciół. Nie myślałem o tym wszystkim. Widziałem jedynie moją drogą, słodką żoneczkę w roli sponiewieranej niewolnicy tego przeklętego dzikusa i moje palce zakrzywiły się w mordercze szpony. W następnej sekundzie rzuciłbym się na Niedźwiedzia i rozszarpałbym mu gardło... gdyby Olga nie podniosła wzroku i nie odezwała się głosem tak ochrypłym, że mogła się przy niej schować Caroline i Nic, bo ją też słyszałem, jak wymyślała swojemu chłopu, i w ogóle każda kobieta, biała czy czerwona, której głos kiedykolwiek torturował moje bębni.

— Może mi powiesz, co będziemy jeść, ty leniwy nicponiu! — ryknęła. — Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz coś upolowałeś. To już Mały Koń jest lepszym mężczyzną niż ty. — Ten ostatni został na zewnątrz, żeby oprawić psa, i teraz wkroczył

z krwawiącymi kawałkami mięsa. Miał podwinęte rękawy sukni, żeby ich nie ubrudzić, i usiłował uspokoić Olgę, ale ona dalej wymyślała Młodszemu Niedźwiedziowi. — Powinieneś zamienić się na ubrania z Małym Koniem, tyle że jesteś za głupi i zbyt niezgrabny, żeby zostać *himaneh*! I co to za śmiesznego żebraka przyprowadziłeś, żeby okradł nas z resztek jedzenia, które nie ty przyniosłeś? Powiedz mu, żeby poszedł z tym swoim tańcem bizonów gdzie indziej.

Młodszy Niedźwiedź zmarszczył się i powiada:

— Zamknij się, bo cię zbiję.

— Wiesz, kto tu kogo bije — warknęła Olga. — Zaraz połamię kij na twoim leniwym grzbiecie. — Odgarnęła włosy pozostawiając długą smugę brudu na czole i splunęła pogardliwie do ognia. Potem wzięła od Małego Konia kawałki psa i cisnęła je do kociołka rozchlapując krew i wrzątek, aż Mały Koń pisnął ze strachu, że poplamiała mu suknię, i wtedy Olga mówiąc: „Przepraszam, kochanie” wzięła go na zewnątrz, żeby obejrzeć suknię przy świetle dziennym.

Można by pomyśleć, że Młodszy Niedźwiedź był zawstydzony, ale nic tego nie zdradzało. Wzruszył ramionami i zapalił fajkę.

— Zazwyczaj — powiedział — ta kobieta jest łagodna jak gołębica. Myślę, że zachowuje się w ten sposób tylko na pokaz przed gościem, bo ja dobrze dbam o rodzinę. Czy nie przyniosłem tego psa przed chwilą? Jestem też wspaniałym kochankiem, bo przez kilka lat gromadziłem swoją potencję jako odwrotny, kiedy nie wolno mi było mieć kobiety, i teraz...

Chwalił się tak jeszcze i łął przez pewien czas i, powiadam ci, jego degeneracja była oszałamiająca. Ile razy powtarzałem, że Czejenowie z pogardą odrzucali te dwa nałogi, a oto ten Indianin folgował im niczym jakiś włóczęga z salonu.

Co nie znaczy, że wówczas o tym myślałem, nie, byłem nadal sparaliżowany widokiem Olgi. Nie była ofiarą, co do tego nie miałem wątpliwości i cała jej osobowość uległa zmianie. Pamiętasz, jaka była miła, kiedy za mnie wychodziła, aż do pokory. W tamtych latach słabo znała angielski, tutaj płynnie wymyślała po czejeńsku. Może jej szwedzkiemu gardłu bardziej odpowiadał ten szorstki język, ale co się stało z jej lękiem przed Indianami, który żywiła od czasu masakry jej rodziny przez Siuksów?

Mój Boże, było to tak dziwne, że zastanawiając się nad tym zapomniałem przez chwilę o małym Gusie, który nagle wbiegł ubrany jak dzikus, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki. Miał chyba jakieś pięć lat, był krzepkim chłopcem i mimo

zimna biegał do połowy obnażony. Trzymał w ręku łuk, który podał Młodszemu Niedźwiedziowi.

— Ojcie — powiedział — zerwała się cięciwa. Proszę, zrób nową, bo mi potrzebna na wojnę.

Niedźwiedź uśmiechnął się do Gusa z czułością, ale go złapał.

— Nie przerywa się gościowi, który pali. Ludzie tak nie postępują. — Mimo to wyciągnął rzemyk ze swojego kołczanu wiszącego na żerdzi i zrobił z niego cięciwę.

Wtedy odnalazłem język w gębie i zagadnąłem Gusa, dziecię moich własnych lędźwi.

— Z kim walczysz? — spytałem. — Z Paunisami?

Mój głos musiał zdradzać napięcie, ale chłopak nie zwracał na mnie aż takiej uwagi, żeby to zauważyć. Wciąż jeszcze był zdyszany po biegu i, jak to dziecko, całkowicie pochłonięty swoją bezpośrednią potrzebą. Złapał więc naprawiony już łuk z rąk Młodszego Niedźwiedzia i odpowiedział już w drodze do wyjścia.

— Nie! — zawołał cienkim zawziętym głosikiem w tym gardłowym języku. — Z białymi!

— Chciałbym, żebyś tu przyszedł i okazał gościowi należny szacunek — powiedział Młodszy Niedźwiedź, raczej bez przekonania, jak mi się wydawało, i zanim skończył, Gus już przyłączył się do swoich rówieśników. Słysząc było ich okrzyki bojowe. Czuję się czystej krwi Indianinem.

Nie wiedziałem, co o tym myśli Olga, i ujrawszy ją w akcji wolałem nie pytać. Była to najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem czy o jakiej słyszałem. Kiowa mieli w swoim obozie białą kobietę, którą wykorzystywali jak ostatnią niewolnicę. Nie czułem się zbyt pewnie w ich wiosce i przebywałem tam tylko tak długo, żeby ustalić, że nie jest to moja żona, ale widziałem tę biedaczkę i jej osiemnastomiesięczne dziecko, i był to przynębiający widok.

Ale tutaj jedyne cierpienie, jakie widziałem, malowało się na twarzy Młodszego Niedźwiedzia, kiedy Olga na niego naskoczyła. Teraz, kiedy zostaliśmy sami, zaczął się chwalić, jak to zapłacił za nią dziesięć koni południowoczejeńskiemu wojownikowi, który schwytał ją nad Arkansas. Normalna cena za indiańską dziewczynę, płacona jej ojcu, wynosiła tylko trzy albo cztery zwierzęta.

Myślisz może, że siedziałem tam zgrzytając zębami. Otóż nie. Czuję się jak we śnie i powiedziałem całkiem spokojnie:

— Ten chłopak ma bladą skórę.

— I włosy jak poranne słońce — dodał Młodszy Niedźwiedź. — Nazywa się Czary Na Stojąco, ale zwykle wołamy na niego Gruby. Myślę, że zostanie najpotężniejszym wodzem wojennym Ludzi. Jak wiesz, wielki wódz Oglala, Szalony Koń też ma jasną skórę i jasne włosy, i nie można go trafić kulą.

— Ty zrobiłeś to dziecko? — Pociągnąłem z kamiennej fajki i oddałem mu ją. Spodziewałem się, że w nastroju, w jakim się znajduje, powie, że tak, ale on długo wpatrywał się w ogień przez półprzymknięte powieki i wreszcie powiedział:

— Nie, jego ojcem był ten sam czarodziejski ptak, który przyleciał do mnie nad Piaszczystym Potokiem i powiedział mi: „Przestań być odwrotny! Uciekaj! Nie dbaj o to, co ludzie powiedzą. Masz ważniejsze zadania niż walka z tymi niebieskimi kurtkami dzisiaj. Masz wziąć za żonę kobietę z bladymi włosami i wychować mojego syna!” Tak też zrobiłem.

Wróciła Olga z Małym Koniem, ugotowała tego psa i podała go, przy czym moja była żona co jakiś czas przejeżdżała się po Młodszym Niedźwiedziu i nie zwracała na mnie większej uwagi niż przedtem, uznałem więc, że jeżeli Mały Koń opowiedział jej coś o mnie, to była to jakaś fantastyczna historia, której nie skojarzyła z Jackiem Crabbem.

Udało mi się zjeść tyle, ile wymagała grzeczność, i skończywszy wystosowałem zaproszenie na wizytę rewanżową, jak tego wymagało dobre wychowanie.

Powiedziałem:

— Moją żoną jest córka Cienia Który Się Pokazuje, jak wiecie wielkiego wojownika. — Ja też miałem swoją dumę i zaczynało mi działać na nerwy, że ten Indianin chwali się moją białą żoną. Mimo to nie byłem tak naprawdę wściekły, a jeżeli nawet czułem do niego nienawiść, to nie tak sobie wyobrażałem nienawiść do człowieka, który więzi Olgę. Bo było jasne, że on jej nie więzi. I chociaż robiła wrażenie osoby w nie najlepszym humorze, był to rodzaj humoru, w którym kobiety znajdują dziwne upodobanie. Miała coś na niego. Może dowiedziała się, pewnie od Małego Konia, że stchórzył nad Piaszczystym Potokiem, i nie pozwalała mu o tym zapomnieć.

Nie znałem Olgi od tej strony, kiedy była moją żoną, i dzięki Bogu, chociaż mogłem, jak sobie to uświadomiłem, gdyby dowiedziała się o mojej klęsce finansowej w Denver. Ale nie wiedziała. Nie wiedziała o niczym w tamtych czasach, co nie

dotyczyło prowadzenia domu i pielęgnowania małego Gusa. Może dlatego, że prawie nie znała angielskiego. Ale, rany boskie, jak wciągnęła się w to czejeńskie życie! Kiedy ugotowała tego psa, wyszła na dwór i tam pracowała i plotkowała z innymi indiańskimi kobietami, i gdyby nie skóra i włosy, niczym by się od nich nie różniła.

Niech mnie diabli! Przepraszam za to przekleństwo, ale było to dla mnie coś niesamowitego i nie wiem, jak wyrazić swoje zdumienie. Nie smuciłem się i nie wściekałem. Nie czułem się nawet głupio, może dzięki tej czapie z bizona i farbie na twarzy. To Jack Crabb stracił żonę, nie Mały Wielki Człowiek, tak należało na to patrzeć. Myślisz może, że powinienem umierać z niecierpliwości, żeby poznać szczegóły ostatnich chwil, w których tamta gromadka białych nad rzeką Arkansas została pokonana przez Indian, a Olga i Gus porwani. Że powinienem chcieć poznać imię wojownika, który ich sprzedał Młodszemu Niedźwiedziowi, i zabić tego Indianina w obronie swojego honoru.

Ale żadna z tych rzeczy nie przyszła mi wtedy do głowy. Nie, widząc w tipi Młodszego Niedźwiedzia, moją żonę i syna, którzy oboje mieli się na swój sposób dobrze, poczułem zamiast tego potrzebę ogłoszenia o moim małżeństwie z Promykiem Słońca. Co więcej, pochwaliłem się, że ponieważ jej ojciec zginął, a braci nie miała, nie musiałem dać za nią ani jednego konia.

Jak większość samochwałów Młodszy Niedźwiedź nie mógł znieść, że ktoś pokonał go w jego grze. Odął się i przeżuwał bez końca tę samą chrzęść. Z wiekiem jego oczy stawały się coraz bardziej orientalne i teraz prawie znikły pod nawisem niskiego czoła i fałdami skóry podkreślonymi farbą, która nie całkiem zmyła się w kąpieli. Przez cały czas tej wizyty miałem uczucie, że mnie nie poznał. To znaczy, oczywiście, wiedział, że jestem białym ubranym jak Czejen, ale nie kojarzył mnie ze swoimi latami chłopięcymi. Widziałem go od tamtych czasów tylko raz, kiedy był odwrótnym, pochłoniętym zawilosciami swoich ruchów.

Nie odezwał się ani słowem, aż skończyliśmy wyzerkę, otarliśmy ręce o ubranie i wyszliśmy na zewnątrz. Olga z jakąś drugą kobietą skrobały świeżą skórę rozciągniętą na miejscu, z którego odmiotły śnieg: wypięła na mnie wielki tyłek i nigdy bym jej nie poznał w tej pozycji, bo w dawnych czasach Olga była krzepka, ale nigdy otyła. Nadbiegł mały Gus, kryjąc się przed wyimaginowanymi kulami z karabinu-patyka swojego brązowego kolegi, którego wrobił w rolę białego wroga. Tylko mój syn mógł dokonać takiej sztuki i niech mnie licho, ale ten incydent wzruszył mnie bardziej niż wszystko inne. Byłem wtedy najbliższy tego, żeby go

zawołać i powiedzieć: „Jestem twoim tatą, chłopcze. Czy nie pamiętasz swojego tatusia?”

Ale oczywiście nie zrobiłem tego, bo nie był to odpowiedni czas ani miejsce, i jak, do diabła, miałem wyjaśnić pięciolatкови strój, który miałem na sobie. Mówię tu prawdę, a prawda zawsze składa się z drobnych szczegółów, które brzmią śmiesznie, kiedy się je powtarza. Mimo to jestem gotów przyznać, że w ostatecznym rachunku nie odebrałem swojej żony i syna być może dlatego, że miałem na głowie te rogi bizona.

W końcu pożegnałem się z Młodszym Niedźwiedziem ponawiając zaproszenie na posiłek w moim szałasie i tak daleko posunąłem się w swojej brawurze, która miała pokryć wzruszenie wywołane widokiem Gusa, że dodałem:

— Przeprowadź całą rodzinę!

Niedźwiedź nagle ocknął się z letargu i powiedział do mnie bardzo przytomnie:

— Postanowiłeś zostać. — Więc jednak mnie pamiętał. — Nigdy ci nie podziękowałem dodał — za to, że mi dałeś jedzenie, kiedy brano mnie do fortu jako jeńca. Chcę to zrobić teraz.

Bąłem się, że zaraz zaczniesz tę starą historię o tym, jak to zawdzięcza mi życie i chciałem odejść, ale on powiedział:

— Zaczekaj. Chcę przeprosić za zachowanie mojej żony. To dobra kobieta, ale nie znosi obecności białych, bo biali zabili jej ojca i matkę... Słuchaj — ciągnął dalej — jadąc tutaj widzieliśmy świeże ślady żołnierzy. Myślę, że szukają tej wioski, chociaż wodzowie dotknęli pióra i zawarliśmy pokój.

Młodszy Niedźwiedź miał tę szczególną zdolność ciągłego wypominania mi mojej rasy. Powinienem być na to przygotowany, ale zawsze mnie zaskakiwał. Kiedy nie robiono z tego kwestii, zwykle stałem po stronie Indian, również kiedy Skóra Ze Starego Szalasu albo Promyk Słońca zgłaszali pretensje, może dlatego, że stanowili jakby moją rodzinę. Ale Niedźwiedź zawsze potrafił dotknąć mnie do żywego w tej sprawie.

— Może — powiedziałem — szukają tej wielkiej wyprawy wojennej, która świeżo wróciła z napadów na spokojne rancza nad Rzeką Dymnych Wzgórz. Albo może szukają tej białej kobiety i dziecka trzymanyh przez Kiowa.

Niedźwiedź wojowniczo wysunął szczękę.

— Nic o tym nie wiem. Jestem Człowiekiem, a nie Kiowa. Nie napadałem nad Rzeką Dymnych Wzgórz. Ale myślę, że jak żołnierz mnie zobaczy, to i tak strzeli.

Tutaj miał rację i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie podobała mi się jednak jego niewypowiedziana sugestia, że to wszystko moja wina. I tutaj, jak sądzę, kryła się istota sprawy między mną a Młodszym Niedźwiedziem. Jeżeli dla żołnierza jeden Indianin nie różnił się niczym od innego, choćby należeli do zupełnie różnych plemion, to dla Niedźwiedzia ja odpowiadałem za wszystko, co robili wszyscy inni biali, mimo że mieszkalem teraz w indiańskiej wiosce i ubierałem się jak dzikus.

Wróciłem do swojego tipi. Nie wspominałem dotąd, że chociaż Promyk Słońca straciła ojca i nie miała braci, to jednak miała trzy siostry, które z nami mieszkały. Jedna z nich była również wdową z dwojgiem małych dzieci. Byłem jedynym dorosłym mężczyzną w tym interesie i musiałem polować dla całej tej gromady. W zamian za to kobiety wykonywały wszystkie inne prace i myślę, że mógłbym również sypiać z nimi, gdybym miał ochotę, ale sypiałem tylko z Promykiem Słońca, z tego powodu, że póki nie zaszła w ciążę, sama wyczerpywała mnie całkowicie, może też jak na tamte warunki byłem trochę świętoszkiem i posiadanie haremu nigdy mnie nie pociągało.

Leżąc na skórze bizona i patrząc na wzdęty ciężą brzuch Promyka Słońca nie mogłem myśleć o niczym prócz tego, że Olga może właśnie teraz nosi w sobie nasienie tego dzikusa. Była na zawsze zbrukana. Ja mogłem w każdej chwili wyjść ze swojego szałas, wrócić do cywilizacji, wykapać się i być znów białym. Ona nie. Ona miała Cze-jena w środku. Indianie doprowadzali mnie do mdłości. Od zaduchu ledwo mogłem oddychać w swoim własnym domu, gdzie te utrzymywane przeze mnie niechlujne kobiety mieszały świństwo, które mieliśmy jeść na kolację. Nie było świeżego mięsa, bo zamiast polować tego popołudnia siedziałem i jadłem psa ugotowanego przez moją legalną żonę w tipi jej nielegalnego męża.

Podczas gdy siedziałem w tym zgryźliwym nastroju, przydreptał do mnie mały Żaba i podał mi drewnianego konika, którego mu wystrugałem. Był teraz w tym samym wieku co Gus, kiedy go porwano. Oddałem mu zabawkę, a on spojrzał z wielką powagą na mnie, potem na nią, odłożył ją bardzo ostrożnie na moje posłanie i odszedł. Była to dla mnie pierwsza wskazówka atmosfery panującej w szałasie, wtedy dopiero zauważyłem, że wszystkie kobiety zachowują się niezwykle cicho, a dzieci mojej owdowiałej szwagierki, chłopiec i dziewczynka, z którymi zwykle żartowałem

albo opowiadałem im historie przed podaniem posiłku, trzymają się ode mnie z daleka.

Promyk Słońca podała mi miskę korzeni rozgniecionych z jakimiś jagodami. Składniki te zostały zebrane poprzedniego lata i przechowane w postaci suszonej. Smakowało to jak garść błota.

— Gdzie jest ten krowi udziec, który przyniosłem wczoraj? — spytałem w paskudnym nastroju.

Wyglądała na przestraszoną, ale poprawiła mnie:

— To było trzy dni temu.

— Jak ja mówię, że to było wczoraj, to znaczy, że to było wczoraj, chyba że chcesz dostać baty, kobieto.

— Masz rację, wczoraj — przeprosiła mnie pośpiesznie. — Jestem głupia i...

— Zamknij się — powiedziałem. — Jest tu za dużo gąb do karmienia i dlatego nigdy nie mogę nastarczyć mięsa. Dlaczego twoje siostry nie wychodzą za mąż? — Wszystkie spuściły głowy. Kaszlnąłem, żeby oczyścić gardło z paskudztwa, które jadłem.

— Jeżeli myślicie, że będę z wami spał — zwróciłem się do nich ogólnie — to jesteście szalone.

Jedna z nich podeszła do Promyka Słońca i szepnęła jej coś do ucha, po czym moja kobieta powiedziała:

— Moja siostra pójdzie wymienić swoją wyszywaną suknię na mięso, jeżeli zaczekasz.

O tej siostrze, od której wyszła propozycja, przypadkiem wiedziałem, że ta suknia stanowiła jedyną rzecz w jej majątku, za którą mogła dostać coś więcej niż ogryzioną kość. I też niewiele, bo była poplamiona, łatana i naszyte paciorki miejscami odpadały. Nie byliśmy bogatą rodziną, mogę cię zapewnić, z jednym tylko mężczyzną, który w dodatku nigdy nie brał udziału w napadach na osady białych. Nie mieliśmy też żadnych kontaktów z handlarzami, bo wolałem nie pokazywać im się na oczy i nie miałem też koni poza tym jednym, którego dostałem od Skóry Ze Starego Szłasasu.

— Nie — powiedziałem na to. — Nie jestem głodny. — Byłem trochę zawstydzony, ale nie mogłem tego okazać. Wiedziałem, dlaczego żadna z nich nie wychodzi za mąż. Bo mieszkały z białym i czejeńscy wojownicy nie podchodzili do naszego

szalasu, żeby zalecać się grą na zaczarowanych fletach. Zwłaszcza, że w miarę upływu lat w plemienu było coraz więcej wolnych kobiet, bo wielu mężczyzn zginęło. Ściągnąłem na te dziewczyny przekleństwo. Ale czyj to był pomysł, żeby Promyk Słońca została moją żoną? Nie mój.

— Przykro mi, że jesteś na mnie zły — powiedziała Promyk Słońca. Przez cały dzień ciężko pracowała, co obejmowało też rąbanie drzewa na opał, którego wielki stos ciągnęła potem przez ćwierć mili na skórze bizona do naszego szalasu. Mogła urodzić w każdej chwili. Kiedy ten czas przyjdzie, odrzuci siekierkę, skryje się za drzewem i urodzi na śniegu, a potem dokończy rąbania i przyniesie dziecko razem z drewnem.

— Siadaj tutaj i jedz — powiedziałem. — Nie jestem na ciebie zły.

Posłuchała mnie i zaczęła szufłować tę papkę dużą kościaną łyżką, a reszta poszła w jej ślady, z mlaskaniem armii maszerującej przez bagno. Gdybym nie zbłądził się w interesach wtedy w Denver, mógłbym teraz siedzieć we własnym dużym domu, jeść z porcelany i srebra, i sprowadzić sobie z Anglii łysego kamerdynera we fraku. Gdyby mój tata nie był wariatem. Bóg wie, kim mógłbym zostać. Podejrzewam, że każdy zabawia się takim gdybaniem.

Kiedy Promyk Słońca skończyła, pozbierała z sukni, a także z ziemi resztki jedzenia, które spadły z jej łyżki, bo nadal była zaniepokojona, jak i wszystkie jej siostry, choć humor mi się poprawił. Potem wzięła swoją i moją miskę do czyszczenia, zawahała się i powiedziała cichym głosem: — Kiedy go zabijesz?

— Kogo? — spytałem i całe zdenerwowanie mi wróciło, bo dobrze wiedziałem, o co jej chodzi. Pamiętałem mój wcześniejszy cel, choć wolałbym o nim zapomnieć i to było powodem mojej irytacji. — Lepiej — powiedziałem — nie wtykaj nosa w nieswoje sprawy.

Promyk Słońca usiadła i wygładziła skórę bizona sąsiednią do mojej.

— Zrobię jej dobre posłanie — powiedziała — i dam jej swój najlepszy czerwony koc. A biały chłopiec, jeżeli zechce, może spać obok naszego siostrzeńca Pstrokatego Konia.

— Biała kobieta Młodszego Niedźwiedzia — odpowiedziałem spokojnie — nie jest moją żoną, a chłopiec nie jest moim synem. Moja rodzina zginęła nad rzeką Arkansas. — Sięgnąłem po wiszący na żerdzi za moimi plecami luk, którego używałem

do polowań, żeby oszczędzić proch i kule. — Jeżeli coś jeszcze usłyszę na ten temat, stara babo — dodałem — to stłukę cię tak, że do końca życia popamiętasz.

Promyk Słońca w ciąży nabrała sporo ciała, choć i tak była szczuplejsza od Olgi, i uśmiechając się teraz pokazała prawdziwie księżycową twarz. Natychmiast też pozostałe kobiety i dzieci ożywiły się, mimo że ja mówiłem cicho, a one głośno jadły, zaczęły szczebiotać i śmiać się jak zwykle, bo normalnie był to szczęśliwy szalas.

Widzisz, one wszystkie myślały, że chcę zabić Młodszeo Niedźwiedzia i odebrać mu Olgę z Gusem, a moja złość bierze się stąd, że nakręcam się przed zabójstwem, uznały więc, że mogę nie poprzestać na Niedźwiedziu, ale pomordować i je przy okazji, czemu się nie dziwię, bo czejeńskie kobiety dobrze wiedzą, do czego może doprowadzić mężczyznę namiętność.

Cóż, mogły się uspokoić, bo Mały Wielki Człowiek nie chciał nikomu sprawiać kłopotu. Z drugiej strony byłem mniej więcej zobowiązany podjąć następnego dnia Młodszeo Niedźwiedzia i jego rodzinę. Potem sprawa była dla mnie skończona. Nie miałem zamiaru spoufalać się z państwem Niedźwiedziowstwem i wymieniać z nimi zaproszeń na kolację. Nie spodziewałem się, żeby Olga w swojej nowej postaci kiedykolwiek odkryła prawdę, bo miałbym tę bizonią czapę i twarz pomalowaną na czarno, a ona nie spodziewała się mnie zobaczyć, ale ktoś z Indian niewątpliwie by rzecz wywęszył, bo oni mają do tego nosa. Nie Młodszy Niedźwiedź ze swoją głupotą i zarozumiałstwem, ale może Mały Koń albo jedna z moich kobiet. Albo może Gus, a to by mnie zabiło.

Postanowiłem więc uciec zaraz po kolacji następnego dnia i wrócić na kolej. W takiej czy innej postaci uzyskałem to, po co przystałem na nowo do Czejenów.

W takim stanie umysłu naciągnąłem na siebie kilka skór zwierzęcych i brudnych kocy, i próbowałem zasnąć. Kobiety i dzieci też już leżały, ale ogień był obłożony kłocami tak, żeby palił się całą noc. Inaczej zmarzlibyśmy nawet pod wszystkimi przykryciami, bo zimne powietrze przedostawało się przez wiązanie klapy wejściowej i dołem pod skórami. Co jakiś czas słyszałem swojego konia przytupującego z zimna na zewnątrz. Przywiązałem go blisko wejścia zamiast wypuścić na łąkę z resztą stada. Ponieważ był wtedy moim jedynym zwierzęciem, nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby ukradli mi go Paunisi, choć nie słyszałem o nich w tej okolicy.

Co do opowieści Młodszeo Niedźwiedzia o śladach żołnierzy, to uznałem je za przykład jego głupoty. Mieszkaliśmy teraz w rezerwacie przyznanym Czejenom na naradzie w Szalasię Czarów, czego więc mogli od nas chcieć? Miałem na myśli grupę Skóry Ze Starego Szalasu. Jeżeli kogoś szukali, to może uczestników tej wyprawy wojennej, która powróciła do wiosek w dole rzeki. Ale i tak było to nieprawdopodobne przy tej pogodzie. Nikt nie wojował zimą, a już zwłaszcza Armia Stanów Zjednoczonych, której ciężkie konie nie potrafiły poruszać się po zlodowaciałym śniegu.

Rozmyślałem na takie tematy, bo nie mogłem zasnąć. Wprawdzie postanowiłem skończyć ze sprawą Olgi i Gusa, ale ona ze mną bynajmniej nie skończyła. Czulem pulsowanie żył na skroniach i coś działo się z moim kroczem. Było to tak, jakbym się tam kurczył jak suszone jabłko. Po chwili domyśliłem się, że odczuwam pożądanie w formie, jakiej dotąd nie znałem, zwłaszcza odkąd żyłem wśród Indian. Mówiłem już, że to raczej Promyk Słońca była chętna niż mówiący te słowa. Otóż teraz ja sięgnąłem po nią, zapominając całkowicie o jej stanie:

Trafiłem przez skóry na szczyt jej wielkiego brzucha, a ona obudziła się natychmiast i pogładziła mnie po ręce.

— Wunhai jest urażona tym, co powiedziałaś — odezwała się.

To była ta siostra, która zaofiarowała się sprzedać swoją wyszywaną suknię na mięso. Jej imię oznaczało „Oparzona”, może sparzyła się w palec jako dziecko albo coś takiego. Była naprawdę ładna ta najmłodsza z córek Cienia, dwa lata młodsza od Promyka Słońca i podobna do niej z oczu i lśniących włosów, tylko smukła jak wierzbowy gałązka. Kiedy o tym pomyślałem, przypomniała mi się moja dawna przyjaciółka Nic, zanim wyszła za mąż i zrobiła się gruba i kłótniwa. Biedna Nic również zginęła nad Piaszczystym Potokiem.

Do tego czasu traktowałem Wunhai jak szwagierkę w białym stylu, nigdy nie przejmując czejeńskiego poglądu na te sprawy. Promyk Słońca mówiąc o tym, że uraziłem Wunhai, miała na myśli moje wcześniejsze stwierdzenie, że nie będę spać z żadną z jej sióstr.

Poklepałem Promyk Słońca po brzuchu i cofnąłem rękę. Jak zwykle nie mogłem się zdecydować, czy jestem w końcu białym, czy Indianinem. Jeżeli pierwsze, mogłem zasnąć; to, że Olga zdziczała, było jej sprawą, nie moją. Z drugiej strony zaczynałem zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności za siostry Promyka Słońca;

karmienie ich nie wystarczało. To przeze mnie pozostawały starymi pannami. Czulem, że muszę coś dla nich zrobić, bo na to zasługiwały. Może byłem hipokrytą, nie wiem, osądź sam. Wiem tylko, że wstałem, przemknąłem się w blasku ognia przez pół obwodu tipi i klęknąłem przy posłaniu Wunhai. Jej oczy błyszczały w cieniu, jaki na nią rzucałem.

— Żałuję tego, co powiedziałem — szepnąłem.

— Słyszę cię — ona na to. I uniosła przykrycie, a ja wślizgnąłem się tam, obok jej szczupłego brązowego i jak stwierdziłem, nagiego ciała, które aż parzyło po spacerze w lodowatym powietrzu bez przepaski biodrowej. To była słodka dziewczyna. Okazało się, że jako naprawdę budujący przykład wysokiej moralności Ludzi nie zaznała jeszcze mężczyzny, ale instynkty miała zdrowe. Ho, ho! Miała, myślę, jakieś osiemnaście lat i była bardzo gibka.

Nie będę silić się na zgadywanie, jak długo wywiązywałem się ze szwagrowskich obowiązków, ale trochę to trwało, aż wreszcie doszedłem do punktu, kiedy mała Wunhai otrzymała należyte przeprosiny i zasnęła w moich ramionach. Dobrze, wysunąłem się z jej posłania i otuliłem ją, doświadczając dziwnego uczucia, kiedy zimny przeciąg przebiegł mi po łądźwiach. Chyba mną zatrzęsło i wtedy druga moja szwagierka śpiąca obok usiadła i przywołała mnie gestem.

Kiedy zbliżyłem się do niej, szepnęła:

— Czy mam dołożyć do ognia?

— Nie trzeba — powiedziałem odsuwając się wstrząsany dreszczami, bo w łóżu Wunhai społem się i teraz miałem uczucie, że pokrywam się lodem.

Na to ona:

— Lepiej chodź tutaj, zanim zamarzniesz.

Ta dziewczyna nazywała się Kopiący Niedźwiedź i była nieco starsza od Promyka Słońca, miała może dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata i bardzo szeroką twarz, co jeszcze podkreślała tym, że często nosiła warkocze odrzucane za uszy. Miała zdecydowane, ale ładne rysy i była silna jak klacz. Podwinęła suknię, zanim się obok niej położyłem. Ona jedna z sióstr była niższa ode mnie, ale przy tym potężnie umięśniona. Wpuściwszy mnie na pole bitwy, że tak powiem, zmusiła do walki o zwycięstwo i przez długi czas miałem łądki posiniaczone tam, gdzie wbijała mi pięty, zupełnie jakby jechała na koniu do góry nogami.

Później zebralo jej się na rozmowy.

— Słyszałam, że ta biała kobieta Młodszeo Niedźwiedzia jest brzydka i dziwnie pachnie. Wiedziałam, że nie mogła być twoją żoną. Tylko taki tchórz jak on może trzymać taką kobietę, itede, itede. — Była to siostra złośliwa, ale powiem ci, że nie jest to najgorsza cecha u kobiet w łóżku. Działa jak ostra przyprawa. Najlepsze konie bojowe zawsze mają jakieś narowy i dzięki temu nie ciągną ciężarów.

Byłem cokolwiek zmęczony, kiedy oderwałem się od Kopiaącego Niedźwiedzia, ale ona naładowała się na nowo swoimi uwagami i ciągnęła mnie do powtórki.

— Zostań tutaj — szeptała. — Kobieta Kukurydza jest zbyt zmęczona.

Uwaga dotyczyła trzeciej siostry, wdowy. Przysięgam, że do tej chwili nawet o niej nie pomyślałem. Była najwyższa, najtęższa i w wieku około dwudziestu ośmiu lat najstarsza, z dwójką dzieci na sąsiednich posłaniach.

— Ja też jestem zmęczony — odpowiedziałem. — I ty powinnaś być zmęczona. Idź spać. — Czułem jednak, że mnie obserwuje, kiedy wracałem na swoje posłanie obok Promyka Słońca, i musiałem tam chwilę poleżeć, zanim jej głowa znikła pod przykryciem i mogłem wykraść się do Kobiety Kukurydzy.

To prawda, że byłem zmęczony i obolały, ale to, co zmusiło mnie do tej rundy, nie wygasało, dopóki została jeszcze jedna siostra. Tak czy inaczej, Kobieta Kukurydza spała, kiedy do niej dotarłem i nie wdawałem się w żadne ceremonie, tylko uniosłem przykrycie i wszedłem w nią. Objęła mnie nie budząc się do końca. Miała męża i dwoje dzieci i dla niej nie stanowiło to nowości jak dla Wunhai ani gwałtownego ćwiczenia jak dla Kopiaącego Niedźwiedzia, ale coś tak naturalnego jak zjedzenie posiłku. Była ciepła i miękka, i stwierdziłem, że to bardzo dobrze działa na chudego, nerwowego człowieka takiego jak ja.

Która była najlepsza? Nie twój interes. Może już powiedziałem za dużo, bo nie mogę zbyt silnie podkreślić, że moja działalność tej nocy stanowiła według czejeńskich standardów przeciwieństwo rozpusty. Były to moje żony i spełniałem wobec nich swój obowiązek.

Wprawdzie ledwo mogłem utrzymać się na nogach, kiedy to załatwiłem, ale za to spłynął na mnie wielki spokój. Nadal nie chciało mi się spać, ale to już nie gniew i nie rozwiązane problemy były tego przyczyną. Założyłem przepaskę i nogawice, koszulę miałem na sobie przez cały czas, owinąłem się kocem i wyszedłem na zewnątrz.

Powietrze było tak zimne i bezlitośnie czyste, że głębszy oddech wywoływał ból. Z odległości mili, z wioski Młodszeo Niedźwiedzia dochodziło szczekanie psa; słyssałem go doskonale. Księżyc zaszedł i zapadły ciemności choć oko wykol; wkrótce miało zacząć świtać. Spędziłem tę noc na wypełnianiu swoich męskich obowiązków. Nie ulegało wątpliwości, że wreszcie stałem się stuprocentowym Czejenem, o ile to tylko było możliwe przez działania cielesne. Mogłem tej nocy posiać nowe życie albo i dwa, i ani przez chwilę nie pomyślałem, że te dzieci będą małymi metysami rosnącymi w świecie, który szybko stawał się nieprzyjazny nawet dla ludzi czystej krwi. Nie, w tamtej chwili uważałem, że wszystko jest w jak największym porządku. Przeżywałem jeden z nielicznych momentów, kiedy czułem: wszystko jest tak, jak być powinno. Miałem wtedy mocne czary, to jest właściwe słowo. Wiedziałem, gdzie jest środek świata. Wspaniałe uczucie, kiedy czas krąży wkoło i ten, kto stoi w środku, ma władzę nad wszystkim, co przybiera formę linii, kąta lub kwadratu. Jak Skóra Ze Starego Szałasuszcigający antylopy do małego kręgu swoich ludzi, wokół których znajdowali się wszyscy Czejenowie z terażniejszości i przeszłości, żywi i umarli, bo Tajemnica jest czymś wiecznotrwałym.

Była to wielka chwila i nagle z ciemności weszła w nią Promyk Słońca. Bardziej wyczułem ją węchem, niż zobaczyłem, bo ciemności panowały absolutne.

— Nie możesz spać? — spytałem sądząc, że wyszła z tipi.

— Wracam z lasku — powiedziała, wzięła moje ręce i włożyła w nie małe zawiniątko. Biło od niego ciepło jak od żaru z ogniska, ale było to nowonarodzone dziecko. Wyszła i urodziła je, podczas gdy ja odwiedzałem posłania jej siostr.

— Nowy syn dla ciebie — powiedziała. — Będzie wielkim mówcą. Czy słyssałeś jego potężny krzyk?

Ale, oczywiście, zajęty siostrami nie słyssałem. Nie zauważyłem nawet, że wyszła z szałasus.

— Mam nadzieję, że nasi wrogowie są daleko — powiedziała — bo kiedy zaczął żyć, pokazał, że ma silne płuca.

Nie naruszyło to mojego poczucia czarów, a jeszcze je wzbogaciło. Przytuliłem tego małego człowieczka, a Promyk Słońca położyła mi głowę na ramieniu i wtedy się to stało. Na ciemnym horyzoncie ukazała się płonąca złota kula, która wspinając się wolno na niebo zmieniała wspaniałe kolory od malinowego przez żółty do szmaragdowozielonego, od turkusowego do intensywnie niebieskiego i fioletowego, a

potem przez niebieski znów do jasnego, jak ruchomy otwór w dachu świata pozwalający zerknąć na wielką tęczę, po której przejeżdżają w odświętnych strojach wodzowie w Tamtym Świecie. Wreszcie, kiedy kula była już wysoko na niebie, przybrała na chwilę barwy macicy perłowej, a potem kolory wypaliły się w promienną biel.

— To będzie jego imię — powiedziała Promyk Słońca — Gwiazda Poranna.

Oddałem jej mojego syna i poszła do szałas, żeby go nakarmić.

Tak się złożyło, że ktoś jeszcze dostał imię na cześć tego niebieskiego zjawiska, które w tej samej chwili oglądał zza wzgórz nad doliną rzeki Washita. Zapewne przyjął to za pomyślny znak tego samego losu, który zrobił go generałem w wieku dwudziestu trzech lat. I może miał rację, bo za kilka chwil wyruszał po największe zwycięstwo w swojej karierze.

W późniejszych latach Indianie z plemienia Kruków nazywali go Synem Porannej Gwiazdy. Naprawdę nazywał się George Armstrong Custer.

18. POTEŻNE CZARY DŁUGICH WŁOSÓW

Wkrótce potem na wschodzie ukazało się pierwsze światło. Nadal pozostawałem na dworze i byłem pełen zachwytu, do tego stopnia, że rozważałem możliwość zrobienia na rzece przerębla i zażycia czejeńskiej kąpieli, ale mój koń, przywiązany w pobliżu, domagał się porannej porcji wody. Nie uwierzysz, ale naprawdę spojrzał na mnie swoimi dużymi, jasnymi oczami i powiedział: „Ojczy, zaprowadź mnie do wody.” Co nie znaczy, że powiedział to słowami, ale jednak powiedział. Potem jeszcze dodał: „Czeka nas wielka bitwa.” Guzik mnie obchodzi, czy wierzysz, ale to prawda. Byłem przy tym. „Słyszysz pewnie chrzęst śniegu w dolinie — odpowiedziałem mu. — To tylko stado koni, twoi bracia i kuzyni.” „Nie” — upierał się mój koń potrząsając głową, kiedy odwiązywałem go od palika. Jego oddech i mój tworzyły wielkie kłęby pary na mrozie. „Chodź — powiedziałem. — Pokażę ci.” Wsiadłem na niego i ruszyłem, żeby wyjechać z bawełnianego zagajnika, w którym rozbiliśmy nasz obóz. Moje własne tipi stało blisko skraju, w miejscu gdzie nie mogło zostać przywalone drzewem w razie burzy, przejechałem więc zaledwie czterdzieści jardów do granicy otwartej doliny i spojrzałem na łąkę, na której pasły się konie. W tej chwili usłyszałem za sobą odległy wystrzał, gdzieś na wzgórzach po drugiej stronie obozu. Nie obejrzałem się tylko dlatego, że wprost na mnie, galopując w linii rozciągającej się przez zasypaną śniegiem dolinę, zbliżała się wielka masa zwierząt. Ale poranne powietrze może zmylić, zwłaszcza kiedy jest kryształowe i powiększa, tak że z odległości człowiek wydaje się koniem, koń bizonem. Wskutek tego zobaczyłem tę szarżę jako nasze stado koni uciekające w panice zapewne przed pauniskimi rabusiami. Odwróciłem się, żeby pojechać po broń, i w tym momencie zagrała cała orkiestra wojskowa, z trąbami, fletami i bębnami. Pomyślałem, że zwariowałem. Grano irlandzką melodię *Garry Owen*, którą słyszałem kiedyś w wykonaniu orkiestry posterunku w Leavenworth na niedzielnym koncercie. Przy pierwszych dźwiękach muzyki mój koń stanął dęba i zrzucił mnie. „Mówiłem ci” — zarżał i pogalopował jak szalony na spotkanie szarży. Przebył może z pięćdziesiąt stóp, zanim przednie nogi załamały się pod nim i zwałił się w śnieg ciągnąc za sobą długi czerwony ślad.

Został trafiony w szyję, kiedy jeszcze na nim siedziałem, bo cała ta zbliżająca się linia otworzyła ogień przy pierwszych dźwiękach muzyki. Byłem zalany jego krwią.

Powyżej jakichś trzech stóp od ziemi powietrze wypełniło się świszczącym ołowiem. Mimo to wstałem i nie draśnięty pobiegłem do swojego tipi. Może krzyczałem, ale nie jestem pewien z powodu muzyki. Nie słyszałem nawet tętentu koni ani ognia karabinowego, tylko grzmot tej orkiestry.

Kopiący Niedźwiedź wychodziła z szałasu niosąc moją broń i skórzany woreczek z amunicją. Z odległości dziesięciu jardów rzuciła mi strzelbę i zamachnęła się, żeby rzucić amunicję, ale nagle na skroni zrobiła jej się mała czarna dziurka, jakby usiadła tam mucha, i dziewczyna osunęła się martwa na śnieg.. Z tuzin kul przebiło skórę szałasu za nią i kiedy wpadłem do środka, zobaczyłem, że młoda Wunhai połowę ich zebrała w te ciepłe, brązowe piersi, które pieściłem przed kilkoma godzinami, a jej suknia z jeleniej skóry jest cała w strzępach.

Promyk Słońca siedziała w głębi z Gwiazdą Poranną przy piersi.

— Kładź się! — krzyknąłem. — Na ziemię!

Zwinęła się wokół dziecka, a ja przykryłem ją skórami. Chciałem zrobić to samo z Żabą Siedzącą Na Zboczu oraz z Kobietą Kukurydzą i jej dziećmi, ale nie było ich w tipi.

Zanim dotarłem do wejścia, niebieskie kurtki były tak blisko, że strzelali ponad naszym szałasem do tych stojących dalej w lasu. Wychodząc z tej strony wpadłbym prosto pod ich kopyta, przeciąłem więc nożem skóry od drugiej strony i wysliznąłem się tamtędy. Zewsząd wychodzili Indianie, niektórzy zaraz padali na miejscu, inni kryli się za drzewami i zaczęli odpowiadać na ogień, głównie z łuków, ale celowanie było utrudnione, zwłaszcza że biegali przed nimi swoi.

Kawaleria wpadła już między szałasy, orkiestra nadal grała z otwartej doliny, gdzie się zatrzymała. Ta muzyka doprowadzała mnie do szału. Padłem na brzuch za drzewem. Jeszcze ani razu nie wystrzeliłem, ale nie przez delikatność. Nie, grzałbym do tych żołnierzy bez litości, gdybym tylko miał szansę: pustoszyli mój dom, zabili moje dwie kobiety, przez nich moja ukochana żona i nowo narodzony syn leżeli w największym zagrożeniu. W takich chwilach nie czuje się żadnego pokrewieństwa z wrogiem, czy jest naszym bratem przez krew, czy przez przyzwyczajenie.

Ale moja strzelba nie była nabita. W szałasie trzymałem ją nie nabitą na wypadek, gdyby dobrały się do niej dzieci. Od amunicji w tym woreczku pod ciałem Kopiącego Niedźwiedzia dzieliło mnie pięćdziesiąt jardów galopującej kawalerii.

Część Czejenów zeszła do rzeki i tam używali wysokiego brzegu jako fortyfikacji, zza której osłaniali odwrót dużej grupy kobiet i dzieci środkiem lodowatego nurtu. Zdawało mi się, że widzę wśród nich Kobietę Kukurydzą z dziećmi, ale dym prochowy snuł się już gęsto i właśnie w tej chwili zasłonił wszystko, a kiedy się rozwiął, zabito pod żołnierzem konia, który padając przesłonił mi widok. Moją uwagę pochłonęły sakwy, w jakich kawalerzyści zwykle trzymają zapasową amunicję. Ruszyłem w ich stronę, ale zanim dobiegłem, zwierzę poderwało się i pogalopowało bez jeźdźca. Widocznie było tylko ogłuszone. Gorzej z żołnierzem. Leżał z lewym butem pod dziwnym kątem do reszty ciała. Był to młody człowiek, prawie jeszcze chłopiec, z zaczątkiem wąsa. Nasze spojrzenia spotkały się i jego oczy zapłonęły jak okna, za którymi ktoś zapalił pochodnię, ale okazało się to skutkiem umierania, a nie tego, że mnie rozpoznał, bo w następnej chwili głowa mu opadła ukazując tył czaszki rozłupany jak pomarańcza. Czejen, który to zrobił za pomocą drewnianej maczugi wojennej z osadzonym w niej trójkątnym ostrzem z zardzewiałego żelaza, zabrał chłopakowi karabin i pas z nabojami, po czym z okrzykiem wojennym rzucił się ku rzece, ale zaraz dostał za swoje, bo skacząc z brzegu bluznął krwią jeszcze w powietrzu i burząc wodę utonął.

Żołnierze dotarli już do dalszej części wioski, hałas nagle przycichł, dobiegał jak odgłos bójki za ścianą. Miałem chęć wrócić do swojego szałasu i wyciągnąć te naboje spod Kopiającego Niedźwiedzia, ale wiedziałem, że żołnierze zaraz wrócą, żeby dokończyć robotę, i moje ruchy mogą ich naprowadzić na ślady Promyka Słońca, pobiegłem więc do pozostałych szałasów i tam właśnie zobaczyłem tęgie ciało Czarnego Kociołka, rozciągnięte przed wejściem do jego tipi. Podpisał swój ostatni traktat. Piaszczysty Potok i teraz to. Jego żona leżała obok i jeszcze umierała.

Skóra Ze Starego Szałasu, pomyślałem. Muszę do niego dotrzeć. Jest teraz całkiem bezradny, ślepy i bez synów. Zawróciłem, bo jego tipi stało blisko mojego, i po drodze mijalem wielu zabitych Indian. Jeden nie znany mi ranny wojownik omal mnie nie zastrzelił, ale wyzionął ducha, zanim zdołał naciągnąć łuk. To zdarzenie uświadomiło mi mój wygląd. Miałem od poprzedniego dnia twarz wymalowaną na czarno — w zimie cieplej jest od tego w nos i policzki — ale część jej musiała się zetrzeć przy tej czy innej działalności. Poza tym miałem całkowicie odsłonięte włosy. Zupełnie nie wiedziałem, co z tym w tej chwili począć.

Rzuciłem się do tipi Skóry Ze Starego Szałasu i rzeczywiście go tam zastałem. Nie został opuszczony. Dwie jego młode żony usiłowały skłonić go do ucieczki. Jedna

miała przywiązane na plecach niemowlę. Druga była szczególnie podenerwowana i odruchowo rzuciła się na mnie z rzeźnickim nożem, mimo że dobrze mnie znała.

Skierowałem na nią lufę mojej nie nabitej strzelby i powiedziałem:

— Wy, kobiety, uciekajcie. Ja pomogę dziadkowi.

— Zabij mnie też! — krzyknęła Kobieta Frędzel, ta z nożem w ręku.

— Wynoś się stąd, głupia! — wrzasnąłem i zrobiwszy krok w bok palnąłem ją w szeroki zadek kolbą swojego Ballarda. — Biegnijcie do rzeki.

To ją trochę otrzeźwiło.

— Wierzę ci — krzyknęła ta druga z dzieckiem i obie wybiegły.

— Synu — odezwał się Skóra Ze Starego Szałasu całkiem spokojnie — siadaj koło mnie i zapalimy.

Możesz mi nie wierzyć, ale ten starzec siedział na swojej bizoniej skórze i napełniał fajkę.

— Dziadku, czyś ty oszalał? Niebieskie kurtki mordują nas. Mamy tyle czasu, ile trwa przelot ptaka, żeby ukryć się nad rzeką, zanim wrócą.

— Czarny Kociołek nie żyje — powiedział. — Wiem to. Jestem ślepy i nie mogę walczyć, ale nie będę też uciekał. Jeżeli to jest dzień mojej śmierci, to chcę umrzeć tutaj, w kręgu.

Z ustawienia jego starej, pokrytej pergaminową skórą szczęki widać było, że żadne namowy nic tu nie pomogą. — Dobrze — powiedziałem. — Zapalę ci fajkę.

Wysunął głowę do przodu, ja złapałem lewą ręką fajkę, a prawą uderzyłem go z całej siły w szczękę. Ręka mi zdrętwiała i nie mogłem rozewrzeć pięści, a tymczasem Skóra Ze Starego Szałasu siedział nadal niewzruszony jak skała

— Za bardzo się denerwujesz, mój synu — powiedział. — Ręka ci się ześlizgnęła z fajki. Podaj mi głównię, sam sobie zapalę. Zapalimy i twoje zdenerwowanie odfrunie jak mały ptaszek, co lata za bizonami.

Myślałem, że nigdy już nie odzyskam władzy w prawej ręce, podałem mu więc płonący węgielek lewą. Strzelanina na zewnątrz zaczęła się zbliżać. Uderzyłem go oczywiście po to, żeby pozbawić go przytomności i zanieść nad rzekę. Zastanawiałem się, czy nie ogłuszyć go kolbą strzelby, ale trzeba się było liczyć z tym, że głowę może mieć jeszcze twardszą niż szczękę, a poza tym chroniła ją gruba warstwa sztywnych włosów.

Pociągnął z fajki i zaofiarował zwyczajowe kłęby dymu na wschód, na zachód i tak dalej. Na Boga, pomyślałem, przestrzega wszystkiego, jest Indianinem do szpiku kości. Wiesz, jak się myśli o obcokrajowcach, dzikich i innych takich, oczekuje się, że w niebezpieczeństwie zachowują się tak jak my, włącznie z mówieniem po angielsku. Ale tutaj to ja musiałem zachować się jak Czejen.

Poczułem przyływ rozpaczliwej elokwencji.

— Rzeka jest częścią wielkiego kręgu wody i ziemi — zacząłem najwyższym, najbardziej piskliwym głosem, jaki byłem sobie w stanie wyobrazić, naśladując falset klasycznej czejeńskiej sztuki oratorskiej. Jakby poskutkowało, bo Skóra Ze Starego Szalasu nastawił uszu i odłożył fajkę. — Święte wody płyną przez ciało Ziemi, tak jak krew w człowieku, a soki z drzewa. Wszystko łączy się w tym wielkim prądzie. O, Duchu Białego Bizona, usłysz mnie! Wyprowadź swoje dzieci rzeką na bezpieczną drogę!

Nie myśl, że kogoś w tym momencie przedrzeźniałem. Jak znajdziesz się w bitwie, to zobaczysz, czy będziesz miał ochotę na szyderstwa. Nie, czułem wtedy w sobie ducha. Mógł to być instynkt kaznodziejski odziedziczony po tacie, ale faktem jest, że czułem natchnienie.

Nie na tyle jednak, żebym nie zauważył, jak Skóra Ze Starego Szalasu podnosi leżący obok niego stary karabin. Mój Boże, pomyślałem, zaraz mnie zastrzeli za to, że próbowałem go ratować, stary zwariowany dureń.

Wtedy usłyszałem hałas u wejścia, odwróciłem się i zobaczyłem żołnierza w półprzysiadzie, który trzymał przed sobą pistolet i usiłował zobaczyć coś w półmroku.

Barruuuum! Nigdy nie słyszałem większego hałasu niż ten, jakiego narobiła broń Skóry Ze Starego Szalasu. Widocznie nabita była podwójną porcją prochu, jeżeli tak huknęła, plując Ogniem i dymem na pół namiotu, a kiedy kula trafiła tego żołnierza, wyrzuciła go na zewnątrz jak pusty mundur.

Wódz usiadł na powrót z długą lufą między czubkami mokasynów, bo go przewróciło na plecy. Celował na dźwięk.

— Idź, synu, przynieś jego włosy — powiedział. — Potem porozmawiamy jeszcze o rzece. Może tam pójde.

— Pewno już jest za późno — mówię. — Teraz zbiegną się jak kojoty do ścierwa. Nie będę cię dłużej przekonywał.

Wziąłem go pod ramię i podniosłem. Nie opierał się ani trochę. Widocznie postanowił pójść, w przeciwnym razie nigdy bym go nie ruszył z miejsca, jestem tego pewien. Rozciąłem nożem pokrycie tipi i przygotowałem się do wyjścia z nim.

— Zaczekaj — powiedział. — Muszę wziąć tobolek z czarami. Była to byle jak owinięta w podarte skóry paczka długości około trzech stóp. Jej zawartość stanowiła tajemnicę, ale kiedyś zajrzałem do takiego tobołka zmarłego Czejena, zanim go położono razem z ciałem na pomoście pogrzebowym, a jego paczka zawierała garść piór, nogę sowy, gwizdek z kości jelenia, zasuszony członek bizona i podobne śmieci. Ale on niewątpliwie wierzył, że jego siła jest związana z tymi szpargałami, i nie miałem zamiaru tłumaczyć mu, że tak nie jest. Tak samo Skóra Ze Starego Szałas. Wziąłem jego tobolek z czegoś, co wyglądało jak stos śmieci za jego posłaniem.

Ruszyliśmy po raz drugi.

— Zaczekaj — powiedział stary. — Mój pióropusz wojenny.

Nigdy nie nosił tej części garderoby, odkąd go znałem, bo jak zdaje się już mówiłem, czejeńscy wodzowie nie grają na pokaz; zazwyczaj są na oko najprzeciętniejszymi Indianami. Swoją pióropusz wódz trzymał w okrągłym pudle z niegarbowanej skóry, wiszącym na żerdzi tipi.

— Może chciałbyś go obejrzeć? — pyta mnie. — Jest bardzo piękny i przypomina mi walki z czasów młodości. — Tu naprawdę zaczął otwierać pudło.

— Kiedy indziej, dziadku — powiadam przerzucając sobie ramię pudła przez ramię.

W tym czasie kilka karabinków zaczęło szpikować nasze tipi ołowiem, brzmiało to tak, jakbyśmy siedzieli w ulu. Czy wychodzimy? Nie, bo Skóra Ze Starego Szałas musi najpierw zabrać swój święty łuk i kołczan ze strzałami, potem jakiś szczególny koc i oczywiście rożek z prochem, i woreczek z kulami, fajkę i pudełko z tytoniem. Stoję obładowany tymi duperelami, a tymczasem kawaleria Stanów Zjednoczonych roznosi nasz szałas na strzępy.

Zaczynam kląć po angielsku i wyc po czejeńsku i usiłuję wypchnąć starego przez dziurę, jaką wyciąłem w ścianie, ale na próżno, stoi jak wrośnięty w ziemię i obwiesza się resztą swojej biżuterii: bransoletami, naszyjnikiem z niedźwiedziej pazurów, napierśnikiem z drobnych kostek i tak dalej.

Teraz żołnierze podpalają szałas od przodu. Chyba mógłbym się w tym momencie rozpląkać. Nie obchodziło mnie już, że mogę zostać zabity, myślę, że nawet

przyjąłbym śmierć z ulgą, ale nie mogłem znieść tego oczekiwania. Mówię o płaczu, ale równie dobrze mógł to być śmiech. Tak czy inaczej, coś histerycznego.

— Chodź, mój synu — powiada on — nie możemy stać w tym tipi przez cały dzień. Żołnierze zaraz go spalą.

Tak więc w końcu to on mnie wyprowadza, nogi mam jak z waty. Oczywiście nawet kawaleria nie była tak głupia, żeby atakować szałas tylko od drzwi. Od tyłu też stali. Wyszliśmy prosto na trzech żołnierzy, którzy strzelali do nas z tak bliska, że aż dziw, dlaczego nie opaliło nam włosów.

Mogę tylko stwierdzić, że chybili, i podczas gdy przeraźliwy huk wystrzałów wciąż jeszcze dźwięczał w moich obolałych bębenkach, usłyszałem głos Skóry Ze Starego Szałasu:

— Nie zwracaj na nich uwagi, mój synu.

Zobaczyłem teraz, że to nie jest dzień naszej śmierci.

Jeżeli masz choć trochę rozsądku, nie uwierzysz w moją opowieść o tym, jak dotarliśmy do rzeki. Ja sam w to nie wierzę. Ale w takim razie musisz znaleźć inne wyjaśnienie tego, co się stało, bo oto jestem tu dzisiaj, widocznie więc przeżyłem bitwę nad Washitą w roku tysiąc osiemsetnym sześćdziesiątym ósmym.

Skóra Ze Starego Szałasu oddał mi karabin i trzymając przed sobą w dwóch rękach swój tobołek z czarami zaczął śpiewać. I zobaczyłem wtedy, że żołnierze nie patrzą na nas, i minęliśmy ich, a oni dali jeszcze raz ognia do dziury, z której wyszliśmy. Usłyszałem, jak jeden z nich mówi: „Załatwiliśmy ich wszystkich, chłopcy. Chodźmy zajrzeć.” Inny jednak uważał, że powinni jeszcze trochę postrzelać, nadal więc szpikowali ołowiem puste tipi.

Wódz wolno kroczył przed siebie, prosto ku rzece, śpiewając zaklęcia i trzymając wysoko zawiniątko z czarami. Wioska była teraz pełna żołnierzy, przeważnie spieszonych, ale częściowo też konnych, co nam nie robiło żadnej różnicy. Szliśmy prosto przez nich nie wywołując najmniejszego zainteresowania z ich strony, chociaż głos wodza rozbrzmiewał głośno, przechodząc od głębokiego gardłowego do piskliwego falsetu, a wzrokowo też stanowiliśmy ciekawostkę nawet w obozie Czejenów: przodem Skóra Ze Starego Szałasu, a za nim ja z umazaną na czarno twarzą, z jasnymi włosami, w nogawicach i kocu, z całym tym śmietnikiem na plecach i dwiema nie nabitymi strzelbami.

Tak zbliżyliśmy się od tyłu do linii żołnierzy strzelających do Indian, którzy bronili brzegu. Cała akcja przesuwała się w dół rzeki, w miarę jak Czejenowie powoli się wycofywali. Główna grupa kobiet i dzieci znikła już z pola widzenia, chociaż tu i ówdzie jacyś maruderzy brodzili jeszcze w lodowatej rzece.

Wodzowi udawało się jak dotychczas i nie miałem pojęcia, dlaczego nas nie zauważono i nie zastrzelono, chyba że sama bezczelność naszego zachowania czyniła nas niewidocznymi, ale czyżby chciał przejść przez linię żołnierzy i wkroczyć w krzyżowy ogień? Tak zrobił i przeszliśmy nietknięci, chociaż jakby w akompaniamencie do jego śpiewu słyszałem stale gwizd ołowiu koło uszu. Ale stała się jedna rzecz: Indianie przestali strzelać, póki nie doszliśmy do brzegu. Oni nas widzieli i myślę, że ta jedna rzecz uratowała mnie przed trwałym uszkodzeniem mózgowicy przez to przeżycie. To i szok po wskoczeniu po pas w lodowatą wodę; co odczułem, jakby mnie od stóp do pępka obdarto ze skóry.

Jak tylko ja i Skóra Ze Starego Szłasasu znaleźliśmy się w wodzie, pozostali Indianie popchnęli nas w dół rzeki za kobietami i dziećmi. Ktoś powiedział: „Wydźcie z wody przed wielkim zakrętem, bo tam nie ma gruntu od brzegu do brzegu.”

Widocznie uznali mnie za osobistą pielęgniarkę, ślepego wodza. Ociągałem się na myśl o tym, że Promyk Słońca i Gwiazda Poranna, z tego, co wiem, nadal ukrywają się pod skórą w naszym szłasie. Ale nie mogłem nic dla nich zrobić. Żołnierze opanowali już całkowicie wioskę i teraz zgarniali kobiety i dzieci, które ani nie stawiały oporu, ani nie uciekały. Niewątpliwie wkrótce musieli znaleźć i dołączyć do reszty również moją dwójkę, i próbując ich teraz uwolnić osiągnąłbym tylko tyle, że rozstrzelano by mnie jako renegata lub zabito od razu przed ustaleniem mojej tożsamości.

Tak więc odeszliśmy korytem rzeki, wódz i ja, i tym razem już ja go prowadziłem, a nie *vice versa*, jak to było dotychczas, bo ocknął się ze swojego transu, kiedy wszedł do wody, i z chwilą gdy największe niebezpieczeństwo minęło, stał się znów ślepym starcem, co jak myślę, było dla niego typowe. Najlepszy bywał w obliczu zagrożenia. Trzymając się poniżej brzegu zyskiwaliśmy osłonę od strzałów i posuwaliśmy się szybko, chociaż po pewnym czasie w tej lodowatej wodzie miałem ciało jak z kamienia.

Brodziliśmy tak przez jakieś trzy czwarte mili, aż dogoniliśmy kobiety z dziećmi, które wyruszyły wcześniej, ale ich marsz wstrzymywały mniejsze dzieci, bo woda sięgała im nieraz i po szyję. Rzuciłem cały szmelc, jaki dźwigałem dla Skóry Ze

Starego Szalasu, włącznie z naszymi dwiema strzelbami, i wziąłem na ramiona małego chłopca. W ten sposób przebyliśmy jeszcze milę z okładem do zakrętu w kształcie podkowy i tam wszyscy wyszliśmy z wody, chcąc uniknąć głębokiego odcinka, przeciąć język łądu w łuku rzeki i znów wejść do wody.

W mokrym ubraniu było mi wściekle zimno. Postawiłem na ziemię chłopca, który dołączył do matki i reszty rodzeństwa, ale nie uszliśmy daleko, kiedy kobieta usiadła i rwąc na pasy swoją suknię owijała nimi stopy dzieci, niewątpliwie bliskie odmrożenia, chociaż żadne z nich ani pisnęło.

I wtedy wpadła na nas od tyłu kawaleria. Dowiedziałem się później, że był to oddział dowodzony przez majora Joela Elliota, którego Custer wysłał w dół rzeki w celu rozbicia dużego zgrupowania Czejenów na południowym brzegu, poniżej naszej wioski. Było z nami trzech uzbrojonych wojowników dla ochrony i jeden z nich, imieniem Mały Kamień, który miał stary karabin, zastrzelił konia pod jednym z atakujących, a w sekundę później sam padł od kul żołnierzy.

Kobiety z dziećmi rzuciły się na powrót do rzeki i muszę przyznać, że ja też. Kiedy Mały Kamień padł, pomyślałem, że pójdę podnieść jego broń i spełnię męską powinność, ale uprzedził mnie jeden z dwóch pozostałych wojowników.

Kobiety i dzieci były już prawie wszystkie w wodzie poniżej zakrętu, a ja i Skóra Ze Starego Szalasu spuszczaaliśmy się ze stromego brzegu, żeby do nich dołączyć, kiedy ktoś z góry krzyknął: „Możecie wracać. Otoczyliśmy ich.”

Wepchnąłem więc starego wodza z powrotem na górę, a wydał mi się przy tym dużo lżejszy, niż przy schodzeniu w dół.

— Daj mi moją strzelbę — powiedział z ożywieniem wręczając mi swój tobołek z czarami. — Chcę zabić kilku żołnierzy, zanim młodzi ludzie skończą ich wszystkich.

— Zostawiłem ją po drodze — powiedziałem i skorzystałem z okazji, żeby się oddalić.

Było teraz w pobliżu dość kobiet, żeby mu pomagać, i wielka gromada Czejenów nadciągała z południa, podczas gdy inni odcięli żołnierzy od rzeki i zepchnęli ich w wysoką trawę na pochyłości wznoszącej się ku skałom.

Żołnierz zwalony z konia strzałem Małego Kamienia zatrzymał się, żeby wziąć do niewoli kobietę, która bandażowała nogi swoim dzieciom. Zwlekała z tym tak długo, póki nie został otoczony. Zobaczyłem ludzką falę, która go zalała, a kiedy Indianie się rozstąpili, leżał nagi i czerwony na udeptanym śniegu.

Oddział Elliota spieszył się i rozpuścił konie, które rozbiegły się po dolinie, a żołnierze zalegali w wysokiej trawie, gdzie byli niewidoczni i zdradzał ich tylko dym wystrzałów. Utrzymywali ciągły ogień, ale był on paniczny i niecelny, większość strzałów szła prosto w zimowe niebo i kiedy Indianie to zauważyli, przestali się kryć, podjechali i zaczęli ich mordować jak kurczęta, a kobiety i dzieci zbliżyły się, żeby sobie popatrzeć. Cała walka trwała może ze dwadzieścia minut i pod koniec widziało się tylko tłum czejeńskich pleców schylających się i zadających mordercze ciosy.

Nie wiem, czy widziałeś kiedyś rzeź w zimie. Nie jest to ładny widok o żadnej porze roku, ale na mrozie krew szybko zamarza i ciało sztywnieje, zanim się człowiek obejrzy. Jak się zagapisz, trzeba nieboszczykowi wylamywać ręce, żeby z niego ściągnąć koszulę.

Wspominam o tym nie dla makabrycznego efektu, ale żeby wyjaśnić motyw myjego pośpiechu: chciałem mieć jeden z tych mundurów. Indian było czterdziestu do pięćdziesięciu, a ciał do podziału tylko piętnaście. Dopisało mi szczęście, bo trafiłem na Młodsze Niedźwiedzia pracującego na klęczkach nożem. Uświadomiłem sobie wtedy, że był on jednym z tych dwóch lub trzech wojowników, którzy pierwsi wjechali między żołnierzy. Miał na głowie wielki pióropusz wojenny, którego nie rozpoznałem. Lewy rękaw jego koszuli był zaczerwieniony i krople krwi kapąły z frędzli na nos i wargi skalpowanego nieboszczyka. Pocił się również obficie, bo widocznie nóż miał tępy, a lewą rękę za słabą, żeby ściągnąć odcinaną skórę.

Mimo to zachował spokój. Zobaczył moje nogawice i nie podnosząc wzroku powiedział:

— Ty ciągnij, ja będę ciął.

Co zrobiłem. Klęknąłem i złapałem jasnobrazowe, dość delikatne włosy białego nieboszczyka. Był chyba bardzo młody. Usta miał otwarte w bezgłośnym krzyku. Starąłem się nie przyglądać mu zbyt długo, bo mógł się okazać kimś, kogo kiedyś znałem, a w tym, co robiłem, nie było nic osobistego. W końcu pokrycie jego czaszki puściło i byłem wdzięczny Młodsze Niedźwiedziowi, że je czym prędzej ode mnie odebrał.

— Widziałem cię, jak atakowałeś — powiedziałem. — To było odważne.

Niedźwiedź otarł pot z czoła i zostawił na jego miejscu wielką krwawą smugę. Westchnął i wzruszył ramionami, ale był zadowolony. Wręczył mi swój nóż i powiedział jak do gościa, przed którym stawiają pieczonego indyka:

— Weź sobie coś. Ma ładny pierścień na lewej ręce.

— Przydałaby mi się koszula i buty — stwierdziłem.

Zrobił gest, jakby chciał powiedzieć „poczęstuj się”, zdjąłem więc z żołnierza mundur i buty, a potem znalazłem opodal jego kapelusz. Zwinąłem te rzeczy i wsunąłem je pod pachę, a Niedźwiedź wrócił do swojej pracy. Żołnierz leżał teraz w wełnianej bieliźnie. Nie wiedząc o tym oddał mi przysługę i pomyślałem, że spróbuję mu się odwdziaczyć, chociaż o tym może się też nigdy nie dowiedzieć. Powiedziałem do Niedźwiedzia:

— Lepiej zawiąż sobie tę rękę, zanim wykrwawisz się na śmierć.

Spojrzał, jakby dotąd o niczym nie wiedział, pomacał mięsień palcem i skrzywił się.

— Chodź — powiedziałem. — Gdzie jest twój koń?

Wtedy zobaczyłem jego konia i ktoś to cierpliwie trzymał wodzę, jeżeli nie Olga? Był z nią też mały Gus, który obserwował Indian zbierających swoje krwawe trofea i wywijał małym drewnianym nożykiem naśladowując procedurę skalpowania. Myślę, że miałby ochotę zabrać się do prawdziwej roboty, ale Olga powstrzymywała go drugą ręką, to muszę jej przyznać. Niedźwiedź jeszcze przez jakąś minutę kończył coś, czego wołałem nie oglądać, aż wreszcie wstał.

— Dobrze — powiedział. — Idę, a ty możesz sobie wziąć resztę. Dziękuję za pomoc.

Wyciągnął do mnie rękę, uściśnąłem ją i tak zostałem, bo to nie była jego ręka tylko tego żołnierza, którą odciął i wsunął sobie do rękawa.

— Ha ha ha! — krzyknął. — Dobry kawał! Zaśmiewając się podszedł do Olgi niosąc skalp i ciągnąc za sobą długą bieliznę żołnierza jak całą ludzką skórę.

Teraz musiałem ubrać się w mundur. Delikatna sprawa, bo wkładając go na grzbiet natychmiast stawałem się obcym dla Indian, ale w innym stroju nie mógłbym wrócić do wioski. Moim celem było, rzecz jasna, odnalezienie Promyka Słońca i dziecka. Zapewne wzięto ich już do niewoli. Mając na sobie niebieski mundur mogłem do nich dotrzeć i w bitewnym zamieszaniu mieliśmy szansę dostać się do wzgórz. Nikt nie zaczepiłby żołnierza popędzającego przed sobą Indiankę z niemowlęciem na plecach.

Zakończywszy swoje rzeźnicze sprawy, w wysokiej trawie Czejenowie ruszyli dalej z biegiem rzeki. Zobaczyłem wśród nich ślepego wodza prowadzonego przez

kobietę, nie, przez Małego Konia, jego własnego syna przecież. Wszystko więc było w porządku. Zrobiłem, co należało, i teraz mogłem zająć się swoją rodziną.

Strzelanina ucichła poza pojedynczymi odgłosami daleko w dolinie, dym unoszący się nad obozem miał kolor czarny od płonących szałasów. Nasi ludzie kierowali się ku innym wioskom w dolnym biegu Washity. Nie sądziłem, żeby żołnierze zamierzali ścigać ich w tym kierunku, bo robiło się już późno, a na wysokim brzegu po drugiej stronie rzeki widziałem oddział konnych Indian, którzy zapewne przybyli z dalej położonych obozów, żeby opóźnić marsz wojska. W tej dolinie stało tysiąc pięćset szałasów, z czego tylko nieco ponad pięćdziesiąt w wiosce Czarnego Kociołka i Skóry Ze Starego Szalasu. Ale te inne obozy były rozciągnięte na przestrzeni dziesięciu mil w sporych odległościach jeden od drugiego. To chyba nad Washitą Indianie nauczyli się innego obozowania, bo w osiem lat później nad Małym Wielkim Rogiem nie zostawili między kręgami swoich tipi odstępów, przez które Custer mógłby się przedostać.

George Armstrong Custer. Do tego czasu nigdy o nim nie słyszałem, choć, jak rozumiem, zabłysnął już w czasie Rebelii. Jest to coś, z czego może nie zdawałeś sobie sprawy; Indianie prawie nigdy nie wiedzieli, kto ich atakuje. Dowiadywali się dopiero po bitwie, i to nie zawsze. Popatrz, co mnie się przydarzyło tego dnia — widziałem z bliska tylko dwóch żołnierzy: tego, który strzelał w tipi Skóry Ze Starego Szalasu, i tego, który padł ofiarą Młodszego Niedźwiedzia. Zostaliśmy zaatakowani o świcie przez białych w niebieskich mundurach. Nikt nie wiedział, kto nimi dowodzi, nikogo to nie obchodziło. Później, przy jakimś następnym traktacie, dowódca żołnierzy będzie pewnie obecny i zwróci się do Czejenów ze słowami: „Pamiętacie, jak was pobiliśmy nad Washitą.” Co będzie dla Indian pierwszą informacją na ten temat.

Potem będą nazywać tego człowieka nie jego białym nazwiskiem, ale od jakiegoś szczegółu jego wyglądu podczas tego spotkania. I tak generał Crook znany był jako Trzy Gwiazdy, generał Miles jako Niedźwiedzie Futro, a generała Terry niektórzy nazywali Tym Innym, pewnie dlatego, że zabrakło im imion.

Kiedy Czejenowie i ich sojusznicy zetknęli się z Custerem, nazwali go Długie Włosy, ale myślę, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent osobników w plemienu nie rozpoznałoby go w paradnym stroju na czele oddziałów. A nawet wodzowie plemion, z którymi się spotykał, nie poznałoby go z krótkimi włosami. Ten czas dopiero miał nadejść.

Na razie podążałem za moimi indiańskimi towarzyszami, którzy posuwali się z biegiem Washity. O Custerze nigdy nie słyszałem, ale mosiężna odznaka na kapeluszu polowym zabitego żołnierza powiedziała mi, że należał do kompanii G Siódmego Pułku Kawalerii. A gdybym się tak natknął na ludzi z tej samej kompanii? Odpiąłem ją i wyrzuciłem, a potem nożem zrobiłem w tym miejscu dziurę niby od kuli.

Musiałem jednak dopiero włożyć ten mundur, choć inni Indianie, którzy obdarli żołnierzy, poubierali się już w zdobyczne artykuły: tutaj wojownik w kurtce sierżanta, tam mały dzieciak noszący szarą flanelową koszulę wojskową jak suknię, ówdzie kobieta w wełnianych kalesonach włożonych na jelenie skóry.

W końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie teren był pofałdowany, tam przyklęknąłem udając, że muszę zawiązać mokasyn, i odczekałem, aż ostatni Czejen zniknął za pochyłością. Wtedy przeczołgałem się dwieście jardów przez przysypaną śniegiem trawę, wstałem, rozejrzałem się, wybrałem najkrótszą drogę do rzeki, zanurzyłem się jeszcze raz w lodowatej wodzie, która w tym miejscu sięgała mi po szyję. Robiłem, co mogłem, żeby utrzymać mundur nad wodą, i kiedy dotarłem na drugi brzeg, był suchy. Dla samego ciepła z radości zamieniłem na niego swoją skórzaną odzież, która zamarzała na sztywno po każdym kroku.

Pamiętałem też, żeby zetrzeć czarną farbę z twarzy; to, co zostało, mogło wyglądać dość naturalnie jako kurz bitewny. Jak się może domyśliłeś, ubranie było na mnie za duże. Otóż spodnie i koszule noszono w wojsku luźne, ale kurtki kawaleryjskie były dopasowane. Musiałem dla zamaskowania sytuacji zostawić swoją rozpiętą mimo mrozu. Moje stopy miały tyle miejsca, że mogły tańczyć każda w swoim bucie, a kapelusz był za luźny nawet po ściągnięciu taśmy.

Tak czy inaczej, byłem gotów i wysunąłem głowę z kępy krzaków służącej mi za przebieralnię. Stwierdziłem, że patrzę wprost na czejeńskiego wojownika, który z odległości dwudziestu jardów posłał strzałę w moją stronę, zanim zdążyłem mrugnąć. Zdawało się, że strzała wędruje przez atmosferę całkiem wolno, ale rzecz w tym, że mój unik miał podobny, charakter, jakbym był zanurzony w kadzi z melasą. Trójkątny: żelazny grot z ostrymi jak brzytwa skrajami miał wyraźny pociąg do mojego nosa i zmierzał tam, gdzie ja skierowałem ten swój organ. W każdym razie takie miałem wrażenie. Zdawało mi się, że wykonuję salto za saltem, a ta tresowana strzała powtarza każdy mój obrót w odległości cala od mego nosa. W rzeczywistości wszystko, co się działo, trwało mgnienie oka, strzała znikła. Czejen leżał martwy twarzą w dół, a podjeżdżał do mnie kapral kawalerii z dymiącą bronią.

— Dobry Boże — powiedział — to już nie miałeś gdzie robić kupy? — Uznał, że to właśnie robiłem w krzakach, i w odpowiedzi mogłem się tylko uśmiechnąć. — Wsiadaj — powiedział wskazując zad konia. — Czy to cię nie boli?

Wtedy dopiero dostrzegłem, że tamta strzała utkwiała w rondzie mojego kapelusza tuż przy prawej skroni, tak że niewiele brakowało, a byłbym draśnięty. Z punktu widzenia żołnierza wyglądało to zapewne, z tymi piórami z przodu i grotem z tyłu, jakbym miał przebitą czaszkę. Wyrzuciłem strzałę, wsiadłem za nim na konia i ruszyliśmy do wioski.

Wkrótce wjechaliśmy między szalasy na skraju obozu i mój żołnierz zbliżył się do grupki umundurowanych postaci, tam zsiadliśmy z konia i on zasalutował.

— Panie generale — powiedział — byłem na zwiadzie.

— Zaczekajcie — przerwał mu oficer, do którego się zwrócił, i spojrzał na mnie.

Stałem i rozglądałem się, bo wszędzie kręcili się żołnierze, rabowali szalasy, spędzali czejeńskie kobiety i dzieci w jedną gromadę, zaganiali indiańskie konie. Nie poznawałem miejsca, w którym mieszkałem przez kilka tygodni.

— Żołnierzu — rozkazał oficer — podejdźcie no tutaj.

Zrozumiałem, że chodzi mu o mnie, i podszedłem. Był bardzo przystojny, wysoki, dobrze zbudowany i pamiętam, że na kołnierzyku niebieskiej flanelowej koszuli widniały wyhaftowane z każdej strony po dwie gwiazdy. Miał blond wąsy i jasne włosy tak długie, że z tyłu sięgały mu prawie do ramion. Jego oczy były lodowato niebieskie, a brwi tak blade, że widziało się je tylko dzięki ich krzaczastości.

— Zapnijcie tę kurtkę! — rzucił głosem jak skrobnięcie po desce.

Zaczynam to robić.

— Uważajcie się za aresztowanego. Podajcie swoje nazwisko sierżantowi straży — mówi on.

Teraz żołnierz, który mnie przywiózł, oddaje mi jeszcze jedną przysługę.

— Za pozwoleniem pana generała — mówi — znalazłem tego człowieka w krzakach i musiałem zabić Indianina, żeby go uratować. Został biedak trafiony strzałą w głowę i chyba trochę mu się pomieszało.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Zwiesiłem głowę na bok, wybałuszyłem oczy i wywiesiłem język.

Przez twarz generała przebiegł skurcz zniecierpliwienia.

— Zabierzcie go stąd — powiedział. — Tu jest sztab polowy, a nie laboratorium psychiatryczne.

— A teraz — ciągnął mój wybawca — jeżeli pan generał zechce wysłuchać mojego raportu ze zwiadu...

— Nie, nie chcę — odpowiedział oficer. — Nie może to być nic ciekawego, skoro zamiast obserwować ruchy nieprzyjaciela zajmowaliście się ratowaniem wariatów. — Gwałtownie odwrócił się do nas plecami i powiedział do pozostałych: — Postanowiłem zastrzelić zdobyczne konie.

Jednym z oficerów był krępy, dobrotliwie wyglądający osobnik z bujną siwą czupryną wymykającą się spod czapki. Zauważyłem, że przygląda mi się z lekkim rozbawieniem, jakby domyślał się, o co chodzi. Teraz jednak poruszyły go słowa generała i zaczął protestować.

— W tym stadzie jest osiemset koni — powiada. — Czy nie lepiej zachować amunicję na...

— Postanowiłem je zastrzelić — mówi generał — i nie potrzebuję pańskich sugestii w tej sprawie, Benteen.

Benteen posyła mu spojrzenie pełne nie ukrywanej pogardy, a potem mówi do brodatym głosem do kaprała, który nadal stał obok mnie:

— Weźcie piętnastu ludzi i rozstrzelajcie wszystkich naszych czworonogich jeńców. A jak wam zabraknie amunicji, możecie pójść za te pagórki pożyczyć sobie trochę od Czejenów.

Kaprał saltuje, ja też, a on, słowo dając, puszcza do mnie oko. Generał tego nie widział, przechadzał się energicznie w swoich eleganckich butach rzucając rozkazy różnym oficerom i żołnierzom, a jeden z nich był widocznie szefem orkiestry, bo wkrótce rozległa się muzyka.

Kiedy odeszliśmy kawałek, kaprał mówi:

— Co cię napadło, że dałeś się Twardej Dupie przyłapać z rozpiętą kurtką? Kawał skurwiela, co? Sam bym zapłacił Czejenowi, który by mu posłał kulkę w jego ważniackie serce.

— Za to ten Benteen jest niezły — powiedziałem.

— Niezły? — wykrzyknął kaprał rozłoszczony moim sformułowaniem. — Znam ludzi z jego kompanii, którzy obiliby cię, gdybyś nie przyznał, że jest najlepszym oficerem, jaki kiedykolwiek jeździł w zafajdanej kawalerii Stanów Zjednoczonych.

— To właśnie miałem na myśli — mówię, a naprawdę myślałem tylko, jak by się od niego uwolnić i pójść tam, gdzie spędzono więźniów.

— Widziałeś, jak spojrział na Custerą? Widać od razu, że ma go gdzieś. Rangi się nie przeskoczy, ale nie trzeba też padać przed nią na nos i pułkownik się nie daje. Teraz martwi się o majora Elliota. Twarda Dupa nie chce wysłać patrolu na jego poszukiwanie. To właśnie robiłem, kiedy natknąłem się na ciebie. Nie widziałeś go gdzieś?

— Nie — powiedziałem i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że to pewnie Elliota i jego oddział Czejenowie wyrznęli w trawach za rzeką. Dobrze, że zerwałem tę odznakę z kapelusza.

— Benteen i Elliot służyli razem na wojnie — powiedział kapral. — A teraz musimy wystrzelać te konie. Znajdź swoją broń i dziękuj Bogu, że Custer nie zauważył, że ją zgubiłeś. Kazałby cię rozpiąć na śniegu.

— Zostawiłem ją z resztą maneli — mówię, bo poznałem ich gwarę, kiedy żyłem wśród żołnierzy po bitwie pod Rzeką Salomona. — Pójdę po nią.

— Dobra, i wracaj biegiem, będę miał na ciebie oko — powiada wchodząc w rolę podoficera. Tak to u białych idzie z rangą. Zapomniałem już, jak szybko mogą się zmieniać wzajemne stosunki.

Gdy tylko oddzieliło mnie od niego kilka koni i paru ludzi, skierowałem się do zagrody dla jeńców. W środku wioski pozostawiono kilka szałasów, do których spędzono kobiety i dzieci. Słyszałem, jak zawodziły żalobną pieśń śmierci Czejenów. Tipi były rzecz jasna otoczone wartownikami i spodziewałem się pewnych trudności w dostaniu się do nich, bo nie mogłem przecież zdradzić prawdziwego celu mojej wizyty.

W dodatku nie chciałem, żeby mnie ktoś przyłapał i posłał do jakichś obowiązków. Moja niedawna trudna sytuacja białego wśród Indian była niczym w porównaniu z tym, jak czułem się teraz, w ogromnych buciskach, w kapeluszu, który trzymał się tylko na uszach, i w kurtce, która odstawała mi od ciała jak pusta beczka.

Ale w tym momencie przypomniałem sobie sztuczkę Skóry Ze Starego Szalasu z przejściem przez krzyżowy ogień, co nawiasem mówiąc, było jedynym znanym mi przypadkiem, kiedy jego czary podziałały przeciwko białym. Pewnie dlatego, że ani na chwilę nie stracił pewności siebie, w czym, jak myślę, pomogła mu ślepotą, bo żadne widoki nie rozpraszały jego uwagi. Ja nie zamknąłem wprawdzie oczu, ale wprawilem

się w stan koncentracji: nadąłem się, żeby wypełnić mundur, i dziarsko podszedłem do sierżanta stojącego przy wejściu do jednego z szałasów.

— Generał Custer przysyła mnie w celu przesłuchania jeńców — powiedziałem.

— Dobrze — mówi i odsuwa się. Ale zanim zdążyłem wejść, łapie mnie za łokieć i przykłada mi wąsy do ucha. — Posłuchaj powiada — szepnij za mną słówko do którejś z tych młodszych squaw, a nie pożałujesz. Przecież, jak mówisz po indiańsku, to dla ciebie żaden kłopot. Powiedz jej, żeby po zmroku podeszła do wejścia, to dam jej prezent. — Klepnął mnie w ramię i wszedłem do środka.

Tipi było zatłoczone czejeńskimi kobietami i dziećmi tak gęsto, że nikt nie mógł usiąść. Stały patrząc na mnie zawinięte szczelnie w koce, wiele żon rozplotło warkocze, żeby łatwiej im było wrywać włosy na znak żałoby. Inne z tego samego powodu wydrapały sobie długie bruzdy na policzkach, a falujące zawodzenie pieśni śmierci nie ucichło po moim przybyciu. Tylko mniejsze dzieci na widok mojego munduru objęły nogi matek i pochowały małe brązowe główki w kocach.

Pewna stara kobieta zawodziła wysokimi piskami, póki jej nie zabrakło powietrza, a wtedy ją zatykało i krzyczała innym głosem na wdechu, aż płuca jej się wypełniły i mogła znów zawodzić pozytywnie. Po jakiejś minucie, podczas której nic nie mówiłem, przerwała swoje i powiedziała do mnie:

— Odejdź i pozwól nam umrzeć z rozpacz.

Wyszło na jaw, że ta wypowiedź, chociaż może i dość szczerą na dłuższą metę, miała również specyficzny cel upewnienia się, czy rozumiem ich język, bo skoro tylko dałem do zrozumienia, że tak, zawisła na rękawie mojej kurtki i przerwała zawodzenie słowami:

— Jestem siostrą Czarnego Kociołka. Mówiłam mu, że spadnie na niego kara, jak nie powstrzyma naszych młodych ludzi od wypraw przeciwko białym. Ale on nie chciał słuchać. „Zamknij się, głupia babo”, mówił. A czy nie miałam racji? Czarny Kociołek nie żyje i wszyscy nasi wojownicy, i my, bezbronne, też zginiemy zabite przez żołnierzy. Mówiłam mu, że niedobrze jest wojować z białymi ludźmi, którzy zawsze byli naszymi przyjaciółmi. Oni są dobrzy, wspaniali i rozumiem, za co ukarali niedobrych Ludzi. Ale my, kobiety, nie mogłyśmy nic zrobić, a teraz będziemy musiały cierpieć za naszych złych mężczyzn.

— Zamknij się, głupia babo — powiedziałem.

Znałem ją, chociaż siwa, nazywała się Czerwone Włosy i, prawdę mówiąc, pierwsze słyszałem, że jest siostrą wodza. Nie twierdzę, że kłamała, ale jeżeli mówiła prawdę, to była to jedyna cząsteczka prawdy w całej jej tyradzie.

Nie myśl, że mam o to do niej pretensję, nie, bo obrała dobrą linię postępowania i zastosowała ją później z pewnym powodzeniem na samym generale Custerze, ale ja co innego miałem na głowie.

W pewnej chwili ta baba przerywa swoje zawodzenie i mówi:

— Czy chcesz, żeby piękna młoda dziewczyna przyniosła do twojego szałasus księżyc i gwiazdy dziś w nocy?

Ja przez cały ten czas rozglądałem się po twarzach dokoła, ale nie znalazłem Promyka Słońca.

— Nie mają zamiaru was zabijać — mówię — możesz więc przestać obracać językiem na dwie strony. Gdybyś nie była tak zajęta wymyślaniem kłamstw, poznałabyś mnie. Wiesz, że nie jestem żołnierzem. Wracam od reszty naszych, którym pomagałem przedostać się w dół rzeki, a ubrałem się tak, żeby móc przejść między niebieskimi kurtkami.

Stara jęzda patrzy na mnie, chytrze mrużąc oczy.

— Jasne, że wiem, kim jesteś, ale nie myślałam, że zostałeś zdrajcą. — To swobodne tłumaczenie. W rzeczywistości było tam o tym, że na widok mięsa zostałem psem białych ludzi.

— Szukam swojej żony i dziecka, stara babo, i chcę ich odnaleźć, zanim dojdą do twojego wieku, kiedy mózg kurczy się i rozpada na proszek, który wieczorny wiatr wydmuchuje przez uszy.

Zaczynała ją bawić ta wymiana zdań, jak to bywa z podobnymi żoźzami, zaczęła więc podawać w wątpliwość moją męskość i tak dalej, jakbyśmy sobie gwarzyli wśród normalnego indiańskiego życia o tysiąc mil od kawalerii Stanów Zjednoczonych, bo czejeńskie kobiety, twarde z natury, z wiekiem jeszcze twardniały. Ta była zawziętą starą wiedźmą i niechby jej dać nóż., a rozplatałaby tego napalonego sierżanta od pępka do gardła, gdyby tylko uznała, że może jej to ująć na sucho. W istniejącej sytuacji mogła posłużyć mu za rajfurkę. Postanowiła żyć najdłużej jak się da i nie mogłem nie czuć do niej za to szacunku.

Nie wiedziała nic o Promyku Słońca i po sprawdzeniu pozostałych służących za więzienie tipi z podobnym rezultatem poszedłem na drugi koniec wioski, gdzie stał

mój szalas, czując, jak straszliwe przecucie rozdziera mi wnętrzności. Ale nie znalazłem tam nic poza popiołem naszego ogniska, kilkoma skrawkami owczej skóry czy kłakami sierści bizona. Żołnierze ściągnęli wszystkie tipi na jedno miejsce i spalili je z całym dobytkiem, którego nie dało się ukraść, na wielkim stosie nad brzegiem Washity, którego dym widziałem z daleka. Teraz ognisko było już tylko parującą szaroczną kupą otoczoną żółtym kręgiem stopionego śniegu.

Na pastwisku zaczęto rozstrzeliwać te osiemset koni i zrobiło się tam zamieszanie, bo widocznie niektórych żołnierzy z oddziału egzekucyjnego zdenerwowały wspinające się, charczące i broczące krwią zwierzęta, które przesywane ołowiem wierzgały, jakby chciały sobie nawzajem powypruwać flaki, i wkrótce kule zaczęły fruwać po całym obozie, a żołnierze po drugiej stronie łąki klęli nie wiedząc, co się dzieje. Myślę, że poskarżyli się Custerowi, bo widziałem, jak przejeżdżał, a jakiś oficer coś tłumaczył jego sztywnym plecami, ale on jak zwykle nie słuchał, a kiedy dojechał do stada, sam zastrzelił kilka koni z pistoletu, pewnie, żeby pokazać, jak to należy robić.

Orkiestra wciąż grała. Następnie poszedłem tam, gdzie kopano zbiorową mogiłę dla Indian, którzy zginęli w obozie. Ciała leżały rzędem, nadal ubrane, pozbawione jedynie naszyjników i innych drobiazgów nadających się na pamiątki. Tylko nieliczne były oskalpowane, innych oznak profanacji zwłok nie widziałem. Jedno trzeba powiedzieć: to nie był Piaszczysty Potok i ci Ludzie byli żołnierzami, a nie ochotnikami. Zawodowcy są zawsze mniej okrutni niż amatorzy.

Zobaczyłem jeszcze raz Czarnego Kociołka, już bez srebrnego medalu. Zobaczyłem młodą Wunhai i zobaczyłem Kopiającego Niedźwiedzia... Leżało tam siedemdziesiąt do osiemdziesięciu ciał, pewnie jeszcze więcej w krzakach i w lasku, gdzie nikt się nimi nie przejmował, poza tym Indianie w dole rzeki mogli znaleźć jeszcze innych.

Kobieta Kukurydza z dziećmi i mały Żaba widocznie uciekli rzeką, nie było ich tutaj. Ale co z Promykiem Słońca i Gwiazdą Poranną? Dzięki Bogu, nie znalazłem ich wśród zabitych. Z drugiej strony, kiedy poszedłem pomóc Skórze Ze Starego Szalasu, leżeli jeszcze pod skórą w tipi. Gdyby dostali się do rzeki później, zobaczyłbym ich, kiedy znalazłem się poniżej zakrętu.

Odszedłem od mogiły, zanim wrzucono do niej Wunhai i Kopiającego Niedźwiedzia. Pamiętam, że byłem poruszony i czułem, że gdybym został, sam wskoczyłbym do rowu razem z nimi. Wunhai wyglądała jak nieżywy ptaszek, ale

Kopiący Niedźwiedź nie umarła łatwą śmiercią, jak początkowo myślałem... Nie chcę o tym mówić, byłem przywiązany do tych kobiet. Może to tylko Indianki, ale były moje i nie na wiele im się przydałem.

Przeszukałem, zagajnik i zarośla, gdzie znalazłem trzy ciała, ale Promyka nie było i zawędrowałem aż pod skałki, gdzie wypatrzyły mnie strażę Czejenów i musiałem wziąć nogi za pas. Było ich tam tylu, że mogli odbić wioskę, zwłaszcza kiedy żołnierze zajmowali się rozstrzeliwaniem koni, paleniem rzeczy, spędzaniem jeńców i tak dalej, ale Custer wiedział, jak przyprzeć Indian do ściany. Była zima, a on spalił ich futrzane posłania. Żyli z jazdy konnej, a on pozabijał im konie. Trzymał w niewoli pięćdziesięcioro ich kobiet i dzieci. Przyglądali się temu bezradni.

Bali się, że napadnie teraz ich obozy w dole rzeki, i on o tym wiedział, postanowił więc ruszyć w tamtym kierunku, żeby trzymać ich w szachu i nie pozwolić zorganizować się do kontrataku. O tym dowiedziałem się później. Na razie, będąc w zagajniku, usłyszałem sygnały trąbek na zbiórkę. Po upływie chyba niespełna pół godziny cały pułk wyruszył z biegiem rzeki prowadząc jeńców na koniach ocalonych w tym celu z masakry i oczywiście orkiestra ryczała.

Nie wyjrzałem ze swego ukrycia ani, żeby im pomachać na pożegnanie, ani żeby zobaczyć, co robią. Było ich aż za dobrze słychać. W dolinie rzeki utwardzonej przez zimę możesz usłyszeć strzał z odległości pięciu mil. To teraz pomyśl, jak słychać orkiestrę dętą. Czejenowie w panice opuścili skałki, żeby dołączyć do rodzin. Custer miał sposoby, trzeba mu to przyznać. Wszystko, co robił, obwieszczało wszystkim innym żywym istotom: Ja wygrywam, ty przegrywasz.

Kiedy z odgłosu sądząc tylna straż dotarła do zakrętu rzeki, wróciłem na miejsce obozu. Przed odjazdem wojsko zważyło i podpaliło szałas, w których trzymano jeńców, i te jeszcze płonęły. Na łące leżały trupy ośmiuset koni, gdzieś jeszcze drgało jakieś kopyto. Z powodu chłodu nie dojrzały jeszcze do tego, żeby ściągnąć miłośników padliny, chociaż dostrzegłem trzy kojoty kręcące się w odległości pół mili, a wysoko na drzewie bawełnianym parę kruków. Ostry, przedwieczorny wiatr roznosił czarne strzępy ze stosu odpadków nad brzegiem rzeki.

Custer zastrzelił również wszystkie psy, które nie uciekły razem z Indianami. Ich małe trupy leżały rozrzucone wśród wystrzelanych nabożów, strzał i innego śmiecia. Śnieg i ziemia zostały obficie schlapane krwią, która wszędzie w cieniu zamarzała na jasnoczerwono, a tylko w słońcu wsiąkła i ściemniała.

Z kilkuset dusz jeszcze niedawno zajmujących to miejsce, pozostałem jako jedyny z żywych. Usiadłem na lodowatym brzegu Washity. Chociaż ta rzeka nie raz poznała już smak krwi, to czerwone plamy i smugi nie utrzymują się nigdy długo w żwawym nurcie, ale rozcieńczają się i spływają. I gdzieś o tysiąc mil dalej jakiś człowiek napije się wody i nieświadomie połknie cząstkę soku czyjegoś życia. Słońce zachodziło za niebieskim wałem dymu obramowanego złotem, jakby ktoś rozciągnął na zachodzie szarfę. Można by powiedzieć, że Custer zawiesił swoje barwy nawet na niebie.

Musisz wiedzieć, że nie siedziałem tam pogrążony w rozpacz czy nienawiści. Starłem się zrozumieć. Wyglądało na to, że jak tylko gdzieś zapuszczę korzenie, wszystko się wokół mnie rozpada. Miałem dwadzieścia sześć lat i, o ile pamiętałem, po raz pierwszy w życiu mogłem umiejscowić przyczynę mojego nieszczęścia w jednym człowieku.

Żyłbym sobie w tym obozie nad Washitą przez zimę, a kiedy na wiosnę wyrosłaby nowa trawa, złamalibyśmy traktat i ruszyli na północ polując po drodze na bizona i Paunisów, i może urządzilibyśmy znów obławę na antylopy, gdyby Skóra Ze Starego Szalasu był w nastroju i jeżeli kolej nie przepłoszyła całej zwierzyny, i tak aż do rzeki Proch, gdzie czekałyby nas dobre potyczki z Krukami, i polowania na niedźwiedzie, i wycinanie żerdzi na szałas w górach Wielki Róg. I przez cały czas miałbym cztery kobiety zaspokajające wszystkie moje zachcianki.

Uważałem, że za moją stratę odpowiedzialny jest generał Custer. Nie wiedziałem jeszcze, jak ani kiedy to zrobię, ale postanowiłem zabić skurwysyna.

19. NAD PACYFIK I Z POWROTEM

Co się stało z Promykiem Słońca? Skoro nie znalazłem jej ciała, to widocznie uszła z życiem. Może odczekała, aż kawaleria minie szalas, a potem wymknęła się i dotarła do skał? Była kobietą odważną i sprytną, lepszą niż ja w tego rodzaju przedsięwzięciach.

Indianin jest duchowo i umysłowo przygotowany do znoszenia podobnych klęsk. Oto z jednej strony planowałem zabicie Custer, a z drugiej uznałem, że nigdy już nie będę mógł mieszkać wśród Czejenów z tego powodu, że nie stać mnie na przeżycie następnej takiej masakry po stronie przegrywającej.

Podczas gdy siedziałem na brzegu Washity planując morderstwo, zapadły ciemności. Zrobiło się potwornie zimno, a ja miałem na sobie tylko flanelową koszulę i kawaleryjską kurtkę. Żołnierze zagrabili wszystkie koce i skóry z obozu poza tymi, które spalili, bo swoje płaszcze i chlebaki pozostawili tam, skąd rano ruszyli do ataku, a Czejenowie zrobili koło i zdobyli te rzeczy. Jeżeli już mowa o wyposażeniu, to trzeba było najpierw poszukać jakiegoś okrycia na swój grzbiet, bo inaczej pogoda mogła mnie załatwić, zanim zdążę wbić nóż w plecy Custer.

Poszedłem więc do szczątków szalasów, w których trzymano jeńców. Na szczęście znalazłem nie dopalony kawałek skóry z tipi. Uderzeniami zgasłem tłące się brzegi i zawinąłem się w niego. Była to skóra bizona oskrobana z włosa, nie dawała więc zbyt dużo ciepła. A tam nie tylko robiło się coraz zimniej, ale wyszedł księżyc i świecił na pole końskich trupów, do których dobrały się już kojoty. Zobaczyłem też wielkie widmowe kształty szarego wilka, bardzo niesympatycznego stworzenia, a odgłos kłów rozszarpujących bezwładne ciała, warkot i skowyt były nader nieprzyjemne.

Musiałem rozpalić ogień, bo widok takiej masy padliny podnieca wilka do rzucenia się na coś żywego. Grzebałem wśród popiołów szalasów w poszukiwaniu płonącego jeszcze węgla, kiedy usłyszałem tętent koni zbliżających się od strony dolnego biegu rzeki. Otóż Custer zrealizował swój blef grożąc wioskom w tamtym kierunku, Indianie zwinęli je i uciekli nie atakując go, a wtedy on zawrócił.

Wilki, kojoty i ja znikliśmy. Nie wiem, dokąd poszło tamto paskudztwo, ja schroniłem się w krzaki i bardziej słuchałem niż obserwowałem żołnierzy przeciąga-

jących przez spaloną wioskę. Potem, kiedy przejechała straż tylna, ruszyłem za nimi i utrzymując odległość ćwierć mili szedłem przez kilka godzin w górę doliny Washity, do miejsca, gdzie w końcu stanęli obozem. Był to marsz przez zimne pustkowia i samotność doskwierała mi równie jak mróz. Pocieszało mnie jedynie to, że kawalerzyści musieli znosić to samo. Ale oni mieli towarzyszy niedoli, podczas gdy moi niedawni towarzysze byli zabici albo rozproszeni.

Wkrótce żołnierze rozpalili wielkie ogniska, które odbijały się w rzece. Pomyślałem sobie, że zanim poderżnę Custerowi gardło, mogę sobie trochę ogrzać boki. I rzeczywiście, gdybym tego nie zrobił, nie mógłbym utrzymać noża w trzęsącej się ręce. Prześlizgnąłem się więc przez linię wart, a potem przepchnąłem się przez gromadę żołnierzy do jednego z ognisk.

— Nie masz tytoniu? — Spytał jakiś zawinięty w indiański koc kawalerzysta. Potrząsnąłem głową. Odbicia płomieni tańczyły w jego zmęczonych oczach. — Nie sądzisz — powiedział że Twarda Dupa miał genialny pomysł, żeby zostawić płaszcze i chlebaki? Pewnie dostanie za to jeszcze jeden medal.

— Założę się, że zatrzymał swój płaszcz i kawał boczku, który mu jego ordynans teraz smaży — dodał stojący obok.

— Słynne szczęście Custera, co, chłopcy?

To był znów ten ze zmęczonymi oczami i ktoś inny powiedział, żeby byli cicho, bo Twarda Dupa usłyszy.

— Pies z nim tańcował — mówi Zmęczone Oko. — Co mi zrobi, obetnie mi racje?

Inny żołnierz mówi:

— Każe wykopać dziurę w ziemi i wtrąci cię tam, chłopie.

— Naprawdę? — pytam starając się włączyć do grupy.

— A nie? Jesteś chyba rekrutem, bo byś wiedział, że tak właśnie zrobił w zeszłym roku podczas letniej kampanii. Spytaj Gilberta.

Wskazał głową wysokiego, chudego żołnierza z haczykowatym nosem i bokobrodami, który rozcierał ręce nad ogniem. Tamten mówi:

— Tak, staliśmy w polu, gdzie, rzecz jasna, nie było aresztu. Kilku nas spóźniło się na zbiórkę, to kazał wykopać dziurę w ziemi, trzydzieści stóp kwadratowych, może piętnaście stóp głęboką, wrzucił nas tam i przykrył deskami. Piekielnie gorąco na słońcu i za ciasno, żeby wszyscy mogli się położyć.

— A potem Twarda Dupa sam zdezerterował, żeby odwiedzić swoją starą — mówi Zmęczone Oko. — Uciekł w środku wyprawy przeciwko Indianom. I wiesz, co mu zrobili? Zawiesili go w czynnościach na jeden rok i pojechał sobie do Michigan łowić ryby.

— Nienawidzę skurwiela — mówi Gilbert — ale nie potępiam go za to, że uciekł do swojej kobity, bo to rzeczywiście ślicznotka.

— Naprawdę? — pytam. Rozgrzałem się już co nieco i zaczynałem planować dalsze ruchy.

— O, tak. Nigdy nie widziałeś pani Custer? Mówię ci, że jak ją zobaczysz, to zawyjesz, padniesz i będziesz lizał ziemię, a wieczorem pocieszysz się z Brudną Renią. To jest różnica między generałem a szeregowcem. Hej, kto jest za tym, żeby pójść do jeńców i wyciągnąć jakąś starą squaw?

Od tej chwili rozmowa stała się chaotyczna, co nie powinno stanowić zaskoczenia dla nikogo, kto ma jakie takie pojęcie o wojsku, oddaliłem się więc, żeby spenetrować teren obozu. Jeżeli miałem zamordować Custera, to musiałem najpierw odnaleźć go bez wzbudzania podejrzeń, co nie było łatwe wśród sześciuset lub siedmiuset żołnierzy, zwłaszcza że przy moim wzroście wszyscy mi zasłaniali.

Czejeńscy jeńcy mieli wydzielony dla siebie teren i kilka małych ognisk i wyglądali teraz jak szereg milczących tobołków na ziemi, dzieci zawinięte w koce razem z matkami. Nic nie jest w stanie popsuć czerwonoskóremu snu. Dalej stały ich konie, oddzielone od kawaleryjskich, których obecność płoszyła zwierzęta Indian.

Dokonałem gruntownego zwiadu tego rozległego i dobrze oświetlonego ogniskami biwaku; żołnierze byli zmarznięci, zmęczeni i głodni, i pięćdziesięciu Indian mogłoby tu urządzić niezłe jatki. Ale plemię zostało pobite, potem wyprowadzone w pole, a poza tym oni i tak nigdy nie walczą w nocy. Custer mógł równie dobrze nie wystawiać wart. Tylko jeden czynny wróg czaił się w pobliżu.

To ja szukałem go i drogą eliminacji w końcu go znalazłem. Oficerowie mieli swoje ogniska u podnóża małego pagórka, ale generała wśród nich nie było, siedział sam na ziemi, na szczycie małego wzniesienia. Miał tam własne małe ognisko i pisał coś przy jego żółtym świetle. Co jakiś czas podchodził ordynans i dokładał nowe polano, dostarczone przez grupę nieszczęśników, którzy przez całą noc rąbali drwa i nosili je do obozu.

Kiedy wracali po raz któryś z ładunkiem, dołączyłem do nich i pomogłem im dźwigać drewno, czego nie zakwestionowali, i czekałem, aż ordynans Custer przyjdzie po nowy zapas, co w końcu zrobił, kiedy już myślałem, że grzbiet mi pęknie.

— Jak tam generał? — pytam go.

Tu muszę wyjaśnić, że typ człowieka, który bierze taką pracę, ma odpowiednią do niej osobowość. Pomaga swojemu panu ubierać się, podaje mu do stołu, kopie dla niego latrynę i nie zdziwiłbym się, gdyby mu podcierał zadek. Ale podlizywanie się jednemu człowiekowi zaspokaja cały jego apetyt i wobec wszystkich innych struga wielkiego waźniaka.

— Nie martw się o niego — powiada. — Daj mi dwa średnie polana i tyle.

— Myślę, że musi być piekielnie zmordowany — mówię, na co on roześmiał się szyderczo.

— Jeszcze się nie zdarzyło, żeby generał nie potrafił przetrzymać każdego ze swoich podwładnych. Teraz też zrobił postój tylko ze względu na takich jak ty. On może się obyć bez snu i jedzenia. Pobicie jednego plemienia Indian rozbudza w nim tylko chęć na następne.

— Widziałem, że coś pisze — mówię.

— Tak — mówi ordynans. — To pewnie list do jego pani. Pisze do niej prawie codziennie.

Na prerii w owych czasach nie było skrzynek pocztowych. Custer musiał więc wysyłać z każdym listem zwiadowcę przez kilkaset mil dzikich terenów. Wszystko, co usłyszałem o tym człowieku, działało na mnie, jakby mi ktoś wrzucił kaktus za koszulę.

Ale kiedy już mi się wydawało, że wkradłem się w łaski tego zgniłka, ten nagle przystanął i spojrzał na mnie podejrzliwie. — Ej, czy ty czasem nie dybiesz na moją posadę?

— Ależ skąd — mówię czym prędzej. — Gdzie tam, wiem, że jestem na to za głupi. Ale fascynują mnie bohaterowie. Pewnie dlatego, że sam nie jestem za odważny. Dziś rano podczas tej szarży mało nie zrobiłem w spodnie i jedyne, co mi dodawało ducha, to był widok generała tam na czele, z włosom rozwianym na wietrze, z uniesioną ręką.

Przybrałem wyraz cielęcego zachwyty i kupił to.

— Dobra — powiada — chcesz mi odnieść to drewno? Myślę, że nic się nie stanie, jak podejdziesz do pagórka i popatrzysz na niego. Nie pozwolilibym na to nikomu z tych szumowin.

— Posłuchaj — mówię zaciskając zęby i czując zupełnie co innego, niż on sądził — dałbym miesięczny żołd, żeby tam podejść i dołożyć do ognia dla tej szlachetnej osobistości.

Początkowo oburzył się na tę propozycję, ale po dłuższym przekonywaniu i po tym, jak mu wręczyłem podpisane fałszywym nazwiskiem upoważnienie do odbioru przy najbliższej wypłacie trzynastu dolarów, co było miesięcznym żołdem szeregowca, dostałem zaszczytu odniesienia polan na szczyt pagórka i dołożenia ich do ogniska, po czym miałem natychmiast wracać.

Ruszyliśmy w stronę pagórka i kiedy doszliśmy do jego stóp, ordynans został, a ja wszedłem na górę z dwoma kłocami. Tamci narzekający żołnierze nie mieli racji: Custer był nie tylko bez płaszcza, ale nawet położył obok siebie kapelusz i rozpiął pod szyją koszulę. Oczywiście siedział blisko ciepłego ogniska. Jego włosy i wąs błyszcząły złotem. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od papieru, który trzymał na książce rozkazów i pokrywał linijką za linijką płynnym pismem, co jakiś czas maczając pióro w małym kałamarzu, a potem strącając nadmiar atramentu w płomień.

Wsunąłem kloc do żaru, stojąc plecami do ordynansa u stóp wzgórza, żeby nie widział, jak moja druga ręka sięga pod kurtkę po nóż. Snop isker wystrzelił w różowej strudze dymu w otwarte czarne niebo. Custer nie podniósł głowy, bo musiałby w tym celu zmienić kąt, pod którym światło padało na jego szlachetny profil. Pozował tutaj tak samo, jak kiedy kroczył rano przez obóz Czejenów. Wtedy był „Generałem w polu”, teraz „Żołnierzem u schyłku dnia”.

To śmieszne, jak człowiek z osobowością Custera potrafi wpłynąć na swego przyszłego mordercę, ale widziałem siebie na różnych ilustracjach — nóż wzniesiony nad niczego nie podejrzewającym generałem, on w aureoli złocistych loków, ja z wyszczerzonymi zębami i tak przez całą serię zakończoną obrazem „Morderca osaczony”.

Kto wie, ile czasu straciłem na te dziecinne wizje. Kiedy wyruszasz, żeby zabić, zostaw wyobraźnię w domu. Rzeczywistość powinna wystarczyć, przynajmniej jeżeli jesteś biały.

Bo teraz Custer przemówił.

Nie przestając skrobać piórem i nie odrywając wzroku od papieru powiedział:

— Proszę o kawę.

Może po prostu opuściła mnie w tym momencie odwaga; może nigdy nie było mnie stać na zamordowanie kogoś z zimną krwią, ale ja zawsze uważałem, że to ufność w głosie Custer a uratowała mu w tym momencie życie, zmieniając tym samym bieg historii. Możesz mnie nazwać tchórzem, ale nie potrafiłem poderżnąć gardła komuś, kto pisze list do żony i zamierza napić się kawy.

I tak morderca odpowiada usłużnie:

— Tak jest, panie generale — i schodzi ze wzgórza do miejsca, gdzie czekał ordynans.

— Biegiem na górę — mówię. — Generał życzy sobie, żebyś mu zrobił kąpiel.

Nie sądzę, że bym musiał relacjonować każdy cal mojej drogi, kiedy opuszczałem Siódmy Pułk Kawalerii, bo odszedłem od nich tej samej nocy, w środku zimy, i wyruszyłem samotnie przez dziki kraj. Musiałem. Nie zrezygnowałem ze swojego planu. Nadal miałem zamiar zabić Custer a, ale najpierw musiałem się na trochę od niego oddalić. Nie mogłem też znieść bliskości czejeńskich jeńców. Udanie się z biegiem rzeki do jeszcze wolnych Indian było również nie do pomyślenia. Miałem wszystkiego po dziurki w nosie.

Wracałem do osad, żeby zdobyć trochę pieniędzy, wszystko jedno jak i gdzie, sprawić sobie surdut, brokatową kamizelkę i rewolwer z kolbą wykładaną masą perłową. I tak wystrojony, któregoś pięknego dnia spotkałbym generała Custer a przechadzającego się ze swoją panią na ulicy jakiegoś miasta, Topeka, powiedzmy, albo Kansas, bo wiedziałem, że on lubi miasta, o, dowiedziałem się na jego temat więcej, niż powiedziałem; lubił dobre restauracje i przedstawienia teatralne, a Nowy Jork znał jak własną kieszeń; tak twierdził jego ordynans.

„Najmocniej panią przepraszam” — powiedziałbym, a potem poprosiłbym go o słówko na stronie i odeszlibyśmy o krok, podczas gdy jego piękna małżonka stałaby uśmiechnięta pod parasolką. Potem powiedziałbym: „Generale, jest pan skurwysynem.” On, jako dżentelmen, zażądałby, oczywiście, satysfakcji i następna scena odbyłaby się na prerii o świcie: plecami do siebie, dziesięć kroków do przodu, obrót i strzał, potem on na ziemi i rozszerzająca się czerwona plama, wypływająca przez jego haftowane dziurki od guzików. „Panie — powiada do mnie wydając ostatnie tchnienie — był pan lepszy.”

Potem zaostrzonym patykiem wykopuję zimny korzonek z przemarzniętej ziemi i żuję go, albo upycham dla izolacji więcej liści między koszulę a kurtkę i idę dalej. Wkrótce straciłem rachubę czasu. Prawdę mówiąc, postradałem zmysły i nie rozumiem, jak wyszedłem z tego z życiem. Widziałem jedynie masę czegoś białego, jakbym znalazł się pośrodku bawełnianej pustyni. Był to oczywiście śnieg, zawieja, ale nie pamiętam zimna, bo doszedłem do stanu, kiedy bardziej reagowałem na fakturę niż na temperaturę i tylko z największym trudem, powstrzymywałem się, żeby nie paść i nie zasnąć na zawsze.

Myszę, że w końcu uległem ślepemu impulsowi. Posuwałem się prawie dokładnie na wschód, bo trafiłem na rzekę Cimarron i poszedłem z jej biegiem. W delirium człowiek pójdzie prawie za wszystkim, co robi wrażenie, że wie dokąd idzie. W ten sposób przecinałem Terytorium Indiańskie horyzontalnie zamiast podążać na północ do Kansas, jak zamierzałem, i tak pewnie dobrnąłem do Narodu Krik, gdzie padłem na białą prerię, która wyglądała jak jedno wielkie łóżko.

Ocknąłem się w chacie z bali u Indian. Ojciec rodziny znalazł mnie podczas polowania i przyniósł do domu, i ci dobrzy ludzie, on, jego żona i kilkoro młodzieży, pielęgowali mnie i karmili, i dali mi odzież zamiast mojego zdartego w strzępy niebieskiego munduru. Plemię Krik to byli czerwonoskórzy z Georgii, których pobili Andy Jackson, a wkrótce potem rząd wysiedlił ich z ojczystej ziemi na zachód od Arkansas razem z Czoktawami, Czerokezami i innymi. Ale te plemiona były ucywilizowane, budowały chaty z bali, ubierały się jak biali, uprawiały ziemię, a przed wojną miały nawet czarnych niewolników.

Mieszkałem u nich do wiosny roku tysiąc osiemsetnego sześćdziesiątego dziewiątego. Odzyskawszy siły polowałem trochę, żeby odplacić za swoje utrzymanie, i pomagałem przy wiosennych pracach na roli, ale chociaż, rzecz jasna, cieszyłem się, że mogę coś dla nich zrobić, to przekonałem się, że w podejściu do rolnictwa byłem bardziej Czejenem.

Faktycznie jednak to cywilizowane życie we wschodnich narodach było bardziej niebezpieczne, niżby to wynikało z wyglądu spokojnych gospodarstw. Tamta rodzina, widząc mój niebieski mundur, uznała mnie za dezertera, częste zjawisko na Terytoriach Indiańskich. Czuli do mnie sympatię, bo mieli stare porachunki z armią jeszcze od czasów Jacksona, a potem w czasie Wojny większość plemienia Krik sympatyzowała z rebeliantami, co jest śmieszne, kiedy się pomyśli, jak ich wyrzucono z Georgii, ale tym, co ich pociągało u Południowców, było niewolnictwo. Dość że kiedy

Wojna się skończyła, Rząd Federalny ukarał ich, a także Czoktawów, Czerokezów i innych, zabierając zachodnią połowę Terytorium Indiańskiego, które wcześniej do nich należało, i zmieniając ją w rezerwy dla takich plemion jak Czejenowie. Co w sposób naturalny doprowadziło do bitwy nad Washitą.

Zacząłem jednak mówić o tym, że na ziemiach tych wschodnich narodów mieszkało sporo dezertersów, a także dawnych niewolników, którzy teraz nie mieli pracy, byłych żołnierzy rebeliantów w podobnej sytuacji, Indian, którzy weszli na złą drogę, oraz uciekinierów przed prawem w Stanach, bandziorów, opryszków i prostych wykolejeńców. Na dodatek zdarzały się w tej okolicy wszelkie możliwe krzyżówki; niektórzy mieli w sobie krew jednocześnie białą, murzyńską i indiańską, z najgorszymi cechami każdej z nich.

Mówiłem, że życie było niebezpieczne w tych okolicach, nawet jeżeli człowiek pilnował tylko swojej chaty i pola kukurydzy, bo bandy wyżej wspomnianych nieustannie napadały i mordowały. Miejsce szczególnie sprzyjało uprawianiu tego zawodu, bo nie było tu właściwie żadnych miejscowych przedstawicieli prawa. W zasadzie, jeżeli kogoś załatwiłeś, nie miał cię kto ścigać, bo najbliższy szeryf federalny był w Forcie Smith albo w Van Buren, hen, w Arkansas, gdzie mieściły się sądy, które jednak w tamtym czasie nie przejawiały większej aktywności, bo większość ludzi w sądach przystała do Rebelii i została po wojnie wyrzucona. Mówiło się, że „na zachód od St. Louis nie ma niedzieli, a na zachód od Fortu Smith nie ma Boga”.

Ośrodkiem tego niespokojnego elementu było miasteczko we wschodniej części Narodu Krik, pod nazwą Mooskokee, i tam właśnie podążałem opuściwszy rodzinę, która mnie przygarnęła, chcąc złapać dylizans do Kansas, a stamtąd pociągiem dojechać do końca linii Union Pacific, odnaleźć Caroline i Franka Delighta i zrealizować w gotówce jedną trzecią naszego interesu transportowego, bo jak wspominałem, potrzebowalem grosza. W każdym razie mogłem pożyczyć coś od Franka, bo teraz był już moim szwagrem.

Doszedłem do Mooskokee piechotą, około czterdziestu mil. Nie miałem ani centa na dylizans, ale niosłem na grzbiecie wiązkę skórek szopów, które spodziewałem się sprzedać w mieście, bo wychodzą z nich niezłe czapki. Sam miałem taką na głowie. I tak doszedłem do czegoś, co uznałem za odległe przedmieście. Była to długa, wydeptana przez świnie błotnista uliczka otoczona byle jak skleconymi chlewami i na niej zobaczyłem starego czarnego człowieka pilnującego tych świń.

— Wujku — powiadam — możesz mi pokazać drogę do miasta Mooskokee?

Podrapał się przez gałgan, którym miał owiniętą głowę, i mówi:

— Już je prawie minąłeś.

— Szukam stacji dylizansu.

— Stacja — powiada — jest trochę dalej, za rogiem, ale na twoim miejscu nie śpieszyłbym się tam, bo o ile wiem, teraz odbywa się tam rabunek.

I rzeczywiście, ledwo skończył mówić, kiedy z kierunku, który mi wskazał, posypały się strzały i zza zakrętu wypadła grupa jeźdźców w galopie. Stratowaliby nas jak amen w pacierzu, gdybyśmy nie padli w błoto przy drodze. Nie wiem, dlaczego tak się śpieszyli, bo nikt ich nie gonił. Poprzedniego dnia ktoś zastrzelił szeryfa, objaśnił mnie mój znajomy, podczas gdy wygrzebywaliśmy się z błota.

Podziękowałem mu i udałem się na stację, która, jak uznałem, jest już bezpieczna. Agent leżał w kałuży krwi, a w cienkiej drewnianej ścianie ziały wielkie dziury świadczące, że ktoś poszalał sobie ze strzelbą. Stałem tak sobie pośrodku tego, co zostało ze stacji, myśląc, że dla mnie nie ma to większego znaczenia, bo i tak nie zdobyłem jeszcze pieniędzy na przejazd, kiedy usłyszałem tętent kopyt i do środka wpadło trzech wielce odrażających klientów, najeżonych bronią palną.

Spojrzeli na mnie przekrwionymi oczami, potem na martwe ciało ajenta i ten, który wyglądał na herszta, powiedział do dwóch pozostałych:

— Mówiłem wam, że się spóźnimy, i proszę, ten łobuz nas wyprzedził.

Następnie zwrócił się do mnie z urażoną dumą:

— Załatwiliśmy już raz tę stację i dziś też bylibyśmy tu pierwsi, gdyby nie to, że zajęliśmy się po drodze samym dylizansem. Obrabowaliśmy go, spaliliśmy, zabiliśmy woźnicę, zabiliśmy konwojenta, zabiliśmy pasażerów, ale była wśród nich jedna baba, więc wszyscy ją... a potem zabiliśmy.

Jak już mówiłem, i tak nie miałem czym zapłacić za przejazd. W tej chwili martwił mnie głównie fakt, że jestem bez broni, co te śmierdziele mogły wkrótce zauważyć, i wtedy dołączyłbym do nieboszczyka na podłodze. Musiałem wykorzystać czas, póki wciąż jeszcze z zazdrością podziwiali, jak wykończyłem (tak im się wydawało) ajenta.

— Moi chłopcy nie będą zadowoleni — powiedziałem. — Szykowali się sami na ten dylizans i pewnie już go odnaleźli, a teraz wracają i będą chcieli spotkać tych, którzy im sprzątnęli łup sprzed nosa.

— Ilu masz chłopaków? — pyta herszt.

Gdyby jego twarz zetknęła się choć z kroplą wody, wyglądałby całkiem przystojnie. Był krzyżówką indiańsko-białą, z jasnymi włosami i delikatnymi rysami, ale z orzechową skórą. Drugi był prawie czarny, z prostymi kruczoczarnymi włosami związanymi w węzeł. Trzeci wyglądał na czystej krwi białego, ale nigdy w życiu nie widziałem brzydszego okazu człowieka; miał coś z okiem i starą szramę od noża, która zrosła się tak, że podniosła wargę z prawej strony odsłaniając zęby, jakby stale je szczyrzył w szyderyczym uśmiechu albo w złości.

— Dziewiętnastu albo dwudziestu — odpowiedziałem i odwróciłem się bezczelnie, wiedząc, że się namyślają, czy mi strzelić w plecy, czy ustąpić. Okazało się, że bluff podziałał, bo herszt zaczął się chwalić.

— Myślę, że słyszałeś o mnie — powiada. — Johnny Skok. Mam tu w okolicy niezłą reputację, jeśli chodzi o mordy i rzezie. Żaden szeryf nie dał mi rady, choć wielu próbowało. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu odstrzeliłem łeb jednemu, co przyjechał z Van Buren. Ten tutaj to mój kuzyn Jim Palacz — wskazał czarnego na twarzy — a tamtego nazywamy Krzywe Oko. Nie ma języka. Odstrzelili mu albo wyrwali. Nie może mówić, ale groźny jest, że nie daj Boże.

— Nigdy nie słyszałem o takich drobnych opryszkach — mówię. — My jedziemy z St. Louis przez Teksas i zatrzymaliśmy się w tej błotnistej dziurze, żeby zdobyć parę groszy na tytoń. A potem do Kansas, gdzie będziemy rznąć, strzelać, gwałcić i rabować od jednego końca stanu do drugiego.

Krzywe Oko stęka coś i ślini swoją rozciętą wargę. Jim Palacz wychodzi na zewnątrz i po chwili słyszę, jak strzela; Wyglądam i widzę, że ćwiczy strzelanie do kręconego ogona zabląkanej świni.

— Mój kuzyn — mówi Johnny Skok — nie ma wszystkich klepek, ale jest naprawdę pożyteczny przy mordowaniu i rabunku. Myślałem, że może moglibyśmy przyłączyć się do twoich chłopców. Bardzo bym chciał mordować, rabować i to inne, co mówiłeś o Kansas.

Wyglądał jak chłopak, który prosi ojca, żeby go zabrał na ryby, oczy miał jasne i rozmarzone. Było coś autentycznie niewinnego w tym Johnnym Skoku, nawet sympatycznego, nie wiem dlaczego. Może przez tę jego indiańską krew.

W końcu niechętnie zgodziłem się przyjąć jego i jego ludzi do mojej nieistniejącej bandy, ale nie miałem zamiaru podróżować w ich towarzystwie dłużej, niż

to było konieczne. Powiedziałem im, że mam się spotkać ze swoimi o dwadzieścia mil na północ. Mogli jechać ze mną na własne ryzyko.

Udałem, że mój koń gdzieś się zgubił, i Johnny Skok pożyczył mi zapasowego konia, którego wyprzęgli z dyliżansu. Nadal jednak nie miałem broni. Jechaliśmy do zmięzchu i wtedy wskazałem jakiś zagajnik mówiąc, że moi chłopcy tam są albo wkrótce przyjadą. Zatrzymaliśmy się, rozpaliliśmy ogień i zjedliśmy nieco fasoli z boczkiem z ich worka z łupami, bo wędrując po okolicy ta banda zabijała każdego napotkanego i zabierała wszystko, co miał przy sobie. Prawdę mówiąc, minęliśmy po drodze małą farmę i powstrzymałem ich od napadu na nią wyłącznie obietnicami masakry, jaką urządzimy po zebraniu reszty moich chłopców.

Nie zauważyłem, że Jim Palacz pozostał w tyle, bo zawsze jechał ostatni, ale nie było go, kiedy przybyliśmy do lasu, i pojawił się dopiero później, kiedy jedliśmy. Miał na głowie inny kapelusz, trzymał dwie butelki whisky i prowadził jeszcze jednego konia, objuczonego różnego rodzaju zdobyczą: workami cukru i kukurydzy, kocami, lampami naftowymi i nawet małym stołeczkiem.

Johnny Skok pogadał z nim w języku plemienia Krik i roześmiał się głośno.

— Kuzyn po prostu musiał zajrzeć do tego domu, który mijaliśmy po drodze. Jest jak dziecko i nie potrafi sobie odmówić przyjemności.

Żał mi było biednych ludzi mieszkających na tej farmie, ale przynajmniej już nie cierpieli, a okazało się, że ten sam los, który przyniósł im nagłą śmierć, mnie uratował życie. Bo dłużej niż do rana nie mógłbym podtrzymywać wersji, że czekam na swoją bandę, i byłbym skończony. Ale wyszło tak, że Johnny Skok i Jim Palacz opróżnili te butelki whisky i Johnny, kiedy się spił, wpadł w sentymentalny nastrój. Wyglądało, że jest nie tylko bandytą, ale i poetą, bo siedząc przy ogniu, ze łzami płynącymi po policzkach i łączącymi się z whisky ciekącą mu po brodzie, recytował wiersze własnej kompozycji.

Ta, którą nade wszystko wolę,

Co inne mi przyćmiła.

Jak uśmiech na tym leż padole,

To matka moja była.

A teraz siedzi w niebie,

Anieli grają jej.

*Bo będzie lat już sześć czy siedem, -
Jak ją zabrała śmierć.*

Było tego jeszcze dziesięć czy dwadzieścia zwrotek, których już nie pamiętam, a kiedy skończył, wydał wielki ryk bólu, wziął strzelbę i palnął Jimowi Palaczowi między oczy. Potem strzelił dwa razy w plecy Krzywookiemu, który spał w najlepsze, i wreszcie opróżnił resztę magazynka swego szesnastostrzałowego Henry'ego w zwinięty koc zakończony czapką z szopa, który wcześniej ułożyłem, żeby mnie udawał.

Potem położył się i spokojnie zasnął. Wtedy wyszedłem zza drzewa, skąd wszystko to oglądałem, podniosłem Henry'ego, który mu wypadł z ręki, wziąłem dwa najlepsze Colty oraz wszystkie konie i odjechałem kierując się na północ. Zastanawiałem się, czy nie wpakować Johnny'emu Skokowi kuli w łeb, oddając w ten sposób przysługę orszakowi jego przyszlých ofiar, ale poza niechęcią do morderstwa z zimną krwią, czułem do tego faceta jakąś słabość. Może z powodu tej jego poezji.

Następne dwa lata spędziłem w podróżach, głównie poszukując Caroline i Franka Delighta, żeby wydostać od nich trochę forsy, bo jak już mówiłem, nie mogłem zabić Custer'a nie mając grosza przy duszy. Wtedy, na terenach Narodów Indiańskich, nie wiedziałem jeszcze, że w czasie, kiedy odszedłem od indiańskiej rodziny, u której spędziłem zimę sześćdziesiątego dziewiątego linia Union Pacific dotarła do Utah i połączyła się z Central Pacific. Budowa była zakończona, kolej przecięła kontynent. Ale za pieniądze ze sprzedaży stadka koni Johnny'ego Skoka, które doprowadziłem do Topeka bez dalszych przygód, pojechałem i tak z Omahy na zachód uważając, że moi krewni mogli osiąść ze swoim zakładem w jednym z miasteczek powstających przy trakcji kolejowej.

Na każdej stacji wypytywałem o Caroline i Franka, bez rezultatu, ale że i tak zawsze chciałem zobaczyć San Francisco, dojechałem więc aż tam i wtedy już byłem zadowolony, że mogę na jakiś czas rozstać się z pociągami. Ta transkontynentalna linia stanowiła niewątpliwie cud techniki, ale licząc postoje spędziłem tydzień w trzęsących się wagonach, połykając ogromne ilości dymu i popiołu, które wpadały przez otwarte okna, a co jakiś czas płonąca iskra wywoływała mały pożar w zielonych pluszowych obiciach albo w czymś ubraniu, Mimo wszystko twierdzono, że pociąg robi dwadzieścia pięć mil na godzinę i nie miałem powodu, żeby w to wątpić.

Po paru dniach w San Francisco zostałem bez centa, bo panowała tam straszna drożyzna. Nie można było zjeść przyzwoitego posiłku za mniej niż pięćdziesiąt centów. I nie wiem dlaczego, ale te wzgórza, na których miasto jest zbudowane, zaczęły działać na mnie przygnębiająco — człowiek czuje się wspaniale na szczycie, ale zawsze prędzej czy później musi zejść i wtedy jest tak, jakby go zdegradowano. Zbyt długo mieszkałem na równinach.

Nie mogłem też zlokalizować Caroline i jej męża, choć zwiedziłem każdy chyba z podrzędnych barów i burdeli w tym mieście, a to zajęło mi kilka miesięcy, bo San Francisco nie ustępowało żadnemu miastu pod względem niegodnych rozrywek. Kiedy skończyły mi się pieniądze, dostałem pracę w stajni, gdzie przerzucałem siano, wynosiłem gnój i tym podobne. Nic lepszego mi się nie trafiło. Potem pewnego dnia przyszedł facet z południowej Kalifornii i usłyszałem, jak mówi, że szukają tam woźniców do przewozu ładunków z San Pedro do Prescott w Arizonie i gotowi są dobrze zapłacić.

Była wiosna siedemdziesiątego roku, kiedy dotarłem do San Pedro i odnalazłem właściciela przedsiębiorstwa przewozowego. Początkowo nie wierzył, że człowiek mojego wzrostu i postawy może poradzić sobie z tą pracą.

— To jest cholerna robota, mój przyjacielu — powiedział. — Jak nie wykończy cię pustynia, to zrobią to Apacze, a jak nie oni, to bandyci. Dolina Salton to sto mil ognistego piekła, gdzie karmi się zwierzęta bez wyprzegania i jedzie dalej, żeby nie uschnąć. Masz dwadzieścia dni, żeby zrobić czterysta pięćdziesiąt mil i nie chcę, żeby moje muły padły w drodze.

Wystarczy powiedzieć, że przekonałem go i przyjął mnie mówiąc:

— Zaryzykuję. Dwa lata temu wziąłem siedemnastolatka i sprawił się bardzo dobrze, ale on był wyrosnięty na swoje lata.

Oto co musi znosić człowiek mojego wzrostu. Wspominam o tym tylko dlatego, że wymienił nazwisko tego chłopca: Wyatt Earp. Słyszałem je po raz pierwszy, ale zapamiętałem je sobie ze względu na niezwykle brzmienie, jakby się komuś odbiło.

Szef nie przesadził ani trochę mówiąc o trudnościach tej trasy i podczas drogi napotkałem wszystkie przeszkody, które wymienił, ale po zastanowieniu wolę upaść, pustynię, Apaczów i bandytów niż dziesięć mułów. Najtrudniejszą rzeczą w całej wyprawie było powstrzymanie się od tego, żeby wziąć drąga i zatłuc te bydlaki na śmierć. Poganiałem wprawdzie muły na budowie linii kolejowej, ale charakter tych

bestii pogarsza się wraz z terenem, po którym się poruszają. Chociaż — i sędzę, że to samo można powiedzieć o wielu ludziach — właśnie ich podły charakter pozwala im przetrwać.

Mnie to też dotyczy. Zajmowałem się tym przez większą część roku siedemdziesiątego i nie stałem się od tego miłszy. Ale zarobiłem dużo pieniędzy i zimą wróciłem do San Francisco, gdzie kupiłem sobie eleganckie ubranie oraz rewolwer Smitha i Wessona, świeżo wypuszczony model „amerykański”, piękną broń kalibru 44.

Potem nabyłem bilet pierwszej klasy do Omahy za sto dolarów plus dwa dolary dziennie za wagon sypialny, bo wracałem, żeby zabić George'a Armstronga Custerą w wielkim stylu.

20. DZIKI BILL HICKOK

Wiosną siedemdziesiątego pierwszego dotarłem do Kansas, które rozrosło się znacznie od czasu, kiedy znałem je jako Westport i – jeżeli pamiętasz – fort Leavenworth znajdował się w pobliżu. Znalazszy się w mieście stwierdziłem, że właśnie tu stanął na zimę Siódmy Pułk Kawalerii pod komendą generała Custer. Często można go było zobaczyć u jego krawca, w restauracjach i na przedstawieniach teatralnych, za którymi przepadał, co nie mogło dziwić przy jego charakterze. Jego pani towarzyszyła mu wszędzie i była tak piękna, że jak mówiono, oglądali się za nią i mężczyźni, i kobiety. Oczywiście sam generał też był piękny.

Człowiek, który mi to wszystko opowiedział, miał spadające na ramiona, długie, jasne loki i jedwabisty wąs w tym samym odcieniu, był rosły, wąski w pasie, a szeroki w barach i ubrany z niezwykłą elegancją. Miał na sobie czarny surdut z aksamitnymi kłapami, haftowaną kamizelkę, wywijany kołnierzyk z czarną tasiemką, a na głowie cylinder.

Nie, to nie był Custer, ale ktoś bardziej blond, bardziej kędzierzawy, z cieplejszym błękitem oczu, łagodniejszymi rysami twarzy, z zakrzywionym nosem i krótką szczęką. Był to James Butler Hickok zwany Dzikim Billem od czasu, jak zastrzelił jegomościa, który go nazwał Bill Kaczy Nos.

Ale wracajmy do Custer, u którego Dzikie Bill służył jako zwiadowca podczas kampanii kansaskiej, na rok przed Washitą. Znał go dobrze, lubił go i *vice versa*, miał też nieszkodliwą słabość do jego żony i podtrzymywał w niej przesadne wyobrażenia na swój temat, które Custer też podzielał, i w ten sposób wszyscy byli przyjaciółmi, jak to zwykle bywa u ludzi dużych, pięknych i bogatych. Bo wszystko układa się jak po maśle, póki jakiś nędzny, zezowaty, krzywogęby oberwaniec nie strzeli im w plecy, jak Jack McCall zrobił Hickokowi w Deadwood w siedemdziesiątym szóstym, zaledwie w dwa miesiące po tym, jak Indianie załatwili drugiego długowłosego.

Wszystko to jednak miało się stać dopiero za pięć lat, a na razie stałem na Rynku w Kansas z najszczerzym zamiarem odnalezienia Custer przed upływem tygodnia i spełnienia swojego obowiązku. Trzeba wiedzieć, że ten Rynek był miejscem spotkań myśliwych w lecie, kiedy skóry bizonów są marne, zwiadowców między

kampaniami i poganiaczy mułów między wyprawami, i to tutaj, a nie w gazetach szukało się wiadomości w przypadku takim jak mój.

Tam też poznałem Dzikiego Billa, który był jednym z ośrodków zainteresowania, wyrobiwszy już sobie reputację przed rokiem czy dwoma jako szeryf miasta Hays w stanie Kansas.

W ciągu dnia Hickok zazwyczaj siedział na ławce przed budynkiem policji, gdzie jego przyjaciel Tom Speers, szeryf Kansas, chętnie gromadził typy z pogranicza, głównie dlatego, że większość z nich znał i lubił, ale jak podejrzewam, także dlatego, że dzięki temu miał z nimi mniej kłopotów. Mogli sobie pokonwersować, a nawet robić zawody w strzelaniu do celu bez niepokojenia szacowniejszego elementu w lepszej części miasta, a że Speers i jego zastępcy znajdowali się w pobliżu, prawdziwe walki zdarzały się rzadko.

Nie żeby słynni rewolwerowcy kiedykolwiek walczyli zbyt często między sobą. Każdy, kto sam specjalizuje się w aktach gwałtu, żywi największy szacunek dla drugiego takiego eksperta.

A teraz, co do mojej zemsty na Custerze. Otóż możesz wziąć książki historyczne i przeczytać, jak to zginął w walce z Indianami dwudziestego piątego czerwca tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku, wiesz więc, że nie zabiłem go wtedy w Kansas. Gdyby był kimś nieznanym, mógłbym utrzymywać napięcie do ostatniej chwili, ale że jest tak, jak jest, muszę przyznać, że zrobił się już prawie kwiecień, kiedy dotarłem do Kansas, a Siódmy Pułk został odwołany z równin w marcu i Custer wrócił na Wschód. Minąłem się z nim o kilka dni!

Może dziwisz się, że nie ruszyłem jego śladem. Ostatecznie nie wyjechał przecież do Chin. Przebyłem już zachodnią połowę kraju niby po to, żeby go zabić. Żyłem wyobrażeniami o tej chwili przez dwa lata, od czasu mojej przysięgi na brzegach Washity.

Mogę jedynie powiedzieć, że było coś w rzece Missouri, co odebrało mi mój zapal. Skóra Ze Starego Szalasu miał to samo z rzeką Platte i patrz, co się z nim działo, kiedy znalazł się na południe od niej: Piaszczysty Potok i Washita. Miałem nadzieję, że nauczył się kierować instynktem, a nie dumą, i wrócił na stałe na północ.

Co do mnie, to zatrzymałem się w Kansas, gdzie Missouri robi wielki zakręt, zanim popłynie do St. Louis. Spojrzałem w jej błotnisty nurt i pomyślałem: cóż, Custer wyniósł się z prerii i to jest ważne. Może to ja go wystraszyłem w sensie

duchowym albo magicznym, bo było coś naprawdę dziwnego w zbieżności naszych przyjazdów i wyjazdów. Tak czy inaczej, nie wyruszyłem na Wschód. Miałem zabawne wyobrażenie o tej części kraju. Widziałem ją jako jedno wielkie miasto od St. Louis do Atlantyku, i to głównie złożone z ruder zatłoczonych biednymi przybyszami z Europy o ziemistych twarzach, którzy liżą buty potężnym znakomitościom takim jak Custer. Byłbym tam w szczególnie niekorzystnej sytuacji.

W Kansas znajdowałem się niedaleko od miejsca, gdzie przed trzynastu laty mieszkali państwo Pendrake, a pewno mieszkali i teraz, bo ludzie w ich sytuacji zachowują ją na zawsze, i pomyślałem, żeby udać się tam, przejechać raz ulicą i skończyć sprawę, ale nie potrafiłem zdobyć się nawet na tyle. Powiem ci, że nadal kochałem się w pani Pendrake tak samo namiętnie jak kiedyś, mimo wszystkich tych lat, bitew i żon. To była w przeciwieństwie do różnych niedogodności prawdziwa tragedia mojego życia.

Temat ten przyszedł mi na myśl, bo po wiadomości o wyjeździe Custera czułem się bardziej opuszczony, nieszczęśliwy i przygnębiony niż kiedykolwiek od czasu, kiedy przed laty wyjeżdżałem z Missouri, i naturalnie w takim nastroju myśl o pani P. była nieunikniona.

Zabiję Custera, jeżeli kiedyś jeszcze pokaże się na Zachodzie. Poprzysiągłem to sobie, ale dość teoretycznie, bo nie miałem nadziei, że kiedyś do tego dojdzie.

Środkowe równiny zostały całkowicie oczyszczone z wrogich Indian. Latem po bitwie nad Washitą żołnierze generała Carra roznieśli grupę czejeńskich psich żołnierzy przy Szczytowych Źródłach zabijając ich wodza, Wysokiego Byka. Był to koniec Ludzi w stanach Kansas i Kolorado.

Cóż więc robiłem? Poznałem się na przykład z Dzikim Billem Hickokiem i znajomość z nim stała się dla mnie na jakiś czas prawie zawodem. Rozpytywałem o Custera i ktoś wskazał mi Dzikiego Billa jako byłego zwiadowcę u generała. Wtedy jeszcze nie słyszałem o Hickoku, ale na Rynku w Kansas był on już znakomitością i pamiętam, że kiedy podszedłem do niego po raz pierwszy, demonstrował grupce gapiów parę zdobionych kością słoniową rewolwerów, prezent od senatora, którego wziął na wycieczkę po prerii.

— Ty jesteś Hickok? — spytałem przepchnąwszy się przez tłumek. Powiedziano mi, że to on, ale przecież musiałem od czegoś zacząć.

— To ja — mówi ten wysoki, smukły człowiek z długimi jasnymi włosami i obdarza mnie przelotnym spojrzeniem swoich błękitnych oczu, a potem podnosi prawą ręką broń i wywala cały bębenek szybciej, niż można policzyć strzały, do szyldu na ścianie baru w odległości stu metrów, na ukos przez plac.

Wydarzenie to przeszło później, jak rozumiem, do historii, bez wspomnienia o mojej roli, ale kiedy tam wtedy stałem, nie zrobiło to na mnie wrażenia. Szukałem wiadomości o Custerze i powiewające włosy tego osobnika skłaniały mnie do myśli, że to ktoś z tej samej kategorii.

Kiedy więc wystrzelał magazynek, powiedziałem niecierpliwie:

— Hickok, jeżeli masz chwilkę czasu, to chciałbym z tobą zamienić słówko.

Przerzucił świeży rewolwer z lewej ręki do prawej, podczas gdy w tym samym czasie i w ten sam sposób przekazał wystrzeloną broń z prawej do lewej. Ten manewr nazywał się przerzutem z pogranicza i stanowił efektowną sztuczkę, bo przez sekundę oba rewolwery znajdowały się w powietrzu.

Potem Hickok strzelił jeszcze pięć razy do tego szyldu i wtedy cały tłumek przeszedł przez plac sprawdzić jego celność. Ktoś z końca grupy podszedł do mnie i mówi:

— Musisz chyba być dobrym znajomym Dzikiego Billa, że przeszkadzasz mu w takiej chwili.

— Wcale go nie znam — powiadam — i nie wiem, czy chcę go poznać. A dlaczego on jest taki ważny?

— Nie słyszałeś, jak załatwił bandę McCanlesa dziesięć lat temu na stacji Rock Crick w okręgu Jefferson? Było ich chyba sześciu i zaatakowali Dzikiego Billa, a on położył trzech z rewolwerów, dwóch nożem i ostatniego zatłukł kolbą.

Natychmiast podzieliłem to w myśli przez pół, bo żyłem na pograniczu od dzieciństwa i wiedziałem co nieco na temat walk. Kiedy usłyszysz, że było więcej niż trzech na jednego i ten jeden wygrał, to znaczy, że usłyszałeś łgarstwo. Dowiedziałem się później, że miałem rację w tym przypadku. Dziki Bill zabił tylko McCanlesa i jego dwóch wspólników, wszystkich z zasadzki.

— Tak jest — ciągnie ten gość, który należał do tej samej kategorii co ordynans Custer — wszystko to prawda. A w Hays, kiedy był szeryfem, miał awanturę z Tomem Custerem, bratem generała, którego zamknął za pijacką burdę. Tom wrócił

wtedy z dwoma żołnierzami, żeby go wykończyć, i Dzikie Bill zabił jednego nożem, a drugiego zastrzelił.

To mnie zainteresowało i spytałem, jak załatwił brata Custera, nożem czy z rewolweru.

— Zabił żołnierzy, nie Toma.

To by się zgadzało.

Hickok i cała reszta wrócili z oględzin szyldu baru i lizus, który ze mną rozmawiał, spytał, co się stało, i jeden z tamtych powiedział:

— Wpakował wszystkie dziesięć kul w środek O, jak Boga kocham!

Wszyscy gwizdali i kręcili głowami z podziwu... no, nie zupełnie, bo byli tam też inni zwiadowcy i rewolwerowcy, ludzie jak Jack Gallagher, Billy Dixon, Stary Keeler i inni dobrze znani w tamtych dniach, i ci musieli uważać, żeby nie okazać zazdrości. Jak zawsze w życiu są specjaliści i jest widownia.

Znów podszedłem do Dzikiego Billa i mówię:

— Mogę prosić na chwilkę?

Był w dobrym humorze po swoim popisie i pochlebstwach, jakie wywołał, i przypuszczam, że mogło go zirytować to, że jestem tak całkowicie zaaferowany swoimi sprawami, bo powiedział lekceważącym tonem do jednego z otaczających go mężczyzn:

— Przepędź go.

Na to ten facet podchodzi do mnie z pogardliwym wyrazem na swojej paskudnej, włochatej gębie, naprawdę wielki facet, ale nagle staje jak wryty. Bo mój Smith Wessen kalibru 44 mierzy prosto w miejsce, gdzie jego brzuch wylewa się zza pasa.

— Schowaj rogi — mówi do niego Hickok ze śmiechem. — Ten mały skurwiol ma cię na muszce... Chodź — mówi do mnie — schowaj tę pukawkę, postawię ci kolejkę.

I tak Dzikie Bill i ja udaliśmy się do baru, i przeszliśmy pod tym szyldem, w który wpakował dziesięć kul w środek litery O z odległości stu jardów. Spojrzałem w górę i przekonałem się, że to była prawda. W środku wzięliśmy swoje whisky i wtedy on znalazł najdalszy kąt od drzwi, postawił sobie krzesło w samym rogu, odchylił surdut, żeby odsłonić rękojeści rewolwerów zatkniętych po obu stronach za szarfę,

którą był opasany, i przez cały czas naszego tam pobytu śledził wzrokiem każdego wchodzącego i wychodzącego nie przerywając rozmowy, poza chwilą, kiedy barman upuścił szklankę, na co Hickok zareagował odruchowo jak kot podrywając się z krzesła.

Tam opowiedział mi o wyjeździe Custer na Wschód i to wszystko, o czym mówiłem wcześniej.

— Dlaczego tak się interesujesz generałem? — spytał, ale oczywiście nie zdradziłem mu prawdziwego powodu, tylko zełgałem, że chcę zatrudnić się jako zwiadowca, a potem, żeby zamaskować uczucia, które mogłem okazać, zmieniłem temat. — Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty z jego bratem Tomem.

— O — powiedział — to stara historia.

I to jest dobry przykład na coś, co chcę podkreślić. Dziki Bill Hickok nie był samochwałą. Nie musiał, bo inni robili to za niego. Kiedy mówię, że jego sława to kupa bzdur, nie twierdzę, że on sam kiedykolwiek czymś się pochwalił. Nigdy nie mówił, że załatwił Toma Custer albo zlikwidował bandę McCanlesa i nigdy nie wspomniałby o tych dziesięciu kulach w literze O. Ale inni robili to nieustannie rozdymając statystykę, wydłużając odległość i zmniejszając cel. Jeszcze trzydzieści lat temu spotykałem ludzi, którzy twierdzili, że byli tamtego dnia na rynku, kiedy Dziki Bill wpakował dziesięć kul jedną na drugiej w kropkę nad „i” z odległości dwustu jardów.

Wtedy właśnie barman upuścił szklankę i Hickok zerwał się z rękami na kolbach rewolwerów.

— Czego się tak boisz? — zapytałem, kiedy usiadł z powrotem.

— Że mnie zabiją — odpowiedział po prostu i pociągnął whisky, a potem spojrzał na mnie mrużąc błękitne oczy z lekkim rozbawieniem i dodał: — Może ty się do tego przymierzasz?

Roześmiałem się na to i mówię:

— To ty zaprosiłeś mnie na drinka.

— Słuchaj — on na to — powiedz mi prawdę, czy przysłał cię tu Tom Custer? Bo z mojej strony sprawa jest zakończona. Jeżeli jednak on chce zacząć od nowa, nie powinien przysyłać gościa, który nosi Smitha i Wessona w ciasnej skórzanej kaburze. Mówię ci to dla twojego własnego dobra, przyjacielu.

Poczułem się obrażony, jako że byłem dumny z mojej nowej broni, oburzyło mnie też posądzenie, że mogę pracować dla kogoś, kto nosi nazwisko Custer.

— Posłuchaj, Hickok — powiedziałem — nie jestem niczym fagasem. Jak będę chciał kogoś zabić, to zrobię to na własny rachunek, nie dla kogoś. Jeżeli chcesz się bić, odrzucimy broń i zmierzymy się na gołe pięści, choć jesteś wielki jak koń.

— Uspokój się — on na to. — Nie chciałem cię urazić. Pozwól, że postawię ci jeszcze jednego.

Zawołał barmana, ale ten wyszedł na zaplecze i nie słyszał, więc Dziki Bill spytał mnie, czy nie zechciałbym przynieść butelki.

— A co, ty jesteś kulawy? — spytałem jeszcze zirytowany.

— Nie chcę dostać kuli w plecy — wyjaśnił i dodał pośpiesznie: — Nie chodzi mi o ciebie. Wierzę ci, przyjacielu, ale nie jestem pewien tej reszty.

Miał na myśli dziesięć do dwunastu całkowicie nieszkodliwych osób, które w danej chwili znajdowały się z nami w lokalu. Nie było tłoku, bo działo się to wczesnym popołudniem. Czterech mężczyzn grało przy stole w karty, dwóch czy trzech stało po prawej stronie baru. Pamiętam też pijanego w trupa osobnika przy jednym ze środkowych stolików. Jego głowa i ramiona leżały bezwładnie na blacie w kałuży rozlanej whisky, jak uprząż zostawiona na deszczu.

Czułem pogardę dla tego Dzikiego Billa, uważając, że jest stuknięty albo tchórz, skoro nie potrafi przejść przez spokojny lokal. Potem pomyślałem, że może to tylko gra z jego strony. Może czekał, aż ja odwrócę się do niego plecami, żeby mi zrobić w nich dziurę.

Jest to dobry przykład podejrzliwości, która paczy umysły rewolwerowców. Zaraziłem się nią bardzo szybko od samego przebywania w pobliżu Dzikiego Billa. Człowiek czuje się, jakby całe jego ciało było jednym obnażonym nerwem. W pewnej chwili jeden z graczy wygrawszy pulę wydał ryk tryumfu i obaj, Hickok i ja, zerwaliśmy się z krzeseł sięgając po nasze żelastwo. Miał rację z tą moją ciasną skórzaną kaburą, która pasowała do broni jak rękawiczka do dłoni; im szybciej wyciągało się rewolwer, tym mocniej go obejmowała.

— Zaraziłem się od ciebie — mówię.

— Ja tam nigdy nie noszę kabury — powiedział Hickok. Teraz, kiedy przekonał się o mojej nieudolności, chyba w końcu nabrał do mnie zaufania. — Zawsze noszę broń za pasem. Trzeba zamówić u krawca specjalnie gładką szarfę, bez wyszywań i

guzików, no i kamizelka musi być tak skrojona, żeby jej końce nie przeszkadzały. Spójrz też — dodał — jak mam skrojony surdut, żeby poły się rozchodziły na boki.

— Zastanawiam się tylko — mówię mu na to — czy czasem, kiedy idziesz, rewolwery nie wpadają ci w spodnie.

— A — mówi on — wtedy rozpina się rozporek i łapie je, póki są w górnej części.

Nabierał do mnie sympatii przez tę techniczną rozmowę, bo człowiek zwykle jest zafascynowany swoim fachem i jego narzędziami. Bill zrobił mi wykład o zaletach różnych systemów noszenia broni, takich jak jedwabna szarfa, kabura pod pachą lub ukryta w kamizelce, zamocowanie dla Derringera po wewnętrznej stronie ramienia, tylne kieszenie ze skórzaną podszewką i tak dalej. Twierdził nawet, że znał człowieka, który nosił mały pistolet w rozporku i przyparty do muru prosił o pozwolenie wysikania się przed śmiercią, a wtedy rozpinał rozporek i strzelał. Rzecz w tym, że kiedyś się pośpieszył i odstrzelił sobie części męskie.

Strasznie dużo dowiedziałem się tego popołudnia. Zanim przyjechałem do Kansas, myślałem, że jestem niezły w obchodzeniu się z bronią, ale w porównaniu z Dzikim Billem Hickokiem byłem strasznie zielony. Oczywiście widziałem, że mam do czynienia z fanatykiem. Musiał nim być, żeby tak się gorączkować rozmową o kaburach, ładunkach, długości lufy, spiłowywaniu zaczepu kurka, żeby uzyskać lekki spust, o technice przywiązywania spustu i strzelaniu kurkiem, i tak dalej, i tak dalej. Zapomniał o whisky i nawet o swoich podejrzeniach i zaczął mnie tytułować „kolegą”, a nie złowieszczo „przyjacielem”.

Po jakimś czasie poczułem się znudzony i przypomniał mi, że mieliśmy jeszcze przepłukać gardła, podniosłem się, ale on powiedział, żebym siedział i że on sam przyniesie. I poszedł do kontuaru, mimo że barman już wrócił i mógł nam podać butelkę.

Jedna rzecz mnie rozbawiła: Dzikie Bill nie zostawił swojego cylindra, tylko zabrał go ze sobą. Uznałem to za pozostałość podejrzliwości do mnie, myślał może, że mu zwędzę ten szczegół garderoby. A może tylko nie chciał zapomnieć się i usiąść na nim, kiedy wróci.

Doszedł na odległość sześciu stóp od kontuaru i zaczął zamawiać, kiedy wspomniany już pijak przy środkowym stoliku nagle poderwał się odsłaniając pistolet w ręce, na której leżał, skierował go zdecydowanie w kierunku wysokich i szerokich pleców Hickoka i pociągnął za spust. Oceeniłbym odległość na piętnaście stóp. To było

naprawdę szybkie. Gdybyś wtedy kichnął, nie zauważyłbyś, że w ogóle coś się stało, bo w następnej chwili „pijak” leżał dokładnie w takiej samej pozycji jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że z małej dziury między oczami ciekła mu krew powiększając kałużę whisky na stole.

Strzelił, tyle że jego .kula poszła w sufit, bo podczas gdy wstawał i pociągał za spust, Dzikie Bill zobaczył go w lustrze za barem, odwrócił się, przerzucił cylinder do lewej ręki ukazując rewolwer, który pod nim ukrywał, i zabił człowieka. Potem włożył cylinder na głowę, podszedł i obejrzał nieboszczyka. Reszta obecnych zebrała się wkoło i wkrótce pojawił się szeryf Tom Speers.

— Znasz go, Bill? — pyta Speers.

— Nie — odpowiada Hickok wyrzucając pustą łuskę i zastępując ją nowym nabojem. Potem wzrusza ramionami, bierze tę butelkę z kontuaru i przysiada się do mnie z powrotem.

Ktoś mówi:

— To brat Strawhana.

Przyznaję, że nieco mnie poruszyło to wydarzenie, bo choć gwałt nie był dla mnie nowiną, to nie spodziewałem się go tutaj. Przełknąłem whisky, którą mi Hickok nalał spokojną ręką, odkaszlnąłem i pytam:

— Czy to nazwisko coś ci mówi?

Znów wzrusza ramionami, pociąga whisky i oczy ma ciężkie, jakby mu się zbierało na sen. Wreszcie odpowiada:

— Przypominam sobie człowieka o tym nazwisku z Hays.

— Było coś między wami?

— Zabiłem go — mówi. — Jeszcze o tym twoim rewolwerze. To ładna broń, ale naboje mają brzydki zwyczaj wybuchania i blokowania komory. Dałbym sobie z tym spokój i kupił coś innego, jakiegoś Colta w wersji Thuera...

Tymczasem Speers polecił dwóm gościom wynieść ciało i powiedział do Dzikiego Billa:

— Jak będziesz wolny, wpadnij do mnie na chwilkę.

Myślę, że szeryf musiał sporządzić raport. Hickok pożegnał go lekkim skinieniem ręki, lewej oczywiście. Powinienem był wiedzieć, że coś wisi w powietrzu, kiedy niósł ten cylinder w prawej ręce, którą rezerwował wyłącznie dla swojej broni.

Pokazywanie palcem, gestykulacja, drapanie się, sięganie po pieniądze — pomyśl tylko o wszystkim, co robisz prawą ręką. A on nie robił żadnej z tych rzeczy, trzymał ją całkowicie wolną przez cały czas. Jedyne wyjątkiem stanowiło podawanie ręki, kiedy to ledwo dotykał twoich palców i natychmiast zabierał dłoń.

Nie tego popołudnia, ale później spytałem Dzikiego Billa, czy faktycznie podejrzewał rzekomego pijaka, czy też zawsze przechodzi przez pokój z bronią w ręku.

— Podejrzewam każdego — odpowiedział — kto ma schowaną rękę, nawet jeżeli to jest nieboszczyk. Nie mam racji dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto, ale mam rację raz i to mi wynagradza moje starania.

Hickok był wspaniałym obserwatorem wszystkiego, co wiązało się z zabijaniem. Zauważył, jak poruszył mnie cały wypadek, choć myślę, że nie zwróciłby uwagi, gdybym wyszedł za potrzebą i wrócił. W swojej jednostronności był jak Indianin. Na przykład nie reagował na jakość whisky, która była dość podła. Później zrozumiałem, że rozmawiał o generale i pani Custer z pozornym zainteresowaniem tylko dlatego, że podejrzewał mnie o chęć zabicia go i grał na zwłokę. W rzeczywistości nie interesował się nimi jako ludźmi za grosz, podobnie zresztą jak nikim innym.

Potrafił jednak być troskliwy, kiedy rzecz wchodziła w zakres jego manii. Teraz też powiedział do mnie:

— Zawsze jest trudniej obserwować awanturę niż brać w niej udział. Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to poszukać sobie kobiety. Chodź, pokażę ci dobre miejsce.

Najpierw jednak musiał wstąpić do restauracji i zjeść wielki stek, bo — jak powiedział — to zabawne, ale awantury pobudzają jego apetyt. Poza tymi dwiema aluzjami nie słyszałem, żeby Dzikie Bill wspomniał o zastrzeleniu brata Strawhana, chociaż na ulicy i w restauracji różni osobnicy, którzy o tym słyszeli, składali mu gratulacje, a inni wyraźnie schodzili mu z drogi.

To miejsce, do którego mnie zabrał, okazało się salą tańca, ale zanim tam dotarliśmy, zrobił się wczesny wieczór, bo Dzikie Bill jadł swój stek powoli i ze smakiem, a potem zamówił ciasto i zajęło mu to tyle czasu, że zdążyłem całkowicie ochłonąć, bo przecież zabójstwo nie było dla mnie żadną nowością. Wobec tego zamówiłem sobie gotowaną szynkę, jako że stek wyglądał na diablo twarde. Szynka nie była lepsza, mogę dodać, i poskarżyłem się kierownictwu lokalu, ale Hickokowi ta kuchnia zdawała się odpowiadać.

Potem poszliśmy do sali tańca i – jak już wspomniałem – okazaliśmy się pierwszymi klientami. Dziewczęta wchodziły leniwie, ziewając i przeciągając się, bo widocznie dopiero co wstały po przespanym dniu. Przy wejściu wisiała tabliczka ze słowami „Prosimy o oddanie broni” i kiedy ją mijaliśmy, pojawił się wielki drab w pasiastej koszuli i mówi:

– Przykro mi, koledzy, ten napis to nie żarty.

Dziki Bill patrzył na niego swoimi czystymi błękitnymi oczami i mówi spokojnie:

– Czy jest Dolly?

– Będziecie musieli oddać broń – mówi tamten. A potem, pewnie ze względu na budzący szacunek wygląd Billa, wyjaśnia: – U mnie będzie bezpieczna. O, widzicie, przyczepiam do każdej sztuki kartonik i piszę, do kogo należy.

I sięgnął do kieszeni kamizelki, zapewne żeby wyjąć kartonik i ołówek, a ja znając zasady Dzikiego Billa pomyślałem sobie: rany Boskie, zaraz będzie następny!

Jednak w tej właśnie chwili w drzwiach stanęła potężna kobieta. Po czterdziestce, tęga, z wielkim biustem, którego dział wodny widoczny był w głębokim dekolcie czerwonej aksamitnej sukni, haftowanej czarnymi koralikami. Miała bogactwo czarnych włosów na głowie i lekki wąsik tego samego koloru.

– Billy! – krzyknęła basowym głosem, podbiegła, uściśnęła Hickoka przyciskając swój biust do jego kamizelki i umieściła ognisty pocałunek na jego policzku. Potem powiedziała do wykidajły. – Pan Hickok ma specjalny przywilej.

– Hickok! – powtarza tamten, na jego twarzy odmalowuje się szok i facet spływa. Oto przykład, co znaczy reputacja. Tamten człowiek był zawodowym wykidajłą i znał się na swojej pracy. Widziałem go później, jak pobił trzech agresywnych i pijanych łowców bizonów posługując się jedynie średnich rozmiarów pałąką. Ale jak tylko usłyszał tamto magiczne nazwisko, stawał się bezbronny wobec jego właściciela.

– A kto to jest ten twój mały, uroczy przyjaciel z krótkimi rączkami? – pyta Billa ta kobieta i on po raz pierwszy pyta mnie o nazwisko, i przedstawia mnie.

Wtedy Dolly bierze mnie w ramiona rozgniatając mi twarz swoim elastycznym przedsięwzięciem i niech mnie licho, jeżeli nie przesuwają rąk na moje pośladki i nie ociera się o mnie swoimi udami jak pnie drzew. Nie mówię, że nie miałem z tego żadnej przyjemności, bo był to kawał kobity, choć z drugiej strony czułem się nieco

nieswojo, jakby dobierała się do człowieka rodzona ciotka, a że musiałem też troszczyć się o swoją godność, więc ją odepchnąłem.

— Oooo — powiedziała układając swoje grube usta w niewinną minkę — ostry lisek z niego, co?

— Znajdziesz dla niego jakąś miłą dziewczynę? — mówi Hickok ze śmiechem. — Jest, uważasz, zdenerwowany.

Zawołała więc swoje kobiety i trzeba przyznać, że były dużo lepsze niż wszystko, co udało się znaleźć na zachód od tego miejsca aż do San Francisco. Jedna czy dwie były nawet naprawdę ładne, a wszystkie prezentowały się dość schludnie nie demonstrując starych szram od noża ani intensywnych dziobów po ospie. Trzeba przyznać, że Dolly prowadziła zakład pierwszej klasy.

Obejrzałem je i niektóre robiły do mnie sprośne uwagi, podczas kiedy inne zachowywały się wyniośle i chłodno, bo jako grupa musiały zaspokajać wszelkie gusta, ale ta, którą sobie wybrałem, nie wyglądała ani na zbyt łatwą, ani nie zadzierała nosa. Była jakby smutna i rozmarzona, niska i szczupła, z matowo rudawymi włosami, które chciała widocznie zakręcić, ale nie całkiem jej to wyszło. Na delikatnej skórze pod oczami widać było lekkie piegi. Jej czerwona suknia odsłaniała ramiona i nogi do kolan, a że obcasy pantofli miała zdarte, te nogi wydawały się lekko krzywe.

Niezbyt podniecający obraz, co? Bo też nie była zbyt podniecająca, ale ja nie potrzebowałem w tym momencie ladacznicy. To był pomysł Hickoka, nie mój, ale powiem ci, że kiedy ktoś taki jak on coś proponuje, to bierze się to pod uwagę, zwłaszcza kiedy się widziało, jak przed chwilą bez ceregieli położył trupem człowieka.

Nie czując więc pożądania wybrałem tę dziewczynę jako najmniej pociągającą cielesnie i poszliśmy tańczyć przy dźwiękach małego pianina, na którym bębnił łysy jegomość, tytułowany jak wszyscy z jego branży „profesorem”. Nie jestem wybitnym tancerzem, ale też nie wymaga się tego w lokalu, gdzie partnerka przyciska się brzuchem przez minutę, a potem ciągnie cię na korytarz i dalej do swojej komórki, czyli żłobka, z czego wzięła się nazwa „dziewczyna ze żłobka”.

Tak właśnie zrobiła ta mała. Ledwo zaczęła się muzyka, napała na mnie brzuchem, tyle że nie miała brzucha godnego tej nazwy, i orała po mnie ostrymi kośćmi biodrowymi, a że ja też byłem chudy, przychodziło mi na myśl wszystko tylko nie seks. Odepchnąłem ją z lekka i próbowałem poskakać trochę w moich ciężkich buciorach, bo profesor wygrywał żwawy kawałek, ale ona uznała to za wskazówkę, że

śpieszy mi się do żłobka, i ze znużeniem, mechanicznie, ale zdecydowanie wyciągnęła mnie na korytarz.

Jej komórka mieściła żelazne łóżko i rozklekotane krzesło, które dawno by się rozpadło, gdyby miało gdzie, bo zajmowało całą przestrzeń między łóżkiem a ścianą, co zaś do długości pokoiku, to świadczy o niej fakt, że drzwi musiały otwierać się na korytarz. Zapaliła lampę naftową zawieszoną na ścianie, a ja usiadłem na łóżku, bo nie miałem tam innej możliwości, i wtedy ona jednym ruchem zrzuci suknię, wiesza ją na haku i, goła jak ją Pan Bóg stworzył, siada mi na kolanach.

Wiedziałem, że jest młoda, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę jak bardzo płaski ma biust, szczupły tyłeczek i kościste kolana; nie była po prostu chuda, ona była prawie jeszcze dzieckiem, co maskowała jej uróżowana twarz. Spytałem ją, ile ma lat.

— Dwadzieścia — mówi ona.

Odchyliłem się, żeby zwiększyć nieco dystans między naszymi głowami.

— Nie wygłupiaj się — powiadam.

— No, osiemnaście — mówi, kładzie się na mnie i zaczyna manipulować przy moim kołnierzyku.

Wtedy zrzucam ją z siebie i wstaję, czego bardziej postawny człowiek nie mógłby zrobić, bo człowiek wzrostu Hickoka nie mógłby stanąć wyprostowany pod takim niskim sufitem.

Widocznie przestraszona, że chcę odejść, zaczęła mnie w zmieszaniu zapewniać, że umie wszystko i nigdy jeszcze nie miała reklamacji.

— Na razie żądam tylko — mówię — żebyś powiedziała, ile masz naprawdę lat. Z niczego więcej nie mogę chwilowo skorzystać, bo zdaje się, że coś ostatnio złapałem, ale chętnie dam ci i tak dolara.

— Dolara? — krzyknęła oburzona i wszystkie wyobrażenia, jakie żywiłem na temat jej niewinności i romantyzmu, ulotniły się natychmiast. — Ty dziadu — tu się płaci pięć razy więcej za samo spuszczenie spodni.

— Niech mnie diabli — ja na to — jeślibym dał pięć dolarów za przejazdkę na samej carycy rosyjskiej. — Rozbawił mnie jej gniew. Te jej piegi stały się wyraźniejsze, a włosy bardziej rude. Kogoś mi przypominała. — A co dopiero mówić — ciągnę dalej — o jakimś zabiedzonym czternastoletnim dzieciaku.

— Lada dzień skończę siedemnaście — mówi. — A ty wynoś się ze swoim dolarem, bo zawołam Harry'ego i cię wyrzuci.

Coś mnie pociągało w tej małej. Nie pożądanie, bo do tych celów wołałem kobiety doświadczone i krzepkie. Myślę, że spodobała mi się jej zuchwałość.

— Dobrze — powiadam — zapłacę ci. Ale wiesz, co za to chcę? Chcę posiedzieć tutaj tyle, żeby mój przyjaciel pomyślał, że się zabawiłem. Dostaniesz swoje pieniądze i nie będziesz musiała na nie pracować.

Zgodziła się, kiedy włożyłem jej w małą łapkę gotówkę i zobaczyła, że mówię poważnie. Prawdę mówiąc myślę, wołała takie rozwiązanie; w tamtych czasach nieczęsto trafiała się okazja, żeby zarobić pięć dolarów siedząc na tyłku.

Teraz, kiedy już raz ujawniła swój temperament, nie wracała do poprzedniego stylu melancholijnej lafiryndy, który był tylko rolą. Jak mówiłem, w tym lokalu starano się zaoferować wszelkie typy. Myślę, że ona mogła odpowiadać komuś, kto lubił sobie wyobrazać, że robi to z jakąś małą, przepracowaną służącą, może w dodatku sierotą, gdzieś pod kuchennymi schodami.

W swoim prawdziwym wcieleniu była wręcz bezwstydna. Mogła się już ubrać, ale nie, położyła się z rękami pod głowę i z kolanami uniesionymi w świetle tej naftowej lampy i mówi:

— Hej, masz może cygaro?

— I palisz też — mówię. — Jesteś naprawdę nieokrzesana. — Drażniłem się z nią dla zabicia czasu, bo nie miałem nic innego do roboty. Usiadłem z powrotem w nogach łóżka, gdzie zostało dość miejsca, bo ona była mała i leżała z uniesionymi kolanami... — Spodziewałem się — mówię — że damy z Kansas okażą się bardziej wytworne i wyrafinowane.

Jej zielone oczęta wyglądały, jakby za chwilę miały rozbłysnąć, potem nagle przesłoniła je rękami i jej wątlą piersią zaczęły wstrząsać łkania. Poczulem się okropnie, wziąłem więc ją w ramiona i posadziłem sobie z powrotem na kolanach, a ona płakała na moim ramieniu, wczepiona we mnie, jakbym był jej ostatnią nadzieją na ziemi.

— Dobrze, już dobrze — mówię składając ojcowski pocałunek między splątane rude kosmyki na czubku jej głowy i poklepując jej gołe, kościste plecy — opowiedz o swoich kłopotach wujkowi Jackowi.

Pochlipała mi jeszcze trochę w szyję, a potem opowiedziała następującą historię.

— Urodziłam się w Salt Lake City w jednej z najbardziej szacownych rodzin, moja mama mając piętnaście lat wyszła za mąż za znanego przywódcę mormonów. Rozpoznałbyś to nazwisko natychmiast, gdybym je wymieniła. Ludzie z zewnątrz mają dziwne wyobrażenie o mormonach z powodu ich wielożeństwa, ale powiadam ci, że dzięki temu nie znajdziesz w Salt Lake City domów rozpusty takich jak ten. Moja mama była jedenastą żoną taty i jak weźmiesz nas, dziewczęta tutaj u Dolly, to stale bijemy się między sobą, a między moimi matkami nigdy nie padło ani jedno złe słowo. Miałam piętnaście siostr i dwudziestu jeden braci i mieszkaliśmy w domu, który był jak hotel. I całe dnie, od rana do wieczora, spędzaliśmy tylko na pracy i modlitwie. Do czternastego roku życia byłam chyba najczystsza dziewczyną na świecie, bo uważałam ciało ludzkie za świątynię Boga i nigdy nie ośmieliłabym się skalać umysłu nieczystą myślą. Tymczasem wyrosłam na ładną dziewczynę. Pewnego dnia matka posłała mnie do sąsiadów po trochę cukru. Mieszkał tam inny starosta mormonów nazwiskiem Woodbine, który miał tylko sześć żon i dziesięcioro dzieci, i tak się złożyło, że wszystkie te kobiety i dzieci pracowały akurat w polu i w domu był sam starosta, mężczyzna pięćdziesięcioletni z wielką czarną brodą. „Jesteś Amelia, prawda? — mówi wpuszczając mnie do środka. — Ależ z ciebie teraz ładna dziewczyna. Cukier jest chyba w spiżarni.” Idzie więc tam ze mną i mówi: „Jest, zdaje się, na górnej półce, podniosę cię.” Co też zrobił swoimi wielkimi rękami i to było wszystko, co się wtedy zdarzyło, tyle że kiedy mnie postawił z powrotem, był purpurowy na twarzy i ciężko dyszał, chociaż nie jestem ciężka. Ale w dzień czy dwa później tato mnie wezwał i poinformował, że starosta Woodbine chciałby mnie wziąć za siódmą żonę. Protesty na nic by się nie zdały, bo tato już podjął decyzję i nigdy nie odważyłabym mu się przeciwstawić, więc jeszcze tej samej nocy uciekłam. Wiele razy potem żałowałam swojej głupoty — mówiła łkając na samą myśl — bo przez te ostatnie dwa lata zapoznałam się z niewiernymi od najgorszej strony, wielu z nich jest tak samo zarośniętych na twarzy jak starosta Woodbine i tak samo starych, a niektórzy są na domiar włochaci jak niedźwiedzie, a ja zamiast być narzędziem rozkoszy dla każdego, kto przechodzi drogą, mogłam być szacowną mormońską żoną.

Może to i prawda, pomyślałam, choć była to typowa historyjka, jaką opowiadały wszystkie ladacznice; jak się ich słuchało, to wszystkie pochodziły z dobrych rodzin. Nie mówię, że byłam całkowicie przekonany. To, że wspomniała o Salt Lake

City i mormonach, nie zwróciłoby mojej uwagi samo przez się, choć może pamiętasz, że mój tato wyprawił się do Utah i stąd trafiłem do Czejenów, i miałem wszystkie dalsze przygody.

Ale kiedy ta Amelia, goła jak sroka, siedziała mi na kolanach, zauważyłem u niej znamię w zagłębieniu u podstawy szyi. Rzecz w tym, że moja siostra, Sue Ann, licząca trzynaście lat, kiedy ją po raz ostatni widziałem, miała podobne znamię dokładnie w tym samym miejscu. Powiedziałem wcześniej, że ta mała ladacznica kogoś mi przypominała. Ale mimo tego znamienia nie mogła być moją siostrą, która miała jaśniejsze włosy i inne rysy twarzy.

— Wiesz co — mówię do Amelii — możliwe, że mam jakichś krewnych w Salt Lake City. Kiedy ich ostatni raz widziałem, wybierali się tam i chcieli przystać do mormonów. Mogłaś o nich słyszeć, jeżeli dojechali na miejsce.

Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. Mimo wszystkich tych szlochów oczy miała zupełnie suche, ale za to udało jej się wetrzeć większość pudru i różu w kłapy mojego czarnego surduta. Pod tym wszystkim okazała się równie piegowata jak ja, a włosy miała całkiem rude.

— Mówiłeś, że jak się nazywali? — spytała chytrze mrużąc oczy.

— Nie mówiłem, ale jak chcesz wiedzieć, to nazywają się Crabb. Byłaby to moja mama i moja siostra Sue Ann, która jak myślę miałaby teraz jakieś trzydzieści lat, potem Margaret, trochę młodsza...

— Sue Ann — krzyknęła Amelia. — Tak się nazywa moja mama!

Wybuchnęła śmiechem, kręciła głowę i znów zaczęła płakać ściskając mnie za szyję.

Wtedy dopiero zrozumiałem, kogo mi przypomina: mnie samego.

— Więc naprawdę jesteś moim wujkiem Jackiem! — zawołała.

— Widzisz — powiedziałem. — Lepiej włóż tę kieckę.

21. MOJA SIOSTRZENICA AMELIA

Myślę, że ze wszystkich rzeczy, jakie mi się przydarzyły, ta była największym wstrząsem, spotkanie mojej siostrzenicy w tych warunkach. A gdybym tak... na samą myśl dostaję gęziej skórki. Musiałbym chyba palnąć sobie w łeb, bo niech mnie diabli, ale przecież nie byłem zwyrodnialcem.

Im dłużej się jej przyglądałem, tym bardziej oczywiste stawało się nasze pokrewieństwo. Nigdy nie zachwyciłem się tym, że mój nochal zawija się do góry, jakby ktoś palnął mnie w twarz za młodu, kiedy jeszcze była plastyczna, ale wiesz, zobaczyłem ten sam nos u tej mojej siostrzenicy i wydał mi się naprawdę uroczy. Miałem do niej, jak myślę, od początku prawdziwe rodzinne uczucie i dlatego ją wybrałem, i dlatego też nie budziła we mnie pociągu fizycznego.

To jest pozytywna strona zagadnienia. Negatywna polegała na tym, że Amelia była ladacznicą. Nie dało się pominąć tego faktu i odczuwałem z tego powodu pewien wstyd. Nie wiedziałem, co robić, powtórzyłem więc jeszcze raz:

— Ubierz się. — Ale grzecznie, jak przystało na wujka, i zdjąłem jej suknię z haka, a sam odwróciłem się plecami.

Potem nagle zawstydziłem się swojej obecności w takim miejscu. Zabawne, że usprawiedliwiałem się przed nią, co?

— Amelio — powiedziałem — chcę, żebyś wiedziała, że przyszedłem tu tylko, żeby zrobić przyjemność mojemu koledze.

— Panu Hickokowi? — mówi ona. — Tak, on tu siedzi stale.

— Zabiorę cię od tego wszystkiego — mówię. — Od tej chwili nie jesteś już dziewczyną ze żłobka. Za tydzień zapomnisz o wszystkich swoich nieszczęsnych przeżyciach, a za pół roku będziesz prawdziwą damą.

Bo nagle, stojąc tam, wpadłem na pomysł. Przez całe życie tęskniłem za odrobiną klasy i zapragnąłem osiągnąć ją w tej mojej siostrzenicy. Poślę ją do jednej z tych szkół dla panienek z dobrych domów. Miałem na początek jakiś zwitek banknotów, a potem, jak zrozumiałem z rozmów z łowcami bizonów, można było szybko zrobić majątek w tym zawodzie. Dwa do trzech tysięcy dolarów za jeden sezon od września do marca, które większość myśliwych przywozła tutaj, do Kansas City, i

wydawała przez lato na whisky i kobiety. Ale ja zrobię inaczej. Ja miałem teraz cel — sprowadzić Amelię na drogę cnoty. Straciłem w sposób brutalny dwie rodziny, teraz w domu rozpusty znalazłem załóżek trzeciej.

Po pierwsze jednak musieliśmy wydostać się z tego domu. Spodziewałem się, że mogą z tym być niejakie kłopoty, wyjąłem więc swój rewolwer z kabury i wsunąłem go za szarfę, tak jak mi radził Hickok. Potem pomyślałem, że mała Amelia może paść ofiarą strzelaniny. Lepiej ją wykupić. Jest to coś, co wśród białych ludzi zawsze daje się załatwić.

Sięgnąłem po swój zwitek... i nie znalazłem go, choć jeszcze przed chwilą płaciłem jej te pięć dolarów. Byłem pewien, że miałem go w kamizelce.

— Amelio — mówię — nie widziałaś, gdzie wetknąłem pieniądze?

Mówiłem dotąd wyłącznie o swoich odczuciach, a to dlatego, że moja siostrzenica wpadła, jak się wydawało, w szok po ujawnieniu naszego pokrewieństwa. Ubrała się i stała tępo skubiąc palcami włosy, a kiedy pokrótce wyłożyłem jej swój zamiar zabrania jej stamtąd, przyjęła to z niewyraźnym uśmiechem, w którym udział wzięły same tylko usta. Teraz jednak odzyskała bystry wyraz twarzy i powiada:

— Pewnie ci wypadły i wtoczyły się pod łóżko.

Schyłam się, żeby tam zajrzeć, a ona szybko otwiera drzwi i chce uciec, ale stary wujek okazał się zręczniejszy, niż przypuszczała. Złapałem ją za kostkę i trzymam.

— Widzę — mówię — że twoja poprawa będzie wymagać czasu. A teraz wypłuj ten mój zwitek, bo go z ciebie wytrąsnę.

Wyjmuje go z włosów. Ściągnęła go, kiedy opowiadała mi o swoim życiu wśród mormonów i przytulała się, jednocześnie myszkuje mi po kieszeniach. Nie gniewałem się, biorąc pod uwagę towarzystwo, w jakim biedne dziecko obracało się przez dwa lata.

Poszliśmy kuchennymi schodami do jej pokoiku, niewiele lepszego niż jej żłobek, tam zebrała swój żalony majątek, puder i jakieś drobiazgi, i zapakowała to do tekturowej walizki, a ja skłoniłem ją do przebrania się w coś bardziej przyzwoitego niż strój ladacznicy i mocną ręką poprowadziłem na dół do wyjścia. Po drodze przeszliśmy przez salon i tym razem gwar rozlegał się ze wszystkich gabinetów, a parkiet taneczny zapełniała gromada mężczyzn, pijanych i rozkrzyczanych, tak że łatwo było zrozumieć, dlaczego odbierano im broń przy wejściu, inaczej pozabijaliby

się nawzajem. Wtedy właśnie zobaczyłem, jak ten wielki wykidajło Harry ogłusza i wyrzuca na ulicę trzech łowców bizonów.

Otóż przeciągnąłem Amelię przez salon i wepchnąłem do kantorku przy wejściu. Dziki Bill już wyszedł, Dolly była sama. Na zawsze zapamiętałem, jak stała splatając rzemienie szpicruty z niegarbowanej skóry, kiedy weszliśmy. Jeżeli zamierzy się nią na mnie albo na Amelię, pomyślałem sobie, to wpakuję w nią pięć kul z miękkimi czubkami, nie patrząc, że to kobieta.

Spojrzała na nas i uśmiechnęła się pod wąsem.

— No, i jak, dobrze się bawisz, Krótka Rączko? Może weźmiesz sobie następną, pokaż klasę. Billy nieprędko będzie gotów.

— Słuchaj, Dolly — mówię. — Zabieram to dziecko. — Wstydzilem się przyznać do naszego pokrewieństwa, powiedziałem więc tylko: — Nie próbuj mnie zatrzymać.

Zawiązała supeł na końcu pejsza i wypróbowała go na dłoni.

— Dlaczego miałabym to robić — powiedziała. — Tu jest Salon Wolności, chłoptasiu.

Roześmiała się ochryple i kołysząc się okazale opuściła pokój i przeszła przez tłum na parkiecie na zaplecze, a pijący rozstępowali się przed nią, jak kiedy duży okręt wpływa do Zatoki San Francisco i mniejsze łodzie schodzą mu z drogi.

Zabrałem Amelię do hotelu, w którym sam mieszkałem, i recepcjonista zaczął szczerzyć zepsute zęby, ale go osadziłem w miejscu zamawiając jej pokój obok mojego na pierwszym piętrze, i poszliśmy na górę, gdzie zrobiłem jej łóżko, obwąchałem dzbanek na toalecie, żeby sprawdzić, czy woda jest świeża, dałem jej własną flanelową koszulę nocną, bo nie miała przyzwoitego stroju nocnego, i pocałowałem ją na dobranoc w czoło.

Zachowywała się przez cały ten czas bardzo posłusznie, nie odzywając się ani słowem; widocznie nie doszła jeszcze do siebie po szoku, jakim stało się odnalezienie krewniaka.

Byłem zbyt poruszony, żeby zasnąć tej nocy. „Amelia Crabb” wpisałem do książki hotelowej. Nie znałem i nie chciałem znać jej mormońskiego nazwiska. Nie ciekawiły mnie też zbytnio historie z jej wcześniejszego życia, nawet o jej mamie, a mojej siostrze Sue Ann. Zbyt długo żyłem w oderwaniu od mojej prawdziwej rodziny. Jakoś mnie przygnębiało myślenie o ich życiu w Salt Lake City wśród świętych dnia ostatniego, tak dalekim od wszystkiego, co znałem. W drodze do hotelu spytałem

Amelię o moją własną mamę, a jej babcię i powiedziała mi, że jej nie pamięta, uznałem więc, że widocznie umarła. Nie chcę powiedzieć, że byłem pozbawiony uczuć, ale wszystkie skupiły się teraz na tej młodej dziewczynie, i to bardziej na tej, jaką miała zostać, niż na tej, jaką była obecnie. Ktoś, o kogo mogłem się troszczyć. I zrobię to lepiej niż poprzednio. Tym razem nie musiałem przejmować się Indianami ani Armią Stanów Zjednoczonych. Wszystkim innym mogłem dać radę; nawet Dzikiemu Billowi Hickokowi, gdyby do tego doszło.

Następnego dnia, dość późno, bo Amelia nabrała w burdelu zwyczaju przesypania większości dnia, wyszliśmy i zrobiliśmy zakupy. W zapinanej pod szyję sukni i z twarzą czysto umytą wyglądała zupełnie jak panienka z dobrego domu. Była bardzo blada, ale to tylko działało na jej korzyść, bo w tamtych czasach dama nigdy nie pozwalała, żeby słońce dotknęło jej skóry.

Wtedy uświadomiłem sobie, że nie musimy mieszkać w tym hotelu, który nie był wprawdzie zapluskwiony, ale znajdował się w nie najlepszej części miasta, w sąsiedztwie podejrzanych lokali, i na dole siedziały różne gbury żując tytoń i plując na podłogę, a na dodatek niektórzy z nich mogli znać Amelię z zakładu Dolly. Więc niech mnie licho, poszedłem do najelegantszego miejsca w Kansas City, z wymyślnymi gazowymi lampami, pluszowymi meblami w hallu i fagasami w haftowanych złotem liberiach, i wynająłem dla nas dwa pokoje połączone przyjemnym salonikiem. Musiało to kosztować siedem, osiem dolarów za dzień, nie pamiętam już ile. Przypominam sobie, że kierownictwo zadzierało nosa, ale siałem pieniędzmi na prawo i na lewo, co wpłynęło na zmianę ich postawy.

Amelia nie sprawiła mi tam wstydu, zdumiewająco szybko weszła w to nowe życie. Przypuszczam, że mormońskie wychowanie nie było takie złe jako podstawa, a resztę załatwiały wrodzone zdolności wraz z tym, co wyczytała w żurnalach, które jej kupiłem, oraz studia nad damami z towarzystwa mieszkającymi w hotelu, żonami i córkami senatorów, generałów i ludzi interesu. Nauczyła się chodzić, jakby pod swoją długą spódnicą jechała na małych kółeczkach, a kiedy brała filiżankę herbaty, jej delikatna rączka unosiła się jak ptak do lotu.

I okazała się ładna, naprawdę ładna z tym zadartym noskiem i małymi usteczkami, a włosy miała lśniące jak jesienny liść, kiedy zostały kilka razy umyte i ułożone przez wprawnego fryzjera. Mężczyźni z hotelu byli nią zafascynowani, ale

zachowywali się dyskretnie i z szacunkiem, a nie gapili się, oblizywali i tak dalej, jak nieokrzesane gbury, wśród jakich zawsze dotąd się obracałem.

Kosztowało mnie to majątek i po kilku dniach wyluskałem tyle banknotów z mojego zwitka, że ścieniał do rozmiaru małego palca, przy czym rachunek w hotelu był nie zapłacony i rósł z godziny na godzinę, bo Amelia stale zamawiała jakieś rzeczy na górę. Tak zresztą miało być, bo chciałem przetrzymać ją w odosobnieniu, póki światowy styl życia nie wejdzie jej w nawyk, zastępując kurewstwo w jej własnym myśleniu o sobie.

Odwiedziłem kilka szkół, ale nie znalazłem odpowiedniej z różnych powodów; w niektórych prowadzące je zasuszone stare panny patrzyły na mnie z góry znad swoich spiczastych nosów i oświadczały, że mają wszystkie miejsca zajęte na najbliższe pięć lat, a powiem ci też, że niektóre inne dla odmiany przypominały mi Dolly.

Tymczasem musiałem gdzieś zdobyć trochę gotówki. Jedyne, co potrafiłem wymyślić, to udać się z powrotem w okolice Rynku i zagrać w pokera. Łowcy bizonów co wieczór grali na ciężkie pieniądze zaczynając zazwyczaj koło północy, po powrocie z teatrzyków i sal tańca, i grając do białego dnia. Kiedy mówię „ciężkie pieniądze”, mam na myśli, że mając szczęście można było wstać od stołu o w pół do piątej rano z dwiema, trzema setkami dolarów. Godziny mi odpowiadały: mogłem odprowadzić Amelię bezpiecznie do łóżka, a potem wymknąć się, grać przez całą noc i wrócić, zanim wstała jakby nigdy nic. Bo nie chciałem, żeby wiedziała, że jej wujek uprawia gry hazardowe; był to rodzaj życia, przed którym przysiągłem ją osłaniać.

Pierwszego wieczoru, kiedy poszedłem na Rynek, natknąłem się na Dzikiego Billa Hickoka. Siedział w swoim ulubionym kącie w barze, w którym zastrzelił brata Strawhana, i kiedy wszedłem, przywołał mnie gestem. Siedział z innymi ludźmi przy pokerze i właśnie wygrał dużą pulę.

— Chłopcze — powiada do mnie — brakowało mi ciebie. Nie posądzałem cię, że jesteś z tych ludzi, co to uciekają z dziewczyną ze żłobka.

Nie podobała mi się ta aluzja do Amelii, ale żeby skutecznie przeciwko niej zaprotestować, musiałbym przyznać się do naszego pokrewieństwa, a tego nie chciałem.

— Tak jest — ciągnie on — jeżeli jest z ciebie równie znakomity gracz jak uwodziciel, chętnie powitałbym cię w naszym gronie. Ty — tu wskazał mężczyznę siedzącego naprzeciwko — odstęp mu krzesło.

Ten miał wprawdzie nieszczęśliwą minę, ale posłuchał bez zwłoki. Ze wszystkich ludzi na świecie najmniejszą chęć miałem grać przeciwko Dzikimu Billowi. Bo zapomniałem wcześniej napomknąć, że chciałem oszukiwać. Wiem, że są ludzie, którzy uważają szulerstwo za jeden z najcięższych grzechów. Ja też się nim nie zachwycam, ale uznałem, że mój cel wystarcza, żeby je usprawiedliwić w tym przypadku. Pewnie każdy tak usprawiedliwia każdego rodzaju nieuczciwość, jaką popełnia, ale ja tu nie wygłaszam kazania na temat moralności, tylko opowiadam historię, i faktem jest, że wówczas byłem zdecydowany oszukiwać swoich partnerów, ile wlezie. Tyle że nie spodziewałem się trafić do gry z Dzikim Billem Hickokiem.

W rezultacie grałem uczciwie przez jakieś dwie godziny i koło drugiej nad ranem zostało mi ostatnie pięć dolarów. Wtedy wziąłem się w garść i pomyślałem, że mała Amelia to wszystko, co mam na świecie. Albo zdobędę pieniądze, żeby z niej zrobić uczciwą kobietę, albo wracamy do punktu startu i wówczas nie ma znaczenia, czy Dzikie Bill mnie zastrzeli, czy nie. Zrozumiałem, że nie mam wyboru.

Frank Delight, który kochał się w Caroline i był mistrzem gier losowych, pokazał mi kilka sztuczek przechylających szansę na stronę człowieka, który je stosował. Za mało ćwiczyłem, żeby opanować asa z rękawa, co ekspert potrafi zrobić w sposób niedostrzegalny; to samo dotyczyło fałszywego tasowania. W tej sytuacji postanowiłem użyć lustrzanego pierścionka. Jest to zwykły pierścionek mający gdzieś dobrą płaską powierzchnię, dobrze wypolerowaną, która odbija symbole na kartach, kiedy się je rozdaje licami do dołu. W ten sposób wiesz, co mają twoi przeciwnicy, i możesz odpowiednio zagrać.

Nabyłem mosiężny pierścień i spiłowałem płaską powierzchnię średnicy około ćwierci cala na spodniej części jego dogodnego, szerokiego obwodu, a następnie dobrze ją wypolerowałem. Była taka mała, że nie rzucała się w oczy, ale wystarczała do przekazywania informacji. Dotychczas nie odważyłem się z niego skorzystać, ale teraz, kiedy przyszła moja kolej, żeby rozdawać, wytarłem dłonie o surdut, jakby mi się spociły, a faktycznie polerując małe lusterko we wnętrzu lewej dłoni, i zacząłem.

Natychmiast wygrane Dzikiego Billa zaczęły się kurczyć i chyba gdzieś o w pół do szóstej rano odsunął resztę swojej forsy mówiąc z dziwnym uśmiechem:

— No, przyjacielu, jeżeli jesteś równie dobry w miłości, jak w grze...

Jego głos zawisł w powietrzu, Dzikie Bill wstał i wyszedł z baru w poranek pokazując przez całą drogę plecy, co dowodzi, jak był wstrząśnięty.

Nie wspomniałem o dwóch pozostałych frajerach, z którymi graliśmy, obaj z tych, co to uważają za zaszczyt przegrać do Dzikiego Billa. Nie brakowało fagasów czekających w kolejce, żeby do niego przegrywać co noc. Kiedy teraz zbierałem swoją wygraną, a okazało się tego nieco ponad sto dolarów, ci dwaj wymienili krzywe uśmiešky.

— Pamiętam świętej pamięci Hanka Frencha — mówi jeden. — On też wygrał z Dzikim Billem w pokera.

Roześmiałem im się w nos i wyszedłem z całonocnego zaduchu dymu i alkoholu w świeżość poranka. W tamtych czasach człowiek musiał zachowywać twarz i dobrze się stało, że ci dwaj byli za moimi plecami, kiedy zobaczyłem, że Hickok czeka na mnie na ulicy w cylindrze nasuniętym na czoło, ze złotymi włosami spływającymi na ramiona, z kciukami pięknych wypiełgnowanych dłoni zatkniętymi w kieszonki kamizelki obok dwóch rękojeści z masy perłowej sterzących na obu biodrach. Ulicą przechodził człowiek popychający ręczny wózek, a po drugiej stronie placyku ktoś siodłał muła, który nadymał się, jak to one zwykle robią, żeby mieć luźny popręg, a jego właściciel starał się wpłynąć na niego kopniakami.

Cóż, pomyślałem, więc to tutaj wszystko się skończy, po tylu latach wykręcania się od śmierci, bo Hickok pewno podziurawi mnie jak sito za to, że go oszukałem, i Amelia wróci do nierządu, a ja znów zawiodłem.

Ale nie miałem zamiaru ugiąć się przed Dzikim Billem, chociaż w tym wypadku miał rację. Sam nie wiem, dlaczego bałem się go, ale jednocześnie jego obecność była dla mnie wyzwaniem.

Wyszedłem więc przez wahadłowe drzwi na ganek i mówię:

— Czekasz na mnie?

Mierzy mnie tym swoim słynnym spokojnym spojrzeniem przez długą, zapierającą dech chwilę, a potem nagle rozluźnia się i mówi:

— Chodź, chłopie, zjemy jakieś śniadanie.

Kiedy już siedzieliśmy nad stekami z jajkiem i frytkami, Dziki Bill mówi:

— Każdy, kto tak dobrze gra w pokera, powinien umieć posługiwać się bronią.

Nie wiem, czy był to sarkazm, i nie zrozumiałem, dlaczego zaofiarował mi swój mistrzowski instruktaż za darmo. Zgodziłem się i zaczęliśmy ćwiczyć co rano po grze. Jedliśmy z Dzikim Billem śniadanie, a potem jechaliśmy na skraj miasta i strze-

laliśmy. Sam przekonałem się, że chociaż nosiłem rewolwer przez całe lata i bywało, że się nim posługiwałem, to w porównaniu z Hickokiem miałem o tej broni mgliste pojęcie.

Opowiadał mi o technicznych właściwościach pistoletów, kabur, nabojów i tak dalej, ale większość czasu spędzaliśmy na ćwiczeniu celności i szybkiego wyciągania broni. Domyślałem się, że zanim zaczął mnie zabierać, przychodził tu sam, bo rewolwerowiec, tak jak pianista-wirtuoz, musi stale ćwiczyć, żeby nie stracić wyczucia w palcach. Oto ćwiczenia, jakie stosował Dzikie Bill dla podtrzymania sprawności: wstrzeliwanie korka do butelki i rozłupywanie pocisku o skraj monety, jedno i drugie z odległości czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, zaczynając od rewolwerów za pasem. Trzymałem srebrną dolarówkę na wysokości piersi, puszczałem ją i zanim dotknęła ziemi, on wyciągał broń, strzelał i trafiał monetę w taki sposób, że miękki ołowiany pocisk zostawał rozcięty na dwie równe części.

Przy jakichś pierwszych trzydziestu próbach nie trafiłem nawet w deskę, w której moneta była osadzona, albo dziurawiłem prerię dookoła butelki. Potem jednak doszedłem do tego, że chybiałem tylko o kilka cali, i to zawsze w prawo od celu, przesunąłem więc punkt celowania w lewo i pewnego ranka, zaledwie po tygodniu ćwiczeń, zaliczyłem pierwsze trafienie. Była to sztuczka z monetą, później wstrzeliłem też korek do butelki, co stanowiło mniejsze osiągnięcie.

Nie potrafiłem jednak znaleźć sensu w błyskawicznym wyciąganiu broni czy mistrzowskim strzelaniu bez jakiegoś celu. Weź Dzikiego Billa, jedyna rzecz, do której się nadawał, to stanowisko stróża porządku patrolującego uliczki jakiegoś krowiego miasteczka, w nadziei, że ktoś stawi mu opór i będzie mógł użyć broni. Nie nadawał się nawet na bandytę, bo taki musiał bardziej interesować się rabunkiem niż popisami strzeleckimi albo, jak w przypadku Johnny'ego Skoka i jego bandy, mordem i rzezią. Krótko mówiąc, czymś konkretnym. Tymczasem pojedynki strzeleckie były w gruncie rzeczy czystą ideą polegającą na sprawdzaniu prawdziwości zdania: „Jestem lepszy od ciebie.” Może i było to uczciwe, bo wzrost i waga nie grały roli i karzeł miał równą szansę z olbrzymem, kiedy obaj trzymali Colty. Ale rodziło się pytanie, czego dowiodłeś, kiedy znalazłeś lepszego od siebie?

Takie myśli przychodziły mi do głowy, bo jak tylko doszedłem do pewnej wprawy, Hickok powiedział:

— Oczywiście, strzelanie do butelek to jeszcze nic. Tylko spotkanie z drugim człowiekiem jest prawdziwym egzaminem. Znałem mistrzów w strzelaniu, którzy drętwieli stając naprzeciwko ludzi ledwo odróżniających kolbę od lufy i ginęli.

Grałem w pokera co noc do rana i rzecz jasna wygrywałem dzięki swojemu lustrzanemu pierścionkowi. Oczywiście nie byłem takim głupcem, żeby się z tym nieostrożnie obnosić. Po tamtej pierwszej sesji ograniczyłem swoje dochody, do dwudziestu dolarów jednej nocy, trzydziestu następnej, jeszcze następnej zadowolając się może piętnastoma, a kiedy dochodziłem do pięćdziesięciu, równoważyłem to przegraną kilku dolarów następnej nocy. W sumie uzyskiwałem niezły dochód, nie tak jednak rzucający się w oczy, żeby budził poważne podejrzenia, choć oczywiście każde powodzenie w grze hazardowej bywa podejrzane w oczach tych, którzy je finansują. Posługiwałem się jednak zręcznie swoim pierścieniem i jeżeli moi przeciwnicy czegoś szukali, to pospolitych sztuczek w rodzaju chowania kart lub podtasowywania talii, z którymi nie miałem nic wspólnego.

Potem brałem te lekcje strzelania, a później wracałem do hotelu i zastawałem małą Amelię, która właśnie koło ósmej wstawała z pościeli, udawałem, że sam też dopiero co wstałem, i piliśmy poranną kawę, którą nam przynoszono do saloniku między naszymi sypialniami. Było to bardzo przyjemne i ona wcale nie wydawała się znudzona tym nowym życiem, czego się obawiałem, a ja miałem z czego pokrywać rachunki. Przed południem odwiedzaliśmy eleganckie sklepy, gdzie kupowaliśmy nowe suknie, buciki i kapelusze, później, po południu, wynajmowaliśmy powóz na przejażdżkę albo spacerowaliśmy po parkach, a wczesnym wieczorem zażywaliśmy bardziej światowych rozrywek: koncerty fortepianowe albo skrzypcowe, recytacje dramatyczne i tak dalej.

Między tym wszystkim a posiłkami usiłowałem złapać kilka chwil snu, ale nie potrzebowałem go wiele w tamtym okresie. W wieku dwudziestu dziewięciu lat znajdowałem się u szczytu sił. Miałem o kogo się troszczyć i kogo oszukiwać, byłem kolegą Dzikiego Billa Hickoka, zarabiałem pieniądze, stroiłem się i jadłem, ile dusza zapagnie.

Jednak najważniejsze było moje uczucie do Amelii. Zrobiłbym wszystko dla tej dziewczyny. Wyrastała na taką damę, że wkrótce, jak sądziłem, mógłbym ją zabrać do Dolly i nikt by jej tam nie poznał. Była to nie tylko sprawa wykwintnych strojów, bo z obrazków w magazynach i obserwacji eleganckich kobiet z lepszych miejsc w Kansas,

dokąd ją zabierałem, przejęła najbardziej wytworne sposoby zachowania. Zawsze miała długą, smukłą szyję, a teraz nosiła głowę z tą wielką masą rudych włosów artystycznie upiętych za pomocą szpil z szylkretu i bursztynu jak przepiękne ptasie gniazdo na szczycie marmurowej kolumny.

— Wujku Jack — mówiła z drzwi swojego pokoju, kiedy, mieliśmy wychodzić — czy wolisz, żebym włożyła paltot, baskinkę czy sak dziś wieczorem?

Były to różne typy damskich okryć z tamtych czasów. Nie odróżniałem ich od siebie, ale pochlebiało mi, że mnie pyta, wybierałem więc, a ona to wkładała, bo najbardziej lubiła sprawiać mi przyjemność. Teraz weź tę jej postawę i porównaj z moją: sprawiało mi przyjemność wszystko, co ona robiła, bo było to wdzięczne i delikatne, a jej głos, który miał blaszany pobrzęk, kiedy pracowała u Dolly, teraz brzmiał jak szmer źródelka bijącego wśród paproci. Wielką radość sprawiało mi samo patrzenie, jak je. Powiem ci, jak była wytworna: kiedy gryzła, nie widziało się jej zębów, a zupę jadła tak cicho, że gdybyś zamknął oczy, nigdy byś się nie domyślił, co robi.

Do wszystkiego tego doszła sama, bo nie są to rzeczy, których można kogoś nauczyć, i Bóg mi świadkiem, że nie nadaję się na nauczyciela dobrych manier. Jednak moje doświadczenie z panią Pendrake dało mi przynajmniej jedno: potrafię docenić klasę, kiedy ją widzę, i o ile to było w mojej mocy, mogłem zachęcać Amelię do kroków we właściwym kierunku, co oznaczało, że musiałem podtrzymywać dopływ pieniędzy, a to z kolei zmuszało mnie do oszukiwania w kartach.

Co sprowadza mnie na powrót do Dzikiego Billa. Nie chciałem grać przeciwko niemu i w niektóre wieczory udawało mi się unikać jego towarzystwa. Ale on chodził za mną z baru do baru i kiedy mnie znalazł, przepędzał kogoś z trzech innych graczy, zajmował jego krzesło i przegrywał. Było to dziwne, zbyt dziwne jak na moje nerwy, kiedy więc on wchodził do gry, przestałem używać lustrzanego pierścienia, starając się wykorzystać go do maksimum, zanim Bill się pokazał, żeby jednak mieć jakiś zysk z wieczoru.

Pierścień oczywiście nigdy nie zapewniał mi lepszych kart, a tylko wiedzę o tym, co mają inni, i to tylko wtedy, kiedy dawałem karty. Nie było to nawet w przybliżeniu tak nieuczciwe, jak chowanie asa w rękawie. Wymagało pewnej zręczności, ale o tym, jakie kto dostanie karty, nadal decydował los. Nie mogę powiedzieć, że stosowanie pierścienia poprawiło albo pogorszyło moje szczęście.

Działo się jednak coś dziwnego: ilekroć Bill wchodził do gry i powstrzymywałem się od korzystania z małego lusterka, czyli grałem uczciwie, zaczynałem mieć niezwykle, wręcz fantastyczne szczęście. Flesze, strity, trójki i pary waliły do mnie, jak za dotknięciem różdżki.

Bill grał z uporem. A potem zawsze szliśmy na śniadanie i na strzelnicę; i poza dziwnym wyrazem twarzy jaki przybierał, kiedy zgarniałem pierwszą pulę, i jakiego nie zmieniał, póki nie wyszedłem z baru, żeby się z nim spotkać na ulicy, bo on zawsze wychodził pierwszy, Bill nie zdradzał nic, co można by uznać za zazdrość, podejrzenie czy niechęć.

Co do lekcji strzelania, to myślę, że zaspokajały jego dumę, przypominając mi bezpośrednio po każdej partii pokera, że chociaż przegrał, to ma przewagę w ważniejszej grze, w której stawką jest życie. Bo chociaż strzelał do monet i korków, nie sposób było przeoczyć zbieżność ich średnicy ze średnicą ludzkiego oka.

Jestem przekonany, że kiedy Dziki Bill Hickok stawał twarzą w twarz z człowiekiem, patrzył na oko swojego oponenta jak na korek.

Władałem coraz sprawniej bronią przeciwko nieożywionym przedmiotom i byłem szybki. Jednak szybkość była mniej istotna niż dokładność, bo jak podkreślał Bill, liczyło się, żeby umieścić kulę tam, gdzie się chciało. Widział szybkiego gościa, który wystrzelił trzy razy, zanim wolny strzelił raz, ale te trzy strzały były chybione, podczas gdy ten wolny strzelił raz a dobrze.

Oczywiście, mówił, decyduje tu osobowość, bo wolny czy szybki, w każdym spotkaniu jest tylko jeden idealny strzał i człowiek zabija albo zostaje zabity w zależności od tego, o ile się do niego zbliży. Z chwilą kiedy decydujesz się na strzał do człowieka, twój umysł staje się pusty, a wola, ciało i broń tworzą jeden instrument z jednym celem. Jest to tak, jakby rewolwer wyrastał ci z ręki, jakby twój palec pluł dymem i ołowiem. W istocie na tym polega technika celowania, jakby się wskazywało palcem w dyskusji. W takich sytuacjach przeciętny człowiek jest bezbłędny. Zauważ przy najbliższej okazji, mówił, kiedy wdasz się w kłótnię; gdyby palec twojego przeciwnika był rewolwerem, już byś nie żył.

Pewnego ranka ustawiliśmy dwie deski z monetami umieszczonymi w wycięciach, odeszliśmy na dwadzieścia kroków i daliśmy ognia. Obaj rozszczepiliśmy pociski o skraj monety i nasze dwa strzały zabrzmiały jak jeden.

— Chłopie — powiedział Hickok spoglądając na mnie z góry, znad swojego krogulczego nosa i jasnych wąsów. — Nauczyłem cię wszystkiego, czego tutaj można się nauczyć. Dalej można się już tylko ćwiczyć, kiedy cel sam też strzela.

— Chyba miałem szczęście — powiedziałem i tak też myślałem.

On mógł powtarzać swój wynik dzień w dzień, podczas gdy ja wiedziałem, że uda mi się, powiedzmy, dwa razy na pięć, to się czuje samemu. Miałem też silne podejrzenie, że Bill nie wykorzystał całej swojej szybkości.

— Nie wierzę w szczęście — odpowiedział i jego głos zabrzmiał jak chłaśnięcie bicza, ale nie rozwijał tematu i w drodze powrotnej do miasta był znów dawnym sobą.

Dziki Bill Hickok miał zarówno oddanych przyjaciół, jak i zaprzysiężonych wrogów. Wystarczyło wymienić jego nazwisko w Kansas w latach siedemdziesiątych i można było oczekiwać ostrej reakcji z jednej albo z drugiej strony. Niewykluczone, że więcej ludzi zginęło w awanturach z jego powodu, niż on sam posłał do grobu. Niektórzy, zapewne z zazdrości, utrzymywali nawet, że jest drugorzędnym strzelcem oraz tchórzem, ale większość przypisywała mu nieprawdopodobne wyczyny.

Na tle tego wszystkiego przedstawiam więc swoje doświadczenia z tym człowiekiem z Kansas City w roku siedemdziesiątym pierwszym. Nie jest to bynajmniej wszystko, co robił w tym czasie; grał nawet w pokera z innymi i wygrywał. Mówię tylko o tym, co widziałem na własne oczy. Kiedy ważę wszystkie za i przeciw, wychodzi mi na równo.

Nauczył mnie precyzyjnego posługiwania się rewolwerem. Gdybym go jednak nie spotkał, mogłem równie dobrze dać sobie radę bez tej specjalności, która wcale nie była niezbędną, jak sobie może wyobrażasz, do przeżycia na Zachodzie. Weź ten incydent z bratem Strawhana: gdyby Dziki Bill nie był znakomitym rewolwerowcem, zostałby zabity. Z drugiej strony, gdyby nie był rewolwerowcem, brat Strawhana nic by do niego nie miał. Cóż więc tak naprawdę Hickok dla mnie zrobił? Pokazał mi, jak bronić życia? Nie, raczej obdarzył mnie jeszcze jednym sposobem wystawiania go na ryzyko.

Poczułem dziwną ulgę, kiedy te lekcje się skończyły, i nie wiadomo dlaczego uznałem, że nie spotkam się z nim też więcej za stołem pokerowym. Tak było przez jedną czy dwie noce i ktoś powiedział mi, że Hickokowi zaproponowano posadę szeryfa w Abilene, jednym z tych nowych miasteczek przy kolei, do których Teksasńczycy pędzili bydło do dalszej wysyłki na Wschód, a kiedy tam dochodzili,

cowboje dostawali wypłatę i szaleli, póki nie splukali się do centa, pijąc, łajdacząc się, urządzając strzelaniny, i niedawno zabili ówczesnego szeryfa Toma Smitha nad Rzeki Bobrów, który utrzymywał porządek za pomocą pięści. Teraz więc Abilene chciało wynająć rewolwerowca.

— Myślisz, że się zgodzi? — spytałem.

— Jasne — odpowiedział tamten. — Nie zabił nikogo od czasu brata Strawhana.

Była to typowa opinia na temat Hickoka: uważano, że posyłanie ludzi do piachu sprawiało mu przyjemność. Pogląd ten wyznawało bardzo wielu jego miłośników, bo w każdej białej społeczności istnieje duża liczba osobników, którzy są w głębi duszy mordercami, ale czują się zbyt słabi, żeby zająć się praktyczną stroną zagadnienia, oddają więc ją w ręce ludzi w rodzaju Hickoka. Czejenowie lubili zabijać. Dziki Bill — nie, miał do tego stosunek obojętny. Ledwo spojrzał na trupa brata Strawhana, i to tylko po to, żeby sprawdzić, czy ten już do niego nie strzeli. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Hickokowi cokolwiek sprawiało przyjemność. Życie dla niego polegało na robieniu tego, co niezbędne, było nieskończonym przymierzaniem się do tego jednego idealnego strzału w każdej sytuacji. Można go nazwać idealistą.

W jakiś dzień później moje przypuszczenie, że Bill wyjechał z miasta, okazało się błędne, bo zaledwie rozpoczęliśmy naszą conocną sesję pokerową, kiedy w wahadłowych drzwiach baru ukazała się wielka postać Hickoka. Zaraz zrobił krok w bok, żeby nie mieć drzwi za plecami, i zmierzył wzrokiem salę, jak to było w jego zwyczaju. Miał na sobie nowy strój, już nie surdut, lecz piękną koszulę do kolan z miękkiej jeleniej skóry, obszytą futrem przy szyi i mankietach, z czterocalowymi frędzlami na dole. W pasie był przewiązany czerwoną jedwabną szarfą z ozdobnymi kutasami. Za nią, po obu bokach, miał zatknięte kolbami do przodu swoje sześciostrzałowce wykładane masą perłową.

Wiedziałem, że szuka mnie, chowanie się nie miało sensu, okrzyknąłem go więc, a on przyszedł i usiadł. Oczywiście wygrywałem przez całą noc jak zwykle, całkowicie ucziwie, bez korzystania z pierścienia, i gdzieś o świcie sprawdził mnie na sto dolarów i pokazał fula na asach. A ja na to:

— Dwie pary.

Dziki Bill rzadko się uśmiechał, ale wtedy to zrobił, pociągnął za koniec obwisłego wąsa i mówi:

— No, nareszcie.

A ja mówię:

— Dwie pary dam.

Nie przestając się uśmiechać odsunął pieniądze w moją stronę, więcej niż kiedykolwiek wygrałem od niego na jednym posiedzeniu, i nawet pożartował trochę z pozostałymi graczami, a potem wyszedł w ślad za nimi. Nie wiem, dlaczego tak z niego zakpiłem, to było paskudne, pozwolić mu przez chwilę wierzyć, że w końcu ze mną wygrał, ale zrobiłem to jakoś instynktownie. Nie ja pierwszy i nie ja ostatni drażniłem osobnika, który tak jawnie odsłania swoją słabość.

Cóż, wyszedłem wreszcie z lokalu jako ostatni gość, barman ziewając życzył mi dobrej nocy i znalazłem się na ganku. Oczywiście Dzikie Bill stał na ulicy w odległości dwudziestu kroków. Uderzyło mnie, że była to odległość, z jakiej strzelaliśmy na naszych ćwiczeniach, bo kiedy się tyle trenuje, oko odmierza takie rzeczy automatycznie.

— Chcesz iść na śniadanie, Bill? — pytam.

— Nie — mówi on.

Schodzę na ulicę, a on cofa się utrzymując odległość z rękami luźno zwisającymi po bokach.

— Coś nie w porządku? — pytam.

— Oszukiwałeś mnie — mówi on.

— Nie oszukiwałem — mówię. — Może pierwszej nocy, ale potem już nigdy. I zwrócę ci to, co wtedy wygrałem.

— Nie sięgaj do kieszeni — mówi on.

— Przecież widzisz mój rewolwer — wskazuję — tutaj za pasem.

— Myślę, że masz w tej kamizelce ukrytego Derringera.

— Przysięgam ci, że nie.

Powiem ci coś śmiesznego. Nie bałem się, a myślę, że on tak. Nie bałem się, bo nie miałem zamiaru strzelać się z Dzikim Billem. Co do niego, to nie mógł poważnie przejmować się porównaniem naszych rewolwerowych talentów; bał się jakiejś zdrady, zwłaszcza teraz, kiedy przyznałem, że raz go oszukałem. W tamtych czasach mało kto przyznawał się do czegokolwiek, nawet kiedy go przyłapano na gorącym uczynku.

— Możesz zaczynać, jeżeli chcesz — mówi on.

— Nie chcę — mówię ja.

— Do diabła — mówi on — nauczyłem cię wszystkiego, co umiem. Widziałeś sam, że jesteś nie gorszy ode mnie. Szanse są równe, nie?

Nie odpowiedziałem.

— Są równe, no powiedz — powtarza jakby prosząco. — Posłuchaj, chłopie, Dzikiego Billa Hickoka nie wolno oszukiwać. Jak potrzebowałeś pieniędzy, to mogłeś poprosić.

— Powiedziałem już, że oszukałem cię tylko raz.

— W takim razie — mówi on — jesteś na dodatek kłamcą. A Dzikiego Billa Hickoka nie wolno okłamywać.

Są dwie rzeczy godne uwagi w tej wymianie zdań. Jedną, że mówił o sobie, jakby był instytucją. Osobiście nie był zbyt poruszony tymi moimi rzekomymi przestępstwami, ale nie mógł pozwolić, żeby traktowano lekceważąco zasłużoną firmę „Dziki Bill Hickok”. Trochę tak, jak się mówi „wysoki sędzie” nie do osoby, która tam siedzi, tylko do urzędu sędziego.

Po drugie, stawał się coraz bardziej obraźliwy, dodając „kłamcę” do „oszusta”, a były to w tamtych czasach na Zachodzie zniewagi wymagające krwi, choć z upływem lat straciły swoją siłę. Podejrzywałem, że dojdzie w końcu do „skurwysyna”, najgorszej obelgi po „koniokradzie”, która tutaj nie pasowała.

Od człowieka obdarzonego publicznie jednym z tych epitetów oczekiwano jakiegoś działania. Jednak na szczęście dla mnie na ulicy nie było jeszcze żywej duszy, która mogłaby być świadkiem mojego poniżenia w młodym świetle wschodzącego słońca. Pozostali gracze poszli sobie, a barman wyszedł od tyłu.

Ale w każdej chwili ktoś mógł się pojawić i zanim to nastąpiło, musiałem wybrać między szybką śmiercią a dożywotnią hańbą. Dałem chyba wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę wyciągać broni przeciwko Dzikiemu Billowi, ale nie chciałem też, żeby ta moja powściągliwość stała się publiczną tajemnicą. Oznaczałoby to koniec mojej kariery pokerzysty. Nie tylko wkrótce wszyscy dowiedzieliby się, że oszukuję, ale uznaliby mnie za tchórza, którego można bezkarnie maltretować. Tak naprawdę liczyło się to drugie, bo oszukiwanie nie było wówczas rzadkością. Wszyscy próbowali, tyle że mnie lepiej wychodziło. Sam Hickok co jakiś czas zaglądał w odrzucone karty zwane „balastem”. Nie zdradzało to, co przeciwnik ma, ale można się było sporo dowiedzieć widząc, co odrzucił, toteż patrzono na ten zwyczaj niechętnie. Do tego

stopnia, że osobnik przyłapany na nim mógł skończyć z dziurą w głowie. Ale Hickok zwykle grał w karty z ludźmi, którzy się go bali.

Tak więc nie stał na twardszym gruncie moralnym niż ja i w dodatku mówił o uczciwości nie mając pojęcia, jak go oszukiwałem, oskarżał mnie o morderstwo nie rozporządzając *corpus delicti*. Mówię to, żebyś nie osądzał mnie zbyt surowo, kiedy usłyszysz, co było dalej.

W następnej chwili zobaczyłem wóz jadący ulicą w naszą stronę, za daleko jeszcze, żeby woźnica mógł się połapać, na co się zanosí, ale jeszcze sto jardów i wszystko zrozumie. Przesunąłem się tak, że znalazłem się dokładnie na zachód od Dzikiego Billa, co znaczyło, że wschodzące słońce stało nad jego głową, a mnie świeciło w oczy. Normalnie sięgnąłbym, żeby opuścić rondo kapelusza, ale mając naprzeciw siebie kogoś takiego jak Hickok nie robi się nawet najbardziej niewinnych ruchów.

Zmrużyłem oczy.

— Więc twierdzisz, że jestem oszustem, czy tak? — pytam.

— To prawda — mówi on.

— I kłamcą?

— Tak.

— Chcę opuścić rondo kapelusza — mówię. — Zrobię to lewą ręką.

— Tylko bardzo powoli — mówi Bill i zakłada kciuki za swoją czerwoną szarfę tuż obok białych kolb rewolwerów.

Moja lewa ręka popęzła w górę jak gąsienica po ścianie, dotknęła runda i opuściła je o cal. Wtedy odwróciłem dłoń do przodu i rozwarłem palce.

Jednocześnie prawą ręką sięgnąłem po rewolwer. Przez ułamek sekundy nie wiedziałem, co robi Dzikie Bill. Może pamiętasz, że uczył mnie koncentrować się w akcji tylko na sobie. Dlatego nie widziałem właściwie, jak sięgał po broń, ale bez wątpienia ujrzałem, jak lufa jego Colta pluje ołowiem i dymem prosto we mnie.

22. OSZUST I MYŚLIWY

Byłbym murowanym nieboszczykiem, gdybym nie zastosował tej sztuczki.

Złapałem słońce w lusterko swojego pierścienia, odbiłem jego blask w oczy Hickokowi i padłem na ziemię. Chociaż chwilowo oślepiony, wydobył broń równie sprawnie jak zawsze i wpackował dwie kule tam, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się moja głowa. Ale widocznie przez chwilę nie widział nic tylko zielone plamy, bo następnie opuścił swoje sześciostrzałowce i stał mrugając. Wyglądał wręcz śmiesznie, jak sobie teraz o tym pomyślę, przy całych swoich sześciu stopach wzrostu odzianych w jelenią skórę obszytą futrem.

Leżałem sobie całkiem bezpiecznie na ulicy pod jego ogniem, ale nie śmiałem się odezwać, bo mógłby się zmierzyć na dźwięk głosu. Miałem swój rewolwer w rękę i mogłem wtedy zabić wielkiego Dzikiego Billa i przejść za to do historii.

Chwila ciszy w rzeczywistości nie trwała dłużej niż chwila strzałów i Bill mówi:

— Dobra, chłopie, znów mnie załatwiłeś. Strzelaj. — Nie odpowiadam. Bill ciągnie: — Radzę ci, lepiej strzelaj, bo jak ty nie strzelisz, to ja cię zaraz zabiję.

Ten facet z wozem zjechał na bok i wczołgał się pod swój pojazd wciąż w odległości kilku przecznic. Ale dwa strzały to było za mało, żeby wyciągnąć ludzi z łóżek w tamtych czasach, zwłaszcza tak wcześnie rano, więc jak na razie nie mieliśmy, o ile wiedziałem, innych widzów.

— Próbujesz strugać ze mnie wariata? — mówi Bill wielce rozgoryczony i posyła trzy następne piguły ołowiu w miejsce, z którego się przed chwilą ewakuowałem, potem wykonuje ten tak zwany przerzut z pogranicza, zmianę rewolwerów w powietrzu. Przez ten czas odzyskał nieco wzrok i zobaczył, że leżę na ziemi, podszedł więc, trącił mnie butem i biorąc mnie za nieżywego lub rannego mówi. — A, jednak cię trafiłem. — Leżałem z zamkniętymi oczami. Potem mówi:

— Przykro mi, chłopie, ale szanse były równe, prawda? Uczyłem cię, prawda? Teraz zaniosę cię do doktora, a jeżeli nie żyjesz, sprawię ci ładny pogrzeb.

Uznałem, że teraz już schował swój rewolwer, więc kiedy schylił się, żeby mnie podnieść, ożyłem i przystawiłem mu swoją broń do nosa.

— Jesteś zadowolony? — pytam. — Mogłem cię zabić dziesięć razy.

Prowadząc takie życie, jakie prowadził, nie mógł tracić zbyt wiele energii na okazywanie zdumienia. Zmrużył oczy i cofnął się z rękami w górze. Potem opuścił je powoli i wybuchnął śmiechem.

— Chłopie — powiada — jesteś najchytrzejszym małym czortem, jakiego w życiu spotkałem. Wiesz, że są setki ludzi, którzy oddaliby wszystko, co mają, żeby móc bezkarnie strzelić do Dzikiego Billa Hickoka, a ty odrzuciłeś taką okazję.

Śmiał się, ale myślę, że w głębi duszy czuł się niemile dotknięty, takie miał o sobie wyobrażenie. Wolałby, żeby go zabił, niż żeby zadał sobie trud udowodnienia, że jego istnienie jest mi w zasadzie obojętne, jeżeli tylko mogę uratować swoją skórę.

Spróbował jeszcze raz wyciągnąć ode mnie wyznanie, że jestem nim zafascynowany.

— Pewnie teraz będziesz rozповідаł, jak to miałeś na muszce Dzikiego Billa Hickoka? — mówi.

— Nigdy o tym nawet nie wspomnę — powiedziałem i dotrzymałem słowa aż do dzisiaj. Nie miałem zamiaru robić mu darmowej reklamy. Cały kłopot z takimi długowłosymi ulubieńcami publiczności jak on i Custer polegał na tym, że ludzie za dużo o nich mówili.

Wąsy opadły mu z zawodu, ale roześmiał się raz jeszcze, żeby podtrzymać dziarską fasadę, i mówi:

— Jadę do Abilene, będę tam szeryfem. Jeżeli kiedyś odwiedzisz tamte strony, z radością postawię ci drinka. Ale niech mnie diabli, jeżeli jeszcze kiedyś zagram z tobą w pokera.

Podał mi rękę. Nie wiem, czy wspomniałem, że ręce miał małe jak na mężczyznę swojego wzrostu, stopy też, prawie takie jak ja. Potem odwrócił się i odszedł ulicą, prosty jakby kij połknął, bez żadnego kołysania się, ale z tymi włosami opadającymi na ramiona i w tej długiej jak suknia bluzie z jeleniej skóry sięgającej prawie do kolan wyglądał jak bardzo wysoka dziewczyna.

Zostałem w Kansas przez całe lato siedemdziesiątego pierwszego roku i nadal zarabiałem na życie swoje i Amelii przy pokerowym stoliku, i nadal oszukiwałem, aż wreszcie przyłapano mnie raz czy dwa i zostałem postrzelony w łydkę, ale bez większych następstw, bo to był tylko Derringer, a innym razem pewien człowiek zamierzył się na mnie nożem i musiałem postrzelić go w rękę.

Kilka takich wypadków popsuło mi opinię. Coraz, trudniej było znaleźć partnerów do gry, a kiedy już siadałem do stolika, patrzono mi na ręce. I jeżeli grałem z którymś z wybitnych adeptów sztuk gwałtownych przebywających tamtego lata w Kansas, z Jackiem Gallagherem, powiedzmy, albo z Billym Dixonem, możesz być pewien, że nie robiłem żadnych numerów. Bo im więcej się wie o sztuce rewolweru, tym bardziej szanuje się tych, którzy się w niej specjalizują.

Wydatki małej Amelii rozrosły się do imponujących rozmiarów. Pewnego dnia wróciłem do hotelu i zastałem w naszym saloniku mahoniowy fortepian, a obok niego jakiegoś starszego niemieckiego dżentelmena z brodą i w okularach, który przyjechał z St. Louis wraz z instrumentem, żeby go stroić i udzielać lekcji gry na nim. Byłem winien nie tylko za fortepian i koszt transportu, lecz także za pensję tego osobnika oraz jego mieszkanie i wikt, jeżeli chodzi o niego, to pewnie w nieskończoność, bo o ile Amelia mogła z czasem nauczyć się grać samodzielnie, to instrument wymagał strojenia do końca swojego życia.

Nigdy nie doszedłem do tego, czy był, czy też nie był oszustem, ale sprawiał wrażenie autentycznego Niemca i niewątpliwie znał się na muzyce, tyle że skurwieli za nic nie chciał zagrać jakiegoś normalnego kawałka, tylko w kółko gamy, albo wyciągał swój zestaw kamertonów i majstrował przy drucikach i młoteczkach.

Cały rachunek był mocno czterocyfrowy, choć nie pamiętam dokładnej sumy, bo zobaczywszy ją straciłem przytomność. Kiedy jednak ochłonąłem z szoku, byłem naprawdę dumny z Amelii za jej inicjatywę. Po prostu zdobyła adres fabrykanta fortepianów i napisała list na hotelowej papeterii żądając przysłania najlepszego modelu, i, jak Boga kocham, przysłali, bez żadnego zadatku, rzeką z St. Louis, razem z tym Niemcem. Na szczęście dla mnie, będąc czystej wody fanatykiem muzyki, nie dbał zupełnie o warunki mieszkaniowe, wstawiłem mu więc łóżko polowe w kąt mojej sypialni i to go urządzało, a żywił się kiełbasą i razowym chlebem, kiedy w ogóle przypominał sobie o jedzeniu, na tym więc trochę zaoszczędziłem.

Muszę powiedzieć, że Amelia nigdy nie nauczyła się grać na fortepianie. Była to jedyna rzecz, która jej nie wychodziła, i brzmiało to nie bardziej melodyjnie, niż gdyby kot łąził po klawiaturze. Doprowadzało to do szału profesora, który wściekał się, rwał włosy z brody i wrzeszczał, a raz, pamiętam, kiedy Amelia atakowała jakieś szczególnie trudne ćwiczenie po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty robiąc za każdym razem ten sam błąd, Niemiec rozplakał się jak dziecko.

Po dwóch miesiącach Amelia przychodzi do mnie i powiada:

— Wujku Jack, czy masz coś przeciwko temu, że odeślę fortepian? To stało się okropnie nudne.

Tak teraz mówiła, jak jakaś Angielka, z ustami ściągniętymi, posyłając słowa przez nos. Było to bardzo eleganckie.

Oczywiście zgodziłem się, bo chciałem, żeby była szczęśliwa, kupiłem więc temu Niemcowi bilet powrotny, bochenek chleba i kawał sera oraz wynająłem kilku krzepkich jegomości, żeby wynieśli fortepian, zapakowali do skrzyni i umieścili na statku płynącym do St. Louis. Tak się jednak złożyło, że statek ten zaczął się ścigać z drugim, jak wtedy było w zwyczaju, i tak dołożył do ognia, że kotły mu[^]wybuchły i suczy syn spalił się do linii wodnej, a fortepian razem z nim. Nadal byłem winien coś około dziewięciuset trzydziestu dolarów za ten instrument i stałem się częstym odbiorcą korespondencji z pogrózkami na ten temat, w ślad za którymi pojawili się komornicy w dęciakach, z wszelkiego typu dokumentacją, aktami wywłaszczenia i tak dalej, a kiedy stwierdzili, że nie ma czego zająć, oświadczyli, że powinienem iść do więzienia, ale wynajęty przeze mnie adwokat doszedł z nimi do porozumienia, na podstawie którego miałem im płacić pięćdziesiąt dolarów tygodniowo przez resztę życia i policzył mi za swoje usługi wszystkiego dwieście dolarów .

I to w czasie, kiedy nie mogłem znaleźć nikogo, kto by chciał ze mną grać w pokera. Rachunki hotelowe znów narosły, domy mody zarzucały mnie napomnieniami, byłem winien fryzjerowi, wypożyczalni powozów i dwóm restauracjom. Na dodatek Amelia uparła się, żeby jednak zdobyć wykształcenie muzyczne i musieliśmy zastąpić tamtego Niemca z fortepianem wielką kobietą z biustem, przy której nawet Dolly wyglądałaby jak suchotnica. Uczyła śpiewu i twierdziła, że jest Włoszką, signoriną Carmellą według jej słów, ostatnio występującą w operze w miejscowości Mediolan. Śpiewać rzeczywiście umiała, mogła to więc być prawda. Pod pełną parą rozbijała wszystkie kieliszki w naszych pokojach, a kiedy brała gamy, przychodzili na skargę goście nawet z trzeciego piętra.

Może więc lepiej, że była przez większość czasu pijana, bo wtedy zwałała swoje cielsko na kanapę i siedziała cicho, poddając Amelii rytm tłustym palcem udekorowanym tanimi pierścionkami, a po jakimś czasie odbijało jej się raz czy dwa i zasypiała jak kłoda. Wtedy miałem do wyboru zostawić ją, żeby się wyspała, co mogło potrwać kilka godzin, za które musiałem płacić po trzy dolary, albo ją obudzić, a

wtedy wczepiała się we mnie pod wpływem złudzenia, że jestem jakimś jej bliskim znajomym imieniem Vincenzo. Amelię to ogromnie bawiło.

Co do talentów śpiewaczych mojej siostrzenicy, to obawiam się, że nie przewyższały jej zdolności pianistycznych, chociaż signorina Carmella w odróżnieniu od tamtego Niemca była ostatnią osobą, która by to przyznała, zapewne przez wzgląd na swoje zarobki. Wydawało mi się dziwne, że przy takim melodyjnym głosie, jaki teraz sobie wyrobiła, Amelia śpiewa bardziej jak wrona niż jak skowronek, ale widocznie między tymi sprawami nie ma związku. Nie myślałem przez to o niej gorzej. Nawet podobała mi się jej niezłomna ambicja, żeby się umuzykalnić, ale kiedy razem z signoriną oświadczyły, że według nich jest przygotowana, żeby wynająć salę i wystąpić z recitalem, to do licha, nie chciałem, żeby moja kochana mała krewniaczka została po pierwszej pieśni poturbowana przez tłum rozwścieczonych nabywców biletów, a wiedziałem, że musi się tak stać, jeżeli nie uda nam się ściągnąć na salę samych głuchych. Po raz pierwszy więc powiedziałem nie.

Amelia nie urządziła scen z tego powodu, tylko w ciszy zachorowała, nie jadła przez wiele dni, a kiedy wchodziłem do jej pokoju, posyłała mi słodki smutny uśmiech, jej blade małe rączki leżały nieruchomo na kołdrze i widziałem, że najpewniej umrze przedwcześnie, jeżeli jej nie ustąpię, bo miała w sobie tę romantyczną żyłkę Crabbów. W końcu więc zgodziłem się, wynająłem salę od jakichś masonów, wydrukowałem programy i opłaciłem chłopaków, żeby w lepszej dzielnicy rozdawali ludziom bilety, bo i tak nikt by ich nie kupił, a w wieczór recitalu nabiłem dwururkę i zająłem rzucające się w oczy miejsce w pierwszym rzędzie na wypadek kłopotów.

Ale niepotrzebnie się denerwowałem, bo przyszło tylko sześć osób, Amelia była tak podniecona, że nie zauważała widowni, a signorina, która jej akompaniowała na akordeonie, tak zaprawiła się przed występem, że spadła kilka razy ze stołka, i mieliśmy więcej kłopotów z utrzymaniem jej w pozycji siedzącej niż z protestami widowni.

Pamiętam, że zamieszczenie następnego dnia pochlebnej recenzji w gazecie kosztowało mnie wszystkiego pięć dolarów, bo dziennikarzom w tamtych czasach płacono kiepsko. Była to jednak jedyna tania rzecz w całej sprawie: musiałem zapłacić za salę, za wypożyczenie akordeonu, za drukarza, no i oczywiście za usługi signoriny i za stołek od fortepianu, który złamała.

Ale mała Amelia niewątpliwie miała satysfakcję z koncertu, kupiła dziesięć czy dwadzieścia egzemplarzy gazety z tą pochlebną notatką i upewniła się, że każdy w hotelu wie, że to o nią chodzi, nie żałowałem więc tego, co się stało, choć moje zobowiązania finansowe urosły do rozmiarów, które zbliżały się już do gigantycznych. Tymczasem moje nadzieje, jeżeli chodziło o karty, spadły do zera, bo nadchodził koniec sierpnia, łowcy bizonów wyjeżdżali na nowy sezon polowań i wkrótce w całym Kansas miało już nie być nikogo, z kim można by zagrać, zakładając, że ktoś jeszcze chciałby zagrać ze mną, bo wielu nie zdradzało takiej ochoty.

I tak postanowiłem sam zapolować na bizony, bo w ciągu jednego sezonu od września do marca dobry myśliwy mógł zdobyć dwa do trzech tysięcy dolarów w skórach, ale w tym celu musiał się do tego zabrać jak do prawdziwego interesu, co znaczy, że trzeba było mieć na początek jakiś kapitał zakładowy. Należało mieć Sharpsa, wielki karabin na bizony z zapasem wielkokalibrowej amunicji, wóz i zwierzęta pociągowe, a także człowieka do obdzierania zwierząt ze skóry, bo żaden szanujący się myśliwy nie dotykał nożem zwierzęcia, które zastrzelił, nie wiem dlaczego, pewnie przez snobizm, ale tak było. Może to zabrzmie śmiesznie, ale łowcy bizonów uważali się za rodzaj arystokracji. Wymieniłem tylko rzeczy absolutnie niezbędne. Większość bardziej znanych myśliwych ciągnęła za sobą zespół dziesięciu do dwunastu ludzi, łącznie z woźnicami, kucharzem, magazynierem i tak dalej, oraz cały arsenał broni, ze względu na to, że kiedy wystrzeliło się z Sharpsa kilka razy, jego lufa się przegrzewała, a nie można było czekać, aż ostygnie, bo stado, które zwęszyło krew, rzucało się do panicznej ucieczki.

Wystarczy powiedzieć, że mój problem został rozwiązany, kiedy natknąłem się na osobnika nazwiskiem Allardyce T. Merriweather w jednym z kansaskich zakładów gastronomicznych z wyszynkiem, do którego udałem się pewnego popołudnia, aby porozmyślać nad pucharem wina. Na samą myśl o tym człowieku zaczynam używać podobnej frazeologii.

Podczas kiedy stałem przy mosiężnej poręczy baru, podchodzi do mnie człowiek i intonuje coś w tym rodzaju:

— Sir — powiada — wiem, że wybaczy mi pan moją bezceremonialność, kiedy powiem, że jako jedyni dwaj dżentelmeni wśród tej klienteli prostaków powinniśmy utworzyć wspólny front.

— Pardon? — ja na to.

— Właśnie — mówi on i przedstawia się.

— Crabb? — pyta ściskając moją piątkę. — Z filadelfijskiej, nowojorskiej czy bostońskiej linii?

Pomyślałem, że to jeden z tych nadętych zarozumiałców ze Wschodu, który przyjechał, żeby wycieczką po prerii wyleczyć słabe płuca albo coś tam jeszcze, i wtedy, przy moich kłopotach finansowych, zdenerwowało mnie, że taki lalusz może jeździć gdzie chce nie troszcząc się o gotówkę, podczas gdy ja straciłem możliwość nieuczciwego zarabiania na życie, mówię więc do niego:

— Z filadelfijskiej. — Dużo mnie obchodziło, czy mi uwierzy, czy nie.

— O — mówi on — obawiam się, że znam tylko linie nowojorską i bostońską.

Nie powiedziałem jeszcze, jak on wyglądał. Otóż był średniego wzrostu w porównaniu z tobą i z profilu ujawniało się, że rośnie mu już pokaźny brzuszek. Miał gładko, do siności ogoloną twarz, słabe usta i był obwieszony masą różnego rodzaju bibelotów: diamentowa spinka, kwiat w butonierce, dewizka do zegarka z dodatkową ornamentacją, laska ze złoconą gałką, zamszowe rękawiczki i tym podobne. Myślę, że był w moim wieku.

— Który uniwersytet? — pyta. — Harvard czy Yale?

— Ten pierwszy — mówię.

— Mój ten drugi — odpowiada — ale miałem garść znajomych, co ja mówię, serdecznych przyjaciół z Cambridge na początku lat sześćdziesiątych, czyli za pańskich czasów. Czy znał pan Montgomery'ego Breara albo Williama W. Whipple'a, albo Bartleya Platta zwanego Doktorkiem, wszystkich z Klubu Indiańskiego Puddingu? Albo Chestera „Cheta” Larkina, on był Wołem Piżmowym. Albo Mansarda Fitcha, który należał do Kangurów?

— Nie — mówię — nie znałem. Ja należałem do Antylop.

— Sir — on na to — niech mi będzie wolno jeszcze raz uścisnąć pańską dłoń. Nie wymagam żadnych dalszych *bona fide*. Chyba każdy dżentelmen w zorganizowanym świecie wie, jak ekskluzywnym klubem są Antylopy. Nic dziwnego, sir, że poznałem pana w tym tłumie: klasy nie da się ukryć.

Ciągnął w tym stylu przez jakiś czas i wypiliśmy jeszcze po jednym, i chociaż bawiło mnie nieco wodzenie go za nos, to wreszcie znudziło mnie to jego gadulstwo i chciałem już odejść, kiedy on mówi:

— Sir, nie mam innego wyjścia, jak zdać się na pańską łaskę. Znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji. Brak mi niestety pańskiego kręgosłupa moralnego. Jestem chwiejną trzcina i obawiam się, że znana stara firma bankowa Merriweather, której spadkobiercą kiedyś się stanę, nie znajdzie we mnie mocnej podpory. Krótko mówiąc, sir, w ciągu dwóch tygodni roztrwoiłem w grach hazardowych pięć tysięcy dolarów, które mi ojciec włożył do kieszeni na pierwszy miesiąc mojego pobytu na Zachodzie. Nie śmiem telegrafować po więcej. Zwracam się do pana jako do jedyne go dżentelmena wśród tej hołoty. Dwadzieścia dolarów, panie Crabb, błahostka dla pana, a mnie uratuje życie. W zamian otrzyma pan mój czek podpisany mającym wagę złota nazwiskiem Merriweather i jako zabezpieczenie może pan zatrzymać moją szpilę.

Trudno było o mniej życzliwego słuchacza niż ja, ale wzmianka o tym klejnocie sprawiła, że moje serce gwałtownie zmiękło; był wielkości żołędzia i myślę, że samo opakowanie od niego kosztowało więcej niż dwadzieścia dolarów.

Tyle mogłem wskrobać, wyjąłem więc portfel, żeby facet nie zdążył się rozmyślić.

— Niech pana Bóg błogosławi — powiedział biorąc banknoty i wręczając mi szpilę. — Obyśmy się kiedyś spotkali w szczęśliwszych okolicznościach.

Był tak ucieszony, że natychmiast wyszedł z baru nie dając mi pokwitowania, co mi odpowiadało, bo faktycznie oznaczało sprzedaż półfuntowego diamentu za dwadzieścia dolarów. Byłem gotów odsprzedać go bez skrupułów, jak tylko znajdę kupca, a różnicę schować do kieszeni.

Kiedy płaciłem barmanowi, szpila upadła mi na podłogę i klejnot rozpadł się na wystarczającą ilość okruchów, żeby nie pozostawić wątpliwości, że to szkło.

Wybiegłem na dwór i dostrzegłem tego zdradzieckiego śmierdziela śpieszącego ulicą. Po niedługiej pogoni, jako że byłem szybki w nogach, podczas gdy on specjalizował się raczej w lotności umysłu, przyparłem go do ściany i wbiłem mu lufę rewolweru w mostek.

Był spocony z wysiłku i kurczowo chwycił powietrze rozlazłymi ustami, ale odezwał się swoim normalnym swobodnym tonem:

— Sir, widzę, że zdemaskował pan moje oszustwo.

— I mogę zrobić ci dziurę w głowie — mówię. Ale zaraz się roześmiałem, bo zawsze miałem słabość do ludzi pomysłowych, odebrałem swoją dwudziestkę i schowałem broń. — Urodzony oszust — powiedziałem.

— Lekka przesada — on na to. — Do dwunastego roku życia byłem absolutnie uczciwy.

— Uderza mnie — mówię wtedy — że tak marnie na tym wychodzisz. Kiedy teraz patrzę na ciebie, widzę, że portki spadają ci prawie z tyłka, mankiety masz poszarpane, jakby często szczuto cię psami i, czy mi się zdaje, czy widzę dziurę w cholewce, pod którą zamalowałeś kostkę atramentem, żeby nie przeświecała?

— Pamiętam lepsze czasy — mówi Allardyce urażony — i mój obecny pech jest niewątpliwie przejściowy. Musisz przyznać, że technikę mam nienaganną. Kupiłeś szpilę dość chętnie.

— To prawda — mówię. — Gdybym jej przez przypadek nie upuścił, udałoby ci się.

Na to on wzdycha i mówi:

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wołałbym, żebyśmy udali się wprost na policję. Przygnębia mnie kontemplowanie moich porażek.

— Zastanawiam się, Allardyce — mówię. — Właściwie nic nie straciłem na tym doświadczeniu, a widok człowieka, którego pozbawiają wolności nie sprawia mi najmniejszej satysfakcji. Nie popieram więzień. Jestem za tym, żeby człowieka zastrzelić albo puścić wolno. Akurat teraz potrzebuję dużych pieniędzy, a nie mam pomysłu. Tymczasem zdaje się, że tobie ich nie brakuje.

Widać było, jak słuchając mnie odzyskuje wiarę w siebie. Nasunął na bakier kapelusz, zaczął bawić się laską i jakimś cudem objawy nędzy znów stały się niewidoczne. Allardyce był naprawdę dobrym aktorem i mógłby zbić majątek w teatrach.

— Sir — powiedział uderzając zamszowymi rękawiczkami po lewej dłoni i wyciągając do mnie prawą. — Jestem do pańskich usług.

Allardyce zaproponował numer z broszką. Ja miałem tylko pójść do pewnego jubilera i kupić upatrzoną przez niego sztukę.

— Ile to będzie kosztować? — pytam, a on mówi, o, jakieś trzysta dolarów i strzepuje swoje jedwabne klapy w tak wyniosły sposób, że przeciętny człowiek nigdy by nie zauważył, jak są wytarte.

— Gdybym miał trzysta dolarów — mówię — nie musiałbym robić na wyrwę.

— Mój drogi — odpowiada Allardyce — w operacji tego typu musisz ustalić wszystkie swoje standardy proporcjonalnie do sumy, jaką pragniesz zdobyć. Naszym celem tutaj jest dwa tysiące dolarów, a zatem uzyskanie trzech setek na rozruch interesu to sprawa podrzędna. Wśród moich talentów znajdziesz też umiejętności kieszonkowca. Mogę zebrać wymaganą sumę w ciągu jednego wieczoru... i tu uprzedzę twoje pytanie: dlaczego, skoro jestem tak biegły w tej sztuce, nie zarabiam na życie przy jej pomocy? Dlaczego, na przykład, nie wyciągnąłem ci portfela, zamiast sprzedawać ci szpilę? A! — mówi — tu właśnie leży moralna istota sprawy. Człowiek ma jakieś wyobrażenie mi swój temat, definicję samego siebie. Ja jestem oszustem. Jack, i muszę przestrzegać kodeksu swojego zawodu, bo straciłbym dla siebie szacunek. Mogę kraść jedynie dla dobra oszustwa; w przeciwnym razie moje palce straciłyby zręczność, zostałbym szybko złapany i wyobraź sobie moją hańbę, gdybym stanął przed sądem, jako drobny złodziejaszek.

Allardyce był oszustem ze skłonnościami filozoficznymi i pomyślałem, że to dość naturalne, kiedy się spędzi parę miesięcy na rozważaniach w samotności, ale śpieszyło mi się do pieniędzy, powiedziałem mu więc, żeby zaczął działać, i po jednym czy dwóch dniach rzeczywiście przyszedł z tymi trzema setkami, co uznałem za dowód jego oddania ideałom, bo mógł przecież przepić je albo jakoś inaczej roztrwonić. Rzecz w tym, że jako oszust był człowiekiem uczciwym, jeżeli mnie dobrze rozumiesz.

Teraz zaczęła się moja rola. Wziąłem pieniądze i poszedłem do bardzo eleganckiego sklepu jubilerskiego pod nazwą Kaller i Spółka, gdzie kupiłem broszkę, którą mi opisał Allardyce. Nie mogło być co do niej wątpliwości: serce z rubinów w złotym wieńcu, a w środku serca mały brylant. Żądali czterystu dolarów, ale kiedy zaproponowałem im trzysta albo nic, zgodzili się. Sygnalizowałem w ten sposób, że mam do zakupu stosunek nonszalancki. Zapewne uznali mnie za ranczera wydającego nadmiar gotówki na jakąś ładacznice, która go oczarowała, co nie było w Kansas czymś niezwykłym.

Następnego dnia Allardyce poszedł do sklepu i odegrał atak rozpacz, kiedy usłyszał, że broszka została sprzedana. Niewątpliwie zrobił to znakomicie, bo jak mówiłem, był urodzonym aktorem i dużo bym dał, żeby to obejrzeć, ale nie wolno nam było mieć żadnego kontaktu. Allardyce pozował na przyjezdnego zarozumialca ze Wschodu. Widział to cacko na wystawie Kallera, jak mówił, i postanowił kupić je dla swojej wybranki, ale musiał poczekać na comiesięczne pięć tysięcy od ojca, znanego

bankiera i tak dalej. Pośpieszywszy teraz do sklepu wyżej wzmiankowanym, uważał, że Kaller wbił mu nóż w plecy sprzedając to cudo.

Stary Kaller, łysy, w sztywnym wysokim kołnierzyku, zajął się sprawą osobiście.

— Ależ, sir — mówi — nic nie wiedzieliśmy, że pan interesuje się tym egzemplarzem. Gdybyśmy...

Allardyce przerwał mu i zrobił scenę, podczas której odmawiał obejrzenia jakiegokolwiek innej biżuterii, zagroził, że przestanie kupować u Kallera, chociaż nigdy przedtem jego noga tam nie postąpiła, i zażądał duplikatu sprzedanej broszki.

— Była jedyna w swoim rodzaju — mówi chytry stary Kaller — ale niech mi pan pozwoli zatelegrafować do Nowego Jorku. Może uda nam się namówić złotnika, żeby wykonał jeszcze jeden egzemplarz dla tak zagorzałego miłośnika jego sztuki.

Kiedy Allardyce usłyszał „Nowy Jork”, urządził następną scenę, personel wachlował go i przynosił mu wodę, aż w końcu Allardyce oświadczył, że zamierza wyjechać następnego dnia z Kansas do San Francisco, gdzie mieszka wspomniana czarująca osoba, i że broszka albo jej duplikat będzie warta dwukrotnej, nie, trzykrotnej ceny, jeżeli dostanie ją do ręki, zanim wsiądzie do południowego pociągu.

Kaller omal nie połknął swojego krawata.

— No cóż — powiedział przez ściśnięte gardło — może da się coś zrobić. Żądaliśmy — mówi ten podstępny stary lis — żądaliśmy, zdaje się, tysiąca dolarów.

I wytrzeszcza oczy na Allardyce'a, jakby go miał trafić szlag.

— Zatem zapłacę panu trzy tysiące — mówi Allardyce z możliwie największą nonszalancją. — Ale dość tego przewlekania sprawy, niech pan lepiej zaczyna działać. Ma pan termin do jutra w południe. Do tego czasu może mnie pan znaleźć w hotelu Excelsior.

I zostawiając jedną ze swoich wizytówek wychodzi.

Dokonując zakupu wymieniłem nazwę swojego hotelu i wkrótce ten jubiler przybiegł, żeby się ze mną zobaczyć. Nie chcąc wciągać małej Amelii do tej brudnej sprawy wprowadziłem go do swojej sypialni i zamknąłem drzwi. Amelia miała akurat lekcję śpiewu z signoriną Carmellą w saloniku i jej miauczenie nie działało kojąco na nerwy starego Kallera.

— Drogi panie Crabb, stała się rzecz okropna — mówi. — Ta broszka była już sprzedana komu innemu przez mojego współnika i w pełni zapłacona, tylko ja nie

wiedziałem o tej transakcji. Czy mógłbym zwrócić panu pieniądze i odebrać broszkę? Ogromnie nieprzyjemna sprawa, rozumiem, i chętnie ją szanownemu panu wynagrodzę. Proszę wybrać dowolną inną sztukę biżuterii z dziesięcioprocentowym rabatem.

Śmiałem się w duchu przypominając sobie, co Allardyce powiedział mi o filozofii oszustwa: że w każdym szwindlu bierze udział dwóch kombinatorów, oszust i ofiara, że nie można oszukać człowieka uczciwego. Zaraz jednak dodał, że w swoich wędrówkach nigdy nie spotkał osobnika tego typu. Wystarczy wziąć starego Kallera — chciał zarobić dwa tysiące siedemset dolarów, w zamian za co ofiarowałyby mi dwudziestodolarowy rabat.

Nie czułem więc dla niego cienia litości. Powiedziałem, że nie ma mowy, że moja ukochana siostrzeniczka w sąsiednim pokoju, słynna artystka koncertowa, zakochała się w tym cacku i wolałbym poderżnąć sobie gardło niż odebrać jej to teraz, że transakcja była najzupełniej legalna i że to nie moja wina, jeżeli on ma nieporządki w interesach.

Wtedy on zaczął proponować mi więcej, a ja mówię, że pieniądze w tej sprawie nie mają znaczenia, na co on stopniowo zwiększał sumę i moim jedynym zmartwieniem było, że ten stary czort może z desperacji dostać ataku serca i skonać na moim dywanie, zanim dojdzie do dwóch tysięcy, którą to sumę ustaliliśmy z Allardycem jako rozsądną, bo gdyby zysk Kallera zbyt się zmniejszył, mógłby coś zwęszyć.

Dotarł do celu po około dwóch godzinach i wtedy powiedziałem:

— Panie Kaller, postawił pan na swoim. Nie mogę patrzeć na ludzkie cierpienie.

Miał gotówkę przy sobie i kiedy ją wyciągnął, pożałowałem, że nie doszedłem do dwóch i pół tysiąca, bo wyglądało, że tyle przyniósł, ale co tam, nawet i tak nie było źle jak na pierwszy raz. Zarobiłem okrągły tysiąc za dwie godziny pracy. Później spotkałem się w barze z Allardycem i podzieliliśmy zdobycz po połowie.

— Zgłosiłem się w hotelu Excelsior — powiedział — zostawiłem w recepcji wiadomość dla Kallera, że zmieniłem plany i wyjechałem na tygodniowe polowanie w okolicy Topeka w przekonaniu, że po powrocie będziemy mogli dokonać transakcji. To — powiedział — pozwoli mi bez pośpiechu opuścić miasto.

— Dokąd się wybierasz, Allardyce? — spytałem, bo prowadził interesujące życie.

— Hm, do St. Louis, chyba. Jestem tam czysty. A ty, Jack? Radziłbym ci wyjechać z Kansas. To prawda, że Kaller nie ma nic na ciebie, ale wkrótce zwęszy pismo nosem i może ci obrzydzać życie. Nie wybrałbyś się ze mną? Uważam, że masz prawdziwy talent.

Nie wiedział nic o Amelii, bo trzymałem go z dala od swojego hotelu. Mimo wszystko był to oszust.

— Bardzo możliwe — mówię. — Ale uważam, że moim prawdziwym żywiołem jest otwarta przestrzeń. Wybieram się na zimowe polowanie do krainy bizonów.

Allardyce wyciągnął rękę.

— Miło mi było, Jack.

— Czuję się zaszczycony, Allardyce — mówię ja — i życzę ci powodzenia w twojej następnej intrydze, cokolwiek to będzie.

Widziałem go wtedy po raz ostatni, jak w tej podłej knajpie zamawiał butelkę szampana. Tak mu się śpieszyło do wystawnego życia, że nie mógł wytrzymać, aż znajdzie się gdzieś, gdzie będzie mógł je praktykować, jak należy. Miałem uczucie, że za parę dni znów będzie bez grosza, bo w sztuce oszustwa bardziej cenił samą grę niż pieniądze, które się zdobywało. Cóż to był za artysta! I naprawdę życzliwy człowiek, który pomógł mi wydostać się z Kansas.

Wypłaciłem zaliczki dłużnikom, żeby wykazać dobrą wiarę i uciszyć na jakiś czas ich ujadanie, i uiściłem z góry za pensję dla dziewcząt, którą wreszcie znalazłem dla Amelii. Było to snobistyczne miejsce z internatem, a przełożona tak się nadymała, że ledwo mogła się odezwać.

Wiem, jakie sprośne myśli chodzą po głowie ludziom, którzy słuchają cudzych wspomnień, i wiem, że spodziewasz się usłyszeć, jak to prędzej czy później Amelia wróciła do dawnego zawodu. Ludzie nie mogą ścierpieć, jak inni się poprawiają. Muszę cię rozczarować. Nie było takiej siły na ziemi, która mogła powstrzymać Amelię od zostania damą, z chwilą gdy raz tego zasmakowała. Żeby dać ci jakiś przykład: jeżeli jedząc w restauracji upuściła widelec, nie schylała się po niego, o nie. Od tego jest służba, mówiła. I tę samą zasadę stosowała we wszystkim, co robiła, jeżeli więc w naszych pokojach książka ześlizgnęła jej się z kolan na dywan, ciągnęła za dzwonek, żeby któryś z bojów w małpiarskim stroju przybiegł na górę i podniósł jej książkę.

Martwiłem się, że Amelia może nie zechcieć uczęszczać do Akademii dla Młodych Dam panny Wamsley, która mogła się wydawać szczytem surowości po luksusowym lecie w tym hotelu z Niemcem, signoriną Carmellą i całą resztą, ale moje obawy okazały się płonne, bo panna Wamsley pochodziła z Anglii, a może tylko z Bostonu, dość że mówiła przez nos, co było dla Amelii czymś nowym, i kiedy po naszej pierwszej wizycie w celu zapisu spytałem mojej siostrzenicy, czy nie będzie jej brak signoriny, odpowiedziała przez nos: „Nie rozśmieszaj mnie!”

Nie pytałem, czy nie będzie jej brak wujka Jacka. Podejrzywałem, że nie, ale nie chciałem usłyszeć ani kłamstwa, ani bolesnej prawdy. Nie byłem tak głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że im bardziej będzie stawała się taką, jaką pragnąłem ją widzieć, tym mniej będzie zachwycona moim towarzystwem.

Uznałem więc, że czas ruszać na polowanie, co uwolni Amelię od mojej obecności i pozwoli mi zarobić na jej utrzymanie na odpowiednim poziomie. Po powrocie, dopiero na wiosnę, będę może zaglądać do szkoły co drugą niedzielę, kiedy odwiedzający mogli przychodzić na herbatę, starając się pamiętać o wyjęciu łyżeczki przed piciem. Jak na razie nie miałem innych długofalowych planów.

Zapłaciwszy z góry za pół roku w szkole i zostawiwszy kieszonkowe Amelii, znów zostałem z niewielką sumą pieniędzy, ale udało mi się dostać większą część niezbędnego sprzętu i zapasów od dostawcy na kredyt i wynająć człowieka do obdzierania zwierząt ze skóry, któremu mogłem zapłacić dopiero po powrocie i sprzedaży skór. Zrobiłem to w mieście Caldwell, w stanie Kansas, które było wtedy centrum bizonich interesów. Natomiast z miasta Kansas wyjechałem w środku nocy, zostawiając za sobą wszystkie długi, z rachunkiem w hotelu włącznie.

Tereny zamieszkiwane przez bizona rozciągały się od południowej Nebraski po rzekę Kolorado w Teksasie. Zanim zbudowano linie kolejowe, sięgały one nieprzerwanym pasmem aż do Kanady i olbrzymie stada wędrowały na północ, kiedy się ocieplało, a wracały na południe wraz z pierwszymi śniegami.

Kiedy mówię, jak mam teraz okazję, że kontynentalne stado zostało przecięte na pół linią Union Pacific, nie znaczy to, że na południe, a także na północ od kolei, nie pozostało masy zwierząt. W rzeczywistości w roku tysiąc osiemsetnym siedemdziesiątym pierwszym żyło tam co najmniej dziesięć milionów bizonów, bo tyle zabito na południowych równinach do roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego.

Dziesięć milionów w ciągu pięciu lat. Ja też wziąłem udział w tej eksterminacji wykorzystując w pełni swoją osobistą energię z tej prostej przyczyny, że im więcej skór człowiek przywiózł, tym więcej dostawał pieniędzy. Skóry te po wygarbowaniu i pocięciu wykorzystywano głównie na pasy transmisyjne do maszyn, ale robiono z nich także buty, uprząż i fartuchy.

Jak się polowało dla skór, nie było czasu ani możliwości, żeby zajmować się mięsem zastrzelonych zwierząt, poza wycięciem jakiegoś ozora lub garbu na własną kolację, większość więc mięsa zostawała tam, gdzie zwierzę padło, i służyła wilkom albo gniła na słońcu. Później ktoś odkrył, że kości stanowią dobry nawóz, przyjeżdżano więc, zbierano je całymi wozami, mielono na mączkę i farmerzy rozrzucali je na polach.

Pozostaje sprawa mięsa i nie można pominąć faktu, że wiązało się to z olbrzymim marnotrawstwem w tej dziedzinie, podczas gdy Indianie w zasadzie w tej czy w innej formie wykorzystywali każdy kawałek bizona, od uszu do kopyt, włącznie z organem męskim, z którego gotowali klej. Jednak, jak wiesz z mojej opowieści, Indianie często cierpieli głód na długo przed wytepieniem bizonów i jeszcze częściej przed pojawieniem się białego człowieka, bo do tego czasu nie mieli koni, na których mogliby polować, ani strzelb, z których mogliby zabić bizona na dużą odległość polując pieszo.

Według mnie należy wziąć te rzeczy pod uwagę, zanim zacznie się potępiać nas, myśliwych. Chcieliśmy tylko zarobić na życie, więc interesowała nas wyłącznie cena rynkowa skóry. Z relacji o tym przedsięwzięciu pisanych przez ludzi, których przy tym nie było, można czasem wyrobić sobie pogląd, że wielka armia myśliwych wyruszyła, żeby wymordować wszystkie biony na kontynencie w celu oczyszczenia prerii pod hodowlę bydła albo wyparcia Indian przez zniszczenie źródła ich pożywienia. Te rzeczy oczywiście się zdarzały, ale nie leżało to w naszych planach. Byliśmy tylko gromadą ludzi uzbrojonych w karabiny i gdybyś kiedyś wszedł na pagórek i zobaczył ogromne morze bizonów pokrywające może dwadzieścia mil, nigdy byś nie uwierzył, że kilka tysięcy ludzi może spowodować całkowite zniszczenie tych milionów.

Mimo to muszę przyznać, że teraz tego żałuję. Ale dokonaliśmy tego i oto w jaki sposób: pod koniec sierpnia i na początku września myśliwi udawali się do Nebraski, tam dopadali stada bizonów i posuwali się za nimi na południe do Teksasu w miarę, jak się ochładzało, zabijając po drodze, i takie polowanie przeciągało się zazwyczaj do

marca następnego roku. Potem na wiosnę myśliwi kończyli operację i, jak widzieliśmy, udawali się do Kansas na wakacje, podczas gdy bizony liniały w swojej letniej wędrówce z powrotem na północ.

Przy tego rodzaju polowaniu nie używało się koni. Podchodziło się pieszo najbliżej, jak się dało, do jednej z małych gromadek, na jakie rozpadało się stado, rozstawiało się podpórkę ze skrzyżowanych kijów, opierało na niej długą lufę Sharpsa i wybierało jedno za drugim zwierzęta na obrzeżu tej gromadki. Robiąc to właściwie, można tak było ciągnąć dość długo, zanim bizony się zorientowały, bo nie zwracały najmniejszej uwagi na odgłos strzałów ani nie przejmowały się, kiedy wkoło padali ich towarzysze. Jedyną rzeczą, która je płoszyła, był zapach krwi.

Jeżeli utrzymywał się korzystny wiatr, można było powalić do trzydziestu sztuk, a reszta nadal pasła się spokojnie, ale po przekroczeniu tej liczby któryś z byków zwykle wyczuwał zapach krwi, niepokoił się i rył racicami, potem jakieś inne zwierzę węszyło krew i ryczało, co wprawiało gromadkę w panikę, która przenosiła się na całe stado na przestrzeni pięciu mil i po minucie widziało się tylko ogony gigantycznego stada w panicznej ucieczce. Albo, jak się co jakiś czas zdarzało, bo z drugiej strony tego samego stada mogli działać inni myśliwi, zwierzęta potrafiły pognać w twoim kierunku i wtedy widziałeś wspaniały horyzont najeżony rogami, zanim zostałeś stratowany na śmierć.

Zwykle jednak to się nie zdarzało i kiedy stado uciekło, przyjeżdżał na wozie oprawca, który do tego czasu trzymał się z dala, i zabierał się do pracy nad zabitymi zwierzętami: robił kilka nacięć, przywiązywał linę do zebranej w fałdy skóry karku, do drugiego końca liny zaprzęgał konia i odprowadzał go zdzierając całą skórę. W obozie skóry były rozpinane na kołkach, żeby wyschły, a potem złożone na stosy czekały na kupców, którzy co jakiś czas objeżdżali wszystkie grupy myśliwych.

I to są sprawy, jakie zajmowały mnie zimą roku siedemdziesiątego pierwszego na siedemdziesiąty drugi. Ja i mój oprawca zakończyliśmy sezon na południe od Rzeki Kanadyjskiej w przewężeniu stanu Teksas. Pod koniec marca wróciliśmy do Caldwell, gdzie rozliczyliśmy się z kupcami i otrzymaliśmy za zimową pracę około sześciu tysięcy dolarów, co oznaczało, że ja sam zabiłem w pierwszym swoim sezonie przeszło dwa tysiące pięćset bizonów. Doświadczeni myśliwi jak Billy Dixon i Stary Keeler zarobili więcej.

Mimo to nie widziało się żadnego uszczerbku w pogłowie bizonów. Koło strumienia pod nazwą Piesek Preriowy, na południe od Rzeki Kanadyjskiej, razem z oprawcą wjechaliśmy na pagórek i zobaczyliśmy cały świat wyścielony brązową sierścią. Dzień był pogodny i myślę, że widziało się na odległość jakichś dwudziestu pięciu mil. Gdybyś wyciągnął rękę i przeciągnął nią z lewa na prawo wzdłuż horyzontu, wskazałbyś milion bizonów.

W Caldwell podzieliłem się zarobkiem ze współnikiem i po uregulowaniu należności dostawcom sprzętu, wciąż jeszcze z kilkoma tysiącami dolarów, skierowałem się z powrotem do Kansas, zobaczyć, jak sobie radzi Amelia.

Zanim jednak przejdę do tego, powinienem wspomnieć o zbiegu okoliczności, jakiego, wtedy doświadczyłem. Pamiętasz tego faceta ze śmiesznym nazwiskiem, który był moim poprzednikiem jako poganiacz mułów na trasie z San Pedro do Prescott w Arizonie? Wyatt Earp. Otóż miałem z nim awanturę podczas polowania na bizona i teraz ci o tym opowiem.

23. AMELIA ROBI KARIERĘ

Było to nad Słonym Dopływem rzeki Arkansas. Wieczorem, po całodziennym polowaniu, myśliwi z okolicy zbierali się w którymś z większych obozów, żeby wspólnie wypić i pograć w pokera. Źródło alkoholu stanowili handlarze przyjeżdżający z wozami pełnymi beczulek. Żadna odległość nie odstraszała tych facetów. Było bardzo wiele miejsc na prerii, gdzie człowiek mógł skonać z braku wody, ale szklaneczkę whisky mógł kupić prawie wszędzie.

Pewnego wieczoru pojechałem z pomocnikiem do pobliskiego obozu, żeby trochę pohulać, i kogóż zobaczyłem obsługującego wóz z whisky, jak nie mojego braciszka Billa. Jedno trzeba mu przyznać, znalazł swój zawód w młodym wieku i pozostał mu wierny. Może pamiętasz, jak parszywie wyglądał już w roku pięćdziesiątym siódmym, kiedy sprzedawał śmierdziuchę Indianom. Otóż stoczywszy się tak nisko w tak młodym wieku, nie zdegenerował się zbyt w ciągu następnych piętnastu lat. Stracił wszystkie zęby, ale poza tym wydał mi się nie zmieniony — okropnie brudny, oczywiście, i kiedy podszedłem bliżej, opowiadał swoim klientom, że znał Johna Wilkesa Booth⁴, który wcale nie został zabity, ale mieszkał w El Paso, w Teksasie, gdzie prowadził sklep z towarami mieszanymi.

Usłyszawszy z własnych ust Billa, czym doprawia swój towar, postanowiłem zachować wstrzemięźliwość tego wieczoru, ale nie mogłem przekonać pomocnika, żeby nie pił, bez ujawnienia mojego pokrewieństwa, w czym nie byłem zainteresowany. Tak się złożyło, że Bill doszedł do końca baryłki i musiał ją przychylić, żeby napełnić czerpak. Skierował przy tym otwór baryłki w stronę ogniska i zobaczyłem, że mój oprawca zagląda do środka, a potem przypatruje się Billowi.

— Zaczekaj — mówi. — Co to za grudy na dnie?

— To tylko zaczyn — mówi Bill. — Wiesz, jak przy occie. Mój pomocnik odpycha go, przewraca baryłkę i wyslizguje się z niej wraz ze strumykiem resztek whisky pół tuzina jakichś przedmiotów. W świetle ogniska nie ma wątpliwości co do ich tożsamości.

⁴ John Wilkes Booth (1838—1865) — aktor, morderca prezydenta Lincolna.

— Ty skurwysynu — mówi mój oprawca. — Przecież to głowy grzechotników!

Bill posyła mu bezzębny uśmiech.

— Rzeczywiście — godzi się.

Na to ludzie zaczynają się denerwować i grozić sprawdzeniem reszty jego zapasów, Bill przyznaje więc, że nie ma na składzie ani jednej baryłki, w której nie pływałoby sześć głów grzechotników. Po tej nowinie część tych, którzy pili, idzie w krzaki i zwraca, a reszta bierze lassa i rozgląda się za dogodną gałęzią, na której można by zawiesić mojego brata, ale jakiś wysoki, młody hombre przepycha się przez tłum i mówi do Billa:

— Zaprzęgaj, wynoś się stąd i więcej się tu nie pokazuj.

— One nikomu nie szkodzą — mówi Bill w płaczącym proteście. — One tylko dodają ognia. Chłopcy cenią mój towar za krzepkość.

— Wynoś się — mówi ten chudy jegomość. — A wy rozstąpcie się i przepuście go.

I niech mnie licho, jeżeli go nie posłuchali, nie wiem dlaczego, bo nie dostrzegłem w nim nic szczególnego, może tylko miał coś z pewnością siebie Custera i Hickoka, choć bez ich długich włosów.

Podszedł do mnie mój pomocnik i mówi:

— Widziałeś kiedyś coś takiego?

Miał na myśli mojego brata. A ja, będąc lekko zdenerwowany, w odpowiedzi tylko czknałem. Widok tych głów grzechotników podziałał na mnie, mimo że nie tknąłem tego świństwa.

Chudy facet podszedł szybko do mnie i patrząc zimno spod prostych, czarnych brwi mówi:

— Masz jakieś zastrzeżenia?

Powiedziałem, że nie, ale jednocześnie zażądałem, żeby podał powód, dlaczego, do jasnej cholery, myślał, że mam.

— Przed chwilą wymówiłeś moje nazwisko — on na to.

— Nie znam twojego nazwiska — mówię.

— Nazywam się — mówi on — Earp.

— A — roześmiałem się — mnie się tylko odbiło.

Strzelił mnie w zęby.

Wstałem natychmiast z rewolwerem w ręce, ale Earp już odszedł, zostawiając mi do wyboru, podziurawić mu plecy czy zgodzić się z nim, że incydent jest zakończony. Ale nie mogłem pozwolić, żeby mi dyktował warunki, obrzuciłem go więc jakąś wymyślną obelgą w obecności zebranych myśliwych, na co on odwrócił się i ruszył z powrotem.

— Wyciągaj broń, ty cholerny Epsteinie — mówię, bo tym swoim równomiernym krokiem zbliżył się na dziesięć stóp swobodnie machając rękami, z bronią nadal w kaburze.

Ale on szedł dalej, a ja nie mogłem podnieść rewolweru i zastrzelić go, póki on nie sięgnie po swój. Zbliżywszy się wreszcie na odległość jednej stopy chwycił mój prawy nadgarstek żelaznymi palcami lewej ręki, po czym wyciągnął rewolwer i palnął mnie w łeb ciężką kolbą. Straciłem przytomność na dobre.

Była to technika zwana „ogłuszaniem bizona” i Wyatt Earp upodobał ją sobie, kiedy został później szeryfem. W całym swoim burzliwym życiu zabił tylko dwóch albo trzech ludzi, ale ogłuszył tysiące. Myślę, że był najpodlejszym osobnikiem, jakiego spotkałem. Dziki Bill w takiej sytuacji zabiłby swojego oponenta. Ale nie Earp, on był na to zbyt podły. Wyciągając przeciwko tobie broń uznałby cię za godnego przeciwnika, ale on uważał, że większość ludzi nie jest godna tego, żeby ich zabić, więc tylko nadłupywał im czaszki. Nie wiem, na czym to polegało, ale kiedy spojrzał na ciebie, jakbyś był śmieciem, mogłeś się z nim nie zgadzać, ale rodziło się w tobie dość wątpliwości, żebyś powstrzymał na chwilę rękę z bronią, a wtedy on walił cię w łeb.

Wróciłem do Kansas, jak już wspomniałem, na wiosnę siedemdziesiątego drugiego, ostrzygłem się, wziąłem za dwadzieścia pięć centów kąpiel u fryzjera i włożywszy miejskie ubranie z kufra, który zostawiłem na przechowanie, udałem się do szkoły Amelii.

Przełożona z twarzą jak suszona śliwka rozpływała się z uprzejmości.

— Ach — powiedziała nalewając mi malusieńką filiżankę herbaty — tak się martwiłyśmy, że nie wróci pan na czas ze swojej ekspedycji naukowej.

Nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć swoją siostrzenicę i przekonać się, jakie postępy zrobiła przez zimę, ale uznałem, że nie wolno mi wypaść z roli wobec panny Elizabeth Wamsley, zwłaszcza kiedy siedzę w saloniku jej Akademii dla Młodych Dam, z jakąś roślinnością doniczkową wpychającą mi liście do ucha, z

koronkowymi serwetkami pod każdym łokciem i z trzecią pod głową, dla ochrony przed niedźwiedzim tłuszczem.

— Mam nadzieję — mówiła panna Wamsley — że zebrał pan wiele rzadkich skamielin dla naszych wschodnich muzeów.

Sam widzisz, jak w wersji małej Amelii wyglądała moja wyprawa na bizony.

— Musi mi pan o tym opowiedzieć — ciągnęła panna W. — myślę jednak, że najpierw powinniśmy załatwić pewne sprawy, które choć pospolite, są jednak palące. Prawdę mówiąc — powiedziała obnażając długie przednie zęby w imitacji uśmiechu — czyż nie jest tak zwykle?... Oczywiście rozumie pan, drogi panie Crabb, że kiedy uczennica odchodzi po więcej niż dwóch tygodniach danego okresu, szkoła nie zwraca pieniędzy.

Połknąłem całą herbatę jednym łykiem, żeby nie narobić zbyt dużego zamieszania, w razie gdybym upuścił filiżankę i spodek.

— Amelia uciekła — mówię i serce we mnie zamarło.

Panna Elizabeth Wamsley zaniosła się chichotem, który brzmiał, jakby ktoś rozdzierał jedwabny szal.

— Ależ skąd, drogi panie Crabb! Nasza droga Amelia wychodzi za mąż. Nie mieliśmy sposobu, żeby pana zawiadomić, żadnego pocztowego ani telegraficznego adresu, pod którym moglibyśmy dotrzeć do pana na odległej pustyni czy płaskowyżu.

— Za kogo? — pytam.

Myślę, że gdybym był w każdym innym miejscu, a nie w tym zatęchłym salonie, zalatującym suszonymi kwiatami, w ślad za tym pytaniem posłałbym gwałtowną groźbę zabicia kandydata. Otóż w sposób naturalny zakładałem, że każdy, kto może zechcieć poślubić Amelię albo oświadczy, że chce, musi być jakimś zakazanym typem. Rzecz w tym, że mimo moich częstych uwag na temat jej nowo nabytej ogłady, na dzień mego umysłu tkwiło wspomnienie o tym, jak wyciągnąłem ją z rynsztoka, i przekonanie, że pozostawiona sama sobie wróciłaby tam niechybnie.

— Choć jesteśmy tu zazwyczaj skromni, panie Crabb — mówi panna Wamsley — to myślę, że w tym przypadku możemy dać wyraz naszemu zadowoleniu z zaręczyn Amelii. Absolwentki naszej Akademii są paniami wielu najlepszych domów w kraju...

— Za kogo? — powtarzam, bo nie zdawałem sobie sprawy, że przeciąga sprawę nie po to, żeby osłabić cios, ale dla zwiększenia efektu.

Przysięgam ci, że wtedy ona wymienia nazwisko senatora stanowego i mówi, że chodzi o jego syna, młodego prawnika z Kansas, którego zatrudniła w celu reprezentowania Akademii w sprawach o niepłacenie czesnego, tu posyła mi znaczące spojrzenie, w związku z czym przyszedł do szkoły, ujrzał Amelię i „jego serce zostało przeszyte strzałą Kupida” według mojej informatorki. Zaloty trwały całą zimę, ślub wyznaczono na maj. To był powód niepokoju panny Wamsley co do czesnego, bo semestr u niej kończył się w czerwcu. Pieniądze, które wyłożyłem jesienią, pokrywały tylko pierwsze półrocze. Jak na razie w roku siedemdziesiątym drugim panna W, trzymała Amelię na kredyt, ale oczywiście wiedziała, że na tak znanym eksploratorze jak ja można polegać.

Wypląciłem jej od ręki okazałą sumkę. Było mi wstyd, że tak pospiesznie i błędnie oceniłem Amelię, ale gwałtowny awans tej małej przyprawiał mnie o zawrót głowy. Marzyłem o jakiejś dobrej partii dla niej, ale zaskoczył mnie fakt, że zdarzyło się to tak szybko.

Stara wrona wyniosła się, jak tylko dostała swoje pieniądze, i posłała po Amelię, która miała lekcję haftu czy coś takiego. Moja siostrzenica pocałowała mnie w policzki, powinszowałem więc sobie, że się przed przyjściem ogoliłem. Bo jeżeli ktokolwiek zbliżył się do klasy pani Pendrake, to tylko ona. A pamiętaj, że panna Wamsley ubierała panienki z Akademii bardzo surowo, na ciemno od szyi do kostek, bez szminki, pudru czy biżuterii, i pensjonarki, które widziałem, nie różniły się od siebie bardziej niż wróble w stadku. Były szare. A Amelia nie. W tych samych warunkach górowała nad wszystkimi.

Usiadła obok mnie na sofie z dłońmi na kolanach i wdzięcznie pochylając główkę odezwała się:

— Spodziewam się, że wyprawa zakończyła się powodzeniem.

— Panna Wamsley — powiedziałem — poinformowała mnie, że wybierasz się za mąż. — Widząc w jej oku zapalającą się iskierkę dodałem szybko: — Nie mam zastrzeżeń. — Potem dodałem. — Zapewne jesteś zakochana.

Amelia najpierw spogląda na mnie dumnie z góry, a potem nagle robi minę bardzo rzeczową. Nie twardą i nie cyniczną, ale po prostu realistyczną.

Rezygnując z wyniosłego stylu mówi:

— Chyba nigdy tak naprawdę nie wierzyłeś, że jestem twoją siostrzenicą? Bo gdyby tak było, czułabym się okropnie.

Wiesz, jak można latami iść przez życie omijając podobne zasadnicze pytania. Absolutne definicje zazwyczaj nie wychodzą ludziom na dobre. Znałem nałogowych pijaków, którzy trzymali się całymi latami tylko dzięki temu, że nie uważali się za pijaków. Mogłeś pomyśleć, że kiedy zaczęła się ta historia z Amelią, uwierzyłem w nasze pokrewieństwo na podstawie mocno wątpliwych dowodów, że dziewczyna w jej sytuacji opowiada wszystko, co klient chce usłyszeć, że odgrywanie roli mojej siostrzenicy było o całe niebo łatwiejszym zawodem niż ten, z którego ją wyciągnąłem.

Wszystkie te wątpliwości nie były mi obce, ale pomyśl: po takim życiu jak moje zasłużyłem chyba na prawo decydowania, kto jest moim krewnym, a kto nie. Wszystkie moje prawdziwe rodziny utraciłem na skutek różnych katastrof. Zacząłem uważać, że nad moimi naturalnymi związkami ciąży jakieś fatum i kiedy mała Amelia zaproponowała mi siebie, zaakceptowałem ją i uważałem, że cała przyjemność jest po mojej stronie.

— Chodzi o to — mówi ona — że ciebie to bawiło i mnie też, ale teraz mam szansę zostać kimś z towarzystwa i kto wie, czy to się jeszcze kiedyś powtórzy. — Tu wzięła mnie za rękę. — Naprawdę bardzo bym chciała, żebyś mnie poprowadził do ołtarza. Moja matka uciekła z komiwojażerem, kiedy miałam dwanaście lat, a ojciec zapił się na śmierć w kilka lat później. Było to w Saint Joe, potem popłynęłam z prądem rzeki. Jeden gość, który przychodził do Dolly, opowiadał mi o mormonach i w ten sposób dowiedziałam się o ich życiu.

Uśmiechnęła się; można by powiedzieć, że na swój sposób zachowała jakąś autentyczną niewinność.

Jak tylko przyzwyczałem się do tej myśli, poczułem prawdziwą dumę. Było mi żal, że wkrótce utracę towarzystwo mojej „siostrzenicy”, ale zadowolenie z tego, że tak znacznie zmieniłem jej los, prawie wyrównywało mi tę stratę. Jeżeli sam nigdy nie miałem szans na wejście do towarzystwa, to przynajmniej w tym wypadku mogłem to, że tak powiem, zorganizować komu innemu. To chyba szczyt marzeń białego człowieka.

— Amelio — mówię — nie potrzeba związków krwi, żeby żywić do kogoś rodzinne uczucia. Jestem związany autentycznym braterstwem z człowiekiem tak podłym, że wrzuca głowy grzechotników do whisky, którą sprzedaje, i przepraszam za wyrażenie, guzik mnie on obchodzi. Większość ludzi, na których mi naprawdę zależało, sam sobie wybrałem. Wierzę, że nasi prawdziwi krewniacy są rozsiani po

całym wszechświecie i rzadko są z nami spokrewnieni. Jesteś więc moją siostrzenicą w jedyny sposób, jaki się liczy. I ponieważ kocham cię jak prawdziwą krewniaczkę, nie poprowadzę cię do ołtarza. Lepiej idź do tego ślubu jako sierota, co i tak jest prawdą.

Amelia autentycznie zaprotestowała, co mnie podniosło na duchu, bo przecież nie chciałyby mnie w tej roli, gdyby nie czuła do mnie jakiejś sympatii, ale ja pozostałem niewzruszony. Zobaczyłem teraz, że moje stare marzenie, o tym, żeby wydać ją dobrze za męża, a potem wpadać do nich w niedzielę na obiad, nigdy się nie ziści. Nie mógłbym utrzymać pozy podróżnika, poszukiwacza skamieniałości, czy co tam jeszcze naopowiadała senatorskiemu synalkowi na temat „wujka”. Z drugiej strony po namyśle zrozumiałem, że byłoby upokarzające, gdyby nikt jej nie prowadził do ołtarza, zwłaszcza że ślub miał być wydarzeniem towarzyskim z udziałem śmietanki Kansas. Obiecałem więc, że dostarczę odpowiedniego człowieka.

Zwróciłem się do signoriny i, słowo daję, okazało się, że akurat żyje z odpowiednim jegomościem: typ podstarzałego dżentelmena około pięćdziesiątki ze szpakowatymi bokobrodami i kozią bródką. Był także alkoholikiem, ale przysięgał, że potrafi przejść nie zataczając się środkiem kościoła, jeżeli będzie go podtrzymywać sumka, którą mu wręcę.

Kupiłem Amelii najpiękniejszy strój ślubny oraz kompletną garderobę na później, a wszystkie pozostałe pieniądze przeznaczyłem na jej posag. Nigdy nie usłyszałem słowa podziękowania, nigdy nie wyraziła uczucia wdzięczności podczas całego okresu naszego wspólnego życia, bo wiedziała, że ja też mam to, czego chcę. Może pewien okres w zawodzie ladaczniczki nie jest najgorszą szkołą dla kobiety.

Oglądałem ślub z chóru, skąd po raz pierwszy zobaczyłem młodego człowieka, za którego wychodziła, i nie zachwyił mnie. Był wysoki, sflaczały i w wieku lat dwudziestu pięciu nosił okulary. Jego tato był przysadzistym mężczyzną z mocną szczęką i stalowosiwymi włosami. Rzuciło się w oczy, że Amelia zastępuje starego pana jako oparcie dla tego chłopca.

Ukochany signoriny Carmelli wywiązał się ze swojej roli znakomicie. Szedł środkiem kościoła prowadząc Amelię pod rękę tak prosto, jakby miał pod frakiem stalowe rusztowanie. Carmella, z drugiej strony, w ogóle nie dotarła na uroczystość. Ta para żyła według jakiejś reguły, zgodnie z którą jedno z nich zawsze leżało w domu pijane jak bela. Tego dnia była jej kolej.

Ale Dolly przysła i oglądała wszystko z chóru razem ze mną. Rozczuliła się bardzo na widok jednej ze swoich dziewcząt robiącej karierę i płakała przez całą ceremonię, chociaż kiedy przestała, nie dostrzegłem żadnych śladów łez w pudrze i różu. Potem nowożeńcy wyszli przed kościół i różni ważniacy tłoczyli się wokół ich powozu sypiąc ryżem w krótkowzroczną twarz pana młodego. Amelia miała minę lekko sarkastyczną, a Dolly oparła się biustem o moje ramię i mówi:

— To był niezapomniany widok. A teraz chodź do mojego lokalu, Krótka Rączko, i wybierz sobie coś na koszt firmy. Może znajdziesz następną siostrzenicę.

Trzymaliśmy się z tyłu, żeby nie stawiać Amelii w niezręcznej sytuacji, a potem powóz odjechał i wtedy widziałem tę małą po raz ostatni. Ale niech mnie diabli, jeżeli potem w tysiąc osiemsetnym osiemdziesiątym piątym albo szóstym nie przeczytałem w gazecie, że Grover Cleveland wziął jej męża na członka gabinetu! Osiągnęła więc prawdziwy sukces jako jedyna z moich rodzin i dlatego opowiedziałem ci tę historię.

Przez następne dwie zimy wyprawiałem się na bizona, a w lecie wędrowałem po kansaskich krowich miasteczkach grając w pokera albo w popularnego wówczas faraona. Co do bizonów, to niech mnie licho, jeżeli w sezonie siedemdziesiąt dwa na siedemdziesiąt trzy nie dało się już zauważyć, że stada się przerzedzają. Nadal były setki tysięcy zwierząt, ale już nie miliony. Mnóstwo, ale nie nieskończoność. Jeżeli zobaczyło się jeden z tych punktów odbioru skór przy kolei, to rozumiało się dlaczego. To, co wyglądało jak nowe miasteczko na prerii, to były w rzeczywistości stosy skór oczekujących załadunku na wagony towarowe. A na równinie nie spotykało się już gigantycznych stad, które ja i mój pomocnik widywaliśmy w siedemdziesiątym pierwszym. Nie, ten niesamowity widok miał się już nigdy nie powtórzyć na tym kontynencie.

Ale jeżeli bizon zaczynał przegrywać, bo był dziki, to jego oswojony kuzyn tryumfował. Chishoimskim Szlakiem pędzono z Teksasu stada bydła przez tereny indiańskie do Kansas, do miasteczek wyrastających jak grzyby po deszczu przy liniach kolejowych. Na początku lat siedemdziesiątych prawie co roku inne miasto było modne, począwszy od Abilene, przez Ellsworth i Wichitę, do Dodge City. Wszyscy chcieli przyjmować stada, bo kowbojom płacono po dostarczeniu bydła do zagród przy kolei i oczywiście mężczyźni, którzy nie widzieli przez kilka miesięcy kobiety ani żadnych innych elementów cywilizacji, trwonili swoje zarobki na miejscowe rozrywki.

Było to korzystne dla ludzi interesu, kowbojów zachęcano więc, żeby bawili się do upadłego, tyle że kiedy mówi się coś takiego takim ludziom, to skłonni są brać to dosłownie, bo tygodniami jedli kurz, znosili niepogodę i wybuchy paniki w stadzie — taką panikę mogło wywołać jedno głośne kichnięcie w środku nocy — może także najścia złodziei i Indian. Pokaż więc kowbojowi transparent, jaki kiedyś wywieszono w pewnym mieście na szlaku: „W Wichita wszystko jest dozwolone”, a jak tylko postawi nogę w Alei Douglasa, spije się jak wariat, a następnie wyciągnie broń i zacznie palić na prawo i lewo.

Miałem i ja swoje sprzeczki z kowbojami i do dzisiaj noszę na dowód tego blizny. Bywałem w mieście Wichita w latach, kiedy wszystko tam było dozwolone, tyle że po jakimś czasie zatrudniono mojego starego znajomego Wyatta Earpa, który miał pilnować, żeby rzeczy nie zaszły za daleko, i kiedy zobaczyłem go w akcji, roztrzaskującego czaszki kolbą rewolweru, to powiem ci, że nabrałem lepszego zdania o Teksasńczykach.

Chyba zrozumiałeś, że przez cały ten czas nie należałem do żadnej grupy. Może nie byłem tak stary, ale przywykłem myśleć o sobie jako o przeżytku z wcześniejszej epoki, sprzed linii kolejowych, bydła, rewolwerowców i głównych ulic pełnych domów gry i sklepów z towarami mieszanymi. Miałem wówczas niewiele po trzydziestce, może więc była to tylko kwestia sentymentu. Tak czy owak, lata te mijały bez znaczących wydarzeń i wszystko, co widzę oglądając się za siebie, to rozmazany ciąg pokerowych rozdań, opary whisky i co jakiś czas lufa rewolweru, ale zawsze jakoś wychodziłem cało z tych opresji i chociaż wygrywałem w karty częściej, niż przegrywałem, to jednocześnie byłem stale bez grosza. Teraz myślę, że chyba szukałem śmierci. Doszedłem nawet do tego, że siadałem tyłem do wejścia.

To znaczy zrobiłem tak raz i natychmiast zostałem z tyłu postrzelony w ramię przez człowieka, którego nawet nie widziałem na oczy. Stało się to w Dodge City i nigdy się nie dowiedziałem, kto to zrobił. Było to najbardziej przepelnione nienawiścią miasto na ziemi. Wszyscy tam nienawidzili wszystkich: łowcy bizonów nienawidzili poganiaczy mułów, jedni i drudzy nienawidzili kowbojów, szulerzy nienawidzili wszystkich, przeciwko którym grali, a wszystkich łączyła wrogość do żołnierzy z pobliskiego fortu.

Żeby zrobić sobie wroga w Dodge City, wystarczyło zostać zauważonym przez drugiego człowieka, a ten z miejsca pałał do ciebie nienawiścią. Spojrzałeś w niebo,

powiedziałeś, że będzie padać, i już mogłeś mieć z tego bijatykę. Dlatego też, kiedy ktoś strzelił mi w plecy, wcale się nie zdziwiłem. Był kiepskim strzelcem, nawiasem mówiąc, bo kula nie trafiła w kość. Po sześciu czy ośmiu miesiącach sztywność ramienia minęła i odzywała się tylko na deszcz. Do tego czasu wyjechałem już jednak z Dodge i nie wysiłałem się zbytnio, żeby ustalić tożsamość mojego niedoszęłego zabójcy. Byłbym zainteresowany tylko, żeby zdobyć dość dynamitu i wysadzić całe to miasto w powietrze. Bo nie byłem wyjątkiem od reguły i też nienawidziłem tam wszystkich.

Mój ostatni sezon polowania na bizona przypadł na zimę tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego czwartego na siedemdziesiąty piąty. Traciliśmy więcej czasu na poszukiwanie bizonów niż na strzelanie do nich. Zarobiłem wszystkiego trzysta pięćdziesiąt dolarów od jesieni do wiosny, żeby dać ci pojęcie, jak bardzo skurczyły się dochody. Wkrótce po dostarczeniu skór do Dodge zostałem postrzelony w plecy, o czym już mówiłem.

Jak tylko mogłem znów podróżować, wyruszyłem na północ i dojechałem do Wyomingu nie widząc po drodze ani jednego dzikiego Indianina. Spotykałem natomiast licznych osadników, którzy budowali sobie domy z darni i uprawiali pszenicę oraz kukurydzę. Byli bardzo przyjaźnie nastawieni, a że nieraz mieli córki na wydaniu, chętnie mnie zapraszali i dzielili się ze mną pożywieniem, co bardzo się przydawało, bo na środkowych równinach nie spotykało się już zwierzyny.

W tych domach było przyjemniej, niż mogło się wydawać, bo kobiety przyczepiały materiał pod sufitem, żeby nie sypało się na głowę, a gruba darń nawet podczas największej ulewy nie przepuszczała ani kropli. Kłopoty zaczynały się następnego dnia, kiedy woda wreszcie przesiąkła; wtedy błoto kapło prawie przez tydzień. Oczywiście padało bardzo rzadko, co było dobre dla domów, ale zabójcze dla zbiorów. A latem siedemdziesiątego czwartego na równiny spadły jedną wielką płachtą rozciągającą się od Arkansas do Kanady miliardy koników polnych i zjadły nie tylko wszystko, co rosło na polach, lecz także uprzęż i brezentowe pokrycia wozów, a pod Kearney w Nebrasce pociąg Union Pacific utknął w trzystopowej zaspie owadów. Wspominałem, jak trudno było nieraz Indianinowi zdobyć trzy posiłki dziennie, ale biały osadnik też musiał się liczyć z poważnym ryzykiem, przynajmniej w tamtych latach.

Cóż, oranie prerii nigdy nie pociągało pańskiego sługi, to pewne. Wędrowałem dalej na północ i powiem dlaczego. Znów w dziwny sposób wiązało się to z działalnością George'a Armstronga Custer. Którego nawiasem mówiąc, nie szukałem już w celu zamordowania. Nie, jeżeli nie zdołam zemścić się w jakimś rozsądnym odstępie czasu, to nie umiem podtrzymywać aktywnej nienawiści w nieskończoność. Zdaję sobie sprawę z tej swojej słabości. Nie skorzystałem z okazji w Kansas w siedemdziesiątym pierwszym, a potem wdałem się w ratowanie Amelii, i tak minęło osiem lat od czasu Washity. Myślę, że większość z nas kieruje się w głębi serca jakimś prawem o przedawnieniach; jeżeli człowiek nie jest szaleńcem, gwałtowne uczucia po jakimś czasie przygasają.

Chociaż więc mała była szansa, żeby Custer stał się kiedyś moim bożyszczem, to straciłem dawne pragnienie zgładzenia go. Przestałem o nim w ogóle myśleć i kiedy latem tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego czwartego usłyszałem, że wrócił na równiny i poprowadził wojsko w Góry Czarne, żeby dokonać pomiarów topograficznych, nie obeszło mnie to ani trochę.

Tak się jednak złożyło, że pewni uczeni, zabrani na tę wyprawę, znaleźli w tamtej okolicy pewne złoża i sprawozdanie na ten temat wpadło w ręce dziennikarzy, którzy roztrąbili sprawę na cały kraj:

ZŁOTO! Ziemia obiecana. Sensacyjne wiadomości z Gór Czarnych.

Błyszczący skarb wreszcie znaleziony! Złotonośny pas szerokości trzydziestu mil.

Drogocenny piasek znaleziony w trawie pod kopytami koni.

Poruszenie wśród żołnierzy.

Można tam dotrzeć w ciągu sześciu dni. Wyprawy zbierają się na całym Pograniczu.

Góry Czarne zagwarantowano Siuksom w traktacie z roku sześćdziesiątego ósmego, po tym jak przepędzili wojsko i spalili forty wzdłuż szlaku do Bozeman. Była to bardzo piękna nieruchomość, porośnięta lasami, w których żyły niedźwiedzie i jelenie. Lakotowie nazywali je Pa Sapa czyli „Święte Wzgórza”, bo Indianie uważali za święty każdy kawałek ziemi rodzący tyle drzewa i zwierzyny. Biały człowiek po znalezieniu takiego miejsca, zawierającego wszystko, co potrzebne do życia, wprowadziłby się i wykorzystał je do końca. Czerwonoskóry potrafi się pohamować.

Byłem tam raz jako chłopiec. Przedtem Skóra Ze Starego Szłasasu modlił się długo i miał widzenie, że zdobędziemy sześć jeleni, dwa niedźwiedzie i dwadzieścia siedem żerdzi do tipi, tyle więc wzięliśmy z gór i nic więcej, zostawiając granatowe lasy i srebrne strumienie w takim stanie, w jakim je zastaliśmy. W tamtym okresie nie wiedzielibyśmy, co robić ze złotem, gdybyśmy je znaleźli.

Ale od tamtego czasu bardzo się zmieniłem. I dlatego śpieszyłem na północ w stronę Terytorium Dakota — chciałem części tego złota dla siebie. Nie zdobyłem go wiele podczas gorączki w Kolorado w roku pięćdziesiątym ósmym, ale byłem w wystarczającym stopniu białym człowiekiem, żeby spróbować od nowa.

Nie tropiłem już Custer'a i nie szukałem Indian. Ale znalazłem i jego, i ich.

24. CAROLINE

Na wiosnę siedemdziesiątego szóstego roku dotarłem do miasta Cheyenne w południowym Wyomingu, które było stacją linii Union Pacific i miejscem, skąd wyruszali poszukiwacze złota w Czarne Wzgórza.

Na podstawie traktatu z Siuksami biali w ogóle nie mieli wstępu na teren gór niezależnie od swoich celów i wojsko zawracało wszystkie wyprawy usiłujące się tam przedostać. Ale upilnowanie takiego obszaru za pomocą kilku zaledwie pułków było niezwykle trudne. Można powiedzieć, że kandydat na górnik, który dał się zatrzymać Armii Stanów Zjednoczonych, nie starał się zbytnio. Bo jeżeli go złapano, wystarczyło, żeby nie usłuchał. Nie aresztowano go ani nic takiego, a jak tylko znalazł się za następnym pagórkami, mógł obejść wojsko i podążać w pierwotnym kierunku.

Nawet takie utrudnienia wywołały jednak powszechne niezadowolenie w osadach. Zdarzyło się to samo, co podczas gorączki złota w Kolorado, postęp przeciwko barbarzyństwu. Wojsko, zamiast powstrzymywać białych rodaków od wzbogacania się, powinno wkroczyć i przepędzić Indian. Bo Siuksowie nie przyglądali się inwazji z założonymi rękami, choć nie od razu też wzięli się poważnie do mordowania. Naprawdę zawrócili niektórych pierwszych przybyszów nie posyłając ich do piachu, okazując w ten sposób niecodzienną, moim zdaniem, powściągliwość.

Ledwo wjechałem do Cheyenne (miasta w Wyomingu, nie plemienia. Indian tam nie było, a gdyby który tam trafił, zostałby zastrzelony na miejscu), kiedy trafiłem na dwóch facetów toczących zażartą walkę na głównej ulicy. Ponieważ nie miałem żadnych niecierpiących zwłoki spraw, przystanąłem, żeby sobie popatrzeć, i kogóż rozpoznałem po stronie przegrywającej, jak nie moją siostrzyczkę Caroline. Nie potrafiłem patrzeć spokojnie, jak jakiś łobuz bije moją siostrę, chociaż mógł mieć najsluszniejsze powody i był od niej mniejszy, szykowałem się więc, żeby go zastrzelić, jak tylko się na chwilę rozczepią i będę mógł wziąć go na cel. Kiedy zadał Caroline potężny cios w szczękę i ta zaryła nosem, sięgnąłem do mojego nowego Colta „Pacyfikatora”, ale zanim zdążyłem go podnieść, usłyszałem, jak ktoś obok mnie w tłumie mówi:

— No tak, myślę, że teraz wiadomo, która z nich jest prawdziwa.

Dziwna uwaga i całe szczęście, bo powstrzymała mnie od morderstwa.

— Kto prawdziwy? — zapytałem.

— Prawdziwa Feralna Jane — mówi facet i trochę soku tytoniowego kapie mu między czubki butów. — Te dwie cholery o to się biły. Ta wielka ruda przyznawała się w barze do tego tytułu, a wtedy przyszła ta druga, zarzuciła jej kłamstwo i skoczyły na siebie.

Schowałem rewolwer i spojrzałem na przeciwniczkę Caroline stojącą z zaciśniętymi pięściami nad leżącym ciałem mojej siostry. Zobaczyłem najbrzydszą kobietę świata, a że akurat sypała przekleństwami, to powiem ci, że w porównaniu z jej mistrzostwem w tej sztuce najgorsze rzeczy, które wygadywała Caroline, brzmiały jak pieśni kościelne.

Feralna Jane. Słyszałem to imię, ale nigdy nie zetknąłem się z tym okazem. Miała twarz jak kartofel i była przysadzistej budowy ciała, a kiedy przekonała się, że Caroline leży na dobre, trąciła ją butem, splunęła na ulicę, podniosła sombrero, które spadło jej w bójce, i wbijając je na ostrzyżone po męsku włosy wróciła do baru.

Pamiętasz, jak Caroline uratowała mnie wtedy od pijaństwa wrzucając mnie do koryta z wodą? Była za duża, żebym mógł jej się zrewanżować, napełniłem więc tylko kapelusz wodą z tegoż źródła i chlusnąłem jej w twarz. Na co ocknęła się warcząc:

— Gdzie jest ta kurwa? Zabiję ją!

Przykucnąłem obok niej i mówię:

— Oberwałaś, Caroline, i dobrze ci tak, za to, że udawałaś Feralną Jane. Po co ci to było?

Zajęło jej chwilę, zanim się pozbierała i dotarło do niej, kim jestem, ale wciąż jeszcze była zbyt poruszona, żeby dać wyraz siostrzanej czułości, pomogłem jej więc wstać i uttrzymała się o własnych siłach, choć była nieco poturbowana, miała podbite oko, rozciętą wargę, łyse miejsce po kępce wyrwanych włosów i dolną część jednego ucha odgryzioną prawie na czysto. Znalazłem doktora, który posmarował ją jakąś miksturą, i wyglądało na to, że będzie żyła, poszliśmy więc do restauracji, gdzie zjadła stek wielkości moich pleców i do tego z pięć funtów kartofli smażonych na tłuszczu.

— A teraz — mówię, podczas gdy już po wszystkim dłubała wykałaczką w tylnych zębach (większości przednich nie miała) — czy chcesz o tym pogadać?

— Gdybyś był dobrym bratem — mówi Caroline — wziąłbyś i zastrzelił tę dziwkę.

— Może to zrobię — mówię — jeżeli się dowiem, co ci zrobiła, poza tym, że pobiła cię w uczciwej walce, chociaż jest lżejsza i ma mniejszy zasięg ramion.

— Nie mam za grosz kondycji — mówi Caroline wlewając sobie w gardło spory łyk kawy. — Czuję się bardzo kiepsko i myślę, że niedługo umrę.

Nie sposób potraktować poważnie takiego oświadczenia z ust osoby, która przed chwilą pochłonęła olbrzymi kawał wołowiny. Ale Caroline dodała:

— Nie chodzi o ciało, ale o duszę. — Pociąga następny łyk kawy i wyciera usta rękawem koszuli. — Myślę, że komuś z twoim zimnym temperamentem trudno jest zrozumieć, jak można umierać z miłości, ale jestem ci wdzięczna, że z tego nie szysdzisz.

Zamiast na to odpowiadać mówię:

— Caroline, a co się stało z twoim przyszłym, Frankiem Delightem? Pamiętam, że miałaś przejść się za niego w sześćdziesiątym siódmym.

— Bynajmniej tego nie zrobiłam — mówi ona — jeżeli dobrze pamiętam, o kogo chodzi. Czy masz na myśli tego alfonsiaka, co jeździł za budową kolei? Okazał się niezłym nicponiem. Wtedy jak uciekłeś zostawiając swoją bezbronną siostrę, ten Frank, jeżeli tak miał na imię, próbował zachować się w stosunku do mnie lubieżnie i niestosownie, musiałam więc ogłuszyć go własnoręcznie, wiedząc, że nie mam brata, który mógłby mnie obronić. Gdzie ty się podziewałeś? — pyta i dodaje: — Major North powiedział mi, że spietrałeś się w walce z Indianami, zabrałeś tyłek w troki i uciekłeś.

Caroline była jedną z tych osób, które popełniają trzy nieściskości na każde dwa wypowiedziane słowa, a usiłując je sprostować człowiek stwarza im tylko dalszą okazję do praktykowania ich narowu, ograniczałem więc wszelkie uwagi do minimum.

— Więc po tym wszystkim — mówi ona — nie bardzo mogłam zostać na budowie i pojechałam do Kalifornii, Oregonu, Arizony, Santa Fe i Teksasu, byłam dwa razy w Teksasie i w Virginia City, i w Iowa. Byłam w wielu miejscach, Jack, i robiłam niejedno, ale nigdy nie stoczyłam się do rynsztoka.

— Ale co to za historia z tą Feralną Jane? — pytam. — Jak rozumiem, podawałaś się za nią.

Caroline robi zawstydzoną minę i znów ociera usta rękawem męskiej koszuli w kratkę, szeroko, aż do nosa.

— Bo jeżeli ta druga — mówię dalej — jest prawdziwą Feralną Jane, to jest brzydka jak noc i strasznie przeklina, a nie ma wielu mężczyzn, którzy przepadają za tego rodzaju osobami. A co do bójek, to nie sądzę, żeby kobiety mogły z tego czerpać powód do dumy.

Caroline odniosła się jakby z szyderstwem do mojej naiwności.

— Byłbyś zdziwiony — mówi — ilu mężczyzn gustuje w dobrze bijących się kobietach. Miałam wszędzie sporo wielbicieli, włącznie, jeżeli chcesz wiedzieć, z panem Dzikim Billem Hickokiem, o którym pewnie słyszałeś, tylko że ta wspomniana przez ciebie lafirynda chciała mi go odbić. Otóż powiem ci, że ona wcale nie zawdzięcza sławy własnej osobie, ale wyłącznie nazwisku, a Feralna Jane to nie jest wcale jej prawdziwe nazwisko, tylko Jane Canary, ale niech no tylko banda w jakimś barze usłyszy „Feralna”, to wszystko jedno kto to jest a od razu ludzie zaczynają zagadywać, stawiać i natychmiast masz wielkie powodzenie. Przeżyłam niemało ciężkich chwil, Jack, i nie mam nic przeciwko temu, żeby znaleźć się w centrum wesołej kompanii.

Była śmieszna i żalсна, ale w tym, co mówiła o nazwiskach, miała niewątpliwie rację. Weź mnie i spójrz na barwne i niebezpieczne życie, jakie prowadziłem biorąc udział w wielu najważniejszych wydarzeniach w historii tego kraju. Założę się, że nigdy dotąd o mnie nie słyszałeś. Dziki Bill Hickok, George Armstrong Custer, Wyatt Earp — to są nazwiska. Dziki Jack Crabb, Ostatnia Reduta Crabba — to już nie brzmi tak samo.

Ale oczywiście wtedy nie myślałem o tym, tylko o moim dawnym znajomym Hickoku. Zdziwiający zbieg okoliczności.

— Dziki Bill? — pytam. — On jest tutaj, w Cheyenne? — Bo nie widziałem go od Kansas, choć docierała do mnie jego sława.

Ale jeżeli zachowywała się normalnie, kiedy sama wymieniła to nazwisko, to teraz zaczęła pociągać nosem, chlipać, wymyślać temu człowiekowi i nie mogłem wyciągnąć z niej nic sensownego na ten temat. Nie rozumiałem sytuacji, aż następnego dnia, idąc główną ulicą Cheyenne, spotkałem nie kogo innego, jak wychodzącego ze sklepu samego Hickoka.

Przytył o parę funtów od czasu, kiedy go po raz ostatni widziałem, i policzki mu nieco obwisły, ale nadal miał długie włosy, wykwintne miejskie ubranie z surdudem i tak dalej. Niósł kilka pudełek, oczywiście pod lewą pachą, i jego oczy, które wydawały

się teraz mniejsze wobec tego, że przytył też na twarzy, biegały z jednej strony ulicy na drugą.

— Czołem, Bill — mówię wolno i spokojnie. — Pamiętasz mnie?

Zmierzył mnie równie powolnym spojrzeniem. Myślę, że poznał mnie od razu, ale musiał najpierw sprawdzić, czy nie zamierzam wyciągnąć ukrytej broni.

Potem mówi:

— Jak się masz, chłopie. Nadal grasz w pokera?

Ja na to, że nie tyle, co w dawnych czasach, bo wybieram się po złoto.

On mówi, że on też, i natychmiast zaproponował, żebyśmy wybrali się razem. Poszliśmy więc do baru, żeby to opić, i wtedy powiedział:

— Ale dopiero, jak wezmę ślub.

W tym momencie zrozumiałem, że nie chodzi o Caroline i że na tym polega jej nieszczęście.

— Z Feralną Jane? — pytam.

Hickok spojrzał na mnie jakoś bardzo dziwnie.

— Niektórzy ludzie mówią — przyznał — że Jane i ja jesteśmy już małżeństwem i mamy córkę. Ale — dodał — nigdy w mojej obecności.

Przekazuję tę część naszej rozmowy jako przyczynek do historii.

— Nie — mówi on — żenię się z panią Agnes Lake Thatcher, wdową po słynnym impresario, nieżyjącym już Williamie Thatcherze. Agnes była woltyżerką w jego cyrku, jeździła stojąc na grzbiecie nie osiodłanego białego konia, najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Niezwykła kobieta, chłopie. Oglądałem jej występ kilka lat temu w stanie Nowy Jork, kiedy wędrowałem z własnym zespołem.

Był to nie znany mi etap kariery Hickoka.

— A, tak — mówi. — To było w Niagara Falls. Miałem stado bizonów, brunatnego niedźwiedzia i grupę Komanczów. Ale zwierzęta uciekły, rzuciły się na widzów i Indianie musieli urządzać prawdziwe polowanie, zanim wszystko się uspokoiło. Zrobiła się awantura i musiałem sprzedać bizony, żeby mieć na powrót do domu.

— Skoro mowa o Indianach — mówię — to podobno Siuksom nie podoba się, że poszukiwacze przyjeżdżają w Góry Czarne.

Bill załatwił to machnięciem lewej ręki.

— Nie przejmuj się tym — powiada. — Wojsko ich przepędzi.

— Poszukiwaczy? — pytam.

Zrobił zniecierpliwioną minę.

— Nie, Indian. Białych ludzi nie można zatrzymać, jeżeli chcą gdzieś dojść. Przypadkiem słyszałem — dodał zniżając głos — że Grant wydał wojsku tajny rozkaz, żeby nie zatrzymywać już poszukiwaczy. Zamiast tego mają szykować się do kampanii przeciwko wrogim Indianom nad rzeką Proch.

Słyszac tę nazwę poczułem się nieswojo, czego, jak sędzę, nie muszę wyjaśniać, jeżeli słuchałeś, jak wielokrotnie wymieniałem to ulubione miejsce Skóry Ze Starego Szłasasu.

— Zapewne pod dowództwem George'a Armstronga Custer'a — mówię.

— Masz przestarzałe wiadomości — odpowiada Hickok. — Nie wiesz o przesłuchaniach przed Kongresem?

Otóż czytając gazety od przypadku do przypadku i uważając politykę za coś śmiertelnie nudnego, nie wiedziałem. To był traf, że w późniejszych latach przeczytałem tę wiadomość o mężu Amelii.

Nawiasem mówiąc, kiedy znałem Billa w Kansas, on też nie przejawiał żadnego zainteresowania życiem publicznym, widocznie więc ta zmiana w podejściu do sprawy wiązała się z jego małżeństwem. Pamiętasz, że w okresie mojego małżeństwa z Olgą ja też uczestniczyłem w życiu publicznym w Denver.

Tak czy inaczej, Bill powiedział mi, że rozszedł się smród w sprawie agentów wojskowych i że był w to zamieszany Orvil Grant, brat prezydenta. Nikomu oprócz upoważnionych agentów nie wolno było handlować na terenach pod administracją wojskową, więc, rzecz jasna, osobnicy ci ustalali ceny, jakie chcieli, łupiąc żołnierzy, ile wlezie. Przechwytywali również zaopatrzenie przeznaczone postanowieniami traktatów dla Indian w rezerwatach i sprzedawali je żołnierzom i cywilom. Uważano, że Orvil Grant wykorzystując stanowisko brata sprzedaje nielegalnie upoważnienia temu, kto da więcej. Stał za tym Belknap, sekretarz wojny i tak dalej, i tak dalej.

— I to wszystko? — pytam, kiedy Bill mnie objaśnił, bo prawdę mówiąc uważałem, że to jest najzupełniej normalne, jako że nigdy nie znałem przypadku wśród białych, żeby ktoś mając władzę i stosunki nie ciągnął z tego korzyści. Sędzę, że można było mówić raczej o skromności działań Orvila Granta w porównaniu z jego powiązaniem.

— Cóż — mówi Bill, z lekka poirytowany — pytałeś o Custer, a to jest powód, że nie wyrusza przeciwko Siuksom. Pojechał do Waszyngtonu zeznawać przed komisją.

Dowodząc, jak mało rozumiałem Custer, mówię:

— Chce się podlizać prezydentowi.

Hickok pokręcił głową.

— Trzymaj się pokera, chłopie. Polityka to nie dla ciebie. Custer będzie zeznawał przeciwko Belknapowi i Orvilowi. Grant pewnie wyrzuci go za to z wojska.

— To po co Custer to robi?

A Dziki Bill mówi:

— Bo on zawsze robi to, co uważa za słuszne. Jest masa ludzi, którzy go nienawidzą, ale nikt nie powie, że Custer działa w niezgodzie z przekonaniem.

Potem Hickok wrócił do sprawy swojego małżeństwa.

— Agnes — mówił — to prawdziwa dama, nie mająca nic wspólnego z kobietami, jakie ty i ja znaleźliśmy w Kansas. To jest powód, dla którego postanowiłem wyruszyć po złoto i zostać bogatym. Słyszę, że można je tam dosłownie zbierać z ziemi.

Zamówił następną kolejkę i zaczęliśmy rozmawiać o sprzęcie, jaki nam będzie potrzebny, a także o tym, czy powinniśmy wziąć jeszcze kogoś do spółki, bo byliśmy pewni, że wyruszymy, jak tylko Bill weźmie ślub i wróci z miodowego miesiąca, który on i jego pani mieli spędzić na Wschodzie, w Cincinnati.

Nie ulegało wątpliwości, że Dziki Bill się zmienił. Mógłbym przysiąc, że w Kansas nie wiedział, kto jest prezydentem, nie mówiąc o zakulisowych szczegółach, którymi sypał teraz. Nie sądzę też, żeby w dawnych czasach naprawdę dbał o pieniądze. Widocznie to ta jego kobieta zrobiła z niego bardziej normalnego człowieka. Zauważyłem, że uczył się używać prawej ręki przy picciu i nie reagował już tak nerwowo na innych klientów w barze. Nie podskoczył nawet, kiedy sięgnąłem do kieszonki kamizelki po dolara.

Nie twierdzę wcale, że zbabiał. Nawiasem mówiąc, dzień później zabił człowieka, który sięgnął po rewolwer przed stacją dylizansów. Ale bez wątpienia żył pod mniejszą presją albo może wobec tego, co miał zrobić latem, pod presją innego rodzaju.

Oczywiście nie zaczynałem z nim rozmowy o mojej siostrze Caroline, nie wiem więc do dziś dnia, czy jej romans z nim był wyłącznie dziełem jej wyobraźni, bo powiem ci coś o tej dziewczynie: biedaczka traciła zmysły. Powinienem był się zorientować wiele lat wcześniej. Kiedy teraz o tym pomyślałem, uświadomiłem sobie, że o wszystkich jej nieszczęśliwych romansach słyszałem tylko od niej samej. Było całkiem możliwe na przykład, że Frank Delight wcale nie prosił jej o rękę.

Rzecz w tym, że Caroline w młodości wychodziła jakoś z tych romantycznych katastrof, ale niestety młodość miała już za sobą. Prawdę mówiąc, skończyła czterdzieści cztery lata i o ile wiem, nigdy nie wyszła za mąż, o co zabiegała od chwili, kiedy pijani Czejenowie wyróżnili naszych mężczyzn w pięćdziesiątym drugim roku.

Ale nie wyglądała na swój wiek. Nie zmieniła się prawie wcale przez dwadzieścia lat, tyle że, jak wspomniałem, wybito jej przednie zęby i nadgryziono ucho. Ale nie miała ani jednego siwego włosa, a jej twarz, zawsze mocno zarysowana, w odróżnieniu od innych ludzi nie marszczyła się bardziej, w miarę jak Caroline szła przez życie.

Natomiast z jej umysłem działo się niewątpliwie coś niedobrego. Na przykład, kiedy wróciłem z tego spotkania z Hickokiem do hotelu, gdzie ona i ja mieliśmy swoje pokoje, postanowiłem zmusić ją do spojrzenia prawdzie w oczy, podobnie jak uderza się w twarz osobę histeryzującą, żeby ją z tego wyciągnąć.

— Dziki Bill się żeni — mówię.

Caroline siedziała na łóżku z nogą założoną na kolano i oskrobywała podeszwę buta.

— I wcale nie z Fernalną Jane — ciągnę.

Uniosła głowę, złożyła kozik i mówi z całkowitą pewnością siebie:

— Wiem, bo on się żeni ze mną.

Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że należy ją zamknąć w domu wariatów, chociaż nie od razu się tym zająłem. Ale trzeba było to zrobić, bo jak tylko raz uczepiła się myśli o ślubie, trzymała się jej przez wiele dni robiąc z siebie pośmiewisko, aż musiałem zamykać ją w pokoju, żeby siostra-wariatka nie robiła mi wstydu przed ludźmi, których poznałem w Cheyenne. Ona tymczasem zawijała się w firanki jak w welon ślubny i tak paradowała po pokoju, choć na szczęście nigdy nie próbowała uciec przez drzwi ani przez okno, co samo przez się pokazuje, jak daleko zaszły z nią sprawy, bo dawniej Caroline nie mogła długo usiedzieć na tym samym miejscu.

W Cheyenne nie mieli jeszcze domu wariatów i choć na pewno istniało coś takiego w Denver, to nie odwiedzałem tego miasta, odkąd opuściłem je z Olgą i Gusem w sześćdziesiątym czwartym, i czułbym się głupio wracając tam teraz z siostrą-wariatką, zabrałem więc Caroline na wschód do Omahy, linią Union Pacific, którą pomagaliśmy budować.

Nie sprawiała mi kłopotów, bo przekonałem ją, że tam ma się odbyć ceremonia ślubna, jako że Dzikie Bill lubi robić wszystko, jak należy, i chce mieć ślub w dużym mieście. Miasto Omaha było już wtedy naprawdę duże i miało ponury dom dla umysłowo chorych, prowadzony przez ludzi, których można by wziąć za pacjentów, gdyby nie to, że nosili uniformy. Powiem ci, że przekazanie im Caroline nie było przyjemne, ale należało to zrobić i myślę, że moja siostra nie odczuła tego boleśnie, bo natychmiast uznała ten dom za swój własny, a pielęgniarzy za służących i plany małżeńskie tak ją pochłonęły, że nawet się ze mną nie pożegnała.

Przez to nie byłem na prawdziwym ślubie Dzikiego Billa, który odbył się w Cheyenne podczas mojej nieobecności, i nigdy nie zobaczyłem jego żony.

Nie wyruszyłem też z Dzikim Billem na poszukiwanie złota. Co więcej, nigdy już nie ujrzałem go na oczy. Wrócił z miodowego miesiąca sam, zostawiając Agnes w Cincinnati, i pojechał do Deadwood w Górach Czarnych, do tego słynnego wąwozu, gdzie też szukano złota, tyle że on nie kopał. Grał w pokera. Po południu drugiego sierpnia tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego szóstego roku usiadł tyłem do drzwi i wtedy wszedł człowiek nazwiskiem Jack McCall, i zastrzelił go na śmierć. Nikt nie wie, dlaczego po raz pierwszy i ostatni w życiu zostawił tamtego dnia swoje plecy nie strzeżone, może doszedł do punktu, w którym musiał znaleźć potwierdzenie tego, co zawsze podejrzewał.

Tak czy inaczej to, co miał w rękę, kiedy zginął, nazywa się od tamtego dnia kartą nieboszczyka: dwie pary, asy na ósemkach. *Requiescat in pace*, J. B. Hickok.

Był kwiecień, kiedy oddałem biedną Caroline do domu wariatów, i korzystając z tego, że Omaha leży nad rzeką Missouri, postanowiłem popłynąć statkiem do Terytorium Dakota, może aż do Pierre, i dalej lądem dotrzeć do Gór Czarnych. Żegluga właśnie ruszyła po zimie, kupiłem więc sobie bilet na parostatek, którym dopłynąłem do Yankton, i tam przesiadłem się na inny statek pod nazwą „Daleki Zachód”. Zrobiłem to, żeby zobaczyć Ostatnią Bitwę Custer.

Oczywiście żartuję. Ale wiesz, jak takie rzeczy wyglądają z perspektywy czasu. Tak naprawdę, to pierwszy statek miał mały przymusowy postój w Yankton, podczas którego słyszałem dużo o statku „Daleki Zachód” i jego słynnym nad Missouri kapitanie nazwiskiem Marsh. Krążyło wtedy niemało legend o żegludze rzecznej, o kapitanach, którzy potrafili prowadzić statki w gęstej mgłę, itede, i Marsh był tego częścią, w czym mu bynajmniej nie przeszkadzała przyjaźń z autorem o nazwisku Mark Twain, który nie słynął ze skrupulatności w przedstawianiu faktów.

Nie byłem ani za Marshem, ani przeciw niemu, ale zainteresowała mnie wiadomość, że prowadzi „Daleki Zachód” w górę Missouri i potem dalej jej dopływem Żółty Kamień, wioząc zaopatrzenie na kampanię przeciwko wrogim Indianom, którzy teraz, na wiosnę, tłumnie zbiegli z rezerwatów i, jak sądzono, znajdowali się w rejonie rzeki Proch. Co oczywiście jest w stanie Montana, daleko od Gór Czarnych. Prawdę mówiąc, Indianie nie robili wiele, żeby bronić Gór, i myślę, że do tego czasu uznali je już za stracone. Prawdę mówiąc znów uciekli i wojsko wybierało się, żeby ich wytropić i roznieść tak jak nad Washitą. Musisz wiedzieć, że nad rzeką Proch rozciągał się całkiem dziki kraj, żadnych osadników ani nawet poszukiwaczy złota. Była to ziemia ojczysta wielu z tych Indian, ale nie był to wyznaczony dla nich rezerwat.

To ostatnie miało wielkie znaczenie dla rządu, bo stanowiło naruszenie prawa. Oprócz tego ludzie zaczynała denerwować bezczelność czerwonoskórych. Mijała, bądź co bądź, setna rocznica Deklaracji Niepodległości i w Filadelfii otwarto Wystawę Stulecia, na której pokazywano mnóstwo urządzeń mechanicznych, takich jak maszyna do pisania, telefon czy powielacz, i wydawało się nielogiczne, żeby takiemu krajowi robiła wstręty banda dzikusów, którzy nie znają jeszcze koła. Tak więc prezydent Grant wyraził zgodę na kampanię przeciwko nim. Wcześniej próbował traktować czerwonoskórych dobrze i zatrudnił w Biurze do Spraw Indian wielu kwaków, ale to się nie sprawdziło, bo większość białych uważała, że braterska miłość to zwykłe tchórzostwo, Indianie zaś uznali, że to choroba umysłowa.

Nad rzeką Proch znaleźli się Siedzący Byk i Szalony Koń, był tam Żółć i wielu innych słynnych Siuksów z paroma tysiącami swoich ludzi, a z każdym dniem wiosny wymykali się z rezerwatów nowi. Groziło to przekształceniem się w modę, jeżeli nie zostałyby w porę powstrzymane, bo chociaż na południu bizona zostały prawie wytępione przez takich jak ja, to w Montanie zachowała się północna część stad, a Indianin wolał takie jedzenie od wołowiny, którą otrzymywał w rezerwacie i z której zresztą często bywał okradany przez agentów i handlarzy. Dlatego Armia wysyłała

generała Crooka od południa, Gibbona od zachodu i Terry'ego od wschodu, żeby spotkali się w miejscu, gdzie rzeki Proch, Język i Wielki Róg wpadają do Żółtego Kamienia. Plan polegał na zagarnięciu zbuntowanych Indian tymi trzema ostrzami i rozgromieniu ich, w razie gdyby stawiali opór. Brała w tym udział piechota, kawaleria i kartaczoznice Gatlinga, a „Daleki Zachód” miał wpłynąć w górę rzeki najdalej, jak się da, dalej, niż dotarł jakikolwiek inny statek; z myślą o tym został zbudowany – miał bardzo małe zanurzenie i dwa parowe kabestany do ściągania się z mielizn.

Wszystkiego tego dowiedziałem się w Yankton, ale jeszcze większą nowością było dla mnie, że wrócił z Waszyngtonu Custer, i Grant, chociaż miał do niego urazę za to, że świadczył przeciwko jego bratu, pozwolił mu wziąć udział w walkach z Indianami. Inni generałowie chcieli mieć Custerą ze względu na reputację, jaką zdobył dokonując pogromu wioski Czarnego Kociołka.

Dawno nie wspominałem o Skórze Ze Starego Szałasą i Ludziach, których nie widziałem od ośmiu lat. Południowi Czejenowie od dłuższego czasu siedzieli cicho w swoim rezerwacie na Terytorium Indiańskim. Washita oraz inne kampanie roku sześćdziesiątego ósmego i sześćdziesiątego dziewiątego przesądziły dla nich sprawę: żyli odtąd z zasiłków rządowych i próbowali trochę rolnictwa, a niektórzy pozwalali nawet dzieciom chodzić do szkoły.

Ale jeżeli cokolwiek znałem się na rzeczy, Skóra Ze Starego Szałasą i jego grupa nie siedzieli w rezerwacie. Mogłem przysiąc, że wrócili nad rzekę Proch; albo to, albo stary umarł, bo Bóg świadkiem, że był w odpowiednim wieku, ale on nigdy nie zgodziłby się na uprawę ziemi ani na to, żeby mali Ludzie zarażali się zgnilizną w szkole białych.

Tak więc Custer miał jeszcze raz zrobić Czejenom coś, co już robił przedtem. Zaczynałem znów patrzeć na to jak na sprawę osobistą. Byłem w Yankton, na południu Terytorium Dakota, w maju roku tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego szóstego i „Daleki Zachód” stał pod parą gotów sforsować górną Missouri i pomóc Custerowi wyrznąć Siuksów i Północnych Czejenów.

Wszedłem na pokład i udałem się prosto do kabiny kapitana, gdzie powiedziałem Marshowi, że generał Custer zatelegrafował po mnie, bo potrzebuje mnie jako zwiadowcy, a to z racji mojego doświadczenia w słynnej bitwie nad Washitą, gdzie pokonał Czarnego Kociołka i jego bandę. A poza tym byłem gotów zapłacić za przejazd.

Marsh powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, jeżeli tylko znajdę na pokładzie miejsce, żeby sobie rozłożyć poślanie między skrzyniami i beczkami z zaopatrzeniem, bo wszystkie kabiny są zajęte przez różne osoby wojskowe i cywilne i jest nawet na pokładzie markietan, który jedzie sprzedawać żołnierzom whisky.

I tak „Daleki Zachód” wgrzył się łopatkami swojego koła w błotnisty nurt Missouri, i wyruszyliśmy na północ ku największej ze wszystkich bitew z Indianami. Tak się teraz mówi: ale czy to ktoś mógł wtedy przewidzieć? Wszyscy wiedzieli, że plemiona się zbierają i że Custer je odnajdzie. Myliliśmy się przypuszczając, że Indianie znów uciekną, a jeżeli zostaną zmuszeni do walki, to przegrają.

25. JESZCZE RAZ CUSTER

Prawie dwa tygodnie płynęliśmy do Fortu Abraham Lincoln pod prąd wezbranej, podmywającej brzegi Wielkiej Błotnistej. A kiedy tam dotarliśmy, okazało się, że wojsko wyruszyło tyle samo mniej więcej czasu przed nami lądem do Żółtego Kamienia pod dowództwem generała Terry i z Custerem jako jego zastępcą.

Fort Lincoln to nie było nic wielkiego. Zajmował kawałek łysego, płaskiego terenu nad brzegiem rzeki, pod stromym skalistym brzegiem, skąd szpiegowali Indianie. Widać było kopczyki kamieni, za którymi chowali głowy.

Zaledwie statek przycumował do pomostu, kiedy na pokład weszły dwie damy, i jedna z nich była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, poza jednym może wyjątkiem. Także dobrze ubraną i pełną wdzięku i, do licha, cóż to był za wspaniały widok w tej nagiej krainie, gdzie po równinach nieustannie hulały wiatry.

Była to pani Custer. Poznałem ją, chociaż nigdy przedtem nie widziałem jej na oczy. Miała urzekającą okrągłą twarz, przepiękne smutne oczy, a na głowie mały aksamitny kapelusik, w typie melonika, i przeszła lekko jak ptak po trapie z desek, spuszczonej przez załogę. Ci faceci stali z otwartymi gębami i tylko ja podałem jej rękę na drugim końcu. Oparła się lekko dłonią o moje przedramię wchodząc na pokład, spojrzała na mnie i nie podziękowała mi słowami, ale zrobiła to uśmiechając się małym noskiem i lekkim odsłonięciem perłowych ząbków. Przyznam się do czegoś: zabiłbym wszystkich Indian z Równin, gdyby mnie o to poprosiła albo gdyby przynajmniej przy tym była. Potem minęła mnie, bo byłem nikim, tego wzrostu co ona, i prawdę mówiąc, cokolwiek zaniedbany po tej podróży na statku, gdzie warunki sanitarne nie należały do najbardziej wykwindnych.

I cóż zrobiłem? Poszedłem za nią jak osobisty służący albo idiota, któremu ktoś okazał serce. Była tam też ta druga kobieta, siostra generała Custera, a żona porucznika Jamesa Calhauna, ale już po sekundzie nie potrafiłbym nic o niej powiedzieć.

Kapitan Marsh zaprosił je do swojej kabiny, a ja udając, że oglądam sobie obcas buta, zatrzymałem się pod drzwiami.

— Panie kapitanie — odezwała się ptasim głosem — błagam, żeby pozwolił nam pan płynąć z sobą,

— Proszę mi wybaczyć, madame — mówi Marsh — ale nie mogę.

Ta sama z grubsza wymiana zdań powtórzyła się kilka razy, ale kapitan był niewzruszony i wreszcie odszedłem, żeby nie słyszeć jej prośb. Byłem pełen podziwu dla tej żony znakomitego żołnierza z jego sześciuset podkomendnymi, jego statkiem z zapasami i karabinami Gatlinga. W jej głosie słyszało się wielki niepokój. Kobiety zazwyczaj drżą na myśl o Indianach, ale zdawałoby się, nie powinno to dotyczyć żony zwycięzcy z nad Washity. Custer rozniósł Południowych Czejenów i znalazł złoto w Górach Czarnych. Wyszedł nawet cało ze starcia z prezydentem Stanów Zjednoczonych! Jednostki go nienawidziły, ale był wielkim ulubieńcem publiczności i pan James Gordon Bennett z „Nowojorskiego Herald” przysłał korespondenta, żeby był świadkiem kłęski, rozumie się, Indian. Żona Custerowa była tak piękna, jak tylko można sobie wyobrazić. Cóż więc ją gryzło?

Zszedłem na brzeg. Znalazłem tam starego sierżanta, którego nie wzięto na wyprawę ze względu na to, że wkrótce miał przejść na emeryturę, starego diabła z wodnistymi oczami i sinym nosem zdradzającym, że znaczną część swoich kampanii odbył w knajpie miasta Bismarck po drugiej stronie rzeki.

— Dlaczego pani generałowa, taka piękna dama, chce się zabrać na wyprawę? — pytam go.

— Miała zły sen — powiedział, potem zatrąbił w swoją wielką chustkę i schował ją do kieszeni. — Widziała olbrzymiego Siuksa, prawie gołego, tylko w przepasce, jak trzymał ociekający krwią skalp za długie złote loki. Może dlatego generał ostrzygł się krótko przed wyjazdem.

— Nie, niemożliwe! — mówię.

— No, dobrze — mówi sierżant — świeżo przyłynęłaś rzeką, to wiesz lepiej.

— Nie denerwuj się — mówię. — Nie twierdzę, że kłamiesz, wyrażam tylko zdumienie. Nie przypuszczałem, że Custer kiedyś zetnie te swoje złote loki. Jak teraz będą go nazywać Indianie, jeżeli nie Długie Włosy?

— Syn Porannej Gwiazdy — powiada stary wiarus. — Tak go nazwali zwiadowcy z plemienia Kruków.

— Czy byłeś nad Washitą?

— Nie — mówi sierżant — musiałem zostać w obozie z powodu ciężkiego przypadku sraczki. — Należał niewątpliwie do tych facetów, którzy zawsze znajdują jakiś sposób, żeby wykręcić się z niebezpiecznej sytuacji.

W tym momencie pani Custer i ta druga dama zeszły ze statku odprowadzane przez kapitana Marsha, po czym wsiadły do powozu z ordynansem na koźle i odjechały do fortu. Marsh stał odprowadzając je wzrokiem, a potem odwrócił się do mnie i powiedział:

— Biedactwo, ale nie wolno mi zabierać żadnych kobiet, zwłaszcza teraz, po tych spięciach między Custerem a Grantem. Nie wiem, czy wiesz, że Custer kilka lat temu w Kansas miał sąd polowy za to, że w czasie kampanii pojechał do żony?

Stary sierżant zaniósł się śmiechem i pogładził szczeciniasty podbródek, widocznie pod nieobecność dowódcy nie zadawał sobie trudu i nie golił się regularnie.

— On zwykle robi to, na co ma ochotę — powiedział. — Podczas wielkiej rewii na zakończenie Wojny przegalopował przed Grantem nie salutując. Twierdził, że koń się pod nim spłoszył, ale sam widziałem, jak mu dał ostrogę.

Marsh, również znany ze swojego temperamentu, wolał tego nie słuchać.

— Zresztą — powiedział — gdyby tak Custerowi coś się stało, to lepiej, żeby jej tam nie było.

— On jest zaczarowany — powiedziałem z goryczą.

Potem Marsh zajął się załadunkiem dodatkowych zapasów, a ja zostałem zaproszony przez starego sierżanta na drugi brzeg do Bismarck, gdzie mieliśmy obalić flaszeczkę na dobrej świńskiej farmie, jak tam czasami nazywano zakład z wyszynkiem, i sierżant godził się nawet, żebym ja płacił, jeżeli będę się upierał, bo on już swój żołd przepuścił. W tej ostatniej sprawie powiedział mi, że ludzie biorący udział w kampanii mają otrzymać żołd dopiero po wyruszeniu w pole, żeby nie mogli pohulać w Bismarck. Custer nie chciał wyruszać na czele skacowanego pułku. W ten sposób Siódmy Pułk Kawalerii wiózł w kieszeniach przez pustkowia Montany dwumiesięczny żołd, około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w banknotach.

Musiałem odrzucić zaproszenie, bo „Daleki Zachód” miał wkrótce popłynąć dalej na północ, wielkim łukiem Missouri i potem rzeką Żółty Kamień, już bez dłuższych postojów z wyjątkiem regularnych przystanków dla wycięcia drzewa pod kotły i pozostawienia zapasów dla kolumny piechoty oczekującej nad potokiem

Glendive. Zaczynał się pierwszy tydzień czerwca, kiedy wreszcie dotarliśmy do ujścia rzeki Proch i tam zastaliśmy Siódmy Pułk na biwaku.

Byłem więc na miejscu. Teraz co dalej? Zjechała się tam masa wojska. Oprócz Siódmego Pułku piechota, kartaczownice Gatlinga, tabory w liczbie stu pięćdziesięciu wozów, dalej stado bydła, którego większość została jednak do tego czasu zarżnięta i zjedzona w marszu, karawana mułów i ze dwie setki cywilnych poganiaczy, woźniców i pastuchów. Nie wspominając o mniej więcej czterdziestu okazach Indian, których właściwa nazwa brzmi, zdaje się, Arikara, chociaż wtedy mówiło się o nich zwykle Ri. Ci Ri, będąc dziedzicznymi wrogami Siuksów, służyli za zwiadowców, choć jak mi się wydaje, żyli w przyjaźni z Czejenami, kiedy ci przebywali nad Missouri, bo to było miejsce zamieszkania Ri.

Wyglądali żałośnie, mali i czarni jak sadza, bo myślę, że Ri wolałby poderżnąć sobie gardło niż umyć najdrobniejszą cząstkę swojej osoby. Byli jednak Indianami, chociaż teraz wrogami tych, wśród których wyrosłem, ale w nastroju, w jakim się znajdowałem, przylgnąłbym do każdego, kto nie miał białej twarzy. Martwiłem się o Skórę Ze Starego Szalasu, jeżeli jeszcze żył, i o plemiona Lakota, Minnekondzu, Hunkpapa i inne gdzieś tam, na zachód od nas. Mówiło się, że obozują nad Pączkiem Róży. Powiem ci o tym potoku: został tak nazwany od krzewów dzikiej róży rosnących nad jego brzegami. Pomyślałem, że jego wody lada dzień spłyną krwią jak kiedyś wody Washity.

„Daleki Zachód” zaczął wyładowywać swoje zapasy i zauważyłem jednego Ri, który podszedł do miejsca, gdzie markietan ustawiał swoje beczki whisky. Ten Indianin był obdartusem ubranym w brudne skóry jelenie i sądząc z tego, jak wpatrywał się w te beczki, wziąłbym go za zdegenerowanego imbecyla, ale jakiś żołnierz powiedział:

— Popatrz no na tego Krwawego Noża. Za łyk gorzały poderżnąłby gardło rodzonej matce. Nigdy byś nie odgadł, że to ulubiony zwiadowca Twar... — Urwał, bo byłem w cywilnym ubraniu i nie wiedział, z kim rozmawia, a wśród cywilów towarzyszących wyprawie znajdowali się Boston Custer, młodszy brat generała, i jego siostrzeniec Armstrong Reed. Żołnierz chciał powiedzieć „Twardej Dupy”, ale się cofnął. — Patrząc na niego nigdy byś nie powiedział, że to ulubiony zwiadowca generała. Cholerny pijaczyna — parsknął.

Ale Krwawy Nóż nie był pijany w danej chwili ani przez pewien czas później, bo nawet Indianom służącym jako zwiadowcy nie wolno było pić whisky otwarcie w obecności białych. Stał więc trochę bezradnie, próbując zagadywać do ludzi w języku gestów, i w końcu, nie mogąc znieść, że patrzy na te beczki, a nie może się do nich dostać, odszedł z ciemną twarzą tak ściągniętą bólem, jakby wracał z pogrzebu ukochanej.

Dogoniłem go i nie znając języka Ri spytałem go na migi:

— Chcesz pić?

— Zgoda — odpowiedział.

Wziąłem więc manierkę tej siwuchy, którą sprzedawał markietan, i we dwóch z Krwawym Nożem poszliśmy do jednego z licznych wąwozów przecinających teren u ujścia rzeki Proch. Indianin opróżnił pęcherz, żeby zwiększyć pojemność organizmu, i usiedliśmy pod krzakiem. To sikanie służyło też do wypłoszenia grzechotników, które mogły wygrzewać się w okolicy; grzechotników było tu wszędzie pełno.

Pozwoliłem Krwawemu Nożowi pociągnąć zdrowy łyk, po czym odebrałem mu manierkę. Patrzę na parę kropli, które ściekają mu po brodzie i szyi, zmywając kilka insektów mieszkających za jego kołnierzem, i pytam:

— Co robi Długie Włosy?

Ri nie spuszczał czarnych oczu z manierki.

— Obciął włosy — mówi robiąc swoimi czarnymi rękami znak cięcia.

Zasygnalizowałem, że wiem, ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

— To znaczy — mówi Ri — że on umrze.

Dałem mu znów manierkę. Nie muszę ci w tym miejscu wyjaśniać, jakie znaczenie mają dla Indianina ludzkie włosy. Skalpy zdejmuje się nie tylko jako trofea; człowiek z obnażoną czaszką jest pozbawiony siły, nawet kiedy przechodzi na Tamtą Stronę. A ilekroć Indianie zobaczyli białego człowieka лыsego z natury, uważali, że to tchórz, który specjalnie ogolił głowę. Zrozumiałem, że Custer popełnił poważny błąd.

— Nie zrobił dobrze — mówi Krwawy Nóż, wpadając z każdym łykiem w większe przygnębienie. Potem patrzy na słońce i sygnalizuje do niego: — Już mało razy będę widział, jak wstajesz.

Wiedziałem, że jeżeli pozwolę mu grać dalej na tę samą nutę, to wkrótce zacznie śpiewać swoją pieśń śmierci i wtedy już nic z niego nie wyciągnę, mówię więc szybko:

— To się nie zdarzy, póki wszystkie te beczki whisky nie zostaną wypite, więc pij.

To go trochę podniosło na duchu i znów gołnął sobie porządnie.

— Dużo tam jest Siuksów i Czejenów?

— Jak gwiazd w jasną noc — odpowiada.

Wskazałem za siebie w stronę obozu.

— Ale spójrz na tych wszystkich żołnierzy. I jeszcze więcej przyjdzie z południa i z zachodu.

Krwawy Nóż potrząsnął zmierzwioną czupryną, która zaczynała lekko siwieć na skroniach.

— Nieważne — mówi. — Wszyscy zginiemy. Długie Włosy nigdy nie zostanie Wielkim Ojcem w najważniejszej wsi białych, tak jak tego pragnie. Bardzo go lubię, ale jego czary straciły moc.

Potem mówi, że Custer przyszedł poprzedniej nocy do niego i do innych Ri, dał im prezenty i powiedział, że jeszcze w tym miesiącu pobije cały naród Siuksów, za co Amerykanie zrobią go prezydentem.

Cóż, Grant miał kłopoty z powodu złodziejstw w administracji i kiedy się pomyśli, że wszedł do Białego Domu za pobicie rebeliantów, to podobna historia mogła się powtórzyć z człowiekiem, który wykończył Indian, bo to był jedyny znaczniejszy wróg Stanów Zjednoczonych w tym czasie, w setną rocznicę naszego wyzwolenia się spod tyranii Starego Kraju.

„Pewnie chciałby to załatwić przed Czwartym Lipca” — starałem się powiedzieć, ale była to diabelnie trudna oracja w języku gestów. Czejenowie znają lipiec jako Miesiąc Kopulacji Bizonów, ale nie wiedziałem, jak go nazywają Ri. Niemniej zrobiłem rogi bizona i wykonałem gest kopulacji, taki sam, jakiego używają wszyscy biali uczniacy, potem znak księżyca i czwartego dnia tegoż. Ale i tak, co taki Ri mógł wiedzieć o jego historycznym znaczeniu? Dodaję więc: „Dzień, kiedy żołnierze robią dużo hałasu, strzelając z armat i w ogóle.”

Jego ciemną twarz przebiegł błysk zrozumienia.

— I upijają się? — pyta.

— Do diabła! — mówię na głos po angielsku. — Co to ma za znaczenie? Pij, biedny sukinsynu.

Wkrótce stracił przytomność, więc ze względów ostrożności rozładowałem jego karabin, na wypadek, gdyby się ocknął, zanim alkohol przestanie działać.

Dowiedziałem się, czego chciałem. Uznałem, że wobec obecnych potrzeb Custera nadciągająca bitwa przyćmi Washitę. Pesymizm Krwawego Noża nie robił na mnie wrażenia. Niezależnie od tego, ilu Indian się tam zebrało, wiedziałem, że nie są zorganizowani, mają niewiele nowoczesnej broni i są obciążeni kobietami i dziećmi.

I cóż mogłem na to poradzić? Dawny dziecinny pomysł zamordowania Custera nie wchodził w rachubę. Taka rzecz dokonana teraz dodałaby tylko Siódmemu Pułkowi ducha bojowego. Wszyscy tam go nienawidzili, jak tylko zszedłem ze statku, usłyszałem żołnierzy szemrzących przeciwko niemu. Szczególnie wściekli byli na to, że nie wyplacono im żołdu, póki nie wyruszyli w pole, co oznaczało, że nawet gdyby nie napotkali wrogich Indian, to w tak licznym zgrupowaniu musieli znaleźć się ludzie, którzy zginą od ukąszenia grzechotnika i podobnych przypadków, a więc bez małego oblewania w mieście wyruszali na swoją ostatnią kampanię. Ale niech bym go zastrzelił albo wbił mu nóż w plecy, a stałby się bohaterem. Zresztą dowódcą był faktycznie generał Terry, więc nie wstrzymałoby to kampanii.

Zostawiwszy Krwawego Noża pod krzakiem, wracałem do obozu rozważając tę kwestię, kiedy nagle ujrzałem kogoś z dalekiej przeszłości siedzącego nad brzegiem, tuż za miejscem, gdzie rzeka Proch wpada do Żółtego Kamienia.

Skórę miał jeszcze ciemniejszą niż Ri, a na głowie kłapciaty kapelusz z orlim piórem. Niech mnie licho, jeżeli bardzo się zmienił przez ostatnie dwadzieścia lat.

— Lavender, co za niespodzianka! — wołam do niego.

Bo to był nikt inny tylko on. Spojrzał na mnie bardzo grzecznie i mówi, że mam nad nim przewagę.

— Jack Crabb — mówię. — Wielebny Pendrake... Missouri. Przygląda mi się uważnie, potem zdejmuje kapelusz, żeby lepiej widzieć, wstaje, zagląda mi w twarz, potem jakby stęka i wybucha śmiechem, a ja łapię go w objęcia i ściskam. Nie wiem dlaczego, ale czułem się bardziej, jakbym znalazł dawno nie widzianego krewniaka, niż kiedy mi się to rzeczywiście kilka razy zdarzało.

Kiedy skończyliśmy wymianę wyrazów radości z powodu spotkania, mówię do niego:

— Powiedz mi, co tu robisz? Czyżby wielebny został kapelanem?

— Nie — mówi Lavender, który miał zapewne około czterdziestu pięciu lat i kiedy przyjrzałem mu się z bliska, zobaczyłem kilka siwych włosów, ale na jego mahoniowej twarzy nadal nie było zmarszczek. Miał na sobie kurtkę z jeleniej skóry i spodnie z frędzlami i jeżeli się nie myliłem, jego pas był wyszyty paciorkami w stylu Siuksów. — Nie — powtarza i dodaje: — Mój Boże, nie myślałem o tym wielebnym od wielu lat. On umarł, Jack, wkrótce po twojej ucieczce. Zjadł się na śmierć. Pewnego dnia wpakował w siebie jeden z tych gigantycznych obiadów, gotowanych przez Lucy, prosto od stołu poszedł na drzemkę i część tego jedzenia wróciła się, zatkała mu tchawicę i udusił się, zanim ktokolwiek się zorientował, o co chodzi. Niech mnie licho, jeżeli to nieprawda.

W tej chwili Lavenderowi wzięła ryba, bo usiadł z powrotem obok mnie i zapuścił wędkę, i teraz wyciągnął ją, i na haczyku miał ładnego żółtego okonia, którego odczepił, i trzepoczącego się rzucił na ziemię.

— Cóż — ciągnie Lavender — tak jak wtedy to widziałem, wielebny umarł szczęśliwy, w stanie, który cenił sobie najbardziej na świecie: wypchany wiktuałami. Zdaje się, że Lucy zrobiła wtedy pieczeń wieprzową z jabłkami.

Odczułem coś między niestrawnością a palpacją serca, kiedy zadawałem pytanie:

— A pani Pendrake? Pewnie wyszła powtórnie za mąż?

Lavender nadziewał nowego robaka na haczyk.

— Pani — mówi — nie, pani spuściła żaluzje w całym domu i nawet nie poszła na pogrzeb. Kościół sprowadził nowego kaznodzieję, który powinien zamieszkać w tym domu, ale ona się nie wyprowadzała i nikt z białych ludzi nie miał odwagi powiedzieć jej, że ma to zrobić, więc ten nowy musiał zamieszkać gdzie indziej i o ile wiem, pani mieszka tam do dzisiaj.

Moje myśli biegły swoją własną drogą: przyszło mi nawet do głowy, żeby rzucić wszystko, co tu robię, i natychmiast ruszać na południe do Missouri, ale byłem już w tym wieku, że rozsądek wziął górę. Miałem trzydzieści sześć lat i zbyt wiele widziałem. Wierz mi, prawdziwy romantyk to ktoś, kto żyje tylko wyobraźnią. Jeżeli się naprawdę było, tak jak ja, uczestnikiem katastrof, to człowiek staje się konserwatystą.

Ale podczas gdy ja wpatrywałem się w nurt rzeki tworzący jakby wodny grot strzały wokół żyłki od wędkę Lavendera, ten mówił dalej:

— Zostałem tam przez jakiś rok, ale teraz był to dom kobiet i zacząłem znów myśleć o... — Tu uderzył dłonią o ziemię. — Jasne — mówi — przecież ty mieszkałeś u Indian, teraz pamiętam, jak o tym rozmawialiśmy. Więc pewnego dnia (bo zostałem uwolniony i mogłem iść, gdzie mi się podoba) ruszyłem na Zachód, co chciałem zrobić od dłuższego czasu. Jeden mój krewniak wyprawił się z kapitanem Lewisem i kapitanem Clarkiem...

Nie mając tak dobrej pamięci jak ja, wdał się znów w opowieść o tym niewolniku Yorku. Wystarczy powiedzieć, że miał się różnych zajęć i miał różne przygody, zanim znalazł Indian, którzy odpowiadali jego potrzebom, ale w końcu ich znalazł i nie był to nikt inny tylko Siuksowie Siedzącego Byka!

Ta wiadomość wyrwała mnie z zamyślenia.

— Niemożliwe! — zawołałem i natychmiast pożałowałem swoich słów, bo widzisz, Lavender nie był już czarnuchem. To znaczy, oczywiście, pozostał Murzynem z racji swojej rasy, ale nie był już służącym i nie miał mentalności takowego, więc odzwyczaił się, żeby kwestionować jego prawdomówność.

Spojrzał na mnie z wyraźną dumą, którą natychmiast poznałem jako indiańską, czym prędzej więc powiedziałem:

— Na Boga, na Boga, stary Siedzący Byk! Jestem tylko zdziwiony, to wszystko. To na niego teraz się wybierają, prawda?

Lavender posmutniał i mówi:

— Ożeniłem się z kobietą Siuksów z grupy Hunkpapa i żyłem przez wiele lat w skórzonym tipi. — Potrząsnął głową, aż zadrżało mu to pióro w kapeluszu. — To są naprawdę dobrzy ludzie, a myślę, że takiego Siedzącego Byka można jak na Indianina nazwać geniuszem. Kiedy chce zobaczyć, co się dzieje, wszystko jedno gdzie na świecie, to wystarczy, że zamknie oczy, i ma sen, i wszystko wie.

— Tak — mówię — to prawda.

Słońce błyszczało na skrzydełkach spłaszczonego nosa Lavendera.

— A pamiętasz wielebnego Pendrake'a, Jack? Jak to bez przerwy rozwodził się nad zasadami? Były to słuszne zasady i myślę, że nawet święte, to z ich powodu wykupił mnie od mojego starego pana i dał mi wolność. Więc może będę nie-

wdzięczny, jeżeli powiem, że im dłużej go słuchałem, tym bardziej wydawało mi się, że jest głupi.

— Mnie tak samo — mówię — nawet kiedy byłem mały.

— Ale dlaczego, Jack, dlaczego tak myśleliśmy? — Lavender był autentycznie poruszony. Zdjął kapelusz i cisnął go na ziemię odsłaniając swoją kręconą czuprynę.
— Ja byłem czarny — mówi — ale ty umiałeś czytać i pisać.

— Jeżeli chodzi o mnie — odpowiadam — to myślałem, że on mówi o rzeczach takich, jakie powinny być, a nie o takich, jakie są.

— To prawda! O to chodzi! — zawołał Lavender. — A u Indianina na odwrót... No tak — mówi dalej — a dlaczego w takim razie obaj, ty i ja, zawróciliśmy i porzuciliśmy Indian? Powiedz mi.

— Bo nie urodziliśmy się jako barbarzyńcy — mówię.

— Święta prawda.

— I te ich czary nie działają, jeżeli człowiek zna inny świat — mówię. — Wszystko jest świetnie, jeżeli ktoś urodził się w namiocie, matka nosiła go na plecach, żył wśród tych hokus-pokus od urodzenia i nigdy nie wynalazł koła.

— Jak się przechodzi z cywilizacji do życia wśród dzikusów — mówi Lavender — to wszystko jest dobrze przez jakiś czas, a potem człowieka bierze taka potężna ciekawość, co się tam dzieje w domu, że nie może wytrzymać. Musi się przekonać, więc wraca, i to może być coś dobrego albo coś okropnego, ale zawsze coś się dzieje.

Wyciągnął wędkę, zebrał swój połów złożony z płoci, okoni i innych ryb do smażenia i poszliśmy do jego namiotu na skraju biwaku.

— To sobie wyjaśniliśmy — mówię. — Ale zastanawiam się teraz, po co wróciłeś w tę okolicę?

Lavender jakby się zawstydział.

— Nie jestem tutaj, żeby walczyć z Siuksami. Wynająłem się jako tłumacz. Kiedy oni zobaczą tyle wojska, to może wrócą do swoich rezerwatów.

— Myślisz, że tak zrobią?

— Nie — mówi. — I jak będą strzelać do mnie, to ja pewnie będę strzelać do nich.

Następnego dnia zobaczyłem wreszcie Custer. Nadal byłem tam nieoficjalnie i w obozie takich rozmiarów mogłem ten stan przeciągać długo, zwłaszcza że jak powiedziałem, kręciła się tam masa cywilnych woźniców i różnych innych typów. Rozważałem taką możliwość, bo byłem wrogiem pośrodku nich i czułem się mniej zdrajcą, dopóki się nie zaciągnąłem. Potem jednak pomyślałem, że jak zostanę tam dłużej, ludzie mogą się zorientować, że nie należę do żadnej z licznych służb, i zaczną zadawać pytania. Obawiałem się też, że moje sympatie mogą wyjść na jaw w jakiejś dłuższej rozmowie z białym, bo nie można było zrobić kroku wśród tej gromady, żeby nie usłyszeć, jak to oni rozbijają w puch Siedzącego Byka i jego bandytów, że jedyny dobry Indianin to zabity Indianin i tak dalej. W tej sprawie żołnierze zapominali nawet o swojej niechęci do Custer i opowiadali, jaki to z niego pogromca Indian.

Nadal nie wiedziałem, co chcę zrobić. Obozu Indian jeszcze nie zlokalizowano, major Reno ze swoimi żołnierzami wyruszył w misji rekonesansowej wzdłuż rzeki Język, żeby to ustalić. Myślę, że miałem mgliste plany, żeby po odnalezieniu wioski dostać się tam przed żołnierzami i ostrzec Indian, chociaż najprawdopodobniej zostałem zabity na długo przedtem, zanim dotarłbym do jakiegoś Czejena, który mógłby mnie poznać.

Najlepszym pociągnięciem w danej chwili wydawało się zgłoszenie się na zwiadowcę, a to wymagało rozmowy z Custerem. Może generał Terry i był oficjalnym dowódcą, ale odniosłem wrażenie, że on mówił, a Custer działał.

Poszedłem więc do namiotu Syna Porannej Gwiazdy, zagadałem ordynansa, już nie tego znanego Washity, i podszedłem do małego stolika polowego, za którym siedział generał, pisząc coś jak zwykle. Nie wiem, czy ktoś kiedyś zauważył, ile ten Custer pisał: prawie codziennie listy do żony a także całą serię artykułów z wyprawy do czasopisma „Galaktyka”. Myślę, że pisał właśnie jeden z nich.

Wyglądał inaczej z włosami ostrzyżonymi jak u normalnego człowieka, wydawał się jakby słabszy, ale może działały tu tylko zabobony Krwawego Noża. Zanim podniósł na mnie wzrok, zobaczyłem jednak coś jeszcze. Na zewnątrz był dzień, a on używał świecy jako dodatkowego oświetlenia i kiedy siedział pochylony nad swoimi papierami, czubek jego gołej głowy znajdował się na linii mojego wzroku i po obu stronach złotego loka nad czołem dostrzegłem długie zatoki różowej skóry, prawie schodzące się na szczycie czaszki. Custer łyślał.

Poczułem do niego nagle przypływ ludzkich uczuć, które wkrótce odpłynęły, kiedy trzymał mnie przez dłuższą chwilę nie zwracając na mnie uwagi.

Wreszcie stawia kropkę pod tym, co napisał, czeka aż wyschnie, odkłada pióro i posyła mi zimne spojrzenie.

— W jakiej sprawie? — pyta szorstkim głosem, którego nie zapomniałem.

— Panie generale — mówię starając się ukryć niesmak, jaki znów zastąpił krótki przypływ innego uczucia. — Zastanawiałem się, czy nie przydałby się panu jeszcze jeden przewodnik albo tłumacz. Tam z Siuksami są Czejenowie, a ja żyłem wśród...

— Nie — ucina generał i biorąc znów pióro do ręki woła: — Ordynans, wyprowadzić tego człowieka.

Żołnierz wszedł do namiotu i stanął obok mnie, ale ja się zawzięłem i nawet nie drgnąłem, a kiedy złapał mnie za ramię, żeby przyspieszyć moje odejście, odepchnąłem go i mówię:

— Synu, dotknij mnie jeszcze raz, a wypruję ci flaki.

Custer spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem, w którym było więcej powietrza niż dźwięku.

— Widzę, że jesteś ostry — mówi. — To mi się podoba. W porządku, ordynans, możecie wyjść. — Żołnierz usłuchał patrząc na mnie ze złością. Wtedy Custer rozparł się z uśmiechem wyższości w swoim krześle polowym i mówi: — A teraz powiedz, dlaczego uważasz, że możesz mi się przydać?

Byłem wciąż jeszcze wściekły, ale zmusiłem się, żeby wspomnieć o niektórych swoich doświadczeniach z Czejenami, oczywiście pomijając wszystko, co wiązało się z Washitą.

— A, Czejenowie — przerwał mi, zanim zdołałem coś więcej powiedzieć — więc nie Siuksowie? Jesteście, mój dobry człowieku, spóźnieni o osiem lat. Jak może słyszeliście, rozgromiłem Czejenów na Terytorium Indiańskim w roku tysiąc osiemsetnym sześćdziesiątym ósmym. Widać, że nie śledzicie wydarzeń.

Mówię ci, że ten jego uśmieszek palił bardziej niż treść jego słów, ale wiedziałem, że jeżeli dam upust nerwom, to go zabiję. Mówię więc najspokojniej, jak mogę:

— Na Północ od Platte zostało jeszcze dość Czejenów, żeby człowieka przestraszyć, zwłaszcza jeżeli połączyli się z Lakotami.

— A — mówi on — może kilku maruderów przedostało się na północ i połączyło się z malkontentami, ale mogę ich wszystkich rozpędzić jednym szwadronem mojej kawalerii. Chyba że agentom udało się wyposażyć ich w najnowsze powtarzalne Winchestery, wtedy potrzebowałbym dwóch szwadronów. Według mnie lepszą kampanię można by stoczyć z tymi dżentelmenami, z tymi łotrami, którzy z jednej strony bogacą się na zasiłkach dla Indian, a z drugiej usprawiedliwiają i pokrywają kłamstwami grabieże dzikusów pozostających pod ich opieką.

Tu tak bardzo się wzburzył, że aż zmrużył oczy pod kosmatymi jasnymi brwiami i nos mu się wydłużył.

— Uważam to za zbrodnię — mówi — że ci ludzie mogą po cichu popierać, bo do tego to się sprowadza, okrucieństwa popełniane na swoich rodakach. Na przykład urzędnik w Ajencji Czerwonej Chmury tak rozpuścił podległych mu barbarzyńców, że ostatnio pod groźbą śmierci nie pozwolili mu wywiesić amerykańskiej flagi na jego kantorze!

Nagle umilkł, jakby sobie zdał sprawę, że dyplomowany generał major Armii Stanów Zjednoczonych nie powinien dawać się tak ponosić emocjom w rozmowie z prostym człowiekiem z pogranicza.

— Cóż — powiada — pewnie dla was to wszystko chińszczyzna. Żałuję, że nie mogę zatrudnić was jako przewodnika, ale możecie oddać niezwykle cenne usługi jako woźnica albo przy stadach, czy co tam teraz robicie. Nie mogą wszyscy jechać na czele kolumny; nogi są równie ważne jak oczy.

Teraz mi nie uwierzysz, ale tak było. W momencie, gdy Custer mnie tak spławił, straciłem panowanie nad sobą i zanim zrozumiałem, co robię, powiedziałem bardzo wyraźnie:

— Ty bydlaku, szkoda, że cię nie zarżnąłem, jak miałem okazję.

Kiedy te słowa mi się wymknęły, zdrętwiałem z przerażenia. Nie dlatego, żebym bał się o siebie, nie, ale natychmiast przeszło mi przez myśl, że teraz już nie zdołam ostrzec Indian. Stałem tam przez chwilę i te słowa wciąż jeszcze brzmiały mi w głowie, a Custer mówi:

— Ale dziękuję wam, że się zgłosiliście. Podoba mi się wasz zapach. Możemy być pewni zwycięstwa, jeżeli nawet cywile chcą służyć w pierwszej linii.

Wrócił do swojego pisania, a ja wyszedłem z namiotu. Custer nie słyszał mojej uwagi wypowiedzianej wprost do niego! W stosunku do świata zewnętrznego był jak wypchany ptak pod szklanym kloszem. Jego własne poglądy wystarczały mu do tego stopnia, że pozbawiony był aparatury do wykrywania reakcji zewnętrznych. To jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi do głowy.

Tak czy inaczej, to jest powód, dla którego żaden spis uczestników bitwy nad Małym Wielkim Rogiem nie zawiera mojego nazwiska. Custer uznał mnie za pastucha, a pastuchy i woźnice uważali mnie za tłumacza albo przewodnika, zwłaszcza że często przebywałem w towarzystwie Lavendera.

Tutaj, w obozie nad rzeką Proch, Siódmy Pułk zostawił cały zbędny bagaż. Wszystkie szable, na przykład, zostały złożone w skrzyniach i pozostawione w obozie, tak więc obrazy Ostatniej Bitwy, na których Custer wywija szablą w tłumie Indian, po prostu kłamia. Słynna orkiestra pułkowa, ta, co tak mi dokuczyła nad Washitą, przybyła tu wprawdzie z portu Lincoln, ale tym razem nie miała uczestniczyć w ataku. Jej szare konie potrzebne były części żołnierzy, którzy przywędrowali tu na piechotę.

W jakiś dzień później reszta z nas ruszyła czterdziestomilowym marszem w górę rzeki Żółty Kamień do ujścia rzeki Język. Kupiłem indiańskiego konia z miękkim siodłem i kantarem z surowej skóry od Krwawego Noża, który miał kilka zapasowych zwierząt. O ile pamiętam tę transakcję, kosztował mnie dwie albo trzy manierki whisky, nie najgorszy interes, ale z drugiej strony koń miał najlepsze lata za sobą i nie był wart dużo więcej. Był to kasztan, chudy i w kilku miejscach odparzony od siodła, co potraktowałem starym czejeńskim lekarstwem złożonym z gotowanego tytoniu, gorzkich ziół, smalcu i soli.

Moje ostatnie wspomnienie z obozu nad rzeką Proch to orkiestra na wzgórku grająca nam na pożegnanie. Wybrali oczywiście *Garry Owena*, co ożywiło w mojej pamięci pewne obrazy sprzed ośmiu lat. Nie mogłem wiedzieć, że cichnąca w oddali muzyka towarzyszy zmierzchowi słynnego dotąd szczęścia Custera.

Jechałem na końcu, z jucznymi mułami, które teraz zastąpiły wozy z zaopatrzeniem, i przed sobą miałem potężną niebieską kolumnę wojska.

26. NA TROPIE WROGICH INDIAN

U ujścia Języka napotkaliśmy opuszczoną wioskę Siuksów z poprzedniej zimy i żołnierze zaczęli grzebać w śmieciach szukając połamanych żerdzi z szałasów na ognisko i innych podobnych rzeczy. Lavender znalazł parę zdeptanych mokasynów i jak twierdził, poznał po wyszyciach, do kogo należały. Nic wiem, czy mówił prawdę, bo w miarę jak posuwaliśmy się na zachód, stawał się coraz bardziej ponury i mogło to wpłynąć na jego rozsądek.

Trochę dalej znalazł rusztowanie pogrzebowe z czarnych i czerwonych słupów, na którym leżało ciało zawinięte w skóry wraz z wyposażeniem, jakie Indianie zostawiają zmarłym, żeby nie stanęli nadzy i bezradni po Tamtej Stronie: łuk, mokasyny i tak dalej. Kiedy podszedłem, Lavender stał tam z nieprzytomną miną, z rondem kapelusza przyciśniętym z jednej strony do głowy przez silny wiatr, bo było to na nagim wzgórzu.

Wtedy podeszło kilku kawalerzystów, rozebrali rusztowanie na opał, zabrali łuk i mokasyny na pamiątkę i zostawili ciało na gołej ziemi. W czasie tego wszystkiego Lavender stał z boku i nagle powiedział do mnie:

— Idę na ryby. — To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że zrobił się jakiś dziwny.

Ale w następnej chwili zjawił się sam Custer na tańczącej klaczy imieniem Vic, z trzema białymi skarpetkami, spojrział z góry na trupa i mówi do Lavendera:

— Odsłoń go.

Mój przyjaciel spełnił polecenie odwijając skóry i w środku rzeczywiście był wojownik Siuksów, nieżyjący już od pewnego czasu, co do tego nie mogło być wątpliwości, ale wciąż jeszcze widać było wielką ranę na jego ramieniu.

— Zrób coś z nim — powiedział Custer.

Lavender wziął trupa na ręce i ponióśł go, jakby to był mały i żywy człowiek — dziecko albo dziewczyna — tyle że sztywny i lekki, bo wyschnięty. Podszedł do brzegu Żółtego Kamienia i wrzucił ciało do wody.

Myślałem, że Custer będąc takim, jakim był, nie pozna mnie mimo naszej niedawnej rozmowy, ale się pomyliłem. Powiedział:

— Czołem, woźnico — a ja dotknąłem runda kapelusza z instynktownym szacunkiem. Nie zrobiłbym tego, gdybym się zastanowił, ale rzecz w tym, że jeżeli przebywało się jakiś czas w obecności Custerza, to nawet ktoś, kto go nienawidził, musiał przyznać, że budzi naturalny respekt.

Potem jakiś żołnierz zameldował generałowi, że w popiołach starego ogniska w obozie znaleziono szczątki białego człowieka. Generał dał ostrogę swojej Vic, a ja, że byłem pieszo, przybyłem na miejsce, kiedy odsłonięto już czaszkę i znaczną część szkieletu, którego wszystkie kości były przemieszane. Należały one zapewne do żołnierza Kawalerii Stanów Zjednoczonych, na co wskazywały guziki od munduru znalezione w tym samym ognisku, wraz z dużymi kamieniami i nadwęglonymi drewnianymi maczugami, którymi go najwyraźniej zatłuczono. Widziałem, jak zwiadowcy z plemienia Ri opowiadają to Custerowi gestami.

Generał zsiadł z konia i podszedł do stosu kości. Wokół zebrało się sporo żołnierzy i jeden powiedział, że ten biedak może być ich kolegą, który zaginął w tej okolicy w siedemdziesiątym trzecim. Uciszyło to żołnierzy, przed chwilą jeszcze narzekających, że wysłano ich nie wiadomo po co, bo im nie udzielała się melancholia, jaką zauważyłem u Lavendera i Krwawego Noża. Nie widziano jeszcze ani jednego Siuksa, ani Czejena, a to obozowisko było opuszczone od pół roku.

Ale mogę przysiąc, że ten incydent zrobił wrażenie na Custerze. Obserwowałem go, kiedy patrzył na te kości. W półmroku namiotu nie zauważyłem, jak bardzo się postarzał od czasu Washity. Miał dopiero trzydzieści siedem lat, ale można by mu dać dziesięć lat więcej. Nie golił się podczas tej wyprawy i policzki porastała mu szczecina, wąsy i brwi miał nastroszone. Zdjął szary kapelusz na znak szacunku dla zmarłego i odsłonił krótkie włosy, przyszczyżone zadziwiająco nieporządnie jak na człowieka tak zwykle schludnego. Bruzdy biegnące od nosa do kącików ust miał głębokie jak parowy, a że nie zdążył się jeszcze umyć, pokrywał go kurz szlaku.

Co do mnie, to dopiero teraz po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że wprawdzie nie chcę, żeby ci Indianie zostali wymordowani, ale nie pragnę też, żeby straciło życie tych sześciuset białych i oczywiście Ri i Lavender. Sprawa staje się wielce skomplikowana, kiedy zaczyna się manipulować śmiertelnością. Gdybym uprzedził Indian, mogliby urządzić zasadzkę na Custerza. Gdybym tego nie zrobił, on by ich wyciął.

Przyglądałem się, jak żołnierze zbierają kości zabitego, kiedy nadszedł Krwawy Nóż z drugim oberwanym Ri imieniem Cios i zwrócili się do mnie w języku gestów.

— Twój przyjaciel, Czarny Biały Człowiek — mówi Krwawy Nóż — wrzucił ciało Lakoty do rzeki.

— Teraz — mówi Cios — on łowi w tym miejscu ryby.

— My myślimy — sygnalizuje Krwawy Nóż — że on używa trupa na przynętę.

Jedyny sposób na Indianina w takim nastroju to postąpić tak, jak ja wtedy. Zrobiłem znak: „Słyszałem cię” — i odszedłem.

— Wiesz, jak ci Ri wyglądają? — pyta głos za moimi plecami. — Jak czarne praczki.

Odwrociłem się i zobaczyłem sierżanta, który wydał mi się znajomy, choć początkowo nie mogłem go umiejscowić.

— Hej — mówi on — przysiągłbym, że cię już gdzieś widziałem. Służyłeś kiedyś w kawalerii?

Zapewniłem go, że nie, i wtedy go sobie przypomniałem. To był ten kapral, który mnie zastał w krzakach nad Washitą, jak się przebierałem w mundur, i z którym pojechałem do wioski, gdzie Custer zbeształ mnie za rozpiętą kurtkę. Kapral awansował od tamtego czasu, posiwał na skroniach, przybyło go trochę w pasie, ale był tym samym człowiekiem. Uratował mi życie, a tego się zazwyczaj nie zapomina.

Pamięć o tym wydarzeniu nastroiła mnie do niego przyjaźnie, wyciągnąłem więc rękę i wymieniłem swoje nazwisko, na co on powiada, że nazywa się Botts.

— I co, Botts — mówię — czy myślisz, że czeka nas bitwa?

Palił krótką czarną fajkę, dość cuchnącą nawet na tym wietrze. Wypuszcza kłęb dymu i mówi:

— Nie sądzę. Myślę, że uciekną, jak tylko będą mogli, tak jak Czejenowie nad Washitą. Oczywiście, nikt jeszcze nie wie, gdzie oni są. Reno ich szuka i Twarda Dupa wścieka się, że Terry nie wysłał jego. Boi się, że Reno ich znajdzie i pobije sam, bez niego, ale powiem ci, że nie musi się tym martwić. Reno nigdy nie walczył z Indianami i nigdy się na to nie odważy. On lubi wojować tylko z butelką. Przeciwnie niż Twarda Dupa, który żeby popisać się przed Grantem, rzuci się na wszystko, co ma czerwoną skórę, choćby to była kupa starych squaw.

— Słyszałem, że sam może ubiegać się o urząd prezydenta — mówię.

— Naprawdę? — Sierżant Botts zarżał ze śmiechu. — No, dwa głosy ma zapewnione: swój i pani Custer. I, rzecz jasna, swojego brata Toma, to też lepszy skurwysyn. Widziałeś ten okaz? Dziki Bill Hickok postraszył go kiedyś w Kansas i Tom położył uszy po sobie. A stary Deszcz W Twarz, kiedy go aresztowano za zamordowanie trojga białych, twierdził, że to nie on, tylko Tom Custer, i przysiągł, że kiedyś wytnie i zje serce Toma. Tom robi w spodnie, odkąd ten Indianin uciekł.

Sam widzisz, jak dobre wyobrażenie mieli o sobie nawzajem ludzie z Siódmego Pułku. Według Bottsa jedyni oficerowie, którzy się do czegoś nadawali, to kapitan Benteen, pamiętałem go znad Washity, i kapitan Keogh, wąsaty Irlandczyk. Ale nawet w przypadku tego ostatniego Botts miał zastrzeżenia do jego katolickiej religii i w dodatku, mówił Botts, Keogh jest pijakiem, choć nie musi pić na odwagę, jak major Reno.

Nie wiem, dlaczego Botts potępiał wszystkich za pijaństwo, bo ilekroć go widziałem podczas naszej znajomości, stale pociągał z manierki i często dawał ją markietanowi do napełnienia nową harą. Z drugiej strony jednym z głównych powodów jego wrogości do Custerów było to, że generał nie pił i nie palił. Nie cierpiał całego klanu Custerów i mówił, że w tej kampanii bardziej należy bać się okrażenia przez Custerów niż przez Indian, bo oprócz generała i Toma, tego młodszego brata Bostona i bratanka Armstronga Reeda był jeszcze porucznik Calhoun ożeniony z siostrą Custerów.

Następnie Botts pewnie zacząłby wyrażać się obraźliwie o pani Custer, a tego bym nie zniósł, choć uratował mi kiedyś życie. Ta kobieta była piękna jak anioł.

Większość żołnierzy podzielała opinie Bottsa, jak się przekonałem. Może i mieli rację, ale weź Indian, z którymi wybieraliśmy się wojować: gdyby nie szanowali Siedzącego Byka, Szalonego Konia i Żółci, to ci osobnicy nie byłiby ich wodzami. Czerwonoskórzy nigdy by nie zrozumieli, dlaczego ludzie, których nienawidzą albo mają za nic, mieliby stać na ich czele. Wydaje się, że jest to specjalność białych ludzi, co tutaj oznaczało, że Siódmy Pułk Kawalerii miał dwóch potężnych wrogów nad Małym Wielkim Rogiem: cały naród Siuksów i... Siódmy Pułk Kawalerii.

W dwa dni po tym, jak przybyliśmy nad rzekę Język, przyjechali zwiadowcy z oddziału Reno, który dotarł do ujścia potoku Pączek Róży. Znaleźli Indian, a w każdym razie ich ślad. Wielki szlak szerokości pół mili z bruzdami od tysięcy żerdzi

namiotowych ciągnionych za końmi prowadził w górę potoku. Wyruszyliśmy więc tam wszyscy, żeby połączyć się z ludźmi Reno w miejscu, gdzie Pączek Róży wpada do Żółtego Kamienia, Siódmy Pułk lądem, a generał Terry i jego sztab na pokładzie „Dalekiego Zachodu”. Pułkownik Gibbon ze swoimi siłami był już w tamtym rejonie, na północnym brzegu Żółtego Kamienia.

Warto pamiętać, że w tej okolicy Żółty Kamień płynie z południowego zachodu na północny wschód, a zasilające go rzeczki płyną z południa, z grubsza równoległe do siebie. Licząc od zachodu, pierwszą jest Proch, nad którą przyłączyłem się do wyprawy, potem Język, nad którą znaleźliśmy trupa Siuksa i szkielet żołnierza, dalej Pączek Róży, nad którą czekał na nas Reno, i wreszcie Wielki Róg. Dwadzieścia pięć do trzydziestu mil powyżej ujścia rzeczka ta się rozdziela i jej wschodni dopływ nosi nazwę Mały Wielki Róg.

Kiedy wszyscy zjechali się u ujścia Pączka Róży, dowódcy oddziałów, Terry, Custer i Gibbon ze swoimi sztabami, odbyli na pokładzie „Dalekiego Zachodu” naradę, której rezultaty rozeszły się wśród żołnierzy na brzegu, zanim jeszcze narada się skończyła, bo żołnierze, podobnie jak Indianie, mają swoje własne tajemnicze sposoby zdobywania wiadomości. Ja usłyszałem to od Bottsa.

— Plan jest taki — mówi Botts. — Siódmy Pułk pod Custerem pojedzie w górę Pączka Róży aż do źródeł i uderzy na Indian, jeżeli ich tam znajdzie. Jeżeli nie, przejdziemy do doliny Małego Wielkiego Rogu i będziemy wracać z biegiem wody. Tymczasem Terry i Gibbon będą maszerować w górę rzeczki. Jeżeli Indianie tam są, znajdą się między dwiema grupami wojsk. Ale jak znam Twardą Dupeę, nie zaczeka na innych. Z tą piechotą będą szli wolniej od nas i stawiam ci kolejkę, jeżeli nie rozniesiemy Siuksów, zanim tamci się pokażą.

To przypomniało mu o jego ukochanej manierce i pociągnął łyk, kiedy ja odmówiłem poczęstunku.

— Może — powiedział ocierając usta — miałeś rację i Twarda Dupa zostanie prezydentem. Z drugiej strony nie zdziwiłbym się, gdyby Siuksowie uciekli w góry. Nigdy jeszcze nie spotkałem Indianina, który miałby serce do prawdziwej walki. Nad Washitą...

Rzecz w tym, że nie był osamotniony w tym poglądzie. Wojsko wierzyło, że Indianie uciekną. Nikt z nas nie wiedział, że podczas gdy my siedzimy nad rzeką Język, Siuksowie i Czejenowie zadają poważne straty zgrupowaniu generała Crooka w

górze Pączka Róży. Wojsko wtedy nie miało radia ani telegrafu i ani my nie wiedzieliśmy, gdzie on się znajduje, ani on, gdzie my jesteśmy, choć byliśmy stosunkowo blisko siebie, i wkrótce Crook wycofał się na południe.

Niektórzy mówią, że to z tej narady na statku Custer wrócił w stanie przygnębienia, tak różnym od jego zwykłej pewności siebie, ale ja widziałem, jak był zmieniony, kiedy oglądał szkielet tamtego żołnierza zamęczonego przez Siuksów. Z upływem lat doszedłem jednak do przekonania, że przemiana zaczęła się wcześniej; może kiedy obciął swoje dziecinne loki przed wyruszeniem z fortu Lincoln. Nie mógł już dłużej grać roli chłopca-generała. Wszyscy znamy typ mężczyzn, którzy nie mają wieku średniego; z przeciągniętego zbyt długo chłopięctwa wpadają bezpośrednio w starość i to jest żalosne.

Coś podobnego działo się z Synem Porannej Gwiazdy, z tym zastrzeżeniem, że bynajmniej jeszcze nie spokorniał. Odrzucił propozycję wsparcia jego sił batalionem kawalerii Gibbona i to samo zrobił z kartaczownicami Gatlinga. W tej sprawie, podobnie jak w paru innych, zyskał aprobatę Bottsa, bo sierżant, jak to zwykle żołnierze, zwiераł szeregi, kiedy w grę wchodził honor pułku.

— Siódmy Pułk nie potrzebuje pomocy — mówił Botts. — W tej sprawie zgadzam się z Twardą Dupą.

Tam, u ujścia Pączka Róży, zaczęliśmy się szykować do marszu w górę strumienia, a oddział Gibbona odszedł w stronę Wielkiego Rogu, ale parostatek, którym miało popłynąć dowództwo, został jeszcze nieco, żeby mogła się odbyć defilada pułkowa. Działo się to w czerwcowy dzień koło południa, z północy wiał zimny wiatr, a my przejeżdżaliśmy przez porośniętą krzewami dolinę przed czarnobrodym Terrym i innymi oficerami, którzy stali na pagórku, wszyscy trębacze zebrani razem grali marsza, konie tańczyły i powiewały proporce.

A jednak nie było to jakieś olśniewające widowisko, kiedy na tle posępnego krajobrazu pierwsi kawalerzyści cienką niebieską wstążką wspinali się na płaskowyż nad doliną. Ja jechałem na końcu kolumny z jucznymi mułami i za nami była już tylko niewielka straż tylna. Custer odłączył od kolumny, żeby pożegnać się z Terrym, i wychylając się z siodła wymienił uścisk dłoni z nim i z Gibbonem, i kiedy mijalem miejsce, gdzie stali, usłyszałem, jak ten ostatni mówi:

— Nie bądź tylko zbyt zachłanny, Custer. Zostaw trochę Indian dla nas. — Było to powiedziane, jak myślę, na wpół żartem.

Ale Custer odpowiedział z kamienną twarzą:

— Oczywiście, oczywiście.

Zasalutował i pogalopował na czoło kolumny, które już znikало za wzniesieniem. Kiedy wjechałem na górę, obejrzałem się i zobaczyłem tych oficerów, małych jak muchy, jadących w kierunku przycumowanego do brzegu statku, który wyglądał jak pływający liść.

Zaraz po wyjeździe z obozu zaczęły się kłopoty w kolumnie jucznych zwierząt. Nawiasem mówiąc, znajdowałem się nadal w szczególnej sytuacji, jeżeli chodzi o moją pracę, ale z grubsza rzecz biorąc, zaczęto mnie uważać za członka małego zespołu cywilnych poganiaczy mułów. Patrząc na sposób, w jaki ładunki zostały przymocowane do grzbietów zwierząt, można było pomyśleć, że przywiązała je jakaś baba. Cztery albo pięć pakunków spadło w dwadzieścia minut od wymarszu z obozu. Jak teraz pomyślisz, że te muły niosły amunicję, której pułk miał użyć przeciwko Siuksom, a także żywność na piętnastodniową kampanię, to sprawa była poważna. Custer przysłał więc porucznika, żeby zaprowadził porządek, i w ten sposób cywilom przybyła do pomocy grupka żołnierzy, ale żeby powiedzieć prawdę, ta karawana jucznych zwierząt była diabła warta od samego początku.

Pączek Róży nie jest wielką drogą wodną pod względem rozmiarów, mając trzy do czterech stóp szerokości i trzy cale głębokości, a miejscami nawet mniej, ale tam, gdzie stanęliśmy obozem tego wieczoru, były dwa głębsze miejsca i niektórzy żołnierze łowili ryby, żeby urozmaicić nieco dietę z sucharów i boczku, jedyne pożywienia, jakie mieli dostawać przez następne dwa tygodnie. Polowanie było odtąd zabronione, bo w dzikim kraju strzał słychać z wielkiej odległości. Ale teraz, kiedy jego ulubiony sport stał się tak popularny, Lavender oczywiście z niego zrezygnował.

To jeszcze jeden przykład jego dziwnego zachowania, o którym już wspomniałem, i bynajmniej nie stawało się ono normalniejsze w miarę naszego zbliżania się do Siuksów. Opowiem ci, jak sypiał w nocy; nie zabraliśmy namiotów, żeby uniknąć obciążenia, i żołnierze spali na ziemi, co najwyżej wygrzebując małe zagłębienia pod biodra. Na szczęście nie padało. Ale Lavender zrobił sobie indiański daszek, polegający na tym, że zarzuca się koce na krzak lub kilka patyków zatkniętych w ziemię, tworząc jakby mały szałas. Ponieważ nie padało, robił to wyraźnie po to, żeby się odizolować. Nie zaprosił do środka nawet mnie, chociaż uchodziłem za jego jedynego przyjaciela.

Tę jego budowlę zauważyłem na uboczu wędrując tego wieczoru po obozie. W szczycie zostawił otwór i podchodząc zobaczyłem wydobywający się ze środka dym. Uznałem, że gotuje sobie tam w środku boczek, i pomyślałem: do licha, on jest rzeczywiście stuknięty, bo w takim pomieszczeniu ledwo było miejsce, żeby usiąść. Zaraz jednak poczułem zapach tytoniu, a nie boczku, i zrozumiałem, że sobie pali, ale mimo to nie pchałem się do środka, tylko tupnąłem i zawołałem go, i koc powoli się odchylił ukazując jego ciemną twarz świecącą od potu, bo nawet na zewnątrz było dość ciepło.

Lavender trzymał indiańską fajkę, składającą się z długiego drewnianego ustnika i czerwonego kamiennego cybucha, i nie odzywając się ani słowem patrzył na mnie nieprzytomnie.

Poczułem się dotknięty tym brakiem gościnności, bo znałem Lavendera z dawnych czasów, sam też żyłem wśród Indian i czułem się równie dziwnie jak on, wracając z armią, która miała ich ukarać. Tylko on był w bardziej kompromitującej sytuacji niż ja; ja przyłączyłem się pod fałszywym pretekstem, a on brał pieniądze. Mógł dla spokoju sumienia bawić się w indiańskie rytuały, ale w praktyce liczył się tylko jego udział w wyprawie wojennej tropiącej jego dawnych przyjaciół... Tak to wtedy widziałem, ale chyba jesteś dość bystry, żeby zrozumieć to, czego ja nie rozumiałem: że patrząc na Lavendera, widziałem siebie.

Wtedy jednak byłem zły i mówię:

— Cóż, jeżeli jesteś zajęty... — i odwracam się, żeby odejść, a wtedy on jakby odzyskał wzrok i mówi:

— Chodź i siadaj.

Co zrobiłem i przekazaliśmy sobie parę razy tę fajkę Siuksów, i wreszcie mówię:

— Chyba nic by nam nie dało, gdybyśmy teraz uciekli.

— Nie — mówi Lavender. — To na nic.

Wypuściłem trochę gryzącego dymu. Zdobył gdzieś prawdziwą indiańską mieszankę, pewnie od zwiadowców Ri.

— Słuchaj, Lavender — mówię — spytałem cię już raz i nie odpowiedziałeś mi. Po co przyłączyłeś się do tej wyprawy?

— Chciałem jeszcze raz zobaczyć ten kraj przed śmiercią — mówi.

Zrozumiałem go, chociaż nie każdy by to potrafił widząc kaktusy, krzewy czarnego bzu i nieliczne drzewa bawełniane tworzące szatę roślinną tego regionu, oraz wąwozy i jary.

— A powiedz — pytam — czy znalazłeś kiedyś jakichś potomków tego twojego krewniaka, co to wędrował z Lewisem i Clarkiem?

— Żadnego — mówi Lavender — co do którego mógłbym mieć pewność, chociaż wśród Siuksów jest wielu z bardzo ciemną skórą. Ale nie szukałem ich za bardzo, bo jak się człowiek przyłącza do Indian, to ma krewniaków pod dostatkiem. W grupie mogą się zdarzyć ludzie, którzy za sobą nie przepadają, ale prawdziwą złość Indianie zachowują dla nieprzyjaciół.

Kiedy z nim usiadłem, Lavender odchylił koc i teraz wprowadziło się do nas plemię komarów. Zostałem już kilkakrotnie nakłuty.

— Odwrotnie niż z tymi tutaj — mówię.

— O tak — potwierdza Lavender. — Ta ich nienawiść do generała Custer... Nikt też nie myśli dobrze o majorze Reno, który dostał w twarz od kapitana Benteena w klubie oficerskim w Lincoln. A kapitan Benteen wysłał do gazet list o tym, co zdarzyło się nad Washitą. I generał Custer szykował się, żeby go za to oćwiczyć szpicrutą, ale kapitan położył rękę na kolbie pistoletu i powiedział: „Proszę bardzo”, i generał się rozmyślił.

Lavender potrząsnął głową.

— Powiem ci coś o kapitanie Benteenie. Czy wiedziałeś, że on pochodzi z południowej rodziny, która brała udział w wojnie po stronie rebeliantów i uznała go za zdrajcę, kiedy wstąpił do armii Unii? Stary ojciec go wyklął, życząc mu, żeby zginął. Wtedy kapitan postarał się, żeby jego ojca aresztowano i wtrącono do więzienia federalnego do końca wojny. Wyobrażasz sobie!

— Czejenowie zabili mojego tatę, a mnie przyjęli za syna. — Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

— Ja nigdy nie znałem swojego taty — mówi Lavender. — Mój pan sprzedał go przed moim urodzeniem.

Potem ja zacząłem mu opowiadać o Oldze i Gusie z jednej strony, a o Promyku Słońca i Gwieździe Porannej z drugiej, a jak już raz zacząłem, to opowiedziałem i resztę, o Denver, Dzikim Billu, Amelii i, tak jest, o bitwie nad Washitą.

— Tak — mówi Lavender, kiedy skończyłem. — Nie wiedziałem, że tak trudno jest być białym.

— Może nie każdemu — powiedziałem. — Weź takiego generała Custer. On nie tylko zna swoją rodzinę, ale zabiera większość jej na wojnę.

— To prawda — mówi Lavender i minę ma nieszczególną.

— Ty go lubisz, prawda? — pytam.

Fajka mu się skończyła i nie śpiesząc się wyskrobał z niej popiół. Wreszcie mówi:

— On mnie zawsze dobrze traktował, Jack. To wszystko, co mam do powiedzenia. Musisz pamiętać, że to żołnierz.

— Specjalista od zabijania — mówię.

— I od umierania, jak będzie trzeba — mówi Lavender. Potem chowa fajkę do skórzanego worka i dodaje: — Czy nie napisałbyś dla mnie testamentu?

Poszedłem więc do obozu, gdzie żołnierze leżeli trawiąc kolację w zapadającym zmierzchu, bo wszystkie ognie wygaszono, żeby nas nie było widać w ciemności, i musiałem zagadnąć wielu, zanim znalazłem jednego, który mógł mi pożyczyć ołówek, ale i on nie miał papieru prócz listu od żony, który nosił na szczęście w kieszeni na piersi, kiedy więc zobaczyłem w półmroku nadchodzących trzech oficerów, postanowiłem prosić ich o czystą kartkę z książki rozkazów, bo zwykle mieli je przy sobie.

Byli to porucznicy McIntosh, Wallace i Godfrey. Dowiedziałem się później od Bottsa, że Custer zwołał tego wieczoru naradę sztabową, co stało w pełnej sprzeczności z jego zwyczajem nie oglądania się na niczyje rady. Wyjaśnił, dlaczego nie wziął kartaczownic ani posiłków kawaleryjskich, tłumaczył, że trudne w transporcie kartaczownice opóźniałyby marsz kolumny, a co do tych innych kawalerzystów, to rywalizacja między pułkami narobiłaby więcej szkody, niż byłoby z nich pożytku w walce. Potem mówił jeszcze na temat kampanii i spytał oficerów o uwagi.

Było to coś bez precedensu u Custer. Dotychczas zawsze rozkazywał tym swoim szorstkim głosem i nigdy nie pytał. Botts mówił, że słyszał w głosie generała prawie prośbę.

— Cholerny skurwiel. Zastanawiam się dlaczego — mówił. Tak czy inaczej, nadawało to pewien sens słowom tych oficerów, kiedy je sobie później przypominałem.

— Godfrey — powiedział Wallace — myślę, że Custer zostanie zabity.

— Dlaczego tak myślisz? — spytał porucznik Godfrey.

— Bo nigdy nie słyszałem, żeby mówił takim tonem.

McIntosh tylko przenosił wzrok z jednego na drugiego i nic nie powiedział. Był mieszańcem, miał matkę z plemienia Irokezów i znany był z powściągliwości i ostrożności. On jeden z tego tria miał wkrótce umrzeć. Musiały go nieraz nachodzić interesujące myśli.

Słyszając to, nie poprosiłem tych oficerów o papier, ale po chwili nadszedł kapitan Keogh ze swoim czarnym wąsem i małą hiszpańską bródką i zwróciłem się do niego.

Keogh był Irlandczykiem i przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych służył w gwardii papieskiej w Rzymie.

— Ależ oczywiście — mówi — powiedz Finneganowi, żeby dał ci kartkę z mojej papeterii.

Finnegan był jego ordynansem i według Bottsa trzymał wszystkie pieniądze Keogha, kiedy byli w forcie Lincoln, żeby kapitan nie zapił się na śmierć. Finnegan jest bardziej jego niańką niż ordynansem, mówił Botts,

Podziękowałem i chciałem już odejść, kiedy Keogh zadał mi dziwne pytanie.

— Czy chcesz spisać testament?

— Skąd pan wie?

Roześmiał się wesoło, co było dziwne w zestawieniu z jego późniejszymi słowami.

— Ja swój spisałem wczoraj — powiedział. — Ale to było po tym, jak Tom Custer i Calhoun orznęli mnie w pokera i nie bardzo miałem czym rozporządzać.

— A dlaczego pan to zrobił? — spytałem bez cienia humoru, bo wciąż jeszcze byłem pod wrażeniem Lavendera i tamtych poruczników.

— A tak sobie — powiedział kapitan Keogh i oczy miał jasne nawet po ciemku.

Poszukałem więc Finnegana, dostałem papier i wróciłem do Lavendera, a potem obaj spisaliśmy swoją ostatnią wolę, zapisując sobie nawzajem to, co mieliśmy.

Potem powstał problem, kto przechowa te papiery, bo obaj mieliśmy brać udział w bitwie.

— Daj je Krwawemu Nożowi — mówi Lavender. — Zwiń je, wsuń do łuski po naboju i daj mu na przechowanie.

— Dlaczego? — pytam. — Przecież on chyba też będzie brał udział w bitwie?

— Na pewno nie — mówi Lavender. — Jest tchórzem, jak wszyscy Ri. Po pierwszym strzale zawróci i nie zatrzyma się, aż zobaczy Missouri.

To tylko dowodzi, że żadna z ras nie ma monopolu na prawdę. W rzeczywistości Krwawy Nóż dostał w dolinie kulę w głowę i jego mózg opryskał majora Reno. Nie miało to większego znaczenia, jeżeli chodzi o nasze testamenty, bo spaliłem ten papier. Wydało mi się, że istnienie takiego dokumentu oznacza złe czary. Nie byłem takim beztróskim szalawilą jak kapitan Keogh i może dlatego w odróżnieniu od niego nie zginąłem.

Następnego dnia zrobiliśmy trzydzieści mil w górę Pączka Róży i już na piątej mili trafiliśmy na indiański szlak, który Reno odnalazł w swoim rajdzie zwiadowczym. Nadal jechałem na końcu z cholernymi mułami, które szły tak wolno, że główna kolumna wyprzedzała nas o całe mile, kiedy więc zobaczyłem indiański szlak, był już częściowo pokiereszowany podkowami kawaleryjskich koni, ale i tak nie ulegało wątpliwości, że wydeptało go cztery do pięciu tysięcy Lakotów, bo miał nie mniej niż trzysta jardów szerokości, a opuszczone obozowiska liczyły po tysiąc tipi w jednym kręgu, nie mówiąc o niezliczonych jednoosobowych szałasach.

Dorośli wojownicy mogli stanowić połowę tych ludzi, ale jak wiesz, indiańscy chłopcy od dwunastego roku potrafią dość sprawnie posługiwać się bronią.

W uzupełnieniu do Indian Ri dostaliśmy z oddziału Gibbona kilku zwiadowców z plemienia Kruków: tereny te były ich ziemią ojcystą. Uznałem, że Custer ma dość doradców w sprawie tego, co można odczytać ze szlaku, nie śpieszyłem więc z proponowaniem swoich usług. Tak było, póki nie porozmawiałem z porucznikiem oddziału przydzielonego do osłony mułów.

Podczas jednego z licznych postojów dla umocowania skrzyń z sucharami i amunicją, które stale spadały z mułów, wskazałem porucznikowi indiański szlak, o tyle szerszy od naszego, i mówi:

— Wielka wieś.

Porucznik uśmiecha się, jakbym był zielonym nowicjuszem, i przyznaje, że przeszło tędy kilkuset wrogich Indian.

Pytam go, czy tak powiedzieli zwiadowcy z plemion Ri i Kruków.

— Nie, prawdę mówiąc, nie — powiada. — Ale jak ktoś spędził na pograniczu tyle lat co ja, to zawsze dzieli przez trzy wszystko, co słyszy od przyjaznych Indian. Ci Krukowie to dobrzy chłopcy, ale walka nie jest ich specjalnością.

Mówiłem już, jak martwiłem się o Indian i jak nie chciałem też masakry żołnierzy, ale nie wspomniałem dotąd o wciąż rosnącej trosce o własną dupę. Zostawiłem tę cholerną karawanę mułów i porucznik, myśląc, że dezerceruję, wrzeszczał, że nie dostanę ani grosza, ale jak zwykle wszystko mu się pokręciło, bo jechałem w stronę czoła kolumny.

Krwawy Nóż sprzedał mi bardzo kiepskiego konia. Był po indiańsku nie podkuty i kopyta miał bardzo zdarte, szedł więc kulawo po nierównym podłożu, twardym jak kamień, gdzie każde źdźbło trawy, jakie tu rosło, zostało zjedzone przez ogromne stada koni Siuksów. Z tego powodu wyprzedzenie kolumny zajęło mi sporo czasu, a kiedy już tam dojechałem, okazało się, że Custer nie jedzie na czele kolumny, ale milę albo i dwie w przedzie. Był słynny z tego jeżdżenia przed strażą przednią, a nawet przed zwiadowcami, i w innych kampaniach, jak słyszałem, zdarzało mu się w drodze zapolować na bizona albo antylopę. Ale teraz szukał Indian i kiedy go zobaczyłem na wzgórzu w odległości trzech czwartych mili, wyglądało, jakby ich znalazł i został przez nich otoczony.

Zmusiłem swojego konia do galopu, żeby go ratować, i dopiero w połowie drogi zrozumiałem, że rozmawia tylko ze zwiadowcami z plemienia Kruków. Zanim dotarłem do pagórka, Custer znów pojechał dalej, ale stali tam jeszcze Krukowie: Biały Człowiek Go Ściga, Pół Żółtej Twarzy, Idzie Przodem i młody człowiek imieniem Kędzierzawy. A także przewodnik i tłumacz Mitch Bouyer, mieszaniec kruczo-biały.

Z powodu moich wspomnień czułem się nie najlepiej w otoczeniu Kruków. Biały Człowiek Go Ściga mógł być już dorosłym wojownikiem w czasach, kiedy z nimi walczyłem, i rzeczywiście przyglądał mi się co jakiś czas uważnie, i chociaż było nieprawdopodobne, żeby mógł mnie ściśle umiejscowić, to jednak widocznie coś tam po indiańsku wyczuł.

Dlatego ucieszyłem się, kiedy z drugiej strony wzgórza podjechał biały szef zwiadowców. Był to Charley Reynolds, krzepki, barczysty jegomość, jeden z niewielu

naprawdę dobrych białych zwiadowców, jakich spotkałem, a nie jakiś tam długowłosy blagier jak Buffallo Bill Cody i paru innych.

Jedyny kłopot, jeżeli chodzi o rozmowę z Reynoldsem, polegał na tym, że był on okropnie małomówny i nie narzucał się ze swoimi myślami do tego stopnia, że zyskał przydomek Charley Milczek.

— Charley — mówię, a on natychmiast wbija wzrok w ziemię, i jak zawsze, kiedy ktoś się do niego odezwał — czy powiedziałeś Custerowi, ilu Indian wydeptało ten szlak?

— Uhum — odpowiada Charley.

— Bo niektórzy oficerowie myślą, że to tylko mała grupa — mówię.

Charley wzrusza ramionami i dalej patrzy zawstydzony w ziemię, a jego koń stoi jak wkopany.

Wtedy podchodzi Mitch Bouyer i mówi bardzo niegrzecznie jak na białego, ale tłumaczyła to jego indiańska krew:

— Czego chcesz?

— Chcę ratować swoje włosy — mówię.

— To będzie trudne — mówi on bardzo rzeczowo — bo czeka nas diablo wielka bitwa.

Zawrócił i odjechał do grupki Kruków siedzących ponuro na swoich koniach.

Reynolds podniósł wzrok, kiedy mówił Bouyer, ale jak tylko zwróciłem się w jego stronę, znów zapatrzył się w ziemię.

— Jest ich za dużo, żeby dał im radę sam — mówię. — A założę się, że nie zaczeka na Gibbona i Terry'ego.

— Uhum — mruczy Charley pod nosem.

— Do diabła, człowieku, musisz mu to wytłumaczyć. Podobno ciebie on słucha.

— Nie — mówi Charley i trąca konia kolanem, żeby odjechać, i wtedy widzę, że ma prawą dłoń obwiązaną chustą, i pytam czy coś mu się stało. — Zastrzał — mówi.

— Możesz strzelać?

— Nie bardzo — mówi Charley i wyczerpany tak długą rozmową odjechał.

— Reynolds zwyczajnie trzęsie portkami — powiedział mi tego wieczoru w obozie sierżant Botts. — Błagał Terry'ego, żeby go zwolnił z tej kampanii, bo jakoby ma przeczucie, że zginie.

— Botts — mówię — ty nie masz wygórowanej opinii o większości ludzi. Ciekawe, co też myślisz o mnie.

— Jack — mówi Botts — nie ma ciebie dużo, ale to, co jest, jest całe białe.

Niektórzy ludzie gotowi są nabrać wielkiej sympatii do kogoś, kto wysłuchuje, jak wieszają psy na innych. Wtedy akurat siedzieliśmy w jakichś krzakach upijając się zawartością naszych manierek. Był to chyba pierwszy prawdziwy, stuprocentowy, podły, śmierdzący, odrażający akt pijaństwa, w jakim uczestniczyłem od czasów, kiedy snułem się po południowych równinach w poszukiwaniu Olgi i Gusa.

Wynik był taki, że następnego dnia rano rozpocząłem najdłuższy dzień mojego życia w stanie bardzo kiepskim.

27. TŁUSTA TRAWA

Sobota dwudziestego czwartego czerwca była paskudnym upalnym dniem, a południowy wiatr tylko zasypywał jadących w tyle kurzem wzniecanym przez tych na przedzie. Po jakimś czasie stało się to tak nieznośne, że szwadrony musiały jechać obok siebie, żeby nie dusić tych z tyłu, a także żeby zmniejszyć wielką chmurę pyłu znaczącą nasz marsz. Bo zbliżaliśmy się już do wrogich Indian i wkrótce po południowym postoju minęliśmy miejsce, gdzie jeszcze jeden wielki indiański szlak, prowadzący z południa, łączył się z tym, którym jechaliśmy dotąd.

Na krótko przedtem znaleźliśmy olbrzymie opuszczone obozowisko, w którym stały jeszcze żerdzie szalasu po tańcu słońca. Wyrysowano tam na ziemi obrazki: linie przedstawiające ślady kopyt indiańskich koni po jednej stronie i podkutych koni kawaleryjskich po drugiej, a między nimi postacie białych padających głowami w stronę indiańskich szeregów.

W głowie mi huczało, zapach boczku przy śniadaniu sprawił, że odszedłem na stronę i zwróciłem. Czuję się tak podle fizycznie, że jakby dla równowagi ulżyło mi nieco psychicznie. Ri i Krukowie jednak, kiedy zobaczyli te rysunki na piasku, mieli jeszcze bardziej nieszczęśliwe miny niż przedtem i opowiadali coś swoim tłumaczom Fredowi Girardowi i Mitchowi Bouyerowi, bo jako Indianie byli bardzo wrażliwi na wszelkie symbole.

Wkrótce nadszedł Custer i Bouyer mówi mu, że te rysunki znaczą „dużo żołnierzy spada do obozu Siuksów do góry nogami”, czyli innymi słowy, nieżywych.

W tym momencie wysuwam się do przodu i mówię:

— Panie generale...

Ale on mi przerywa.

— To chyba poganiacz, prawda? Słuchajcie, poganiaczu — mówi Custer patrząc na mnie z góry znad swojego ostrego nosa — o ile rozumiem, wasze miejsce jest przy mułach. — Nie był zły, raczej rozbawiony. — A może się mylę — ciągnął. — Jestem tylko dowódcą tego pułku.

— Sir — mówię krzywiąc się od kaca — nie wiem, jak wykonują swoje zadanie ci zwiadowcy. Myślę, że składają swoje raporty w taki sposób, że pan uważa je za głupie zabobony i nie zwraca na nie uwagi.

Bouyer i Girard rzucają mi krzywe spojrzenia.

— Tymczasem — mówię — cała sztuka bycia Indianinem polega na praktycznym łączeniu faktów z fantazją. Te tu rysunki i kości zostawiono po to, żeby je pan znalazł i przestraszył się. Jeżeli pan zawróci albo jeżeli pan zaatakuje i przegra, okażą się trafną przepowiednią. Jeżeli pan wygra, będą tylko czarami, które nie podziały. Ale naprawdę ważne jest co innego: Indianie wiedzą, że idzie pan ich śladem i za pomocą tego ogłaszają, że nie mają zamiaru uciekać.

Custer uśmiechał się lekko, a teraz odrzucił głowę i wybuchnął szczekliwym śmiechem. Znów wyglądał jak dawny Custer, a nie ta posępna postać, w którą się zmienił, odkąd wyruszył na tę wyprawę.

— Poganiaczu — mówi — mam reputację człowieka surowego. Ale jestem też jedynym dowódcą, który stoi i słucha rad poganiacza mułów. Mam słabość do barwnych postaci, takich jak Kalifornia Joe, Dziki Bill Hickok i inni, do których, jak myślę, i ciebie można zaliczyć. Charley Reynolds jest świetnym zwiadowcą, tylko za mało mówi.

Znów wybucha śmiechem, zdejmuje szary kapelusz i otrzepuje nim cholewy butów.

— W tej kampanii od początku brakuje humoru! Bardzo dobrze — mówi — chciałeś być zwiadowcą. Jesteś nim od tej chwili. Masz rozkaz być przy mnie, mówić, co ci przyjdzie do głowy, i nie przeszkadzać pozostałym zwiadowcom.

W ten sposób zostałem mianowany nadwornym błaznem dowódcy Siódmego Pułku Kawalerii tylko dlatego, że powiedziałem prawdę. Myślisz może, że poczułem się obrażony, ale jeżeli tak, to się mylisz. Znaczyło to, że mój wpływ na sprawy będzie jeszcze mniejszy, niż kiedy jechałem przy mułach, bo wszystko, co mówi człowiek oficjalnie uznany za głupka, jest, rzecz jasna, traktowane jak głupota. Ale miałem być na czele kolumny, a nie w ogonie. Może nawet miałem szansę żartami uratować Custerą od najgorszych błędów. Przyjąłem więc to stanowisko, co znów wywołało wybuch śmiechu generała. Girard i Bouyer zrozumieli, o co chodzi, i roześmiali się też, a za nimi Krukowie i Ri, którzy nie rozumieli, ale Indianie zawsze starają się być uprzejmi.

Może i miałem rozkaz pozostawania przy Custerze, ale było to niewykonalne, nawet gdybym nie miał kaca i jechał na lepszym koniu niż mój kulawy wierzchowiec, bo fama na temat energii generała nie była bynajmniej przesadzona. Jeździł w tę i z powrotem na swojej Vic, a kiedy ją zmęczył, ordynans przyprowadzał mu Dandysa. Zwiadowcy stale przybywali z raportami i Custer zazwyczaj wyjeżdżał im naprzeciw milę albo i więcej. Potem klusował z powrotem i często też jeździł wzdłuż kolumny, żeby porozmawiać z którymś z dowódców szwadronów. Tymczasem jego adiutant z wielkimi bokobrodami, porucznik Cooke, wypisywał rozkazy i rozsyłał je na wszystkie strony przez łączników, przychodziły odpowiedzi i Custer czytał je na swój szybki, niecierpliwy, przypominający trochę orła sposób.

Jego brat, Tom, kopia generała, ale jakby podrabiana (na przykład w tym kapeluszu na bakier miał w sobie więcej bezczelności niż autentycznej pychy), częściej był widoczny na czele kolumny niż w tyle ze swoim szwadronem i żeby przydać sobie ważności, on też wysyłał polecenia do poganiaczy mułów i innych, a ten drugi brat, Boston, i siostrzeniec Armstrong Reed, obaj bardzo młodzi, zachowywali się, jakby byli na pikniku.

W tej sytuacji nie zwracano na mnie uwagi i nawet gdybym chciał, nie miałem okazji rozśmieszania generała do końca dnia. Prawdę mówiąc, nie rozmawiałem z nikim, prócz tego, że raz czy dwa próbowałem nawiązać rozmowę z ordynansem Custera, nie z tym znad Washity, ale z gościem nazwiskiem Burkman, który był prawie kretynem, czapka opadała mu na oczy i stanowił ogólne pośmiewisko.

Zrobiliśmy trzydzieści mil i stanęliśmy obozem o ósmej wieczorem, ale zaraz przybyli zwiadowcy z plemienia Kruków z wiadomością, że szlak Siuksów skręca na zachód i przecina Góry Wilcze w kierunku Małego Wielkiego Rogu, czyli Tłustej Trawy, jak nazywali ten potok Indianie, więc koło północy znów ruszyliśmy. Nie sądzę, żeby ktoś zdążył zmrużyć oko w tym czasie, bo wkrótce rozeszły się wiadomości, że możemy spodziewać się wioski wrogich Indian w dolinie potoku, i wtedy ruszylibyśmy do ataku o świcie.

Oczywiście podczas tego postoju spotkałem Bottsa, który zjadł pośpiesznie posiłek i chodził wtykając wszędzie nos.

— A nie mówiłem? — powiada do mnie. — Twarda Dupa uderzy na Indian jutro, na cały dzień przed spotkaniem z Terrym i Gibbonem. A kiedy oni się zjawią,

podają im tę wioskę wypatroszoną i obdartą ze skóry z ukłonami od Siódmego Pułku Kawalerii. Niech go szlag trafi — mówi — ale to jednak jest ktoś.

Ostrzegam Bottsa, żeby mówił ciszej, bo staliśmy blisko namiotu sztabowego, ale on powiada, że nikt nie usłyszy, bo Custer prowadzi odprawę oficerów i jest głuchy na wszystko poza własnym głosem.

Potem Botts mówi, że musi wracać do szwadronu i zająć się swoimi ludźmi. Nie chcę, żebyś pomyślał, że nie był dobrym sierżantem.

— Ci rekruci — mówi — już puszczali ogony od tych długich marszów, a niektórzy strzelali z karabinu raz czy dwa razy w życiu i nigdy nie widzieli czerwonoskórego poza tymi, co się kręcą po forcie. Nie wolno za często strzelać, bo te Springfieldy rozgrzewają się i wtedy wyrzutnik się zacina. Podejrzewam, że ajenci uzbroili Indian w powtarzalne karabiny, a to może człowieka przestraszyć, póki się nie zorientuje, że nasza broń ma dwukrotnie większy zasięg niż Winchestery i Henry.

Tacy rekruci stanowili około jednej trzeciej naszych sił. Byli wśród nich Irlandczycy, byli i Niemcy, którzy przyjechali tutaj, żeby uciec przed wojskiem w Starym Kraju i nie mogąc znaleźć pracy zaciągnęli się do Armii Stanów Zjednoczonych, a teraz ginęli z ręki dzikich Indian, zanim nauczyli się angielskiego — bardzo szczególne koleje losu.

Żegnając się z Bottsem usłyszeliśmy, jak oficerowie w namiocie śpiewają smutne stare pieśni, *Annie Laurie* i tym podobne, a potem hymn *Chwalcie Pana*, co przypomniało mi dawne czasy i wielbnego Pendrake'a. Jako śpiew nie było to, jak sądzę, zbyt dobre, ale na tym pustkowiu brzmiało bardzo przyjemnie i zebrała się grupa żołnierzy, żeby posłuchać.

Potem, może w celu podniesienia ludzi na duchu, po żałobno melancholijnej wiązance, huknęli *Bo to jest wspaniały facet*.

— Jeżeli to dla Twardej Dupy — mówi Botts — to śpiewają sarkastycznie.

Wkrótce kolumna ruszyła dalej i maszerowała przez całą noc, posuwając się na zachód w górę małego dopływu Pączka Róży wypływającego z Gór Wilczych. Była ciemna, bezksiężycowa noc i jadący z tyłu musieli kierować się zapachem kurzu i brzękiem ekwipunku. Gubiły się całe szwadrony i żeby je odnaleźć, bito w blaszane kubki, rozlegały się okrzyki i przekleństwa, i kiedy około wpół do trzeciej zaczęło się rozjaśniać, okazało się, że nie zmrużywszy oka od poprzedniej nocy zrobiliśmy wszystkiego około sześciu mil.

Dotarliśmy jednak do Gór Wilczych, które właściwie nie są żadnymi górami, tylko pofałdowanym terenem ze stromymi pagórkami, jarami i wąwozami między dolinami Małego Wielkiego Rogu i Pączka Róży, i stanęliśmy obozem w kotlinie tak dużej, że mógł się w niej ukryć cały pułk. Mieliśmy tam zostać do następnego ranka, potem przekroczyć dział wodny i o świcie uderzyć na obóz Indian, który spodziewano się znaleźć po drugiej stronie.

Padłem na gołą ziemię i próbowałem się zdrzemnąć, ale podobnie jak większość żołnierzy, bez większego powodzenia. Zaryzykuję twierdzenie, że znów nikt nie zasnął podczas tego postoju z powodu zbyt wielkiego zmęczenia. Woda była tam tak alkaliczna, że konie nie chciały jej tknąć, a zrobiona z niej kawa ściągała skórę z języka, z czym niektórzy rekruci zetknęli się po raz pierwszy.

Nie myślę, żeby Custer choć raz tego ranka usiadł inaczej niż na koniu albo coś zjadł. Ubrany był w jelenie spodnie z długimi frędzlami wzdłuż nogi, niebieskoszarą koszulę, szary kapelusz i buty do kolan. Miał parciany wojskowy pas, a na nim dwa angielskie pistolety Bulldog i kordelas w ozdobnej pochwie. Nie golił się od tak dawna, że była dobrze widoczna szczecina na policzkach, tak jasna, że wyglądała na siwą. Twarz mu postarzała, pewnie dlatego że zawsze dotąd jasnoniebieskie oczy miał przekrwione z niewyspania i podpuchnięte.

Mimo to nie stracił nic na ruchliwości i kiedy od zwiadowców przyszła wiadomość, że ze wzniesienia widzą już obóz Indian znajdujący się o piętnaście mil od nich w górę rzeki, obmywał twarz z kurzu prerii w miednicy ustawionej na trójnogu. Natychmiast zapiął z powrotem kołnierz bluzy i wskoczył na oklep na swoją Vic nawet się nie wycierając, bo i tak miał wyschnąć na wietrze podczas jazdy — już wczesnym rankiem czuło się, że czeka nas prawdziwy upał. Pojechał poderwać dowódców szwadronów i w niespełną godzinę byliśmy znów w drodze ku przełęczy przez dział wodny.

Krukowie i reszta zwiadowców zostali na skałce, z której wypatrzyli wioskę, i kiedy kolumna zbliżyła się do nich, porucznik Varnum, dowódca zwiadowców, zjechał na dół i mówi:

— Panie generale, wrodzy Indianie wiedzą o naszej obecności.

— Nie — mówi Custer — nie wiedzą. — I spinając klacz ostrogą wjeżdża pod górę.

Varnum jedzie za nim i krzyczy:

— Generale, napotkaliśmy sześciu Siuksów i ścigaliśmy ich, ale uciekli i pojechali w stronę wioski.

Wkrótce zrobiło się tak stromo i nierówno, że musieliśmy zsiąść z koni i resztę drogi na szczyt wzgórza przejść pieszo, i Custer nadal wszystkich wyprzedzał. Na twarzy Varnuma malowało się skrajne zdumienie.

— On nie uwierzy, że tam jest obóz — mówi.

Na szczycie byli Krukowie i Ri, Mitch Bouyer, większość białych zwiadowców i Lavender. Widok w kierunku północnego zachodu, wzdłuż doliny Małego Wielkiego Rogu, musiał być stąd świetny przy czystym powietrzu, ale o tej godzinie był przesłonięty częstą w tej okolicy poranną letnią mgiełką.

Custer nie wziął swojej lornety polowej, ale Krukowie mieli starą, odrapaną mosiężną lunetę i Biały Człowiek Go Ściga podał ją generałowi.

— Niech pan szuka dymów z ich ognisk — mówi w tłumaczeniu Bouyera. — I wielkiego stada koni na lewo od rzeki.

Custer patrzy przez chwilę w instrument.

— Nic nie widzę — mówi.

— Niech pan szuka małych robaków — mówi Idzie Przodem. — Tak wyglądają z tej odległości konie, jak robaki na źle oskrobanej z mięsa skórze bizona.

Custer oddaje lunetę.

— Nie — mówi — nie ma tam żadnego obozu.

Bouyer mówi teraz od siebie z nieszczęśliwym wyrazem smagłej twarzy:

— Panie generale, w dolinie tej rzeki jest więcej Siuksów, niż widziałem w ciągu trzydziestu lat. Przysięgam.

— Nie — mówi Custer i energicznie odchodzi tam, gdzie ordynans trzyma jego konia.

Ruszyliśmy z powrotem do kolumny i kiedy mieliśmy do niej jeszcze z pół mili, podjechał do nas Tom Custer i mówi do generała:

— Armstrong, oni nas widzieli! Skrzynka sucharów spadła z muła i kiedy kilku żołnierzy wróciło szlakiem, żeby ją odzyskać, stwierdzili, że jakiś Siuks otworzył ją już siekierką, strzelali do niego, ale uciekł.

Nie wiem, czy Custer zmienił wtedy zdanie na temat wioski, ale ponieważ usłyszał to od swojego brata, to jak myślę, przynajmniej uwierzył, że w okolicy są

wrodzy Indianie, kazał więc trębaczom zwołać oficerów i rozkazał im natychmiast przygotować się do ataku, ponieważ zaskoczenie było już niemożliwe i w razie dalszej zwłoki Indianie mieliby czas, żeby się rozproszyć.

Zmęczeni żołnierze wsiedli na swoje zmęczone konie i jeden Ri poprosił Staba, żeby popluł na jakąś magiczną glinę, którą miał przy sobie, i natarł nią piersi swoich współplemieńców dla ochrony od złego, i zaraz ruszyliśmy przekraczając dział wodny. Stało się to koło południa tej fatalnej niedzieli, dwudziestego piątego czerwca tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego szóstego roku, w stulecie niepodległości kraju, i chociaż było to tak dawno, pamiętam wszystko, jakby się to działo w tej chwili. Jeszcze dziś pocę się na wspomnienie upału tamtego dnia i tego, jak flanelowa koszula przykleiła mi się do pleców i jak kurz wchodził mi do nosa i oblepiał język, i widocznie z powodu zmiany punktu widzenia ta posiekana jarami i porośnięta z rzadka kępami czerwonawobrazowej trawy i cherlawymi szarymi krzakami ziemia nie wydawała mi się tak piękna, jak moje indiańskie wspomnienia o niej.

Przekroczwszy dział wodny doszliśmy do koryta małego strumienia, który na wiosnę był zapewne dopływem Tłustej Trawy, ale teraz jego dno pokrywał żwir suchy jak pieprz. Tutaj Custer rozdzielił swoje siły, za co potem wielu go krytykowało, ale jeżeli spojrzeć na sytuację tak, jak on ją rozumiał, to niekoniecznie było to takie głupie.

Nie wierzył, że obóz jest tam, gdzie mu zwiadowcy mówili, chociaż uważał, że Indianie prawdopodobnie są gdzieś w dolinie rzeki, między punktem, do którego mieliśmy dojść łożyskiem wyschniętego strumienia, a kolumną Terry'ego i Gibbona posuwającą się od ujścia.

Nie można jednak było wykluczyć, że Siuksowie idą w górę rzeki w stronę gór Wielki Róg i znajdują się poza naszym lewym skrzydłem. Dlatego Custer wysłał kapitana Benteena z trzema szwadronami, żeby odbili od głównej kolumny w lewo na skos i przeszukali wzgórze w tym kierunku upewniając się, że górna część doliny jest wolna od Indian.

Mój przyjaciel Botts znajdował się w batalionie Benteena i odjechał z tym kontyngentem. Nie spotkałem go już nigdy w życiu, ale nie sądzę, żeby zginął.

Z pozostałych ośmiu szwadronów Custer zatrzymał pięć, a trzy przydzielił majorowi Reno i te dwie kolumny zjeżdżały obok siebie zadrzewioną doliną strumienia, coraz szerszą w miarę zbliżania się do rzeki. Myślę, że byliśmy o jakieś

dwie godziny i dziesięć mil drogi od działu wodnego, kiedy zobaczyliśmy pojedynczy szałas. Stał sobie na południowym brzegu strumienia, kręcili się koło niego jacyś Indianie i jak to się często zdarzało, o mało nie zaatakowaliśmy, zanim poznaliśmy, że to nasi własni zwiadowcy.

Było to tipi Siuksów, świeżo opuszczone, jak wskazywał ciepły popiół z ogniska i inne oznaki, i porucznik Hare mówi Custerowi, że kiedy on i Krukowie podjechali, spłoszyli pięćdziesięciu do sześćdziesięciu wrogich Indian.

Fred Girard wjechał na wzniesienie, z którego mógł zajrzeć do doliny Małego Wielkiego Rogu, i teraz macha kapeluszem i woła:

— Tam są ci wasi Indianie, uciekają, gdzie pieprz rośnie.

— Bouyer — rozkazuje Custer — powiedz swoim Krukowi, żeby ich ścigali.

Bouyer przekazuje to Pół Żółtej Twarzy i reszcie, a oni gadają coś między sobą, Custer wścieka się na tę zwłokę, i kiedy Bouyer melduje, że zwiadowcy odmawiają, wyczytałem z wyrazu twarzy generała, że stłukłby ich kolbą pistoletu, gdyby tylko miał czas.

— Boją się — mówi Bouyer. — W dolinie Tłustej Trawy jest więcej Siuksów, niż pańscy żołnierze mają kul.

— Jesteście baby! — krzyknął Custer.

Zwiadowcy znali trochę angielski i skrzywili się jak od uderzenia, ale nadal siedzieli nieruchomo na swoich koniach, podczas gdy nad doliną rozwiewała się chmura błękitnego kurzu wznieconego przez uciekających Indian.

Zsiadłem z konia i wszedłem do tego tipi. W środku leżał na niskim rusztowaniu wojownik z plemienia Siuksów, ubrany w bogaty strój, zmarły niedawno, bo jeszcze nie było go czuć, a przy nim stał Lavender.

— Znasz go? — pytam.

Mówi, że nie, odwraca się i wyrzuca nabój ze swojego Sharpsa, sprawdza broń i ładuje ją z powrotem, robi to samo z rewolwerem, a potem wyciera o koszulę nóż, który wyglądał i tak dość czysto. Potem jakiś Ri podpalił szałas, wyszliśmy więc, dosiedliśmy koni a wtedy Lavender pochylił się w siodle i wyciągnął do mnie rękę. Twarz miał całą jak upudrowaną kurzem. Nie odezwał się słowem i ja też, bo nie ma żadnych reguł, jak zegnać się z przyjaciółmi wyruszając do bitwy. Ja i Lavender byliśmy rzeczowi, pewnie dlatego że tyle już przeżyliśmy.

Lavender zawiązał kapelusz mocno pod brodą i pokłusował na swoim gniadoszu za kolumną Reno, która ostro ruszyła ku rzece.

— Gdzie oni jadą? — spytałem pełniącego tego dnia służbę przy Custerze trębacza nazwiskiem John Martin, który świeżo przyjechał z Włoch, nazywał się naprawdę Giovanni Martini i słabo mówił po angielsku.

— Szarżować — mówi.

— Na kogo? — pytam.

— Prawdopodobnie porucznik Varnum pojechał przodem i zobaczył wioskę w odległości kilku mil w dole rzeki, Custer więc w końcu uwierzył, że ta wioska istnieje, kiedy usłyszał to z ust białego, i mieliśmy ją zaatakować.

Kiedy przejechał ostatni szwadron Reno, ludzie Custera ruszyli w ślad za nimi i jechali tak aż do rzeki. W późniejszych sporach o bitwę niektórzy mówili, jakoby Reno przechodząc w bród rzekę i ruszając w górę jej biegu spodziewał się, że generał ciągnie za nim. Nie wiem nic na ten temat, nie słyszałem, jakie Custer wydawał rozkazy, bo byłem wtedy w szalasiu z Lavenderem.

Myślę jednak, że generał chciał powtórzyć taktykę, która przyniosła mu taki sukces nad Washitą, gdzie również podzielił siły i uderzył na wioskę z kilku stron jednocześnie, bo byliśmy jeszcze w pewnej odległości od brodu, przez który przechodził Reno, kiedy Custer. skręcił w prawo i poprowadził nas kursem z grubsza równoległym do rzeki, ale za linią przesłaniających widok skałek. Jak rozumiałem, plan polegał na tym, żebyśmy posunęli się milę lub dwie w dół rzeki, przeszli na drugi brzeg i uderzyli od dolnego skraju obozu, podczas gdy Reno uderzy od górnego.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, jak przy podobnym manewrze nad Washitą został odcięty oddział majora Elliota i podczas gdy Custer zwyciężał gdzie indziej, ludzie Elliota zostali wyrżnięci przez Czejenów. Tamten wypadek miał zapoczątkować nienawiść Benteena do Custera, teraz w podobnym niebezpieczeństwie mógł się znaleźć Reno. Albo może sam Benteen, bo z trzema tylko szwadronami poszedł w górę rzeki, a nikt tak naprawdę nie wiedział, ilu wrogich Indian tam jest i gdzie się znajdują.

Custer na przykład nie sprawiał wrażenia kogoś, komu się śpieszy. Skręciwszy w prawo zwolnił tempo, co mi odpowiadało ze względu na tego mojego konia, ale wyglądało dziwnie, kiedy się pomyślało, że Reno ma lada chwila rozpocząć bitwę. Niepokoił mnie również widok terenu przed nami. Nie powiem, że pamiętałem dokładnie

ten odcinek Małego Wielkiego Rogu sprzed lat, pamiętałem natomiast, że te północne rzeki płyną czasami przez wiele mil między wysokimi urwistymi brzegami nie dającymi możliwości zjechań do wody, a jeżeli już da się gdzieś zjechać, to trudno liczyć na znalezienie tam brodu.

Mimo to Custer zwlekał, a nawet zrobił postój dla napojenia koni w napotkanym strumyku. Podeszedłem tam do niego i zastałem przy nim Toma i jego szwagra Calhouna, a ja znów pomyślałem sobie, że wysłał Benteena i Reno, ale rodzinę trzyma przy sobie.

Wyglądał całkiem mizernie, wachlował się kapeluszem od upału i niech mnie diabli, jeżeli nie pożałowałem w tym momencie, że obciął włosy.

Ale jak tylko spojrzał na mnie, twarz mu się rozjaśniła.

— Cóż tam, poganiaczu — pyta — czy chcecie przedłożyć własny plan ataku?

— Nie, panie generale — mówię mu — nie przyszedłem teraz żartować. Znam trochę tę okolicę i podejrzewam, że nie znajdziemy brodu przez wiele mil.

Tom niecierpliwie szarpie swój jasny wąs i mówi:

— Armstrong, dlaczego tolerujesz tego idiotę?

— On mnie bawi — odpowiada generał. — Czy nie tak, poganiaczu? To jeden z tych oryginałów z pogranicza — ciągnie, jakby mnie tam nie było. — Wiesz, że mam słabość do takich typów.

Wtedy zauważyłem korespondenta gazety, Marka Kellogga, który zsiadł z konia i przerzuciwszy wodze przez rękę skrobał coś w notesie.

— Czy nie zechciałby pan powtórzyć ostatniego zdania, generale? — mówi.

— Słabość do takich typów — powtarza Custer bardzo wolno i wyraźnie, żeby tamten mógł zapisać. Zrozumiałem wtedy, że właśnie udziela wywiadu.

— Dziękuję panu, generale — mówi Kellogg. — A teraz, czy zechciałby pan na chwilę przed bitwą scharakteryzować swój styl działania?

Custer strzepnął kurz z bluzy.

— Chętnie — mówi. — Oskarżano mnie o popędliwość. Nie zgadzam się z tym. Wszystko, co kiedykolwiek robiłem, było wynikiem przemyśleń hipotetycznych sytuacji militarnych. Kiedy dowodzę kampanią i pojawia się nagle potrzeba decyzji, wtedy wszystko, co kiedykolwiek słyszałem lub przestudiowałem, skupia się w moim umyśle, jakbym oglądał pozycję pod szkłem powiększającym. Mój umysł działa

błyskawicznie, ale zawsze jest to wynik wszystkiego, co wyniosłem z długoletnich studiów i co ma jakiś związek z zaistniałą sytuacją.

Myślę, że mówiłby dalej, ale w tej chwili jego adiutant, porucznik Cooke, który pojechał nad rzekę z grupą Reno i został przez jakiś czas na naszym brzegu jako obserwator, przygalopował z bokobrodami trzepoczącymi przy policzkach jak dwa ptaki.

Wstrzymał spienionego konia i krzyknął:

— Girard donosi, że Indianie wychodzą przeciwko Reno w wielkiej sile.

Jakby dla zilustrowania swojej samooceny Custer wskoczył na swoją klacz.

— Gdzie są wroży Indianie? — spytał.

— Byli o trzy mile stąd w dół rzeki, kiedy otrzymałem wiadomość — mówi Cooke. — Teraz Reno musiał już nawiązać z nimi kontakt.

I rzeczywiście, nie upłynęło kilka sekund, jak usłyszeliśmy ogień karabinowy.

— Jak duży jest ten obóz? — spytał Custer, ale Cooke nie mógł odpowiedzieć, bo dalej rzeka kręciła jak korkociąg i na każdym zakręcie rosły przesłaniające widok zagajniki drzew bawełnianych.

Trębacze zagrali wsiadanego i powstało pewne zamieszanie przy odciąganiu koni od wody, ale Custer nie czekał, tylko ruszył wściekłym galopem pod górę i wszyscy pognali za nim, jak kto mógł, przez dwie mile nierównego terenu, co było zabójcze dla koni, i o ile wiem, kilka padło z wyczerpania i ich jeźdźcy zostali z nimi, ratując się w ten sposób przypadkiem z rzezi, która miała nastąpić.

Nagle zatrzymaliśmy się znów, choć konie były teraz tak podniecone, że niektóre z nich, zwłaszcza te w rękach rekrutów, nie słuchały wodzy, stawały dęba i wierzgały, wywołując w kolumnie niejaką panikę. Muszę jednak powiedzieć, że mój wierzchowiec, który wcześniej wyglądał, jakby miał lada chwila paść trupem, w obliczu zagrożenia zebrał się w sobie i szedł zupełnie dobrze — widocznie odezwało się jego twarde indiańskie wychowanie, a poza tym ten rodzaj terenu odpowiadał mu bardziej niż ciężkim kawaleryjskim bydlętom.

Teraz posuwaliśmy się mniej więcej równolegle do Tłustej Trawy, ale za skałami, i Custer zarządził postój, żeby wjechać na jakieś wzniesienie i ocenić z góry sytuację w dolinie. Miał to zrobić, pamiętaj, po raz pierwszy tego dnia, jeżeli nie liczyć tego porannego spojrzenia z Kruczego Gniazda w Wilczych Górach, kiedy to nic nie

zobaczył. Do tej chwili nie widział jeszcze na własne oczy ani jednego żywego wrogię Indianina. Było to naprawdę dziwne, zupełnie jakby w grę wchodziły jakieś czary.

Jeżeli tak, to teraz działanie czarów ustało, bo kiedy wjechaliśmy na urwisty brzeg rzeki i spojrzeliśmy w kierunku zachodnim, zobaczyliśmy dość Indian, żeby zaspokoić każdy apetyt. Jakieś pięć do sześciu setek zebrało się naprzeciw grupy Reno, która się spieszyła i sformowała tyralierę, z tej odległości i wysokości wyglądającą jak cienki niebieski naszyjnik. Było w nim niewiele więcej niż stu ludzi. Zobaczyliśmy także, skąd nadciągał przeciwnik. Nie mogło już być wątpliwości co do istnienia obozu: zaczynał się o jakąś milę w dół rzeki i ciągnął się Bóg jeden wie jak daleko, bo z powodu tych zakrętów Tłustej Trawy widzieliśmy tylko jego dolną część, chociaż nie jestem pewien, czy Custer to rozumiał. Biorąc pod uwagę wojowników atakujących Reno i widoczne szalasy, populacja czerwonoskórych musiała liczyć około dwóch tysięcy dusz.

Nawet jeżeli się to rozumiało, sytuacja bynajmniej nie była beznadziejna. Łącznie Siódmy Pułk Kawalerii miał około sześciuset ludzi wyszkolonych do walki w szyku; przykładem było sprawne rozwinięcie się ludzi Reno w tyralierę. Bardzo mała grupa spieszonych żołnierzy kontrolując swój ogień mogła sobie poradzić z wielokrotnie liczniejszą siłą nie zorganizowanych dzikich jeźdźców.

Gdyby udało nam się zjechać do najbliższego brodu, Custer mógłby uderzyć na wioskę osłabiając nacisk na Reno i Benteen zdążyłby na czas, żeby wesprzeć któregoś z nich. W ślad za nami podążała jeszcze karawana mułów z rezerwową amunicją i ze swoją osłoną kawaleryjską.

Nie wyglądało to jeszcze najgorzej, choć z drugiej strony nie był to też piknik, ale spojrzałem na Custerę i zobaczyłem, że jest prawdziwie wstrząśnięty. Wpatrywał się gniewnie w dolinę kręcąc głową i mrużąc oczy od słońca. Domyślałem się, że wścieka się na Reno, któremu dał rozkaz atakowania Indian, i chociaż w obecnej sytuacji nie miało to żadnego sensu, wściekanie się na Reno było w stylu Custerę.

Ale w tym momencie generał nagle zdejmując swój szary kapelusz, macha nim i krzyczy „hura”. Ponieważ nikt z nas, którzy z nim byliśmy — jego brat Tom, porucznik Cooke, trębacz Martin i ja — nie przyłączył się, zabrzmiało to bardzo dziwnie. Przy tym jego ostrym głosem, żołnierze w dolinie mogliby go usłyszeć, gdyby panowała tam cisza. Jednak wśród huku karabinów białych i Indian, dzikich okrzyków wojennych i

tak dalej, nie było na to żadnej szansy. Nie mówiąc o tym, że nie ma zwyczaju krzyczeć „hura*’ w akcji obronnej.

Potem generał zawraca Vic i podjeżdża do kolumny. Był tam łącznik Toma Custer a i generał warknął do niego:

— Powiedz kolumnie transportowej, niech jadą na przełaj i dołączą do nas.

Innymi słowy, mieli nie podążać krętym szlakiem po naszych śladach ani nie próbować dotrzeć do Reno, któremu sądząc po częstotliwości strzałów, wkrótce mogło zabraknąć amunicji. Cóż, oznaczało to, że jeszcze jeden człowiek będzie uratowany. Mam na myśli łącznika, sierżanta Kanipe. Reszta nas znów puściła się dzikim galopem po tym górzystym terenie za Custerem pędzącym na złamanie karku, za jego osobistym proporcem w kształcie jaskółczego ogona, czerwono-niebieskim ze skrzyżowanymi białymi szablami, który powiewał tuż za nim w rękach kawalerzysty na pięknym, roslým kasztanie.

Omijaliśmy najgorsze jary i stromizny, inne braliśmy w skok, gdzie indziej wdrapywaliśmy się pod górę, ale była to mordercza jazda dla koni i znów część padła, ratując życie swoim jeźdźcom, którzy pozostali w tyle, chociaż słyszałem, że niektórzy z nich też zginęli wpadając po drodze w zasadzki. Nie wiedzieliśmy bowiem, że Indianie zaczęli już przechodzić na nasz brzeg Małego Wielkiego Rogu i przenikać w głąb wąwozów.

Myślę, że przejechaliśmy w ten sposób więcej niż milę i dotarliśmy do stóp najwyższego wzniesienia w okolicy, gdzie Custer zarządził następny postój. Znów wjechał na górę dla obserwacji w otoczeniu tej samej małej świty co poprzednio, łącznie ze mną i kuzynem Armstrongiem Reedem, który potraktował kampanię jako letnie wakacje. To na jego młodej twarzy zobaczyłem odbicie, że tak powiem, ogromu tego gigantycznego indiańskiego obozu rozciągającego się za rzeką.

Spojrzałem na niego przypadkiem, kiedy mój koń wjechał na szczyt. Ten Reed był bardzo przystojnym młodzieńcem, jak wszyscy z klanu Custerow, i normalny wyraz jego twarzy stanowił połączenie dobrego wychowania z ostrą ciekawością. Widziało się go na twarzach wielu młodzieńców ze Wschodu, którzy przyjazd na Zachód traktowali jako przygodę, jakby pogranicze stanowiło jakąś wystawę zorganizowaną dla ich nauki i rozrywki, nie zaś często sprawę życia i śmierci, jak dla nas, którzy mieszkaliśmy tam na stałe.

Wojskowi wujkowie Reeda przyodziali go w ubranie z jeleniej skóry, jakie mieli sami, i zawiesili na nim trochę broni, stanowił więc piękny widok stojąc tak na szczycie wzgórza na swoim dorodnym koniu. Ale coś przerażającego mąciło jego jasny wzrok i wprawiało w drżenie jego wygoloną szczękę, i jeżeli sądzisz, że będę z niego pokpiwał z tego powodu, to się mylisz, bo wtedy i ja spojrzałem w dolinę, za wstęgę rzeki i ciemne pasmo drzew, i zobaczyłem największy obóz dzikich, jaki kiedykolwiek zebrał się na tym kontynencie.

Boże Wszechmogący, ciągnęło się to dalej, niż wzrok sięgał, przynajmniej pięć mil ustawionych w kręgi szalasów, a na podwyższonym terenie dalej na zachód pasło się stado dwudziestu tysięcy koni. Podaję tę liczbę, choć mogła być wyższa, bo nie widziałem całości. Jednak za moich czasów nad Rzeką Kanadyjską, na południu, oglądałem olbrzymie masy bizonów i to tutaj było rzeczą najbliższą tamtego widoku.

Ilu Indian? Myślę, że ich liczba musiała być zbliżona do pogłowia koni, bo chociaż niektórzy wojownicy mogli mieć po kilka zwierząt, to zawsze była rzesza kobiet i dzieci, które chodziły pieszo. Powiedzmy piętnaście tysięcy osób, z czego cztery do pięciu tysięcy wojowników. A nas było nieco ponad dwustu z Custerem, następna setka walczyła teraz o życie pod komendą Reno, mniej więcej tyle samo było z Benteenem i jeszcze jedna setka, czy coś koło tego, eskortowała muły.

Zadziwiała w tym wszystkim jedna rzecz: poza kilkoma odległymi sylwetkami poruszającymi się wśród stada koni i przypuszczeniem, że wielka chmura pyłu w dole rzeki została wzniesiona przez ludzi, nadal nie widzieliśmy przed sobą ani jednego Indianina. W widocznej części obozu nie było żywej duszy. Czyżby wszyscy walczyli z Reno? Pole bitwy stało się teraz dla nas niewidoczne z powodu skał i zakrętów rzeki. Albo ta chmura pyłu w dole rzeki: czyżby mimo przewagi uciekali?

Powiem ci, co zrobił Custer. Znów zamachał kapeluszem i niech mnie diabli, ale jeszcze raz zawołał „hura”!

— Przespali sprawę — mówi nie zwracając się do nikogo w szczególności i nikt jakby nie usłyszał, bo wszyscy patrzyli w dół jak sparaliżowani, tylko Tom Custer omal nie odgryzł sobie wąsów, a porucznik Cooke nerwowo skubał kotlety swoich bokobrodów.

Dla mnie ten moment zakończył się, kiedy włoski trębacz, Martin czy Martini, wyszczerzył do mnie zęby i mówi:

— Oni spać, taak? Bardzo dobra. — Chłopak nie znał angielskich wyrażen i wszystko, co generał powiedział, brał dosłownie.

Nie miałem czasu, żeby go wyprowadzić z błędu, bo kiedy Custer zjeżdżał do czekających szwadronów, pojechałem za nim. Nagle dotarło do mnie, co Indianie knują. Nie uciekali, bo wówczas kobiety rozbierałyby szalasy, na co miały dość czasu, bo my byliśmy za rzeką na wysokim brzegu, a Reno daleko.

Ani nie atakowali tego ostatniego siłami obejmującymi prawie wszystkich wojowników tak wielkiego obozu. Gdzieś było jeszcze cztery tysiące Indian i zdawało mi się, że rozumiem ogólną sytuację: przeszli na nasz brzeg którymś z niżej położonych brodów i czekali na nas w jarach.

Nie, Custer nie śmiał się, kiedy to do niego wykrzyczałem. Myślę, że mnie w ogóle nie słyszał, spinał tylko ostrogami tę swoją biedną klacz, którą gnał przez wiele mil w kurzu i upale, tak że była okryta pianą i wyczerpana. Kiedy dojechał na niej do swojego wojska, zaczął znów wznosić okrzyki:

— Hura, chłopcy, mamy ich! Wykończymy ich i wracamy do domu.

I ci żołnierze, którzy nie wyspali się porządnie od dwudziestu czterech godzin — jedna czwarta z nich zupełnie zielona, nie widziała nigdy Indianina na ścieżce wojennej — siedząc na zmordowanych lub spłoszonych zwierzętach, odpowiadają mu dziarskim okrzykiem, który odbija się echem od skał, i znów ruszamy galopem, pędząc z góry szerokim wąwozem przez jakieś trzysta jardów, żeby znów stanąć. Co pewnie znów wywołało zamieszanie w kolumnie, ale nie oglądałem się za siebie, bo to żadna przyjemność patrzeć na ludzi, którzy mają wkrótce zginąć.

Tak, wtedy byłem już pewien. Ten drugi okrzyk przekonał mnie ostatecznie: Custer zwariował.

Inny człowiek widząc ten olbrzymi obóz mógłby przyznać przynajmniej przed sobą, że popełnił błąd. Nie byłoby w tym nic wstydliwego, w walkach z Indianami generał rzadko kiedy znał siłę i dyslokację nieprzyjaciela. Niektórzy mówią, że Custer naruszył swoje własne rozkazy, żeby nie uderzać na Indian przed uzgodnionym spotkaniem z Terrym i Gibbonem następnego dnia. Ale nie można liczyć na takie rzeczy w dzikim kraju, a poza tym od wypadku ze znalezieniem przez Siuksów zgubionej skrzynki sucharów w Wilczych Górach był przekonany, że Indianie wiedzą o jego obecności i uciekną, jeżeli nie zostaną natychmiast zaatakowani.

Jednak żeby zobaczyć ten obóz i nie wycofać się, nie ściągnąć Reno i nie zebrać wszystkich sił?... Cóż, Custer był widocznie tak szalony, że wierzył w swoje zwycięstwo, bo należał do ludzi, którzy noszą cały świat w głowie i w związku z tym, kiedy emocje wzburzą ich umysł, tracą całkowicie poczucie rzeczywistości.

Byłem blisko niego na tym postoju; kapelusz miał przekrzywiony od zdejmowania i zakładania przy wydawaniu przedwczesnych okrzyków zwycięstwa, strużki potu zmywały kurz z jego nie ogolonych policzków, oczy miał zamglone, nie jasno-błękitne jak zwykle, ale jakieś mętne.

Przywołał Martina, który podjechał i zasalutował na swój włoski sposób, a wtedy Custer wyrzucił z siebie z szybkością serii z kartaczownicy:

— Powiedz Benteenowi, że wieś jest duża i że ma jak najszybciej być tu z jukami.

Wątpię, żeby Martin coś zrozumiał, ale znów zasalutował wytwornie i już miał odjechać, kiedy Cooke zawołał:

— Stój, napiszę ci to! — I dał mu kartkę ze swojej książki rozkazów.

Była to ostatnia wiadomość, jaką ktokolwiek otrzymał od Custera i pięciu szwadronów, które szły pod jego komendą od Samotnego Szałasu. Z książek historycznych można się dowiedzieć, że Martin dotarł do celu, wracając po naszych śladach. Jako obcokrajowiec nie rozumiał za grosz sytuacji i mimo że Indianie atakowali go po drodze z zasadzki, nie się nie przejął, choć zranili pod nim konia. Co pokazuje, jak pomocna może być ignorancja. Dotarłszy do Benteena powiedział mu, że zmusiliśmy Siuksów do odwrotu, dając temu oficerowi dodatkowy powód, żeby nie śpieszyć nam z pomocą. Niezależnie od jego nienawiści do Custera.

Od tego miejsca możesz polegać wyłącznie na moim słowie co do losów Custera i jego pięciu szwadronów w to niedzielne popołudnie, bo ja jeden uszedłem z życiem, z tych ponad dwustu, którzy zjechali wąwozem Czarodziejski Ogon do brodu przez rzekę Mały Wielki Róg.

Jeżeli mi nie wierzysz, poszukaj sobie kogoś innego: któregoś z tych pomyleńców zasypujących potem listami biedną panią Custer, choć niektórzy z nich byli dziećmi w tysiąc osiemsetnym siedemdziesiątym szóstym, albo zwiadowcy Kruków Kędzierzawego, którego prezentowano jako jedyne go człowieka ocalałego z tej bitwy. Tyle że Kędzierzawy nie brał w niej udziału, tylko oglądał część walki z oddalonych wzgórz, a biali pretendenci byli albo wariatami, albo po prostu kłamcami.

Bawiło mnie słuchanie ludzi zabiegających o uznanie za coś, w czym nie mieli udziału, podczas gdy ja aż do dziś robiłem, co mogłem, żeby ukryć swoje autentyczne przeżycia.

Wkrótce po odjeździe Martina naszą drogę przeciął duży wąwóz noszący nazwę Czarodziejski Ogon. Skręciliśmy w lewo i przebyliśmy nim około dwóch mil. W odległości jakiejś mili od rzeki wyjechaliśmy na płaski teren i zatrzymaliśmy się na chwilę, bo Mitch Bouyer i Krukowie machali rękami z wysokiego brzegu i Custer stanął, żeby odczytać ich znaki. Widzieli bród ze swojego miejsca i sygnalizowali, że przeciwnik przechodzi przez rzekę.

Custer przerwał ich raport niecierpliwymi gestami i przekazał im na migi: „Dobrze, możecie wracać do domu.”

Krukowie nie zostali wynajęci do walki (i jak pamiętasz, odmówili w niej udziału już wcześniej), ale do przeprowadzenia wojska przez znane im tereny. Widzieliśmy więc, jak Bouyer ich zwalnia, a oni siedząc na swoich koniach patrzą, jak ruszamy dalej, z wyrazem twarzy, który zawsze nazywa się kamiennym i taki rzeczywiście jest, co wcale nie znaczy, że Indianie nie mają uczuć, tylko to, że nawet jeśli są przyjaciółmi białych, nie mogą nic dla nich zrobić. Krukowie zawsze lubili Custer a i słyszałem, że całe plemię płakało jak dzieci, kiedy ogłoszono jego śmierć.

Bouyer mógł również odjechać, ale że był mieszańcem, widok jadących na śmierć ludzi, z którymi łączyła go część krwi, podrażnił widocznie jego dumę. Przejechał kilka jardów za Krukami, a potem nagle zawrócił konia i zjechał do nas na dół, doganiając Custer a.

Teren przed nami znów się zwał, tworząc stromy wąwóz o prawie pionowych brzegach, bo w czasie wiosennych odwilży i deszczów spływała tędy woda z wyżej położonych terenów. Trudno było o gorsze miejsce dla kawalerii, która jest niewiele warta, kiedy nie ma miejsca do manewru.

Bouyer wskazał ten wąwóz i mówi:

— Jeżeli tam wjedziemy, nigdy już nie wyjedziemy.

Miał na sobie ubranie z jeleniej skóry i kapelusz z szerokim rondem, ale czarne włosy nosił długie i obwieszony był różnymi kruczymi błyskotkami, jak naszyjnik z niedźwiedziej pazurów i amulet zawieszony przy lewym uchu.

Custer spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Powiedziałem, że możesz wracać do domu — mówi.

Bouyer uniósł swoje błyszczące czarne oczy ku słońcu, twarz miał koloru wyprawionej skóry i chociaż nic nie mówił, domyśliłem się, że się żegna po indiańsku z wielkim ogniskiem na niebie, szykując się jednocześnie, żeby umrzeć jako biały.

Wjechaliśmy do wąwozu ostrym kłusem, pięć szwadronów w szyku czwórkowym, i wtedy dołączył do nas brat generała, Boston, który jechał w tyle z kolumną mułów, gdzie jak podejrzewam, brat wolał go zatrzymać ze względu na bezpieczeństwo, ale jak się zaczynało coś dziać, żaden Custer nie dałby się powstrzymać od akcji nawet innemu członkowi swojego klanu.

Każdy pododdział Siódmego Pułku jechał na dobranych koniach: szwadron C Toma Custera na kasztanach, szwadron E na myszaty, a pozostałe trzy szwadrony na pięknych gniadoszach. Proporczyki w kształcie jaskółczego ogona przedstawiały amerykańskie flagi z kręgiem złotych gwiazd na niebieskim tle. Kiedy zjeżdżaliśmy tym wyschniętym wąwozem, nie słysząc nic poza grzotem kopyt naszych koni powiewały w kłębach kurzu nad całą kolumną.

Oglądałem się co jakiś czas, bo w walce lubię wiedzieć, kogo mam za sobą, i wciąż jeszcze widzę w myśli ten szwadron na szarych koniach, zawsze najłatwiejszy do odróżnienia, kłusujący równymi czwórkami. Ale kasztany Toma Custera jadącego na czele też wyglądały pięknie, prawie czerwone w tym jaskrawym słońcu.

Boże, ależ to był upał. Wiatr zostawiliśmy na wzgórzach i nie mogłem się doczekać, kiedy przejdziemy w galop, żeby poczuć pęd powietrza. Kapelusz miałem przepocony na wskroś. Rondo ściągnąłem nisko, żeby osłonić dobrze już poparzony nos. Nie goliłem się od paru dni i w połączeniu z potem i kurzem moje policzki były jak gładki papier. Żeby mi nie zaschło w gardle, żułem zwitek tytoniu i przesuwalem go językiem z lewa na prawo, ale nagle nie był już soczysty, tylko kłujący jak liść kaktusa, ledwo też mogłem utrzymać karabin, którego metalowe części parzyły dłonie. Słony pot zalewał mi oczy, a siwek Cooke'a przede mną był tak jasny, że nie dało się na niego patrzeć.

Zbliżywszy się na jakieś pięćset jardów do brodu, po raz pierwszy tego dnia zobaczyliśmy przed sobą nieprzyjaciela: kilku Siuksów jeździło powoli wkoło po naszej stronie rzeki, albo chcąc nas sprowokować do pogoni, albo dając znaki innym, czekającym w ukryciu. Obóz był teraz niewidoczny za pasmem drzew bawełnianych rosnących na drugim brzegu. Potem Siuksowie znikli i zza małego wzniesienia koło

brodu pojawiło się czterech wojowników. Wymachiwali bronią nad głową i krzyczeli do nas „Hej-hej-hej-hej-hej”.

Na co Custer zatrzymał kolumnę.

Znałem ten dźwięk aż za dobrze: był to okrzyk wojenny Czejenów. I zrobiłem coś dziwnego. Powodowany niewyjaśnionym instynktem podrzuciłem broń do ramienia i strzeliłem. Chybiłem a Custer zaczął na mnie wrzeszczeć, z oczami nabiegłymi krwią i twarzą poczerniałą z wściekłości.

— Ty świnio — krzyczy — kto ci kazał strzelać? Ja tu wydaję rozkazy. Nic mnie nie obchodzi, z kim jesteś związany, ty parszywy szpiclu, nawet gdyby to był sam Biały Dom. Oto są skutki waszej zafajdanej polityki w stosunku do Indian, skorumpowani ajenci, sprzedajni politycy.

Myślę, że w swoim zwichrowanym umyśle utożsamiał mnie z prezydentem Grantem. Wyciągnął pistolet i myślałem już, że mnie zastrzeli, ale jak to bywa z szaleńcami, nagle wszystko mu się odmieniło i spiąwszy swoją klacz ostrogami krzyknął:

— Naprzód, dzielna Siódemko! Do ataku! Hura-a-a-a! Trębacz, przestraszony całym tym spektaklem, zagrał zsiadanego, na dodatek tak cicho, że nie usłyszał go nikt poza czołowym szwadronem, i ponieważ ci z tyłu niewiele widzieli w kłębach kurzu, to w rezultacie środkiem wąwozu pędził Custer, za nim Cooke, Bouyer i ja między nimi, a za naszymi plecami pierwszy szwadron zsiadał z koni.

Tymczasem Tłustą Trawę przebyło w bród pięciuset następnych wojowników i dalsi wysypywali się zza drzew jak pszczoły z przewróconego ula.

28. OSTATNIA BITWA CUSTERA

Pierwszy zareagował Bouyer. Jadąc na szybkim indiańskim koniu prześcignął generała i zatrzymał go, chwytając Vic za uzdę. Indianie strzelali do nich i myślę, że Bouyer został ranny, bo na jego skórzanej koszuli pokazała się ciemna plama, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Cooke tymczasem wsadził swój szwadron z powrotem na konie, odpowiedział uprzednio ogniem na ogień, bo było jasne, że musimy wydostać się na otwartą przestrzeń, gdzie kawaleria mogłaby manewrować.

Teraz Custer nagle otrzeźwiało, sygnał do ataku zabrzmiał jak należy i pognaliśmy Czarodziejskim Ogonem prawie do rzeki. Indianie, większość z nich spieszona, wycofali się, ale nie tak daleko, żebyśmy mogli sforsować bród. Tłusta Trawa była zatłoczona wojownikami, setki z nich konno, inni pieszo, po pierś w wodzie.

Z prawa otworzył się przed nami inny wąwóz, odchodzący pod kątem czterdziestu pięciu stopni i wjechaliśmy nim pod górę na wydłużone wzgórze, galopując trawiastym grzbietem pod ciężkim ogniem Indian, ale nie sądzę, żebyśmy wtedy jeszcze stracili wielu ludzi, może kilku w pobliżu brodu, jednakże w szeregach panował porządek, jechaliśmy nadal w kolumnie czwórkowej. O jakąś milę dalej na północ grzbiet osiągał najwyższy punkt i myślę, że Custer wybrał go jako najlepsze miejsce do zorganizowania obrony.

Ale kiedy się ucieka przed Indianinem, wszystko jedno, czy to będzie planowy odwrót, czy nie, staje się to dla niego niezwykłą zachętą, bo uważa, że uzyskał przewagę. Ruszyliśmy do ataku na wioskę i zostaliśmy zatrzymani przez czterech Czejenów, a potem odjechaliśmy. Tak to widzieli Indianie i dalsze wydarzenia przyznały im rację. Nie wiem, dlaczego Custer zatrzymał się po tamtej pierwszej śmiesznej demonstracji – czterech dzikusów przeciwko naszym dwóm setkom. Może na swój zwariowany sposób pomyślał, że to jest cała nieprzyjacielska siła, i zastanowiło go, że Indianie są tacy odważni. Nie sądzę, żeby mógł znieść myśl, że ktoś jeszcze oprócz niego jest zdolny do wielkiej odwagi.

Tyle że ich było więcej niż czterech i wcale nie demonstrowali bezmyślnej brawury, tylko starali się zyskać na czasie, podczas gdy inni za ich plecami

przekraczali rzekę, a jeszcze inni leżeli ukryci w terenie, na który chcieli nas skierować. Stosowali strategię.

Tego dnia nad Małym Wielkim Rogiem nastąpiło szczególne odwrócenie ról. Reno został wysłany, żeby zaatakować wioskę, a tymczasem to jego atakowano. Custer chciał otoczyć nieprzyjaciela i sam wpadł w okrążenie. W swojej ostatniej wielkiej bitwie Indianie walczyli jak biali, a my, cóż, my mieliśmy wkrótce znaleźć się w sytuacji, jaką planowaliśmy dla nich, bo to nie był teren dla kawalerii i stopniowo w ogniu walki w nasze szeregi zaczął się zakradać nieporządek.

Z południa pojawił się nowy zastęp Indian. Prowadzony, chociaż wtedy tego nie wiedzieliśmy, przez wielkiego wodza wojennego, Żółć. To on zmusił Reno do wycofania się i otoczył go na wzgórzu, z którego Custer po raz pierwszy zobaczył wioskę. Było ich nie mniej niż tysiąc i jechali z budzącą lęk determinacją.

Tymczasem na zboczu od strony rzeki Indianie ukryci po jarach wyrzynali szwadron myszatyh koni. W końcu zapędzili wszystkich do głębokiego wąwozu i stłoczonych jeden na drugim, wystrzelali z góry, aż zostało tylko parę koni bez jeźdźców, wspinających się szaleńczo na pionowe ściany.

Custer wciąż działał dobrze. Rzucił ludzi Calhouna przeciwko Żółci jako pieszą tyralierę, ale Siuksowie zaraz zostawili swoje konie i nacierali czołgając się wśród zarośli, wypuszczając z ukrycia strzały, setki strzał naraz, które zataczając wysokie łuki spadały przerażającymi salwami i przeszywały żołnierzy nie widzących przed sobą żadnego wroga.

Inni Indianie okrążyli kawalerzystów wyznaczonych do trzymania koni, co czwartego w szwadronie, i wywołali panikę wśród zwierząt wrzeszcząc i machając kocami. Od tej chwili Calhoun został unieruchomiony. Potem zaczęli skracać jego linię z obu końców, eliminując jego ludzi jednego po drugim, aż wreszcie poderwali się z traw wielką, nagą, brązową falą z gardłowym okrzykiem wojennym Siuksów „Hoka Hej!” i zalali szwadron Calhouna całkowicie.

To mnie wtedy uderzyło, widok nagich ciał, bo Indianie rozebrali się do przepasek biodrowych i większość nie była pomalowana ani nie miała pióropuszy i innych błyskotek stanowiących zwykle część ich stroju bojowego. Większość walczyła pieszo, bez szaleńczych popisów odwagi i wykorzystując każdą nierówność terenu. A tego, na Boga, nie brakowało na tym okropnym polu walki, było ono z tymi jarami i wąwozami jak gąbka, którą co jakiś czas czyjaś potężna dłoń wyciskała, i wtedy z

każdej szpary wyłazili dzicy zatapiając następną część obrońców i znów znikając w kryjówkach.

A nawet stamtąd zbierali wśród nas nie mniejsze żniwo tymi salwami strzał ze świstem przesywających powietrze, a mieli też strzelców wyborowych z karabinami, chociaż po stronie Indian nie było tak dużo broni palnej, jak myślą niektórzy; po prostu dobrze wykorzystywali tę, którą mieli, przeważnie zresztą jednostrzałową.

Ja miałem siedmiostrzałowego Winchestera, ale dałbym wszystko, żeby go zamienić na jednostrzałowego a dalekonośnego Sharpsa, z którym polowałem na bizona, bo ze świtą Custer'a zajmowaliśmy pozycję na szczycie wzgórza, najdalej od nieprzyjaciela, jak przystoi generałowi w akcji obronnej. Na zboczu poniżej nas rozlokował się gniady szwadron Toma Custer'a, z lewej Keogh zapełniał lukę spowodowaną klęską Calhouna; dalej był głęboki wąwóz, w którym znalazł śmierć szwadron myszaty, a dalej w prawo jeden pluton szwadronu F kapitana Yatesa, spychany przez gwałtowny napór dzikusów, którzy wkrótce przedarli się nawiązując walkę z Tomem i drugim plutonem F.

Było więc dużo do oglądania, jeżeli chodzi o widoki z rodzaju obrzydliwych, i nic do roboty z tej odległości. To znaczy dla mnie, bo Custer miał masę pracy i, jak na razie, sprawiał się dobrze, choć znajdował się w niekorzystnej sytuacji, będąc z natury i wyszkolenia kawalerzystą do szpiku kości, czyli człowiekiem ataku. Nigdy jeszcze nie był tak przyparty do muru, bez możliwości wykonania swojej ukochanej szarży. Nasze konie nie miały tu żadnej wartości i niektórzy ludzie z grupy sztabowej zaczęli zabijać swoje wierzchowce robiąc sobie z nich szańce, bo każdy głupiec widział, że wkrótce bitwa dotrze do szczytu wzgórza. I żeby ci pokazać, jak normalny był w tym momencie generał, powiem, że kazał porucznikowi Cooke'owi zapisać nazwiska żołnierzy, którzy to zrobili, i przysiągł oddać ich pod sąd polowy po powrocie do fortu Lincoln.

Działo się to w następnej sekundzie po wysłaniu do Keogha łącznika z rozkazem, żeby ruszył przeciwko Siuksom, którzy wycięli ludzi Calhouna, bądź co bądź szwagra Custer'a, a obecnie bez wątpienia nieboszczyka, chociaż w miarę upływu czasu widzieliśmy coraz mniej przez gigantyczny całun dymu prochowego i kurzu, zmieniającego środek popołudnia w późny wieczór.

Kiedy więc z kolei Keogh dostał swoje, wywnioskowaliśmy to głównie z nasilenia indiańskich okrzyków, a potem nadeszli ludzie Toma Custer'a, pieszo, bez koni, cofając się krok za krokiem w górę zbocza w stronę naszej pozycji.

I wtedy rozległ się pierwszy strzał z tyłu, gdzie od północnego zachodu było strome zbocze, które opadało do otaczającego nas wąwozu. Nikt nie zwracał na ten teren większej uwagi wobec tysięcy Indian z pozostałych trzech stron, zajęli go więc bez przeszkód. Było ich co najmniej jeszcze tysiąc i teraz nacierając na nas zaczęli wydawać okrzyki „Hoka hej, hoka hej!”, a inni krzyczeli nazwę swojego wielkiego ludu „Lakota! Lakota!”, czyli „Ludzie, Ludzie!”, ale nad wszystkim dominowało proste gardłowe „Hej-Hej-Hej-Hej-Hej!”, które zaczęło się jak werbel pogrzebowy, a potem jego tempo narastało, aż zmieniło się w bełkot szaleńca, ale uporządkowany; ukierunkowana nienawiść, jeżeli potrafisz sobie coś takiego wyobrazić, dzika i bezlitosna, skoncentrowana na jednym celu i głucha na wszystko inne. To byli Czejenowie, którzy znajdowali się teraz w środku świata.

Ten pierwszy strzał z ich strony zabił konia pod Custerem, trafił białonogą Vic w piękną gniadą głowę tuż pod lewym okiem. Osuwała się powoli na przednie nogi jak w jakimś wdzięcznym ukłonie, pozwalając generałowi zsiąść, zanim zwała się na zad.

Najwspanialszy ze wszystkich kawalerzystów został teraz bez konia. Wyglądał na nieco oszołomionego, ale widok nacierających Czejenów zaraz przywrócił mu poczucie rzeczywistości, rozkazał więc żołnierzom zrobić to, co tak niedawno jeszcze potępiał: zastrzelić pozostałe wierzchowce i zrobić z nich przedpiersie. Zanim to zostało wykonane, mieliśmy kilku rannych i zabitych.

Byliśmy teraz całkowicie otoczeni. Szwadron C został przyparty do stromego zbocza pod nami i chmura dymu stała tam, gdzie odjechał Keogh, a kiedy lekki wiatr co jakiś czas rozwiewał tę chmurę, widziało się tylko Indian, Indian, Indian, coraz bliżej i w coraz większej liczbie, aż dziw, że starczało ziemi, żeby ich pomieścić. Przypomniała mi się przepowiednia Bouyera, że jest ich więcej, niż mamy kul. Był mądrym i dzielnym człowiekiem i widziałem, jak padł, kiedy zawracaliśmy od brodu; dotarł najbliżej ze wszystkich do tego wielkiego obozu nad Tłustą Trawą, a przecież był mieszańcem.

Pozostali Krukowie już dawno wrócili do swoich, choć może ten Kędzierzawy obserwował część naszej walki z odległego wzgórza, bo następnego dnia dotarł do „Dalekiego Zachodu” w górze rzeki z wiadomością o masakrze, w którą nikt nie uwierzył. Ale nie było go tam, na naszym wzgórzu. Nie został nikt z przyjaznych Indian, bo Ri odjechali z Reno. Siuksowie i Czejenowie też nie mieli żadnych białych po swojej stronie, jak czasem twierdzili ci, którzy nie chcieli wierzyć, że dzicy mogą bić się tak

dobrze — żadnych byłych oficerów Konfederacji z zastarzalymi urazami, renegatów czy białych niewolników. Nic z tych rzeczy. Nasz przeciwnik był w stu procentach czerwony. Rzecz w tym, że nie walczyli już dla zabawy, tylko nastawili się na zabijanie nas w sposób możliwie najbardziej skuteczny, z jak najmniejszymi stratami dla siebie. Mimo ich ogromnej liczby prawie nie można było znaleźć celu dla karabinu. Skradali się, pełzali i potrafili zniknąć za kępą trawy wielkości kapelusza; za rachitycznym krzaczkiem siedziało ich dwudziestu. Ale jak się ładowało broń, przybliżali się o trzydzieści jardów.

Nasi chłopcy używali swoich Springfieldów, aż zaczęła się ujawniać słabość tej broni, o której wspominał Botts: zamki rozgrzewały się od ciągłego użycia, rozpalone słońce, choć przyćmione błękitną mgiełką, też robiło swoje, wyrzutniki naboju zacinały się i wystrzelone łuski utykały w komorach naboju. Niektórzy próbowali wydłubywać je nożami, łamiąc tylko nadaremno ostrza. W takiej sytuacji człowiek może wpaść w panikę, kiedy setka Indian skrada się w jego stronę, ale prawdą jest, że z chwilą kiedy sytuacja stała się beznadziejna, nie widziałem w naszych szeregach najmniejszych oznak rozprężenia. Siuksowie twierdzili później, że cały pluton na odcinku Keogha i Calhouna popełnił samobójstwo; ja nic takiego nie widziałem i nie uwierzę, że coś podobnego mogło się zdarzyć.

Na tym pagórku nie było tchórzów. Kiedy zacinały się karabiny, żołnierze używali rewolwerów, mniej więcej tak skutecznych, jak kulki z papieru, którymi opluwali się uczniacy za mojego pobytu w Missouri. A Indianie byli tak liczni, że jeżeli nawet któregoś trafiliśmy, nie widziało się, że ich ubyło, nie podnosiło to nas więc na duchu.

Licząc to, co zostało ze szwadronu C poniżej stromego zbocza, i nas na szczycie, sądzę, że było nas siedemdziesięciu pięciu do setki. Nie słyszało się już strzałów z kierunku Keogha i dawno już zapanowała cisza na prawo od nas, gdzie ludzie Yatesa i szwadron myszatyh koni widocznie ulegli, choć za całunem dymu nic nie było widać.

Pałilem bez przerwy ze swojego Winchestera w kierunku Czejenów i mogłem kilku trafić zza trupa swojego indiańskiego konia, któremu strzeliłem w czoło z konieczności, choć nie bez żalu, bo kiedy przyszło co do czego, spisywał się całkiem niezłe. Nie wiedziałem wtedy, że jego dawny pan, Krwawy Nóż, zginął w dolinie z Reno, ale patrząc wstecz myślę, że koń wiedział: kiedy między jego duże smutne oczy przyłożyłem lufę Colta, wyrażały gotowość na śmierć. Odparzenia od siodła znów się

pootwierały podczas tej dzikiej jazdy, więc pod wieloma względami oddałem mu przysługę. Po śmierci był nadal użyteczny, bo wkrótce wyglądał jak jeżozwierz, naszpikowany strzałami, które bez jego osłony podziurawiłyby pańskiego sługę, obecnie do połowy wciśniętego pod jego brzuch, bo te wysokie salwy nasilały się, setki stalowych ostrzy spadało z obłoków kurzawy jak deszcz brzytw. Gość obok mnie, leżący płasko na ziemi, został do niej przybity w dwóch czy trzech miejscach, ale żył, póki szamocąc się nie uniósł głowy, w którą natychmiast zebrał kilka kul, i oddał ducha nadal przyszpilony.

To był właśnie problem: położysz się na płask i zostaniesz przybity do ziemi strzałami, wstaniesz i wystawiasz się na kule, wsuniesz się pod koński brzuch i jesteś chwilowo bezpieczny, ale wyłączony z akcji pozwalając Indianom posuwać się, aż w końcu będą mogli podejść i zabić cię jak węża.

Generał Custer nie rozważał takich ewentualności. Chodził sobie wśród tego wszystkiego, jak na razie nie tknięty. I wcale się nie przemykał, ale kroczył wyprostowany wskazując cele rękami, nieraz w dwóch przeciwnych kierunkach jednocześnie jak stojący krzyż, i wtedy dla tych wszystkich Indian w dole musiał stanowić na tle nieba maksymalnie widoczny cel. Co jakiś czas strzelał z tych swoich Bulldogów, zawsze z klasycznej pozycji, której widocznie nauczył się w West Point, z łokciem zginającym się jak stalowy zawias, przedramię sztywne. Strzały świszczwały wokół niego, ołów śpiewał, a on zachowywał się jak na strzelnicy w jakimś zacisznym forcie.

Było na co popatrzeć, chociaż pokrywał go kurz od krótko ostrzyżonej głowy do czubków butów, spływał potem, niebieską bluzę miał rozchełstaną i twarz jak szorstki kamień od kilkudniowego zarostu. I uśmiechał się! Niech mnie licho, ale to prawda, i słychać było, jak jego ostry głos niesie się wzdłuż grzbietu wzgórza, wzywając żołnierzy, żeby zamknęli lukę w jednym miejscu, rozkazując innym przesunąć się, zawsze pewien siebie i pełen dobrej myśli.

— Wspaniale, wspaniale — mówi stojąc nade mną i kiedy chybiwszy trzema ostatnimi pociskami w magazynku do pełnącego po zboczu Indianina łapałem oddech i spojrzałem na niego, czejeńska strzała przeszła tak blisko jego szyi, że chyba musnęła go piórami.

— Generale — mówię — może pan się schowa?

Ale nie miałem więcej szczęścia niż ze wszystkim, co do niego mówiłem w całej historii naszej znajomości. Spojrzał na mnie oczami błyszczącymi jak turkusy pod kurzem na jego obliczu, fanatyczny jak bożek, i mówi:

— Wspaniale, chłopcy! Zaraz ich stąd przepędzimy!

I poszedł wzdłuż tyraliery trącając dla dodania ducha buty leżących żołnierzy, ale niektóre z nich należały już do nieboszczyków.

Cóż, jego przykład mógł działać budująco na tych, którzy go widzieli. Ja uznałem, że znów popadł w szaleństwo, jak wtedy, kiedy samotnie szarżował bród, co niewątpliwie wyjaśniało, dlaczego omijały go strzały i kule, bo pociski niechętnie trafiają kogoś, kto wyszedł z siebie z powodu szaleństwa albo czarów.

Wznowiłem strzelanie do Indian, a w każdym razie starałem się, podczas gdy roili się w wysokiej trawie na zboczu i ich wężowe głowy wylaniały się na chwilę, zawsze trochę gdzie indziej, niż się człowiek spodziewał, bo byli od urodzenia specjalistami od tego rodzaju walki, i chociaż ja też ją znałem, to nie mogłem wykorzystać swojej wiedzy na pokrytym żwirem szczycie pagórka, gdzie jedyną osłonę stanowiły nasze martwe konie.

Potem znaleźliśmy się pod ogniem z pobliskiego wzniesienia, jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu jardów na południowy zachód, co oznaczało, że szwadron F uległ ostatecznie, bo to oni zajmowali to zbocze. Zewsząd słychać było głośne wystrzały wojskowych karabinów skierowane w naszą stronę, zupełnie inny odgłos, niż kiedy jest się po stronie strzelającej, łatwy do odróżnienia od pukaniny broni z mniejszym ładunkiem prochu.

Indianie byli coraz lepiej uzbrojeni dzięki zdobyczej broni i, co więcej, nie mieli nawet kłopotów z wyrzutnikami, bo nie śpieszyło im się i nie strzelali tak często, żeby przegrzać zamki. Mieli też mnóstwo amunicji z zapasów przy siodłach zabitych kawalerzystów, podczas gdy nam zaczynało brakować nabojów. Konwój mułów znajdował się gdzieś w drodze i jeżeli pamiętasz, Custer wysłał do niego kilka ponagleń, pozostawała tylko drobna kwestia, jak ma się on przedostać przez chmury nieprzyjaciela. Prawdę mówiąc podejrzewałem, że on też został już wybity, tak jak oddziały Reno i Benteena; nie taki głupi wniosek, jeżeli rozumiesz, że doszedłem do niego uczepiony drzazgi, że tak powiem, wśród wzburzonego oceanu dzikusów, w kłębach dymu, który jeżeli rozwiewał się na chwilę, to tylko żeby ukazać dalsze straty.

Teraz był to szwadron C poniżej nas, wybity cały poza garstką ludzi, którzy wspięli się do nas i padali za barykadę z końskich trupów. Niejeden dostał przy tym w plecy i bluzgał krwią na dotychczasową obsadę, która go wciągała, powiększając stale rozrastającą się kostnicę. Toma Custera wśród nich nie było, uznałem więc, że już po nim. Młody Reed znajdował się niedaleko mnie, w jednej chwili obsługiwał swój kosztowny sportowy sztucer, a w następnej leżał martwy z otwartymi ustami i szybko czerniejącym językiem. Bostona nie widziałem w ogóle, prawdopodobnie padł w drodze do rzeki.

Tak więc generał jako osoba prywatna stracił dwóch braci, siostrzeńca i najprawdopodobniej szwagra, jako dowódca większość pięciu szwadronów, a jako kawalerzysta swojego konia. Z drobniejszych rzeczy stracił kapelusz i jeden rewolwer; z drugiego strzelał już klęcząc na jednym kolanie. Miał rozdarte spodnie, a z jego dwurzędowej bluzy odpadła większość guzików, kiedy ją szarpnął na piersi, żeby się ochłodzić.

Mark Kellogg, dziennikarz, leżał twarzą w żwirze, zapewne martwy, chociaż nie miał w plecach ani jednej dziury, i z kieszeni surduta wystawał mu zwitek ostatniej, nie wysłanej korespondencji. Sierżant Hughes, który woził osobisty poręczak Custera, miał okropną ranę brzucha i leżał wijąc się jak gąsienica na szpilce, ale nadal jakoś trzymał sztandar nie pozwalając mu dotknąć ziemi. Ten zwisał bezwładnie, co jakiś czas tylko poruszany przelatującą strzałą.

Nie wspomniałem o swoich ranach, a odniosłem dwie. Zostałem trafiony w lewe ramię kulą chyba z karabinu, bo z niezwykłą siłą poderwała mnie z pozycji leżącej, skręciła mi głowę w przeciwną stronę niż buty i rzuciła mnie plecami na ziemię tak, że długo nie mogłem złapać oddechu. Ale zaraz wróciłem na swoje stanowisko i trafiłem Indianina, który to zrobił, bo widząc, że padam, spokojnie odsłonił się ładując broń, gdyż w odległości trzydziestu jardów z obu moich stron nie było nikogo innego, kto mógłby do niego strzelić. Trafiłem go raz w mostek i na tym poprzestałem, jako że musiałem oszczędzać amunicję. Upadł i jego towarzysze odciągnęli go dalej w trawę, żeby umarł albo wyzdrowiał, nigdy nie miałem się tego dowiedzieć.

To samo robili ze wszystkimi swoimi rannymi, a nasi leżeli wokół nas, zabite konie też, i z powodu upału te ostatnie szybko dojrzewały, w miejscach zranienia mięso zaczynało czernieć i much było na tym wzgórzu jeszcze więcej niż Indian, bo

całe to zamieszanie w niczym nie przeszkadzało tym podłym małym bydłom. Kilka siedziało na moim krwawiącym ramieniu i czułem, jak przebierają łapkami tam, gdzie jeszcze nie czułem bólu. Zostałem również draśnięty strzałą w policzek, pod takim kątem, że krew ściekała mi do kącika ust i tylko jej słony smak zdradził mi, co się stało.

Za to kac znikł bez śladu, wraz z przygnębiającymi skutkami dwóch bezsennych nocy; okazuje się, że nic tak nie rozjaśnia w głowie, jak dobra masakra. Nigdy ani przedtem, ani potem mój wzrok nie był tak bystry. Szkoda, że nie miałem nic do oglądania prócz krzaków i wrogich dzikusów, bo byłem przekonany, że moje patrzenie wkrótce się skończy, tak jak i wszystko inne. Zostało nas nie więcej niż trzydziestu do czterdziestu. Nie wiedziałem, jak długo już walczymy; czasami wydawało się, że całe życie, a czasami, że zaledwie jedno kichnięcie dzieliło nas od galopu wąwozem Czarodziejski Ogon, a potem na to wzgórze.

Poczułem, że ktoś pada w pobliżu, odwróciłem się i zobaczyłem, że to porucznik Cooke, jego wspaniałe bokobrody spływały krwią. Czołgał się wzdłuż linii i na sekundę, która była jego ostatnią, uniósł się za wysoko. W tym momencie pojawił się Custer, już nie wyprostowany, ale szorujący brzuchem po żwirze. On też był we krwi, nie swojej jednak, bo sam nie został jeszcze ranny.

— Cooke — mówi i trącił martwą postać adiutanta. — Cooke, zawiesz rozkaz dla Benteena. — A potem, wypluwając piasek i kamyki, dodaje: — Cooke, zapisz to: „Przyjeżdżaj jak najszybciej, a zwycięstwo będzie nasze...” Zapisalesz, Cooke?

— On nie żyje, panie generale — mówię.

— Zapisz nazwisko tego, co to powiedział — warknął Custer, a jego przekrwione oczy nie patrzyły ani na adiutanta, ani na mnie, tylko na głowę mojego martwego konia.

Nie wiem, chyba zrobiło mi się go żal, bo wziąłem na siebie rolę Cooka i Custer nic nie zauważył.

— Rozkaz — mówię — zajmę się tym.

Custer mruknął coś, odwrócił się na plecy, z rękami pod głową, spojrzął w niebo i uśmiechnął się, jak ktoś, kto zna jakąś tajemnicę. W górze przeleciała kolejna nawałnica strzał, odbijając słońce wypolerowanymi ostrzami grotów i spadając jak grad przed jego oczami.

Custer nawet nie drgnął — tak się składało, że wyrządzały teraz mniejsze straty, bo niewiele już zostało celów — tylko mówi swobodnym tonem, jak dobroduszny profesor:

— Biorąc go takim jakim jest, w czasie wojny czy pokoju — strzały tymczasem ze świstem wbiły się w ciała martwych ludzi i koni — w kraju czy za granicą — ciągnie Custer łagodnym głosem — odrzucając wszelkie przesady i wyzbywając się wszelkiej stronniczości, znajdziemy w Indianinie ciekawy przedmiot studiów i badań.

Przez minutę czy dwie usiłowałem zniechęcić do zbliżania się około pięćdziesięciu dzikich; naboje mi się kończyły, bo w miarę jak zostawało nas coraz mniej, musiałem strzelać z większą częstotliwością. Przez ten czas Custer leżał gaworząc do siebie.

Ładując broń słyszałem, jak mówi:

— Należy żałować, że charakterystyka Indianina zawarta w interesujących powieściach Coopera nie jest zgodna z prawdą. Odarty z romantycznego nimbu, którym tak długo chcieliśmy go otaczać, przeniesiony z pasjonujących stron literatury do miejsc, w których zmuszeni jesteśmy go spotykać, Indianin traci prawo do nazwy czerwonoskórego dżentelmena.

Chmury, dymu rozstały się nad nim, a on uśmiechał się do skrawka błękitu i robił mu wykład unosząc w górę brudny palec.

— Widzimy go w prawdziwej postaci i okazuje się, że jest i zawsze był dzikusiem w każdym znaczeniu tego słowa.

Trzeba mu przyznać, że znalazł sobie wielce odpowiedni temat, jako że jego wywodom towarzyszył ogień karabinowy i wycie pięciu tysięcy przedstawicieli omawianej rasy, a wydawało mi się, że słyszę też od strony rzeki szatański skowyt kobiet, i wiedziałem, co to oznacza: dorzynały naszych rannych chłopców i profanowały zwłoki.

Ale wtedy zwróciłem uwagę na wspomniany już rozstęp w chmurze dymu, bo dzięki jakiemuś prądowi powietrza sięgał coraz dalej na południowy wschód i po chwili odsłonił widok na co najmniej trzy mile pagórków i wądołów, przez które prowadziła nasza droga. Słońce świeciło teraz nad wzgórzem, z którego Custer po raz drugi spojrzął na wioskę, a na twarzy młodego Reeda odczytałem zapowiedź śmierci, która już go spotkała.

I coś się tam poruszało! Indiańska pierzasta lanca nie byłaby widoczna z tej odległości, pióropusz wojenny nie mógł tak trzepotać, powiewający koc byłby ciemniejszy i większy, a poza tym wszyscy Indianie świata zebrali się przecież na naszym wzgórzu. Musiał to być kawaleryjski proporzec, uznałem, chociaż z tej odległości nie potrafiłem określić koloru.

— Panie generale — wrzasnąłem przerywając monolog Custer — niech pan spojrzy, niech pan spojrzy!

Pamiętasz pewnie jego szaleńczy samotny galop w stronę brodu, kiedy to uratował go Mitch Bouyer. Potem znów zachowywał się normalnie i dowodził najlepiej, jak można było w tej sytuacji, a teraz wydawało się, że jest z nim jeszcze gorzej, bredził przecież od rzeczy, ale mimo to krzyczałem do niego dalej, aż wreszcie zwrócił na wschód swoje nieprzytomne oczy, które wtedy natychmiast się rozjaśniły.

— To Benteen! — rzucił i zerwał się na nogi, znów wyprostowany wśród gradu pocisków i niedostępny dla nich. — Dalej, chłopcy — krzyknął do leżących na szczycie wzgórza żywych i umarłych — dajcie salwę, żeby im wskazać drogę!

Potem wyjął z dłoni martwego Hughesa swój proporzec i zataczał nim wielkie półkola, a my na komendę jedyne go pozostałego przy życiu porucznika z ręką całą we krwi daliśmy wspólnie ognia ze wszystkiego, co jeszcze strzelało, może ze dwadzieścia karabinów i parę rewolwerów, wystarczająco, żeby narobić dobrego hałasu.

Potem Custer wezwał trębacza, ale żaden już nie żył, rozkazał więc dać drugą salwę i chciał dać trzecią, ale oficer poinformował go, że na trzecią nie mamy już amunicji. Wtedy zobaczyłem, że część Indian, z tych bardziej od nas oddalonych, o pół mili albo więcej, dosiada koni i kieruje się w stronę wzgórza, na którym dojrzelśmy, jak nam się zdawało, Benteena, i uznałem, że oni go też zobaczyli.

To odległe trzepotanie trwało przez jakiś czas nie zbliżając się jednak, a potem dym naszych salw przesłonił nam widok i już go więcej nie ujrzeliśmy. Ostatnia nadzieja i przy tym zapewne nierealna, bo nie sędzę, żeby mógł się do nas przedrzeć ze swoją setką i z podobną liczbą ludzi Reno, a gdyby nawet, to też by zginęli. Cóż, można dziś przeczytać, jak to próbował, ale został powstrzymany przez ten ruch Indian w jego kierunku i wtedy razem z Reno wycofali się na wzgórze, gdzie wkrótce zostali otoczeni przez ten sam tłum, który wykończył nas.

Ale ja powiem jedno, choć może nie jest to bezstronne z powodu mojej własnej sytuacji: Benteen nie bardzo się wysiłał, żeby nas ratować. Tylko kilkuset Indian

przegrodziło mu wtedy drogę, a tymczasem my powstrzymywaliśmy ich tysiące. On dysponował transportem amunicji, nam zabrakło nabojów na trzecią salwę. On jeszcze nie zaczął walczyć, nasze karabiny zacinały się z przegrzania.

Reno może i był tchórzem, ale nie Benteen, który nie bał się nikogo — ani Indian, ani Custer — a poza tym był człowiekiem honoru, tak uwielbianym przez żołnierzy, że nie mogłem już słuchać, jaki to z niego wspaniały dowódca. Co mogło wynikać z mojego uprzedzenia do sławy, jako że w świecie białych byłem zazwyczaj zdany na samego siebie, ale teraz Custer miał zginąć, a Benteen żyć, co musisz przyznać, robi pewną różnicę.

Tak więc walczyliśmy dalej, pomoc nie nadeszła, nasze karabiny i rewolwery milkły jeden po drugim, ale Indianie wciąż nie podrywali się do ataku, tylko podpływali coraz bliżej, jakbyśmy się znajdowali na coraz mniejszej wysepce pośrodku wzbierającej rzeki. W końcu wystrzeliłem swój ostatni nabój karabinowy, rozwaliłem kolbę o kamień i nasypałem piachu do komory zamkowej. Nie zniszczyłem w ten sposób broni na dobre, ale przynajmniej żaden dzikus nie mógł jej użyć przeciwko mnie nie wkładając w nią uprzednio trochę pracy. Potem wyciągnąłem Colta i chciałem wydobyć nóż zza cholewy lewego buta, ale stwierdziłem, że lewą rękę mam całkowicie bezwładną z powodu tej rany w bark; nie czułem bólu, po prostu ręka była jak z drewna. Pomyślałem, że zanim dojdzie do noży, to i tak będę już nieboszczykiem, zrezygnowałem więc z tego pomysłu.

Mniej więcej wtedy wrócił Custer. Poszedł na skraj naszej pozycji, skąd usiłował dawać Benteenowi znaki swoim proporcem. Indiańska kula rozłupała mu drzewce i teraz trzymał tylko jego połówkę. On sam jednak pozostawał ciągle nie zdraśnięty, chociaż znać na nim było ślady dymu, kurzawy, upału i szaleństwa.

Patrzę na niego i widzę, że tymi swoimi niebieskimi oczami świeącymi z maski brudu wpatruje się w białą mgłę na południowym zachodzie, a potem mówi na głos do siebie:

— Benteen nie przyjedzie. On mnie nienawidzi.

Przestałem przejmować się tym, że stoi. Teraz już nie miało znaczenia, czy go trafią, a poza tym nawet mnie dodawało to ducha, bo powiadam ci, powyżej dwóch stóp od ziemi panowała pewna śmierć. Nawet mucha nie mogła tam przelecieć, przestaliśmy więc przyciągać te owady, choć z drugiej strony te, które już ucztowały

na naszych poszarpanych ciałach, z tego samego powodu nie mogły odlecieć, kiedy się już nasyciły.

Custer nie śpiewał jak Skóra Ze Starego Szalasu nad Washitą, kiedy zwracał się do swoich bogów i szedł otoczony czejeńskimi czarami. Nie, generał pozostawał nietknięty, bo był Custerem, był najlepszy ze wszystkich, niezwykły nawet w klęsce i zawsze miał rację. Trudno nie podziwiać podobnej pewności siebie, nawet jeżeli budzi ona w człowieku antypatię. Odczuwałem i jedno, i drugie.

— Tak pana nienawidzi, że pozwoli zginąć dwustu ludziom po to, żeby pana załatwić? — pytam.

— Złośliwość — mówi Custer wolno — złośliwość i zawiść. Musiałem stawiać im czoło przez całe życie.

Mówił spokojnie, a nasza broń robiła już tak niewiele hałasu, że słyszałem każde słowo.

— Chętnie zostałbym jego przyjacielem, ale uniemożliwiła to zazdrość. Za każdy swój sukces płaciłem utratą ludzkiej sympatii. Ludzie kochają tylko słabych, poganiaczu. A teraz zrób z tego żart.

Był całkiem przytomny, jak widzisz, bardziej niż kiedykolwiek, odkąd stanęliśmy na tym wzgórzu. Znowu mnie rozpoznał, w mojej fałszywej roli, rzecz jasna, ale przynajmniej już nie gadał do siebie. Uśmiechnął się przez warstwę brudu i wbrew temu, co przed chwilą powiedział, wcale nie z goryczą, ale jakby z pogodną rezygnacją. Potem oddał kilka strzałów ze swego rewolweru do określonych celów, sądząc z postawy i starannego celowania, nadal trzymając w lewej ręce swój postrzępiony bojowy proporzec ze strzaskanym drzewcem.

I wtedy został trafiony, raz tylko — dziura w bluzie tuż nad sercem. Obrócił się trochę, pod wpływem siły uderzenia, wypuścił proporzec i przyłożył dłoń do rany, bardziej jakby w ukłonie niż z bólu. Potem padł na wznak rozrzucając ręce jak na krzyżu, ale na jego zamkniętych ustach nadal widniały ślady uśmiechu. Jakby zasnął na pikniku. Nie widziałem, żeby krwawił, ale przecież musiał. W końcu pogodziłem się z faktem, że był wielkim człowiekiem, bo był nim niewątpliwie, nie pozwól sobie wmawiać, że nie, a jeżeli jesteś innego zdania, to może masz jakieś dziwne wyobrażenie o wielkości. Nikt nie może zaprzeczyć, że Custer miał klasę.

Po jego śmierci zostało nas może dwunastu i broniliśmy się jeszcze przez pół godziny. Nie mogę powiedzieć, czy pozostali żołnierze, bo oficerowie zginęli już

wszyscy, wiedzieli, że generał nie żyje. Byli zajęci swoimi własnymi sprawami, pojedyncze drobiny życia rozsiane wśród martwych i umierających. Ogólne pojęcia oddziały, wodza i nawet rasy były teraz trudno uchwytnie, bo walka na śmierć i życie sprawia, że ludzie stają się bardzo jednostronni. Gdyby Benteen zjawił się teraz, pewnie przywitalibyśmy go ogniem.

Ale on oczywiście się nie zjawił i trąbka, odzywająca się na zboczu od strony rzeki, została wyjęta z dłoni martwego trębacza przez Siuksa, który rzecz jasna nie znał żadnych sygnałów i wydobyl z niej tylko kilka fałszywych dźwięków. Indianie wznosili też okrzyki albo zawodzili falsetem, a że nie musieli już oszczędzać amunicji, urządzali więc wielką strzelaninę na wiwat i dym stał gęsty jak budyń.

Wciąż nie atakowali. Wreszcie zostały mi w rewolwerze dwa lub trzy naboje i myślę, że reszta miała tyle samo albo i mniej, i w ogóle przestaliśmy strzelać. Chciałem rozejrzeć się po raz ostatni, żeby zobaczyć, w jakim towarzystwie przyjdzie mi umrzeć, ale bezwład od ramienia przeniknął mi już całe ciało, złożyłem więc głowę na brzuchu mojego konia, z którego uszło już całe ciepło, i z Coltem w ręku czekałem.

Czekałem, czekałem... Wkrótce całe pole bitwy o powierzchni może mili kwadratowej umilkło, zapadła taka cisza, że słyszałem brzęczenie muchy przy mojej ranie na twarzy i wtedy ruszyłem policzkiem, na którym krew zaschła jak pasek lakierowanej skóry, i usłyszałem trzask, kiedy to pękło. Można było pomyśleć, że wszyscy poszli sobie do domu.

Dziesięć minut, piętnaście... Tego czasu nie można było zmierzyć na żadnym zegarze, mogło minąć trzydzieści sekund albo dwie godziny, aż wreszcie usłyszałem szelest po drugiej stronie konia. Spojrzałem i zobaczyłem głowę Indianina z jednym dużym orlim piórem i szkarłatnym przedziałkiem w czarnych włosach, podnoszącą się wolno po stronie grzbietu zwierzęcia. Miał szeroką brązową twarz i nie był pomalowany.

Wylot lufy znajdował się diablo blisko, kiedy strzeliłem, i mózg Indianina rozprysnął się, zanim oczy zrozumiały, co się dzieje. Potem wszędzie po naszej stronie gorączkowe strzały, krótka szamotanina, krzyki i to był koniec.

Prawie jednocześnie otrzymałem cios w czaszkę i miałem tysięczną część chwili, żeby poczuć, że coś spadło mi na plecy, coś lekkiego, ale dużego. Uznałem, że to Śmierć, i pomyślałem: ty zdradziecka wiedźmo, mogłem się domyślić, że zajdziesz mnie od tyłu.

29. ZWYCIĘSTWO

Poczułem zapach czegoś ostrego, potem wiele innych zapachów, potem usłyszałem bęben, najpierw tylko jeden duży w tyle czaszki, którego uderzenia stopiły się w przeciągły tępy grzmot, później równomierne dudnienie tych bardziej oddalonych. I głosy, oszalałe, od głębokiego gardłowego wycia do najwyższego wibrującego falsetu, prawie przechodzącego w gwizd.

Otworzyłem oczy bardzo ostrożnie, spodziewając się zobaczyć piekło, i rzeczywiście pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, były płomienie, a drugą sam diabeł, dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałem, a może jeszcze gorszy: dwa rogi sterczące z czoła, twarz szkarłatna, dwa duże białe kły i najbardziej nieprzyjemne oczy na świecie, obramowane białymi kręgami.

Przykucnąwszy wpatrywał się we mnie i ponieważ spodziewałem się, że może mnie ugryźć lub coś takiego, a byłem zbyt obolały i słaby, żeby się ruszyć, chciałem przynajmniej napluć mu w pysk, bo uważam, że demony muszą działać na podobnej zasadzie jak ludzie: okazał, że jesteś bezbronny, a możesz nie liczyć na litość.

Zanim jednak zdołałem zebrać dość śliny na języku, diabeł odezwał się do mnie po czejeńsku.

— Nie śpisz? — pyta.

To miało sens. Zostałem zabity przez Indian, trafiłem więc do piekła czerwonoskórych.

— Nie, nie śpię — mówię i na tym poprzestaję, bo chętnie posłałbym mu wiązanekę, ale jak już wiesz, w języku Czejenów nie ma prawdziwych przekleństw poza możliwością nazwania mężczyzny babą.

— Dobrze — mówi on. — W takim razie wiesz, że teraz jesteśmy kwita i w następnej walce mogę cię zabić nie stając się złym człowiekiem.

Po czym zrywa się z okrzykiem radości i wybiega z tipi, bo tam się znajdowaliśmy, i okazało się, że poza czapą z bizona, przepaską i mokasynami jest goły, choć pomalowany od stóp do głów. Nie był to żaden diabeł, tylko Indianin. Ściśle biorąc, Młodszy Niedźwiedź.

Płomienie pochodziły oczywiście z małego ogniska pośrodku szałas, a przez odsłoniętą klapę wejściową widziałem blask większego ogniska na zewnątrz i cienie wielu poruszających się ciał.

— On idzie tańczyć — odzywa się w pobliżu znajomy głos — ale ty lepiej zostań jeszcze trochę.

Obok mnie siedział Skóra Ze Starego Szalas, a blask ogniska odbijał się od jego orzechowego oblicza.

— Czy chcesz jeść? — pyta.

Z trudem uniosłem się do pozycji siedzącej, czując się jak worek mąki, i obmacałem uszkodzone fragmenty mojej osoby. Lewe ramię miałem opatrzone skórą, mchem i jakąś słodkawo pachnącą miksturą, zraniony policzek pokrywało coś jak wyschnięta glina. Głowa była w porządku, to znaczy bolała okropnie, ale nie wyczułem żadnego pęknięcia.

Wtedy mówię:

— Dziadku, nie myślałem, że cię zobaczę.

— Ja też nie, mój synu — odpowiada Skóra Ze Starego Szalas. — Czy chcesz zapalić?

— To znaczy, że nie jestem zabity — mówię.

Wyciąga rękę i dźga mnie twardym jak róg paluchem.

— Nie — mówi — gdybyś był duchem, moja ręka przeszłaby przez ciebie jak przez dym. — To, że z nim rozmawiałem, nie miało, uważasz, najmniejszego znaczenia, bo często rozmawiał ze zmarłymi, i to nie tylko z ludźmi, ale i ze zwierzętami.

Spytałem go o czas.

— Ludzie i Lakotowie wybili wszystkich tych żołnierzy na wzgórzu — mówi Skóra Ze Starego Szalas — kiedy słońce stało tutaj. — Pokazał mi ręką punkt na horyzoncie; wyglądało to na wpół do szóstej albo szóstą. — Teraz — mówi — jest noc po tym dniu i wszyscy tańczą, żeby uczcić zwycięstwo. Jutro zabijemy resztę niebieskich kurtek na tym wzgórzu w dole rzeki. To był wielki dzień. Wzdycha i mówi dalej:

— Jestem już za stary, żeby się bić, i jak wiesz, nie widzę już na oczy, ale chłopiec zaprowadził mnie na wzgórze nad Tłustą Trawą, powyżej miejsca, gdzie byli

żołnierze. Mogłem słyszeć bitwę, wachać ją i widzieć bardzo dużo w myśli, co w takiej sytuacji jest lepsze niż oczy, bo powiedziano mi, że dym był bardzo gęsty. Jest tu prawie cały naród Lakotów i są to znakomici wojownicy, drudzy na całym świecie. Bo, rzecz jasna, Ludzie są niezrównani.

Zaczynał się podniecać, na jego gołym starczym brzuchu z dawną blizną pokazały się krople potu, ślepe oczy rozbliły.

— Hunkpapowie mają czarownika imieniem Siedzący Byk. Kilka dni temu, kiedy odprawiali nad Pączkiem Róży taniec słońca, skaleczył swoje ciało w stu miejscach i miał widzenie, jak dużo żołnierzy spada do obozu głową w dół. Potem pojechaliśmy do źródeł zapolować na bizony i jacyś żołnierze strzelali do nas, Więc ich zabiliśmy.

Mówił prawdopodobnie o ciągnącej z południa kolumnie pod komendą generała Crooka i wyjaśniało to, dlaczego nie doszło do jego spotkania z Terrym i Custerem.

— Wtedy — mówił dalej Skóra Ze Starego Szałas wyciągając z kupy szmelcu za plecami toporek i wymachując nim — przenieśliśmy się tutaj nad Tłustą Trawę i niektórzy uważali, że tamci pierwsi żołnierze byli tymi ze snu Siedzącego Byka, ale inni mówili: „Nie, bo nie spadli do obozu. Przyjdą jeszcze inni.” Ja nie wtrącałem się do tej dyskusji, bo Byk jest co prawda mądry, ale sława uderza mu do głowy i Żółć zaczynał być o niego zazdrosny. Co nie jest dobre.

Mogłem temu przytaknąć po ostatnich tygodniach spędzonych przy Siódmym Pułku Kawalerii i z pewną ulgą usłyszałem, że zdarza się to także wśród Indian. Wszystko to działo się w zewnętrznej części mojego umysłu, bo najgłębszą warstwę przez następne dni, miesiące i lata zajmowały wciąż tamte ostatnie chwile na wzgórzu z Custerem. Człowiek nie jest już nigdy taki sam po tym, jak miał umrzeć i nie umarł.

Skóra Ze Starego Szałas mówił i mówił do późna w nocy, a tymczasem na zewnątrz dudniły bębny i trwał taniec zwycięstwa, wielkie ogniska rozświetlały całą dolinę, a Reno i mały oddziałek Benteena kryli się na wzgórzach. Podsypiałem co jakiś czas mając ku temu zresztą wszelkie powody i nie myślę, żeby stary wódz uważał to za brak manier, bo mówił i tak niekoniecznie do mnie.

Po masakrze nad Washitą on i jego grupa udali się na północ, przez Kansas i Nebraskę na Terytorium Dakota. Około ośmiuset mil i większość z tego na piechotę, bo jak pamiętasz, Custer wystrzelał ich konie, reszta tamtego obozu uciekła i Skóra Ze

Starego Szalasu z niedobitkami swoich ludzi nie mógł liczyć na żadną pomoc. Kiedy w tej swojej wędrówce zbliżali się do ranczerów i kowbojów, nie wspominając o żołnierzach, strzelano do nich odruchowo, że tak powiem, a ilekroć zobaczyli bizona, byli tam też biali myśliwi z dalekosiężną bronią, zabijającą zwierzynę lub Indian z odległości pół mili. Ludzie nie przejadali się podczas tego długiego marszu.

Spytałem o Promyk Słońca i Gwiazdę Poranną i wódz powiedział, że ich tam nie było, a ponieważ nie słyszał, żeby zostali zabici, uznał, że widocznie przyłączyli się do tych Czejenów, którzy pozostali na południu z Kiowa i Komańczami. Nigdy więcej o nich nie słyszałem ani ich później nie szukałem. Jeżeli Poranna Gwiazda żyje jeszcze gdzieś w Oklahomie, to jest osiemdziesięcioletnim mieszkańcem, a jego mama jest o dwadzieścia lat starsza, i zawsze miałem nadzieję, że posiadali kawałek ziemi z odrobiną ropy i nigdy nie musieli zarabiać na życie sprzedając turystom pamiątki.

Potem bez pytania Skóra Ze Starego Szalasu powiedział:

— Ta kobieta Młodsze Niedźwiedzia, z żółtymi włosami, umarła w czasie długiego marszu na północ, a ich chłopaka, też z żółtymi włosami, porwali nam żołnierze podczas bitwy nad strumieniem o nazwie Zaczarowany Ptak. Mój syn, Mały Koń, zginął w tym samym miejscu, wielu innych też, i mało kto pozostał przy życiu, kiedy dotarliśmy w te okolice. Ale tutaj spotkaliśmy innych północnych Ludzi i stare niesnaski wynikające z błędów młodości poszły w niepamięć, przyjęli nas więc do siebie i nasza przyjaźń z Lakotami zacieśniła się, bo wielki Oglala imieniem Szalony Koń ożenił się z naszą kobietą. Polowaliśmy i jedliśmy dobrze, bo są tu jeszcze bizona, i przyłączyli się do nas inni, wojownicy jak Żółć i Kruk King, wojenny wódz Ludzi Kulawy Biały Człowiek, a także Dwa Księżycy, a Siedzący Byk robił czary i w zeszłym tygodniu pobiliśmy żołnierzy nad Pączkiem Róży, dzisiaj zabiliśmy jeszcze więcej nad Tłustą Trawą, a jutro zabijemy resztę na wzgórzach.

Można chyba powiedzieć, że Olga padła jeszcze jedną ofiarą tego, co Custer zrobił nad Washitą, ale on stał już poza moimi pretensjami, a ona i tak od dawna nie była moją kobietą. Biedna Szwedka, miała pokrecone życie.

Co do Gusa, to w późniejszych latach szukałem go na środkowych równinach, ale żaden biały ani Indianin nigdy nie słyszał o strumieniu Zaczarowany Ptak, widocznie było to jego czejeńskie imię. I tak nie trafiłem na ślad swojego chłopaka. Ale jeszcze i teraz chciałbym go odnaleźć i dałbym złotą dwudziestopięciodolarówkę osobie, która udzieliłaby mi informacji na jego temat.

Mały Koń też zginął, nie będzie już nosić sukni haftowanych paciorkami i demonstrować swoich wdzięcznych ruchów.

— To chyba Młodszy Niedźwiedź zdzielił mnie w głowę tam, na wzgórzu — mówię.

— Tak — odpowiada Skóra Ze Starego Szałas. — Potem zarzucił na ciebie koc i przeniósł cię przez rzekę do mojego tipi. Nie było to łatwe, bo kiedy padł ostatni żołnierz, nasi ludzie oszaleli z radości i w zamieszaniu Indianin kładł trupem Indianina, i wiele rąk wyciągało się w stronę brzemienia Młodszego Niedźwiedzia, żeby cię rozszarpać, ale on miał dług do spłacenia, a ja nie mam już innych synów oprócz ciebie.

W końcu udało mi się zasnąć na kilka godzin, pierwszy prawdziwy odpoczynek po dwóch dniach znoju i rozlewu krwi. Może to zabrzmieć dziwnie, ale czułem się bezpiecznie i swojsko w tym tipi z rozgadany starym ślepcem, chociaż na zewnątrz dzikie podniecenie wciąż narastało i podejrzewam, że następnego dnia niejednego Indianin cierpiał na ból gardła i był bardziej obolały od tańca niż od walki.

Ale większość z nich zerwała się skoro świt, żeby otoczyć wzgórze, na którym stali Reno i Benteen. Nie mogłem nic na to poradzić, chociaż nie sprawiała mi przyjemności myśl, że Lavender, Charley Reynolds, Botts i inni moi znajomi znajdują się teraz wśród ludzi Reno, jeżeli nie zginęli wcześniej w dolinie. Byłem z własnej woli unieruchomiony w tipi Skóry Ze Starego Szałas, jeden biały człowiek gdzieś pośród ogromnego nagromadzenia szałasów, które poprzedniego dnia razem z Custerem oglądałem z góry.

Obudziłem się w znacznie lepszym stanie fizycznym, na ramię wprawdzie musiałem bardzo uważać, ale sztywność prawie mi przeszła i niemal czułem, jak mech, czy co tam mi przyłożyli, wyciąga jej resztki. Sądziłem, że mam roztrzaskany staw barkowy, ale jeżeli tak było, to jakoś się zaleczył w ciągu następnych dni i sprawiał mi mniej kłopotów przez resztę życia niż ta stara rana z Dodge City w drugim ramieniu.

Rozpruta twarz również jakoś się cerowała pod plastrem z gliny i przypominałem sobie o niej tylko, kiedy się śmiałem, co w tamtej sytuacji zdarzało mi się rzadko.

Kiedy się ocknąłem i badałem swoje uszkodzenia, Skóra Ze Starego Szałasu nadal siedział na swoim miejscu. Na dworze był znów ciepły, bezchmurny dzień, słońce przenikało przez pokrycie szałasów, ogień wypalił się do białego popiołu.

— Kto mnie leczył? — spytałem.

— Młodszy Niedźwiedź — odpowiada wódz. — Czy chcesz teraz jeść?

Na to od ogniska kuchennego na zewnątrz wstaje jedna z jego tłustych żon i przynosi mi miskę gotowanego mięsa bizona. Wszystko szło swoim trybem, bo wzgórze Reno było po drugiej stronie wody na jednym końcu obozu, podczas gdy krąg Czejenów stał jako ostatni w drugim końcu, najdalej wysuniętym w dół rzeczki, i odgłos strzałów tu nie docierał, tak wielka była ta wioska.

Wziąłem miskę z rąk kobiety, która mi ją z obojętnym wyrazem twarzy podała, zjadłem trochę i mówię:

— Dziadku, czy chcesz usłyszeć, dlaczego byłem wśród tych żołnierzy? — Bo on sam nigdy by nie zapytał.

— Jestem pewien, że miałeś bardzo ważny powód — mówi wódz. — Zapalmy najpierw.

Wypaliliśmy więc fajkę i wtedy mówię:

— Czy wiesz, kto dowodził niebieskimi kurtkami? Generał Custer.

Spróbował dwa albo trzy razy, ale nie mógł wymówić nazwiska, które nic dla niego nie znaczyło.

— Długie Włosy — mówię. — Tylko teraz obciął je krótko.

— Teraz są pewnie odcięte — śmieje się z typowo indiańskim humorem.

— Washita — mówię. — Dowodził tam niebieskimi kurtkami.

— A tak — Skóra Ze Starego Szałasów pogodnie skinął głową — pamiętam tę walkę. Było niedobrze, ale zabiliśmy dużo żołnierzy w wysokiej trawie.

Byłem równie uparty jak on i ciągnąłem swoje.

— Czy nigdy nie mówiliście o tym, kto tam prowadził żołnierzy?

— Białe — mówi stary wódz. — Wszyscy tam byli biali poza kilkoma zwiadowcami od Osadźców, musieli więc iść za jakimś białym, bo nikt nie chciałby iść za Osadźcem.

Potem przeszedł do relacjonowania swoich własnych doświadczeń walk z Osadźcami w młodości i długo nie mogłem wrócić do tematu.

— Ten człowiek nosił włosy do ramion — mówię.

— Jak Ludzie? — pyta Skóra Ze Starego Szalasu.

— Nie, nie zaplatał ich w warkoczyki.

— To znaczy jak biała kobieta — mówi wódz. — Czy on był himaneh?

Wyraźnie mi nie szło. Może się to wydać dziwne, ale uważałem, że jestem coś winien Custerowi. Ostatecznie przeżyłem go i choć, jako żywo, nie był stuprocentowo w moim guście, ale zrobił na mnie wrażenie umierając tak, jak umarł. Wypracował sobie pewien styl i pozostał mu wierny. Chociaż kawał skurwiela, ale był zawsze sobą, nigdy się nie skarżył, nie skamlał i nie płaszczył się przed nikim, nawet przed prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ale widocznie nie mogłem przekazać tego Indianinowi, bo niezależność była wśród nich regułą, a nie wyjątkiem, i w związku z tym nie dawała szczególnego powodu do chwały. Również żaden z nich, bez względu na stopień popularności — ani Szalony Koń, ani Siedzący Byk, ani Żółc — nie mógł rozkazać dwustu innym ludziom, żeby zginęli z nim razem. Na tym polegała różnica. Jakikolwiek były przekonania Custera, nie zginął sam. Tak więc z punktu widzenia białych mógł uchodzić za człowieka z zasadami, a w oczach Indianina za kogoś w ogóle pozbawionego zasad. Zwłaszcza że żołnierze, w odróżnieniu od dzikich, nie walczyli dla zabawy.

Postanowiłem zmienić temat, ale jak było do przewidzenia, Skóra Ze Starego Szalasu teraz się nim naprawdę zainteresował.

— Chcę iść zobaczyć tego niezwykłego człowieka — mówi — albo to, co z niego zostało. Zaprowadzisz mnie na to wzgórze, mój synu?

Wolałbym ułożyć się do snu w ognisku, ale Skóra Ze Starego Szalasu wskazał, że wszyscy wojownicy są o kilka mil stąd w górze rzeczki, że kobiety i dzieci zakończyły obdzieranie i masakrowanie zwłok poprzedniego wieczoru, będzie więc tam spokój, że mogę założyć bizonią czapę jak Młodszy Niedźwiedź, skórzaną koszulę i nogawice oraz pomalować twarz. Nie wspominając o tym, że będę w jego towarzystwie.

Jego żony pomogły mi się przebrać skracając zapasowe nogawice wodza, kręciła się też przy nich dwójka dzieci, najpewniej jego, najwyżej sześć- lub siedmioletnich, a on miał przynajmniej dziewięćdziesiątkę. Potrzebowałem też przepaski i któraś z kobiet wręczyła mi proporzec jednego ze szwadronów Siódmego Pułku Kawalerii, wersję amerykańskiego sztandaru, tylko w kształcie jaskółczego

ogona. Z przyjemnością stwierdzam na użytek braci patriotów, że nie wykorzystałem go do tego celu. Nigdy nie przeklinam w obecności dam i nie znieważam barw narodowych, nawet w stanie wyższej konieczności. Użyłem swojej chusty.

Tymczasem te żony weszły w swoją rolę i wśród chichotów przebierały mnie za dzikusa pełną gębą, obwieszały mnie naszyjnikami i innymi bibelotami, aż wreszcie wystąpiły z wyszywanym pasem, do którego przyczepiły kilka świeżych skalpów.

— Nie, nie — broniłem się, a one wpychały mi go wśród ptasich skrzeków i wtedy moja dłoń natrafiła na jeden ze skalpów, który był bardzo czarny i wełnisty. Złapałem go, podniosłem do góry i pytam: — Skąd to macie?

Z wymiany, mówią, za jasne włosy, które Młodszy Niedźwiedź dał Siuksowi Hunkpapa, jednemu z tych, co walczyli wyżej w dolinie w pierwszej bitwie z niebieskimi kurtkami.

Nie wiem, czy potrafisz zrozumieć, co czuje człowiek trzymając w ręku skalp przyjaciela.

— To jest skalp Czarnego Białego Człowieka — mówi najtłustsza żona — którego ten Hunkpaps poznał, bo on żył kiedyś z ich plemieniem i ożenił się z kobietą Lakotów. „Co tu robisz?“, spytał zdziwiony Hunkpapa. „Nie wiem“, odpowiedział Czarny Biały Człowiek. Koń go zrzucił i leżał na ziemi ze złamaną nogą, a jego karabin trochę dalej. „Strzelałeś do nas i myślę, że powinienem cię zabić“, powiedział Hunkpapa. „Chyba tak“, zgodził się Czarny Biały Człowiek i Hunkpapa go zabił.

Myślę, że i tak było to lepsze niż harować przez całe życie jako tragarz gdzieś w Missouri.

Wziąłem Skórę Ze Starego Szałas za rękę, wyszliśmy z tipi i ruszyliśmy w stronę brodu, który był niedaleko, wystarczyło przejść przez sąsiedni obóz Minnekondżu. Tak jak wódz powiedział, wszyscy wojownicy brali udział w bitwie i w wiosce zostały tylko kobiety, dzieci i starcy, którzy wygrzewali się na słońcu żując coś swoimi bezzębnymi szczękami. Część kobiet pracowała jak zwykle, inne jednak głośno oplakiwały poległych mężów, synów i braci, bo Indianie też stracili trochę ludzi, tylko nikt ich nie liczył, może czterdziestu, może pięćdziesięciu. W obozie Czejenów wzniesiono szałas pogrzebowy, umieszczono w nim ciała na rusztowaniach i zabito kilka koni układając ich trupy wokół szałas jak szprychy koła.

Dzieciarnia bawiła się na słońcu. Zobaczyłem chłopca trzymającego konika z suszonej gliny, który miał dziwne siodło — złożony banknot dolarowy. Widoczne też

były inne pamiątki po Siódmym Pułku: tu jakaś kobieta miała na sobie niebieską kurtkę z naszywkami kaprała, tam dzieciaki rzucały do siebie kapeluszem polowym, gdzie indziej leżała na ziemi para wojskowych gaci z nazwiskiem nieżyjącego właściciela wypisanym w pasie. Dalej bluza sztywna od krwi jak pergamin, pocięte parciane pasy amunicyjne, porzucone buty. W pobliżu brodu ilość tego towaru wzrosła i mali chłopcy poili tam konie, wśród których było trochę dużych kasztanów i gniadoszow z widocznymi piętnami Siódmego Pułku Kawalerii.

Na nas nikt nie zwracał uwagi, nawet kobiety Minnekondżu, które prały odzież w Małym Wielkim Rogu, więc razem z wodzem weszliśmy do wody, wartkiej i sięgającej nam do pasa, i przeszliśmy na drugi brzeg. Swój strój opisałem, ale nie wspomniałem o stroju wodza, który przywdział pełny pióropusz wojenny, może nieco nadjedzony przez mole, jeżeli mu się przyjrzało z bliska, ale i tak było to wspaniałe nakrycie głowy, każde pióro wykończone pęczkiem białego puchu, małe okrągłe lusterka przy skroniach i długi ogon piór zamiatający ziemię za jego piętami. Twarz miał wódz pomalowaną na kolor szkarłatny z żółtymi błyskawicami na policzkach. W jednej ręce niósł duży, teraz nie napięty łuk, zakończony z jednego końca ostrzem włóczni. W drugiej ręce trzymał stare zawiniątko z czarami, które pamiętałem znad Washity i z jeszcze dawniejszych czasów — skórzane opakowanie rozlazło się w jednym rogu i wystawał stamtąd amulet z ptasiej nogi. Miałem na nią oko, ale nie wpychałem jej do środka, bo nie powinno się dotykać czarów drugiego człowieka ani nawet wiedzieć, jak wyglądają.

Zobaczyłem wąwóz Zaczarowany Ogon, którym przejeżdżaliśmy niecały dzień wcześniej. Ziemia była zryta kopytami i ślady podkutych kawaleryjskich koni dochodziły do samej wody, ale my nie dotarliśmy tak daleko, musiały to więc być ślady zdobycznych koni, które Indianie pędzili do obozu.

Szliśmy milę albo i więcej pod górę prowadzącym ukośnie wąwozem, który Custer wybrał za drogę odwrotu, potem coraz wyżej po zboczu na ten ostatni szczyt i zrobiliśmy kawał drogi, zanim zobaczyłem pierwszego trupa, chociaż mogliśmy minąć inne, które spadły do licznych tam jarów lub zostały do nich zepchnięte po ograbieniu i sprofanowaniu.

Wkrótce jednak pokazały się, czysto białe z daleka w jaskrawym słońcu, jak głazy rozrzucone po polu, tu jeden, tam dwa lub trzy, inne w grupach po kilkanaście, leżały tam, gdzie padły, i prawie wszystkie w szeregu. Nigdzie ani śladu zamieszania i

paniki: ci ludzie zostali zabici, ale nie rozbici. A kiedy się pomyślało o procencie rekrutów, o wyczerpaniu po dwóch dobach bez wypoczynku i o przeważającej sile, jaką mieli przeciwko sobie, to spisali się naprawdę dobrze.

— Po tej bitwie nabrałem lepszego wyobrażenia o białych — mówi nagle Skóra Ze Starego Szłasasu w drodze na szczyt. — Przedtem myślałem, że nie wiedzą, jak należy umierać.

— Czy widzisz ich, dziadku?

— Prawie — mówi. — Ich ciała tak świecą.

Kiedy jednak podeszliśmy bliżej, marmurowa biel nie była już czysta, tylko poplamiona, a czasem zalana czerwienią, która na tym upale przybrała barwę brunatną. Powietrze wypełniał już trupi odór i miliony much, ptaki na nasz widok zrywały się zataczając wielkie kręgi, a kojoty zmykały na bezpieczną odległość. Na powierzchni mili kwadratowej leżała też może setka martwych koni.

Zacisnąłem zęby, wstrzymałem oddech i szedłem dalej po ziemi, która zdawała się zasysać moje mokasyny niczym lotny piasek, choć była sucha jak popiół. Szedłem, bo Skóra Ze Starego Szłasasu miał jakiś ważny powód, żeby tu przyjść, nie był przecież ścierwojadem. A ja chyba zdawałem sobie sprawę, że tylko za jego pośrednictwem będę mógł zaakceptować to, co zdarzyło się na tym straszliwym wzgórzu, i uczynić z tego część normalności.

— Tak — mówi wódz oddychając głęboko przez stare nozdrza, jak z garbowanej skóry — na pewno są szczęśliwi po Tamtej Stronie, że umarli jako wojownicy, a nie jako ci-co-pilnują-bydła, ci-co-hodują-kukurydzę, zwariowani kopacze-złotego-piasku albo ci-co-układają-drogę-dla-ognistego-wozu. Powiadam ci, mój synu, przez długi czas myślałem, że wszyscy biali ludzie są jak baby.

Zatrzymał się na chwilę i mogłem odpocząć. To prawda, że przespana noc sprawiła cuda, podobnie jak okład na ramię, ale to, że mogłem nie tylko chodzić, ale i wspinać się pod górę, było naprawdę niezwykle. Skóra Ze Starego Szłasasu nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia, chociaż dopiero tam, w pełnym słońcu, widziało się jego podeszły wiek: bruzdy na jego twarzy były tak głębokie, że mucha długo by się zastanawiała, zanim przeszłaby ich skrajem. W gruncie rzeczy jego oblicze stanowiło jakby miniaturę terenu, na którym staliśmy. A w porównaniu z jego zwiotczałą skórą, tam gdzie była widoczna pod farbą, opakowanie jego tobołka z czarami wyglądało prawie jak nowe.

Odwrócił się teraz, jakby chciał objąć wzrokiem całą panoramę, i przyciskając do piersi swoje zawiniątko wskazywał zaopatrzoną ostrze końcem łuku, z którego zwisały dwa orle pióra:

— Stamtąd szedł Żółć ze swoimi Hunkpapa — mówi — a stamtąd Kruk King. Tam w dole Kulawy Biały Człowiek, Ludzie, Minnekondzu i inni Lakotowie przełamali linię żołnierzy, podczas gdy Szalony Koń i Dwa Księżycy pojechali w dół rzeki, a potem otaczającym wzgórze wąwozem i spadli na niebieskie kurtki od tyłu. Była to największa bitwa wszystkich czasów i nigdy już takiej nie będzie.

Jego głęboki głos załamał się lekko i dwie łzy stoczyły się bruzdami wzdłuż ciężkiego szkarłatnego nosa w żółtym obramowaniu i znikły w poziomej sieci górnej wargi, bo usta miał jak system rzeczny z dopływami z góry i z dołu.

Mimo wszystkiego, co przeszedłem, zrobiło mi się go żal i mówię:

— Będą jeszcze inne — chociaż nie widziałem, co by mu z tego przyszło, skoro był za stary, żeby wziąć udział nawet w tej.

— Nie — mówi wódz. — To już koniec.

Po chwili zebrałem siły i ruszyliśmy dalej, mijając szczątki szwadronu C tuż pod szczytem, i nie jest moim celem rozwodzenie się nad szczegółami rzezi, bo myślę, że powiedziałem dość na temat tego, jak indiańskie kobiety ściągają na pole bitwy i co robią z rannymi. Otóż po bitwie nad Małym Wielkim Rogiem miały bankiet mogący zaspokoić największego żarłoka. Było tam tyle trupów do okaleczenia, że wreszcie im się to znudziło i wiele ciał pozostało nietkniętych, niektóre nawet w ubraniach.

Tom Custer jednak wyszedł z tego bardzo kiepsko i wyglądał jak coś, co leży na rzeźnickim pieńku. Nie poznałbym go, gdyby nie to, że miał wytatuowane na ramieniu swoje inicjały oraz amerykański sztandar i boginię wolności. Jego blond skalp został zerwany aż do karku, czaszka zmiażdżona, tułów rozcięty od mostka do krocza, a jego... Nie chcę mówić nic więcej, po prostu niech służy za przykład wszystkich sprofanowanych, choć trzeba przyznać, był chyba w najgorszym stanie z tych, których widziałem. Pamiętasz, jak Botts mówił, że Deszcz W Twarz przysiągł wyrwać Tomowi Serce z piersi i zjeść je? Sądząc z tego, co widziałem, bardzo możliwe, że to zrobił, choć w późniejszych latach stanowczo temu zaprzeczał.

Tak więc z wielkim strachem wszedłem na szczyt wzgórza i Skóra Ze Starego Szalasu bardziej prowadził mnie niż ja jego, bo skoro tak potraktowano Toma, to jakie okropieństwa musiały przypaść w udziale generałowi?

Przekroczyliśmy barykadę z końskich trupów, które zaczynały się wzdymać na skutek rozkładu, bo leżały martwe już całą dobę, fetor był straszny i wszędzie, rozsypane jak kaczany kukurydzy, leżały białe ciała ludzi, którzy umierali obok mnie niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Przez chwilę panowała kompletna cisza, ale mogło to być coś, co działo się w mojej głowie, bo jednak wiał lekki wiatr i po jakimś czasie usłyszałem cichy szelest niosący się po ziemi.

Wtedy zobaczyłem, co to jest: wiatr przeganiał setki dolarów w zielonych banknotach, co jakiś czas zasypując nimi nagiego trupa, jakby dla przyzwoitości. Był to żołd, którego wypłatę Custer wstrzymał do wymarszu z fortu Lincoln. Indianie znaleźli je podczas obdzierania trupów i wyrzucili, podobnie jak wszystkie znalezione papiery, listy miłosne i rozkazy, które włączyły się do tej szeleszczącej fali, nadając tej strefie wygląd opuszczonego miejsca po pikniku, bo tutaj żadne z ciał nie zostało sprofanowane i gdyby nie sterczące z nich strzały, można by je uznać za ludzi śpiących.

Głowa porucznika Cooke'a została oskalpowana razem z jednym bokobrodem. Kellogg, facet z gazety, leżał tam, gdzie widziałem jak padł, nadal w ubraniu, nietknięty.

Skóra Ze Starego Szałasu powiedział:

— Zaprowadź mnie do byłego Długie Włosy.

Niełatwo jest rozpoznawać ludzi nagich i martwych. Upodabniają się do siebie jak klienci łaźni tureckiej, tyle że na dodatek są jeszcze sztywni.

W końcu jednak zobaczyłem generała Custer z ramionami nadal rozkrzyżowanymi, tak jak padł, leżącego w poprzek na ciałach dwóch żołnierzy, gdzie go pewnie rzucono przy rozbieraniu. Miał schludną dziurę w lewej piersi i drugą po tej samej stronie w skroni, bardzo mało krwi z pierwszej i nic z drugiej, która pewnie powstała, kiedy już po wszystkim Indianie objeżdżali pole bitwy i na wszelki wypadek strzelali do leżących.

Generał nie był oskalpowany ani porznięty. Uderzył mnie wyraz jego twarzy. Słowo daję, że był na niej lekki uśmiech, nieco pogardliwy i butny.

— Jest tam — powiedziałem do Skóry Ze Starego Szałasu biorąc go za rękę i wskazując.

Wódz podszedł do Custer, pochylił się i dotknął jego głowy. Sprzeciwiłbym się, gdyby chciał zrobić coś obrzydliwego, ale wiedziałem, że nic takiego nie zrobi: po prostu przyglądał się martwemu generałowi w sposób właściwy ślepcom.

Potem wyprostował się i mówi:

— To był człowiek, który przyprowadził żołnierzy nad Washitę?

— Tak.

— A przedtem nad Piaszczysty Potok?

— Nie, tam był inny.

— Aha.

Skinął starą głową w wielkim wojennym pióropuszu i jego pióra zadrżały zgodnie, jak kiedy klucz ptaków jednocześnie zmienia kierunek na niebie. Wyglądało to pięknie i wspominam o tym dla kontrastu z całą resztą. Na całym polu bitwy nie było nic żywego prócz jego, mnie i much. Inni Indianie załatwili tu swoje sprawy poprzedniego dnia, zabrali swoich zabitych i nie mieli zamiaru wracać.

— W porządku — mówi Skóra Ze Starego Szałas. Potem ostrym końcem łuku lekko dotknął nagiego białego ramienia Custer, co było symbolicznym uderzeniem, i mówi do trupa coś, czego nie potrafię przetłumaczyć lepiej jak: — Jesteś złym człowiekiem, odpłaciliśmy ci.

To było wszystko i ruszyliśmy z powrotem do obozu, ale ja wciąż pozostawałem pod wrażeniem chwały i tragedii tego, co się tu stało. Custer musiał zginąć, żeby mnie do siebie przekonać, ale wreszcie mu się udało: uznałem, że zasłużył sobie, żeby zostać swoim własnym pomnikiem.

Podzieliłem się wtedy ze starym wodzem myślą, która przychodziła do głowy wielu białym ludziom, kiedy świat dowiedział się o Ostatniej Bitwie Custer, tyle że ja pomyślałem to pierwszy, bo byłem pierwszym Amerykaninem, który zobaczył go martwego, tak jak byłem ostatnim, który go widział żywego. Bardzo romantyczny koncept i zgodny z heroicznym wyobrażeniem generała o sobie, które potrafił narzucić nawet takiemu sceptykowi jak ja.

— Nie został oskalpowany, dziadku — mówię. — Indianie uszanowali w nim wielkiego wodza.

Skóra Ze Starego Szałas uśmiechnął się, jakbym był naiwnym dzieckiem.

— Nie, mój synu — powiedział. — Dotykałem jego głowy. Nie oskalpowano go, bo jest łysawy.

Po powrocie do namiotu siedziałem cicho. Można przeczytać w książkach, jak rano i po południu dwudziestego szóstego Indianie oblegali resztki Siódmego Pułku na Wzgórzu Reno, ale potem przybiegli chłopcy pasący konie i roznosili od szałasu do szałasu wiadomość, że pokazały się nowe niebieskie kurtki, nadciągające wzdłuż Tłustej Trawy od jej ujścia. Odwołano więc wojowników, kobiety zwinęły niezliczone tipi w niecałe trzy kwadransy i ruszyliśmy na południe — wszyscy, tysiące Indian, dziesiątki tysięcy zwierząt, kolumną długości może czterech mil, z kobietami i dziećmi na koniach, które ciągnęły także pakunki na żerdziach, podczas gdy wojownicy jechali w straży przedniej i tylnej.

Ja, nadal pokryty farbą i w czapie z bizona, trzymałem się oczywiście rodziny, jadąc na jednym z koni Skóry Ze Starego Szałasu obok niego i jego żon. Kiedy wyruszyliśmy, niektórzy Indianie przyglądali mi się, ale żaden nic nie powiedział. Myślę, że znudzili się walką i chcieli w miarę możliwości unikać awantur. Dowiedziałem się czegoś nowego: że nic nie potrafi zatrzymać uwagi Indian na dłużej, nawet zwycięstwo. To znaczy wiedziałem, że tacy są w walkach międzyplemiennych, ale nigdy nie widziałem, jak gromią białych.

Był wczesny wieczór, kiedy grupa Czejenów przejeżdżając doliną mijając pozycję Reno, bo jechaliśmy ostatni w kolumnie, i rozglądałem się po wzgórzach, ale z odległości kilku mil nie dostrzegłem żywej duszy. Poza tym Indianie podpalili wcześniej trawy, żeby przesłonić nasze ruchy, i dym jeszcze unosił się w powietrzu.

Wojska ciągnące z północy to były, rzecz jasna, oddziały generałów Terry'ego i Gibbona, którzy szli na spotkanie z Custerem o dzień spóźnieni, tak jak on przybył o dzień za wcześnie, a teraz mieli go znaleźć jako dwudniowego nieboszczyka, a po Indianach ani śladu.

Można o tym przeczytać, także o tym, jak Reno i Benteen bronili swojego wzgórza, o znalezieniu w dolinie ciał Lavendera, Charleya Reynoldsa, porucznika McIntosha, półkrwi Irokeza, i Krwawego Noża z plemienia Ri. Przejeżdżałem tą doliną z armią Indian, ale na szczęście nie musiałem oglądać nikogo z moich zabitych znajomych. Widocznie leżeli gdzieś w zaroślach.

Rzecz jasna, można też przeczytać o samej bitwie nad Małym Wielkim Rogiem w kilkuset różnych wersjach, bo spory na jej temat toczą się do dzisiaj. Najpierw pojawiły się relacje w gazetach, potem prowadzono śledztwo wojskowe, żeby ustalić, czy Reno stchórzył. Przesłuchano masę świadków i ogłoszono, że jest niewinny, chociaż niektórzy z oficerów świadczących na jego korzyść wieszali później na nim psy w rozmowach prywatnych.

Nawet w osobach niedobitków Siódmy Pułk Kawalerii podtrzymywał swoje chlubne tradycje zwierając szeregi na pokaz i obrzucając się oszczerstwami prywatnie.

A potem doszły relacje oficerów i szeregowców, którzy znajdowali się w innych częściach pola bitwy, i tego zwiadowcy z plemienia Kruków, Kędzierzawego. Byli tacy, co wędrowali po rezerwach wypytyując Indian, którzy walczyli po drugiej stronie, i oczywiście narobiło to masę zamieszania — każdy dzikus mówił co innego, nawet jeżeli walczyli w tym samym miejscu, bo jak zwykle każdy widział rzeczy po swojemu, nie mówiąc już o roli obyczajów i strachu. Niektórzy Indianie myśleli, że mogą zostać ukarani, jeżeli przedstawią rzeczy w zbyt czarnych barwach, inni z uprzejmości mówili pytającemu to, co jak sądzili, chciałby usłyszeć. Jeden twierdził, że wszyscy ludzie Custer a popełnili samobójstwo, drugi, że żołnierze przeszli rzekę, wdarli się do wioski i zostali wyparci, a generał został zabity i spadł z konia pośrodku rzeki.

Na końcu przystąpili do pracy uczeni i niektórzy z nich zamieszkali na polu bitwy, które stało się pomnikiem narodowym, wędrując po nim z taśmami i przyrządami mierniczymi. Czy Custer naruszył własne rozkazy? Czy Benteen mógł przybyć na czas i zmienić wynik bitwy? Jaką dokładnie trasę przebyło pięć szwadronów po wyruszeniu z Samotnego Szałasus? Na każde pytanie jest dziesięć różnych odpowiedzi, za i przeciw w każdym szczególe.

Ale tylko ja jeden byłem tam i przeżyłem, i opowiedziałem najszczerzą prawdę, na jaką mi pamięć pozwala. Do dzisiaj noszę szramy na policzku i na ramieniu od ran, które odniosłem na tamtym wzgórzu nad rzeką Mały Wielki Róg, na Terytorium Montany, dwudziestego piątego czerwca tysiąc osiemsetnego siedemdziesiątego szóstego roku, w starciu z plemionami Siuksów i Czejenów, w którym zginął generał George A. Custer, a pięć szwadronów Siódmego Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych wybito do przedostatniego żołnierza.

Dlaczego tak długo milczałem? Cóż, wrodzy Indianie nigdy nie cieszyli się sympatią w tym kraju, a przez jakiś czas po bitwie nad Małym Wielkim Rogiem liczba

ich sympatyków spadła poniżej liczby miłośników grzechotnika. Już słyszę, jak mówię w gronie poszukiwaczy rozrywki w jakimś barze:

— Tak jest, uratowałem się dzięki temu, że miałem przyjaciół wśród Czejenów.

Potem przeżyłem tę epokę i około roku tysiąc dziewięćsetnego dwudziestego zacząłem robić pewne aluzje w rozmowach z moimi ówczesnymi znajomymi, ale kiedy zobaczyłem wyraz ich oczu, nie posuwałem się dalej. Będąc spokrewniony z moim tatą i z Caroline jestem bardzo uczulony na uwagi o moim zdrowiu psychicznym.

Możliwe, że odkąd mieszkam w domu starców i oglądam w telewizji westerny, zrobiłem parę uwag, bo szlag mnie trafia, kiedy widzę, jak Indian grają Włosi, Rosjanie i inni tacy, nie dogoleni i z grubaśnymi łapskami. Czerwonoskórzy w ogóle nie muszą się golić i nawet najsilniejsi z nich mieli kończyny gładkie, a nie węzłaste. Co do rysów twarzy, to w niczym nie przypominają gangsterów. Jeżeli tym od filmów nie starcza prawdziwych Indian, to powinni wynajmować Azjatów, Chińczyków, Japońców i innych takich, bo są do Indian ogromnie podobni, jako ich pradawni kuzyni. Przyjrzyj im się bez uprzedzeń, a sam zobaczysz.

Myślę jednak, że siedziałem cicho głównie z jednego powodu: przecież nikt by mi nigdy nie uwierzył. Ale teraz jestem tak stary, że mi nie zależy. A jak i ty nie wierzysz, to pies z tobą tańczył.

30. KONIEC

Wielka indiańska procesja prawie natychmiast po wyjściu z doliny, w której zginął Lavender, zaczęła rozpadać się na grupy rozchodzące się we wszystkich kierunkach, jedne na wschód, ku rzekom Język i Proch, inne dalej, w okolicę Chudych Skał, gdzie zostały we wrześniu rozbite przez generała Crooka. Niektórzy wrócili nawet do swoich rezerwatów.

Siedzący Byk i jego Hunkpapa zatoczyli krąg i przeszli do Kanady, którą Indianie z powodu królowej Wiktorii nazywali Krajem Babci, i pozostali tam przez jakiś czas, bo były tam jeszcze bizony i Królewska Policja Konna rozdawała przybyszom medale z podobizną Babci mówiąc, że są mile widziani, dopóki nie mordują poddanych Babci. Czego nie robili, bo w okolicy nie było żadnych Kanadyjczyków, a Siedzący Byk tak nie cierpiał Amerykanów, że na zasadzie kontrastu lubił wszystkich innych. W końcu jednak wrócił do Stanów i występował w pokazach Buffalo Billa „Dziki Zachód” za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo plus wikt i opierunek oraz wyłączne prawo do sprzedaży swoich fotografii.

Niektórzy mówili, że chociaż był duchowym przywódcą Siuksów nad Tłustą Trawą, to obleciał go strach, kiedy Reno zaatakował jego część obozu, i ukrywał się wśród skał do końca bitwy, straciwszy wiarę we własne czary. Rozpowszechniał tę historię Żółć i nie wiem, czy to była prawda, czy tylko zawiść.

Ale wracając do dni po tamtej wielkiej bitwie: Skóra Ze Starego Szałasus postanowił poprowadzić swoją grupę na południe, w góry Wielki Róg. To znaczy, że nagle zawrócił konia w tym kierunku i ci, którzy chcieli, pojechali za nim. Oczywiście byłem wśród nich. Odetchnąłem z ulgą, kiedy Młodszy Niedźwiedź, siedząc na swoim łaciatym koniu, po długich deliberacjach zdecydował się jechać z grupą innych Czejenów na wschód. Nasze wzajemne układy dobiegły kresu, wreszcie byliśmy kwita. Od tamtego ranka, kiedy przekonał się, że żyję, nigdy do mnie nie zajrzał i rzecz jasna ja też go nie szukałem.

Miał swój wielki dzień i jeszcze po tylu latach myśl o tym napełnia moje serce radością, bo Ludzie, do których dołączył, jesienią oberwali od generała Mackenzie, a ich niedobitki poddały się i na wiosnę zostały odesłane do rezerwatu na Terytorium Indiańskim. Tam wszyscy prawie chorowali na febrę i omal nie pomarli z głodu,

uciekali więc stamtąd razem, mężczyźni, kobiety i dzieci, i ruszyli setki mil na północ, cały czas atakowani, obdarci i głodni, uzbrojeni tylko w łuki, bo broń palną im odebrano. Myślę, że kiedy mowa o męstwie, można powiedzieć „Czejenowie” i to wystarczy.

Wreszcie rząd zrozumiał, że trzeba ich albo wybić do nogi, albo pozwolić im żyć w kraju, w którym się urodzili. Ustanowiono więc ajencję nad rzeką Język i Północni Czejenowie mieszkają tam do dzisiaj.

Zanim jednak do tego doszło, Indianie przeżyli ciężkie czasy i nie wtem, czy Niedźwiedź wyszedł z tego cało. Dlatego cieszę się, że odniósł przynajmniej jeden wielki tryumf, bez którego zresztą nie byłoby mnie tutaj.

Niektórzy inni Indianie też udali się w stronę gór Wielki Róg, ale my wędrowaliśmy osobno w liczbie dwudziestu kilku szalasów. Poza wodzem nie znałem nikogo z tych ludzi. Wszyscy moi dawni znajomi nie żyli albo odeszli. Chociaż miałem dopiero trzydzieści cztery lata, pod pewnym względem czułem się starszy niż dzisiaj. Teraz dobiega kresu życie jednego tylko człowieka, wtedy chodziło o cały styl życia. Skóra Ze Starego Szalasu wiedział to dobrze tam, na Wzgórzu Custer, kiedy mówił, że nigdy już nie będzie żadnej wielkiej bitwy. Nie rozumiałem go od razu i może ty też go nie rozumiesz, bo przecież było potem wiele starć, i to zażartych, zanim wojujące plemiona z Równin wreszcie dały za wygraną i na stałe osiedliły się w ajencjach.

Pewnego wieczoru, musiało to być na początku lipca, obozowaliśmy u podnóża gór Wielki Róg i jedliśmy soczysty garb świeżo upolowanego bizona przygotowując go jego własną żółcią, w której najpierw zanurzaliśmy noże. Dzień był upalny, ale na tej wysokości szybko się ochładzało i nasze zatłuszczone policzki przyjemnie ogrzewał trzaskający i pachnący ogień z sosnowych gałęzi, bo znajdowaliśmy się w pobliżu prawdziwych lasów. Po jakimś czasie w tipi zrobiło się tak ciepło, że dzieciaki pozrzucały koce i biegały świecąc gołymi brązowymi tyłkami.

Tłuste żony wodza żuły wielką skórę, żeby ją zmiękczyć, plotkując między kęsami o życiu miłosnym Szalonego Konia, który ożenił się z Czejenką. Udało mi się zobaczyć tego wielkiego wojownika, zanim się odłączyliśmy od reszty. Miał twarz pełną ostrych kątów, nie nosił żadnych ozdób, żadnych piór, żadnych malunków; był jak żywa broń. Poddał się wojsku w rok później i został zaszytyletowany w bitwie na terenie ajencji, trzymany za ręce przez Indianina o imieniu Mały Wielki Człowiek. To

nie byłem ja, on jako Siuks miał zupełnie inne imię, tylko po angielsku to brzmi tak samo.

Skóra Ze Starego Szałasu otarł ostrze noża o nogawicę i czknął donośnie.

Wtedy spytałem go, jak należy rozumieć jego słowa wypowiedziane na wzgórzu. Bo wydało mi się dziwne, że stał się większym pesymistą po zwycięstwie Indian, niż bywał często po porażkach.

— Tak, mój synu — mówi wódz — to już jest koniec, bo co więcej możesz zrobić wrogowi, jak go pobić? Gdybyśmy walczyli tak jak kiedyś, czerwoni ludzie przeciwko czerwonym ludziom, dlatego że to jest męskie zajęcie, a poza tym bardzo przyjemne, to teraz byłaby kolej na drugą stronę, żeby próbowała pobić nas. Walczylibyśmy nieustępliwie jak zawsze i może znów byśmy zwyciężyli, ale oni zaczynaliby z przewagą, bo taka jest kolej rzeczy. Nie ma stałych zwycięstw i stałych porażek, kiedy wszystko porusza się, tak jak powinno, po kręgu. Bo czy życie nie jest czymś jednym? I chociaż umrę, czy nie będę żył dalej we wszystkim, co istnieje? Bizon zjada trawę, ja zjadam jego, a kiedy umrę, ziemia zjada mnie i wypuszcza nową trawę. W ten sposób nic nigdy nie ginie i każda rzecz jest wszystkim na zawsze, chociaż wszystkie rzeczy są w ruchu.

Starzec wsunął nóż w wyszywaną pochwę i mówił dalej:

— Ale biali ludzie, którzy żyją według linii prostych i kwadratów, myślą inaczej niż ja. U nich jest wszystko albo nic. Washita albo Tłusta Trawa. I z powodu tych swoich dziwnych wierzeń są bardzo uparci. Walczą nawet w nocy albo przy złej pogodzie. Ale nie lubią walki dla samej walki. Im chodzi tylko o zwycięstwo i jeżeli mogą je osiągnąć skrobiąc piórem po papierze albo rzucając słowa na wiatr, to tym lepiej. Nie zadowolą się tym, żeby przyjechać i pomścić śmierć byłego Długie Włosy, co mogliby z łatwością zrobić. Możliwe, że gdybyśmy wszyscy wrócili do agencji, nie zabiliby nikogo z nas. Bo zabijanie jest częścią życia, a oni nienawidzą życia. Nienawidzą wojny. Dawno temu próbowali ustanowić pokój między nami, Krukami i Paunisami, i wszyscy podaliśmy sobie ręce, i nie walczyliśmy przez jakiś czas, ale od tego wszyscy zrobiliśmy się słabi, nasze kobiety stały się bezczelne i nie mogliśmy włożyć swoich najlepszych strojów, bo nie było wojny. W końcu pojechaliśmy do obozu Kruków i wygłosiłem tam przemówienie. „Lubiliśmy was, kiedy was nienawidziliśmy — powiedziałem tym Krukom. — Teraz, kiedy jesteście waszymi przyjaciółmi, bardzo was nie lubimy.” „To nie ma sensu”, powiedzieli. „To nie był nasz pomysł.” „Nasz też

nie — powiedzieli. — Kiedy z wami walczyliśmy, myśleliśmy, że wy, Czejenowie, jesteście przystojni. Teraz wyglądacie jak parszywe psy." Była więc okazja i stoczyliśmy dużą bitwę.

Skóra Ze Starego Szałasu potrząsnął głową.

— Ci Krukowie — ciągnął — byli dobrymi wojownikami w dawnych czasach, a teraz zhańbili się i jeżdżą przy wojsku. Słyszałem, że uciekli znad Tłustej Trawy, i nie byłem zdziwiony.

Skoro jesteśmy przy hańbie, to nie zacząłem jeszcze tłumaczyć się ze swojej obecności przy Custerze. Jeżeli w ogóle można ją było wytłumaczyć. Musiałem spróbować.

— Dziadku — mówię — niewielu ludzi ma twoją wielką mądrość. Reszta z nas często popada w sytuacje, kiedy myśli tylko o tym, żeby ratować życie, a nie zrozumieć. Tak samo ja, Mały Wielki Człowiek...

Wiedziałem, że popełniłem błąd, jak tylko to powiedziałem.

— Człowiek nie powinien nigdy wymawiać swojego imienia — odzywa się Skóra Ze Starego Szałasu. — Diabeł może je ukraść i biedak zostanie bez imienia.

Przeprosiłem i zacząłem od początku, ale wódz ziewnął i powiedział, że idzie spać, co też zrobił.

Następnego ranka, po przebudzeniu wykąпалиśmy się w płynącym z gór zimnym, kryształowo czystym potoku. Skóra Ze Starego Szałasu rozebrał się do goła, zanurzył swoje stare ciało i pluskał się jak wróbel, a ja szykowałem się na wielkie śniadanie, wódz wytarł się kocem, zawiązał się w drugi i powiedział:

— Mój synu, muszę pójść na wysokie miejsce i zrobić coś ważnego. Czy zaprowadzisz mnie tam?

Powiedział mi, że mogę przedtem coś zjeść, ale jemu jeść nie wolno. Z czego domyśliłem się, że chodzi o coś świętego, i chociaż mogłem nie mieć z tym nic wspólnego, nie chciałem drażnić jego bogów pełnym żołądkiem. Tak więc i ja nic nie zjadłem i wyruszyliśmy.

Żałowałem tej decyzji po wielogodzinnym marszu pod górę, bo wódz wybrał sobie całkiem wysoki szczyt. W południe byliśmy zaledwie w połowie drogi, a nie zabraliśmy ze sobą nawet kropli wody i im wyżej wchodziliśmy, tym mniejsza była

szansa, że coś znajdziemy. Odczuwałem jeszcze skutki swoich ran, a powietrze stawało się coraz radsze.

Skóra Ze Starego Szalasu podchodził silnym, energicznym, nawet niecierpliwym krokiem. Miał na sobie czerwony koc, pod którym był ubrany tylko w przepaskę, a we włosach pojedyncze orle pióro. Gdyby nie pobrużdżona twarz, z daleka można by go wziąć za młodego wojownika.

Szedł tak godzina za godziną i zanim doszliśmy do granicy lasów, kręciło mi się w głowie i myślałem, że już do końca życia będzie mi się dwoić w oczach. Co jakiś czas przystawaliśmy, żebym mógł odpocząć, ale wódz nigdy wtedy nie siadał, tylko stał niecierpliwie i po chwili mówił:

— Chodź, mój synu, jest czas, żeby się wylegiwać, i jest czas, kiedy trzeba się śpieszyć.

Wlokłem się więc dalej. Na szczyt weszliśmy późnym popołudniem. Był skalisty, jedyny taki szczyt w całym łańcuchu. Zobaczyłem muflona skaczącego z występu na występ. Na zachód góry zajmowały cały świat, aż do miejsca, gdzie słońce wisiało nisko nad ostatnimi wyniosłościami. Myślę, że nigdy nie widziałem nieba tak ogromnego i tak czystego. Było jasno-błękitne, jak kopuła z szafiru, tyle że kopuła jest czymś zamkniętym, tymczasem to było otwarte i nieograniczone. Gdybyś zmienił się w ptaka, mógłbyś lecieć prosto przed, siebie bez końca, najszybciej, jak potrafisz, a wisiałbyś stale w tym samym miejscu.

Od patrzenia na ten olbrzymi krąg świata przestało mi się kręcić w głowie. Stałem mocno na nogach. Byłem tam, w ruchu, ale w środku świata, gdzie wszystko jest oczywiste, po prostu dlatego, że jest. To, czy się było nad Tłustą Trawą, czy nie, i po której stronie, i czy się przeżyło, czy zginęło, nie miało znaczenia.

Wszyscy byliśmy ludźmi. Tutaj, na szczycie, nie było podziałów.

Odwróciłem się do Skóry Ze Starego Szalasu, żeby mu powiedzieć, że go zrozumiałem, ale odszedł ode mnie, zrzucił koc i wystawiwszy swoje pokryte bliznami stare ciało na promienie zachodzącego słońca zawołał potężnym głosem, który zabrzmiał jak grzmot odbijający się echem wśród szczytów.

— Hej, hej, hej, hej, hej, hej, hej!

Było to wspaniałe zawołanie bojowe Czejenów, rzucał je na całą wieczność i po raz ostatni. Jego ślepe oczy płakały ze wścieklej uciechy, jego starcze ciało drżało.

— Chodź i walcz! — krzyczał. — Dziś jest dobry dzień, żeby zginąć!

Roześmiał się, bo śmierć ze strachu przed nim schowała się w swoim tipi.

Potem bez zawodzenia, tym samym stentorowym głosem zaczął się modlić do Wszechobecnego Ducha.

— Dziękuję ci, że uczyniłeś mnie Człowiekiem! Dziękuję ci, że pomogłeś mi zostać wojownikiem! Dziękuję ci za wszystkie moje zwycięstwa i za wszystkie porażki. Dziękuję ci za mój wzrok i za ślepotę, dzięki której widziałem dalej. Zabiłem wielu mężczyzn, kochałem wiele kobiet i zjadłem dużo mięsa. Bywałem też głodny i dziękuję ci za to i za dodatkowy smak jedzenia po czasie głodu. Ty robisz wszystkie rzeczy i kierujesz je na właściwą drogę, i teraz postanowiłeś, że Ludzie wkrótce wkroczą na nową drogę. Dziękuję ci, że pozwoliłeś nam odnieść zwycięstwo, zanim się to stanie. Nawet jeżeli mój lud będzie musiał zniknąć z powierzchni ziemi, będzie żyć we wszystkich dzielnych i silnych mężczyznach. I wszędzie, gdzie kobiety zobaczą mężczyznę, który jest dumny, odważny i mściwy, nawet jeżeli będzie miał białą twarz, zawołają: „To jest Człowiek!” Umrę teraz, chyba że Śmierć chce przedtem stoczyć walkę, i proszę cię, żebyś po raz ostatni użył mi mojej dawnej mocy!

Muflon, którego widziałem wcześniej, albo jakiś inny, ukazał się na sąsiedniej skale z tymi wspaniałymi kręconymi rogami i wydawał się spoglądać wyczekująco w naszą stronę. Ale to nie było to, o co chodziło Skórze Ze Starego Szalasu, zresztą i tak nie widział zwierzęcia, wznosił więc jeszcze raz okrzyk wojenny i kiedy jego głos odbijał się echem wśród szczytów, odpowiedział mu od zachodu inny grzmot i na tym tak kryształowo czystym niebie nagle pojawiła się nad słońcem czarna masa chmur, która zaczęła toczyć się w naszą stronę z wielkiej odległości.

Stałem zdjęty nabożnym lękiem, Skóra Ze Starego Szalasu zaczął śpiewać i kiedy chmura zawisła nad naszymi głowami, na jego uniesioną twarz zaczął padać deszcz, mieszając się ze łzami radości.

Mogło to trwać dziesięć minut lub godzinę i kiedy się skończyło, a przez chmury przebiły się znów promienie zachodzącego słońca, wódz wyraził swoje ostatnie podziękowanie i ostatnie życzenie.

— Opiekuj się moim synem — mówi — i postaraj się, żeby nie zwariował.

Potem położył się na mokrych skałach i natychmiast umarł. Zszedłem do linii lasu, przyciągnąłem stamtąd kilka żerdzi i zbudowałem dla wodza rusztowanie. Zawinąłem go w czerwony koc i ułożyłem tam. Po chwili w gasnącym świetle dnia ruszyłem z powrotem w dół.